



SANTIAGO
POSTEGUILLO

RZYM

TO

JA

PO JULIUSZU CEZARZE
ŚWIAT JUŻ NIGDY NIE BYŁ TAKI SAM

HI:STORY

SANTIAGO
POSTEGUILLO

RZYM
TO
JA

TŁUMACZENIE KATARZYNA SOSNOWSKA

HI:STORY
KRAKÓW 2023

Tytuł oryginału: *Roma soy yo. La verdadera historia de Julio César*

© Santiago Posteguillo, 2022

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2023

Copyright © for the translation by Katarzyna Sosnowska

Wydawca prowadzący: Szymon Langowski

Redaktor prowadzący: Anna Małocha, Dagmara Małysza

Przyjęcie tłumaczenia: Dominika Zima

Adaptacja makiety na potrzeby wydania: Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Materiały graficzne we wnętrzu książki: Ricardo Sánchez

Korekta: Anna Śledzikowska i Janina Burek / Wydawnictwo JAK

Projekt okładki: Penguin Random House Grupo Editorial / Yolanda Artola

Ilustracja na okładce: Vero Navarro

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Monika Drobnik-Słocińska

ISBN 978-83-8135-612-1

HI:STORY

www.wydawnictwohistory.pl

Dystrybucja: SIW Znak.

Zapraszamy na www.znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski

*Córce Elsie,
która jest moim dniem i moją nocą,
oraz Albie,
która jest moim światłem*

*Trwożliwy stokroć umiera przed śmiercią;
Mężny raz tylko czuje śmierci gorycz.*

William Szekspir, *Juliusz Cezar*, akt 2, scena II,
przeł. Leon Ulrich

Dramatis personae

Juliusz Cezar (Gajusz Juliusz Cezar), adwokat i trybun wojskowy

Rodzina Juliusza Cezara:

Aurelia, matka

Kornelia, żona

Kotta (Aureliusz Kotta), wuj

Julia Starsza, siostra

Julia Młodsza, siostra

Juliusz Cezar, ojciec

Marek Antoniusz Gniphos, nauczyciel Juliusza Cezara

Przywódcy i senatorowie ze stronnictwa optymatów:

Cyceron (Marek Tulliusz Cyceron), adwokat i senator

Krassus (Marek Licyniusz Krassus), młody senator

Dolabella (Gnejusz Korneliusz Dolabella), senator i namiestnik

Lukullus (Lucjusz Licyniusz Lukullus), kwesor Wschodu

Metellus (Kwintus Cecyliusz Metellus Pius), przywódca optymatów

Pompejusz (Gnejusz Pompejusz), sędzia i senator

Sulla (Lucjusz Korneliusz Sulla), dyktator

Termus (Minucjusz Termus), pretor na Lesbos

Przywódcy i senatorowie ze stronnictwa popularów:

Cynna (Lucjusz Korneliusz Cynna), przywódca popularów, senator i konsul, ojciec Kornelii

Fimbria (Gajusz Flawiusz Fimbria), legat

Flakkus (Waleriusz Flakkus), konsul

Glaucja (Gajusz Serwiliusz Glaucja), trybun ludowy i pretor

Labienus (Tytus Labienus), przyjaciel Cezara, trybun wojskowy

Mariusz (Gajusz Mariusz), przywódca popularów, siedmiokrotny konsul, wuj Juliusza Cezara

Saturninus (Lucjusz Apulejusz Saturninus), trybun ludowy

Sertoriusz (Kwintus Sertoriusz), przywódca popularów, zaufany człowiek Mariusza

Rufus (Sulpicjusz Rufus), trybun ludowy

Obywatele macedońscy:

Aeropos, ojciec Myrtale

Archelaos, młody arystokrata

Myrtale, córka Aeroposa

Orestes, sędziwy arystokrata

Perdikas, młody arystokrata, narzeczony Myrtale

Przywódcy wojskowi na Lesbos:

Anaksagoras, satrapa Mityleny

Pittakos, drugi najważniejszy dowódca Mityleny

Teofanes, przywódca mityleńskiej arystokracji

Inne postacie:

Acyliusz Glabrion, zięć Sulli

Annia, matka Kornelii

Gajusz Wolkacjusz Tullus, centurion

Klaudiusz Marcellus, wysokiej rangi oficer rzymski

Korneliusz Fagita, centurion rzymski

Emilia, pasierbica Sulli

Hortensjusz, adwokat

Marek, inżynier rzymski

Metrobiusz, aktor

Mitrydates IV, król Pontu, potężny wróg Rzymu na Wschodzie

Mucja, handlarka przyprawami i innymi substancjami w Rzymie

Sekstus, kapitan statku

Soreks, aktor

Grecki medyk

Waleria, żona Sulli

Wetus, inżynier rzymski

Teutobod, król Teutonów

A także *preacones*, niewolnice i niewolnicy, *atrienses*, legionieści, urzędnicy rzymscy, urzędnicy pontyjscy, nastawiacze klepsydr, anonimowi obywatele Rzymu, etc.

Principium

Kobieta kołysała dziecko i tak do niego przemawiała:

– Zapamiętaj na zawsze historię twojego pochodzenia, twoich początków, to, skąd bierze się *gens* Julia, ród Juliuszów, rodzina twego ojca. Ja, twoja matka, pochodzę ze starego rodu Aureliuszów, którego imię powiązane jest ze słoneczną aureolą, ale moja krew łączy się z krwią twego ojca, która płynie w żyłach najbardziej szlachetnych i wyjątkowych osób w Rzymie, pełnym rodzin wzbogaconych na drodze korupcji i przemocy. Oto bogini Wenus zległa z pasterzem Anchizesem i z tego związku narodził się Eneasza. Musiał on potem uciec z płonącej Troi, miasta podpalonego przez Greków. Wymknął się stamtąd ze swym ojcem, żoną Kreuzą i synem Askaniuszem, którego w Rzymie nazywamy Julusem. Ojciec Eneasza Anchizes i jego żona Kreuza zmarli podczas długiej wędrówki z dalekiej Azji do Italii, gdzie Julus, syn Eneasza, założył miasto Alba Longa. Po latach bóg Mars zległ z piękną księżniczką Reą Sylwią z Alba Longi, potomkinią Julusa, i z tego związku narodzili się Remus i Romulus. Romulus założył Rzym, miasto trwające do dnia dzisiejszego. Twoja rodzina wywodzi się prosto od Julusa, stąd nosi imię *gens* Julia. Na tym świecie, który oczekuje na twe pierwsze kroki, mamy patrycjuszy, w większości są to senatorowie, wśród nich niektórzy bardzo bogaci – w ostatnich latach, gdy potęga Rzymu rosła, zgromadzili ogromne fortuny i z tego względu uważają się za wybrańców, za wyjątkowych, jakby naznaczyli ich sami bogowie. Twierdzą, że należą im się wszelkie prawa, ponad głowami obywateli, ludu rzymskiego, a także ponad głowami naszych sprzymierzeńców z Italii. Ci podli senatorowie zwą samych siebie *optimates*, najlepszymi, ale synu mój, tylko twoja rodzina wywodzi się bezpośrednio od Julusa, potomka Eneasza, tylko w twoich żyłach płynie krew Wenus i Marsa. Tylko ty jesteś wyjątkowy. Tylko ty, mój synku. Tylko ty. Błagam Wenus i Marsa, aby cię

chronili i prowadzili w czasach zarówno pokoju, jak i wojny. Ponieważ będziesz toczył wojny, synu mój. Takie jest twoje przeznaczenie. Obyś zatem był silny jak Mars i zwycięski jak Wenus. Zapamiętaj na zawsze, synu mój: Rzym to ty.

Aurelia powtarzała te słowa zaledwie kilkumiesięcznemu synowi niczym modlitwę i bezwiednie sprawiła, że wniknęły one do umysłu chłopca i towarzyszyły mu przez lata. Wbiły się w jego wnętrze i zapisały w pamięci mocno, jakby zostały wyryte w kamieniu, na zawsze formując przeznaczenie Juliusza Cezara.

Prooemium

Zachodnia część Morza Śródziemnego

II i I wiek p.n.e.

Rzym rósł bez ograniczeń.

Od upadku imperium kartagińskiego Republika rzymska stała się dominującą potęgą kontrolującą całe zachodnie Śródziemnomorze. I nie tylko, gdyż miała także w swych rękach losy Hispanii, Sycylii, Sardynii i wielu regionów w Afryce Północnej i w całej Italii, jak również zaczynała niecierpliwie spoglądać w kierunku północnym, w stronę Galii Cisalpejskiej, oraz na wschód – ku Grecji i Macedonii.

Ten gigantyczny rozrost terytorialny zapewniał wpływy do państwowej kasy, ale dystrybucja tak wielkich bogactw i tylu nowych ziem nie była równa: niewielka grupa bliskich Senatowi rodzin arystokratycznych każdego roku obejmowała nowe ziemie i mnożyła pieniądze, podczas gdy przeważająca większość mieszkańców Rzymu oraz prości rolnicy z sąsiednich miejscowości praktycznie nie brali udziału w tej niezwykłej celebracji bogactwa i władzy. Ziemia pozostawała w rękach kilku senatorów – właścicieli latyfundiów. Złoto i srebro również trafiało głównie do ich rodzin, podobnie jak niewolnicy.

Tak wyraźne nierówności doprowadziły do konfliktu: Zgromadzenie Ludowe kierowane przez swoich najwyższych przedstawicieli: trybunów ludowych, przeciwstawiło się Senatowi, wzywając do równiejszego rozdzielania władzy i pieniędzy. Pojawili się odważni mężowie, którzy nawoływali do zaprowadzenia sprawiedliwości i należytego podziału ziem. Jednym z nich był Tyberiusz Semproniusz Grakchus. Był synem Kornelii, wnukiem Scypiona Afrykańskiego i został obrany trybunem ludowym. W roku 133 p.n.e. dążył do wprowadzenia

nowego prawa regulującego rozdawnictwo ziemi. Senat wysłał na niego dziesiątki najemników, którzy u stóp Kapitolu w środku dnia zakatowali Grakchusa na śmierć. Ciało trybuna wrzucono do Tybru, odmawiając mu w ten sposób pochówku. Jego brat Gajusz Semproniusz Grakchus, również trybun ludowy, próbował kontynuować dzieło Tyberiusza. Wtedy to po raz pierwszy Senat proklamował *senatus consultum ultimum*, dekret o zagrożeniu Republiki. Na jego mocy senatorowie nakazali konsulom, swoim najwyższym przedstawicielom, aresztowanie i stracenie Gajusza Grakchusa oraz każdego innego trybuna ludowego, który chciałby wprowadzić podobne reformy. W roku 121 p.n.e. Gajusz Grakchus, otoczony przez senackich najemników, poprosił niewolnika, żeby zadał mu śmierć, gdyż tylko dzięki temu nie musiał ginąć z ręki wroga.

Zwolennicy reform zjednoczyli się, tworząc stronnictwo określane mianem popularów, które broniło propozycji przedwcześnie zmarłych Grakchów. Z kolei najbardziej konserwatywni senatorowie nazwali się optymatami, czyli „najlepszymi”, ponieważ uważali się za lepszych od pozostałych obywateli. Rzym oficjalnie podzielił się na dwie frakcje. Do tego sporu włączyła się także trzecia grupa: *socii*, a więc mieszkańcy italskich miast będących sprzymierzeńcami Rzymu, którzy uważali, że podczas podejmowania wiążących ich decyzji senatorowie i obywatele Rzymu się z nimi nie liczą. *Socii* zaczęli więc domagać się obywatelstwa rzymskiego, by uzyskać prawo głosu i brać udział w decydowaniu o sprawach, które ich dotyczyły.

Zgromadzenie Rzymu wybierało kolejnych trybunów ludowych, próbując wprowadzić w życie reformy Grakchów. Ale wszyscy oni ginęli z rąk zbrojnych najemników wysyłanych przez senatorów. Rzym podzielił się na trzy grupy: popularów, optymatów i sprzymierzeńców, czyli *socii*. Wówczas na scenę wkroczył młody obywatel, pochodzący wprawdzie z rodziny patrycjuszy, lecz gotowy wysłuchać popularów i sprzymierzeńców, który w dodatku zdał sobie sprawę, że do walki o kształt Republiki stanęła czwarta grupa, na którą nikt dotąd nie zwrócił uwagi: mieszkańcy nowych prowincji, które podbijał Rzym – od Hispanii po Grecję i Macedonię, od Alp po Afrykę.

Młodzieniec ów sądził, że należy raz na zawsze zmienić *status quo*, ale miał ledwie dwadzieścia trzy lata i nikt go nie popierał. Niewielu obywateli go dostrzegало, aż do pewnego procesu, który odbył się w roku 77 p.n.e. Mimo młodego wieku zgodził się przyjąć w nim rolę oskarżyciela.

W tym procesie oskarżonym o korupcję popełnioną na stanowisku namiestnika Macedonii był wszechpotężny *optimas senator* Gnejusz Korneliusz Dolabella, prawa ręka przywódcy optymatów w Senacie, Lucjusza Korneliusza Sulli.

Zgodnie z wprowadzonymi przez Sullę prawami znoszącymi rozdział między wymiarem sprawiedliwości a Senatem trybunał sędziowski składał się z senatorów gotowych uniewinnić Dolabellę, który poza tym zatrudnił dwóch najlepszych obrońców tamtych czasów: Hortensjusza i Aureliusza Kottę. Nikt nie chciał zostać oskarżycielem w sprawie od początku skazanej na porażkę. Tylko szaleniec lub fantasta mógł podjąć się tego zadania w zaistniałych okolicznościach.

Dolabella zaśmiał się, gdy wreszcie powiedziano mu, kto będzie go oskarżał. Oczekując na proces, nie porzucił świętowania i ucztowania, zawsze rozluźniony i pewny swego. Wiedział, że wygra.

Młodym, pozbawionym doświadczenia oskarżycielem był Gajusz Juliusz Cezar.

ROZPRAWA PIERWSZA

PETITIO

Podczas *petitio* wolna osoba zwraca się do adwokata, aby został jej obrońcą lub oskarżycielem we wniesionej sprawie. Osoba skarżąca niebędąca obywatelem rzymskim musi pozyskać adwokata z obywatelstwem, zwłaszcza gdy chce wytoczyć sprawę innemu obywatelowi Rzymu.

ROZDZIAŁ I

Decyzja Cezara

Domus rodziny Juliuszów w dzielnicy Subura

Rzym, 77 r. p.n.e.

– Wszyscy, którzy tego próbowali, nie żyją. Zmierzasz ku katastrofie. Nie powinieneś, nie możesz zaakceptować tej oferty. To byłoby samobójstwo. – Słowa Tytusa Labienusa brzmiały ostro, wypowiadał je z zaangażowaniem kogoś, kto próbuje przekonać przyjaciela, by nie popełniał największego błędu swojego życia. – Świata nie da się zmienić, Gajuszu, a ten proces właśnie to ma na celu. Czy mam przypomnieć ci imiona tych wszystkich, którzy zginęli, próbując wprowadzić zmiany i przeciwstawiając się senatorom? To tamci od zawsze nami rządzą i nadal będą rządzić. Nie ma możliwości jakiegokolwiek zmiany. Musimy albo połączyć się z tymi, co rządzą, albo się od nich odsunąć, ale nigdy, słyszysz, Gajuszu, nigdy nie możemy przeciwstawiać się optymatom. To oznacza śmierć. Dobrze o tym wiesz.

Cezar uważnie słuchał swego przyjaciela z dzieciństwa. Wiedział, że ten przemawia do niego z lojalności. Sam na razie się nie odzywał.

Kornelia, dziewiętnastoletnia żona Cezara, stała pośrodku domowego atrium. Małżonek krążył wokół niej, rozważając rady Labienusa i zastanawiając się, jaką odpowiedź dać Macedończykom, którzy właśnie zwrócili się do niego o pomoc.

Milczenie Cezara niepokoiło Labienusa. Obawiał się, że jego słowa nie wystarczą, by przekonać przyjaciela. Widząc, jak krąży wokół Kornelii – co symbolizowało centralną pozycję, jaką w życiu Cezara zajmowała jego żona – odwołał się do łączącej ich miłości, o której wszyscy wiedzieli.

– Kornelio, na Herkulesa, kochasz swego małżonka. Powiedz mu, by odrzucił tę szaleńczą propozycję ze względu na ciebie, na swą matkę, na rodzinę. Dolabelli

nikt nie dosięgnie. Gajusz prawie zginął, przeciwstawiając się Sulli, ale jeśli zrobi to bezpośrednio podczas procesu prawej ręki dyktatora, niechybnie umrze. Na bogów, powiedz mu coś!

Kornelia słuchała go, mrugając oczami.

W tej chwili doszedł ich płacz. To mała Julia, niespełna pięcioletnia córka Cezara i Kornelii, pojawiła się w atrium. Wbiegła za nią niewolnica.

– Wybacz, o pani, wybacz – powiedziała. – Jest taka szybka.

– Mamo, mamo – krzyknęła dziewczynka i przycisnęła się do kolan Kornelii.

Nagle wejście córki uratowało matkę przed koniecznością udzielenia odpowiedzi na apele Labienusa.

– Zaraz wracam – powiedziała, złapała córkę za rękę i pociągnęła ją za sobą.

Cezar spojrzał na żonę i skinął głową. Na jego twarzy malowała się powaga.

– Tato – powiedziała dziewczynka, przechodząc obok niego.

Gajusz Juliusz Cezar uśmiechnął się do córki.

Kornelia szarpnęła ją za rękę i wraz z niewolnicą zniknęły w jednym z rogów atrium.

Labienus pozostał sam z zadaniem przekonania przyjaciela, żeby nie zgodził się na to zatrute zlecenie, ale nie zamierzał się poddawać. Nadal przemawiał, mimo że przedstawiciele z prowincji Macedonia, którzy chcieli zatrudnić młodego Juliusza Cezara jako oskarżyciela, również znajdowali się w pomieszczeniu. Byli to Perdikas, Archelaos i Aeropos. Czuli się niezręcznie, słuchając Tytusa Labienusa, ale nie śmieli przerywać dyskusji między dwoma obywatelami rzymskimi.

– Posłuchaj mnie uważnie, Gajuszu – kontynuował Labienus, nie zważając na wrogie spojrzenia Macedończyków. – Jeśli przyjmiesz tę propozycję, najpierw zmasakrują cię przed trybunałem, a potem to samo zrobią w jakimś ciemnym zaułku albo na forum w świetle dnia. Nie byłbyś pierwszy. Od czasu śmierci twego wuja Mariusza i absolutnego zwycięstwa Sulli optymaci poczynają sobie coraz śmieiej. Czują się silniejsi niż kiedykolwiek. Są silniejsi niż kiedykolwiek. Ale posłuchaj uważnie tego, co ci powiem: nawet jeśli doszłoby do niemożliwego

i trybunał rozstrzygnąłby sprawę na twoją korzyść, stanąłbyś przeciwko Kotcie, własnemu wujowi, bratu twej matki, którego Dolabella zatrudnił jako obrońcę. Chcesz zmusić matkę, by wybierała między bratem a synem?

Przy tych słowach Juliusz Cezar uniósł nieco dłonie, jakby prosił przyjaciela, by zamilkł. Spuścił wzrok i zaczął przyglądać się popękanej mozaice na podłodze rodzinnego domostwa. Należeli do patrycjuszy, lecz w ostatnim czasie, od chwili upadku innego wuja, wielkiego Gajusza Mariusza, nie mieli tyle pieniędzy, ile powinni. Sulla skonfiskował ich liczne dobra za to, że rodzina Juliuszów stanęła po stronie popularów. Nie mieli środków nawet na to, żeby naprawić tę przeklętą mozaikę. Ale nie to martwiło młodego Cezara.

– W tym tkwi sedno – powiedział wreszcie.

W tej samej chwili do atrium powróciła Kornelia i w milczeniu, bezszelestnie stanęła obok męża na środku pomieszczenia. Córka znów pozostawała pod pieczę niewolnic. Julia była płaczliwa, niedawno chorowała, ale wyglądało na to, że jej zdrowie już się poprawiło. Kornelia wiedziała, że dziewczynka wyczuwa napięcie panujące w domu i tak właśnie na nie reaguje. Mówią, że dzieci przeczuwają nadchodzącą katastrofę. Czy to prawda? Jej myśli przerwał spokojny, pewny siebie głos małżonka.

– Czy z Julią wszystko w porządku?

– Wszystko dobrze. Nie ma już gorączki. Nie martw się o nią – odparła szybko i precyzyjnie Kornelia. Nie należało go teraz niepotrzebnie niepokoić. Rozgrywały się sprawy ważniejsze niż dziecięce humory.

– W czym tkwi sedno? – wrócił do przerwanej rozmowy Labienus. Wypowiedział tyle słów, żeby przekonać przyjaciela do niewłączania się w proces Dolabelli, że nie wiedział już, do czego odniósł się Cezar.

– Moja matka – wyjaśnił Juliusz i głośno, powoli, jakby w każdej sylabie podkreślał jej ogromny autorytet, wypowiedział imię rodzicielki: – Aurelia. Co uznałaby za właściwsze: żebym przyjął rolę oskarżyciela w sprawie, w której mój wuj Kotta jest obrońcą, i w konsekwencji, jak słusznie mówisz, doprowadził do

rozłamu w rodzinie, czy też przeciwnie: żebym jej nie przyjął, nie mieszał się w tę sprawę, chociaż krew aż się we mnie gotuje? Dolabella był jednym z podłych sojuszników Sulli. I jeśli tylko połowa z tego, co opowiadają ci ludzie – wskazał na Macedończyków – jest prawdą, popełnił okropne zbrodnie, przestępstwa jeszcze wstrętniejsze dlatego, że ich sprawcą jest senator, który powinien świecić przykładem; przestępstwa, za które koniec końców powinien drogo zapłacić. Dolabella jest z całą pewnością jednym z naszych wrogów. Mam pozwolić mu się wymknąć, teraz, kiedy mogę postawić go przed trybunałem po tym, jak wyrządził nam tyle krzywd, wspierając proskrypcje Sulli i czerpiąc z nich zyski?

– Nie masz szans przeciwko wujowi Kotcie i Hortensjuszowi: to niezwykle doświadczeni obrońcy, i nie masz szans przeciwko sędziom, z całą pewnością przekupionym, skorumpowanym – stwierdził rozsądnie Labienus.

Przekupywanie sędziów orzekających w procesach potężnych i bogatych senatorów było w Rzymie powszechne. Tym bardziej po reformach Sulli, który zarządził, by trybunały składały się wyłącznie z senatorów. Dolabella był wcześniej konsulem, dostał prawo do triumfu po pokonaniu Traków, w cieniu proskrypcji przeprowadzonych przez dyktatora Sullę zgromadził ogromną fortunę i wedle tego, co mówili przedstawiciele Macedończyków, powiększył ją dzięki kradzieży funduszy publicznych i pobieraniu od zamożnych mieszkańców prowincji podatków na wymyślone cele. A to pieniądze zawsze wygrywały procesy w Rzymie. Dolabella był zbyt bogatym senatorem, żeby inni *patres conscripti* odważyli się go skazać. Rozmiary zbrodni nie miały tutaj znaczenia, podobnie jak to, czy oprócz kradzieży popełnił również inne przestępstwa.

– Kornelio, na bogów, na wszystko, co najbardziej kochasz, pomóż mi zapobiec szaleństwu, które chce popełnić twój małżonek – wznowił prośby Labienus.

Zapadła cisza.

Tym razem nie pojawiło się żadne dziecko, nic, co uratowałoby Kornelię przed wypowiedzeniem się w tej sprawie. Labienus wiedział, że Cezar liczy się z jej zdaniem, chociaż była taka młoda.

Kornelia spuściła wzrok i skupiła go na bliźnie na lewej łydce Labienusa, ranie, która połączyła go z jej małżonkiem na zawsze i z powodu której winien był Cezarowi dozgonną wdzięczność. Nie chciała w niczym przeciwstawiać się przyjacielowi domu, ale zdanie męża było najważniejsze.

– Cokolwiek postanowi mój małżonek... – zaczęła – cokolwiek postanowi mój małżonek, będzie właściwe. A ja będę go w tym wspierać. Jak zawsze – spojrzała Cezarowi w oczy – tak jak on zawsze wspiera mnie.

Obaj mężczyźni wiedzieli, że mówi o niedawnej przeszłości, kiedy to miłość Cezara do żony w sposób okrutny i bezlitosny została wystawiona na próbę, a on dowiódł, z jakiej ulepiony jest gliny.

– Cokolwiek postanowisz – powtórzyła i zwróciła wzrok ku podłodze. Powiedziała już wszystko.

Cezar docenił, że Kornelia nie utrudnia mu sprawy. Tak bardzo ją kochał, że mogła wpłynąć na jego decyzję. Jej neutralność pozostawiała mu swobodę działania. Był pewien, że po tym, co wydarzyło się z Sullą, nie potrzebował od niej więcej dowodów miłości.

Słowa przyjaciela były jak najbardziej logiczne: przyjęcie oferty Macedończyków oznaczało samobójstwo, a ponadto spór w łonie rodziny. Cezar westchnął.

– Wezwijmy twoją matkę – powiedział nagle Labienus, dostrzegając, że przyjaciel zaczyna mieć wątpliwości.

– Nie! – odparł gwałtownie Cezar.

Labienus zamarł.

– Matka na pewno chciałaby, bym podjął tę decyzję samodzielnie – wyjaśnił Cezar. – Tak jak powiedziała przed chwilą Kornelia. Moja matka... zawsze powtarzała, żebym był niezależny. Mimo szacunku, jakim ją darzę, i mimo tego, że jej rady są tak cenne, już od jakiegoś czasu chce, żebym sam podejmował ważne decyzje, i tak będzie tym razem.

Labienus pokręcił głową. Chociaż dobrze znał zwyczaje i charakter wszystkich członków rodziny przyjaciela, przeczuwał, że szacowna Aurelia rzeczywiście tak by się wyraziła, gdyby ją teraz zawezwano. Tak jak powiedziała Kornelia, Cezar musi zdecydować sam. Tamta matrona ukształtowała swego syna na urodzonego przywódcę, męża, którego nic i nikt nie jest w stanie powstrzymać. Młoda małżonka zaakceptowała to jako coś oczywistego i nieodłącznego od postaci Cezara. Tyle że zdaniem Labienusa mogło to doprowadzić jedynie do katastrofy...

Juliusz Cezar zwrócił się do Macedończyków:

– Dlaczego ja?

Przedstawiciele wschodniej prowincji spojrzeli po sobie, a Aeropos, najstarszy z nich, zdecydował się przemówić.

– Wiemy, że gdy wielu podporządkowało się wybrykom okrutnego dyktatora Sulli, młody Juliusz Cezar się mu przeciwstawił. Sulli oraz Dolabelli, którego oskarżamy o kradzież pieniędzy naszych rodaków oraz o inne, bardziej odstręczające czyny... – Przełknął w tym momencie ślinę, żeby nie wracać do spraw, które bezpośrednio dotyczyły jego córki Myrtale. – Czyny... o których już mówiliśmy. Jak wspomniałem, Dolabella był przyjacielem groźnego Sulli. Powiedziano nam, że czasami działał jako jego prawa ręka, czy to na wojnie, czy to podczas represjonowania przeciwników w Rzymie. Jedynie ktoś, kto nie bał się Sulli w przeszłości, jest w stanie przeciwstawić się Dolabelli i jego pieniądзом, manipulacjom i okrucieństwu. Dlatego przyszliśmy tu błagać młodego Juliusza Cezara, by przyjął ofertę i został w naszym imieniu oskarżycielem. Wedle praw Rzymu tylko obywatel miasta może przeprowadzić sprawę przeciwko innemu obywatelowi. Nie sądzę, byśmy spotkali wielu gotowych podjąć ryzyko przeciwstawienia się komuś takiemu, jak były namiestnik i konsul Gnejusz Korneliusz Dolabella, i...

W tym momencie przerwał mu Labienus.

– Przyznaję, Gajuszu, że ten człowiek ma rację co do pewnych spraw, tyle że są one przerażające. Dolabella rzeczywiście jest okrutnikiem, jest niebezpieczny, ma

mnóstwo pieniędzy i nie zawaha się ich użyć, by kupić sobie przychylność trybunału lub opłacić najemników, którzy skończą z tobą, jeśli sprawy przybiorą dla niego zły obrót. Prawdą jest również, że sprzeciwiłeś się Sulli i prawie kosztowało cię to życie. Bogini Fortuna była wówczas przy tobie, ale nie sądzę, by ponowne wystawienie na próbę bogów i sprawdzanie, czy przeznaczyli ci ocalenie czy zatracenie, było posunięciem inteligentnym. Wiem, że wierzysz, iż Wenus i Mars cię chronią, ale błagam, nie poddawaj ich znów próbie.

Gajusz Juliusz Cezar zaczerpnął powietrza, przytakując raz za razem i przyglądając się na zmianę Labienusowi i wysłannikom z Macedonii.

Wstrzymał oddech.

Spuścił wzrok.

Wyciągnął ręce do góry.

Ponownie skinął głową, patrząc w podłogę.

Podniósł wzrok i wbił go w Macedończyków.

– Przyjmuję waszą ofertę. Będę oskarżał w tej sprawie.

Labienus pokręcił głową.

Kornelia zamknęła oczy i bezgłośnie poprosiła bogów, by chronili jej męża.

Macedończycy pochylili się, wyrażając uznanie, grzecznie się pożegnali, na stole w atrium rezydencji położyli ciężki wór monet jako pierwszą ratę zapłaty za usługi oskarżyciela i wyszli, pozostawiając dwóch przyjaciół i młodą żonę samych. Nie śpieszyło im się, raczej bali się, że Juliusz Cezar jeszcze raz przemyśli sobie to, co im powiedział, i się wycofa. Woleli jak najszybciej opuścić ten dom, z obietnicą rzymskiego obywatela, że będzie oskarżał w ich sprawie przeciwko wszechpotężnemu Dolabelli. Nadal byli przekonani, jak wszyscy w wielkim mieście nad Tybrem, że przegrają, ale przynajmniej spróbują zemsty. Jeśli to nie zadziała, mieli już inny plan: Dolabella za wszystko, co zrobił, poniesie śmierć. Nie wiedzieli tylko, kto umrze wraz z byłym konsulem – być może oni wszyscy, włącznie z młodym adwokatem, który właśnie przyjął ich ofertę. Było im to

obojętne. Macedończycy szli na śmierć i życie. W swojej naiwności nie doceniali niespotykanej potęgi wroga.

W atrium rezydencji rodziny Juliuszów w centrum dzielnicy Subura Labienus westchnął w absolutnym zniechęceniu.

Juliusz Cezar znów patrzył na podłogę. Decyzja została podjęta, ale nadal zastanawiał się, jak zareaguje jego matka. Tylko to go teraz martwiło. Myślał o wszystkim, co matka opowiedziała mu o wydarzeniach z czasów, gdy sam miał zaledwie kilka miesięcy. Czy historia powtórzy się i teraz to on stanie się ofiarą odwiecznej walki między optymatami a popularami? Czy skończy jak pozostali?

Poczuł delikatne ramiona żony obejmujące jego plecy.

Cezar zamknął oczy i pozwolił się przytulić.

Potrzebował tego.

Memoria prima

AURELIA

Matka Cezara

ROZDZIAŁ II

Senatus consultum ultimum

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

99 r. p.n.e., dwadzieścia dwa lata przed procesem Dolabelli

Nadeszła pora wyborów, a więc również czas pełen przemocy.

Zdawało się, że gdy tylko zbliżała się epoka wyboru mężów, którzy mieli sprawować najważniejsze funkcje w Republice: stanowiska konsulów, trybunów ludowych i pretorów, brutalność, śmierć i szaleństwo swobodnie rozprzestrzeniały się po mieście.

Aurelia trzymała na rękach Gajusza Juliusza Cezara, ledwie kilkumiesięcznego syna. Dziecko przez całe popołudnie było spokojne, ale teraz zaczęło płakać obudzone krzykami dochodzącymi z atrium. Aurelia była zła. Tak trudno uspić synka. Młoda matrona była przekonana, że to pobudliwe dziecko potrzebuje spokoju i harmonii, żeby zasnąć. Dlatego gdy tylko udawało jej się uspić Gajusza, wszelkie odgłosy, które go budziły, wywoływały jej gniew. Wiedziała, że w Rzymie trwają wybory i dochodzi do wymykających się spod kontroli potyczek między politycznymi przeciwnikami, ale w tej chwili jej jedynym celem był odpoczynek potomka.

– Weź go! – Przekazała synka w ręce mamki-niewolnicy. – Spróbuj go uspokoić, a ja wymuszę na tych dzikusach ciszę albo przynajmniej zaprzestanie tych szalonych wrzasków.

Ruszyła zdecydowanym krokiem przez korytarze rezydencji rodziny Juliuszów, która teraz, od czasu jej zamążpójścia przed kilku laty, była również jej rodziną. Niosła ją złość. Zamierzała wejść do atrium, wzywając bogów i nakazując mężowi

i jego przyjaciołom, żeby przestali krzyczeć. Nim jednak to uczyniła, dobiegł ją klarowny głos szwagra, Gajusza Mariusza.

Natychmiast się zatrzymała.

Mariusz był sześciokrotnie wybierany na konsula, pięć razy z rzędu, mimo że prawo nie faworyzowało tego rodzaju rozwiązania. Uwagę Aurelii zwrócił fakt, że po raz pierwszy, odkąd go znała, usłyszała w jego głosie... strach. Sześciokrotny konsul, zwycięzca dziesiątek potyczek i bitew z barbarzyńcami, którzy nękali Rzym, przemawiał z obawą... To znaczy, że musiało wydarzyć się coś poważnego.

Zastygła na końcu korytarza, tuż przy wejściu do atrium, i wyteżyła słuch.

– Saturninus i Glaucja oszaleli – mówił konsul.

Aurelia zacisnęła usta. Saturninus i Glaucja sprawowali obecnie urząd trybunów ludowych. Pokiwała głową. Trybuni poza kontrolą... To zawsze oznaczało śmiertelną walkę z Senatem, bunt, zamieszki i krew na ulicach Rzymu.

Odetchnęła głęboko i weszła do atrium.

Nie pozdrowiła gościa, choć tak należało. W ten sposób chciała jednak okazać gniew, mimo że ostatecznie nie zaczęła wzywać bogów ani nie podniosła głosu. Zależało jej przecież tylko na tym, żeby wszyscy mówili spokojniejszym tonem.

– Dlaczego twierdzisz, że Saturninus i Glaucja stracili rozum? – spytała od razu Mariusza, stając u boku małżonka i na chwilę chwytając go za rękę w formie pozdrowienia. – Wasze krzyki obudziły dziecko. Mam nadzieję, że skoro przerywacie sen mojego syna, chodzi o coś poważnego, a nie o jeden z waszych zwykłych politycznych sporów.

– To nie jest jeden z naszych politycznych sporów, Aurelio – odparł jej mąż, spoglądając na nią z lekką dezaprobatą, ponieważ nie pozdrowiła gościa z należnym mu szacunkiem.

– Gajusz Mariusz wie, że zawsze jest u nas mile widziany – rzuciła w odpowiedzi na spojrzenie męża – i jako świetny żołnierz, którym jest, z całą pewnością docenia, że bez zbędnych wstępów przeszłam do rzeczy, prawda,

najjaśniejszy mężu, rzymski konsulu? – zwróciła się do szwagra z lekkim uśmiechem.

Rzeczywiście Mariusz wolał, gdy w rozmowach unikano owijania w bawełnę. Był zwycięzcą w wojnach przeciwko królowi Jugurcie w Afryce oraz Cymbrom i Teutomom na północy. Lubił kobietę, którą poślubił jego szwagier. Aurelia była ładna, inteligentna i na pewno okazałaby się świetnym legatem legionów, jeśli tylko nie urodziłaby się kobietą.

– Nie ma potrzeby złościć się z powodu zachowania twojej małżonki, Gajuszu. Jesteśmy z całą pewnością wśród przyjaciół – powiedział uprzejmie konsul i zaraz wbił wzrok w Aurelię. – Potwierdzam, nie chodzi o zwykły spór: Saturninus i Glaucja opłacili najemników, żeby zabili Memiusza, drugiego z kandydatów na konsula z ramienia optymatów.

– Przemocą odpowiedzieli na przemoc – stwierdziła Aurelia, sadowiąc się na kline. Gestem zaprosiła małżonka i Mariusza, by poszli w jej ślady.

Widząc, że to uczynili, spojrzała w stronę niewolnika *atriense*, wskazując mu, iż pragnie podjąć gościa jedzeniem i winem. Aurelię zaciekała rozmowa. Liczyła też, że jeśli mężczyźni położą się, by jeść i pić, złagodnieją i będą debatować spokojniej, a jej syn Cezar wreszcie uśnie.

– Przemoc przeciwko przemocy, to nie ulega wątpliwości, ale Senat w tego rodzaju starciach zawsze ma przewagę – wyjaśnił Gajusz Mariusz.

– Więc to Saturninus i Glaucja mają zmartwienie, bo nastawali na życie Memiusza, czyż nie? – powiedziała Aurelia i zachęciła Mariusza, by sięgnął po jeden z pucharów z winem, które pośpiesznie wnosili niewolnicy.

Jeśli dobrze jej usługiwano, Aurelia była wielkoduszną *dominą*, ale gdy jakiś niewolnik nie wykonywał sprawnie swoich zadań, potrafiła wyrazić gniew za pomocą różg, których *atriense* używał z dużą brutalnością.

Mariusz pociągnął szczodry łyk wina i zaczerpnął głęboko powietrza. Miał wiele do opowiedzenia w krótkim czasie: tu, na miejscu, powinien podjąć decyzję na wagę życia i śmierci. Lubił pogawędki z Gajuszem Juliuszem Cezarem. Jego

szwagier był mężem dyskretnym, niespecjalnie ambitnym, co w Rzymie było raczej niecodzienne, za to uważnie słuchał i zawsze udzielał interesujących rad. Mariusz czuł się też swobodnie przy Aurelii. W czasach, w których nieustannie dochodziło do zdrad politycznych, dom, gdzie można spokojnie porozmawiać, zostać wysłuchanym i poczuć wsparcie, był niczym balsam dla jego duszy. Mariusz niezwykle to doceniał. Odstawił puchar. Dostrzegł pytającą minę Aurelii. Postanowił pokrótce opowiedzieć o tym, co się dzieje, żeby mogła włączyć się do rozmowy.

– Po powrocie z północy, gdzie pokonałem Cymbrów i Teutonów, w Senacie poczułem się przyparty do muru. Moje wiktorie, jak również poprzednie zwycięstwo w Afryce sprawiły, że zaczęto się mnie bać, a dominujący w Senacie optymaci chcieli mnie odizolować. Jak wiecie, sprzymierzyłem się wówczas z Saturninusem i Glaucją ze stronnictwa popularów, których również prześladował Senat. Zawarliśmy pakt, ustalając, że pomożemy sobie nawzajem zdobyć kluczowe stanowiska w Republice: wówczas Glaucja został pretorem, Saturninus – trybunem ludowym, a ja po raz szósty objąłem urząd konsula. Saturninus i Glaucja poparli mnie również we wprowadzeniu w życie prawa, które pozwalało weteranom z moich legionów otrzymać ziemię uprawną na północ od Padu oraz w Afryce. To wywołało niechęć w Senacie, ale również wśród sprzymierzeńców z innych miast Italii. Uważali oni, że ziemię na północ od Padu należą do nich, bo zajmowali je przed inwazją Cymbrów i Teutonów. Saturninusowi, Glaucji i mnie udało się uspokoić Italików, dając im dostęp do nowych kolonii w Sycylii i Macedonii, ale to z kolei wywołało niepokój obywateli rzymskich, którzy postrzegali to jako swój przywilej. Żeby uśmierzyć niepokój ludu rzymskiego, uzgodniliśmy między sobą – Glaucja, Saturninus i ja – sprzedaż obywatelom Rzymu zboża po obniżonych cenach, co z kolei, podobnie jak rozdanie ziem i dostęp do kolonii, wpawiło w nerwowość senatorów. Moi weterani, którzy z tak wielką odwagą i wysiłkiem bronili Rzymu przed atakami barbarzyńców, zostali nagrodzeni i usatysfakcjonowani, lud jest spokojny, a Italikowie, nasi sprzymierzeńcy, już się

nie burzą. Udało się osiągnąć stan niełatwej równowagi, w którym wszyscy coś zyskują.

– Wszyscy poza senatorami ze stronnictwa optymatów – zauważyła słusznie Aurelia.

Mariusz przytaknął i uśmiechnął się, widząc, jak sprawnie jego szwagierka odczytuje rzymską politykę.

– Wszyscy poza optymatami, zgadza się – potwierdził. – Oni widzą w tym jedynie masowe rozdawnictwo bogactw, czy to ziem, czy zboża, czy praw. Jako że mieliśmy za sobą lud i sprzymierzeńców, senatorowie nie byli pewni, czy nas zaatakować, jak to robili w przeszłości, na przykład wtedy, gdy Senat doprowadził do śmierci Grakchów zaraz po epoce Scypiona Afrykańskiego. Saturninus i Glaucja błędnie odczytali to wahanie Senatu, pomylili je ze słabością i podczas wyboru konsulów spiskowali, doprowadzając do zabójstwa Memiusza...

– Kandydata optymatów – przypomniała Aurelia.

– Kandydata optymatów – potwierdził Gajusz Mariusz i kontynuował opowieść: – Wobec takiej przemocy Senat postanowił działać. Nie tylko rozstawił po całym mieście bandy najemników, ale również wydał dekret *senatus consultum ultimum*.

Zapadła cisza. Gajusz Juliusz Cezar był bardzo poważny, nawet nie spróbował jedzenia. Z kolei Gajusz Mariusz wykorzystał chwilę milczenia, żeby skubnąć nieco sera. Nie był pewien, ile czasu minie, nim znów przyjdzie mu coś zjeść, a z doświadczenia wiedział, że z pustym żołądkiem lepiej nie stawiać czoła przeciwnikom.

– Czy również na mocy *senatus consultum ultimum* Senat wydał rozkaz egzekucji Gajusza Grakcha, jednego z pierwszych trybunów ludowych, którzy mu się przeciwstawili? – spytała Aurelia.

– Zgadza się – powiedział Gajusz Juliusz Cezar ojciec.

Mariusz nadal jadł, a Cezar ojciec, który wiedział więcej od żony, świetnie rozumiał, dlaczego nic nie mówi.

– Wobec tego – kontynuowała Aurelia – nowy dekret ma na celu... skończyć z Glaucją i Saturninusem?

– Zgadza się – powtórzył Cezar ojciec.

Mariusz wciąż jadł.

– Kiedy Senat wydaje *senatus consultum ultimum*, zwykle wyznacza kogoś, by wypełnił zawarte w nim rozkazy, prawda? – spytała ponownie Aurelia.

– Zgadza się – potwierdził jej mążzonek.

– I kogo wyznaczył Senat tym razem?

Cezar ojciec nie odezwał się, tylko spojrział na szwagra.

Gajusz Mariusz przestał przeżuwać. Połknął cały chleb i ser, które miał w ustach.

– Mnie, jako rzymskiego konsula – stwierdził.

– Chcą was podzielić – powiedziała Aurelia cichym, lecz wyraźnie słyszalnym w panującej w atrium ciszy głosem. – To byli twoi sojusznicy.

– Byli nimi – przyznał Mariusz. – Ale zabójstwa Memiusza podjęli się bez pytania mnie o zdanie.

– To prawda – powiedziała. Była przekonana, że tak poważną decyzję powinni byli podjąć wszyscy razem. – Nie pytali cię o zdanie w kwestii Memiusza, bo z wielkim prawdopodobieństwem nie zgodziłbyś się na to zabójstwo.

– Z całą pewnością – odparł Mariusz. – Nie tylko potępiam je z powodów moralnych, lecz również uważam je za poważny błąd: Saturninus i Glaucja uznali Senat za pokonany, tymczasem ja sędzę, że po prostu wyczekuje on odpowiedniej chwili, waży, w jaki sposób i kiedy uderzyć, żeby ponownie przejąć pełnię władzy. Chce wybrać na funkcje trybuna ludowego i pretora swoich zaufanych ludzi, którzy nie poprą rozdawnictwa ziem, bogactw i praw. W ten sposób wreszcie uda im się całkowicie mnie odizolować, zanim wymierzą ostateczny cios. W sensie metaforycznym albo rzeczywistym. Najemnicy Senatu wypełniają ulice Rzymu. Ja nadal mogę się swobodnie poruszać, bo eskortują mnie moi weterani, a także dlatego, że Senat nakazał, by mnie nie tykano, zanim nie opowiem się po jednej ze

stron. Wyczekuje mojej decyzji: czy nadal będę chronić Saturninusa i Glaucję, czy też przejdę na stronę optymatów, wypełniając rozkaz zawarty w *senatus consultum ultimum*. Przybyłem tutaj, gdyż moja decyzja będzie miała wpływ na losy całej mojej rodziny i na was także, ponieważ jestem mężem Julii. Jeśli zignoruję rozkaz Senatu, jego najemnicy zaatakują mnie i być może również moich krewnych i przyjaciół... a nie mam tylu ludzi, żeby ochronić was wszystkich.

Zapadła napięta cisza.

– To Sulla – odezwał się po chwili Mariusz, wpatrując się w podłogę, jakby mówił do siebie samego. – To on sprawnie manipuluje tym wszystkim. Nie sądziłem, że się na to odważy, ale teraz widzę to jasno: chce zostać przywódcą optymatów i w tym celu musi zasłużyć się w oczach Metellusa i jego popleczników, którzy ciągle poszukują senatorów z odpowiednią energią, gotowych ze mną walczyć.

– Ale przecież Sulla brał udział w wojnie u twego boku – wtrąciła Aurelia. – W Afryce jako kwesor, jeśli dobrze pamiętam, a potem także jako twój podkomendny przeciwko barbarzyńcom na północy, nie tak było?

Mariusz spojrzał na nią.

– Tak było. Dobrze pamiętasz. Był też dobrym żołnierzem, umiał radzić sobie z wrogami, ale potem chciał przypisać sobie wszystkie zasługi. Wzbudziło to obrzydzenie wielu moich zaufanych ludzi i mnie samego. Dlatego odmówiłem mu wsparcia, gdy chciał ubiegać się o stanowisko pretora, i zachęcałem do udziału w wyborach Glaucję. Od tamtej pory Sulla kopie pode mną dołki w Senacie jak tylko może. Mimo to nie sądziłem, że jest zdolny do nawoływania do uchwalenia *senatus consultum ultimum*. Jest bardzo ostrożny.

– Przemoc ze strony Saturninusa i Glaucji mogła obudzić jego najbrutalniejszą stronę – skwitowała Aurelia. – Tym dekretem odpowiada na zabójstwo optymata Memiusza.

– Bez wątplenia. – Mariusz ponownie spuścił wzrok i się zamyślił. – Ale jest coś jeszcze... – Milczał przez chwilę; jego gospodarze również się nie odzywali,

podczas gdy porządkował swoje myśli. – Na Jowisza! – zakrzyknął wreszcie. – To młody Dolabella. Teraz widzę wyraźnie.

– Dolabella? – spytali jednocześnie Aurelia i jej małżonek. Nie znali tego imienia.

– Oczywiście, że nie wiecie, kto zacz – stwierdził Mariusz. – Gnejusz Korneliusz Dolabella nie może przypisać sobie żadnych zasług. Jego ojciec owszem, ale on sam jeszcze nie. Jego *cursus honorum*, przebieg służby Republice nie błyszczy: niczym się nie wyróżnił i nie zajmował żadnego ważnego stanowiska, ale w Senacie czuje się jak ryba w wodzie i często widać go u boku Sulli, szepcze z nim i zachęca go do ostrych przemów. Dolabella łechce ego Sulli, popycha go do czynów, których tamten nie podjąłby się sam, ale które zapewnią mu przywództwo w stronnictwie optymatów. W ostatnich latach grupę konserwatystów zdominowali Metellusowie, ale wydają się zmęczeni i wielu widzi, że nie są w stanie stawić mi czoła. Sulla doprowadził do wydania *senatus consultum ultimum* przeciwko Saturninusowi i Glaucji, żeby postawić mnie w tej niewygodnej sytuacji, w której jestem obecnie. W ten sposób mści się na mnie. Wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał stanąć do tej walki, ale nie sądziłem, że ta chwila nadejdzie tak szybko.

Ponownie zamilkł.

Gajusz Juliusz Cezar ojciec również nic nie mówił. Nie wiedział, co mu doradzić.

– A więc... podjąłeś już decyzję? – spytała Aurelia, ale natychmiast się poprawiła i zmieniła pytanie w stwierdzenie. – Podjąłeś już decyzję, dlatego tutaj przybyłeś. Żeby nas ostrzec.

– Zgadza się – potwierdził Mariusz, kiwając kilkakrotnie głową. – Aresztuję Saturninusa i Glaucję, nie ma wyjścia, zmusza mnie do tego *senatus consultum ultimum* i powaga ich zbrodni, doprowadzili do zabójstwa kandydata na konsula. Ale ich nie stracę. Umieszczę obu pod strażą moich weteranów i będę negocjował, żeby postawiono ich przed sądem. Nie wiem jeszcze, co z tego wyniknie.

Nadchodzą burzliwe czasy, powinniście się mieć na baczności. Dopóki będę mógł, zostawię ludzi przed waszym domem.

Wstał.

– Dziękuję, Mariuszu – powiedział Gajusz Juliusz Cezar ojciec – za to, że o nas pomyślałeś.

– Bądźcie ostrożni – odparł konsul, zmierzając w stronę drzwi wyjściowych, odprowadzany przez oboje gospodarzy. – Stawię czoło Sulli. Częściowo dlatego, że to pod moim dowództwem zyskał sobie taką sławę. Teraz muszę powstrzymać jego wygórowane ambicje, ale ten Dolabella, który go podżega, zachęca... jest młody, z innego pokolenia. Zastanawiam się, kto przeciwstawi się jemu, gdy Sulli i mnie nie będzie już wśród żywych.

W tej chwili rozległ się płacz.

– Twój bratanek – powiedziała Aurelia. – Gajusz Juliusz Cezar. Zajmę się nim.

Mariusz tylko się uśmiechnął. W tamtej chwili nikt nie zdawał sobie sprawy z tego zbiegu okoliczności.

ROZDZIAŁ III

Trybun ludowy

Wzgórze Kapitołińskie, Rzym

99 r. p.n.e., tej samej nocy

– Zdrajca! – zawył Lucjusz Apulejusz Saturninus, otoczony przez weteranów wojen w Afryce, których konsul przyprowadził, żeby wykonać *senatus consultum ultimum*.

Mariusz mógł wysłać grupę *triumviri nocturni*, nocnej straży miejskiej, która była mu winna posłuszeństwo jako konsulowi wykonującemu rozkazy Senatu, lecz w tamtym czasie zmieniającej się lojalności ufał jedynie swoim weteranom. Poza tym byli oni lepiej przygotowani do brutalności tej rzymskiej nocy.

W ten sposób doświadczeni żołnierze Mariusza, zahartowani w dziesiątkach bitew przeciwko Numidyjczykom, Cymbrom, Teutonom oraz innym wojowniczym i gwałtownym ludom, szybko przełamali opór wiernych Saturninusowi ludzi, których ten wystawił na ulicach prowadzących do świątyni Jowisza, gdzie się schronił. Najemnicy Saturninusa świetnie nadawali się do zabicia bezbronnego człowieka w ciemnym zaułku, jak zrobili to z senatorem Memiuszem, ale niewiele byli warci w starciu z byłymi legionistami przyzwyczajonymi do okrucieństwa bitew wojennych.

– Nie jestem zdrajcą, tylko tym, który umie przetrwać, Lucjuszu, tym właśnie jestem, na Kastora i Polluksa, nie oszalałem, jak ty i Glaucja – odparł Gajusz Mariusz, chwytając Saturninusa za ramię i pod eskortą wyprowadzając go ze świątyni.

– Pomogłem ci pozyskać te ziemie, które chciałeś rozdać swoim weteranom, tym samym, którzy teraz ci towarzyszą niczym łowcze psy... W ten sposób mi się

odpłacasz?

– A ja pomogłem tobie i Glaucji w wyborach na trybuna i pretora – odparował Mariusz i ruszył przed siebie. – Wszyscy coś zyskaliśmy na naszym sojuszu, ale zabójstwo senatora, kandydata optymatów na konsula, nie może ująć płazem. Można wywłaszczyć senatorów z części ich ziem, poszerzyć prawa Italików i doprowadzić do pokrycia z publicznej kiesy kosztów zboża dla obywateli, ale rozpoczęcie krwawej walki przeciwko senatorom ani nie jest inteligentne, ani nie stanowiło części planu.

– Jesteś jednym z nich – rzucił mu pogardliwie Saturninus.

Gajusz Mariusz był przyzwyczajony do tego, że obie strony go wyzywały. Poruszał się zwinnie między interesami popularów a dążeniami optymatów, więc i jedni, i drudzy ostatecznie jego oskarżali o wszelkie problemy Rzymu. Milion razy wolałby znaleźć się na polu bitwy, na pustyniach Afryki czy w lasach północy, niż być częścią okrutnych walk w samym Rzymie, brutalnych starć charakteryzujących się nieograniczoną niczym przemocą, w których nigdy do końca nie czuł się swobodnie, gdyż nadal był bardziej żołnierzem niż politykiem.

Schodzili ze Wzgórza Kapitońskiego w stronę forum, zostawiwszy za sobą trupy ludzi trybuna zmasakrowanych przez weteranów Mariusza. Obaj – aresztowany Saturninus i Mariusz, który go pojmał – czuli na sobie spojrzenia dziesiątków najemników. Ci znajdowali się na żołdzie senatorów. Obserwowali ich z najciemniejszych zakątków nocnego Rzymu: nieoświetlonego prawie żadną pochodnią. Stanowili większe zagrożenie niż najbardziej nieprzyjazne legionom germańskie lasy.

– Nie rozumiesz – przemówił po cichu Mariusz, nie zatrzymując się. – Albo aresztuję cię ja, albo wyślą kogoś mniej skłonnego ci pomóc. Ze mną masz szansę na sprawiedliwy proces. Beze mnie już padłbyś z rąk tych nędzników, którzy łąpią na nas ze wszystkich stron.

– Sprawiedliwy proces? W Rzymie? – odparł Saturninus na poły cynicznie, na poły z przerażeniem.

– No dobrze, na Herkulesa – zgodził się Mariusz. – Coś takiego nie istnieje, ale dopóki będzie trwało jego organizowanie, zyskamy cenny czas i będziemy mogli negocjować.

Saturninus pokręcił głową.

– Jeśli nawet założymy, że chcesz mi pomóc, to wiedz, że Senat nigdy nie negocjuje. Jesteś jedynym, który tego nie rozumie, bo nigdy nie poruszałeś się sprawnie w polityce. Senat może ponieść porażkę, jak ta, którą mu zadaliśmy prawem agrarnym, stworzeniem kolonii dla Italików czy rozdawaniem taniego zboża. Albo atakuje. Nie istnieje nic pomiędzy. Teraz właśnie atakuje. Pomyliłem się, sądząc, że senatorowie są słabsi. Okazało się to błędem, ale najjaśniejszy mężu, optymaci z Senatu nigdy nie negocjowali i nigdy tego nie uczynią. Albo zostaną zniszczeni, albo zniszczą swoich przeciwników, jak to się dzieje od czasów Grakchów. Myślisz, że ocalejesz, bo wypełniłeś rozkaz i mnie aresztowałeś? Najpierw skończą ze mną, potem z Glaucją, a na koniec na pewno przyjdą po ciebie. Ich celem jest, żeby w Senacie zasiadali sami optymaci. Nie chcą senatorów negocjujących z ludem czy z Italikami. Nie chcą w kurii popularów. Pragną wszystkiego tylko dla siebie: niewolników, ziemi, władzy.

Ta diatryba Saturninusa, trzeźwiejsza, niż Mariusz spodziewał się po kimś tak zaszczutym, sprawiła, że konsul zamilkł. Przez kilka pełnych napięcia minut szli w milczeniu. Obu te chwile wydawały się nie mieć końca, przerażała ich możliwość, że wpadną w zasadzkę.

Mariusz znał waleczność swoich ludzi, ale wiedział także, że zbrojni, których opłacali optymaci, byli znacznie brutalniejsi niż najemnicy Saturninusa. Wśród senackich ludzi znajdowali się byli gladiatorzy oraz weterani wojenni, bardziej lojalni i lepiej opłacani dzięki środkom takich senatorów, jak Metellus, a może nawet sam Sulla, Dolabella czy inni.

– Dokąd mnie zabierasz? – spytał Saturninus. – Prosto na Skałę Tarpejską? Czy wolisz zamknąć mnie w Tullianum, abym w tym podłym więzieniu zgnił i umarł z głodu? Jestem twoim nowym Jugurta?

Nawiązywał do afrykańskiego króla pokonanego przez Mariusza, którego podczas triumfu poprowadzono ulicami Rzymu, a potem zamknięto w więzieniu przy forum. Okazywał w ten sposób, że nie ufa do końca konsulowi i jego obietnicom.

– Idziemy do budynku Curia Hostilia, nie do Tullianum.

– Do domu senackiego... Zrećnie, przyznaję – uznał Saturninus i uśmiechnął się na poły dramatycznie, na poły ze smutkiem; może rzeczywiście Mariusz chce mu pomóc. – Wątpię jednak, że to ich powstrzyma. Są zdolni podpalić budynek i w ten sposób pozbyć się najbardziej wrogiego im trybuna ludowego od czasu Gajusza Grakcha.

– Nie, nie sędzę, żeby pozwolili najemnikom podpalić budynek Senatu – zaperzył się Mariusz. – Mamy do czynienia z ważnymi dla nich symbolami. Podpalenie własnej siedziby to byłby zły znak, w dodatku wyglądałoby to na czyn desperacki. Sprawiliby wrażenie słabych, pełnych obaw, niewahających się przed niczym w imię obrony własnej. Myślę, że spaliliby cię w każdym innym miejscu, nawet w świątyni któregoś z bogów. Jedynie wobec świątyni Westy lub budynku Senatu zadrżałaby im ręka. Wtargnięcie do tej pierwszej byłoby świętokradztwem, dlatego Curia Hostilia jest tej nocy dla ciebie jedynym bezpiecznym miejscem.

Stanęli przed mocnymi drzwiami z brązu. Panowały ciemności, ale pochodnie weteranów konsula oświetlały teren na tyle, że dało się dostrzec wielki obraz stanowiący część dekoracji Comitium naprzeciwko budynku Curia Hostilia. Mariusz przez chwilę mu się przyglądał. Był to ogromny mural przedstawiający sceny zwycięstw legendarnego Waleriusza Maximusa Messali nad Kartagińczykami oraz Hierona II na Sycylii podczas pierwszej wojny punickiej. Gigantyczny dowód tego, że władza Rzymu rozciąga się na cały świat, na inne ludy i terytoria, choć tymczasem w jego centrum wszystko pęka. Rzym był niczym ogromny owoc, błyszczący z wierzchu, lecz zgniły w środku.

Konsul westchnął i pokręcił głową.

– Otworzyć wrota! – nakazał i natychmiast go usłuchano. – Nie wychodź stąd, na Herkulesa – powiedział do Saturninusa przy pożegnaniu. – Moi ludzie cię ochronią. Uda mi się postawić ciebie i Glaucję przed sądem, a nawet nakłonić sędziów, by darowali wam życie i anulowali *senatus consultum ultimum*.

– Nie mamy niczego, co moglibyśmy zaproponować im w zamian – zauważył pograżony w rezygnacji trybun. – Albo walka, albo śmierć, a jeśli ty...

– Mamy Metellusa – przerwał mu Mariusz.

– Nigdy, o przeklęty! – zakrzyknął w gniewie Saturninus, z jego ust płynęła czysta nienawiść. – Nigdy, na Jowisza!

– Zamknąć wrota! – To była jedyna odpowiedź Mariusza. Weterani popchnęli ciężkie drzwi z brązu.

Saturninus nadal wzywał bogów i przeklinał Mariusza. Zamknięcie go w budynku Senatu przekształciło to miejsce w zaimprovizowane więzienie w centrum Rzymu. Gdy trybun ludowy pozostał sam w pomieszczeniu oświetlonym ledwie dwiema pochodniami, które zapalili ludzie konsula, poczuł ironiczność swojej sytuacji. Miejsce, w którym przegłosowano jego wyrok śmierci, okazało się jego jedynym bezpiecznym schronieniem.

ROZDZIAŁ IV

Niemożliwe negocjacje

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

99 r. p.n.e., tej samej nocy

Gajusz Mariusz powrócił, a jego oblicze było jeszcze bardziej zasępione.

Juliusz Cezar ojciec i jego małżonka Aurelia ponownie przywitani go w atrium. Towarzyszył im Aureliusz Kotta, brat Aurelii, który przybył do ich domu w tym pełnym przemocy dniu, w którym najlepiej było pozostawać w gronie rodzinnym.

– Co się wydarzyło? – spytał Cezar ojciec, zapraszając gościa, by położył się na kline.

Mariusz odmówił, kręcąc głową.

– Nie ma już czasu ani na puchar wina, ani na odpoczynek. Nie tej nocy. Przyszedłem tylko po to, żeby wam powiedzieć, jak się sprawy mają, i ostrzec, abyście zabezpieczyli wszystkie drzwi i okna. Niech nikt tej nocy nie opuszcza domu. Poleje się krew. Spróbuję zapobiec wzajemnemu szlachtowaniu, ale nie wiem, czy mi się uda.

– Nie uda się – rzucił Kotta nieco wyniośle tonem, którego używają ludzie sądzący, że skoro tyle razy już przewidzieli konsekwencje wydarzeń, w momencie katastrofy mają prawo z upodobaniem i godnością powtarzać: „A nie mówiłem”.

Gajusz Mariusz zignorował sposób, w jaki Kotta skomentował jego słowa, i postanowił przełamać jego niechęć przedstawieniem dobrze przemyślanego planu działania.

– Zamknąłem Saturninusa w budynku Curia Hostilia, pilnują go moi weterani. Na ich czele postawiłem Sertoriusza, wiernego i walecznego męża. Glaucji jeszcze nie znalazłem, moi ludzie go szukają; ten wielki głupiec uważa, że w ukryciu

będzie bezpieczniejszy niż pod moją pieczę. Zażądam procesu dla nich obu za to, że z całym prawdopodobieństwem nakazali zamordować Memiusza. To nie wszystko. Będę negocjował, aż zamienią im karę śmierci na wygnanie. Proces ma na celu tylko zyskanie na czasie.

Aurelia dostrzegła, że jej brat ponownie chce bez ceregieli wejść Mariuszowi w słowo. Nie wydało jej się właściwe używanie takiego tonu wobec sześciokrotnego konsula, który bronił granic Rzymu przed Jugurtą, przed Cymbami oraz Teutonami, człowieka, któremu udało się ustanowić regularny żołd dla żołnierzy oraz rozdać zboże obywatelom. Taki mąż zasługiwał przynajmniej na szacunek, nawet jeśli, żeby osiągnąć tamte cele, sprzymierzył się z wątpliwymi moralnie postaciami, takimi jak Saturninus czy Glaucja. Optymaci wcale nie byli zresztą lepsi. Wydawali się pozbawieni wszelkich skrupułów.

Aurelia postanowiła więc interweniować i pierwsza postawić pytanie, które chciał zadać jej brat. Liczyła, że jeśli padnie ono z jej ust, w dodatku wyrażone bardziej umiarkowanym tonem, nie urazi Gajusza Mariusza, który w końcu był jej szwagrem i w swej uprzejmości zdobył się na to, żeby podzielić się z nimi nowinami o skomplikowanych ruchach w łonie rzymskiej polityki, do jakich doszło tej mrocznej nocy.

– Co możesz im zaoferować, żeby zgodzili się negocjować? Pytam o optymatów – uściśliła łagodnie, wręczając konsulowi napełniony własnoręcznie puchar z winem.

Mimo że wcześniej Mariusz powiedział, że nie ma czasu się z nimi napić, przyjął puchar i pociągnął łyk wina.

– Dziękuję. – Oddał jej naczynie.

Odstawiła je na tacę na stole, którą niewolnik szybko zabrał, usunąwszy się zaraz poza krąg światła rzucanego przez pochodnie.

– Zaoferuję optymatom powrót ich przywódcy, Kwintusa Cecyliusza Metellusa Numidyjczyka. Udam się teraz na pertraktacje z jego synem. Powrót z wygnania, do którego został zmuszony jego ojciec, może go przekonać.

Cezar ojciec przytaknął. Kotta milczał.

Gajusz Mariusz pożegnał się z nimi i po chwili kroczył ciemnymi ulicami Rzymu, na których wyczuwało się napięcie. Eskortował go regiment weteranów.

– Niczego nie uda mu się osiągnąć – orzekł kategorycznie Kotta w atrium rezydencji Juliuszów.

– Możliwe – zgodziła się jego siostra. – Ale byłabym wdzięczna, gdybyś w domu mojego małżonka, w domu należącym do *gens* Julia, zachowywał się jak osoba, którą jesteś, mianowicie jak gość, i tym samym powstrzymał się przed wprawianiem w zakłopotanie innych gości. Szanuję cię i Kocham, bracie mój. Wiem, że często przemawiasz mądrze, rozumiem także, że Mariusz, najlepszy na polu bitwy, niekoniecznie jest taki w polityce, ale przynajmniej się stara. Stara się. To samo w sobie jest godne uznania.

Aureliusz Kotta nie odpowiedział, a potem zwrócił się do szwagra.

– Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe, Gajuszu Juliuszu Cezarze. Moja siostra ma rację, czasami przemawiam z nadmierną gwałtownością.

– Nie mam ci niczego za złe, ale, na Herkulesa, zgadzam się z Aurelią, że jesteśmy winni Mariuszowi szacunek. Zawsze pozostawał z nami w zażyłych stosunkach.

– Tego się właśnie obawiam – dorzucił Kotta. – Jego przyjaźń może się teraz okazać dla was niedogodna. Przewiduję, że Senat odzyska to wszystko, co stracił w ostatnich latach, w których dominowali Mariusz, Saturninus, Glaucja i inni popularzy. Najbardziej konserwatywni optymaci pójdą teraz na całość. Od jakiegoś czasu wyczekują tylko okazji; stało się nią zabójstwo Memiusza. Teraz nic ich nie powstrzyma. Ani nikt. Nawet Mariusz, nieważne, ile razy sprawował urząd konsula.

Ponownie zapadła cisza.

Niewygodna.

Napięta.

– Powiniennem wrócić do domu – powiedział wreszcie Kotta, bo nie czuł się mile widziany, choć przecież powiedział jedynie prawdę, nawet jeśli trudną.

– Nie ma mowy, bracie – zaskoczyła go Aurelia. – Tu również jest twój dom. Prosiłam cię jedynie, abyś okazał uprzejmość innym gościom oraz, nawet jeśli prawie w niczym nie zgadzasz się z Mariuszem, przyznał przynajmniej, że ma rację, mówiąc, iż tej nocy miasto jest niebezpieczne.

Kotta skinął głową.

– W takim razie błagam cię, byś został z nami do świtu – dodała Aurelia, patrząc na małżonka.

Juliusz Cezar ojciec potwierdził zaproszenie.

– W tej chwili to najbardziej bezpieczne.

– Nakażę podać kolację: zjemy we trójkę – powiedziała Aurelia. – W czasach, gdy Rzym staje przeciwko samemu sobie, musimy trzymać się razem. Nie daję przyzwolenia na spory w łonie rodziny.

W atrium innego domus w dzielnicy Subura, Rzym

– Nie, przekłęci, nie!!

Pretor Glaucja, sojusznik Saturninusa i Mariusza w walce o prawo agrarne, krzyczał, gdy najemnicy Senatu wyciągali go na ulicę. Jak tylko otrzymał wieści, że przegłosowano *senatus consultum ultimum* przeciwko niemu i Saturninusowi, schronił się w domu przyjaciela. W pierwszym odruchu chciał opuścić miasto, ale ulice patrolowały już setki ludzi opłaconych przez najbardziej konserwatywnych optymatów – Metellusów, młodego groźnego Sullę i jednego z jego najbardziej krwawych pochlebców, Dolabelle. Było już za późno na ucieczkę.

Tak więc okopał się w domu przyjaciela, sądząc, że tego miejsca nie pilnują.

Mylił się.

Przyjaciel otworzył przed nim drzwi, a potem opuścił dom wraz z rodziną. Następnie zdradził Glaucję: powiedział najemnikom, gdzie go znajdą. Próbował w ten sposób odsunąć od siebie i bliskich zemstę senatorów.

Gruba belka sosnowa blokowała drzwi z solidnego drzewa, ale na niewiele się to zdało wobec taranów, których użyli najemnicy. Drzwi zatrzeszczały i ustąpiły pod przemożnym naporem zabójców.

– Neeee, przekłęci! – wrzeszczał otoczony Glaucja.

Uzbrojeni w sztylety, teraz nakierowane na ofiarę, napastnicy spojrzeli w stronę tego, który im przewodził.

Do atrium wszedł Lucjusz Korneliusz Sulla.

Od razu zidentyfikował swoją ofiarę. Metellusowie podzielili zadania: Sulla miał zająć się pretorem Glaucją, a Dolabella Saturninusem, trybunem ludowym.

Sulla chętnie spełniał zadania wyznaczone mu przez optymatów. Jeśli chciał zyskać sobie ich szacunek, musiał zrobić na nich wrażenie zabójczą skutecznością. Nie tylko na polu bitwy przeciwko barbarzyńcom, gdzie już pokazał swoje zdolności, lecz również w Rzymie.

– Zabić go – rozkazał cicho, prawie szeptem, Sulla.

Nawet najbardziej mordercze komendy wypowiedziane dyskretnym tonem brzmią jeszcze bardziej ostatecznie, sprawiając wrażenie surowszych, jakby nie zostały wydane w gniewie i nienawiści, lecz stanowiły owoc rozważań i przemyśleń, a teraz tylko pozostawało je wykonać.

– Neeee, błagam! Neeee... na wszystkich bogów! – wrzeszczał Glaucja, gdy wbijano w niego sztylet za sztyletem.

Dziesiątki sztyletów.

Starannie.

Cierpliwie.

Powtarzalne pchnięcia dobrze opłaconych zabójców.

Domus Metellusa syna

Kwintus Cecyliusz Metellus syn przyjmował tej mrocznej i krwawej nocy konsula rzymskiego.

– Czego sobie życzysz? Dlaczego nam się naprzy-przy-przykrzasz, wrogu rodziny Metellusów? – rzucił mu z pogardą.

Jego jąkanie nie wynikało z nerwów, lecz było niemożliwym do przezwyciężenia defektem z czasów dzieciństwa. Ta słabość nie pozwalała na wygłaszanie publicznych mów i znacznie ograniczała jego karierę. Ale jako syn Metellusa Numidyjczyka, wielkiego przywódcy optymatów znajdującego się obecnie na wygnaniu, był ważną postacią wśród konserwatystów, niezależnie od problemów z mową.

Znajdowali się w atrium pełnym uzbrojonych mężczyzn: taki był klimat tej nocy.

Gajusz Mariusz wszedł w otoczeniu sześciu weteranów. Fakt, że pozwolili mu na uzbrojoną eskortę, oznaczał, że Metellus syn ma do dyspozycji wystarczająco dużo ludzi, żeby ta grupa nie stanowiła żadnego zagrożenia. Mariusz to odnotował. Ale przecież nie przyszedł tutaj walczyć, tylko negocjować. Aureliusz Kotta powtarzał, że to było możliwe. Czyżby miał rację? Wkrótce się przekona.

– Odłóżmy na bok dawne różnice, Metellusie.

Gajusz Mariusz nawiązywał do rywalizacji z ojcem swojego rozmówcy o dowództwo na wojnie w Afryce. Mariusz wyszedł z niej zwycięsko, co nie spodobało się Metellusom uważającym tamte walki za coś osobistego, za dziedzictwo rodziny, którego nie można nikomu przekazać. Mariusz nie tylko przejął dowództwo nad wojskami rzymskimi w Afryce, lecz również odniósł ostateczne zwycięstwo i przywiózł do miasta samego króla Jugurtę, a potem poprowadził go ulicami podczas swojego triumfu – ta demonstracja na zawsze stała się Metellusom kością w gardle. Zwycięstwo, skuty łańcuchami król, cały tamten triumf – to wszystko powinno należeć do Kwintusa Cecyliusza Metellusa Numidyjczyka.

– Gdyby-by-bym miał na uwa-dze-dze nasze sp-p-pory z p-p-przeszłości, k-k-konsulu, w ogóle nie p-p-pozwoliłbym ci tu wejść – odparł Metellus syn z chłodnym spokojem, nieco dziwnym, czyżby wyrachowanym?

Mariusz rozejrzał się. Dziesiątki uzbrojonych mężczyzn stały w świetle pochodni, kolejni w cieniu, poza zasięgiem drgających płomieni.

– Wiem, że Saturninus i Glaucja posunęli się za daleko, ale powstrzymajmy się, nim cały Rzym spłynie krwią...

– Czasami k-k-krew oczyszcza – przerwał mu Metellus i dodał greckie zdanie, którego Mariusz nie zrozumiał: – “Ὀλως εἰ τό τῶν ἡμέτερων ἐχθρῶν αἷμα ἐστίν*.”

Wielu z obecnych znało grekę i roześmiało się z żartu właściciela ogromnego *domus*.

Mariusz był przyzwyczajony, że szydzono z jego słabej znajomości tego języka. Metellusowie uważali go za niewykształconego durnia, prostaka, który po prostu miał szczęście na wojnie. Konsul wiedział, że absurdalne było powtarzane przez nich na forum twierdzenie, jakoby jego wiktorie stanowiły tylko kwestię szczęścia, a nie umiejętności: było ich zbyt wiele – przeciwko Afrykanom, Cymbrom, Teutonom. Zarówno lud, jak i sami senatorowie będący jego wrogami nie mogli naprawdę myśleć, że wszystko zawdzięcza bogini Fortunie. Mimo to nie czuł się dobrze, gdy wyśmiewano jego nieznaną greki. Ten kulturalny brak od zawsze czynił z niego obiekt żartów i niewybrednych słów, którym nie potrafił się przeciwstawić. Znał się na dowodzeniu legionami na polu bitwy. Dlatego postanowił zignorować obraźliwy komentarz i przeszedł od razu do głównego punktu negocjacji, które chciał rozpocząć z obecnym przywódcą optymatów.

– Powrót twojego ojca z wygnania w zamian za pakt, w którym zachowa się życie trybuna Saturninusa i pretora Glaucji – zaproponował.

Śmiech zamarł.

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na Metellusa syna.

Kwintus Cecyliusz Metellus ojciec, znany jako Numidyjczyk, wyjechał z Rzymu przed głosowaniem w Senacie nad prawami zaproponowanymi przez Saturninusa. Trybun, pretor Glaucja i inni przywódcy popularów wykorzystali ten

fakt i zarekwirowali jego liczne dobra, oficjalnie wykreślili go z listy senatorów i chcieli nawet pozbawić obywatelstwa Rzymu.

– P-p-powrót mojego ojca... – powtórzył w zamyśleniu Metellus syn. – Oraz od-d-danie mienia, p-p-przywrócenie go w kurii i zwrot oby-by-bywatelstwa oraz wszystkich p-p-praw?

– Oraz wszystkich praw – potwierdził bez wahania Mariusz.

Wśród zgromadzonych mężczyzn, widocznych w świetle pochodni oraz kryjących się w obszernych, pozbawionych oświetlenia zakamarkach, znów zapadła nerwowa cisza. Cisza w pustym pomieszczeniu ma charakter pokojowy, ale w obecności licznych uzbrojonych i napiętych ludzi staje się gęsta, niepokojąca, ciężka.

Metellus wybuchł śmiechem, który po kilku sekundach przerwał.

– Nie możesz nicze-cze-czego negocjować, k-k-konsulu. Zatwierdzono *senatus c-c-consultum ultimum* i ty masz tylko go wypełnić. P-p-poza tym...

Nie skończył zdania.

– Poza tym? – spytał Mariusz zdziwiony niewielkim zainteresowaniem, jakie okazał jego propozycji Metellus syn. Liczył, że powrót ojca, oddanie dóbr i obywatelstwa, przywrócenie do Senatu ze wszystkimi prawami skłoni go do paktowania, niemniej jednak...

– Poza tym jest już za p-p-późno... Na wszystko. Glaucja i Saturninus zostaną straceni – albo ty-ty-ty to zrobisz, jeśli zechcesz zachować swoją p-p-pozycję, albo zrobią to nasi ludzie. P-p-potem przejmemy k-k-kontrolę nad Rzymem, my, opty-ty-tymaci, i Senat p-p-przywróci mojemu ojcu oby-by-bywatelstwo, dobra i miejsce w k-k-kurii. Nie jesteś mi do nicze-cze-czego p-p-potrzebny. Właściwie... – wyciągnął szyję, żeby popatrzeć z góry na Mariusza – jeśli się nie mylę, Glaucja p-p-powinien już być martwy. Lucjuszu?

Gajusz Mariusz odwrócił się i jego wzrok padł na niedawno przybyłego Lucjusza Korneliusza Sullę w tunice poplamionej krwią. Sulla pomógł Mariuszowi w czasach wojen afrykańskich schwytać samego króla Jugurtę, ale

teraz skupiał się jedynie na zdobywaniu uznania Metellusów i optymatów. A więc tej nocy, jeśli nie wcześniej, zdecydowanie opowiedział się po stronie konserwatywnej.

– Tak właśnie jest – potwierdził Sulla, rzucając Mariuszowi wyzywające spojrzenie. – Glaucja przeszedł do historii. – Udawał, że chce strzepnąć krew z tuniki.

– Wiedziałem, że jesteś w to wplątany – rzucił mu z pogardą Mariusz. – Ale nie sądziłem, że sam dokonasz egzekucji.

– O nie, na Jowisza – zaprotestował rozbawiony Sulla. – Nie zbrukałbym sztyletu krwią kogoś tak nisko urodzonego jak Glaucja. Ale pretor nie przestawał się miotać, gdy moi ludzie go dźgali, więc krew tryskała na wszystkie strony. Szkoda z powodu plam, ale był to dobry spektakl.

Mariusz chciał mu odpowiedzieć, ale wtrącił się Metellus,

– A Saturninus? Na Herku-ku-kulesa, on jest najgorszy. Co o nim wie-wie-wiemy?

– Dolabella się tym zajmuje – odparł Sulla.

Mariusz nie znał Dolabelli, ale słyszał o jego ambicjach. Nie uznawał go za zdolnego do żadnych istotnych działań – dobrych czy złych – ani na wojnie, ani w czasach pokoju. W jego oczach jedynie zachęcał Sullę do opuszczenia szeregów samego Mariusza. Z tego względu konsul pozwolił sobie na drobny żart. Potrzebował tego. Wyśmiali go, zadrwili z jego słabej znajomości greki, z jego niezdolności do prowadzenia negocjacji, wzięli za kogoś niegodnego ich uznania, a przynajmniej szacunku lub strachu. Dlatego chciał odplacić im pięknym za nadobne.

– Ha, ha, ha, ha! Na Jowisza Najwyższego, teraz ja się z was śmieję i czynię to z radością! – Zaraz wyjaśnił, na czym polega dowcip. – Tak, Saturninus to przywódca, którego szukacie, którego chcecie stracić za pośrednictwem mojej ręki, ale odbędzie się proces, podczas którego będzie mowa o wszystkim: o nadużyciach i być może zbrodniach Saturninusa, ale również o nadużyciach i zbrodniach

Senatu. Zobaczymy, co zdecyduje lud. Zobaczymy, czy macie tylu ludzi, by przejąć kontrolę nad Rzymem, jeśli moi weterani i cały lud staną przeciwko wam. Saturninusa zatrzymałem i zamknąłem w budynku kurii, a wy nie zdobędziecie się na podpalenie Senatu. Mój najlepszy oficer Sertoriusz stoi tam na czele weteranów. Na pewno nie chcecie negocjować?

Metellus spojrział na Sullę. W jego wzroku czaił się gniew. Nie chcieli, żeby doszło do publicznego procesu, nawet jeśli mogliby bez problemu przekupić sędziów. Tak jak przewidywał Mariusz, wyszłoby wtedy na jaw zbyt wiele sprawek Senatu, a to być może doprowadziłoby do buntu ludu. Sytuacja wymknęłaby się spod kontroli. Nie, plan polegał na tym, żeby stracić Glaucję i Saturninusa jeszcze tej nocy, z udziałem Mariusza. Po zniszczeniu trójprzymierza trybunatu ludowego, pretury i konsulatu oraz pozbawieniu stronnictwa popularów jego przywódców zamieszki powoli ustaną, a oni, optymaci, stopniowo przejmą kontrolę nad wszystkimi instytucjami władzy. Ale Saturninus chroniony przez weteranów Mariusza w budynku Senatu...

Sulla rzucił Metellusowi nieufne spojrzenie i zaraz potem zwrócił się w stronę Mariusza. Gajusz Mariusz: pięćdziesiąt osiem lat, sześciokrotny konsul, który odbył triumf. I on, Sulla: trzydzieści dziewięć lat, bez większych osiągnięć, pokonany w ostatnich wyborach na pretora na skutek sojuszu Mariusza z Saturninusem i Glaucją, patrzył, jak mijają pory roku, a jego *cursus honorum* praktycznie się nie zmienia, nie, jest wręcz blokowane przez Mariusza, który go nienawidzi. Czy po raz kolejny konsul wyjdzie na swoje? Za nic. Tym razem tak nie będzie. Mariusz popełniał poważny błąd: nie doceniał naturalnej błyskotliwości Dolabelli w budzeniu strachu. Jak dotąd zmanifestowała się ona w drobnych sprawach, które nie zwróciły uwagi konsulów, trybunów czy pretorów, ale odsłaniały jego perwersyjność. Sulla wiedział, że nadeszła jedna z tych decydujących chwil, w których jeden mąż zaczyna kroczyć w stronę upadku, podczas gdy drugi wznosi się ku chwale. Tej nocy Mariusz zaczynał schodzić ze sceny, a on się na nią powoli wspinał. Oderwał wzrok od konsula i znów zwrócił

się w stronę Metellusa. Przemówił do niego pewnie, nie zostawiając miejsca na wątpliwości.

– Dolabella rozwiąże kwestię Saturninusa. Jest... – poszukał odpowiedniego przymiotnika – tak, Dolabella jest zmotywowany.

Metellus natychmiast zrozumiał, o czym mowa. Kilka miesięcy wcześniej ojciec Dolabelli zginął podczas nocnej sprzeczki ze stronnikami Saturninusa. Tak, bez wątplenia Dolabella ma motywację, żeby stracić osobę odpowiedzialną za śmierć ojca.

– Ale nie p-p-podpali b-b-budynku Senatu, p-p-prawda? – dopytał Metellus.

– Nie – odparł poważnie Sulla. – Dolabella znajdzie wyjście.

Gajusz Mariusz wpatrywał się w podłogę i milczał. Właśnie zdał sobie sprawę z osobistej motywacji Dolabelli. Tak, to mogło pobudzać jego wściekłość. Musiał wrócić na forum i wesprzeć Sertoriusza w obronie budynku Curia Hostilia.

Metellus wbił wzrok w starego konsula. Przez głowę przemknęła mu nawet myśl, żeby nakazać go zabić na miejscu, w tej samej chwili, ale senatorom by się to nie spodobało, bo wielu z nich nadal szanowało Mariusza. Jego legendarne zwycięstwo nad Teutonami pod Aquae Sextiae, które ochroniło Rzym przed inwazją być może okrutniejszą niż ta Hannibala, pozostawało żywe w pamięci wielu *patres conscripti*. Lepiej przestrzegać prawa i zniszczyć jednego wroga po drugim. Czas Mariusza nadejdzie. Dzień za dniem będą psuć jego prestiż. Nie pozostało mu wiele czasu. Spadnie z drzewa ambicji jak dojrzały owoc, jak tylu innych przed nim. Glaucja już nie żyje. Saturninus wkrótce pójdzie w jego ślady, Dolabella już się tym zajmie. A Mariusz... jeszcze nie teraz.

– Sądzę, że p-p-pora, by k-k-konsul opuścił mój d-d-dom – powiedział Metellus i dodał: – *Arx Tarpeia Capitolii proxima*.

Gajusz Mariusz nie odezwał się, ale wyraźnie zrozumiał rzuconą mu groźbę. Tak, „Skala Tarpejska znajduje się w pobliżu Kapitolu”. Była to aluzja do tego, że nawet będąc u szczytu władzy, reprezentowanego przez świątynię Jowisza na Wzgórzu Kapitołińskim, można skończyć na Skale Tarpejskiej, z której zrzucano

przestępców i która rzeczywiście znajdowała się w pobliżu Kapitolu oraz forum. Konsul nie odpowiedział, ale zapamiętał sobie to ostrzeżenie. Nie pożegnał się. Odwrócił się i eskortowany przez swoich ludzi opuścił dom senatora Metellusa. Myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej dotrzeć do Senatu. Całkowicie ufał, że Sertoriusz jest zdolny ochronić Saturninusa, ale koci, gniewne spojrzenie Sulli ogłaszającego, że ten nędznik Dolabella rozwiąże problem, sprawiło, że postanowił wrócić na forum. Wątpliwości marszczyły mu czoło, miał wrażenie, że wkrótce wydarzy się coś strasznego.

* Zwłaszcza krew naszych wrogów.

ROZDZIAŁ V

Kamienna sprawiedliwość

Rzymskie forum, na stopniach budynku Senatu

99 r. p.n.e., tej samej nocy

W otoczeniu ponad setki zabójców wynajętych przez optymatów Gnejusz Korneliusz Dolabella zdecydowanym krokiem kroczył w kierunku budynku Curia Hostilia. Był bardzo poważny i do nikogo się nie odzywał. Jego ludzie uważnie go obserwowali. Wiedzieli, że za drzwiami z brązu znajduje się Saturninus, którego Senat nakazał aresztować i natychmiast stracić. Wiedzieli też, że dla Dolabelli nie jest to wyłącznie kwestia wypełnienia dekretu *senatus consultum ultimum*, lecz również sprawa osobista. A zabójcy lubowali się w zemście.

– Mariusz postawił przy wejściu swoich weteranów – powiedział jeden z najemników, gdy ludzie Dolabelli ustawiali się w szyku naprzeciwko ludzi konsula. Spojrzał kątem oka na swojego szefa, który zatrzymał się kilka kroków przed dowódcą wojsk przeciwnika, Sertoriuszem.

Dolabella słyszał o Sertoriuszu od Sulli. Był to żołnierz odważny i skuteczny. Gajusz Mariusz nie zostawił dowództwa na forum w rękach byle kogo.

Dolabella się nie odezwał.

Jeszcze nie.

Uważnie się wszystkiemu przyglądał.

Do zemsty nie należy podchodzić w pośpiechu. To kwestia zdecydowania, wyczekiwania i oddania jednego pewnego strzału w odpowiedniej chwili. Nie sekundę przed ani sekundę po.

Przed drzwiami kurii

Kwintus Sertoriusz patrzył, jak podchodzą dziesiątkami. Liczna grupa uzbrojonych najemników Senatu niczym strumień wody wylała się od strony Via Sacra i zatrzymała przed budynkiem Curia Hostilia. Przewodził jej młody senator Gnejusz Korneliusz Dolabella, który właśnie znalazł się przed dowódcą weteranów Mariusza.

Stanął zaledwie kilka kroków dalej.

Podszedł bliżej.

Pięć kroków, cztery, trzy, dwa.

– Dość. – Sertoriusz położył prawą rękę na rękojeści miecza, pokazując, że jest gotów wyciągnąć go z pochwy.

Dolabella się zatrzymał. Uśmiechał się.

Przez kilka sekund żaden z nich nic nie mówił.

Przywódca najemników Senatu wytrzymał twarde spojrzenie oficera legionów Mariusza.

– Odejdźcie stąd, ty i twoi ludzie – powiedział wreszcie Dolabella. – Oszczędźmy sobie rozlewu krwi.

– Mam rozkaz tu pozostać do powrotu konsula Mariusza – odparł Sertoriusz. – A ja zawsze wypełniam rozkazy.

– Rozumiem – powiedział Dolabella po napiętej chwili milczenia i znów się uśmiechnął. – Zgoda – dodał.

Odwrócił się i wszedł między szeregi najemników.

Sertoriusz służył pod Mariuszem w wielu kampaniach wojennych. Nie przerażały go żadne groźby, ani te wypowiedziane, ani te wyrażone bez słów. Szybko przeliczył siły przeciwnika: około setki uzbrojonych mężczyzn. Pod jego komendą przy drzwiach stało trzydziestu byłych legionistów, świetnie przygotowanych weteranów wojennych. Wystarczy, żeby stawić czoło tamtym, a także – w zależności od sił najemników, a raczej od tego, ile im zapłacono – nawet zwyciężyć w tej potyczce.

Spod munduru wyciągnął stary wojskowy gwizdek. Dochrapał się stanowiska trybuna wojskowego, a nawet legata całego legionu, ale teraz trzeba przypomnieć sobie czasy, kiedy był prostym centurionem. Spodobało mu się to. Jakby powrót do młodości.

Podniósł gwizdek do ust i teraz to on pozwolił sobie na uśmiech.

Z całych sił zagwizdał na zajęcie pozycji.

Domus rodziny Juliuszów

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę myślisz, że to, co chce zrobić Gajusz Mariusz, jest niewłaściwe, że zaprowadzenie większej sprawiedliwości w Rzymie było błędem – mówiła Aurelia, kołysząc małego Cezara w ramionach.

Kotta westchnął.

– Nie, siostrze, oczywiście, że tak nie myślę. Ale sądzę, że wprowadzenie sprawiedliwości, o której mówisz, jest niemożliwe. Oczywiście należy zmienić prawa, rozdzielić więcej ziemi między obywateli rzymskich, wysłuchać żądań sprzymierzeńców, naszych *socii*, i zrobić tyle innych rzeczy... ale to nie jest odpowiedni moment. Optymaci nadal są silni, zbyt silni. W zasadzie są... niepokonani. Żaden z mężów, którzy im się przeciwstawili, nie przetrwał. Nawet ktoś taki jak Mariusz, sześciokrotny konsul, nie da sobie z nimi rady.

Obecny przy rozmowie Cezar ojciec nie wtrącał się. Mimo że nie czuł się z tym dobrze, podzielał sceptyczne spojrzenie szwagra na wydarzenia tej nocy. Kotta pokręcił głową.

– Nie sądzę, że narodził się taki, który pewnego dnia będzie zdolny stawić czoło wszystkim tym senatorom... i wygrać.

Aurelia nic nie powiedziała. Dalej delikatnie kołysała w ramionach syna.

Ulice Rzymu

Gajusz Mariusz wyszedł z rezydencji Metellusów przekonany, że sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana, niż sobie wyobrażał. Tak jak ostrzegał Kotta,

Metellus nie zgodził się nawet negocjować w sprawie powrotu starego przywódcy, Numidyjczyka, co wskazywało wyraźnie, że optymaci czuli się znacznie silniejsi od popularów. Kontratakowali i już nic ich nie powstrzyma. Glaucja nie żył. Przynajmniej udało mu się ochronić Saturninusa w budynku kurii, ale czuł, że musi tam natychmiast wrócić. Zostawił na miejscu Sertoriusza, swojego najlepszego człowieka, ale weteranów mogła zaatakować znacznie liczniejsza grupa najemników, której nie uda im się powstrzymać.

Przyspieszył kroku.

Domus rodziny Juliuszów

Mamka zabrała dziecko, a niewolnicy przynieśli kolację. Mięso duszone w przyprawach ze wschodu zakupionych na forum, kozie sery o różnej dojrzałości, obfite ilości wina, a na deser rodzynki i suszone owoce. Smaczny i pożywny posiłek, ale bez nadmiernego luksusu, na który i tak nie mogli sobie pozwolić.

– Uważasz zatem, bracie, że optymaci są zbyt silni – Aurelia wróciła do początku rozmowy. – Kiedy twoim zdaniem to się zmieni? Nadejdzie taki czas?

Juliusz Cezar ojciec pokręcił głową i westchnął. Nie podobało mu się uparte powracanie żony do polityki, ale ku jego zdziwieniu szwagier odpowiedział na pytanie z powagą i prawdziwym zainteresowaniem.

– Być może z czasem stracą przewagę, za kilka lat. Wtedy może dojść do zmian. – Kotta nie dał jasnej odpowiedzi, jedynie wyrażał swoją nadzieję, ale jego słowa sprawiły, że Juliusz Cezar ojciec przestał przeżuwać jedzenie, a Aurelia odstawiła puchar wina.

Forum w Rzymie

Dźwięk gwizdka Sertoriusza nadal jeszcze odbijał się echem na forum.

Na jego wezwanie z każdej strony budynku kurii przybiegło po dwudziestu weteranów, którzy ustawili się obok trzydziestki stojącej przy drzwiach. Teraz miał

przy sobie siedemdziesięciu doświadczonych zbrojnych legionistów gotowych walczyć z setką najemników.

Z twarzy Gnejusza Korneliusza Dolabelli znikł uśmiech. Okoliczności już mu tak jednoznacznie nie sprzyjały. Wiedział, że ludzie Sertoriusza to żołnierze zaprawieni w boju, którzy doświadczenie zdobyli w wojnach Gajusza Mariusza przeciwko Numidyjczykom w Afryce i Teutonom na północy. Tacy nie cofną się przed niczym, nie ustąpią nawet wobec przewagi liczebnej najemników. Dolabella również brał udział w kampaniach wojennych i był brutalny, ale większość tych, których miał teraz pod sobą, to byli zwykli zbóje przyzwyczajeni do napadania, zabijania i okradania dzięki zaskoczeniu, działaniom w grupie i ciemnościom. W walce wręcz przeciwko weteranom wojennym ostatecznie ustąpią. Dolabella cofnął się o kilka kroków.

Sertoriusz poczuł się pewniej. Mariusz wyznaczył go do ochrony kurii i strzeżenia życia trybuna Saturninusa, podczas gdy sam będzie negocjował rozwiązanie konfliktu między Senatem a trybunatem ludowym i uniknięcie kolejnego rozlewu krwi. Oficer był przekonany, że dobrze wypełnia rozkazy.

Z kolei Gnejusz Korneliusz Dolabella w głębokiej ciszy nadal szacował siły obronne przeciwnika: atak frontalny był stratą czasu... a może nie?

– Co robimy? – spytał jeden z najemników.

– Porzucił flanki. – Dolabella nie zwrócił się do nikogo konkretnego, mówił do siebie. – Zebrał wszystkich swoich ludzi przy drzwiach, jedynym punkcie dojścia do Curia Hostilia. Budynku nie da się zdobyć. Światło dociera tam tylko przez drzwi, gdy są szeroko otwarte, i poprzez małe okienka w skrzydłach.

– Moglibyśmy wejść przez te okienka – zauważył jeden z najemników.

– Nie – odparł Dolabella. – Senat po ostatnich zamieszkach kazał założyć w nich grube żelazne kraty, żeby nikt nie wtargnął do budynku.

– Moglibyśmy wystrzelić płonące strzały na dach. Jest oparty na drewnianych belkach – zasugerował drugi podwładny. Szukali innych możliwości, gdyż woleli

uniknąć frontalnego starcia.

Dolabella pochylił głowę i zastanowił się nad tą opcją.

– Lepiej nie – uznał. – Z jednej strony budynek ma zbyt wielką wartość symboliczną, a z drugiej te drewniane belki są pokryte glinianymi dachówkami, które chronią kurię przed deszczem. Płonące strzały zgasną, zanim wyrządzą większe szkody... – Zamilkł.

– Co wobec tego mamy robić? – nie przestawali pytać. Najemnicy niechętnie podchodzili do pomysłu walki wręcz z legionistami. Chcieli innego planu.

– Dachówki – wycedził Dolabella przez zęby.

Dostrzegł swoją szansę i się uśmiechnął. Potem skinął na kilku zaufanych ludzi, którzy podeszli, żeby wysłuchać rozkazów. Dolabella mówił cicho. Gdy tylko skończył, jeden z podwładnych opuścił esplanadę forum i oddalił się Via Sacra. Reszta została na miejscu i zajęła pozycje na czele najemników, którzy sformowali szyki przed wojskami konsula Mariusza.

Sertoriusz nie miał wątpliwości, że dojdzie do starcia. Było to nieuniknione.

Wzruszył ramionami.

Jedna bitwa mniej, jedna więcej – co za różnica.

– Tarcze w górę, na Herkulesa! Wyciągnąć miecze! – zawołał szorstko do swoich weteranów.

Gdy najemnicy zobaczyli, jak legioniści w pełnej koordynacji wyciągają broń, instynktownie cofnęli się o kilka kroków.

– Zatrzymać się! – nakazał im Dolabella.

Widział, że jego ludzie nie garną się do walki z doświadczonymi wojakami, ale nie miał też wątpliwości, że Sertoriusz nie oddali się od drzwi, tak więc wystarczało utrzymać rozsądną odległość i trwać na pozycjach, skupiając na sobie uwagę siedemdziesięciu weteranów oraz ich dowódcy.

Wnętrze Curia Hostilia

Lucjusz Apulejusz Saturninus spacerował po sali w świetle dwóch pochodni. Wydłużone drgające cienie wyglądały jak lemury, złośliwe dusze zmarłych, cienie żywych skazanych na śmierć. Tyle razy senatorowie zbierali się w tym miejscu, żeby doprowadzić do stracenia przeciwników, którzy, jak on sam, próbowali zmienić *status quo* i ograniczyć władzę *patres conscripti*, w zamian poszerzając prerogatywy ludu.

– Przekłęci – mamrotał Saturninus, nie przestając krążyć wśród cieni.

Nagle usłyszał wojskowy gwizdek i głosy – ten należący do oficera, którego Mariusz zostawił do obrony drzwi prowadzących do Senatu, oraz krzyki najemników wysłanych, by go zgładzili.

– Nie boję się was – powiedział cicho, stając twarzą do drzwi.

Potem spojrzał na podłogę.

Próbował znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Mariusz był naiwny – nawet jeśli optymaci zgodzą się na negocjacje, nigdy nie pozwolą, żeby on i Glaucja wyszli z tej konfrontacji żywi. Musi stąd uciec. Tak, to trzeba zrobić. Jeśli Mariuszowi uda się przynajmniej doprowadzić do negocjacji, on powinien wykorzystać każdą szansę, żeby rzucić się do ucieczki, może o świcie, gdy przyjdą po niego, żeby postawić go przed sądem. W mieście miał wielu zwolenników. Może przyjdą też na proces. Jeśli dojdzie do zamieszek, udałoby mu się wymknąć. W każdym razie musi spróbować. Szaleństwem byłoby zostać i czekać na ostateczny wynik procesu: wyrok śmierci na niego i Glaucję już zapadł. Nawet jeśli optymaci zgodzą się na publiczny proces, będzie on zwykłą pantomimą, jak tylekroć przedtem.

Nagle usłyszał inny hałas. Dziwny, dochodził z góry.

Saturninus spojrzał w ciemny sufit budynku kurii.

Hałas się wzmógł. Brzmiał niczym kroki.

Jakby ktoś chodził po dachu.

Forum przed budynkiem Curia Hostilia

Sertoriusz rozluźnił się. Z uwagą obserwował ruchy najemników, ale czuł spokój, wiedząc, że sytuacja jest pod kontrolą. Obawiał się, że mogą zebrać więcej ludzi, ale na razie nic tego nie zapowiadało, a ci, którzy stali na miejscu, nie mieli odwagi się zbliżyć...

– Trybunie!

Sertoriusz odwrócił się do legionisty, który domagał się uwagi, używając jego dawnej rangi wojskowej. Żołnierz wpatrywał się w dach budynku. W środku nocy nie było dobrze widać, co się tam dzieje, ale zarówno jego weterani, jak i najemnicy przynieśli pochodnie, które oświetlały teraz całą esplanadę forum. Sertoriusz w końcu dostrzegł cienie poruszające się po dachu kurii.

– Na Herkulesa! – wykrzyknął zaskoczony.

Na dachu budynku kurii

Dolabella miał trzydzieści lat i parę kilo nadwagi. Nie był zbyt zwinny, mimo to udało mu się wejść na dach po jednej z drabin, które ustawili jego ludzie. Poruszał się po nachylonej powierzchni po omacku, ale chciał nadzorować przebieg działań na miejscu. Nie ufał nikomu, ale także nikt nie okazywał większej determinacji niż on sam. Na początek stwierdził, że tak jak przypuszczał, Sertoriusz, który nie miał zbyt wielu ludzi, pozostawił inne strony budynku kurii bez nadzoru i zebrał wszystkich legionistów przy drzwiach. To był dość rozsądny ruch, ale śmiałym atakującym dawał szansę, której Dolabella nie zamierzał zaprzepaścić. Nakazał najemnikom przynieść pałki, drabiny i piły. Spojrzeli na niego zdziwieni, ale nikt się nie sprzeciwił i wkrótce zebrali to, czego chciał. Drabiny, po których mogli wejść na dach, przynieśli ze sobą, ponieważ przydawały się w nocnych potyczkach w Rzymie, tym bardziej w nocy takiej jak ta, kiedy starcia i zamieszki miały rozlać się na całe miasto. Pałki też mieli; służyły im do wielu celów: rozbijania ścian, drzwi lub głów. O piłach nie pomyśleli, ale ukradli parę z jednego ze składów na forum i zatrzymali te największe.

Teraz na dachu kurii Dolabella wydawał rozkazy.

– Ściągnąć dachówki – krzyknął.

Kilku najemników zaczęło zrzucać je na ulice przylegające do budynku.

– Nie, wy idioci! – z pogardą w głosie przywołał ich do porządku Dolabella. – Ściągnąć i położyć w jednym miejscu! Potem przepiłować belki podtrzymujące dach! Potrzebna nam porządna dziura!

Nikt do końca nie rozumiał, po co to wszystko, ale wszyscy wiedzieli, że w środku znajduje się ich cel, trybun ludowy, a dziura w dachu ich do niego przybliży. Tyle mogli sobie wyobrazić. Reszty już nie.

Wnętrze Curia Hostilia

Saturninus słyszał uderzenia pałek w dach. Spojrzał w górę. Paru najemników weszło po ścianie i rozbijało teraz dachówki. Nagle do pomieszczenia spadły kawałki gipsu i cegieł, rozbijając płytki wielkiej mozaiki na podłodze.

Wszystko działo się szybko.

Początkowy wyłom w dachu w kilka sekund zmienił się w szeroką dziurę. Saturninus pomyślał, że najemnicy zjadą do niego po linie przyczepionej do jednej z wielkich belek poprzecznych, które podtrzymywały dach. Ale w takiej sytuacji nie uda im się szybko uciec z budynku, jeśli legioniści otworzą drzwi i wkroczą, żeby mu pomóc... Nie rozumiał, po co to rozbieranie dachu, aż wreszcie nieoczekiwanie jedna z dachówek rozbiła się u jego stóp. A potem następna. Ale go nie trafiły.

Nie miał gdzie się schronić. W ogromnym pomieszczeniu znajdowały się jedynie ustawione jak w amfiteatrze ławy, ale nawet te tuż pod ścianą nie gwarantowały bezpieczeństwa, gdyż były bliżej dachu i czyniły z niego pewniejszy cel dla wroga.

Saturninus krążył po pomieszczeniu, nie wiedząc, co zrobić.

Kolejne dachówki rozbijały się wokół niego.

Na dachu budynku kurii

– Na Jowisza! Trudno jest celować między belkami! – krzyknął jeden z najemników.

– Piły – powiedział na to spokojnie Dolabella.

Wszyscy zrozumieli i po chwili przypuścili atak na nienaruszone dotąd belki.

Najemnicy byli dobrzy w zabijaniu, ale niekoniecznie znali się na budowaniu i jeden z nich niemądrze usiadł na środku belki, którą piłowali jego towarzysze. Stamtąd ciskał dachówki na trybuna ludowego.

– Aaaa! – zawył, czując, jak belka pod nim ulega i spada wraz z wielką belką poprzeczną. Uderzyła z mocą w mozaikę na podłodze kurii, a krew zabitego najemnika zabarwiła czerwonymi plamami miejsce, w którym upadł.

– Nie bądźcie durniami! – powtórzył Dolabella. – Nie siadajcie na belkach, które przecinamy!

Przenieśli się na jedną stronę.

Niedługo potem kolejna belka poprzeczna spadła do środka budynku. Przez ogromną dziurę znacznie łatwiej było celować.

– Teraz – nakazał Dolabella.

Mieli pod ręką mnóstwo dachówek. Wznowili bombardowanie.

Wnętrze Curia Hostilia

Saturninus jeszcze nie otrząsnął się z zaskoczenia i przerażenia po upadku jednego z zabójców, a już następna belka poprzeczna oderwała się od dachu i zaraz potem jeszcze jedna dachówka roztrzaskała się u jego stóp.

– Aaaaa! – wrzasnął, czując uderzenie w prawe ramię. – Przekłęci nędznicy!

Zanim zareagował, znalazł się w deszczu dachówek, które padały ze wszystkich stron. Szybko uciekł ze środka pomieszczenia w stronę drzwi z brązu i zaczął w nie walić i krzyczeć:

– Otwierać, otwierać, ci szaleńcy mnie zabiją!

Dachówki uderzały również w drzwi wejściowe do kurii, a dźwięk towarzyszący ich rozbijaniu niósł się po ogromnej pustej sali.

Na dachu budynku kurii

Dolabella usłyszał nawoływania trybuna ludowego, żeby otworzyć mu drzwi i go stamtąd wyciągnąć. To również przewidział.

– Niech atakują – nakazał jednemu ze swoich ludzi i ten szybko przekazał rozkaz, wychylając się z dachu w stronę najemników czekających na ulicy.

Ktoś z tej grupy zaniósł rozkaz do szeregów czekających przed Senatem.

Przed drzwiami prowadzącymi do Curia Hostilia

Sertoriusz zmarszczył czoło, gdy usłyszał wrzaski Saturninusa.

– Ukamienują go! – krzyknął jeden z legionistów. – Chyba ciskają w niego dachówkami!

Konsul rozkazał Sertoriuszowi, żeby nie otwierać drzwi do budynku, ale oficer wiedział, że Gajusz Mariusz chciał przede wszystkim ochronić życie trybuna ludowego; jeśli trzeba złamać pierwotne zarządzenie, to trudno. Miał właśnie nakazać to ludziom, gdy usłyszał krzyk jednego z najemników czekających w szeregu:

– Do ataku! Teraz!

Sertoriusz odwrócił się w stronę esplanady. Najemnicy rzucili się na jego weteranów. Nie miał czasu nakazać otwarcia drzwi, a do tego w tej chwili potrzebował wszystkich swoich ludzi, żeby odeprzeć atak. Wiedział, że przeciwnik chce odwrócić jego uwagę. Albo rzuci się do walki, albo jego ludzie zginą.

Wnętrze Curia Hostilia

Pum.

To było suche uderzenie, nie wybrzmiało jak dachówki trafiające w drzwi z metalu. Nie poniosło go echo, wydawało się słabe, ale celne. Dokładnie w głowę.

Wzrok Saturninusa zasnuł się mgłą. Jedna z dachówek złamała mu kark.

Mimo tego nie stracił przytomności i upadał powoli, a jego palce drapały brząz drzewi do Senatu, który zmienił się w jego więzienie, w jego własną Skałę Tarpejską, miejsce stracenia. Ten sam Senat, przeciwko któremu się zbuntował, tak jak w przeszłości bracia Grakchowie i tylu innych trybunów ludowych przed nim, teraz w sposób nieunikniony go pożerał. Saturninus, już trup, był jeszcze jednym trybunem zgładzonym przez Senat, zabitym w jego budynku, we wnętrzu wiecznego smoka.

Brzdęk, brzdęk, brzdęk.

Dachówki rozbijały się wokół niego, waliły w metal.

Poczuł zwielokrotnione uderzenia. Dachówki spadały na leżące na ziemi ciało: na plecy, znów na głowę, na ramiona, nogi, ręce...

Nieustający deszcz śmiertelnych pocisków.

Prawdziwe ukamienowanie.

Nieubłagane.

Niemiłosierne.

Twarde.

Na dachu budynku kurii

– Zrobione – powiedział jeden z najemników. – Wystarczy. Chodźmy stąd, na Jowisza. Prędko.

Dolabella spojrzał na niego z pogardą i wszyscy pozostali na miejscach. To senator wydawał rozkazy, to on im płacił, on decydował. Wszyscy odnieśli wrażenie, że trybun ludowy już nie żyje, z całą pewnością, ale nikt się nie ruszył w oczekiwaniu na reakcję dowódcy.

– To ja mówię, kiedy wystarczy – stwierdził Dolabella, patrząc na najemnego zabójcę, który odważył się ogłosić zakończenie misji.

Tamten spuścił głowę na znak podporządkowania.

– Co robimy, najjaśniejszy mężu? – spytał inny najemnik.

– Zrzućcie na niego resztę dachówek.

Jego ludzie skwapliwie zabrali się do spełnienia tego rozkazu.

Dziesiątki wielkich dachówek spadły na nieruchome ciało trybuna ludowego, aż zniknęło ono zupełnie, pochowane pod masą twardej gliny rozbitej na drobne kawałki, pod ogromnym stosem połamanych dachówek.

– Wystarczy – powiedział Dolabella. – Teraz Rzym wyraźnie odczyta nasze przesłanie.

Forum Rzymu

– Atakować, atakować, atakować! – wołał raz za razem Sertoriusz.

Zarażeni jego wściekłością i zmuszeni do obrony legionišci wbijali miecze między tarcze z monstrualną siłą, szukając ludzkiego mięsa.

Wielu najemników zostało rannych, niektórzy zginęli w kontrataku. Opłaceni przez Senat zabójcy nie wytrwali długo i szybko się wycofali, porzucając rannych.

– Stać! Na Herkulesa, nie oddalać się! – Sertoriusz wydawał rozkazy, kontrolując ruchy legionistów.

Wiedział, że chcą ścigać atakujących i zadawać im śmierć, ale priorytetem było strzeżenie budynku kurii i ochrona życia...

Nagle zdał sobie sprawę, ile czasu upłynęło w tym starciu.

– Szybko! Otwierać drzwi!

Jego ludzie cofnęli się do wejścia i tuzin z nich porzucił tarcze, schował miecze i zabrał się do otwierania drzwi.

Sertoriusz obserwował to w milczeniu, cały napięty. Po odwrocie najemników centralną część forum opanowała cisza. Z kurii nie dobiegały żadne krzyki. To nie był dobry znak.

Ciężkie skrzydła drzwi ustąpiły pod naporem ludzkiej siły i gdy tylko udało się zajrzeć do środka, legionišci dostrzegli zakrwawione ramię Lucjusza Apulejusza Saturninusa; reszta jego ciała była przykryta stertą dachówek rozbitych na śmiertcionośne kawałki. Spod tego zaimprovizowanego grobu sączyła się krew.

Wtedy właśnie od strony Via Sacra nadszedł Gajusz Mariusz, stanął obok Sertoriusza. Nie trzeba było niczego wyjaśniać. Za późno. Przeklęty Metellus miał rację: tej nocy konsul ciągle przybywał za późno.

Przy bocznej ścianie budynku Curia Hostilia Mariusz dostrzegł sylwetkę senatora Gnejusza Korneliusza Dolabelli, który podążał w otoczeniu swoich ludzi; jego surową twarz oświetlały pochodnie najemników.

Spojrzenia Mariusza i Dolabelli skrzyżowały się.

To było niczym wyzwanie.

Tyle że Mariusz czuł się już za stary, żeby rozprawić się z Dolabellą. Ktoś inny musi to zrobić. Ale kto? Kiedy?

ROZDZIAŁ VI

Krew Eneasza

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

99 r. p.n.e., tej samej nocy

– Z czego wynika twoja pewność, że sprawy w Rzymie muszą się zmienić? – spytała Aurelia, patrząc uważnie na brata. – Tej nocy Gajusz Mariusz będzie próbował wynegocjować możliwość ocalenia trybuna ludowego Saturninusa i pretora Glaucji, a ty powiedziałeś mu, że jest skazany na porażkę. Ale teraz bronisz opinii, że w najbliższych latach coś sprawi, że optymaci spuszczą z tonu.

– Coś z zewnątrz – uściślił Kotta.

– Co? A może kto? – naciskała Aurelia, której niejednoznaczne odpowiedzi nie zniechęcały.

– Sprzymierzeńcy – odparł Kotta i pociągnął łyk wina, zanim wyjaśnił, o co mu chodzi. – Od czasu Grakchów wszyscy zawsze starali się zmienić bieg rzeczy w Rzymie za sprawą rozdawania dóbr, skupiając się na konflikcie między ludem a Senatem, ale sprzymierzone miasta oraz ich żądania, by nadać im obywatelstwo rzymskie, zdestabilizują całą sytuację i mogą przechylić szalę na korzyść jednych lub drugich. Jeśli ze sprzymierzeńcami połączy się lud, senatorowie będą musieli ustąpić. Ale na to przyjdzie czas. Musimy poczekać, aż sprzymierzone miasta zaczną działać. Musimy poczekać na wojnę. Na tę wojnę. Mariusz w jakiś sposób ją przeczuwa, dlatego jego trójprzymierze z trybunem ludowym i pretorem zakładało pewne ustępstwa na rzecz *socii*. Ale musimy dać im coś więcej. Kluczem jest przyznanie obywatelstwa rzymskiego mieszkańcom innych miast.

Juliusz Cezar ojciec podniósł brwi na znak zadziwienia i pewnego niedowierzania.

Aurelia zmarszczyła czoło, podczas gdy niewolnik napełniał jej puchar winem. Uderzenia w drzwi.

Głos Gajusza Mariusza, który ich nawoływał.

Minęło kilka godzin, odkąd ich opuścił.

Na rozkaz Juliusza Cezara ojca niewolnicy otworzyli drzwi. Konsul wszedł przez nie, ale nie dotarł do atrium, tylko zza progu oznajmił, co miał do powiedzenia.

– Wyśmiali mnie ci Metellusowie. Kotta miał rację: najpierw zabili Glaucję, a potem ukamienowali w kurii Saturninusa, zrobili to dachówkami. Mnie zaatakowali na ulicy. Przeżyłem tylko ja, Sertoriusz i kilku weteranów. Optymaci chcą całkowitej zemsty za zabójstwo swojego kandydata na konsula. Zabarykadujcie się, nie wychodźcie. Dolabella przewodzi łowom. Nie wychodźcie! – podkreślił, a potem odwrócił się i znów znalazł się w krwawej ciemności ulic morderczego

Rzymu.

Aurelia nic nie powiedziała, po czym opuściła pomieszczenie i zniknęła w pokoiku, w którym znajdował się jej syn. Gajusz Juliusz Cezar ojciec i Kotta zadbali zaś, by niewolnicy dobrze zamknęli drzwi i okna oraz zablokowali wszelkie możliwe miejsca, przez które dałoby się wtargnąć do domu.

– Daj mi dziecko – powiedziała Aurelia do niewolnicy, gdy tylko znalazła się w pokoiku.

Mamka ostrożnie przekazała niemowlę matce i szybko się wycofała.

Aurelia usiadła na stojącym przy kołysce dziecka *solium* pokrytym poduchami i zaczęła bujać syna w ramionach, na nowo podejmując opowieść, którą powtórzyła już wielokrotnie, gdy była sam na sam z potomkiem.

– Pamiętaj, skąd pochodzisz, pamiętaj o twoich początkach, o korzeniach *gens* Julia, twojej rodziny, najszlachetniejszej i wyjątkowej w całym Rzymie. Bogini Wenus zległa z pasterzem Anchizesem i z tego związku narodził się Eneasza. Syn

Eneasza nazywał się Julus i ty jesteś jego potomkiem. Jesteś dziedzicem bohaterów spod Troi...

ROZPRAWA DRUGA

DIVINATIO

Podczas *divinatio* trybunał decyduje, który ze zgłaszających się kandydatów zostanie wyznaczony do roli głównego oskarżyciela, a więc prokuratora w danej sprawie.

ROZDZIAŁ VII

Nieoczekiwany przeciwnik

Via Sacra, forum Rzymu

77 r. p.n.e.

Cezar i Labienus stawiali mocne kroki na kamiennych płytach pokrywających główną ulicę miasta.

Cezar szedł zamyślony, wzrok wbijał w ziemię. Jego matka przyjęła do wiadomości, że chce podjąć się oskarżenia skorumpowanego senatora Dolabelli na prośbę Macedończyków. Była zarazem pełna dumy i niepokoju. Dumna z tego, że choć młody, miał zamiar stawić czoło jednemu z najokrutniejszych przywódców optymatów w historii. Zmartwiona, ponieważ możliwości wygranej były... nikłe, żadne?

Zbliżył się do nich młodzieniec o przestraszonym obliczu i wyszeptał coś Labienusowi do ucha. Przyjaciel Cezara opłacił sporą grupę złodziejasków i ludzi niskiego urodzenia, żeby informowali go, o czym mówi się w tawernach i innych plotkarskich miejscach, gdzie nowiny szerzyły się wcześniej niż w budynkach na forum.

– Chcę wiedzieć wszystko, co się mówi o procesie Dolabelli – przekazał informatorom.

– Wszystko? – spytał jeden z młodzieniaszków przyzwyczajonych do poruszania się wśród miejskiej hołoty.

– Wszystko – potwierdził kategorycznie Labienus, wręczając mu kilka srebrnych denarów.

Tytus Labienus chciał koniecznie pomóc swojemu przyjacielowi Cezarowi. Tyle mu zawdzięczał, że wszelkie wydatki na ten cel wydawały mu się nieznaczne.

To, co usłyszał od jednego z emisariuszy, gdy kroczyli w stronę bazyliki Sempronii, sprawiło Labienusa w zdumienie. Zaniepokoił się, widząc, że poważne oblicze młodzieńca podkreśla prawdziwość jego słów: kłopoty przyjaciela związane z tym procesem zaczynały się jeszcze przed pierwszym posiedzeniem.

– Co się dzieje? – spytał Cezar, obserwując jego cierpką minę.

Labienus nie owijał w bawełnę, jakby wypowiedzenie wszystkiego od razu zmniejszyło szkody.

– W portowych tawernach mówi się, że Cynceron stanie do *divinatio* jako twój konkurent do roli głównego oskarżyciela w sprawie przeciwko Dolabelli.

– Cynceron? – powtórzył Cezar, nie zatrzymując się. – Marek Tulliusz Cynceron?

– Ten sam.

Cezar nie mógł powstrzymać nerwowego śmiechu.

– Na wszystkich bogów – powiedział, gdy tylko opanował ten wybuch, w oczach jego przyjaciela zupełnie nie na miejscu. – Martwiliśmy się adwokatami Dolabelli, moim wujem Aureliuszem Kottą i Hortensjuszem. Nie widzisz komicznej, a raczej tragikomicznej strony całej tej sprawy? Bardzo prawdopodobne, że nie zostanę oskarżycielem w procesie, mimo że to ja na prośbę Macedończyków wniosłem sprawę do trybunału. Cynceron ma za sobą już parę procesów, błyskotliwie wygranych. Jest młody, ale starszy ode mnie. Ile może mieć? Trzydzieści lat? Ja dopiero dwadzieścia trzy. On już nabrał doświadczenia na forum publicznym i jego talent oratorski jest powszechnie znany. Jestem skończony, nim jeszcze zacząłem.

Znowu się zaśmiał.

Labienus jednak znał go na tyle dobrze, że nie dopuszczał do siebie myśli, iż Cezar uznaje *divinatio* za przegrane. Zaśmiał się wprawdzie, żeby dać upust nerwowości, ale dało się zauważyć to samo kocie spojrzenie, które Labienus pamiętał z czasów walk pod murami Mityleny. Byli wtedy o krok od klęski, a on od tamtej pory kulał... Ale teraz zastanawiał się nad powodem, dla którego Cynceron wtrącił się w ten proces.

Cezar zdawał się odczytywać myśli przyjaciela.

– Nie, nie sądzę, aby to była zagrywka Dolabelli, żeby pozbyć się mnie z tej sprawy – stwierdził bez zwalniania kroku. – Cynceron szuka sławy, prestiżu, jak my wszyscy. Wygrał parę procesów, a ten wytoczono wszechpotężnemu Dolabelli za korupcję. Cynceron nie sprzymierzył się jeszcze z żadną ze stron: ani z optymatami, którzy chronią Dolabellę, ani z popularami, którzy rzucili wyzwanie okrutnemu Sulli, jak na przykład mój wuj i teraz Sertoriusz w Hispanii.

– Albo ty – wtrącił się Labienus.

– Nie – sprzeciwił się szybko Cezar. – Ja nie rzuciłem wyzwania Sulli. To było czyste szaleństwo.

Roześmieli się obaj.

– Cynceron nie jest jeszcze z nikim związany – kontynuował Cezar. – Pewnego dnia będzie musiał się określić po jednej ze stron. Żaden z uznanych rzymskich adwokatów nie chce być oskarżycielem Dolabelli, dlatego Macedończycy zwrócili się do mnie i ja sformułowałem akt oskarżenia. Cynceron chce się podczepić; jeśli uda mu się doprowadzić do skazania Dolabelli za korupcję, zyska sobie szacunek jednych i drugich: optymatów i popularów.

– Ale to praktycznie przegrany proces, tak mówią wszyscy – zauważył Labienus, nieusatisfakcjonowany wyjaśnieniami dotyczącymi niespodziewanego stawienia się Cyncerona do *divinatio*.

– W rękach kogoś tak niedoświadczonego jak ja może być uważany za przegrany, ale jeśli oskarżać będzie tak zręczny orator jak Cynceron... kto wie? On szuka prestiżu, szacunku, chce sobie wyrobić imię – upierał się Cezar. – Zawsze może wycofać się pod koniec albo być łagodniejszym oskarżycielem w ostatniej mowie przeciwko Dolabelli i w ten sposób zyskać możliwość zawarcia paktu z optymatami. Wiedzą, że ja nigdy się na to nie zgodzę.

– Wobec tego... nieważne, co się wydarzy, trybunał wybierze go na oskarżyciela, żeby móc negocjować mniej uciążliwe oskarżenie.

Cezar przez kilka chwil milczał.

– Tak, zgadza się – potwierdził, łamiąc krótką, lecz napiętą ciszę. – Chyba że... Nie dokończył zdania. Wchodzili właśnie do bazyliki Sempronii.

– To ty sformułowałeś akt oskarżenia – przypomniał Labienus, gdy znaleźli się już we wnętrzu budynku. – Przemówisz więc pierwszy.

– Przemówię pierwszy – potwierdził Cezar.

Bazylika Sempronia, Rzym

Rzeczywiście Gajusz Juliusz Cezar przemówił pierwszy.

Wszystko rozegrało się szybko, a zarazem w oczach Labienusa i wielu uczestników wyglądało dziwnie. Ale trybunał był innego zdania. Spodziewał się takiej przemowy. I ją uważnie odnotował.

Gdy Cezar skończył, rozległ się tylko pomruk, żadnych oklasków.

Labienus położył rękę na ramieniu przyjaciela, gdy ten usiadł obok niego.

– Dobrze ci poszło.

– Nie, na Herkulesa, nie poszło mi dobrze – odparł Cezar kategorycznym tonem. – Nie potrafisz kłamać, Tytusie. Jesteś wspaniałym przyjacielem, ale nie potrafisz kłamać.

– Powiedziałaś to, co ustaliliśmy, niczego nie pominąłeś. – Labienus mimo wszystko chciał go pocieszyć.

Tak naprawdę Cezar wysławiał się nieudolnie i podczas mowy zaciął się więcej niż raz, ale mimo to przekazał wszystkie szczegóły sprawy, które omówili poprzedniego wieczoru.

– Nie, nie upieraj się – dorzucił Cezar z niechęcią, szukając wzrokiem matki, która była gdzieś wśród publiczności wypełniającej bazylikę.

Proces Dolabelli, prawej ręki wszechpotężnego Sulli, wzbudził żywe zainteresowanie w całym Rzymie. Nie mówiło się o niczym innym. Nawet bunt popularów pod wodzą Sertoriusza w Hispanii zszedł na drugi plan. Nad Tybrem między jedną a drugą butlą wina nadal mówiono o przywódcy popularów walczącym w tamtej prowincji i senatorze Kwintusie Cecyliuszu Metellusie synu,

zwanym Piusem, który przewodził optymatom wysłanym, aby położyć kres rebelii. Tyle że teraz wspomniano o Metellusie, już pięćdziesięcioletnim weteranie, dlatego że *patres conscripti* wykorzystali jego krótką wizytę w Rzymie z okazji pogrzebu matki i wyznaczyli go na przewodniczącego trybunału w procesie Dolabelli.

Sam Dolabella zresztą błagał go, by przesunął swój powrót do Hispanii i zgodził się stanąć na czele trybunału. Nie chciał ryzykować, lubił mieć wszystko pod kontrolą. Metellus nadal pamiętał ukamienowanie przeklętego trybuna ludowego. Jak on się nazywał? – nie mógł sobie przypomnieć. Imiona trybunów ludowych zbuntowanych przeciwko Senatowi nie zasługiwały na miejsce w jego pamięci – tak twardo i zimno rozumował Metellus.

W każdym razie wyznaczenie na najwyższą instancję w tym procesie senatora tak bliskiego zmarłemu Sulli, którego Dolabella był prawą ręką, wyraźnie pokazywało, że Senat nie zamierza zostawiać pola manewru oskarżycielowi, nieważne, kto nim będzie.

Cezar napotkał uważne spojrzenie matki siedzącej w kącie bazyliki po prawej stronie. Z jej twarzy dało się wyczytać rozczarowanie: pierwsza publiczna mowa jej syna, w którym pokładała takie nadzieje, okazała się kompletną porażką.

To zabolalo Gajusza Juliusza Cezara. Nie chciał zawieść matki, ale skoro ona też nie zdała sobie sprawy z jego strategii, to może i trybunał pod przewodnictwem autorytatywnego Metellusa, pełen optymatów sprzyjających Dolabelli, złapie się na tę sztuczkę.

Cezar rozglądał się dalej: jego żona Kornelia siedziała zaraz za Aurelią i wpatrywała się w podłogę. Była najwyraźniej zmartwiona. Nieco bliżej, po lewej, dostrzegł niespodziewanego konkurenta w *divinatio*: Marka Tulliusza Cyncerona, a obok starego Greka Archiasza, który uczył tamtego sztuki oratorskiej. Zniszczyć go. Bez wątplenia potrzebna mu będzie pomoc Marsa i Wenus oraz przemądrej Minerwy, żeby z procesu Dolabelli wyjść z widokami na życie polityczne. Albo nawet z widokami na życie, po prostu.

Dolabella. Cezar poszukał go wzrokiem i znalazł wygodnie umoszczonego na szerokim siedzeniu zaraz za Cynceronem. Potrzebował szerokiej *cathedry*, żeby zmieścić swe olbrzymie ciało. Prawie nic nie zostało z tego młodego senatora, który wspiął się na dach budynku Curia Hostilia i kazał zarzucić dachówkami trybuna Saturninusa. O tamtej pełnej przemocy nocy niejedną raz opowiadali Cezarowi wuj Gajusz Mariusz oraz matka Aurelia. A teraz ten sam Dolabella siedział przed nim – pękaty, zadowolony z siebie, uśmiechnięty. Komentował z otaczającymi go przyjaciółmi nieudaną mowę aspirującego do roli oskarżyciela Cezara.

Spuścił wzrok. Wiedział, że nawet Gajusz Mariusz, obecnie już w zaświatach, byłby rozczarowany tą prostą interwencją niedoświadczonego adwokata żółtodzioba. Znow podniósł oczy i wbił spojrzenie w Dolabellę. Senator wciąż go ignorował. Obojętność stanowiła najwyższą formę pogardy i tę właśnie okazywał mu oskarżony.

Młody Cezar uśmiechnął się do samego siebie. Przygotował się na długą walkę, nie na prosty i szybki proces. Jeszcze nie pora, żeby się odsłonić. Jeszcze nie.

Przewodniczący trybunału Kwintus Cecyliusz Metellus syn spojrzał na drugiego kandydata na oskarżyciela: Cyncerona. Nie musiał nic mówić. To było na rękę nadal jękającemu się senatorowi, który nie lubił ujawniać publice swojego defektu.

Marek Tulliusz Cynceron wstał niespiesznie i z taką samą wykalkulowaną powolnością, czekając, aż zapadnie cisza, podszedł do centralnego miejsca bazyliki przed przewodniczącym oraz pięćdziesięcioma dwoma sędziami, którzy mieli zdecydować, który z tej dwójki: Juliusz Cezar czy on sam, zostanie wyznaczony na głównego oskarżyciela w procesie.

W końcu świetnie wymodulowany głos trzydziestoletniego Cyncerona, męża w kwiecie wieku, wypełnił wielką salę, rzucając coś w rodzaju czaru na słuchaczy. Ku zadowoleniu swojego mistrza Archiasza ani razu nie wydał z siebie drżącego dźwięku, ani jednego słowa nie wypowiedział źle, w jego przemyślanych zdaniach

nie wybrzmiała nawet jedna nuta zwątpienia. Zupełnie inaczej niż w przypadku jego konkurenta, Juliusza Cezara.

– Szanowni *patres conscripti, iudices*, dziękuję za to, że daliście mi szansę wyjaśnić przed waszą mądrością i doświadczeniem... – to ostatnie słowo wymówił ze szczególnym naciskiem, jakby chciał podkreślić jego znaczenie. – Dziękuję, że pozwoliliście mi wyjaśnić, dlaczego proces, którym się dziś zajmujemy, powinien trafić w doświadczone ręce... – po raz kolejny użył tego słowa – a nie w ręce młodego, impulsywnego, bez wątpienia... – odwrócił się w stronę Cezara – impulsywnego i pełnego dobrych intencji, jestem tego pewny, lecz niezwykle młodego i zupełnie niedoświadczonego oskarżyciela.

Juliusz Cezar nawet nie mrugnął okiem, nawet nie drgnął, wytrzymując spojrzenie konkurenta. Labienus miał ochotę wstać i zdzielić Cyncerona pięścią, ale wiedział, że nie pomógłby tym przyjacielowi.

Wszyscy byli zdziwieni, że wtrącił się do procesu, że zgłosił się na oskarżyciela przeciwko Dolabelli, ale Cynceron od jakiegoś czasu pragnął zdobyć popularność w bazylikach sądowych, a proces w sprawie o korupcję przeciwko prawej ręce niegdyś wszechpotężnego Sulli był okazją do zaprezentowania się, co dawało szansę na zdobycie powszechnego uznania. O ile oczywiście go wygra. Wszystko zależało od odpowiedniego użycia słów. Niezwykle sprawnego ich użycia.

– Brak doświadczenia to prawda, obiektywna i niemożliwa do odrzucenia prawda, a nie przedmiot oceny, interpretacji czy manipulacji, tak powszechnych między tymi ścianami, gdzie adwokat i oskarżyciel przeinaczają rzeczywistość za pomocą półprawd, jeśli nie zupełnych kłamstw. W ilu procesach, takich prawdziwych, z sędziami, w rzymskiej bazylice, uczestniczył młody Gajusz Juliusz Cezar?

Cynceron zrobił retoryczną pauzę.

– Ten „młody” to obelga – wyszeptał Labienus.

– Wiem o tym – odpowiedział mu również szeptem Cezar, nie odrywając wzroku od Cyncerona. Był dobry, bardzo dobry. Nie dałby sobie przerwać. Nie

w tym momencie *divinatio*. Trzeba tylko go słuchać... i uczyć się.

– Ja wam to powiem – kontynuował Cynceron – w żadnym. Nasz młody i porywczy kolega Juliusz Cezar nie uczestniczył do dnia dzisiejszego w ani jednym procesie, a i teraz zgłasza się bez przemyślenia, bez wzięcia pod uwagę złożoności tej sprawy. Nie zarzucam tutaj Juliuszowi Cezarowi złośliwości ani perwersji, lecz czysty brak świadomości będący efektem, nie mam co do tego żadnej wątpliwości, jego młodości. – W tym momencie znów odwrócił się do konkurenta, który siedział w milczeniu na swojej *sell*i i wpatrywał się w niego bez mrugnięcia okiem. – Być może jednak mocne pożądanie sławy pcha naszego niedoświadczzonego adwokata na zbyt głębokie wody, na których z całą pewnością zatopi argumenty i prawa Macedończyków, jakich stara się bronić. – Przez chwilę patrzył w stronę Perdikasa, Aeroposa i Archelaosa oraz innych przybyszów z prowincji, lecz zaraz zwrócił twarz ku poważnym obliczom pięćdziesięciu dwóch sędziów. – Podsumowując: Gajusz Juliusz Cezar nigdy wcześniej nie brał udziału w żadnym procesie publicznym, podczas gdy ja, Marek Tulliusz Cynceron, uczestniczyłem już w trzech, z których wszystkie wygrałem: gdy broniłem Publiusza Kwinkcjusza, Roscjusza Amerinusa i Kwintusa Roscjusza. Wszystkie one były niezwykle skomplikowane, miały różny charakter, a zwycięstwa świadczą o mojej zdolności do sprawnego poruszania się po meandrach sprawiedliwości, jak również o mojej skuteczności i bezstronności, jako że w każdym z nich *iudices* przyznali mi rację i każdy wyrok zapadł po uznaniu moich argumentów.

Cynceron na moment zamilkł. Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na podłogę.

Cezar obserwował go uważnie: jego konkurent zdominował scenę nie tylko słowami, lecz także sposobem poruszania się po sali, dobrze wymierzonymi chwilami ciszy, przerwami, spojrzeniami. A to jeszcze nic. Jeśli Cezar zostanie wybrany na oskarżyciela, będzie musiał stawić czoło adwokatom Dolabelli, własnemu wujowi Aureliuszowi Kotcie i niezwykle zdolnemu Hortensjuszowi. Siedzieli teraz za Dolabellą, skupieni, z powagą przysłuchiwali się słowom Cyncerona. Ich poważne oblicza w ogóle nie przypominały rozluźnionych i prawie rozbawionych twarzy, jakie pokazywali podczas jego przemowy. Wuj oszczędził

mu otwartego upokorzenia – widać było, że nie chce zetrzeć się z nim podczas procesu, przynajmniej jeśli nie było to konieczne – ale Hortensjusz wręcz się roześmiał, gdy Cezar pomylił jakieś słowa albo musiał powtórzyć formułki przy wymienianiu imion świadków, których już zebrał.

Jego konkurent kontynuował mowę...

Cycon podniósł wzrok i wbił go w Macedończyków, którym pozwolono wprawdzie uczestniczyć w procesie, ale jedynie za pośrednictwem oskarżyciela, jakiego miał wybrać trybunał. Popatrzył na nich poważnie: kwestia braku doświadczenia drugiego kandydata była już oczywista, ale Cezar wniósł argument, który mógł zaciążyć na zdaniu sędziów, i Cycon chciał się teraz do niego odnieść. Najpierw myślał, że zostawi to sobie na koniec, ale później wpadł na pomysł, że będzie to zakończenie znacznie lepiej niszczące kandydaturę młodego Cezara. A więc poruszy kwestię Macedończyków, poszkodowanych mieszkańców prowincji...

Z założonymi na piersi rękami odwrócił się w stronę trybunału.

– To prawda, że Macedończycy skierowali swe kroki do młodego Cezara, a nie do mnie, i to on, a nie inny obywatel rzymski miał oskarżać w tej sprawie w ich imieniu. Wydaje się rozsądne wzięcie pod uwagę opinii tych, którzy wnieśli sprawę, którzy czują się poszkodowani przez działania, jakich mógł dopuścić się Gnejusz Korneliusz Dolabella w ich prowincji, gdy sprawował tam funkcję namiestnika. A oni wolą tego młodego adwokata jako swojego głównego oskarżyciela.

– Niechże już przestanie powtarzać „młody” – wymamrotał Labienus do ucha przyjaciela.

– Tak, ale posłuchajmy uważnie – odpowiedział cicho Cezar. – Chcę się przekonać, czy w jakiś sposób uda mu się rozbroić argument, że Macedończycy wolą w tej roli mnie. Sam przyznał właśnie, że trybunał powinien wziąć to pod uwagę.

– To był przecież jeden z najsilniejszych punktów twojej mowy – stwierdził Labienus. – Pominie tę kwestię. Przejdzie do kolejnej...

Cyceron ciągle wpatrywał się w trybunał. Lekko pochylił głowę i znów zaczął mówić:

– To prawda, że Macedończycy chcieli młodego Cezara na oskarżyciela, ale co oni mogą wiedzieć o naszym systemie prawnym, o jego złożoności i meandrach? Wiedzą jedynie z całą pewnością, jak większość mieszkańców naszych prowincji, że nie będąc obywatelami rzymskimi, gdy chcą postawić przed sądem innego obywatela, muszą zwrócić się do kogoś, kto posiada takie prawa, żeby w ich imieniu sformułował oskarżenie. Wiedzą tylko tyle: nie mając obywatelstwa rzymskiego, nie mogą bezpośrednio wnieść sprawy przeciwko senatorowi i do niedawna namiestnikowi Dolabelli. Dlatego zwrócili się do młodego Cezara, pierwszego, który zgodził się ich wysłuchać i wystąpić w ich imieniu. Lecz Macedończycy nie tylko nie mają wiedzy o tym, jak zawile jest nasze prawo (ta sytuacja wymaga, by ten, kto formułuje sprawę w bazylice, miał spore doświadczenie), ale również nie zdawali sobie sprawy, że istnieją inni obywatele rzymscy znacznie lepiej przygotowani, którzy mogą zająć się ich sprawą. Tutaj widzę kwestię w zasadzie moralną: co w takich okolicznościach powinien uczynić trybunał? Przyjąć życzenie tych, którzy czują się poszkodowani, i wyznaczyć na oskarżyciela tego, którego oni sami wybrali, czy wręcz przeciwnie: skorygować ten wyraźny błąd mieszkańców prowincji, którzy w wyniku pośpiechu wybrali na oskarżyciela pierwszego, który zgodził się w tej roli wystąpić? Czy trybunał nie powinien raczej z całą swoją mądrością, całym swoim doświadczeniem, po chłodnym osądzie wyznaczyć nie tego, do którego Macedończycy się zgłosili, lecz tego, który w opinii samego trybunału lepiej będzie bronił ich praw? Tę kwestię moralną zostawiam do rozważenia pięćdziesięciu dwóm *iudices* i pretorowi przewodniczącemu. Nie wątpię, że będą mieli jasność, co powinni uczynić, a więc ani ja, ani nikt inny nie musi wydawać opinii na ten temat.

Cyceron zaczerpnął powietrza.

Rozłożył ramiona i znów zaczął krążyć pośrodku sali.

– Istnieje jednak inna kwestia, która niezwykle mnie niepokoi i na którą czuję się zobligowany zwrócić uwagę członków tego trybunału. Odniosłem się już do złożoności naszego systemu prawnego, ale mamy tu do czynienia z inną komplikacją, która bardziej mnie martwi. Proces ten w ujęciu społecznym i politycznym może doprowadzić do reakcji na tej sali, na forum i w całym mieście, a mogą to być reakcje radykalne z jednej czy drugiej strony. Otóż sędzi się tutaj najjaśniejszego męża Gnejusza Korneliusza Dolabellę, senatora, w swoim czasie zdecydowanego zwolennika Sulli i jego popleczników, tych samych, którzy niegdyś stawili czoło trybunatowi ludowemu i ludowi w ogóle. Jeśli teraz najbardziej konserwatywni senatorowie uznają, że oskarżenie działa za pomocą manipulacji, a nie argumentów, badań i prawomocnych zeznań świadków, moglibyśmy mieć do czynienia nawet z pełną przemocą reakcją ze strony niektórych optymatów. Natomiast jeśli lud uzna, że oskarżenie nie działa w sposób sprawny, jest niestaranne i nieodpowiednie, może wywołać rozruchy i niepokoje na ulicach Rzymu.

Widzę zdziwienie na twarzach tu zgromadzonych, na obliczu mego konkurenta, a nawet w oczach niektórych członków trybunału. Ale nie sądzę, abym musiał przypominać tu obecnym, co działo się w polityce rzymskiej w ostatnich latach, kiedy przemoc, zabójstwa i nawet wojna często brutalnie wkraczały na nasze ulice. Nie jest tak odległa w czasie wojna przeciwko Marsom i innym naszym sprzymierzeńcom, którzy żądali przyznania im obywatelstwa rzymskiego, nie tak dawno mordowano senatorów ze stronnictwa optymatów z jednej strony i trybunów ludowych z drugiej. Mamy to jeszcze świeżo w pamięci. Ten złożony proces może na nowo rozjarzyć płomień przemocy, który tli się w naszej społeczności, a jestem pewien, że nikt nie chce go rozniecać. Na mocy własnej decyzji oskarżonego i w oparciu o jego prawa, gdyż ma on swobodę w wyborze własnych adwokatów, na obrońców wyznaczono Aureliusza Kottę i Hortensjusza, dwóch najznamienitszych prawników w naszym mieście. To uspokaja mnie bardziej niż wszelkie dowody, których nie sposób obalić za pomocą dialektyki czy badań, niż zeznania, ponieważ wiem, że wszystkie te kwestie, które właśnie

wymieniłem, obrona weźmie pod uwagę. Ale – znów zwrócił się w stronę Cezara – czy rozsądne byłoby zostawić w niedoświadczonych rękach, takich jak te Gajusza Juliusza Cezara, proces, który może wywołać szaleństwo, bezrozumność i przemoc ze strony jednego albo drugiego, jeśli nie obu stronnictw, które obecnie zdają się współdziałać w pewnej harmonii?

Na jego ustach pojawił się sarkastyczny uśmiezek. Cynceron skierował się teraz w stronę trybunału.

– Widzimy przecież, że kandydat na oskarżyciela przedstawił już swoich głównych świadków: kapłana ze świątyni Afrodyty w Tesalonikach oraz pewnego inżyniera, obywatela rzymskiego cieszącego się prestiżem. Wszystko świetnie, tyle że – drobny szczegół – młody Cezar wybrał na to nieodpowiedni moment w procesie i galopując, jakby chodziło o wyścig rydwanów w Circus Maximus, a nie sprawę sądową z ustaloną procedurą, przyspieszył *prima actio*, pierwsze posiedzenie, przed czasem mówiąc o świadkach. – Cynceron podszedł do publiczności, podnosząc ręce. – Być może nasz młody kandydat na oskarżyciela powinien raczej udać się do kazamat hipodromu i dać upust swojej wielkiej energii w wyścigu rydwanów.

Opuścił ręce, wywołując lekki śmiech u większości słuchaczy: plebejuszy, senatorów, a nawet sędziów.

Cezar przełknął tę obrazę. Przypomniawszy sobie rady wuja Mariusza. Przypomniawszy sobie bitwę pod Aquae Sextiae: Mariusz czekał i czekał, żeby uderzyć na Teutonów, podczas gdy wszyscy nawoływali go, żeby działał, ale on uważał, że jeszcze nie czas. Cezar uchwycił się tego przykładu i zachował milczenie. Uciekł się do podstępu, żeby zdobyć to, na czym mu zależało podczas tej rozprawy, podczas *divinatio*, w którym miało się rozstrzygnąć, kto będzie oskarżał Dolabellę. Mimo wysiłków Cyncerona, żeby zniszczyć jego kandydaturę, podstęp mu się udał... osiągnął to w milczeniu, dyskretnie, bez wahania.

– Tak, sprawa ta zawiera także pewną część komiczną. – Cynceron sprawiał wrażenie, jakby musiał powstrzymać się od śmiechu. – Gdyby to wyjście przed szereg, to pragnienie, by przyspieszyć zeznania przeciwko oskarżonemu, były

jedynie niekontrolowanymi wyskokami naszego młodego Cezara, nakierowanymi na to, żeby doprowadzić ten proces do założonego wyniku. Takiego, do którego nie prowadzą go zebrane fakty i świadectwa, lecz powody osobiste, co zaraz szczegółowo wyjaśnię. Ale powtarzam, ta nieudolność nie tylko wywołuje śmiech, lecz również pokazuje, że proces o tak delikatnych konsekwencjach społecznych i politycznych w żadnym razie nie może trafić w ręce niedoświadczone i porywcze, a to nie tylko z uwagi na dobro tych, którzy czują się poszkodowani, Macedończyków, lecz przede wszystkim z uwagi na dobro państwa rzymskiego.

I na koniec, wracam do wspomnianego pragnienia Gajusza Juliusza Cezara, by proces, który jeszcze się nie rozpoczął, jak najszybciej dobiegł końca. Pragnienie to jest efektem oczywistego braku bezstronności, absolutnie koniecznej w każdej sprawie sądowej. Tak bardzo koniecznej, że ustanowiliśmy w naszym prawie zasadę *reiectio*, która pozwala zarówno oskarżycielowi – czy będzie nim młody Cezar, czy ja – jak i obrońcom Dolabelli, czyli Aureliuszowi Kotcie i Hortensjuszowi, odrzucić tych członków trybunału, których z różnych powodów uznamy za stronnicych. Tę procedurę nasz młody kandydat również przeskoczył, gdy zaczął mówić o świadkach. Ja natomiast przestrzegam porządku w skrupulatny sposób.

Jeśli chodzi o odrzucenie członka trybunału, wielokrotnie jest ono uzasadniane powiązaniem jednego z sędziów z oskarżonym – na tle rodzinnym lub wspólnie prowadzonych interesów. W ten sam sposób trybunał może na tym etapie procesu ustalić, że nie istnieją powiązania pomiędzy wyznaczonym oskarżycielem a samym oskarżonym. Mnie poza obywatelstwem rzymskim nic z Gnejuszem Korneliuszem Dolabellą nie łączy. Nie prowadzę z nim interesów ani nie mam związków rodzinnych. Ale czy tak samo jest w przypadku młodego Cezara?

Marek Tulliusz Cynceron po raz ostatni zatrzymał się i przypuścił ostateczny atak.

– Obawiam się, że Gajusz Juliusz Cezar nigdy nie będzie obiektywnym ani bezstronnym uczestnikiem tego procesu. Nasz młody adwokat jest bratankiem Gajusza Mariusza, wieloletniego przywódcy popularów, podczas gdy oskarżony

Dolabella był, jak wszyscy wiemy, prawą ręką Sulli, przywódcy optymatów. A jeśli ten podskórny, lecz wyraźnie polityczny konflikt nie wystarczy, żeby odrzucić Juliusza Cezara jako oskarżyciela... – tym razem nie użył przymiotnika młody, jakby wobec ciężaru argumentów, które przytaczał, nie musiał już podkreślać braku doświadczenia swojego konkurenta – jeśli on nie wystarczy, dodam tylko, że Juliusz Cezar jest mężem Kornelii, córki Cynny, potężnego poplecznika Gajusza Mariusza. Sulla, szef Dolabelli, wielokrotnie prześladował Juliusza Cezara z powodu tego małżeństwa i nakłaniał go do... – Cynceron machnął ręką. – Nie chcę jednak nudzić trybunału wspomnianiem tego, co wszyscy wiemy. Problem polega na tym, że Juliusz Cezar nie staje tutaj w imieniu Macedończyków jako oskarżyciel w sprawie o malwersacje i nadużycia przeciwko rzymskiemu namiestnikowi, lecz szuka niepokojącej i nieumiarkowanej zemsty.

Cisza.

Cynceron odetchnął głęboko.

– A przecież proces w rzymskiej bazylice przed godnym trybunałem w *quaestio perpetua de repetundis* to nie miejsce na osobistą zemstę. Gajusz Juliusz Cezar nie może, nie powinien zostać wyznaczony na oskarżyciela w tym procesie. Jego brak doświadczenia, jego błędy proceduralne, które już zdążył popełnić, jego relacje rodzinne i skłonności polityczne czynią z niego nie oskarżyciela, lecz najemnika wysłanego przez największych radykałów, by sprawić, żeby znów popłynęła krew. A to nie jest miejsce na dokonywanie zemsty ani na przelew krwi, powtarzam, tutaj panują prawo, legalizm i sprawiedliwość.

Cynceron zamilkł i opuścił ręce. Był wyczerpany z powodu wysiłku i gwałtowności swoich ostatnich słów. W całej sali rozległy się burzliwe oklaski. Było jasne, kto wygrał *divinatio*. A kto je przegrał.

ROZDZIAŁ VIII

Zaskakujące rozstrzygnięcie

Bazylika Sempronia, Rzym

77 r. p.n.e., tego samego popołudnia

Publiczność widziała jasno, jaki powinien być wynik głosowania, ale to trybunał miał podjąć decyzję. A ta okazała się, co tu dużo mówić, nietypowa.

Po ogłoszeniu werdyktu pięćdziesięciu dwóch sędziów opuściło główną salę bazyliki jednym wyjściem, podczas gdy publiczność skierowała się do innego. Senatorowie wyszli zadowoleni, pewni, że udało im się oszczędzić dużo pracy, ponieważ na głównego oskarżyciela wybrali młodego i niedoświadczonego Juliusza Cezara. Wielu z nich uśmiechało się i było w pełni rozluźnionych. Za to lud miał raczej mieszane uczucia: Cynceron byłby znacznie solidniejszym oskarżycielem przeciwko skorumpowanemu Dolabelli, jednemu z dawnych przybocznych Sulli, którzy wzbogacili się, jak wszyscy wiedzieli, w pokrętny sposób. Tyle że uczucia ludu, choć tak jednoznaczne, nie miały podczas procesu żadnego znaczenia. Sędziowie brali pod uwagę jedynie dowody i mowy stron, i na tej podstawie wydawali wyrok. A może nie? Tak więc wybór oskarżyciela zaskoczył wszystkich. Lud mógł się jedynie pocieszać, że Cezar być może okaże się godnym następcą Mariusza i w taki czy inny sposób uda mu się dokonać zemsty, o jaką oskarżał go Cynceron. Ludzie nienawidzili Dolabelli, ale z ciężkim sercem przyjmowali do wiadomości, że na oskarżyciela wyznaczono bez wątpienia mniej doświadczonego z dwóch kandydatów. Co bystrzejsi przedstawiciele plebsu wyczuwali, że senatorowie dopuścili się pewnej manipulacji. Inni natomiast wychodzili z budynku nieco otumanieni tym, co usłyszeli, oraz nieoczekiwaną decyzją i nie wiedzieli, co o tym wszystkim myśleć. Juliusz Cezar wspomniał

przynajmniej, że miał świadków gotowych zeznawać przeciwko Dolabelli. To już było coś. Dawało im nadzieję.

Cyceron przyjął zaskakujący werdykt trybunału z godnością i nie okazał uczuć, choć niewątpliwie był rozczarowany. Szybko zebrał swoje notatki.

Cezar, w towarzystwie nieodłącznego Labienusa, tak się nie spieszył.

– Nie, Tytusie – powiedział. – Papirusy z notatkami przeciwko Dolabelli włóżmy do tego kosza, a do tamtego te z argumentami, jakich spodziewamy się od jego obrońców.

Swoją nieudolną retorykę próbował podbudować przynajmniej porządkiem i systematycznym archiwizowaniem wszystkich zapisków zrobionych na potrzeby procesu. Werdykt sędziowski niezwykle podniósł go na duchu. Jego sekretna strategia się powiodła.

– Nie poszło nam wcale tak źle – uśmiechnął się półgębkiem.

– Nam? – Tytus Labienus był zaskoczony liczbą mnogą.

– Bez twojej pomocy nie udałoby mi się tego osiągnąć – podkreślił Cezar.

Labienus się uśmiechnął.

– Wiele ci zawdzięczam, ledwie zacząłem spłacać dług, jaki mam wobec ciebie.

Cezar wiedział, że Labienus nawiązał do tego, co wydarzyło się podczas oblężenia Mityleny.

– Między przyjaciółmi nie ma miejsca na długi – odparł, porządkując niezliczone zwoje papirusu na stole.

Labienus odpowiedział mu kolejnym uśmiechem. Taki był ten jego przyjaciel. A on sam i tak wiedział, że wiele..., że wszystko zawdzięcza Juliuszowi Cezarowi.

– Pewnego dnia będziesz ze mnie dumny tak naprawdę, nie dlatego, że pomogłem ci uporządkować papirusy czy podsunąłem parę pomysłów przeciwko temu nędznikowi Dolabelli – dorzucił.

Cezar miał mu odpowiedzieć, ale właśnie mijający ich Cyceron zatrzymał się na chwilę i zwrócił się do nich.

– Mam nadzieję, że poprawisz się podczas *reiectio* i kolejnych etapów procesu, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, że wytrwasz choć pół dnia naprzeciw Hortensjusza i Kotty. Przypuszczam, że wiesz, dlaczego to ty zostałeś wybrany, a nie ja.

Juliusz Cezar odczekał kilka sekund. Bardziej niż ktokolwiek inny był świadomy, że jego mowa była nie najlepsza z formalnego punktu widzenia, ale poczuł potrzebę odparowania ataku.

– Być może ty przemawiałeś bardziej błyskotliwie, ale ja miałem lepsze argumenty oraz zapowiedziałem moich świadków – odparł kategorycznie, broniąc decyzji trybunału jako usprawiedliwionego wyniku porządnej walki. – Próbowałeś sobie z tego żartować, ale uważam, że trybunał mógł uznać mnie za bardziej zaawansowanego w pracach nad oskarżeniem i ocenić, że wcześniejsze przywołanie świadków nie jest błędem, lecz inteligentną strategią.

Teraz to Cynceron się uśmiechnął, choć cynicznie, jednocześnie kręcąc głową.

– A więc nie jesteś świadomy, nie masz najmniejszego pojęcia, dlaczego trybunał wybrał właśnie ciebie. Na Herkulesa, Hortensjusza i Kotta będą mieli zadanie jeszcze łatwiejsze, niż sądziłem, a na pewno twój *cursus honorum*, twoja kariera polityczna, jeśli aspirowałeś do takowej, zakończy się w tej bazylice w dniu, w którym rozpocznie się proces. A będzie on najkrótszy z dotychczasowych i to z powodu twojej niezwyklej nieudolności.

Labienus gwałtownie wtargnął między obu mężów i Cynceron cofnął się o krok. Kilku jego pomocników również przyłączyło się do sceny, stając naprzeciwko Labienusa. Juliusz Cezar wziął przyjaciela pod ramię i skłonił go do wycofania się, ale jedną kwestią było zapobieżenie przemocy, a drugą pozwolenie, żeby Cynceron publicznie mu ubliżał, w samym środku bazyliki Sempronii.

– Wybrali mnie, ponieważ zauważyli, że zebrałem więcej świadectw i dowodów przeciwko Dolabelli niż ty, to wszystko – powiedział wyzywająco. – Ty mówiłeś o polityce i powiązaniach rodzinnych.

Na gest Cyncerona jego pomocnicy się odsunęli.

– Nie, przyjacielu, nie. Ty po prostu powiedziałeś trybunałowi o wszystkich argumentach, jakie zabrałeś przeciwko Dolabelli. Nie zachowałeś niczego, jak to zrobiłem ja. Teraz wiedzą, że nic z tego, co przedstawiłeś, nie jest wystarczająco miażdżące, więc Hortensjusz i Kotta z łatwością oddalą twoje zarzuty. Pokazałeś im wszystko, co masz, niczego nie zachowałeś na później, nie masz żadnej niespodzianki. Dolabella jest niemiłosierny. Oby twoi świadkowie dożyli dnia procesu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał zaskoczony Cezar.

– Zadziwia mnie poziom twojej naiwności – stwierdził Cynceron. – Chcę powiedzieć dokładnie to, co powiedziałem: oby inżynier i kapłan zdołali dotrzeć do czasu swoich zeznań przed trybunałem. Muszę ci wyjaśniać, jak działają senatorowie, gdy chodzi o obronę ich interesów? Muszę wyjaśniać to akurat tobie? Przecież na własnej skórze odczułeś brutalność Sulli i jego popleczników, takich jak Dolabella.

Juliusz Cezar nie odezwał się. Może jednak nie powinien był ujawniać imion głównych świadków, ale poprzedniej nocy poczuł, że ma niewiele argumentów, więc wspomnienie o obu zeznaniach wydało mu się dobrym pomysłem. Chciał sprawić na publiczności wrażenie, że jest dobrze przygotowany do procesu.

– Tak, sam to przyznajesz: twoja mowa była nieudolna, właściwa nowicjuszowi, początkującemu adwokatowi, który nigdy nie wyróżniał się w retorycznych popisach. – Cynceron przysunął się do Juliusza Cezara. – Wybrali cię, ponieważ z nas dwóch jesteś wyraźnie słabszy. Jesteś gorszym mówcą i poza tym nie umiesz ocenić, co należy w danym momencie powiedzieć. Jesteś przewidywalny i brak ci doświadczenia. A trybunał, tych pięćdziesięciu dwóch *iudices* zdecydowało się na słabszego przeciwnika dla swojego przyjaciela senatora Dolabelli. Wybrali cię, Gajuszu Juliuszu Cezarze, bo jesteś najgorszym możliwym oskarżycielem.

Cisza była tak gęsta, że można było ciąć ją nożem.

Bazylika opustoszała; zostali w niej jedynie Cezar, Labienus, Cynceron i dwóch jego pomocników.

– Milczysz, a zatem myślisz – zauważył Cynceron. – Dobrze, na wszystkich bogów, może jest jeszcze nadzieja. – Zacerpnął powietrza. – Słuchaj, młody Cezarze, dam ci jedną radę. Dam ci ją, ponieważ nie podobają mi się Dolabelle tego świata, ponieważ wierzę, że należy skończyć z korupcją, która podkopuje fundamenty państwa rzymskiego i grozi, że zniszczy wszystko, co mamy. Jeśli jesteś inteligentny, będziesz umiał zinterpretować moje słowa i może z pomocą Fortuny, Minerwy i innych bóstw zupełnie nieoczekiwanie sprawisz przynajmniej, że obrońcy Dolabelli poczują się niepewnie.

– Niepotrzebne nam rady tego, kto przegrał *divinatio* – odparł z pogardą Labienus. Nie mógł już znieść takiego traktowania przyjaciela.

Ale Cezar podniósł rękę, nakazując mu milczeć.

– Co to za rada? – spytał.

Cynceron spojrzał najpierw na Labienusa.

– To nie jest rada przegranego, lecz tego, kto wygrał już trzy procesy. – Zwrócił się teraz w stronę Cezara. – Nie bądź oskarżycielem, nikt ich nie lubi. Stań się obrońcą.

Po tych z pozoru sprzecznych słowach Marek Tulliusz Cynceron odwrócił się i oddalił w towarzystwie dwóch pomocników.

– To jakiś absurd – powiedział Labienus. – W tym procesie obrońcami są Hortensjusz i Kotta, a ty masz oskarżać. Jego słowa nie mają sensu. Rozumiesz, co chciał powiedzieć? On sobie z nas drwi. To wszystko.

– Nie, nie wiem, co chciał powiedzieć – przyznał Cezar. – Ale z całą pewnością Cynceron nienawidzi korupcji tak samo jak ty i ja, możliwe też, że w jego słowach czai się prawda – dodał, wpatrując się w zamyśleniu w podłogę. – Nie drwi sobie z nas.

– Ale oskarżyciel nie może być obrońcą – upierał się Labienus. – To niemożliwe. To...

– To zagadka – przerwał mu Cezar, nadal wbijając wzrok w marmur bazyliki. – Trzeba być obrońcą oskarżającym... – dodał cicho.

– Dwoma naraz?

– Dwoma naraz – potwierdził Cezar i wreszcie na niego spojrzął.

– Ale jak to zrobić?

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

Domus rodziny Juliuszów

Tej samej nocy

Znajdowali się w sypialni.

Obejmowali się.

Juliusz Cezar opierał się na poduszkach, prawie siedział. Kornelia zwinęła się w kłębek u jego boku, szczupłymi ramionami obejmując szyję małżonka, który czuł pieśczość jej delikatnych dłoni.

– Sędziowie wybrali mnie na oskarżyciela, bo jestem najgorszym kandydatem – stwierdził Juliusz Cezar.

– Wybrali cię, ponieważ sądzą, że jesteś najgorszym kandydatem – podkreśliła Kornelia z głową opartą na jego piersi. Następnie pocałowała go w mostek.

Uśmiechnął się na ten gest miłości i wyraz wsparcia.

– Zawsze jesteś dla mnie czuła, zawsze znajdziesz słowa, które mnie rozchmurzą. Dobrze się stało, że zaryzykowałem dla ciebie życie.

– Cieszę się, że tak myślisz – odparła, przyciskając policzek do jego piersi. – Wiele wycierpiałam w tamtym czasie. Wszystko byłoby dla ciebie łatwiejsze, gdybyś tylko... – Podczas rozprawy Cynceron nie podał szczegółów tamtych wydarzeń i ona nie zamierzała teraz tego robić. – Wszystko byłoby dla ciebie łatwiejsze, gdybyś zrobił to... czego domagał się od ciebie Sulla. Niemniej jednak nigdy... mnie nie opuściłeś. Mogę więc przynajmniej być dla ciebie najlepszą żoną tutaj – przesunęła nagie nogi po prześcieradle – i we wszystkim, co robisz. Sędziowie myślą, że jesteś gorszy niż Cynceron, ale tylko tak myślą. To od ciebie,

i tylko od ciebie zależy, mój małżonku, czy będą mieli rację, czy nie. Ja uważam, że się mylą. Właściwie to nawet jest coś, z czym się nie liczą.

Cezar spojrział na nią zaintrygowany.

– Co?

Kornelia uniosła się i spojrzała mu w oczy.

– Nie jesteś tak zły, tak nieudolny ze słowami – powiedziała pewnym głosem. – Tylko udawałeś.

Cezar milczał.

Ona też nagle zamilkła. Wiedziała, że dotknęła tajemnicy, sekretnego podstępu swojego małżonka. Przestraszyła się, że pogniewa się na nią za to, że zdała sobie sprawę z jego strategii.

– Zgadza się, udawałem gorszego mówcę, niż jestem – przyznał wreszcie. – Myślisz, że ktoś jeszcze o tym wie?

– Twoja matka podejrzewa, ale oczywiście nikomu nie powie. Twoje siostry się nie zorientowały. Są naprawdę przygnębione, że wykazałeś się dziś niewielkimi umiejętnościami, ale cieszą się, że mimo wszystko cię wybrano. Sądzę, że twój wuj również niczego nie zauważył: Kotta cię nie docenia. A sędziów z całą pewnością oszukałeś.

Cezar uważnie jej słuchał. Kornelia przeprowadziła szczegółową analizę reakcji wszystkich ważnych osób. Zawsze sądził, że jego małżonka jest inteligentna, ale wciąż jej przenikliwość czasami go zdumiewała.

– Możesz ich zaskoczyć, zaskoczysz ich: oczekują, że usłyszą najgorszy akt oskarżenia, a tak się nie stanie – mówiła dalej Kornelia. – Wiem, że dobrze go przygotujesz, wiem, że się przestraszą. Dlatego tak się boję...

Kornelia ponownie spuściła wzrok i mocniej przycisnęła swoje drobne ciało do muskularnej piersi małżonka.

– Dlaczego boisz się, że ich zaskoczę? To byłoby dobre.

Nieznacznie pokręciła głową, ale Cezar zauważył ten gest – była tak blisko niego. Wiedział, co on oznacza.

– Ich strach to nowy wyrok śmierci wiszący nad twoją głową – wyjaśniła. – Tym razem nie zostanie on jednak ogłoszony, będzie nielegalny. Jakiś najemnik zabije cię w ciemnym zaułku.

Cezar milczał.

Przez chwilę żadne z nich nie przerywało ciszy, ale obojgu wydała się ona krótka, bo objęci czuli nawzajem bicie swoich serc.

Cezar kilkakrotnie zamrugał. Niewątpliwie wszyscy, którzy próbowali coś zmienić – jak przypomniał mu Labienus – już nie żyli. Rzeczywiście oskarżenie jednego z optymatów zwykle kończyło się rozlewem krwi oskarżyciela, który dobrze wykonał swoją pracę. Dolabella był przedstawicielem starego świata, w którym kilku niezwykle bogatych senatorów kontrolowało wszystko na oczach zubożałego ludu, Italików bez obywatelstwa rzymskiego, tracących władzę we własnych miastach, i garstki mieszkańców prowincji, niemogących doczekać się skazania w Rzymie skorumpowanych namiestników-wyzyskiwaczy. Wszystko to jednak miało się zmienić. Jeśli Rzym chce przetrwać własny sukces, musi się zreorganizować i trzeba wyrwać z korzeniami tę niepohamowaną korupcję.

– Naprawdę uważasz, że mogę zrobić to dobrze i ich zaskoczyć?

– Tak – wyszeptała, jakby żałowała, że tak go wsparła w tym przekonaniu.

Znów milczeli.

– Czy mogę w inny sposób usłużyć mojemu małżonkowi? – spytała wreszcie Kornelia, próbując zmienić kierunek jego myśli, skupić je na sobie samej, żeby przestał zastanawiać się, jak zaskoczyć przeciwników podczas procesu. Właściwie lepiej, żeby przegrał tę sprawę. Od tego zależało ich przetrwanie.

– Możemy zrobić to raz jeszcze?

– Możemy – odparła, przestając ważyć w myślach, co lepsze: czy żeby Cezar przegrał, czy wygrał proces.

Zaczął pieścić jej stopy. Nie spieszył się. Chciał tylko odczuwać przyjemność z delikatnego kontaktu z jej skórą. Przesunął dłonie po jej nogach. Kornelia zamknęła oczy. Cezar pieścił ją dalej i uśmiechał się do siebie: nawet Kornelia się

nie zorientowała. Delikatnie dotykał jej ud. Nie był nieudolnym mówcą. Miała rację, tylko udawał. Osiągnął cel: został wyznaczony przez skorumpowany trybunał, który szukał najgorszego oskarżyciela. Cezar ponownie wspomniał słowa wuja Mariusza, które usłyszał przed laty w tawernie po bójce z innymi chłopcami na Polu Marsowym: „Możesz udać, że jesteś tchórzem, i wcale nim nie być, możesz udać, że jesteś kiepski, i wcale taki nie być. Najważniejsze jest zwycięstwo. Nieważne, czy nazwą cię tchórzem. Nie stawaj do walki, dopóki nie uwierzysz w swoją wiktoria. Pamiętaj się tylko tego, kto zwyciężył. Wszystko, co wydarzyło się przed walką, zostaje zapomniane. Pamiętaj, chłopcze, nie rzucaj się do walki, jeśli nie możesz jej wygrać”.

Tak, zastosował się do tej rady i wszystko poszło świetnie. Brak ataku był jego zagrywką.

Dotknął wzgórze łonowego małżonki. Kornelia wygięła się, ale nie zmieniła pozycji. Pozwalała, by robił z nią, co chce. Oddała mu się, czuła się z nim pewnie, była zakochana.

Cezar wspominał słowa wuja. Rozumiał tamto przesłanie, ale nie wiedział, co chciał mu poradzić Cynceron. Jak miał zostać obrońcą w sprawie, w której został wyznaczony jako oskarżyciel?

Jego członek podniósł się. Małżonka jęczała.

Trzeba zająć się innymi sprawami.

Ostrożnie oparł się o piękne ciało Kornelii.

Domus Gnejusza Korneliusza Dolabelli

W tej samej chwili

Dwie niewolnice u jego stóp zachowywały się bardzo cicho. Bały się, że pan obudzi się i znowu zacznie je bić. Od jakiegoś czasu osiągał przyjemność jedynie w taki sposób. Jedna z nich krwawiła z pleców, ale nie wydobył się z niej nawet jęk.

Dolabella leżał ogromnym brzuchem do góry. Nie spał, starał się tylko wyrównać oddech. Coraz trudniej było mu się poruszać. Nawet bicie niewolnic go męczyło. Ale czuł się szczęśliwy. *Divinatio* się udało. Przynajmniej z pozoru. Jego obrońcy pożą tego durnego Juliusza Cezara. Pozostała kwestia, co zrobić z impertynenckim bratankiem Gajusza Mariusza po procesie. Może zgodnie z życzeniem Sulli zadać mu wreszcie śmierć?

Uśmiechnął się. Podobał mu się ten pomysł.

Nagle pojawiła się wątpliwość. A jeśli powtarzane po wielokroć ostrzeżenia Sulli, że młody Juliusz Cezar naprawdę jest niebezpieczny, były słuszne? Mógł nieudolnie wystąpić w bazylice, ale w przeszłości w niejednej sytuacji okazał śmiałość. Nie, jeśli dobrze pomyśleć, ten wynik *divinatio* nie przynosił spokoju. Coś mu przeszkadzało. Musiał się wyżyć. Jeszcze raz.

Usiadł.

Niewolnice zaczęły drzeć.

Domus rodziny Juliuszów

Pół godziny później

Juliusz Cezar wygiął plecy nad małżonką i wydał z siebie jęk rozkoszy. Kornelia objęła go z całej siły, czując, jak w niej wybucha. Chciała mu coś powiedzieć na ucho, ale ekstaza ją również pochłonęła i sprawiła, że przez kilka chwil nie mogła wydobyć z siebie słowa. Potem niewiele rozmawiali, odzyskując równy oddech, przytuleni.

– Jestem pewna, że jesteś najlepszy tutaj, we mnie, i tam, w bazylice. Najlepszy.

Ostrożnie, starając się nie zrobić jej krzywdy, wyszedł z niej i położył się na plecach. Zamknął oczy.

Oddychali spokojnie po wysiłku. Zaczęła się *prima vigilia*. Zapadła noc, ciemności pokryły gigantyczny Rzym i niewolnicy zapalali łuczywa w korytarzu –

cienie igrały na ścianach. Oczywiście nikt ze służby nie ośmielał się wejść do sypialni państwa.

Cezar nagle otworzył oczy.

– To proste! Na Jowisza! – krzyknął, choć nie za głośno, jakby nie chciał zdradzić się ze swoim odkryciem, tylko podzielić się nim z małżonką. – Już wiem, co chciał mi powiedzieć Cynceron w bazylice, to ma sens. – Odwrócił się do Kornelii, ale ta mu nie odpowiedziała. Zasnęła zaspokojona, wyczerpana pasją, szczęśliwa z powodu miłości, jaka ich połączyła.

Cezar uśmiechnął się. Czule pocałował ją w policzek, usiadł, sięgnął po prześcieradła, okrył nimi ciała ich obojga, a potem objął żonę i ponownie położył się u jej boku.

– Będę obrońcą, a nie oskarżycielem, Kornelio – wyszeptał, chociaż wiedział, że ona i tak go nie słyszy. Mimo wszystko pragnął wypowiedzieć tę myśl. – To ma sens. Ten Cynceron jest mądry. Muszę połączyć jego pomysł z radami Gajusza Mariusza.

Cezar zamknął oczy.

Gajusz Mariusz. Jego wuj. Jego wspomnienie.

Zasnął.

Memoria secunda

GAJUSZ MARIUSZ

Wuj Cezara

Siedmiokrotny konsul

ROZDZIAŁ IX

Powrót Mariusza

Pole Marsowe, Rzym

90 r. p.n.e., trzynaście lat przed procesem Dolabelli

– Wstawaj, tchórze! – krzyczeli chłopcy do leżącego na ziemi kolegi, którego twarz i ramię krwawiły.

– Tchórz, zdrajca! – szydziły dzieci w rosnącym kręgu na skraju Pola Marsowego, gdzie przychodzili synowie arystokratycznych rodzin rzymskich, żeby ćwiczyć walkę wręcz, musztrę, jazdę konno oraz obycie z bronią.

Bójki w tym miejscu nie zwracały uwagi strażników miejskich. Mogło chodzić o ćwiczenia.

Ale nie tym razem.

Leżący chłopak miał ledwie dziewięć lat.

Został kopnięty w brzuch.

– Dalej, Cezarze, wstawaj i walcz! W końcu pochodzisz od bogów!

Śmiali się i krzyczeli, nazywali go zdrajcą. Nie z jego powodu, tylko dlatego, że był... Kolejne ciosy w zębra i w twarz zamroczyły młodego Juliusza Cezara.

Tytus nie myślał wiele, po prostu wtrącił się w bójkę, która sprawiała wrażenie linczu. Wydawało mu się to niewłaściwe, okrutne, a nienawidził niesprawiedliwości. Sam nie skończył jeszcze dziesięciu lat. Jego interwencja była oznaką honoru, ale niekoniecznie pomagała w tej chwili Cezarowi.

– Zostawcie go, nędznicy! – rzucał się Tytus Labienus.

Zaskoczyło ich, że ktoś okazał się na tyle głupi, żeby wstawić się za bitym chłopakiem. Ich było znacznie więcej. Krąg składał się z jakiejś pięćdziesiątki młodzików, choć bójkę wszczęło tylko trzech.

Tytus Labienus od samego początku wszystko to obserwował. Nie ocenił jednak swoich możliwości ani nie zastanowił się nad strategią, po prostu jednego z trzech prowodyrów walnął pięścią w twarz, a drugiego w brzuch. Reszta się zawahała. Ale trzeci z prowokatorów bójki wiedział, że otacza go wielu chłopców, którzy myślą jak on: Cezar to członek rodziny, która zdradziła Senat i Rzym. Wybuchła właśnie nowa wojna, miasto znalazło się w niebezpieczeństwie i wszystkie obecne tu dzieci, synowie optymatów, powątpiewały w lojalność Cezara i jego krewnych, o których słyszeli najróżniejsze rzeczy. Lanie, jakie mieli sprawić chłopakowi, który przychodził się z nimi szkolić, było kwestią czasu.

– Też dostaniesz to, na co zasłużyłeś, na Jowisza – powiedział z wściekłością trzeci z prowodyrów linczu.

– Nie jest nawet jednym z nas – rzucił inny. Tytus Labienus nie wywodził się z patrycjuszy, lecz z ekwitów, którzy z perspektywy optymatów, rządzących w tamtym momencie w Rzymie, byli klasą gorszą.

Labienus przełknął ślinę.

Zacisnął pięści, przygotował się do obrony i na ciosy.

Wtedy Juliusz Cezar podniósł się i stanął u jego boku. Krwawił z otwartej rany na łuku brwiowym i drugiej na ramieniu.

– Dziękuję – powiedział cicho.

Nie mieli czasu na więcej. W jednej chwili pozostali rzucili się na nich jak banda dzikusów.

Kotłowanina ramion i nóg, ciosy, kopnięcia, a nawet ugryzienia.

– Co tu się dzieje?

Poważny głos dorosłego. Jakiegoś weterana.

Ten, kto ma wrodzony autorytet, nie musi powtarzać pytań.

Upojeni przemocą chłopcy zastygli i się rozdzielili. Jedni lizali rany, drudzy klepali się po głowach, sprawdzając, czy nadal mają je na swoim miejscu. Cezar przytrzymał rękę przy ciele. To ona najbardziej go bolała, choć czuł też krew

spluwającą po twarzy. Labienus masował ramię: był pewien, że ktoś go ugryzł, ale ubranie zapobiegło większym szkodom.

Gajusz Mariusz czekał na odpowiedź.

Postawna sylwetka sześciokrotnego konsula, otoczonego przez osobistą gwardię zaprawioną w bojach w Afryce i w wojnach z Teutonami i Cymbrami, wydała im się olbrzymia w świetle południa.

Wszyscy chłopcy rozpoznali Mariusza, gdyż mimo jego sporów z optymatami Rzym pełen był posągów przywódcy popularów. Wrogowie chętnie by je zniszczyli, ale nie śmieli tego zrobić. Nawet podczas jego długich nieobecności w mieście. Nie śmieli tego zrobić... przynajmniej do tej pory.

Cezar z kolei codziennie widział marmurowe popiersie wuja w atrium swojego domu. Zaciekawilo go to, że Mariusz z krwi i kości okazał się jeszcze groźniejszy. Tak pewnie działały jego wygląd, zdecydowane ruchy i głos. Albo eskorta złożona z uzbrojonych weteranów licznych wojen. Albo wszystko naraz.

Pierwszy raz widział wuja na żywo. Przez całe dzieciństwo bratanka Mariusz przebywał poza Rzymem. Wygnanie wymusili na nim optymaci po brutalnych wydarzeniach sprzed blisko dziesięciu lat, kiedy popularzy dopuścili się zabójstwa kandydata na konsula Memiusza, a ich przeciwnicy dokonali egzekucji Glaucji i ukamienowali Saturninusa. Tamtej naznaczonej przemocą nocy Gajusz Mariusz wyjechał z Rzymu i władzę przejęli najwięksi konserwatyści wśród senatorów.

Ale teraz wrócił.

Właściwie to bójka była spowodowana tym faktem. W Rzymie mówiło się tylko o Mariuszu, o zdradzie i sprzymierzeńcach.

– Walczyliśmy, *clarissimus vir* – odpowiedział Juliusz Cezar na pytanie konsula, ale nie wyjaśnił powodów bójki ani jej przebiegu.

Gajusz Mariusz powoli przebiegł wzrokiem po kręgu młodzieńców. Wszyscy spuścili głowy, czując na sobie spojrzenie zaprawionego w bojach męża.

Były konsul wyczuwał bijącą od nich – od wszystkich poza chłopcem, który mu odpowiedział, i drugim, który stał u jego boku – mieszaninę pogardy i strachu.

Więcej tego drugiego. Nieobecny w ostatnich latach, nie znał swojego bratanka, choć w tym młodziku – w krwawiącej twarzy – zdawał się rozpoznawać rysy Aurelii. Nie był jednak pewny.

– Który z was to Gajusz Juliusz Cezar? – spytał.

Krótką cisza.

Sam Cezar zdał sobie sprawę, że wuj nie mógł go rozpoznać.

– To... ja, najjaśniejszy mężu – powiedział wreszcie.

Mariusz ponownie przebiegł wzrokiem po wszystkich chłopcach, myśląc sobie: „A więc linczują mojego bratanka”. Westchnął. Nikt nie musiał wyjaśniać mu powodów bójki. Dobrze, że w odpowiedniej chwili znalazł się na Polu Marsowym.

– Chodź ze mną – powiedział Cezarowi.

Ten spojrział w stronę Tytusa Labienusa. Znał jego imię, spotkał go już podczas ćwiczeń, ale do tej pory właściwie nie zamienili ze sobą słowa.

– Dziękuję – powiedział na pożegnanie.

Labienus miał mu właśnie odpowiedzieć, gdy poważny głos Gajusza Mariusza jeszcze raz wybrzmiał na zboczu.

– Ty, jak się tam nazywasz, też pójdziesz ze mną. Inaczej te dzikusy zaraz się na ciebie rzucą.

Synowie optymatów musieli przełknąć obrazę.

Tytus spojrział na Cezara, na byłego konsula i bez zwłoki usłuchał polecenia.

Dwóch chłopców poszło śladem Gajusza Mariusza, eskortowali ich weterani.

ROZDZIAŁ X

Tylko zwycięstwo się liczy

Na ulicach Rzymu

90 r. p.n.e., tego samego dnia

Szli żwawo i prędko znaleźli się na Forum Boarium, a stamtąd skierowali się w stronę rzeki.

Ani młody Cezar, ani Labienus nie wiedzieli, dokąd zmierzają.

Ale weterani z eskorty byłego konsula – tak.

Doszli do tawern położonych przy porcie rzeczny i Gajusz Mariusz wszedł do tej największej i najbardziej zatłoczonej. Jego ludzie torowali mu drogę, pilnując, żeby jakiś zdeorientowany pijus jej nie zatarasował.

Mariusz zatrzymał się przy najlepszym stole, przy wielkim oknie, skąd delektując się dobrym winem, można było obserwować statki ruszające do Ostii. Zajmowali go marynarze oczekujący na wypłynięcie, ale gdy tylko rozpoznali nowo przybyłego i jego dawnych legionistów, natychmiast zerwali się z miejsc, pochylili głowy i zniknęli, rzucając parę monet karczmarzowi.

– Siadajcie – powiedział Mariusz bratankowi i Labienusowi.

Karczmarz podszedł do ich stołu.

– Pochwaleni niech będą bogowie! Co za zaszczyt, co za zaszczyt dla mego domu! – wykrzykiwał autentycznie rozradowany.

Jak wielu w Rzymie, wielbił Gajusza Mariusza. Zawsze gdy miasto popadało w niebezpieczeństwo, były konsul je ratował. A teraz Rzym ponownie był zagrożony, ale wrócił Mariusz, wielki Mariusz, zwycięzca w wojnach w Afryce i przeciwko Cymbrom i Teutonom. Wszystko teraz będzie dobrze.

– Mniej słów, karczmarzu – powiedział poważnie Mariusz, ale nie był rozgniewany – a więcej jedzenia i napitku. Wiesz, czego mi trzeba.

– Oczywiście, oczywiście – karczmarz zawahał się, patrząc na dwóch młodzików. – Wino i ser dla wszystkich?

Mariusz zrozumiał jego wahanie. Spojrzał na towarzyszących mu chłopców i spytał ich tubalnym głosem:

– Karczmarz chce wiedzieć, czy jesteście mężami, czy dziećmi.

Cezar i Labienus spojrzeli po sobie: nie nosili jeszcze togi *viril*, męskiego odzienia obywateli rzymskich, ale odpowiedzieli jednocześnie, choć cicho i lekko niepewnie:

– Mężami, *clarissimus vir*.

Przełknęli ślinę.

Były konsul widział na ich szyjach bulle, amulety, które poświadczały, że Rzymianin jeszcze jest dzieckiem, ale walnął pięścią w stół, odchylił głowę do tyłu i roześmiał się donośnie. Jego weterani oraz wielu z gości, a także sam karczmarz również zaczęli się śmiać.

Wtedy Mariusz spoważniał i rozejrzał się po obecnych.

– Śmiejecie się z mojego bratanka? – chciał wiedzieć.

Wszyscy od razu zamilkli.

Mariusz wbił wzrok w Cezara i Labienusa.

– Dzisiaj walczyliście jak mężowie. Głupi, ale mężowie. Świadczy o tym krew z waszych ran. – Odwrócił się do karczmarza. – Słyszałeś: są mężami. Wino i ser dla nas trzech. I dla moich weteranów.

Karczmarz skłonił głowę i wybiegł po najlepszy trunek i najlepsze jedzenie.

Mariusz podniósł lewą rękę, nie przestając wpatrywać się w chłopców.

Podszedł do niego jeden z weteranów.

– Przyrowadź mi medyka, szybko – rozkazał były konsul.

Żołnierz przyłożył pięść do piersi.

– Tak jest, najjaśniejszy mężu – powiedział i szybko się oddalił, żeby wypełnić rozkaz.

– Trzeba zająć się tymi ranami – wyjaśnił Mariusz młodzikom, wpatrując się w twarz bratanka. – Muszę dopilnować, żeby matka cię takim nie zobaczyła, inaczej wszystkie rzymskie legiony nie uchronią mnie przed jej gniewem. Twoja matka potrafi być gorsza niż horda dzikich, uzbrojonych po zęby Teutonów, chłopcze. Gdy się wścieka, jest zdolna do wszystkiego.

Zabrzmiało to jak żart, ale tym razem Gajusz Mariusz się nie roześmiał.

Cezar również zachował powagę. Jego matka była łagodna, gdy chciała, ale miała żelazny charakter.

– Nie jesteśmy głupi – wyjaśnił wujowi, nawiązując do słowa, jakim ich przed chwilą określił.

– Ach, na Herkulesa – zakrzyknął Mariusz. – Mój bratanek odziedziczył determinację, a nawet śmiałość po matce. Mówisz, że skłamałem albowm powiedział coś idiotycznego?

– Nie, ale... – Cezarowi zaschło w gardle, nie mógł znaleźć słów.

Karczmarz przyniósł dzban wina i talerz pełen kawałków dojrzałego sera oraz trzy puchary wykonane z *terra sigillata*, najlepsze, jakie posiadał. Używał ich jedynie na wielkie okazje. Chciał im nalać wina, ale były konsul machnął ręką i kazał mu się natychmiast oddalić.

Gajusz Mariusz sam nalał obficie wina do trzech naczyń.

– Pij – powiedział do bratanka. – Potrzebujesz tego. Może rozwiąże ci się język.

Młody Cezar przystawił puchar do ust i pociągnął kilka łyków. Niezbyt dużo, wystarczająco, żeby odczuć w gardle pieczenie wywołane przez alkohol, ale nie na tyle, żeby zgasić pragnienie.

Labienus powtórzył jego gesty.

– No dobrze... – Gajusz Mariusz oparł ciało o stół. – Dwóch przeciwko ilu? Dwudziestu? Było ich tam więcej, ale tłuło was może ze dwudziestu. To

idiotyczne zachowanie. Jak myślicie, ile bitew wygrałbym, stosując tę waszą strategię? – Wyprostował się, podniósł puchar do ust i pociągnął porządny łyk, opróżniając naczynie, które następnie z mocą postawił na stole. Nie odrywał wzroku od chłopców. – Nigdy nie bierz się do walki, jeśli przeciwnik ma dziesięć razy więcej ludzi. Wiedzą to nawet kretyni, z którymi walczyliście.

– Obrażali ciebie – usprawiedliwił się Cezar.

– Mogę to sobie wyobrazić. Większość tych młodzików to synowie optymatów, moich wrogów.

– Co niby miałem zrobić? – upierał się jego bratanek, który uważał, że dobry powód usprawiedliwia rzucenie się do walki z o wiele liczniejszym przeciwnikiem.

Gajusz Mariusz znów pochylił swoje olbrzymie ciało nad stołem, przez co znalazł się bliżej chłopców.

– Powinieneś się wycofać i poczekać na lepszą okazję, żeby ich zaatakować. – Ponownie się wyprostował i dolał sobie wina.

Naczynia młodzików były jeszcze pełne.

– Przynajmniej... – zawahał się Cezar, ale ostatecznie postanowił nadal się bronić. – Przynajmniej wiedzą, że jestem waleczny.

Mariusz rzucił na niego okiem i zatrzymał w powietrzu rękę z pucharem.

– Tak, bratanku, twoi wrogowie wiedzą, że jesteś waleczny... i głupi. Ty i twój przyjaciel. Dlaczego włączyłeś się do bójki? Jak ty się w ogóle nazywasz?

– Nazywam się Tytus, Tytus Labienus, najjaśniejszy mężu. Włączyłem się do bójki, bo... bo wydało mi się niesprawiedliwe, żeby tamci go zlinczowali.

– Świetnie, kolejny waleczny głupiec. Nic dziwnego, że trzymacie się razem.

Cezar był czerwony z gniewu, jaki wzbudziło w nim lekceważenie wuja. Nie tylko on. Dwaj zranieni w swej dumie chłopcy chcieli coś powiedzieć, ale były konsul podniósł otwartą dłoń. Pociągnął spory łyk wina, choć tym razem nie opróżnił naczynia.

– O mnie kiedyś myślano, że jestem tchórzem. Sądziły tak setki, nie, tysiące legionistów pod moim dowództwem, ale mimo to nie rzuciłem się do boju w sytuacji, w której mogliśmy jedynie zostać pokonani. Ja, Cezarze, Labienusie – wodził wzrokiem od jednego do drugiego – przełknąłem zranioną dumę, poczekałem na odpowiednią okazję i doprowadziłem do ostatecznego zwycięstwa, które, dobrze to sobie zapamiętajcie, jest jedynym, jakie się liczy: ostatecznym.

Chłopcy patrzyli na niego z pewnym niedowierzaniem. Nie dlatego, że udało mu się wygrać wojnę. O tym dobrze wiedzieli, jak wszyscy mieszkańcy Rzymu. Ten człowiek wygrał nie jedną, lecz dwie wojny oraz wiele bitew. Nie tylko to: zreformował rzymskie wojsko i zmodernizował legiony. Cezar i Labienus wątpili, żeby znalazł się choć jeden legionista, który uważałby, że sześciokrotny konsul Rzymu Gajusz Mariusz jest tchórzem.

Ten wydawał się czytać im w myślach.

– Sertoriuszu! – krzyknął.

Do stolika podszedł jeden z towarzyszących mu wojaków.

– Powiedz tym dwóm, kiedy wszyscy myśleli, wszyscy myśleliście, że jestem tchórzem.

Sertoriusz odchrząknął. To dawne przekonanie nigdy nie zostało wypowiedziane na głos.

– No już – nalegał Mariusz. – Próbuję nauczyć czegoś mojego bratanka i nie mam na to dużo czasu. Szykuje się trzecia wojna, czekają na mnie na froncie, więc gadaj wreszcie, na Jowisza!

Sertoriusz zaczerpnął powietrza i zaczął błagać bogów, by udało mu się dobrze sformułować odpowiedź.

– To było przed bitwą pod Aquae Sextiae, *clarissimus vir*.

W całej tawernie zapadła cisza.

Wszyscy uważnie słuchali.

– Zgadza się – potwierdził Gajusz Mariusz. – Przed Aquae Sextiae. Przez wiele dni, chłopcze, wszyscy moi ludzie myśleli, że twój wuj Gajusz Mariusz stał się

tchórzem. I wiesz co?

Cezar pokręcił głową. Obaj z Labienusem nie odrywali wzroku od weterana wojen i sporów politycznych w Rzymie. Nikt nigdy nie został wybrany na konsula sześciokrotnie. Przemawiała do nich żywa legenda miasta.

Gajusz Mariusz pochylił się nad stołem.

– Nieważne, co o tobie myślą, rozumiesz? – wyszeptał. Spojrzał na Labienusa.
– Rozumiecie mnie? Nikt nie staje się tchórzem, bo inni tak o nim myślą. Tchórzostwo nosi się w sobie. Nigdy nie byłem tchórzem. Na polu bitwy zawsze zachowywałem się... inteligentnie. – Odetchnął i oparł się na krześle. – W polityce niekoniecznie. Ale to inna historia. Teraz opowiem wam, kiedy i dlaczego moi ludzie nazywali mnie tchórzem za moimi plecami, bo nie odważyli się powiedzieć mi tego wprost, mimo że tak myśleli. Opowiem wam, kiedy i jak osiągnąłem dla Rzymu ogromne zwycięstwo, ponieważ jestem przywódcą, a konsul Rzymu musi wiedzieć, kiedy przełknąć własną dumę i postawić na dobro państwa i jedyną rzecz, która się liczy: ostateczne zwycięstwo. Opowiem wam o bitwie pod Aquae Sextiae.

ROZDZIAŁ XI

Memoria in memoria *

Gniew bogów

Rzym, 105 r. p.n.e.

Dwadzieścia osiem lat przed procesem Dolabelli

Pięć lat przed narodzinami Cezara

Mieli ich pochować.

Żywych.

– Nie! Nieceee! – wrzeszczeli mężczyźni.

– Litości! Litości! – błagały kobiety.

Dwie pary niewolników – Galowie i Grecy.

Ciągnęli ich po całym Forum Boarium między sprzedawcami bydła. Trzeba było zaprowadzić tę czwórkę nieszczęśników do dołu wykopanego na samym środku forum. Tak, mieli pochować ich żywych, jak czyniono to z westalkami, gdy złamały śluby czystości. Chodziło o to, żeby uśmierzyć gniew bogów. Wydawało się, że to zawsze działa, tyle że w ostatnim czasie westalki okazały się niezwykle bogobojne. Klęski wojenne pod Noreią, Burdigalą i Arauzjoną nie mogły być przypisane świętokradztwu kapłanek strzegących świętego ognia Westy. Mimo to Rzym znajdował się na skraju przepaści. Ambronowie, Cymbrowie i przede wszystkim siejący postrach Teutoni obozowali w południowej Galii, łupiąc terytoria sprzymierzone z Rzymem. Wojska konsulów poniosły trzy porażki w przerażających bitwach. Republika nie znajdowała się w takich opałach od czasów Hannibala, który zwyciężył legiony nad rzekami Ticinus, Trebia, Jeziorem Trazymeńskim i wreszcie pod Kannami. Po tej ostatniej klęsce, w której wiele

legionów zostało wybitych do nogi, spanikowani i zdesperowani Rzymianie sięgnęli *in extremis* po ofiary z ludzi. Od tamtej pory tego nie praktykowali. Ale po tym, jak gryźli piach pod Noreią i Burdigalą, porażka pod Arauzjoną armii odpowiadającej liczebnością dziesięciu legionom, na którą poza rzymskimi żołnierzami składali się też sprzymierzeńcy i najemnicy, wzbudziła przerażenie. Nic już nie stało między barbarzyńskimi hordami nadciągającymi z północy a miastem. W dodatku resztki wojsk zostały w dużej mierze przetransportowane do Afryki, żeby zakończyć długą wojnę przeciwko Jugurcie.

Obie pary niewolników broniły się, błagały o życie.

Ale strach Rzymian był niemiłosierny.

Wrzucili ich do dołu, nie okazując żadnych względów, jakie zwykle przysługiwały westalce – ta, schodząc do grobu, mogła skorzystać z drabiny. Niewolników po prostu zepchnięto.

Upadając, krzyczeli. Mężczyźni połamali kości, Galijka rozcięła sobie skórę na głowie i skuliła się w kącie otwartego grobu wykopanego w samym sercu oszalałego miasta, a krew spływała jej po twarzy. Druga kobieta tylko się potłukła i teraz biegła po dnie dołu wydrążonego w samych trzewiach Rzymu, nerwowo ostukując jego ściany, szukając czegoś, co pomogłoby jej się wydostać.

– Neeeeee! Na wszystkich bogów! – błagał galijski niewolnik, macając połamane kości prawej nogi.

Wybrano ich za pomocą losowania – nie zwracano uwagi na prowadzenie się, religię ani to, skąd pochodzili.

Niewolnicy usłyszeli ciężki, przytłaczający hałas nasuwanej gigantycznej płyty. Niebo stawało się coraz ciemniejsze.

Wkrótce czworo rannych, przerażonych niewolników znalazło się w cieniu. A zaraz potem ogarnęła ich czarna przestrzeń, w której echem odbijał się ich szloch. Zostali pogrzebani żywcem, żeby złagodzić gniew bogów.

* Wspomnienie we wspomnieniu.

ROZDZIAŁ XII

Memoria in memoria

Nowy Scypion?

Terytoria sporne między Rzymem a Cymbami i Teutonami, południowa Galia 105–103 r. p.n.e.

Być może rzymscy bogowie ulitowali się nad Rzymem.

Czuli się usatysfakcjonowani tą brutalną ofiarą?

Trudno to stwierdzić. W każdym razie Cymbrowie, Teutoni i reszta barbarzyńskich ludów z północy nie ruszyła na Rzym po bitwie pod Arauzjoną. Zatrzymali się w południowej Galii, a nawet podjęli wypadu na terytorium Hiszpanii. Dzięki temu Rzymianie zyskali czas i mogli się zreorganizować. Zawsze, gdy okoliczności stawiały Republikę pod ścianą, Senat wybierał najlepszego męża do poprowadzenia nowego wojska. Naprzeciw Hannibala postawił Scypiona Afrykańskiego. Teraz potrzebował nowego Scypiona.

Najlepszym żołnierzem był w tamtej chwili Gajusz Mariusz, który zakończył wreszcie długą wojnę przeciwko Jugurcie. Wezwano go do Rzymu i wybrano na konsula z mandatem powołania nowego wojska i wyruszenia na północ, żeby umocnić tamtejszą granicę. Mariusz zdobył doświadczenie pod rozkazami Scypiona Afrykańskiego Młodsze, adoptowanego wnuka pierwszego Scypiona. Sam nie był Scypionem, ale za to najbardziej przypominał legendarnego dowódcę, który pokonał Hannibala.

Zebrał wojsko złożone z dwóch legionów, w których służyło po sześć tysięcy zawodowych żołnierzy, plus dwie jednostki *alae*. Do tego dorzucił jeszcze tysiące pospolitego ruszenia zrekrutowanego wśród biedoty rzymskiej. Musiał w tym celu

złamać wszystkie zasady i reguły poboru. Żołnierz rzymski powinien mieć własne zasoby i sam opłacić sobie wyposażenie – od broni i tarczy po zbroję i sprzęty potrzebne do codziennego życia w obozie. Mariusz jednak wiedział, że po siedmiu latach wojen w Afryce brakowało w Rzymie takich mężów, za to miasto obfitowało w obdartusów i plebejuszy bez pieniędzy. To były tysiące ludzi, którzy niczego nie posiadali, a więc nie mieli też nic do stracenia, za to chętnie wzięliby udział w wojnie, gdyby tylko otrzymali potrzebne wyposażenie oraz coś rewolucyjnego – żołd zwany *salarium*, wielokrotnie wypłacany w soli, niezbędnej do konserwowania żywności. Rozdzielano także gotówkę, bo chodziło o to, żeby legionistom i wojskom pomocniczym przyznać regularną wypłatę poza możliwością zdobywania łupów. Oznaczało to, że wielu otrzymało niespotykaną wcześniej szansę. Stawili się na wezwanie konsula Gajusza Mariusza. Zebrał aż trzydzieści pięć tysięcy uzbrojonych wojów i ruszył z nimi na północ.

Senat z niepokojem przypatrywał się rewolucyjnym działaniom Mariusza i temu, jak konsul łamał obowiązujące prawo, rekrutując plebejuszy. Ale w obecnej sytuacji nie dało się z tym nic zrobić. Rzym potrzebował armii, żeby ruszyć na Cymbrów i Teutonów, którzy rozłożyli się w południowej Galii i zagrażali bezbronnej Republice. Dominujący w Senacie optymaci pozwolili Mariuszowi działać, ale wyznaczyli Sullę, jednego z najbardziej konserwatywnych spośród nich, na legata legionu. Miał mieć baczenie na dowódcę tego niezwykłego wojska. To była pierwsza zawodowa armia Rzymu. Dokąd ich to zaprowadzi?

Wszyscy widzieli, że Mariusz i Sulla odnoszą się do siebie nieufnie.

Konsul otaczał się oficerami z czasów swoich wojen w Afryce, ludźmi, którym ślepo ufał, takimi jak Sertoriusz.

Zaczęła się kampania północna.

Wszystko toczyło się w niespotykanym rytmie.

Mariusz zmienił nie tylko sposób opłacania wojska, lecz również jego szkolenie. Legioniści pobierali regularny żołd, ale warunki obozowania w Galii były trudniejsze. Mariusz zastosował dyscyplinę wdrożoną przez Scypiona

Afrykańskiego Młodszego podczas oblężenia Numancji, w którym sam uczestniczył. Poza tym podczas długiej wojny w Afryce nauczył się, że wyszkolenie jest kluczem do zwycięstwa, tak więc zintensyfikował ćwiczenia oraz kładł nacisk na fortyfikację obozów. Dodatkowo zredukował liczbę tzw. *calones*, a więc niewolników lub służących, których legioniści mieli do dyspozycji. Chciał uczynić ze swoich żołnierzy prawdziwe psy wojny. Podczas długich marszów kazał im dźwigać niewiarygodne ciężary, w tym między innymi uzbrojenie, narzędzia ciesielskie i sprzęty do użytkowania w obozie. Szybko zaczęto mówić w Rzymie, że Mariusz nie chce żołnierzy, chodzi mu tylko o muły do transportu. Optymacy pogardliwie nazywali wojów „mułami Mariusza”. I się z nich śmiali. Niektórzy, na przykład Metellus Numidyjczyk i jego syn Jąkała, przyglądali się temu wszystkiemu z rosnącą nieufnością, nie wiedzieli, co o tym sądzić.

Konsul nie zwracał uwagi na tego rodzaju komentarze. Zależało mu tylko na tym, żeby jego ludzie pobierali stały żołd, na który mieli wkrótce zapracować.

Osobiście stanął na czele wojsk w delcie Rodanu.

Cymbrowie i Teutoni nie atakowali.

Minął cały rok bez poważnej walki.

Senat zgodził się przedłużyć konsulat Mariusza o rok.

Wszyscy spodziewali się, że konsul wreszcie ruszy z wojskami dalej, ale tak się nie stało. Mariusz zatrzymał się nad południowym odcinkiem Rodanu i nakazał swoim wojskom wykopać kanał, dzięki któremu delta rzeki stała się żeglowna i umożliwiała dostawy z Rzymu. Legioniści przez długie miesiące wykonywali to wyczerpujące zadanie o niezwykłym rozmachu. Kanał nazwano Fossa Mariana. Jego budowa miała służyć utrzymaniu żołnierzy w formie oraz zapewnieniu sobie bezpiecznej, szybkiej i bezpośredniej drogi dla zaopatrzenia z Rzymu, której pozbawieni floty barbarzyńcy nie byli w stanie zagrozić.

Minął kolejny rok i nie doszło ani do ataku na obóz Mariusza, ani do szeroko zakrojonej wyprawy na terytoria opanowane przez Cymbrów i Teutonów. Plemiona

te wyczekiwały ruchu ze strony konsula, podobnie jak senatorowie w Rzymie. Nikt nie mógł zrozumieć ciągłego zwlekania.

Żołnierze zaczęli się niecierpliwić i zastanawiali się, czy konsul naprawdę chce tej wojny. Oficerowie weterani z Afryki, którzy dobrze znali jego chłodny umysł, ufali dowódcy. Rozumieli, że istnieją powody tak długiego wyczekiwania.

Nadszedł kolejny rok.

Sytuacja się nie zmieniła i Senat zacisnął z wściekłością zęby, ale przedłużył mandat Mariusza na trzecią kadencję. Sulla wszystko obserwował i informował optymatów. Nadal zajmował stanowisko w armii, teraz jako trybun, gdyż Mariusz obniżył jego rangę. Nie ufał mu i jego podwładny zdawał sobie z tego sprawę, ale nie tylko o to chodziło. Sulla zaczął przeczuwać, że cała ta operacja zakończy się wielką porażką. Gdy kolejny rok konsulatu Mariusza minął bez wydania bitwy, postanowił wrócić do Rzymu. Nie chciał brać udziału w czymś, co jego zdaniem z całą pewnością okaże się olbrzymią klęską. Wolał zdystansować się wobec tej kampanii, a także wobec samego Gajusza Mariusza, z którym było mu nie po drodze pod względem politycznym i w którego zdolności jako dowódcy wojskowego wątpił.

Zaczęli w nie wątpić liczni legioniści.

Nadszedł kolejny rok.

Wobec rosnących wątpliwości wojska Sertoriusz pewnego dnia odważył się wspomnieć Mariuszowi o utracie zaufania szerzącej się w szeregach.

– Scypion Młodszy ponad rok strawił, nim zdobył Numancję. Jedno miasto. Nikt nie kwestionował jego strategii. My znajdujemy się przed ogromnymi siłami kilku barbarzyńskich ludów, które zagrażają samemu Rzymowi. Wydaje mi się rozsądne poświęcenie czasu, nawet lat, które okażą się konieczne, żeby skończyć z tym zagrożeniem.

Nic więcej nie powiedział.

Sertoriusz przyjął to wyjaśnienie.

Ale jak patrzył na to Senat?

Senat rzymski

102 r. p.n.e.

Sulla wstał przed zgromadzonymi w kurii. U jego boku znajdował się Dolabella, który spoglądał na niego z podziwem. Metellusowie, ojciec i syn, uważnie słuchali jego słów. Rozważano, czy odnowić mandat Mariusza na następny rok.

– *Patres conscripti*, przyjaciele, senatorowie. Sytuacja na północy nadal jest delikatna i uczynienie kogoś konsulem po raz czwarty z rzędu byłoby czynem niesłychanym, ale zastanawiam się, czy cokolwiek zyskamy, jeśli w tym momencie zmienimy dowódcę naszych wojsk. To Mariusz zaprojektował obronę północnej granicy. Mamy już dość jego braku działania, ale barbarzyńcy sami się tym zajmą. Niewątpliwie w przyszłym roku Cymbrowie i Teutoni ruszą na Rzym i w ten sposób zmuszą Mariusza do działania. Czy zechce tego, czy nie, będzie musiał odpowiedzieć na atak ofensywą. W tym roku skończy się jego granie na czas. Nie ma sensu przekazywać innej osobie dowództwa nad fortyfikacjami, których nie zna, obsadzonymi przez wojska wyszkolone przez konsula na wrogim terytorium. Wspieram wniosek o przedłużenie mandatu Gajusza Mariusza o rok.

Zdecydowano, że tak będzie.

– Naprawdę uważasz, że Mariusz jest najlepszy? – spytał go po zakończeniu posiedzenia stary Metellus. Jego syn oraz Dolabella przysłuchiwali się rozmowie.

– Tak, jestem pewien, że jest najlepszy dla nas. Dla optymatów – uściślił Sulla.

– Co przez to rozumiesz, chłopcze? Gadaj mi tu bez ogródek. – Stary weteran rzymskiej polityki mógł sobie pozwolić na żądanie wyjaśnień.

Sulla spojrział na niego i udzielił mu poważnej, szczegółowej odpowiedzi.

– Legioniści nie wierzą w Mariusza. Gdy barbarzyńcy ruszą, gdy zaatakują, wojska pozbawione wiary w dowódcę zostaną zmasakrowane. To niedobre dla Rzymu, ale idealne dla nas: barbarzyńcy odwalą za nas brudną robotę i wyeliminują Mariusza oraz jego armię łachmaniarzy. Żeby się bronić, będziemy zmuszeni zrekrutować nowe legiony, ale możemy ściągnąć część z tych, które

stacjonują w Afryce i Hispanii. Będzie ciężko, niemniej pozbędziemy się Mariusza. Popularzy stracą przywódcę i to my podyktujemy prawa, a lud, obawiając się ataku Cymbrów i Teutonów, nie będzie mógł nam się sprzeciwić. Te nowe prawa ochronią nasze interesy, zresztą innych nie będzie.

Wszyscy zgodzili się z oceną Sulli.

To był jedyny i ostatni błąd w ocenie, jaki popełnił on w odniesieniu do Mariusza.

Obóz główny Gajusza Mariusza przy Fossa Mariana, delta Rodanu

102 r. p.n.e.

Mariusz otrzymał właśnie wiadomość, że na rok przedłużono jego mandat. Wiedział, że zrobiono to po raz ostatni, jeśli nie dokona widocznego postępu i nie usunie Cymbrów i Teutonów znad Rodanu. Nadal jednak mu się nie spieszyło.

Przybyli posłańcy.

Sertoriusz wszedł do *preatorium* konsula.

– Barbarzyńcy ruszyli, najjaśniejszy mężu.

– Cymbrowie czy Teutoni? – spytał Mariusz zza stołu pokrytego mapami i pustymi pucharami po winie.

Sertoriusz przełknął ślinę.

– Cymbrowie wydają się jeszcze spokojni, konsulu, ale Ambronowie i Teutoni idą na nas. Wróciły nasze patrole. To tysiące barbarzyńców. Dziesiątki tysięcy.

Gajusz Mariusz skinął głową, nie odrywając przez chwilę wzroku od map.

– Zawiadomcie mnie, gdy będzie ich widać z obozowej palisady. Do tego czasu mi nie przeszkadzajcie.

Nalał sobie wina ze stojącego na mniejszym stoliku dzbana.

Sertoriusz popatrzył na dowódcę sączącego wino. W tym momencie pomyślał, że może to, co mówią legionieści, jest prawdą: to już nie ten sam konsul, co w Afryce, ten, który pokonał armię Jugurty. Siedzący przed nim dowódca był

starym człowiekiem, miał pięćdziesiąt pięć lat, był słaby i... tchórzliwy. W żadnym razie nie był nowym Scypionem.

ROZDZIAŁ XIII

Memoria in memoria

Olbrzymi barbarzyńcy

Καὶ Κίμβροις μὲν ἐγίνετο πλείων ἢ διατριβὴ καὶ μέλλησις, Τεύτονες δὲ καὶ Ἄμβρωνες ἄραντες εὐθὺς καὶ διελθόντες τὴν ἐν μέσῳ χώραν, ἐφαίνοντο πλήθει τ'ἄπειροι καὶ δυσπρόσοπτοι τὰ εἶδη φθόγγον τε καὶ θόρυβον ἢ ἑτέροις ὅμοιοι. Περιβαλόμενοι δὲ τοῦ πεδίου μέγα καὶ στρατοπεδεύσαντες, προῦκαλοῦντο τὸν Μάριον εἰς μάχην.

„Cymbrowie stracili na to wszystko więcej czasu, natomiast Teutonowie i Ambronowie ruszyli od razu w drogę i przebywszy przestrzeń, jaka ich dzieliła od Rzymian, stanęli przed nimi niezmierną masą. Strach było na nich patrzeć, strach słyszeć ich krzyk i wrzawę, jakiej skądinąd nie znano. Zalegali wielką część równiny, rozbili na niej obóz i wyzwali Mariusza do wojny”.

Plutarch, *Żywoty sławnych mężów*, Mariusz XV,
przeł. Mieczysław Brożek

Obóz główny Gajusza Mariusza przy Fossa Mariana, delta Rodanu

Wiosna 102 r. p.n.e.

Ogromna równina rozciągająca się przed głównym obozem rzymskim pełna była uzbrojonych Ambronów i Teutonów. Gdziekolwiek spojrzeć, widać było jedynie wrogów Republiki.

Mariusz obserwował obce wojska z wysokiego *vallum*. Barbarzyńcy, którzy buńczucznie poruszali się po terytorium uznawanym za własne, bez obaw związanych z obecnością wielkiej rzymskiej fortecy, już trzykrotnie pokonali wojska konsularne, czasami przy współudziale innych ludów. Ta seria klęsk – pod Noreią, Burdigalą i przede wszystkim Arauzjoną – sprawiła, że wśród legionistów

szerzyły się pogłoski, jakoby ci barbarzyńcy byli inni, niezwykli, gigantycznej postury i prawie niepokonani – istoty nie z tego świata, olbrzymy, które dadzą sobie radę z każdym wojskiem, jakie odważy się stawić im czoło.

Konsul w milczeniu rozważał sytuację. Takie pogłoski mogą być silniejsze niż armia. Musi je zdławić, zanim rzuci legiony do walki z wojami, którzy stawili się w delcie Rodanu.

Trzeba najpierw pokazać, że te plotki nie mają nic wspólnego z prawdą.

Zszedł do wojska, wydając rozkazy Sertoriuszowi i innym oficerom.

– Niech wszyscy wejdą na *vallum* i to zobaczą – powiedział.

Trybuni spojrzeli po sobie.

– Jacy „wszyscy”, najjaśniejszy mężu? – spytał w imieniu pozostałych Sertoriusz. – I co właściwie mają zobaczyć?

Stali już na ziemi, tuż obok olbrzymiej palisady zbudowanej przez Rzymian dla obrony obozu.

Gajusz Mariusz spojrział na nich, ale nic nie powiedział.

Nie zrozumieli.

Wskazał na morze namiotów swojego wojska.

– Wszyscy to znaczy wszyscy – podkreślił, a potem dorzucił w ramach wyjaśnienia: – Chcę, żeby każdy legionista i żołnierz służby pomocniczej wszedł na *vallum* i zobaczył na własne oczy, że wśród tych przeklętych barbarzyńców nie ma żadnego olbrzyma, cyklopa czy innego mitycznego stwora. Chcę, żeby każdy z moich podwładnych miał jasność, że będziemy walczyć po prostu z innymi żołnierzami, uzbrojonymi jak my, ale gorzej zorganizowanymi i gorzej dowodzonymi. To mam na myśli, mówiąc „wszyscy”, i to jest to, co chcę, żeby zobaczyli.

Trybuni skinęli głowami. Wreszcie zrozumieli myśl konsula: chciał ukreślić łeb pogłoskom o legendarnej sile Ambronów i Teutonów. Wszyscy uznali, że to świetny pomysł.

Sertoriusz powiódł wzrokiem za konsulem oddalającym się w otoczeniu swoich przybocznych. Może Gajusz Mariusz się starzał, może słabł, może niekoniecznie okazał się nowym Scypionem, ale nadal był przebiegły. Nadzieja na zwycięstwo jeszcze nie zginęła.

ROZDZIAŁ XIV

Medyk dla młodego Cezara

Tawerna nad Tybrem, Rzym

90 r. p.n.e.

– W ten sposób, chłopcze, udało mi się zdławić strach moich ludzi przed tymi ponoć olbrzymimi barbarzyńcami – wyjaśnił Gajusz Mariusz, z szerokim uśmiechem na twarzy dolewając wina sobie, bratankowi i jego przyjacielowi Labienusowi. – Gdy na własne oczy zobaczyli, że stoją przed nimi zwykli wojownicy, ich postawa się zmieniła. – Zastanowił się na chwilę. – Być może za bardzo.

– Przybył medyk, najjaśniejszy mężu – powiedział Sertoriusz, wykorzystując ciszę, która na chwilę zapadła.

– Kto? – spytał lekko zdezorientowany Mariusz. Sertoriusz już miał powtórzyć, ale jego dowódca potrząsnął głową, jakby odrywał się od intensywnych wspomnień. – Ach, tak. Medyk. Dobry? Mojego bratanka nie może tknąć pierwszy lepszy konował, który udaje jednego z tych Greków, co naprawdę umieją leczyć rany.

– To medyk *valetudinarium* legionów, które służyły w Afryce i potem na północy, podczas kampanii, o której *clarissimus vir* opowiadał właśnie bratankowi.

– Aaaach! – Mariusz wydawał się zadowolony. – To nasz dobry Anaksagoras jeszcze żyje?

– Jakoś żyję, najjaśniejszy mężu – powiedział starszek o schludnym wyglądzie czcigodnego uczonego, przed którym rozstąpili się weterani.

Mariusz nie wstał na powitanie. Ktoś, kto sześć razy był konsulem, nie podnosi się przed nikim. Skinął tylko głową w wyrazie uznania – to i tak było dużo.

- Dobrze wiedzieć, że nadal jesteś wśród nas.
- Trybun wiedział, gdzie mnie znaleźć, najjaśniejszy mężu.
- Waleriusz Flakkus jest zawsze skuteczny.

Wspomniany żołnierz stanął na baczność. Były konsul nie rozdawał pochwał na prawo i lewo.

- Dobrze dano się we znaki mojemu bratankowi... i jego przyjacielowi.
- Widzę, najjaśniejszy mężu. – Starzec podszedł do chłopców i położył dłoń najpierw na brodzie jednego, potem drugiego, zmuszając ich, żeby kręcili głowami, odsłaniając sińce i zadrapania po obu stronach twarzy.

– Przypuszczam, że od tego nie umrą, ale wolę zaprowadzić bratanka do matki z nieco czystsza twarzą. Ten głupiec wdał się w bójkę, której nie miał szans wygrać.

Młody Cezar zmarszczył czoło i już miał zaprotestować, gdy Anaksagoras po raz kolejny poruszył jego głowę, żeby dobrze przyjrzeć się skutkom ciosów.

– Tak, chłopcze. Nieważne, jak na to popatrzeć, popełniłeś głupotę, durny błąd. Tyle że, jeśli nie jest to walka na śmierć i życie, to wyłącznie zwykła głupota. Jeśli jednak na czele trzydziestu tysięcy ludzi rozpoczniesz bitwę, której nie możesz wygrać, nie jesteś głupcem, lecz mordercą... swoich żołnierzy. A ty chciałbyś kiedyś dowodzić legionami, prawda?

Medyk odsunął puchary chłopców, żeby zrobić na stole miejsce na swoje narzędzia. Trzeba zszyć ranę. Poprosił karczmarza o gorącą wodę i czyste płótno.

– To prawda – potwierdził młody Cezar, który zdecydowanie pragnął być taki jak wuj. To leżało poza jego zasięgiem, ale przynajmniej był zdeterminowany dojść tak daleko, jak tylko się da, nawet jeśli zostanie wybrany na konsula wyłącznie na jeden rok. Oczywiście dowództwo armii, w dodatku zwycięska kampania, były celem życiowym każdego młodzieńca w Rzymie, prawie marzeniem. Niewielu w końcu mogło zostać konsulami.

– Więc naucz się przełknąć dumę, gdy nazywają cię tchórzem, i przeczekać, nim za upokorzenie odpłacisz upokorzeniem. Nie zapomnij go, chłopcze, każdą

obrazę zachowaj w głębi duszy i pielęgnuj ją całymi dniami, tygodniami, miesiącami, a nawet jeśli trzeba – latami. Niech się nie rozwieje z upływem czasu, niech cię boli jak pierwszego dnia, gdy ją usłyszałeś, wczekuj jednak odpowiedniego momentu, idealnej chwili na zemstę, ale nie dokonuj jej za pomocą innej obrazy, tylko za pomocą przelewu krwi i pewnym, śmiertelnym ciosem zniszcz wroga.

Zapadła cisza.

Słyszać było tylko płótno przesuwane się po zranionej skórze Cezara i zduszony okrzyk bólu, gdyż młodzieniec nie chciał skarżyć się w obecności wuja i jego weteranów.

ROZDZIAŁ XV

Memoria in memoria

Teutobod

Delta Rodanu

Wiosna 102 r. p.n.e.

Barbarzyńcy rozłożyli się na całej równinie. Na czele, najbliżej rzymskiego obozu, rozlokowali się uzbrojeni wojowie. Za nimi tysiące kobiet i dzieci oraz wozów z żywnością i materiałem wojennym, które przynieśli ze sobą na południe. Byli zdeterminowani zmieść z powierzchni ziemi każdego, kto ośmieliłby się stanąć im na drodze.

Mogli iść dalej, do Italii. Nikt nie zmuszał ich do tak bliskiego podejścia pod rzymski obóz. Właściwie wielu dowódców służących pod królem Teutonów Teutobodem nie rozumiało, dlaczego ich władca postanowił zatrzymać się w tym miejscu, naprzeciw rzymskiej fortyfikacji.

– Trzymają się morskiego brzegu – powtarzali niektórzy z królewskiej rady w głównym namiocie wielkiego obozowiska. – Nie przeszkadzili nam w marszu. Możemy iść dalej i zostawić ich za sobą.

Inni przytakiwali, ale z szacunkiem spoglądali na króla, oczekując komentarza z jego strony. Teutobod zyskał sobie podziw wszystkich po klęskach, jakie zadał Rzymianom w ostatnich latach, kiedy jego niezwycięzeni wojowie krążyli po całej Galii. Z tego względu jego działania i decyzje, nawet te, których nie rozumieli, wzbudzały ich estymę.

– Nie możemy iść dalej, zostawiając za plecami dobrze wyposażonego i uzbrojonego wroga – powiedział król, nie wstając z szerokiego krzesła pośrodku

namiotu. Wszyscy zamilkli. – A jeśli na przykład w drodze na Rzym napotkamy inną armię? Czy nie znajdziemy się wówczas pomiędzy dwoma wrogami? Lepiej najpierw zniszczyć przeciwnika, którego mamy tutaj, a potem ruszyć dalej. Poza tym kolejna klęska Rzymu, już czwarta w ciągu niewielu lat, wzniesi panikę. Wątpię, czy po niej będą zdolni zebrać nowych żołnierzy z odpowiednim zapasem odwagi, żeby nam się przeciwstawić. Jeśli wykończymy stacjonującą tutaj armię, nasz marsz ku Rzymowi będzie niczym wojskowa parada.

Jeden z dowódców przytaknął. Za nim następny. Po chwili wszyscy zgadzali się z królem.

– Ale... – inny ze szlachetnych mężów wezwanych przez króla odważył się odezwać, choć nie dokończył zdania.

– Mów, twój król cię słucha – powiedział Teutobod.

Mężczyzna skłonił się w wyrazie oddania i dopiero zaznaczywszy swoje posłuszeństwo, wyjawiał, co myśli.

– Jak jednak, królu mój, sprawimy, żeby stawili nam czoło? Jesteśmy tu już od dwóch dni i nie zrobili niczego, co wskazywałoby, że są gotowi opuścić obóz i z nami walczyć.

Teutobod przytaknął.

– Sprowokujemy ich – powiedział krótko.

Inni konsulowie Rzymu już się dali złapać na haczyk rzuconego im wyzwania. Dlaczego ten nowy miałby być inny?

Obóz główny Rzymian przy Fossa Mariana

Na szczycie *vallum*

Tak jak zażyczył sobie Gajusz Mariusz, legioniści na własne oczy mogli zobaczyć, że Teutoni i reszta barbarzyńców nie są żadnymi olbrzymami. Do tej pory wszystko szło dobrze. Ale zaraz po tym, jak wojska rzymskie opuścił strach, poczuły one niesamowitą chęć walki. W pewnym sensie było to zrozumiałe: jeśli nie staną teraz do boju, po co przez ostatnie lata ćwiczyli? Czyż ich obóz nie

stanowił ostatniego posterunku armii rzymskiej między Teutonami a stolicą? Czy zatrzymanie barbarzyńców nie było ich zadaniem? Obce wojska nie składały się z olbrzymów, to było oczywiste. Dlaczego więc nie wypowiedzieć im bitwy, zanim zdecydują się na dalszy marsz w kierunku Rzymu?

Gajusz Mariusz obserwował z *vallum* atak różnych teutońskich jednostek, które próbowały wdrzeć się do jego obozu.

– Chyba nie robią tego z przekonaniem – odważył się wyrazić przypuszczenie Sertoriusz, który stał z konsulem i grupą trybunów, przyglądając się ruchom wroga.

– Nie, nie robią tego z przekonaniem – potwierdził Mariusz. – Wiedzą, że jesteśmy mocno chronieni przez fortyfikacje. Bronią nas *lilia* i *sudes*. Z powodu przygotowanych przez nas rowów i pułapek, pali wbitych w ziemię i różnych nasypów nie dojdą do palisady na tyle blisko, żeby nas zaatakować. I o tym wiedzą. Nie mogą też rozbierać pułapek i omijać nasypów, bo nasi łucznicy natychmiast zasypią ich gradem strzał. Ich król liczy na coś innego...

Tak też było. Teutoni i Ambronowie musieli unikać wykopanych dołów najeżonych palami, na których wielu z nich kończyło żywot, albo rozrzuconych po terenie pułapek, które wbijały się w stopy wojów i zwierząt, uniemożliwiając sprawny pochód i powodując liczne rany. Musieli dotrzeć do palisady, nie wpadając do wielkich dziur ukrytych w ziemi i unikając całego mnóstwa śmiertelnych kolczatek.

Poza tym ci, którym udało się zbliżyć, padali pod zalewem strzał i oszczepów, jakimi na rozkaz konsula zasypywano ich z fortyfikacji. Legioniści wściekle odpierali wszelkie próby podejścia pod palisadę.

– Więc... – zaczął Sertoriusz powątpiewającym tonem.

– Więc? – powtórzył Gajusz Mariusz, zachęcając swojego zaufanego podwładnego, żeby głośno wyraził myśl.

– Więc... król teutoński na darmo poświęca swoich ludzi?

Mariusz przez chwilę milczał, obserwując nieudany szturm Teutonów na rowy, pułapki i fortyfikacje Rzymian.

– Na darmo to nie – odpowiedział wreszcie. – Oczekuje, że jakoś zareagujemy.

Rzeczywiście liczne odparte ataki sprawiły, że wojsko rzymskie było bardziej niż chętne do walki. W szeregach dało się odczuć wielki napływ wigoru. Zbyt wielki, uznał Mariusz. Jego oficerowie zaczęli proponować wykorzystanie tego ducha legionistów i wyjście z obozu, by wydać bitwę.

– Nie – lakonicznie odpowiadał na każdą taką sugestię.

Minął cały dzień.

Gajusz Mariusz powstrzymywał dowódców i legionistów.

Nazajutrz zmęczeni utratą ludzi Teutoni, którzy dostrzegli, że nie udało im się sprowokować Rzymian do wyjścia z obozu, zaczęli wystawiać niektórych ze swoich wojowników – tych o najbardziej dzikim wyglądzie – i wyzywać Rzymian na pojedynki.

Ta prowokacja odniosła pewien skutek w szeregach żołnierzy oraz wśród dowódców. Niektórzy centurioni weszli na *vallum* i stanęli przed konsulem, proponując, że chętnie staną do walki z teutońskimi mocarzami. Gajusz Mariusz jednak po raz kolejny kategorycznie odmówił i zabronił im odpowiadać na prowokacje wroga.

– Nie, nie mam zamiaru stracić żadnego z moich żołnierzy w potyczkach, które niczego nie rozwiążą.

Wśród trybunów wojskowych, którzy otaczali konsula, zapanowała gęsta cisza. Nie wszystko dało się rozstrzygnąć w trybie wojny, pozostawała również kwestia honoru wojska. Mylili się czy może Gajusz Mariusz wiedział coś więcej?

Ten mimo wszystko nie pozwolił nikomu przyjąć wyzwania teutońskich wojów.

Wtedy barbarzyńcy zaczęli drwić z Rzymian. Zadali sobie nawet trud, żeby nauczyć się od jakiegoś znającego łacinę niewolnika słów oznaczających „tchórza”, „trzęsidupę”, „cykora” czy wręcz „babę” i wykrzykiwali je pełną piersią wobec zaskoczonych wojsk, które stały na palisadzie i mogły jedynie być posłuszne konsulowi i znosić te kpiny.

Teutoni pokazali Rzymianom tyłki.

Barbarzyńcy się zaśmiewali.

Niewzruszony Gajusz Mariusz przypatrywał się tym upokorzeniom z poważną miną, ale nie zmienił zdania.

– Może wyjdziemy chociaż z kilkoma kohortami, żeby tylko pokazać, że nie będziemy tolerować tego rodzaju obrazy? – zaproponował Sertoriusz. – Może to wystarczy, żeby podnieść ducha naszych żołnierzy?

– Nie. Albo wyjdziemy wszyscy, albo nikt – zaproponował konsul. – Jeśli nie wyjdziemy wszyscy, posłany kontyngent ulegnie ich przewadze liczebnej i zostanie wybity do nogi. W każdym razie nie będę walczył z rzeką za plecami. To śmiertelna pułapka. To się wydarzyło pod Arauzjoną, gdzie barbarzyńcy zmasakrowali kilka legionów.

Cisza.

Teutoni nadal krzyczeli, drwili i śmiali się z Rzymian.

– *Romani, quid uestris mulieribus mittere uultis? Quoniam illae nostrae mox erunt* * – powtarzali z całych sił jak najbliżej *vallum*.

Słowa te szczególnie zaboląły legionistów, lecz Mariusz nie ugiął się i nie zgodził na posłanie choćby jednej kohorty. Uważał to za bezsensowne i samobójcze. Albo za absurdalną stratę ludzi, których z całą pewnością będzie później potrzebował.

Zapadła noc.

Trybuni się rozeszli.

Mariusz ruszył w stronę swojego namiotu.

– Z całym szacunkiem, *vir eminentissimus* – zwrócił się do niego Sertoriusz.

– Mów, trybunie.

– Jeśli... jeśli ta pozycja nie jest dobra do atakowania, dlaczego tutaj właśnie założyliśmy obóz?

Słuszne pytanie.

– Ponieważ to dobre miejsce, żeby drogą morską otrzymywać z Rzymu zaopatrzenie, którego Teutoni nie mogą w żaden sposób przejąć – wyjaśnił konsul.

– Ale rzeczywiście nie tutaj stoczmy bitwę. W Norei i Burdigali nasze wojska zostały otoczone, a pod Arauzjoną zmuszono je do walki z rzeką za plecami. Nie powtórzę błędów innych konsulów. Wydamy bitwę tam, gdzie uznam za stosowne. Jestem najwyższym dowódcą i nie będzie żadnych dyskusji na ten temat. Konflikt między dwoma konsulami dowodzącymi wojskiem pod Arauzjoną nie pomógł, dlatego zażądałem od Senatu najwyższego, jednoosobowego dowództwa. Ruszymy do walki wyłącznie wtedy, kiedy ja sam uznam to za stosowne.

– Tak jest, najjaśniejszy mężu.

Ἐπορεύοντο δ' ἔγγυς, πυνθανόμενοι τῶν Ῥωμαίων μετὰ γέλωτος, εἴ τι πρὸς τὰς γυναῖκας ἐπιστέλλοιεν· αὐτοὶ γὰρ ἔσεσθαι ταχέως παρ' αὐταῖς.

„[Teutonowie] szli blisko. Pytali nawet Rzymian z szyderstwem, czy mają jakie zlecenia do swoich żon, mówiąc, że wkrótce będą tam u nich”.

Plutarch, *Żywoty słynnych mężów*, Mariusz XVIII,
przeł. Mieczysław Brożek

* Rzymianie, chcecie posłać wiadomość waszym żonom? Niedługo będą bowiem naszymi.

ROZDZIAŁ XVI

Memoria in memoria

Król rzuca wyzwanie

Główny obóz rzymski przy Fossa Mariana

102 r. p.n.e.

Od trzech dni trwały prowokacje naprzeciwko rzymskiego obozu.

O świcie obudzono konsula.

Teutoni przygotowali ostateczne wyzwanie.

– Co tym razem? – spytał Gajusz Mariusz, podczas gdy dwójka *calones* mocowała mu napierśnik.

Ani Sertoriusz, ani żaden inny z trybunów nie ośmielił się wyjaśnić, co się dzieje.

– Upierają się... przy pojedynkach, najjaśniejszy mężu – powiedział w końcu Sertoriusz, ulegając ostremu spojrzeniu dowódcy. Ogólność tej odpowiedzi sprawiła, że Mariusz uznał, że tym razem doszło do czegoś wyjątkowego.

Nie pytał więcej. Jego najbardziej zaufany podwładny chciał, żeby to on sam, Mariusz, ocenił sytuację z wysokości palisady.

Gdy tam dotarli, konsul dostrzegł, że na szczycie *vallum* zebrały się setki legionistów, które wpatrywały się teraz w równinę przed obozem. Pozwolił sobie na żart pod nosem: czyżby Teutoni postawili tam wielkiego drewnianego konia? Wystarczy więc go spalić ze wszystkimi ich wojami w środku. Ale gdy znalazł się na górze, zapomniał o tym nawiązaniu do *Iliady*: przed wojskami barbarzyńców stał jeden z nich, odziany w pokrytą srebrem zbroję, która błyszczała w promieniach wschodzącego słońca. W ręce trzymał długi miecz, na drugim

ramieniu miał okrągłą zieloną tarczę ze złotymi nitami, błyszczącymi tak samo jak zbroja, albo i mocniej. Tylko ktoś wysokiej rangi mógł pochwalić się tak wyjątkowym uzbrojeniem.

– Kto to? – spytał konsul, nie spuszczając wzroku z mężczyzny o dzikim i władczym wyglądzie.

– Twierdzi, że jest... ich królem – wyjaśnił Sertoriusz.

Gajusz Mariusz skinął głową. Przeczynał, do czego to wszystko zmierza, i mu się to nie podobało. Pomyślał, żeby wydać rozkaz, by wszyscy poza wartownikami zeszli z palisady. Kilka dni temu zaprosił legionistów na górę, aby zobaczyli, że będą walczyć wyłącznie z ludźmi, ale teraz dałby wiele za to, żeby niczego więcej już nie oglądali. Ten, który określił się mianem króla Teutonów, zaczął mówić, rzucił swoje wyzwanie. Konsul życzyłby sobie, żeby jego ludzie go nie usłyszeli. Ale było już za późno. Najwyraźniej Sertoriusz i inni oficerowie poszli do *praetorium*, ponieważ wyzwanie zostało już kilkakrotnie wypowiedziane. W dodatku po łacinie, choć z silnym germańskim akcentem. To jednak nie przeszkadzało w jego zrozumieniu.

– *Ego, Teutobod, Teutonorum rex, deposco romanum consulem Caium Marium ad singularem pugnam! Si uirtutet habet et socors non est ! **

Zostało powiedziane.

Wszyscy legioniści stojący na palisadzie usłyszeli te słowa wyraźnie i już zaczęli komentować je z towarzyszami stojącymi na ziemi. Niebawem całe wojsko wiedziało o wyzwaniu króla Teutonów rzuconym ich konsulowi, ich dowódcy. Czy *clarissimus vir*, szef rzymskich legionów na północy, przejdzie wobec takiego wyzwania obojętnie?

Gajusz Mariusz nie poruszył się ani nie odezwał. Na szczycie *vallum* wydawał się posągiem z marmuru.

Król Teutonów jeszcze raz powtórzył wyzwanie. Nie chciał, żeby konsul rzymski miał tchórzliwą wymówkę, że go nie usłyszał albo nie rozumiał. Gdy tylko po raz kolejny wyrzucił z siebie łacińskie zdania, spojrzał na rzymskiego

niewolnika, które je dla niego przetłumaczył. Ten skinął głową, zapewniając, że germański władca wypowiedział w sposób zrozumiały to, czego nauczył się poprzedniej nocy.

Wówczas Teutobod rozejrzał się po szeregach Rzymian, którzy patrzyli na niego ze schronienia na wysokiej palisadzie. Zauważył, że ich głowy zwróciły się w stronę jednego konkretnego punktu, w którym korpulentna postać w błyszczącej zbroi, bez hełmu, z głową pokrytą siwymi włosami, stała nieruchomo w otoczeniu oficerów. Król Germanów wiedział już, że ma przed sobą wrogiego konsula.

Gajusz Mariusz myślał.

Krew się w nim gotowała. Dlaczego by nie przyjąć wyzwania? Czuł palącą potrzebę wyjścia i stanięcia do walki, taką samą jak ta, która od paru dni trawiła jego ludzi. Noreia, Burdigala, Arauzjona. Trzy brutalne porażki. Dziesiątki tysięcy zabitych legionistów. Potęga Rzymu podważona, upokorzona, prawie zniszczona. Wszystko to wołało o pomstę.

Określiwszy pozycję Gajusza Mariusza, król Teutonów przesunął się kilka kroków, żeby stanąć naprzeciwko niego, bliżej palisady, choć w rozsądnej odległości, żeby strzały wroga nie mogły go dosięgnąć.

Stamtąd po raz ostatni wypowiedział swoje wyzwanie. Tym razem patrzył prosto na nieruchomą postać rzymskiego dowódcy.

– *Ego, Teutobod, Teutonorum rex, deposco romanum consulem Caium Marium ad singularem pugnam! Si uirtutet habet et socors non est!*

Gajusz Mariusz czuł na sobie spojrzenia oficerów, legionistów, niewolników żołnierzy, wszystkich. Wiedział, że musi coś zrobić, i nie miał wątpliwości, do czego rwie się jego serce. Jednocześnie był pewien tego, co dyktował mu umysł niezwyciężonego wojownika. Chcąc narzucić dyscyplinę, trzeba najpierw samemu ją stosować. Gdyby wydarzyło się to piętnaście lat wcześniej, nałożyłby hełm, poprawił zbroję i wy dobył z pochwy miecz. Ale czas nie płynie na próżno. Miał pięćdziesiąt pięć lat, ogromne doświadczenie, ale jego reakcje i siła nie były takie jak wcześniej. Intensywnie badał wzrokiem monarchę z północy. Ile mógł mieć lat?

Góra trzydzieści? Widać było, że jest młody, silny, mężny, szybki i zwinny, ma muskularną budowę i szeroką klatkę piersiową – znajduje się u szczytu sił witalnych. Gajusz Mariusz przełknął ślinę: gdyby stanął do pojedynku, przegrałby. Nie trzeba być geniuszem, żeby zdać sobie z tego sprawę. Ale musiał coś zrobić. Nie mógł zostawić wyzwania bez odpowiedzi.

– Sertoriuszu – powiedział wreszcie.

– Tak jest, najjaśniejszy mężu – odparł szybko tamten. Czekał na jakikolwiek znak dowódcy.

– Wezwij Enobarda – nakazał Mariusz.

Sertoriusz nie zrozumiał.

– Enobarda? – spytał zmieszany. – Naszego instruktora?

Gajusz Mariusz nie był przyzwyczajony do dawania wyjaśnień, tylko do rozkazywania. Powoli odwrócił się i okazał, że to pytanie mu się nie spodobało. Nie musiał nic więcej dodawać.

Sertoriusz pochylił się i szybko odszedł, żeby znaleźć najsilniejszego i najzdolniejszego instruktora rzymskich wojsk na północy. Enobard był centurionem, *primus pilus*, miał trzydzieści cztery lata i zdobył liczne odznaczenia za odwagę na polu walki. Był zdecydowanie najlepszy w walce wręcz i dlatego został dowódcą wszystkich instruktorów wojska konsularnego w Fossa Mariana.

Wkrótce można było zobaczyć, jak idzie ku palisadzie przez rozstępującą się przed nim i trybunem Sertoriuszem grupę legionistów. Wreszcie wspiął się na górę i stanął przed konsulem.

– Zbroja, hełm, miecz i tarcza. Uzbrój się, Enobardzie – nakazał mu Mariusz. – Odpowiedz w moim imieniu na wyzwanie króla Teutonów.

Wśród oficerów zapadła grobowa cisza. Można było wyczuć w niej rozczarowanie i niezgodę na ten rozkaz, ale nikt nie odważył się jej przełamać.

Instruktor skłonił się, odwrócił i poszedł po swój bojowy ekwipunek. Niedługo potem otworzyła się brama w palisadzie i wyłonił się z niej Enobard z mieczem w ręku i uniesioną tarczą, gotowy zabić wrogiego króla.

Teutobod zobaczył tego rzymskiego oficera, tak samo jak on silnego, dojrzałego, lecz nie starego, gotowego do pojedynku. Ale nie był to konsul, nie był to dowódca wrogiej armii.

Enobard podszedł do niego szybko, prawie truchtał. Zatrzymał się kilka kroków od germańskiego władcy.

Teutobod najpierw spojrział na przeciwnika, a potem skierował wzrok na szczyt palisady, skąd obserwował ich konsul.

Król Teutonów kilkakrotnie pokręcił głową, splunął na ziemię, gniewnie rzucił swój miecz i tarczę, które wydały brzdęk, i zaczął ciskać łacińskie przekleństwa, których nie musiał uczyć się od niewolnika, gdyż w ten sposób już wcześniej Teutoni odnosili się do żołnierzy rzymskich.

– *Socors! Socors! Socors!* – wykrzyknął trzy razy, patrząc na *vallum*.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do swoich wojowników, wznosząc ramiona w geście zwycięstwa i nieustannie powtarzając tamtą obrazę:

– *Socors! Socors! Socors!*

Niewolnik, który mu towarzyszył, i kilku Teutonów znajdujących się w pobliżu zabrali z ziemi ekwipunek swojego króla i szybko opuścili to miejsce.

Enobard został sam. Nie wiedział, co ma robić. Spojrział na palisadę, na konsula, który się nie poruszył. Instruktor zrozumiał, że nic go już tu nie trzyma, więc też się odwrócił i wrócił po własnych śladach do bramy prowadzącej do obozu.

Tamtego poranka nie doszło do pojedynku między królem Teutonów a rzymskim konsulem.

Za to nocą, przy świetle ognisk, na których legionieci gotowali kolację, słychać było prawie niedosłyszalny, lecz nieustępliwy pomruk: jedno jedyne słowo: *socors, socors, socors...*

Smutek i ogromne rozczarowanie zdawało się opanowywać wszystkich.

W swoim namiocie Gajusz Mariusz w samotności pił wino, czując na języku gorzki posmak tchórzostwa. A może słodkogorzki posmak mądrości?

Wszedł Sertoriusz, żeby spytać o hasło dla wartowników i nocnych patroli, którym posłużono by się w razie niespodziewanego ataku wroga.

– Wiktoria – odparł Gajusz Mariusz.

Sertoriusz nie mógł powstrzymać półuśmiechu, który starał się ukryć, odwracając się od konsula. Ten jednak dostrzegł jego minę.

– Ty również uważasz mnie za tchórze, prawda?

Sertoriusz nie odpowiedział.

– Twoje milczenie mówi wszystko i mnie wystarcza za odpowiedź, trybunie – stwierdził Mariusz. – Zostaw mnie samego, bo czuję, że jestem sam.

Trybun opuścił namiot i stanął nieruchomo przy jego wejściu. Miał wrażenie, że w jakiś sposób zdradził swojego dowódcę. Pokręcił głową i wreszcie ruszył, żeby przekazać oficerom dyżurnym hasło na tę noc.

W namiocie Gajusz Mariusz nalał sobie drugi puchar wina, który smakował mu jeszcze gorzej niż pierwszy. Nawet jego najwierniejszy oficer uważa go za tchórze. Jak szybko zapominają o niedawnych zwycięstwach, jak krótka jest pamięć legionistów, centurionów i trybunów. Tak, wszyscy myślą, że jest tchórzem: jego ludzie, Teutoni, a przede wszystkim ich król. Od tej pory Teutobod będzie nim gardził, był tego pewien.

O to chodziło: Teutobod nie doceni możliwości ataku z jego strony.

Ale wszystko w swoim czasie.

Gajusz Mariusz uśmiechnął się i nalał sobie trzeci puchar wina.

Pewnego, niezbyt odległego dnia zaskoczy władzę Germanów. Ale jeszcze nie teraz. Niech Teutoni zaatakują pierwsi.

Doświadczony konsul rzymski wypił wino. Trzeci puchar smakował mu bardziej.

* Ja, Teutobod, król Teutonów, wyzywam konsula rzymskiego Gajusza Mariusza na pojedynek! Jeśli ma odwagę i nie jest tchórzem!

ROZDZIAŁ XVII

Memoria in memoria

Atak wojska teutońskiego

Delta Rodanu, południowa Galia

102 r. p.n.e.

Równina naprzeciwko obozu rzymskiego

Tak jak przewidział konsul, Teutobod wkrótce okazał wściekłość: następnego dnia Teutoni całymi swoimi siłami napadli na strażników obozu. Nie był to szczególnie zaplanowany atak. Ogromna pewność siebie, jakiej nabrali podczas tygodni obrażania i upokarzania niewzruszonego wroga, sprawiła, że król z północy uznał, że stoi przed nim armia w rodzaju tych, które pokonał pod Noreią, Burdigalą i Arauzjoną. W dodatku dowodzona przez tchórza, co dawało Teutonom jeszcze większą przewagę.

Obóz rzymski

Gajusz Mariusz ponownie wspiął się na *vallum*, żeby nadzorować przebieg obrony.

– To nie jest zwykła potyczka – skomentował mu do ucha Sertoriusz. – Idzie na całość. Nie chodzi o kolejną prowokację. Obojętne, czy wyjdziemy, czy nie: chce wejść i nas zniszczyć, najjaśniejszy mężu.

– Tak, tego chce i rzeczywiście idzie na całość – potwierdził Mariusz, zawsze spokojny, zawsze niewzruszony, mimo że dziesiątki tysięcy Teutonów i tysiące ich sojuszników podchodziły do palisady.

Na rozkaz konsula Rzymianie od miesięcy wzmacniali obronę fortecy. Kopali coraz więcej dołów i rowów, aż padali ze zmęczenia, kryli wiele z nich suchymi gałęziami, pod którymi czaiły się zaostrome pale. Wzmocnili palisadę i wieże strażnicze, pełne łuczników pilnujących każdego miejsca, które mogło okazać się słabym punktem. Na całym *vallum* legioniści mieli pod ręką tysiące *pila*, oszczepów, gotowi rzucić je na rozkaz konsula. Żołnierze byli wściekli i rozczarowani najwyższym dowódcą, ale teraz barbarzyńcy szli na nich wszystkimi siłami i trzeba było czekać na rozkazy. Konsul nie mógł już tylko po prostu stać. Musiał nakazać im wypuścić strzały i oszczepy, gdy tylko wróg znajdzie się w ich zasięgu. Na wszystkich bogów, każdy legionista palił się do zabijania tych przeklętych barbarzyńców, którzy sobie z nich drwili, nawet jeśli chwilowo miał to robić na odległość. Z drugiej jednak strony żołnierze rzymscy nie tracili nadziei, że w trakcie brutalnego ataku konsul nakaze wreszcie wyjść na zewnątrz, żeby walczyć wręcz z wrogiem.

Wojsko teutońskie

Teutoni nacierali na palisadę obozu rzymskiego chaotycznie, ale z wielką mocą.

Zaczęli odnotowywać straty. Wielu z nich wpadało w doły i rowy przykryte gałęziami. Wrzaski pierwszych umierających wrogów docierały do uzbrojonych po zęby legionistów na palisadzie.

Teutobod zbliżał się do obozu rzymskiego. Nigdy nie szedł w pierwszej linii, ale był wśród najszybciej posuwających się do przodu oddziałów ogromnego wojska. Prędko zorientował się, że pułapki przygotowane przez Rzymian zadają jego armii wielkie straty. Założył, że straci ludzi. Wiedział o tych rowach i śmiertelnych dziurach i był gotów na istotną liczbę poległych wojów, pod warunkiem że atak będzie postępował. Poza tym wściekłość i miłość własna, zraniona odrzuceniem jego wyzwania przez konsula, a także niecierpliwe pragnienie jak najszybszego starcia z powierzchnią ziemi tego obozu, żeby móc ruszyć na Rzym, nie pozwoliły mu dobrze przemyśleć działań. Ostatecznie miał wielu ludzi, tysiące wojów, znacznie więcej niż Rzymianie, mógł sobie pozwolić na

pewne straty. Nawet spore. Ale sam zatrzymał się w rozsądnej odległości od *vallum*. Nie miał zamiaru ryzykować osobiście. Pojedynek z dowódcą wroga to jedno, a głupia śmierć z powodu strzały wypuszczonej z fortyfikacji to drugie.

Teutoni najpierw ginęli dziesiątkami, potem setkami, ale gdy ich towarzysze wpadali do pułapek i rowów, tym samym je odsłaniaли i w ten sposób barbarzyńcy dosięgli wreszcie palisady.

Obóz rzymski

Mariusz obserwował wszystko w milczeniu.

– Strzelać! Bez rozkazu! Na wszystkich bogów! – krzyknął nagle z wysokości.

Dla Sertoriusza i reszty oficerów rozkaz ten był niczym balsam, przez jakiś czas myśleli, że dowódca nie otworzy ust przez całą bitwę.

Łucznicy z wojsk pomocniczych zaczęli strzelać z wież na palisadzie, a legioniści ciskali w pierwsze szeregi nacierających Teutonów setkami *pila*.

Barbarzyńcy zaczęli masowo ginąć.

Sertoriusz patrzył na konsula w milczeniu, ale podziw zastąpił rozczarowanie, jakie odczuwał w ostatnich dniach. Opanowanie Mariusza wyprowadziło teutońskiego króla z równowagi, aż Teutobod rozpoczął atak mimo wyraźnie gorszego położenia swoich wojsk.

Wojsko teutońskie

Chociaż tylu jego wojów padło, Teutobod nie chciał zakończyć brutalnego ataku. Wcześniej rozbił przecież obronę innych rzymskich obozów. W walce wręcz jego ludzie okazali się lepsi niż Rzymianie. Wystarczyło doprowadzić do walki na samej palisadzie i wówczas zwycięstwo będzie należeć do niego.

Obóz rzymski

Pierwsi wojownicy teutońscy zaczęli się wspinać na ściany palisady za pomocą sznurowych drabinek, które wystrzelili z dołu. Legioniści wytrwale odcinali te

sznury, ale Teutoni, zbiwszy się w kupę pod palisadą, wypuszczali całe mnóstwo drabinek. Wspinali się po nich mimo deszczu rzymskich strzał i oszczepów.

– Procarze – nakazał spokojnym tonem Gajusz Mariusz, chociaż w tej chwili tam, gdzie stał, pojawili się Teutoni i oficerowie wyciągnęli miecze z pochew, żeby ich powstrzymać.

U podstaw palisady po stronie rzymskiej setki procarzy wprawiły w ruch swoją broń. Rozległ się niedający się z niczym pomylić świst wyrzucanych w górę i przelatujących nad głowami legionistów *glans plumbea*. Te ołowiane bomby dołączyły do strzał i oszczepów, zastępując walczących wręcz legionistów. W ten sposób konsul sprawił, że śmiertelny deszcz żelaza i ołowiu ani przez chwilę nie przestawał padać na wroga.

Wojsko teutońskie

Teutobod obserwował to wszystko z uprzywilejowanej pozycji, w pewnej odległości od zasięgu wrogich strzał. Wielu jego ludzi ginęło, ale jeszcze więcej trwało i walczyło już na szczycie palisady.

Obóz rzymski

– Może konsul powinien udać się w bardziej bezpieczne miejsce – zasugerował Sertoriusz.

Mariusz odwrócił się niespiesznie i rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

Trybun pochylił się, przyłożył pięść do piersi, wyciągnął miecz i stanął obok dowódcy. W miejscu, w którym się znajdowali, pojawili się Teutoni, którzy jako pierwsi dotarli na szczyt palisady.

Walka wręcz o kontrolę nad *vallum* była zawzięta, nieubłagana, bezlitosna z obu stron. W ostatnich latach to był moment, w którym Teutoni zawsze zwyciężali, ale Mariusz przygotował swoich ludzi: wytrenował ich na bestie i wojowników, zmusił do nieustannych walk między sobą, bez odpoczynku, pod okiem najlepszych instruktorów. Legioniści Mariusza byli inni. To kolejna rzecz, którą zmienił. Teutonów zaskoczył opór, którego się nie spodziewali. Większość

barbarzyńców została z wściekłością odparta. Łucznicy z wojsk pomocniczych nieustępliwie strzelali z wież, a procarze nie przestawali ciskać kamieni.

Liczba poległych w szeregach teutońskich nieustannie rosła.

Niezliczeni legionieści padali ranni lub martwi na szczycie palisady, ale i tak było tych strat nieporównanie mniej niż u wroga.

Nieliczni Teutoni, którym udało się przekroczyć palisadę, natychmiast trafiali w kocioł rzymskich centurii i bez wyjątku byli masakrowani. Rzymianie dostali rozkaz, żeby nikogo nie oszczędzać. Mariusz nie myślał ani o łupach, ani o niewolnikach. Chciał tylko wyeliminować zagrożenie teutońskie. Wielu przywódców myli to, co istotne, z tym, co powierzchowne, nie zajmują się tym, co ważne, i prowadzą do kompletnej porażki. W tamtej chwili branie do niewoli zeszło na dalszy plan. Istotą było wyłącznie pokonanie Teutonów raz na zawsze.

Wojsko teutońskie

Germański władca spuścił głowę i splunął na ziemię. Spojrzał za siebie: miał jeszcze ponad dwie trzecie wojska w odwodzie i jeśli teraz zarządzi odwrót, ocali sporą część tej jednej trzeciej, która walczyła na palisadzie. Stracił wielu wojowników, ale nie była to strata, która nie pozwoliłaby mu kontynuować podboju Italii. Jeszcze nie. Za to ciągnięcie dalej ataku, który okazał się tak niszczący dla jego armii, a nie przyniósł prawie żadnych znaczących rezultatów, wydawało mu się absurdalne.

Inteligencja wzięła u niego górę nad wściekłością.

– Nakażcie odwrót – powiedział do oficerów.

Odwrócił się i ruszył w stronę obozu.

Obóz rzymski

Sertoriusz przebił *spatha* jednego z Teutonów, który zbliżył się do konsula. Gajusz Mariusz miał przyspieszony oddech, ale nie wpadł w panikę. Już trzymał dłoń na głównej własnego miecza i miał go wyciągnąć, gdy w tej dokładnie chwili celtyckie rogi ogłosiły Teutonom, że ich król zarządził odwrót. Sertoriusz rzucił się

zaciekle na wojownika, który zawahał się pod wpływem tego dźwięku, i zadał mu śmierć kilkoma szybkimi cięciami, a potem zepchnął go z palisady. Reszta oficerów zrobiła to samo z kilkoma innymi Teutonami, którzy dotarli na szczyt *vallum*, ale zostali tam odcięci od wycofujących się już towarzyszy.

Po chwili wszystko się uspokoiło.

Ze swojego miejsca Mariusz mógł dostrzec morze trupów porzuconych przez wroga po nieudanym ataku na obóz. Zabrali rannych, ale zabitych zostawili na pastwę losu. Konsul czuł na sobie spojrzenia oficerów. Wiedział, co myślą: że nadszedł czas wydać rozkaz wyjścia z obozu i ataku na Teutonów, by wykorzystać zapal wojenny żołnierzy po odepchnięciu tego dzikiego ataku. Ale dał tylko instrukcje, żeby na wszystkich wieżach rozstawić strażę oraz wydać ludziom wodę i podwójną rację żywności na kolację. Żadnego wina. Nie chciał wstawionych żołnierzy, w razie gdyby nastąpiła ofensywa wroga.

Wrócił do swojego namiotu.

Nie doszło do nowego ataku.

Z wysokości jednej z wież strażniczych Sertoriusz przez chwilę obserwował odwrót wojska teutońskiego, a potem przeniósł wzrok na namiot konsula. Mimo że wielu legionistów czuło rozczarowanie brakiem rozkazu do kontrataku, trybun miał wrażenie, że wiele się uczy – nie tylko tego, jak wygrać bitwę, lecz wręcz jak zwyciężyć w wojnie.

ROZDZIAŁ XVIII

Memoria in memoria

Na Rzym

Delta Rodanu, południowa Galia

102 r. p.n.e.

Obóz teutoński

W namiocie króla jego doradcy odbyli debatę: jedni optowali za atakiem na Rzymian o świcie, inni mówili, żeby spróbować podpalić palisadę. Nikt nie wpadł na to, co rozważał król.

– Idziemy stąd – powiedział lakonicznie Teutobod, ze zmarszczonym czołem patrząc w ziemię. – Nie mogliśmy pozwolić sobie na zostawienie za plecami potężnej armii rzymskiej dowodzonej przez walecznego konsula. Ale nie musimy się przejmować przywódcą tchórzliwym, z przerażonym wojskiem, które nie ośmiela się opuścić schronienia. Zza palisady nigdy nas nie powstrzymają. Idziemy stąd. O świcie.

Oficerowie przytaknęli.

Słowa ich króla miały sens: jeśli ten rzymski konsul umie jedynie bronić obozu, nie ma powodów do zmartwienia. To rzeczywiście nie powstrzyma ich marszu na Rzym.

Obóz rzymski

Mariusza o poranku obudzili trybuni, którzy chcieli, by obserwował ruchy teutońskiego wojska z wysokości *vallum*.

– Odchodzą – powiedział Sertoriusz. – Wszyscy. Zabrali ekwipunek i wozy.

Tak było. Barbarzyńcy opuścili okolice Fossa Mariana i ostatecznie ruszyli z delty Rodanu na wschód, w stronę Italii, by wzdłuż wybrzeża Mare Internum dotrzeć do Rzymu. Prawie niekończąca się nitka wojsk i mułów oddalała się w miarę prędko – większość wojowników szła na przedzie, za nimi wozy z żywnością i ekwipunkiem militarnym, a na koniec, zamykając tego niezwykle długiego teutońskiego węża, turlały się wozy z kobietami i dziećmi w eskorcie kilku oddziałów wojów.

Można było to przewidzieć: albo znów zaatakują, albo sobie pójdą. Teutoni nie byli zwolennikami oblężeń. A raczej byli gotowi jedynie na to, żeby oblegać sam Rzym. Tam mogliby spędzić tygodnie czy miesiące, tyle, ile byłoby trzeba.

Mariusz jak zwykle milczał. Trybuni pragnęli, by wydał im rozkaz wyjścia z obozu, wykorzystania tego, że wróg nie tylko przemieszcza zbrojnych, ale również kobiety i dzieci, co stawia go w bardziej delikatnej sytuacji.

Ale konsul nic nie mówił.

Niektórzy wojownicy teutońscy, przechodząc w pobliżu rzymskiego *vallum*, pozwalali sobie na prowokacje, obsceniczne gesty i krzyki oraz obraźliwe słowa, których Rzymianie nie rozumieli, ale których znaczenia mogli się domyślać. Na rozkaz króla Teutoboda niektórzy z wojów podchodzili pod wieże strażnicze i powtarzali łacińskie słowa o tym, jak będą bezcześcić żony legionistów, gdy tylko skończą z Rzymem. Krzyczeli i śmiali się, a potem odchodzili.

A legioniści spluwali na ziemię, przetykali ślinę i wściekłość, patrząc na konsula, który jak zwykle był niewzruszony, nic nie robił.

Oficerowie, przyzwyczajeni do braku reakcji z jego strony, zdziwili się, gdy usłyszeli instrukcje Gajusza Mariusza:

– Niech legioniści wezmą tylko to, co potrzebne na długi kilkudniowy marsz – rozkazał, schodząc po drewnianej drabinie z *vallum*. – Broń, tarcze, codzienne utensylia i narzędzia do kopania. Wyruszamy... – spojrzął na słońce, było jeszcze wcześnie, ale koniecznie trzeba wykorzystać resztę dnia, żeby kolumna wroga nie zyskała zbytnej przewagi. – Wyruszamy za dwie godziny – rzucił.

Trybuni nie mogli w to uwierzyć.

Wreszcie reakcja konsula, po długich miesiącach gnicia w delcie Rodanu mieli w końcu ruszyć.

– Ty, do mojego namiotu – dodał Mariusz, patrząc na Sertoriusza.

Tamten poszedł za konsulem do *praetorium*.

Gdy tylko weszli, Mariusz rozłożył mapę południowej Galii, która leżała na stole, i wskazał jeden punkt: państwo-miasto Masalię *, położone jakieś siedemdziesiąt mil na wschód.

– Tędy będą przechodzić, ale chcę ich dogonić wcześniej – zaczął konsul. – Tutaj chcę przeciąć im drogę: Aquae Sextiae. Mogą zaatakować tę kolonię albo nie, ale chcę, żebyśmy dotarli tam przed nimi i na jednym ze wzgórz założyli obóz. Będziemy dalej od rzeki, dalej od wody, a to oznacza problemy z zaopatrzeniem. To złe miejsce na okopanie się i utrzymanie go przez kilka tygodni, ale tam już nie zamierzam czekać. Tam ich zaatakujemy. Teutoni, Ambronowie i ich sojusznicy dotrą w to miejsce główną drogą i zupełnie ją zajmą – kontynuował, wskazując mapę przed zaskoczonym Sertoriuszem, który nie mógł uwierzyć, że konsul to sobie wszystko zaplanował, prawdopodobnie już przed miesiącami. – Musimy znaleźć inną drogę i wyprzedzić kolumnę wroga albo interior, albo wybrzeżem, ale pójdziemy raczej przez pola. Będzie nam trudno. Legioniści dadzą radę?

– Dadzą – potwierdził Sertoriusz. – Kopanie rowów i pułapek obronnych w ostatnich miesiącach utrzymało ich w formie. Są silni i pragną walki. Jeśli powiemy im, że schodzimy z głównej, wygodniejszej drogi, żeby wyprzedzić wroga i go zaskoczyć, jestem pewien, że ich sandały będą wręcz lecieć nad galijską ziemią.

– Niech więc wiedzą, że to jest nasz cel. Na Jowisza, bez wątpienia to ich zmotywuje, jak mówisz.

Gajusz Mariusz westchnął i usiadł.

Sertoriusz pojął, że konsul już go nie potrzebuje, i szybko wyszedł z namiotu, żeby przekazać słowa dowódcy reszcie oficerów. Wrócił dawny Mariusz, ten, który

rozbijał całe armie w Afryce.

Obóz teutoński, o zmierzchu

Patrole barbarzyńców informowały swojego króla. Nie było cienia wątpliwości: wbrew wszelkim przewidywaniom Rzymianie opuścili obóz i ich ścigali.

– Nie przejmuję się nimi – powiedział Teutobod doradcom. Jego argumentacja była dość logiczna: – Ilekroć spotykaliśmy się z nimi w otwartym polu, odnosiliśmy zwycięstwo. Jeśli nas zaatakują, odwrócimy się i stawimy czoło ich armii. Niech patrole informują o ich ruchach. Tylko w tym przeklętym obozie w delcie rzeki Rzymianom udało się dać odpór. To dobra wiadomość, że stamtąd wyszli. Są zdesperowani, bo idziemy na Rzym. Wydaje się, że przypomnienie, co mamy zamiar zrobić ich kobietom, wywołało pożądany efekt.

Odrzucił głowę do tyłu, wybuchając śmiechem.

Wszyscy doradcy i oficerowie również się roześmieli, drwiąc, okazując pogardę i świetnie się przy tym bawiąc. W ostatnich latach wojska konsularne Rzymu stały się tematem świetnej zabawy.

Wojska konsularne Rzymu, w drodze do Masalii

Legioniści Mariusza parli do przodu *magnis itineribus*, długimi krokami, jakby zmienili się w muły. Nieśli na plecach ekwipunek i wszystko, co potrzebne im na co dzień, a nawet narzędzia do zbudowania linii obronnych. Przydało się twarde szkolenie, jakiemu poddał ich konsul przez ostatnie lata, zintensyfikowane jeszcze w ciągu minionych miesięcy. Wojsko Mariusza bardzo szybko zrównało się z niekończącą się kolumną teutońską, złożoną z wojowników, kobiet i dzieci, tobołów, wozów i mułów. Ogromna chmura pyłu, jaką wzbijali Teutoni i ci, którzy im towarzyszyli – czy to członkowie ich rodzin, czy to sojusznicy, jak Ambronowie – sprawiała, że łatwo było ich dostrzec z odległości wielu mil.

Drugiego dnia konsul zwrócił się do oficerów.

– Idziemy interiozem. Wszyscy. Zbaczamy z drogi. Musimy ich dzisiaj prześcignąć.

Marsz stał się wyczerpujący. Po zejściu z drogi użytej przez Teutonów, tej łatwiejszej, pochód Rzymian stał się prawdziwą męką, ale legioniści pamiętali o obietnicy konsula, że w ten sposób przetrną Teutonom drogę do Rzymu i że tym razem staną do walki, a nie będą *sine die* kryć się za palisadą.

Zmotywowani pragnieniem walki i pokazania wrogowi, że w żadnym razie nie są *socors*, legioniści prześcignęli wojsko teutońskie.

* Dzisiejsza Marsylia. Patrz mapa [1].

ROZDZIAŁ XIX

Posiedzenie Senatu

Tawerna nad Tybrem, Rzym

90 r. p.n.e.

– Tutaj, chłopcy, zaczyna się robić interesująco – powiedział Gajusz Mariusz z szerokim uśmiechem satysfakcji: dotarł do swojego ulubionego momentu tej opowieści.

Rzeczywiście można było u niego dostrzec entuzjazm związany z tą historią; nikt nie ośmielał się mu przerwać, mimo że do tawerny weszło już kilku posłańców niosących wieści z kurii.

Sertoriusz w końcu postanowił podejść do stołu, przy którym dowódca rozprawiał z bratankiem i jego przyjacielem.

– *Clarissimus vir* – powiedział trybun.

Gajusz Mariusz nadal opowiadał o początkach bitwy pod Aquae Sextiae, nie zwracając uwagi na nic poza oczami Cezara i Labienusa, których jego opowieść wciągnęła do cna.

– *Clarissimus vir!* – nie ustępował Sertoriusz, podnosząc głos.

Mariusz przerwał opowieść i odwrócił się z niezadowoloną miną oraz pewną dozą niedowierzania. W końcu ten trybun był jego najwierniejszym oficerem.

– Wybacz mi, najjaśniejszy mężu – powiedział Sertoriusz nieco niższym tonem – ale z forum przybyło już kilku posłańców: Senat zwołał posiedzenie i oczekuje twojego przybycia. Jedna z tych wiadomości jest od samego Metellusa, inne od Sulli i Dolabelli.

– Czy w tej wiadomości Metellus pisze z przerwami, jak wtedy, kiedy mówi? – zadrwił sobie Mariusz. Optymaci zawsze go wyśmiewali, że nie zna dobrze greki,

więc dlaczego on nie miałby drwić z jąkania się wroga.

Sertoriusz instynktownie sięgnął do wiadomości od Metellusa, jakby rzeczywiście chciał to sprawdzić.

– Nieważne, jak to jest napisane! – zagrzemiał rozeźlony Mariusz, nawet nie patrząc na trybuna. – Niech poczekają! Niech wszyscy sobie poczekają, a zwłaszcza ten przekłety Metellus i jego zauszniczy Sulla i Dolabella! Nie widzisz, że tutaj dzieje się coś ważnego? Nie widzisz, że staram się nauczyć czegoś mojego bratanka? Nie widzisz, że staram się wpoić mu nieco zdrowego rozsądku, a przy okazji też trochę wiedzy o strategii wojskowej, bo ma głowę pełną siana, a pierś napompowaną pragnieniem sprawiedliwości i sądzi, że zdoła ją zaprowadzić, nie przemyślawszy dobrze sprawy?

W tawernie zapanowała śmiertelna cisza.

Sertoriusz zamilkł, stanął na baczność i spuścił głowę.

Mariusz zaczerpnął głęboko powietrza, siadając na krześle. Cezar i Labienus się nie poruszyli.

– Sertoriuszu, jesteś moim najlepszym oficerem. – Mariusz oparł dłonie na stole i powoli wypuścił z płuc powietrze, próbując się uspokoić. Ciągłe nie odwrócił się do trybuna. – Nie powinienem był podnosić głosu. Wiadomości są ważne i twoim obowiązkiem jest mi je przekazywać. Przyjąłem. Muszę tylko dokończyć tę opowieść. Potem odprowadzimy mojego bratanka do domu i udamy się na forum. Senat może chwilę dłużej poczekać na jedyne go człowieka, który sześciokrotnie objął konsulat. Do tej pory. – Teraz dopiero się odwrócił do Sertoriusza. – Potrzebują mnie. Boli ich to, ale mnie potrzebują, jak wtedy, gdy Teutoni zagrażali Rzymowi, a ja zatrzymałem ich pochód pod Aquae Sextiae.

– Tak jest, najjaśniejszy mężu – powiedział Sertoriusz. – Z pewnością zaczekają.

– Dobrze, zobaczymy... Na czym skończyłem? – zastanawiał się Mariusz, ze zmarszczonym czołem zwracając się ponownie w stronę młodzików, żeby w końcu utkwić wzrok w swoim pustym pucharze.

– Wojsko konsularne prześcignęło Teutonów – podsunął mu szybko Cezar.

– Tak jest, tak jest, chłopcze – przytaknął jego wuj. – Bardzo dobrze. Skupiłeś się. Tak było: prześcignęliśmy tę ogromną kolumnę Teutonów i Ambronów. Tylko bogowie wiedzą, na ile mil się rozciągała...

ROZDZIAŁ XX

Memoria in memoria

Aquae Sextiae

Okolice kolonii rzymskiej Aquae Sextiae

Lato 102 r. p.n.e.

Obóz rzymski

Dziesiątki tysięcy legionistów. Wraz z szeregami pomocniczymi prawie trzydzieści tysięcy ludzi. Ale ogromna armia teutońska, która parła w stronę Rzymu, miała znaczną przewagę liczebną. Mimo strat, jakie ponieśli podczas ataku na fortecę przy Fossa Mariana, barbarzyńców było trzy razy więcej niż Rzymian.

Gajusz Mariusz stał na szczycie wzgórza, na którym nakazał zbudować obóz, i patrzył na dziesiątki, setki legionistów znoszących pnie do konstrukcji nowej palisady obronnej. W świetle zachodzącego słońca badał wzrokiem gigantyczną hordeę wroga, która rozkładała namioty na noc. Teutoni nie sprawiali wrażenia gotowych do budowy fortyfikacji obronnych. Wierzyli w przewagę liczebną i w to, że on, Mariusz, raczej nie wyda rozkazu do ataku.

Konsul westchnął. Teutoni mieli słuszność, czując się tak bezpiecznie: nocny atak, nawet z zaskoczenia, oznaczałby tylko wyczerpanie sił obu wojsk, a on miał mniejszą armię. Król teutoński pozwolił sobie na luksus utraty tysiąca lub dwóch tysięcy wojowników podczas ataku na obóz rzymski w delcie Rodanu. Mógł stracić kolejny tysiąc, dwa, trzy w nocnej bitwie, która o niczym nie przesądzi. Ale w przypadku Mariusza śmierć trzech tysięcy legionistów była nie do zaakceptowania, chyba że w kluczowym, decydującym starciu. Tylko wtedy, tylko na takich warunkach.

– Wody! – krzyknął konsul.

Jeden z *calones* natychmiast przyniósł mu naczynie z wodą, której nalał z na poły pustego już bukłaka. Dowódca wojska rzymskiego od razu zauważył, że rezerwy wody były skąpe. Oddał naczynie niewolnikowi i napotkał poważne spojrzenie Sertoriusza.

– Wiem – powiedział Mariusz. – Jesteśmy daleko od rzeki, daleko od wody i mamy jej niewiele. Trzeba wysłać nosicieli do doliny, niech napełnią wszystkie bukłaki legionów. Natychmiast.

Sertoriusz przekazał rozkazy konsula kilku centurionom, a potem zbliżył się do dowódcy i cicho, z szacunkiem, lecz z nutą zmartwienia, którą wyczuł doświadczony Gajusz Mariusz, spytał:

– Oficerowie, legionieści... Wszyscy zastanawiają się, dlaczego rozbiliśmy obóz tak daleko od wody, *clarissimus vir*?

Konsul nie odwrócił się do swojego podwładnego, żeby udzielić mu odpowiedzi. Nie odrywał wzroku od obozu Teutonów.

– Lubię obserwować – powiedział. – Z tego wzgórza dobrze wszystko widać.

Obóz teutoński

Teutoni rozbili obóz na samym środku równiny, zaraz przy rzece przecinającej dolinę. Kolonia Aquae Sextiae znajdowała się ledwie kilka mil dalej. Teutobod zaplanował jej zniszczenie, ale ciągle rozmyślał o tym, co wydarzyło się podczas ataków w delcie Rodanu: stracił wojów, nie wyeliminował wroga, rzymskiego konsula. Być może udało się go przestraszyć, a na pewno wzmocnił też morale swoich żołnierzy, ale lepiej nie tracić więcej ludzi w mniej istotnych atakach. Władca teutoński chciał dotrzeć do Italii z dużymi siłami, żeby na swojej drodze rozpętać wielką kampanię zniszczeń i pożogi, tak aby groza, jaką w ten sposób wzbudzi jego wojsko, wywołała przerażenie mieszkańców Rzymu.

W tamtej chwili co innego jednak zaprzętało jego głowę. Teutobod wpatrywał się w obóz rzymski na szczycie wzgórza i marszczył czoło.

– Dlaczego tam? – spytał swoich doradców i oficerów. – Dlaczego tak daleko od wody?

Nikt nie był jednak w stanie udzielić królowi logicznej odpowiedzi.

Wszyscy zwrócili oczy w stronę obozu Rzymian. Szybko dostrzegli grupy nosicieli wody schodzące ze wzgórza w stronę doliny, ku rzece.

– Teraz idą po wodę, królu mój – powiedział jeden z oficerów.

Teutobod pociągnął nosem. Ciepły klimat zbijał go z tropu: w dzień panował upał i król ciągle się pocił, a potem nadchodziła chłodna noc. Był nieustannie zakatarzony. Nic poważnego. Tylko te niekończące się smarki.

– Dobrze byłoby nie dopuścić do tego, żeby Rzymianie nabrali wody, której im potrzeba – zauważył inny oficer.

Teutobod przytaknął: to był całkiem dobry pomysł, ale nie chciał wysłać swoich wojów. Odwrócił się w stronę skraju obozu i namiotów znajdujących się w pewnej odległości od jego centralnego punktu. Zamieszkiwały je ludy, które wraz z kobietami i dziećmi dołączyły do Teutonów podczas wyprawy na Italię.

– Niech pójdą Ambronowie – nakazał król. – Nad Rodanem niezbyt pomogli. Niech popracują teraz. Niech zajmą się czymś poza jedzeniem, pić i dupczeniem.

Popatrzył za oficerami, którzy ruszyli w stronę namiotów Ambronów.

– Tak, niech Rzymianie cierpią z pragnienia – dodał z szerokim uśmiechem.

Środek doliny przy Aquae Sextiae *

Rzymscy nosiciele napełniali setki bukłaków wodą z rzeki, a była to dopiero pierwsza wyprawa z całej serii zaplanowanych. Trzeba było zaopatrzyć się w zapasy czystej i świeżej wody na kilka dni, bo jeśli dojdzie do bitwy, ze wzgórza trudno będzie dostać się do rzeki. Przy wielkim strumieniu stacjonowali bowiem Teutoni. Nosiciele, podobnie jak reszta legionistów, nie mogli pojąć, dlaczego konsul wybrał na miejsce obozu akurat wzgórze. Tylko po to, żeby mieć dobry widok na dolinę? Nie wydawało im się to wystarczającym powodem.

Zastanawiali się nad tym, gdy nagle dojrzelili kolumnę wrogich wojów. Nadchodzili z innej strony doliny niż ta, w której rozbili się Teutoni. Był to regiment, bardzo liczny, któregoś z barbarzyńskich ludów idących wraz z Teutonami na poszukiwanie nowych ziem.

– To Ambronowie – powiedział jeden z nosicieli.

– Trzeba poprosić o posiłki – stwierdził inny.

Natychmiast wysłali posłańców do obozu rozłożonego na rozkaz konsula na szczycie tego przeklętego wzgórza.

Kolumna wojów ambrońskich

Nie spieszyli się. Właśnie zakończyli świętowanie po długich dniach spędzonych w marszu. Król Teutonów wydawał się skłonny dać im parę dni wypoczynku w trakcie wyprawy na Rzym, zatrzymał się w dolinie z ciepłym klimatem i obfitymi zasobami wody.

Nie tylko napychali sobie brzuchy, lecz także pociągali ospale z bukłaków. Bliskość rzymskich tchórzy w ogóle ich nie niepokoiła. Już się przekonali, że to wojsko jest zdolne jedynie do chowania się za palisadą i tkwienia tam całymi dniami, tygodniami, miesiącami. Dlatego gdy Ambronowie otrzymali rozkaz zaatakowania nosicieli tej bojaźliwej armii, niewiele się zastanawiając, z pełnymi brzuchami i miłym buzowaniem w głowie, ruszyli w stronę rzeki dobrze uzbrojeni w miecze, oszczepy i tarcze. Rzymianie okazali nieco walecznego ducha na tej swojej przeklętej palisadzie nad Rodanem, ale w otwartym polu nie udowodnili żadnych umiejętności. Szykował się zwykły spacer.

Środek doliny

Nieliczni legionieści, którzy towarzyszyli nosicielom wody, przecięli drogę Ambronom. Musieli bronić swoich towarzyszy, którzy nadal napełniali bukłaki.

Ambronowie zaczęli wrzeszczeć jak dzikusy i ruszyli biegiem, który szybko zmienił się w nierówny trucht napchanych brzuchów.

– Rzucać. Na Jowisza, teraz! – rozkazało jednocześnie kilku centurionów, gdy uznali, że wróg znalazł się w odpowiedniej odległości.

Salwa wypuszczonych oszczepów poleciała nad doliną i spadła na powolnych Ambronów, zaskoczonych szybką reakcją nielicznych sił rzymskich broniących nosicieli. Nie było ich wielu, ale okazali się skuteczni, uważni, dobrze wyszkoleni i zdyscyplinowani.

– Aaaaach!

Kilka dziesiątków wojów ambrońskich zostało rannych, niektórzy zginęli przeszyci wrogimi oszczepami.

To ich jednak nie zatrzymało, raczej rozjuszyło. Do tej pory zbliżali się do Rzymian, jakby chodziło o paradę mającą na celu wystraszenie paru tchórzy nad rzeką, ale wsiąkająca w trawę krew ich braci sprawiła, że rozprawa zmieniła się w kwestię osobistą. Mało ich teraz obchodziły rozkazy teutońskiego króla. Atakowali, żeby pomścić rannych i zabitych.

Starcie obu wojsk było pełne furii i chociaż Rzymianie ustawili się do niego w idealnym szeregu – tarcze prosto, wystające między nimi miecze, żeby dosięgnąć wroga – to nie wystarczało.

Było ich niewiele.

O wiele liczniejsi Ambronowie przedarli się mocą swojej wściekłości i przewagi liczebnej, napierając i wbijając miecze i topory wszędzie tam, gdzie dostrzegli przerwę między tarczami wroga.

– Odwrót! – zarządzili centurioni, którzy jasno widzieli, że nie dadzą rady utrzymać linii.

Konsul nakazał im wycofać się w razie straty pozycji. Trzeba oszczędzać legionistów...

W tym jednak momencie pojawiły się kohorty posiłków wysłanych ze wzgórza. W ten sposób odwrót nie przerodził się w chaotyczną ucieczkę, lecz raczej w wymianę pierwszej linii walczących, w której szeregi zmiażdżone przez wroga

zostały zastąpione innymi żołnierzami – o świeżych siłach, gotowych walczyć w tej improwizowanej potyczce.

Centurioni zajęli się reorganizacją pierwszej linii walki, podczas gdy pozostali oficerowie nakazali nosicielom: – Zanieście wodę do obozu i wróćcie z bukłakami! Kontynuujcie pracę za wszelką cenę!

Przekazali w ten sposób rozkazy, jakie otrzymali od Sertoriusza, który z kolei usłyszał je od samego konsula.

Obóz rzymski

Z wieży wzniesionej jako część fortyfikacji obronnych nad bramą obozu Gajusz Mariusz obserwował walkę swoich wojsk z hordą Ambronów wysłanych przez Teutoboda, żeby uniemożliwić Rzymianom zaopatrzenie się w wodę.

– Potyczka jest wyrównana – stwierdził Sertoriusz. – Jeśli jednak wyślemy więcej posiłków, możemy zniszczyć tę ambrońską kolumnę i zmusić ją do ucieczki. Moglibyśmy nawet podpalić ich wozy, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Mariusz oceniał sytuację. Wiedział, że to nie jest decydująca bitwa, przynajmniej dopóki Teutoni, którzy stanowili większość wrogiej armii, do niej się nie włączą. Z drugiej strony obóz Ambronów znajdował się w pewnej odległości od głównego i nie wyglądało na to, żeby król Teutobod wydał jakieś rozkazy swoim ludziom, którzy nadal rozbijali namioty, gotowali, a nawet wypoczywali, jakby to, co działo się nad rzeką, nie było ich sprawą.

– Wyślij jeszcze pięć kohort – zgodził się Mariusz. To oznaczało pół legionu, znaczną siłę, którą był gotów zaryzykować w tej potyczce, dopóki Teutoni się nie ruszą. – Jeśli Teutobod będzie interweniował, niech wróć do obozu, tutaj, na wzgórzu. – Odwrócił się, żeby spojrzeć podwładnemu prosto w oczy. – Czy moje rozkazy są jasne?

– Tak, *clarissimus vir*, ale... – Sertoriusz chciał, żeby je doprecyzować.

– Ale co?

– Jeśli Ambronowie uciekną, możemy otoczyć ich obóz?

Mariusz odetchnął głęboko.

– Ich obóz tak – zgodził się. – Ale nie zbliżamy się do obozu Teutonów.
Zrozumiano?

– Zrozumiano – potwierdził Sertoriusz.

– Dobrze. Poprowadzisz te kohorty osobiście. Nie ufam nikomu innemu, że dokona odwrotu zgodnie z moimi rozkazami, jeśli Teutoni włączą się do walki. Zbyt wielu trybunom szybko gotuje się krew, ale brakuje im głowy i inteligencji. Ty za to masz i gorące serce, i chłodną głowę.

Po raz pierwszy konsul okazał mu tyle uznania.

Sertoriusz przyłożył pięść do piersi i ruszył poprowadzić do ataku kohorty, nie zapominając o otrzymanych rozkazach. Nigdy więcej nie zwątpi w to, że konsul każdą decyzję podejmuje z jakiegoś powodu. Jeśli oni ich nie rozumieją, nie oznacza, że te powody nie istnieją.

W środku doliny **

Ambronowie walczyli z zapalem. Nie dokończyli procesów trawiennych, a po wypiciu zbyt dużej dawki alkoholu niektórzy mieli też problemy z celnością, ale wściekłość z powodu poległych towarzyszy sprawiała, że bili się z niesłychaną siłą. Rzymianie, którzy zastąpili pierwszych legionistów, już zaczęli okazywać oznaki zmęczenia. Ambronowie je zauważyli i jeszcze mocniej nacierali, gdy nagle – ku ich zaskoczeniu, ponieważ skupili się jedynie na pierwszych szeregach – zaczęli napływać kolejni Rzymianie.

Siły się wyrównały.

Gdy tylko wszystkie kohorty pod jego rozkazami włączyły się do bitwy, Sertoriusz uporządkował szeregi rzymskie i wprowadził metodyczny system wymiany na pierwszej linii. W ten sposób żaden legionista nie spędzał za dużo czasu w bezpośredniej walce z wrogiem i świeże posiłki rzymskie nieustannie docierały tam, gdzie walka się zaostrzała. Ambronowie bronili się godnie, ale bez ładu i składu, i wkrótce zaczęli się wycofywać, prawie nie zdając sobie z tego sprawy. Rzymianie napierali na nich tarczami, zyskiwali przestrzeń i odsuwali Ambronów od rzeki.

Dzięki takiemu rozwojowi sytuacji nosiciele wody mogli bez przeszkód napełniać bukłaki, obserwując, jak potyczka się od nich oddala.

Sertoriusz poruszał się w bliskości pierwszej linii, ciągle wydając rozkazy. Jego obecność zarażała odwagą i spokojem centurionów, resztę oficerów, a także cały oddział.

Ambronowie rozpoczęli odwrót, wielu z nich odniosło rany zadane mieczami legionistów.

Wkrótce odwrót przerodził się w desperacką ucieczkę.

Trzeba było podjąć decyzję.

Sertoriusz spojrział w stronę wzgórza, w stronę wieży strażniczej, z której obserwował ich konsul. Nie zobaczył żadnego gestu wskazującego na rozkaz odwrotu i miał zgodę Mariusza na pościg za uciekinierami, o ile ci nie zbliżą się do Teutonów.

Spojrzął ku dolinie: Ambronowie biegli prosto do własnego obozu.

– Za mną! – rozkazał.

Zaskoczył tym niektórych legionistów, od miesięcy przyzwyczajonych raczej do obrony pozycji niż do ataku, a tym bardziej pościgu za rozproszonymi wojskami wroga. Nie brakowało im jednak chęci. Część centurionów obejrzała się za siebie, szukając postaci konsula: stał tam, na wieży strażniczej nad bramą budowanego obozu i nie uczynił żadnego gestu. Trąby *buccinatores* nie zabrzmiały, żeby nakazać odwrót. Ich milczenie oznaczało milczenie samego konsula, a więc obowiązywał rozkaz trybuna Sertoriusza.

Kohorty ruszyły w pościg za Ambronami. Wkrótce dotarły do ich obozu, gdzie barbarzyńcy nawet nie stawili im czoła, zostawiając kobiety, dzieci oraz wozy, i uciekli dalej. Część skierowała się do obozu teutońskiego króla, reszta do pobliskiego lasu.

Sertoriusz chciał nakazać pościg za tymi drugimi, ale wtedy natknął się na niespodziewaną przeszkodę: kobiety Ambronów zaczęły bronić obozu, mimo że praktycznie nie były uzbrojone. Wykorzystywały wszystko, co miały pod ręką:

naczynia kuchenne, narzędzia czy po prostu siłę własnych ramion. Pomagały im dzieci. Jedne płakały, inne gryzły. Legioniści zareagowali ze złością i zaczęła się nierówna walka, w której bez litości masakrowano kobiety i dzieci. Trochę to Rzymian kosztowało, ponieważ kobiety stawiały zaciekle opór. Tyle że legioniści pamiętali jeszcze obraźliwe słowa i drwiny, zapowiedzi, jak to barbarzyńcy zajmą się Rzymiankami, gdy tylko dotrą nad Tyber. Nie pomogło to we wzbudzeniu litości u podkomendnych Sertoriusza, a sam trybun nie miał ochoty przerywać masakry. Nie mógł ścigać Ambronów, którzy schronili się w obozie Teutonów, a wejście do lasu nie wydawało mu się dobrym pomysłem.

– Podpalić wozy! – nakazał.

W ciągu kilku minut obóz Ambronów stanął w płomieniach, które pożerały wszystko i otaczały dzielne kobiety walczące do ostatniego tchu.

Sertoriusz zauważył, że niektórzy z jego ludzi z oczywistymi zamiarami próbowali zaciągnąć kobiety barbarzyńców do kotlinki. Spojrzał na las: tam kryli się wojownicy, którzy powinni byli ich bronić. Dzieci branek płakały nieopodal. Sertoriusz podszedł w tamto miejsce.

– Wypuście je – powiedział spokojnym głosem. Tak samo odzywał się konsul, gdy wydawał rozkazy. Nie podnosząc głosu. Nie powtarzając słów.

Legioniści byli żądni kobiet wojowników, którzy przed paroma dniami sobie z nich drwili, i nie chcieli tak po prostu rezygnować z łupu, ale wobec zimnego spojrzenia trybuna rozluźnili uścisk, a to wystarczyło, żeby kobiety się im wyrwały i rzuciły się do ucieczki.

Obóz płonął.

Wszystko rozegrało się szybko.

– Wracamy – zarządził Sertoriusz.

Jego ludzie usłuchali rozkazów.

Obóz teutoński

– Nic nie robimy? – spytał jeden z doradców germańskiego władcy tuż po tym, jak Rzymianie podpalili wozy Ambronów.

Teutobod rozejrzał się: jego ludzie nadal stawiali namioty albo jedli. Nie byli gotowi do walki. Ambronowie rzucili się na Rzymian bez przygotowania i skończyło się to porażką. Mógł wydać rozkaz ataku całym wojskiem, ale z całą pewnością zakończyłby się on szybkim odwrotem Rzymian albo włączeniem wszystkich ich legionów do regularnej bitwy, której nie planował. Nie wyglądało to dobrze.

– Nic nie robimy, królu mój? – spytał inny doradca.

Teutobod zaimprovizował, wysyłając Ambronów, żeby nękali rzymskich nosicieli wody, i oto, co się stało. Nie był to dobry moment na ponowną improwizację.

– Wojownicy, którzy nie walczą w obronie swoich kobiet i dzieci, nie zasługują na naszą pomoc – odparł wreszcie germański król.

Napił się wody. Z tej samej rzeki, z której czerpali ją Rzymianie zabijający Ambronów. Wylał resztę na ziemię, odchrząknął, splunął i odwrócił się od płonących wozów, od trupów mężów, kobiet i dzieci.

Spojrzał na wieżę strażniczą, z której obserwował ich konsul rzymski. Mimo że odległość była spora, król miał wrażenie, że dowódca wroga wbija w niego wzrok.

Obóz rzymski

Przed konsulem stanął Sertoriusz w zaplamionej krwią zbroi, ze spoconym czołem. Był nieco zziębnięty.

– Podpaliliśmy obóz – wyjaśnił – ale nie uznałem za rozsądne ścigania wojowników, którzy uciekli do lasu, ani oczywiście tych, którzy szukali schronienia wśród Teutonów.

– Dobrze zrobiłeś. – Gajusz Mariusz zawsze był oszczędny w słowach. Teraz ponownie spojrzał na morze namiotów, które stawiali w dolinie. Zobaczył, jak król Teutonów odchodzi, odwracając się od pożaru, który trawił obóz Ambronów.

– Powinniśmy rozdzielić wino wśród legionistów, którzy wzięli udział w bitwie – zasugerował jeden z trybunów.

Sertoriusz nic nie powiedział. Nadal odzyskiwał oddech.

– Lepiej rozdać je wszystkim – stwierdził inny oficer. – To im poprawi humor.

Gajusz Mariusz nadal obserwował ruchy teutońskiego władcy. Jego podwładni z szacunkiem czekali na odpowiedź.

– To nie pora na świętowanie – powiedział wreszcie, nawet na nich nie spojrzawszy. – Mieliśmy szczęście, że Ambronowie wystawili raczej pijanych wojów niż swoje kobiety. Z tego, co widziałem, gdyby to im rozdano broń, byłoby nam trudniej.

Trybuni zamrugali oczami. Żaden z nich nie był w stanie wyobrazić sobie niczego tak absurdalnego jak walczące kobiety. Chociaż rzeczywiście wykazały się większą odwagą niż ich mężowie.

Gajusz Mariusz odwrócił się i zaczął schodzić z wieży, przekazując ostatnie rozkazy.

– Żadnego wina. Kolacja i sen. Pobudka o świcie, śniadanie i wzmacnianie fortyfikacji.

U stóp wieży Mariusz skierował kroki w stronę *preatorium* stojącego między namiotami legionistów.

– Słyszeliście – powiedział Sertoriusz pozostałym trybunom, którzy ruszyli, żeby przekazać dalej rozkazy konsula.

Sertoriusz poszedł za Mariuszem. Gdy się z nim zrównał, zadał mu pytanie.

– Jeszcze nie odbyliśmy głównej bitwy, tej ostatecznej, prawda, najjaśniejszy mężu?

– Prawda – odparł Gajusz Mariusz, nie zwalniając kroku.

Sertoriusz zrozumiał, że jego dowódca nie ma ochoty na rozmowę, i się zatrzymał. Obserwował oddalającego się konsula, jego samotną, wyprostowaną sylwetkę, która niknęła między legionistami stojącymi na jego widok na baczność.

* Patrz mapa [5].

** Patrz mapa [6].

ROZDZIAŁ XXI

Memoria in memoria

Legiony ludu

Dolina nieopodal Aquae Sextiae, południowa Galia

102 r. p.n.e.

Teutobod wrócił do taktyki prowokowania i rozpraszania uwagi Rzymian. Podczas gdy przy Fossa Mariana jego wojownicy podchodzili do rzymskiego obozu i rzucali obelgi, tym razem grupy Teutonów zbliżały się nocą do fortyfikacji rzymskich, żeby walić mieczami, wywołując hałas niepozwalający wrogowi spać.

Gajusz Mariusz odpowiedział tą samą strategią i wysłał kilka jednostek, żeby zakłócały sen Teutonów.

Wyglądało na to, że wojna znów przedzierzgnie się w długie, powolne oczekiwanie, ale pod koniec pewnego dnia wszystko nagle uległo przyspieszeniu.

Obóz rzymski

Konsul wezwał trybunów do *preatorium* na szczycie wzgórza.

Mówił prosto, bezpośrednio, konkretnie.

– Dzisiejsza kolacja ma być obfita, ale bez przesady. I ani kropli wina. Jutro zjemy śniadanie przed świtem, ludzie mają pić mleko lub wodę. Nie chcę, żeby legioniści cierpieli z powodu pragnienia po wschodzie słońca. – Rozłożył papirus, na którym rozrysował szkic wzgórza, rzeki, obozu rzymskiego i teutońskiego. Nad planem dokończył wydawanie rozkazów, o których myślał w ostatnich dniach. – Tej nocy podwójna liczba patroli będzie hałasować przy obozie Teutonów. Klaudiuszu Marcellusie – spojrzał na jednego z najstarszych trybunów – weźmiesz

trzy tysiące legionistów i staniesz z nimi w pobliskim lesie dębowym. – Wskazał na punkt leżący na końcu zbocza, na którym rozbili obóz. – Weź ze sobą zwierzęta juczne, muły i większość *calones*. Chciałbym dać ci więcej ludzi, ale potrzebuję ich tutaj. Wkroczysz do walki w środku bitwy, gdy Teutoni rozpoczną odwrót, i będziesz udawał, że jest was znacznie więcej. Dlatego zabierzesz ze sobą zwierzęta i niewolników. Wymieszaj ich ze swoimi ludźmi. To sprawi, że będziecie wyglądali na liczniejsze wojsko. Zrozumiano?

Klaudiusz Marcellus przytaknął, starając się nie okazać zaskoczenia. Podobnie jak większość oficerów, nie wierzył w to, co słyszał: konsul wydawał rozkazy stoczenia bitwy w polu. Nareszcie.

Nie zaskoczyło to jednak Sertoriusza. Od czasu potyczki z Ambronami był pewien, że Mariusz odlicza dni do ataku.

– Dobrze, na wszystkich bogów – mówił dalej Gajusz Mariusz. – Jutro o świcie ustawimy wszystkich żołnierzy, poza tymi, których zabierze Klaudiusz Marcellus, w formację *triplex acies*, z kohortami rozlokowanymi jak na szachownicy.

Konsul wiedział, że jego ludzie świetnie znają klasyczną formację *triplex acies*, w której jednostki wojskowe rozstawione są naprzemiennie jak w tej nowej grze w warcaby. Był tego świadomy, ale chciał uniknąć nieporozumień, więc nie zakładał niczego z góry. To miała być decydująca bitwa i wszystko musiało zostać ustalone tak, jak to obmyślił w ostatnich... dniach, tygodniach, miesiącach? Nie. Latach.

Mariusz marzył o tej bitwie, odkąd przeanalizował druzgoczące porażki poprzednich armii konsularnych pod Noreią, Burdigalą i Arauzjoną.

– O świcie – kontynuował – wraz z pierwszymi promieniami słońca, po rozlokowaniu wojsk na zboczu rzucimy na wroga jednostki konne, *turmae*. Jeźdźcy będą nękać Teutonów, aż ich król nakaże za nimi pościg. Wówczas wróg będzie musiał przekroczyć rzekę i wspiąć się na wzgórze. Natkną się tam na nasze legiony, które rozstąpią się na moment, tak żeby kawaleria ustawiła się na tyłach. Wtedy rozpocznie się bitwa.

Konsul zamilkł. Wpatrywał się w mapę.

– Jakież pytania? – spytał na koniec.

Wszystko wydawało się jasne. Sertoriusz w milczeniu przebiegał w myśli usłyszane słowa.

Za to Klaudiusz Marcellus odważył się wypowiedzieć to, co w jakiś sposób dręczyło wszystkich.

– Teutoni mają nad nami przewagę liczebną – oznajmił. – Nawet po tym, jak wybiliśmy większość Ambronów, wróg jest od nas znacznie liczniejszy.

Konsul przytaknął, ale jego odpowiedź brzmiała kategorycznie.

– Dlatego będziemy walczyć w górnej części zbocza, dlatego rzeka będzie za ich plecami, a nie naszymi, dlatego w środku bitwy wypadniesz na nich z twoim oddziałem. Nikt nie powiedział, że będzie łatwo. Ale czyż nie chciałeś walczyć już parę miesięcy temu? Teraz nadeszła pora.

Obóz teutoński, o świcie następnego dnia

Tej nocy Teutobod spał źle. Rzymianie byli wyjątkowo hałaśliwi. Ale nie tylko to zaskoczyło jego ludzi.

– Są tutaj, królu mój! – krzyknął jeden z doradców, wskazując na zbocze.

Cała rzymska armia stała poza swoim obozem w idealnej formacji bitewnej na długości zbocza, na którego szczycie się dotąd chowali. A to nie wszystko: kawaleria Rzymian galopowała w ich stronę z wyraźnym zamiarem ataku.

Teutobod się rozejrzał: wielu z jego wojowników nadal jeszcze spożywało śniadanie. Nikt się nie spodziewał, że Rzymianie wyjdą z całym wojskiem. Ich kawaleria była blisko. Choć niezbyt liczna, należało natychmiast stawić jej czoło.

– Niech wszyscy wojownicy się szykują – nakazał król.

Wkrótce do patroli, które krążyły wokół obozu, zaczęli dołączać wojowie z tarczami, mieczami, toporami i lancami. Wielu z nich nie zjadło jeszcze śniadania. Byli głodni i podobnie jak ich król nie wyspali się z powodu hałasu

robionego przez rzymskie patrole, które w nocy zdawały się tłuc żelastwem ze szczególną zawziętością.

Obóz rzymski *

Turmae wróciły w stronę stojącego w ciasnych szeregach wojska rzymskiego. Walczyły z Teutonami do momentu, w którym większa część germańskiej armii wreszcie się zorganizowała i rzuciła na nie blokiem. Jeźdźcy uznali, że jest ich zbyt mało, żeby kontynuować nierówną walkę, a poza tym mieli rozkaz jedynie nękać wroga do chwili, gdy ten zacznie ich ścigać. Gdy ogromna armia teutońska ruszyła ławą, dekurioni nakazali odwrót ku zbocz, na którym stały legiony. Sprawnie przekroczyli rzekę i szybko wspięli się na wzgórze.

Gajusz Mariusz zszedł z wieży strażniczej, z której wszystko to obserwował. Jego oficerowie myśleli, że stamtąd będzie też kierował bitwą. Ale gdy tylko kawaleria zawróciła, konsul żwawo zbiegł po schodach.

Szybkim krokiem wyszedł z obozu przez główną bramę – za nim kroczyli Sertoriusz i pozostali trybuni. Mariusz minął palisadę i zbliżył się do tylnej straży armii rozłokowanej na zbocz.

– Otworzyć przejścia – nakazał.

Trybuni i centurioni powtórzyli rozkaz.

Rozstawione jak warcaby kohorty zmieniły szyk, tak że pomiędzy jednostkami powstały szerokie korytarze. Tym środkowym konsul przeszedł w stronę pierwszych linii swojego wojska, podczas gdy pozostałymi przemieszczały się jednostki konne, które miały ustawić się na tyłach do czasu, gdy dowódca znów wezwie je do walki.

Gajusz Mariusz niedługo potem stanął przed pierwszym szeregiem swojego wojska. Była to dla wszystkich niespodzianka. Coś takiego nie zdarzyło się od czasu Scypionów – był to ruch niespotykany, wręcz niesłychany.

Konsul spojrział w stronę wroga, który zbliżał się równomiernie, choć wolno. Miał czas, żeby przemówić do żołnierzy.

Zaczął spacerować przed pierwszym szeregiem.

– Zamknąć przejścia – nakazał.

Kohorty wróciły do poprzedniego ustawienia przypominającego szachownicę do gry w *ludus latrunculorum*. W ten sposób nie było już miejsca, w którym frontalny atak rzymski mógłby się załamać. O ile oczywiście nie zostaną przygnieceni siłą zdolną do zmiażdżenia kilku rzymskich legionów w idealnej formacji. Wszystko było możliwe, bo już się zdarzyło. Pod Arauzjoną. Teraz mogło się powtórzyć.

Teutoni podążali równiną, byli coraz bliżej.

– Legioniści Rzymu! – Mariusz uniósł ramiona, żeby zwrócić na siebie uwagę swoich ludzi.

Jego głos wybrzmiał donośnie. Ustawienie wojska na zboczu nie tylko umożliwiała wszystkim patrzeć na dowódcę, lecz również czyniło z tego miejsca naturalny amfiteatr, tak że słowa konsula niosły się po całym wzgórzu.

Sertoriusz obserwował Mariusza od tyłu; stał za jego plecami. Był zaskoczony. Nadal jeszcze nie wiedział, ku czemu to wszystko zmierza. Być może konsul przemówi do legionistów, a potem wróci na tyły, żeby dowodzić bitwą z bezpiecznego miejsca...

– Legioniści Rzymu! – powtórzył Mariusz, upewniając się, że wszyscy go słuchają. – Chciałbym móc wam powiedzieć, że jesteście najlepszymi dziećmi Rzymu, najukochańszymi synami Senatu, najmocniej podziwianymi przez wszystkie instytucje naszej Republiki! Chciałbym móc wam powiedzieć to wszystko, ale wtedy bym skłamał!

Na chwilę zamilkł.

Trzydzieści tysięcy legionistów trwało w absolutnej ciszy, echo odbijało od zbocza kroki ponad sześćdziesięciu tysięcy Teutonów, które brzmiały jak bębny zapowiadające nieuniknioną, nieuchronną, nieodwołalną bitwę. Rzymianie nie musieli być zwycięzcami: było ich mniej, a podobne armie rzymskie zostały pokonane w trzech ostatnich starciach. Mieli ogromną chęć stanąć do walki, ale też nagle... poczuli strach.

– Nie, nie jesteście najlepszymi mężami Rzymu! – mówił dalej konsul. – Ani nawet tymi średnimi, przeciętnymi, wartymi niewiele. Jesteście czymś znacznie gorszym: jesteście odpadami Rzymu! Najgorszymi z najgorszych.

Sertoriusz zmarszczył czoło. To samo zrobili trybuni stojący obok konsula.

Legioniści nadal milczeli: nie bardzo rozumieli, o co chodzi. Wyobrażali sobie, że konsul będzie chciał zachęcić ich do walki, i spodziewali się tego rodzaju przemowy, ale nie obelg. Sertoriusz spuścił wzrok i w milczeniu pokręcił głową: nie tak skłania się żołnierzy, by walczyli do ostatniej kropli krwi w nadchodzącej bitwie. Czy konsul stracił rozum?

– Tak, jesteście rzymskimi odpadami, biedakami, z którymi miasto nigdy się nie liczy, których głosy nigdy nie mają znaczenia dla Senatu! Jesteście tymi, których Republika nigdy nie chciała uzbroić, bo prawa stanowiły, że jedynie posiadacze majątku mogą nosić broń i brać udział w wojnach! Wy zawsze byliście wyłączeni z obowiązku obrony Rzymu i tym samym z jego chwały i zwycięstw, i oczywiście z podziału łupów! Jesteście tylko biedotą! Dla Rzymu nic nie znaczą! Dla Rzymu w ogóle nie istniejecie! Rzym wam nie ufa, Rzym wyczekuje jedynie waszej porażki, waszej klęski! Senat już zastanawia się nad rekrutacją następnej armii, takiej jak wcześniejsze, złożonej z właścicieli – mniej lub bardziej zamożnych, posiadających mniej lub więcej! Dla bogatych Rzymian nigdy się nie liczyliście i nie będziecie się liczyć! Dla bogatych Rzymian jesteście skończeni, jeszcze zanim stanęliście do bitwy!

Legioniści przetykali ślinę, żeby stłumić wściekłość, która rosła w ich piersiach, gotowi do zemsty na tych, którzy nimi pogardzali. Przy Fossa Mariana drwili sobie z nich Teutoni, a teraz musieli słuchać tych słów konsula. Padały one na podatny grunt, ponieważ w głębi duszy wszyscy wiedzieli, że mówi prawdę, choć bolesną. Po raz pierwszy od ponad wieku, od czasów Hannibala, Rzym wezwał miejską biedotę, by stworzyć z niej armię.

Gajusz Mariusz ponownie uniósł ramiona.

Myśli legionistów zatrzymały się. Chcieli słuchać. Byli wściekli na wszystko i wszystkich, ale nie mieli chęci walczyć i oddawać życia za Rzym, który ich nie kochał.

– Nie, Senat w was nie wierzy! – kontynuował Mariusz. – Ale wiecie, kto w was wierzy? Wiecie, kto zachował wiarę w waszą siłę, w waszą odwagę, w lata, jakie spędziliście na szkoleniu? Wiecie, kto jest gotów walczyć u waszego boku, umrzeć z wami i z wami zwyciężyć?

Konsul zamilkł; krążył wzdłuż pierwszego szeregu.

Teutoni się zbliżali. Dotarli nad rzekę płynącą środkiem doliny i zaczęli ją przekraczać.

Sertoriusz słuchał uważnie przemowy dowódcy, jednocześnie obserwując ruchy wojsk wroga. Zbliżył się teraz do konsula i powiedział mu na ucho:

– Przekraczają rzekę.

Mariusz skinął głową, nie patrząc na niego. Skupił uwagę na twarzach legionistów.

– Kto w nas wierzy? – spytał wreszcie jeden z żołnierzy.

Mariusz ponownie skinął głową, wyraźnie okazując zadowolenie z tego, że to pytanie padło.

– Ja, Gajusz Mariusz, konsul rzymski, zwycięzca wojny afrykańskiej, ten, który pokonał Jugurtę! Wierzę w was, w waszą siłę i waszą odwagę! Ja, Gajusz Mariusz, postanowiłem, że państwo powinno was wszystkich uzbroić i dać wam taką samą broń, tworząc armię o równie silnych kohortach. Ja, Gajusz Mariusz jestem tym, którego wiara opiera się na was! Powiecie mi: skoro tyle masz w nas wiary, dlaczego nigdy nie pozwoliłeś nam stawić czoła Teutonom w bitwie, uderzyć na tego samego wroga, który teraz się zbliża, ilekroć nas prowokował w delcie Rodanu? Powiem wam dlaczego. Tamto miejsce było dobre na szkolenie i przyjmowanie zaopatrzenia przy jednoczesnym obserwowaniu ruchów wroga w kierunku Rzymu, ale nie było to miejsce ostatecznej bitwy. Ono jest tutaj! – Pokazał na zbocze okolone wąwozami porośniętymi nieprzebytym lasem. – Tu nie

mogą nas otoczyć, tak więc nie ma znaczenia, że są dwa razy od nas liczniejsi, bo starcie odbędzie się na terenie o dostępie równym dla obu stron! Nad Rodanem mielibyśmy rzekę za naszymi plecami, jak to się przydarzyło naszym wojskom pod Arauzjoną, ale teraz to nasz wróg ją ma! Nie byliście spragnieni, nie chcieliście wody? Więc teraz odepchnijcie Teutonów ze zbocza, zmuszcie ich, by wrócili przez rzekę, którą właśnie przekraczają, a potem napijcie się wody zmieszanej z czerwoną krwią naszego wroga! Zmasakrujcie Teutonów raz na zawsze! Dlaczego nie pozwoliłem wam walczyć nad Rodanem? Nie dlatego, że sądziłem, iż nie możecie zwyciężyć waszą odwagą i siłą, lecz wyłącznie dlatego, że to zwycięstwo nie było przesądzone. Wiecie co? Biedacy, odpady Rzymu, nie mają prawa do drugiej szansy! Senatorowie tak, konsulowie tacy jak ja również, ale wam nikt w Rzymie nie da drugiej szansy! Wy, odpady naszego miasta, łachmaniarze, ci, na których nikt nie zwraca uwagi, gdy podążacie ulicą na forum lub na rynek, nie dostaniecie drugiej szansy, jeśli poniesiecie porażkę! Wy, rzymska biedota, macie tylko jedną szansę! To jest wasza szansa: to zbocze, to wzgórze, ta rzeka, te wąwozy, ta broń, którą trzymacie, te lata ćwiczeń bez wytchnienia są waszą jedyną szansą!

Gajusz Mariusz na moment się zatrzymał. Musiał złapać i wyrównać oddech, ale był rozpalony, rozgorączkowany, mówił od serca, ze swoich trzewi...

– Powiecie mi więc: dlaczego mamy walczyć za miasto, które nas nie kocha? Ja wam powiem dlaczego! Bo to nieprawda, że miasto Rzym was nie kocha! To Senat w was nie wierzy, to większość *patres conscripti* wami gardzi! Przede wszystkim ci, którzy samych siebie nazywają optymatami, jakby byli najlepsi! Ale w Rzymie macie żony i dzieci takie jak wy, z którymi też nikt się nie liczy! A te żony i te dzieci Teutoni zbezczeszczą tak samo jak żony i dzieci bogatych i potężnych – sami nam to powiedzieli tysiące razy, gdy drwili z nas, że nie wychodzimy z obozu nad Rodanem! Ale ja nie wierzę... w ogóle nie wierzę w nową armię, którą zrekrutują senatorowie! Znów będzie słaba i źle wyszkolona, nie będzie miała siły, wściekłości i odwagi potrzebnych, żeby stawić czoło, powstrzymać i zmasakrować

tych dzikusów, którzy właśnie ku nam pędzą i którzy jutro, jeśli zawiedziemy, bez żadnych przeszkód ruszą na Rzym, ku waszym żonom i dzieciom!

Mariusz pocił się z samego wysiłku, jakiego wymagało od niego wykrzyczenie tych słów – tak żeby było go słychać w tym wielkim naturalnym amfiteatrze na zboczu wypełnionym legionistami.

Sertoriusz, który już dostrzegł, dokąd zmierza ta mowa, niepokoił się nadciągającym wrogiem i ponownie nachylił się do ucha konsula.

– Teutoni przekroczyli rzekę i zaczynają wspinać się na wzgórze, najjaśniejszy mężu.

Mariusz ponownie skinął głową.

– Niech mi poprawią zbroję – powiedział. – Czuję, że paski się poluzowały.

Sertoriusz dał znak i jeden z *calones* zbliżył się i pociągnął za mocowanie z tyłu zbroi konsula, tak żeby część chroniąca pierś dobrze przylegała do ciała podczas walki.

Wtedy właśnie trybun zdał sobie sprawę, że konsul nie stanął przed pierwszym szeregiem wyłącznie po to, żeby wygłosić mowę do wojska, co już mu się nie wydało żadnym szaleństwem. Legioniści mieli błyszczące oczy, byli rozplómieni słowami swojego dowódcy.

– Powiesz mi, gdy zbliżą się na tysiąc kroków – dorzucił Gajusz Mariusz, nie patrząc na trybuna, stale zwrócony twarzą do legionistów.

Podszedł nieco do przodu, zbliżył się do kohort z pierwszej linii. Popatrzył na wszystkie jednostki pod swoim dowództwem: te stojące najbliżej, ale też te nieco oddalone, znajdujące się wyżej. Do nich wszystkich skierował ostatnie słowa przed bitwą.

– Jesteście gotowi walczyć za wasze żony i dzieci, za waszych braci, za tysiące, które zasiedlają rzymskie ulice, za tych wszystkich pozbawionych przez Senat dachu nad głową, za wszystkie te kobiety i dzieci, za waszych przyjaciół, którzy w was wierzą, którzy zachowali wiarę w wasze możliwości? Jesteście gotowi walczyć za mnie, za tego, który was uzbroił, wyszkolił i daje wam tę szansę, waszą

jedyną szansę? Jesteście gotowi walczyć nie tylko po to, żeby pokonać wroga, ale również żeby zmienić historię Rzymu? Jesteście gotowi walczyć, by pokazać, że te legiony, prawdziwe legiony rzymskiego ludu, są silniejsze, potężniejsze, bardziej niezwyciężone niż wszystkie inne, o jakich kiedykolwiek śniono? Jesteście gotowi walczyć, by mieć udział w zwycięstwie? Odpowiedzcie, bo ja jestem gotów walczyć za was, u waszego boku, na czele waszej armii! Ja jestem gotów z wami walczyć, umierać z wami i również z wami zwyciężyć! Jesteście gotowi, do diaska? Na wszystkich bogów, odpowiedzcieeeee!

Ostatnie słowo konsula zmieniło się w dziki okrzyk. Na ten wrzask nie dało się nie odpowiedzieć.

– Jesteśmy! Jesteśmy! Jesteśmy! – zaczęli wykrzykiwać żołnierze z pierwszych szeregów, a wkrótce dołączyli do nich legioniści ze wszystkich kohort i ogłuszający ryk z trzydziestu tysięcy gardeł stoczył się ze zbocza i dotarł do uszu Teutonów.

Ten wrzask miał na zawsze zmienić historię Rzymu.

* Patrz mapa [7].

ROZDZIAŁ XXII

Memoria in memoria

Ostateczna bitwa

Dolina nieopodal Aquae Sextiae, południowa Galia

102 r. p.n.e.

Król Teutobod nie znajdował się w pierwszej linii. Szedł wraz z całym swoim ogromnym wojskiem w stronę wzgórza, lecz w środku kolumny. Ale nawet tam dotarł krzyk legionów.

Niektórzy otaczający go oficerowie byli zaskoczeni furią wrzasków wroga. Teutobod wyczuł, że ogarniają ich wątpliwości.

– Jest nas dwa razy więcej – powiedział – i już ich kilkakrotnie pokonaliśmy. Niewielkie siły, jakie mają, wykorzystają na te wrzaski...

Roześmiał się, a wraz z nim rozrechotali się najpierw doradcy, a potem wszyscy wojownicy. Ten śmiech im się przydał, gdyż krzyk legionistów wprowadził ich w ponury nastrój.

Pierwszy szereg armii rzymskiej

Pogardliwy i przepełniony drwiną śmiech dotarł w końcu do uszu legionistów. Był niczym kubeł zimnej wody, który przywrócił im poczucie rzeczywistości po transie, w jaki wpadli po słowach konsula. Zamilkli.

Ale Gajusz Mariusz już powiedział to, co miał powiedzieć, i był świadomy, że jego ludzie są wystarczająco zagrzeni do walki, że ich zapał nie zgaśnie z powodu diabelskich śmiechów nadciągającego wroga. Być może jednak potrzebowali jeszcze paru słów...

– Tysiąc kroków – powiedział Sertoriusz.

– Dobrze – odparł cicho konsul i zaraz zwrócił się do swoich ludzi potężnym głosem, który odbił się echem od wzgórza. – Tak, śmieją się z was tak samo, jak od lat śmieją się z was senatorowie rzymscy, ale dziś, legioniści, dziś nastał dzień, w którym zamilknie wszelki śmiech, wszelkie drwiny i cały ten rechot! Dzisiaj nastał wasz początek, narodziny nowych rzymskich legionów! Dziś jest wasz dzień! Za wasze żony i dzieci! Za waszych przyjaciół i za lud Rzymu! Za bogów! – Wyciągnął z pochwy miecz i skierował jego czubek w niebo. – Za was! Śmierć albo wiktoria! Śmierć albo wiktoria!

A legiony natychmiast mu odpowiedziały:

– Śmierć albo wiktoria! Śmierć albo wiktoria!

Konsul odwrócił się i stanął z twarzą skierowaną ku Teutonom wspinającym się o ciężale na wzgórze. Szli powoli, ale byli w bitewnym ferworze, gotowi zakończyć to starcie, zanim jeszcze słońce stanie w zenicie. Mariusz powiedział do swojego najbardziej zaufanego trybuna:

– Jeśli nas otoczą i ucieczka nie będzie możliwa, zabij mnie. Zrozumiałeś? Wbij we mnie miecz i zadaj mi śmierć. Konsul rzymski, prawdziwy konsul, może zginąć podczas bitwy, ale nigdy nie może trafić do niewoli. Zrozumiałeś, trybunie?

Sertoriusz skinął głową, zmieszany naleganiem Gajusza Mariusza.

– Tak, zrozumiałem, *clarissimus vir* – potwierdził. – Jeśli nas otoczą, będę służył konsulowi w *devotio*.

Użył słowa, które dosłownie oznaczało samobójstwo wysokiego dowódcy rzymskiego w razie klęski. Zrozumiał otrzymany rozkaz.

– Bardzo dobrze, tak będzie: a teraz idziemy po tych przeklętych Teutonów – rzucił Mariusz.

Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio brał bezpośredni udział w bitwie. Zdarzyło się to w Afryce, ale teraz sięgnął pamięcią do znacznie wcześniejszych chwil, lat swojej młodości. Przypomniawszy sobie, jak pod dowództwem Scypiona Młodszego uczestniczył w oblężeniu Numancji, i wymamrotał do samego siebie:

– Będzie jak w Iberii. Bardzo ciężko, bardzo trudno, bardzo chwalebnie.

Gajusz Mariusz przechadzał się w pełnym uzbrojeniu przed przednimi kohortami.

– Nie idźcie do przodu, jeszcze nie! – krzyczał, wszyscy centurioni posłuchali rozkazu.

– Sześćset kroków, najjaśniejszy mężu – poinformował Sertoriusz, który nieustannie chodził za nim i spoglądał to na hordy teutońskie, to na kohorty Rzymu.

– Niech jeszcze się zbliżą. Im bliżej się znajdą, tym bardziej będą mieli pod górkę, co da nam większą przewagę.

Sertoriusz skinął głową, ale nie był w stanie powstrzymać pulsowania w uszach. Nigdy dotąd nie widział tak niesamowicie wielkiej hordy barbarzyńców, która nieubłaganie zbliżała się do rzymskiego wojska.

– Tak jest, *clarissimus vir* – potwierdził trybun i zaraz dodał: – Pięćset pięćdziesiąt kroków.

– Przygotować *pila* – krzyknął wówczas konsul.

Legioniści chwycili oszczepy.

– Pięćset kroków, *clarissimus vir*.

– Dobrze wiem, że jestem konsulem i senatorem, chociaż tak bardzo ciąży to tym nędznikom optymatom w Rzymie, nie musisz mi tego co chwila przypominać. Podawaj mi tylko odległość. Lepiej ją oceniasz. Masz lepszy wzrok ode mnie.

Sertoriusz chciał odpowiedzieć, ale rozmyślił się i jedynie skinął głową.

Teutoni wydawali z siebie gardłowe okrzyki, jakby byli bestiami z innego świata. Chcieli w ten sposób przestraszyć wroga. I to im się udało.

– Czteryście kroków – powiedział trybun.

Gajusz Mariusz zwrócił się do kohort stojących w pierwszym szeregu.

– Poczekajcie na mój sygnał! Kto wcześniej wypuści oszczep, po bitwie odpowie osobiście przede mną! – ostrzegł, a potem dodał, cedząc słowa między zębami: – Jeśli przeżyjemy.

– Trzysta kroków.

Mariusz odwrócił się teraz w stronę Teutonów, którzy kontynuowali niepowstrzymany marsz w górę, ku rzymskim legionom.

– Dwieście kroków! – Sertoriusz musiał krzyczeć, żeby przebić się przez wycie wroga będącego tak blisko, prawie rzucającego się na legiony. – Sto pięćdziesiąt kroków! – Otarł ręką spoconą brodę.

Gajusz Mariusz podniósł ręce.

Wszystko miało się rozegrać szybko, prawie natychmiast, ale im będą bliżej, tym więcej ich padnie. Trzeba jednocześnie dać legionistom czas, żeby zajęli pozycje, osłaniając się tarczami, tak żeby wytrzymać napór wroga, który się zbliżał...

– Sto kroków, *clarissimus vir* ! – wrzasnął z całych sił Sertoriusz, któremu wypłynął się honorowy tytuł dowódcy. Zabrzmiało to błagalnie, jakby prosił konsula, by ten wydał rozkaz.

Gajusz Mariusz opuścił oba ramiona naraz*.

Tysiące legionistów wypuściło *pila*. Niebo zasnuło się chmurą z żelaza i drewna.

Trach, trach, trach, trach...

Jak grad w trakcie najbardziej rozszalałej burzy rzymskie oszczepy padły na pierwsze szeregi Teutonów. Dziesiątki wojowników zginęły na miejscu, setki padły od ran. Na moment powstrzymało to ich atak. Znajdowali się ledwie trzydzieści kroków od Rzymian. Krótkie zamieszanie wynikłe z zalewu oszczepów dało legionistom czas, żeby przygotować tarcze na natarcie Teutonów.

– Wyciągać miecze, wyciągać miecze, na wszystkich bogów! – nakazał Gajusz Mariusz, który cofnął się kilka kroków w towarzystwie nieodłącznego Sertoriusza, żeby dołączyć do pierwszego szeregu wojska.

Teutoni przeskakiwali rannych i trupy, a nawet je deptali, bo nie chcieli wstrzymać natarcia. Deszcz *pila* zadał im liczne straty, ale teraz armia

barbarzyńców zachowywała się jak ranione zwierzę i rzuciła się, żeby gryźć, niszczyć, tępić.

Zderzenie z tarczami rzymskich kohort było przerażające.

– Kłuć, kłuć, kłuć – wrzeszczał konsul, wrzeszczeli trybuni i centurioni. A legioniści wciskali miecze w luki między tarczami i wściekle dźgali, szukając piersi, ramion, nóg i, jeśli tylko się dało, serc i brzuchów, gdyż te pchnięcia okazywały się śmiertelne.

Teutoni ruszyli z wściekłością, ale bez chwili odpoczynku musieli z obozu przebyć kilka mil, przekroczyć rzekę i wspiąć się pod górę na długie zbocze. Wielu z nich nic nie zjadło. Zabrakło im pary i pierwsza linia Rzymian, mimo że poniosła straty, szybko zorientowała się, że może zyskać nieco terenu. Poza tym zbocze działało na korzyść legionów, ponieważ nacierały one z góry, podczas gdy zmęczeni Teutoni musieli atakować od dołu. Siła każdego legionisty rosła dzięki nachyleniu zbocza, podczas gdy siła każdego Teutona malała.

Mimo to Mariusz chciał zdobyć jeszcze większą przewagę.

– Pierwsza zmiana! – nakazał.

Legioniści z pierwszej linii zatrzymali się, cofnęli kilka kroków i ustąpili miejsca towarzyszom, którzy czekali z tyłu i teraz ze świeżymi siłami włączyli się do walki.

Mariusz i Sertoriusz zyskali nieco oddechu, nie musieli już napierać mieczem i tarczą na wroga, którego impet wyhamował za sprawą siły i dyscypliny wojennej legionistów. *Spatha* konsula, nieco dłuższa od zwykłego miecza żołnierza, ociekała krwią. Gajusz Mariusz pracował w pierwszym szeregu jak każdy, legioniści to widzieli i to jeszcze bardziej zagrzewało ich do walki. Konsul nie tylko kierował bitwą, lecz również walczył na równi z nimi, ramię w ramię. Dosłownie. Nagle Gajusz Mariusz poczuł na skroni coś mokrego.

– Konsul ma ranę na czole – powiedział Sertoriusz. – Wezwać medyka!

– Niech szybko się zmieniają i schodzą w dół na całej szerokości zbocza – powiedział Mariusz, nie zwracając uwagi na swoją ranę.

– Tak jest, *clarissimus vir*.

– I niech przyniosą wody dla wszystkich żołnierzy, którzy opuszczają pierwszą linię, mają pić, ile potrzebują. Nieważne, że zużyjemy dziś całą wodę. Tylko dziś się liczy. Tylko i wyłącznie. Rozumiesz? Dziś wszystko się rozstrzygnie.

Oficerowie przytaknęli i ruszyli w różnych kierunkach, żeby wypełnić rozkazy.

Dzięki szybkim i dobrze skoordynowanym zmianom, przewidzianym podczas wielu godzin szkolenia wojskowego, Rzymianie utrzymali na pierwszej linii wypoczętych i dobrze przeszkolonych ludzi. Mimo licznych strat, jakie zadali im waleczni Teutoni, spychali barbarzyńców w stronę rzeki. Powolny, niełatwy, lecz nieustępliwy postęp w dół zbocza dał im ogromną nadzieję na zwycięstwo. Może są odpadami Rzymu, ale wygrają tę bitwę, zmienią bieg historii i nikt więcej nie będzie się z nich śmiał.

Słowa konsula nadal jeszcze wibrowały w ich uszach, gdy zabijali Teutonów, spychając ich ze zbocza coraz niżej w stronę rzeki.

Las dębowy położony między obozem rzymskim a obozem teutońskim

Zgodnie z rozkazami konsula Marcellus ukrył się ze swoimi ludźmi między drzewami i obserwował przejście wojska teutońskiego, nie robiąc nic, żeby mu przeszkodzić. Miał inne zadanie.

Teraz patrzył, jak barbarzyńcy stopniowo wycofują się wobec naporu kohort prowadzonych osobiście przez konsula.

– Są jeszcze daleko – powiedział do swoich oficerów – ale niech ludzie i zwierzęta będą w gotowości. Wkrótce wkraczamy do bitwy.

Centralna część wojska teutońskiego

Teutobod przypatrywał się, jak jego wojownicy próbują przełamać linię rzymskich kohort. Nie podobało mu się to, choć nie chciał uwierzyć, że ostatecznie siła i przewaga liczebna jego armii nie przesądzą o losach bitwy. Było ich przecież znacznie więcej. Mógł sobie pozwolić na stratę kilku tysięcy. A może pomysł odwrotu na równinę nie jest taki zły. Zbocze daje przewagę Rzymianom, jest

niczym ślepy zaułek, a okalające je wąwozy nie pozwalają wykorzystać przewagi liczebnej. Zdał sobie z tego sprawę z opóźnieniem, ale miał czas, żeby skorygować błędy. Tak, stopniowe oddawanie pola będzie dobrą strategią. Widział wyraźnie, że atak kawalerii rzymskiej o świcie był przynętą, na którą się złapał, wabikiem prowadzącym go w paszczę rzymskiego wilka, ale teraz wyciągnie z niej swoich ludzi i gdy tylko znajdą się na równinie, zreorganizuje wojsko i otoczy Rzymian przekraczających rzekę w pogoni za jego oddziałami. A gdy będą mieli wodę za plecami, zmasakruje ich z trzech stron i wepchnie do rzeki, jak to miało miejsce pod Arauzjoną. Ten strumień nie jest wprawdzie Rodanem, lecz z pewnością trudno będzie jednocześnie go przebywać i walczyć. Tak odniesie zwycięstwo. Po raz kolejny. Tylko będzie ono nieco więcej kosztować. Ale jest osiągalne i zostanie osiągnięte.

– Na Odyna! Niech się cofają, szybko, ale w porządku!

Pierwsze szeregi wojska rzymskiego

- Zorientowali się – powiedział Gajusz Mariusz, obserwując odwrót Teutonów.
- Król barbarzyńców pojął, że wpadł w pułapkę.
 - I co teraz, *clarissimus vir*? – spytał Sertoriusz.
 - Idziemy za nimi zgodnie z planem.
 - Przekroczymy rzekę?
 - Tak jak ustaliliśmy – powtórzył konsul. – Chce wybrnąć z tej pułapki. Tego brakowało, żeby mu się udało. Dziś to my jesteśmy łowcami, a on naszą ofiarą. A gdy Gajusz Mariusz wyrusza na polowanie, wraca z piękną zdobyczą.

Na równinie

Upał.

W południowej Galii słońce wspinało się po niebie i coraz bardziej nagrzewało równinę. Teutoni nie byli przyzwyczajeni do walki w ciepłym i wilgotnym klimacie śródziemnomorskim, obficie się pocili i tracili zapał do walki, więc odwrót, który miał być powolny i uporządkowany, chwilami stawał się serią pospiesznych

wyścigów, w których wielu barbarzyńców naraz próbowało jak najszybciej dotrzeć do rzeki. Szukali ochłody w jej wodach, zaspokojenia pragnienia, a także usiłowali oddalić się od legionów rzymskich, które bez wytchnienia ich ścigały.

Teutobod ciskał się, wydając rozkazy, żeby przywrócić porządek podczas odwrotu. Sprawy nie szły dobrze, ale uznał, że gdy tylko jego wojska zejść ze wzgórz, pojawią się szanse na zwycięstwo. Na równinie flanki wroga zostaną odsłonięte i przewaga liczebna wreszcie coś będzie znaczyć i pozwoli mu otoczyć Rzymian. Na tym polegał jego plan i wiedział, że to była dobra strategia. Zwycięska formuła.

Wielu jego wojów przekroczyło już rzekę i Teutobod na nowo rozlokowywał swoje siły: z pierwszą linią znacznie szerszą niż ta, którą wołały legiony. Dzięki temu będzie mógł zaatakować rzymskie kohorty z dwóch stron. Nagle...

– Co to jest? – wykrzyczało paru germańskich oficerów.

Teutobod spojrzał do tyłu i zobaczył, jak z dębowego lasu wyłania się nowe wojsko wroga – kawaleria i piechota – i rzuca się na jego szeregi, które jeszcze się reorganizowały.

– Druga armia! – krzyczeli żołnierze i doradcy. – Rzymianie sprowadzili drugą armię!

Nie przyglądali się dokładnie, co to za wojsko zbliża się do ich tyłów, bo legiony konsula już przekroczyły rzekę i nacierały. Teutoni wpadli w panikę; poczuli, że są okrążeni przez dwie armie, odepchnięci ze wzgórz. Byli ponadto zmęczeni, spragnieni i zdeorganizowani. Rzucili się do ucieczki.

Teutobod uważnie przyjrzał się tej rzekomej drugiej armii i zdał sobie sprawę, że ani nie była tak liczna, ani tak dobrze uzbrojona. Wyglądała raczej na dziwną zbieraninę kawalerii i piechoty, w której znajdowali się nie tylko legionieści, lecz również wojska pomocnicze, a nawet uzbrojeni niewolnicy. Niektóre zwierzęta nie miały nawet jeźdźca.

– To podstęp i tyle – powiedział. – Zatrzymać się! Na Odyna, to nie jest druga armia! – wykrzyczał.

Ale strach już wypełnił serca barbarzyńców. Najpierw Rzymianie zmasakrowali Ambronów, potem zmusili ich do odwrotu ze wzgórza, a teraz atakowali z nowymi oddziałami, których się nie spodziewali. Za dużo trudności i nieprzewidzianych wydarzeń. Ucieczka wydawała się najlepszym wyjściem.

Wojsko rzymskie

– Niech legiony atakują tych, którzy jeszcze wychodzą z rzeki – nakazał zdecydowanie Gajusz Mariusz. – A kawaleria niech zejdzie ze wzgórza, minie nas bokiem i rusza w pościg za tymi, co uciekają. Niech wesprą Marcellusa i jego ludzi.

– Tak jest, najjaśniejszy mężu – potwierdził Sertoriusz i natychmiast przekazał te rozkazy dalej.

Na równinie

Zdesperowany Teutobod próbował odwrócić bieg wydarzeń, ale połowa jego wojska uciekała w chaosie, ścigana przez kawalerię rzymską, która zjechała ze wzgórza, i przez oddział, który pojawił się w lesie. Ścigających nie było wielu, lecz jego wojownicy nie oglądali się za siebie i w ten sposób stawali się łatwą zdobyczą i padali setkami.

Król teutoński spojrział w kierunku rzeki. Tam sytuacja nie była lepsza: jego ludzie, pozbawieni animuszu, prawie nie stawiali oporu zdyscyplinowanym legionom, które posuwały się naprzód, zadając śmierć. Część barbarzyńców porzuciła broń i błagała o litość. To wyprowadziło króla z równowagi do tego stopnia, że po raz pierwszy od początku bitwy stanął w pierwszej linii. Ten dowód jego honoru pojawił się jednak za późno. Odwaga Teutoboda sprawiła, że niektórzy z otaczających go wojów ze wstydu znów sięgnęli po broń, stanęli obok władcy i dali odpór kohortom, ale legiony nadal zmieniały ludzi na pierwszej linii, więc do walki ciągle stawali świeży żołnierze. Teutoński władca miał wokół siebie coraz mniej ludzi, potem otaczali go prawie sami martwi i ranni, aż w końcu stał już samotnie na pierwszej linii walki z legionami.

Nie mógł dłużej stawiać oporu. To wojsko nie było takie jak pod Arauzjoną i w czasie innych niedawnych bitew. Teutobod nie mógł zrozumieć, co się zmieniło w nastawieniu Rzymian. Wszystko go przygniotło, wszyscy go opuścili.

– Aaaaach! – wrzasnął, gdy został zraniony mieczem, potem drugim.

Nagle jakiś centurion rozpoznał zbroję i hełm wrogiego króla i nakazał legionistom się zatrzymać, otoczyć i pilnować rannego, pokonanego króla do czasu, aż zjawi się konsul i zdecyduje, co z nim zrobić.

Teutoni zostali zmasakrowani: w rzece legioniści nadal mordowali i niewolili barbarzyńców, na równinie kawaleria i oddział Marcellusa wycinały wroga w pień, jakby chodziło o bandę wystraszonych królików. Teutoni byli przyzwyczajeni do toczenia bitew, w których od początku do końca mieli przewagę, w ogóle nie byli gotowi, ani fizycznie, ani psychicznie, na walkę, której losy zmieniają się już na samym początku.

Trup ścielił się gęsto.

To była niesłychana masakra.

Liczne kohorty dotarły do obozu wroga i natknęły się tam – podobnie jak w obozie Ambronów – na kobiety walczące o życie, próbujące ocalić dzieci, odważne, ale pozbawione broni. Wiele z nich zginęło, inne zostały pojmane w niewolę. Taki sam los spotkał dzieci.

Porażka Teutonów była absolutna.

– To pełne zwycięstwo, *clarissimus vir* – powiedział Sertoriusz, podchodząc do konsula stojącego przy rannym królu teutońskim klęczącym na ziemi, otoczonym setkami legionistów, którzy z dumą oglądali tę scenę.

– Wielka wiktoria, to prawda – przyznał Gajusz Mariusz i pod uważnym spojrzeniem trybuna i reszty oficerów oraz wszystkich legionistów podszedł do pokonanego króla i kucnął przed nim. – Teraz, powiedz mi, teutoński królu, kto jest tchórzem?

Teutobod jedynie wydał z siebie pełne bólu parsknięcie; z ust ciekła mu krew, a jego serce emanowało pogardą.

Gajusz Mariusz krótko się uśmiechnął. Potem wyprostował się i odsunął na kilka kroków od umierającego władcy.

– Zabijemy go? – spytał Sertoriusz.

Gajusz Mariusz odwrócił się do swojego wroga, który powoli się wykrwawiał: kilka godzin dzieliło go od śmierci, jeśli mu jej wcześniej nie zadadzą.

– Nie, nie zabijemy – odparł. – Przez dwa lata z nas sobie drwił, teraz przez parę godzin my pośmiejemy się z niego.

Sertoriusz skinął głową, był usatysfakcjonowany.

– Rozdać wino wszystkim legionistom, gdy skończą z tymi, którzy próbują uciec – dodał konsul, podnosząc głos, żeby wszyscy go usłyszeli. – Dziś świętujemy i pijemy! A ci, którzy mają ochotę, mogą pić obok pokonanego króla wroga!

Ze wszystkich stron rozległy się owacje i okrzyki. Gajusz Mariusz ruszył wówczas w stronę niewielkiego pagórka, z którego lepiej było widać to, co się działo na polu bitwy. Sertoriusz szedł za nim, w razie gdyby trzeba było przekazać jakieś rozkazy pozostałym oficerom. Z tamtego miejsca obserwowali poddających się Teutonów i kończące się polowanie na tych, którzy nadal uciekali na skraj równiny.

– Niech Marcellus nie ściga uciekinierów po lesie – nakazał konsul. – Nie chcę stracić żadnego żołnierza w improwizowanej pułapce.

Sertoriusz spojrzał na oficerów, którzy mu towarzyszyli; nie musiał powtarzać rozkazu. Od razu kilku z nich ruszyło do Klaudiusza Marcellusa.

Gajusz Mariusz popatrzył w stronę rzeki: była czerwona od krwi tysięcy Teutonów przebitych mieczami i oszczepami Rzymian.

– Wiesz, co wedle Galów znaczy nazwa Teutoni? – spytał Sertoriusz.

– Nie wiem, najjaśniejszy mężu.

– „Teuto” oznacza plemię, a „ona” wodę. Dla Galów Teutoni są plemieniem wód, ponieważ podobno pochodzą znad dalekich mórz, gdzieś na nieznanym północy. Nie wydaje ci się to ciekawe?

Sertoriusz nie wiedział dokładnie, o co chodzi konsulowi.

– Teutoni, plemię wody, zginęło w wodzie – wyjaśnił Gajusz Mariusz, wskazując na zaczerwienioną rzekę. – Przyszli od wód i w nich zakończyli żywot.

W tym momencie na pagórek dotarł jeden z oficerów. Przyniósł wieści.

– Marcellus został poinformowany o rozkazie – powiedział. – A król teutoński... przestał oddychać.

Gajusz Mariusz lekko skinął głową. Pokonał Teutoboda, który prawie stał się drugim Hannibalem, ale dla starego konsula ta śmierć zasługiwała jedynie na nieznaczny gest.

Prostota, z jaką przyjął wiadomość o śmierci morderczego wroga, sprawiła, że w oczach Sertoriusza i jego ludzi konsul jeszcze bardziej urósł.

– Imperator, imperator, imperator! – krzyknęły legiony Rzymu.

Wcześniej myśleli, że konsul, który nimi dowodzi, jest tchórzem, a teraz fetowali go jako imperatora.

Wieści o wielkim zwycięstwie szybko dotarły do Senatu.

Jak również wieści o okrzykach, które stawiały Gajusza Mariusza nad innymi.

* Patrz mapa [8].

ROZDZIAŁ XXIII

Nowa wojna

Tawerna nad Tybrem, Rzym

90 r. p.n.e.

– Czasami, chłopcze – mówił dalej Gajusz Mariusz, patrząc w oczy bratanka – nie wygrywa się wojny w dniu decydującej bitwy. Tego dnia wygrywa się bitwę, która oczywiście jest bardzo ważna, ale wojnę wygrało się też w pozostałe dni, kiedy wróg prowokował cię do walki pasującej jemu, ale tobie niekoniecznie. Rozumiesz mnie?

Cezar skinął głową, notując w pamięci te słowa.

– Nieważne, że cię obrażają. Możesz udać, że jesteś tchórzem i wcale nim nie być, możesz udać, że jesteś kiepski, i wcale taki nie być. Najważniejsze jest zwycięstwo. Nieważne, czy nazwą cię tchórzem. Nie stawaj do walki, dopóki nie uwierzysz, że możesz ją wygrać. Pamięta się tylko tego, kto zwyciężył. Wszystko, co wydarzyło się przed walką, zostaje zapomniane. Pamiętaj, chłopcze, nie rzucaj się do walki, jeśli nie możesz jej wygrać.

– Tak... – odparł Cezar i miał dodać „panie”, ale nieco niepewnie zmienił to słowo na „wuju”.

Gdy tylko je wypowiedział, Sertoriusz i reszta oficerów otworzyli szeroko oczy i znieruchomieli, wstrzymując oddech. Słowa Mariusza rozbrzmiały w ciszy tawerny nad Tybrem.

– Nazwałś mnie wujem? – Stary senator odwrócił się do swoich ludzi i powtórzył głośno, jak gdyby był jeszcze ktoś, kto tego nie usłyszał: – Nazwał mnie wujem.

Cezar przełknął ślinę.

Mariusz odwrócił się teraz w jego stronę. Chłopak siedział i był tak blady, jakby zaraz miał zemdleć. Poczuł, że całe wino, które wypił, nagle uderzyło mu do głowy.

Wtedy Gajusz Mariusz wybuchnął śmiechem. Czystym, potężnym śmiechem. To był radosny śmiech.

Cezar się rozluźnił, to samo zrobili Labienus oraz Sertoriusz i pozostali oficerowie. Mariusz pochylił się nad stołem i powiedział do bratanka:

– Ty możesz mnie tak nazywać. – Potem spojrzał na Labienusa. – Ty nie, ale skoro trzymasz z moim bratankiem, to mi się spodobałeś.

Tytus Labienus skinął głową.

– Dziękuję... *clarissimus vir* – wyszeptał.

Gajusz Mariusz rozparł się na krześle i westchnął.

Znów zaczął mówić, ale tym razem wpatrywał się w pusty puchar po winie i nie było jasne, czy przemawia do bratanka, do wszystkich obecnych, czy do nikogo, jakby tylko głośno myślał.

– Opowiedziałem ci o Teutonach, brakuje jeszcze historii o Cymbrach i bitwie pod Vercellae, ale czeka na mnie Senat. Pewnego dnia muszę ci też opowiedzieć o Numancji, tam wiele się nauczyłem: dwadzieścia lat wojny i czterysta dni oblężenia. Ci Numantyjczycy byli twardym orzechem do zgryzienia. Senat – powtórzył, na moment zamilkł i zaraz kontynuował, choć z większym namysłem – wzywa mnie na nową wojnę. Optymacy potrzebują mnie jedynie wtedy, kiedy się boją: przed wojną w Afryce, potem z powodu Teutonów i Cymbrów, a teraz dlatego, że sprzymierzone miasta się zbuntowały. Gdyby przed dziesięciu laty wysłuchali nas, mnie, Glaucję i Saturninusa, gdybyśmy wtedy przyznali sprzymierzeńcom pewne prawa, na przykład obywatelstwo Rzymu i prawo głosu przynajmniej w kwestiach ich dotyczących, nie doszłoby do powstania Marsów. Albo gdyby wysłuchali Druzusa, który próbował negocjować porozumienie. Ale optymacy zabili Glaucję i Saturninusa, zmusili mnie do udania się na wygnanie,

a teraz zabili Druzusa. Marsowie i sprzymierzeńcy nie mają wyjścia, muszą iść na wojnę.

– Będziesz walczył ze sprzymierzeńcami dla optymatów? – spytał trochę zaskoczony, a trochę rozczarowany Cezar.

– Nie, chłopcze, będę bronił Rzymu. Później trzeba będzie zmienić Rzym, żeby wreszcie stał się państwem dla wszystkich: senatorów optymatów i popularów, ekwitów, plebejuszy i sprzymierzeńców. Ale najpierw trzeba bronić miasta. Poważny kryzys to nie jest odpowiedni czas na kłótnie polityczne. Najpierw trzeba go przezwyciężyć, a potem politykować. Tylko złośliwcy i głupcy stawiają politykę na pierwszym miejscu w czasach poważnego kryzysu. Tak jak to się zdarzyło w Atenach podczas zarazy... – Przerwał i wydawało się, że wybudził się z transu. Ponownie spojrzął na bratanka. – Drwią sobie ze mnie ci optymaci, bo nie jestem biegły w grece, to prawda, ale czytam w tym języku, chłopcze. Wiesz, co mówi Tukidydes o wojnie Sparty z Atenami i okropnej zarazie, która zniszczyła to drugie miasto?

Cezar przeczytał sporo greckich tekstów, ale raczej o teatrze, bo wydały mu się ciekawsze niż obfite papirusy dotyczące historii.

– Nie, nie wiem – przyznał.

Mariusz ponownie nachylił się w jego stronę i Sertoriusz nie mógł powstrzymać gestu zniecierpliwienia. Wydłużanie oczekiwania Senatu nie wydało mu się dobrym pomysłem, biorąc pod uwagę napiętą sytuację w Rzymie, mieście, które widział podczas poprzednich fal niepowstrzymanej przemocy, jak wtedy, gdy nie udało mu się uniknąć ukamienowania Saturninusa w samym budynku kurii.

Stary senator zauważył jego niepokój i podniósł lewą rękę, nakazując Sertoriuszowi milczenie. Chciał skończyć to, co mówił o Grecji.

– Ateny toczyły wojnę ze Spartą, była to okropna wojna. W samym środku tego konfliktu zaatakowała je przerażająca choroba, prawdziwa epidemia, która doprowadziła zatłoczone uchodźcami miasto do zguby – wyjaśnił Mariusz

z pewnym napięciem. – Przywódcą Ateńczyków, który rozpoczął wojnę, był Perykles. Słyszałeś o nim, chłopcze?

– Tak, ale nie wiem o nim zbyt wiele.

– Wielki żołnierz i wielki polityk. Lepszy polityk od twojego wuja, to pewne. – Roześmiał się. – No więc on wiedział, że musi najpierw zająć się epidemią, ale sam zmarł z powodu tej choroby, która, jak mówią, dotarła do Aten drogą morską. Na jakimś statku. Ale najważniejsze, do czego odnosi się sytuacja w dzisiejszym Rzymie, jest to, że Peryklesa zastąpili politycy znacznie gorsi, nieudolni, mało inteligentni, nieprzygotowani, którzy zamiast rządzić na rzecz dobra wspólnoty, na rzecz miasta i jego mieszkańców, a więc walczyć z epidemią i dobrze prowadzić wojnę, szukali tylko taniego poklasku. Do czego doprowadziły brak wizji i głupota tychże polityków? Ano do tego, że Ateny straciły jedną trzecią ludności z powodu epidemii, przegrały wojnę ze Spartą i ostatecznie nigdy się z tego nie podniosły. Ten wzór powtarza się w historii, chłopcze. Cyklicznie. I wydaje się, że nie ma na to rady.

– Na co dokładnie? – spytał Cezar, który starał się przyswoić sobie całą tę wiedzę, mimo że trochę go to kosztowało.

– Na egoistycznych, skorumpowanych, często głupich polityków, którzy wykorzystują poważny kryzys militarny lub wywołany przez epidemię, szukają własnych korzyści w tych okropnych okolicznościach i albo dochodzą do władzy, albo się u niej utrzymują bez przejmowania się nawet najgrubszymi konsekwencjami, jakie z powodu ich osobistych ambicji poniesie ludność, którą rządzą – wypowiedział dobitnie Gajusz Mariusz. – Niektórzy nawet grają na przedłużenie kryzysu, czy to militarnego, czy to sanitarnego, jeśli uznają, że to im przysporzy korzyści. Teraz historia zdaje się powtarzać tutaj, w Rzymie. Optymaci myślą więcej o zachowaniu władzy niż o dobru publicznym. Ale Rzym ma to szczęście, że ja, Gajusz Mariusz, myślę więcej o dobru wszystkich, o rozwiązaniu kryzysu niż o mnie samym. Gdybym był tacy jak oni, jak optymaci, usiadłbym z założonymi rękami i nie zrobiłbym nic dopóty, dopóki Marsowie i inne ludy nie napadliby na nas i nie przełamali naszej obrony. Czekałbym na wybuch

powszechnej paniki i wtedy przejąłbym władzę w Rzymie. Tyle że ja nie jestem jak optymaci. Ja myślę o tym, żeby uniknąć większej liczby ofiar w wojnie i jak najwcześniej stawić czoło kryzysowi. Dlatego udam się do Senatu zdominowanego przez tych egoistów i złych polityków, żeby oddać się nie tyle do ich dyspozycji, ile do dyspozycji Rzymu i jego mieszkańców. Ja, bratanku, będę walczył za Rzym. Zawsze bardziej po stronie ludu rzymskiego i jego interesów niż po stronie interesów senatorów i moich własnych. Na tym polega różnica między twoim wujem a optymatami i ty również musisz się w ten sposób od nich różnić. Senat wzywa mnie, choć go to boli, ponieważ wie, że podczas wojny jestem najlepszym wyborem. I zgodzę się walczyć w tym konflikcie po jego stronie, ale nie dla niego, tylko dla dobra Rzymu. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem, wuju – potwierdził Cezar. – Ale dlaczego tak bardzo cię nienawidzą? Z powodu twoich zwycięstw?

– Nie tylko, chłopcze, lecz również dlatego, że udowodniłem, iż uzbrojony i wyszkolony lud rzymski jest niezwyciężony. Dlatego mnie nienawidzą, dlatego się mnie boją. Udowodniłem to pod Aquae Sextiae. Po moich zwycięstwach nad Teutonami, Ambronami i Cymbrami z tego powodu zdecydowali się mnie zniszczyć. Zawarłem sojusz z Saturninusem i Glaucją; twoja matka na pewno ci już opowiedziała, co się wydarzyło w czasach zaraz po twoim urodzeniu. Wszyscy zginęli, jedynie ja przeżyłem. A tamci nienawidzą mnie za to, że żyję. Kiedy wojna z Marsami i sprzymierzeńcami się skończy, optymaci jak zawsze zwrócą się przeciwko mnie.

Kiedy skończył mówić, ku uldze Sertoriusza wstał wreszcie, żeby pożegnać się z bratankiem.

– Niech tuzin żołnierzy eskortuje mojego bratanka i jego przyjaciela do ich domów – nakazał zaufanemu trybunowi.

Sertoriusz skinął głową.

Gajusz Mariusz odwrócił się do chłopców, którzy z szacunku również wstali.

– Przykro mi, bardzo mi przykro – powiedział z prawie smutną twarzą.

– Z jakiego powodu? – spytał młody Cezar.

– Że jestem twoim wujem – odparł poważnie Mariusz.

– Dlaczego tak mówisz? – dopytywał Cezar, który nie rozumiał jego słów. – Ja jestem dumny, że jestem twoim bratankiem.

Mariusz westchnął, zanim zaczął rozwlekłe wyjaśnienia. Z całą pewnością to będą ostatnie w najbliższym czasie słowa, jakie skieruje do młodego Cezara. Oparł dłonie o stół i zaczął mówić cicho, tak że tylko jego bratanek i Labienus mogli go usłyszeć.

– Nie rozumiesz prawdziwego rozmiaru problemu, z którym się mierzysz, chłopcze. Twoi wrogowie, którzy są moimi wrogami, wybaczą ci wszystko poza jednym: Sulla nigdy nie wybaczy ci, że jesteś moim bratankiem, a Dolabella, jego prawa ręka, jego pies gończy, będzie miał jeszcze mniej zrozumienia. Przykro mi, chłopcze, będziesz musiał z tym żyć. Będziesz musiał spróbować to przetrwać. – Zamilkł na chwilę i spojrzał na Labienusa, a potem ponownie na Cezara. – Ale dziś odniosłeś małe zwycięstwo.

– Ja? Zwycięstwo?

– Dziś zdobyłeś przyjaciela. Poznałeś kogoś, kto być może będzie jak Gajusz Leliusz dla Scypiona. Uważam, że potrafię rozpoznać charakter ludzi. – Spojrzał na Labienusa, który otworzył szeroko oczy i nawet nie mrugnął. – Nie, ten przyjaciel nigdy cię nie zdradzi. Teraz muszę już iść. Pamiętaj: strzeż się Sulli i, jeśli możesz, nigdy nie stawaj do walki z Dolabellą. Ten szybko pnie się w górę. Jak najszybciej nabierz siły, chłopcze. Nie masz ani chwili do stracenia.

Gajusz Mariusz oderwał dłonie od stołu, odwrócił się i ruszył przed siebie, a za nim Sertoriusz oraz oficerowie i weterani. Wojskowym krokiem opuścili tawernę, w której został jedynie karczmarz, młody Cezar, jego przyjaciel Labienus i dwunastu legionistów, którzy mieli ich odprowadzić do domu.

– Nigdy nie będę tak wielki jak on – wycedził przez zęby Cezar. – Nigdy.

Οἱ δὲ ταῦτά τε πάντα ἐς τούναντίον ἐπραξάν καὶ ἄλλα ἔξω τοῦ πολέμου δοκοῦντα εἶναι κατὰ τὰς ἰδίας φιλοτιμίας καὶ ἴδια κέρδη κακῶς ἐς τε σφᾶς

αὐτοὺς καὶ τοὺς ξυμμάχους ἐπολίτευσαν, ἃ κατορθούμενα μὲν τοῖς ἰδιώταις τιμὴ καὶ ὠφελία μᾶλλον ἦν, σφαλέντα δὲ τῇ πόλει ἐς τὸν πόλεμον βλάβη καθίστατο.

„Ateńczycy postąpili wręcz przeciwnie – podejmowali szkodliwe dla siebie i sprzymierzeńców akcje, niewiele z tą wojną, jak się zdaje, mające wspólnego, popychani ambicją jednostek i ich chęcią zysku. Przedsięwzięcia te, jeśli się były udały, przyniosłyby sławę i zysk poszczególnym jednostkom; nie udały się jednak i naraziły państwo na szkodę”.

(O politykach ateńskich po śmierci Peryklesa sprawujących władzę w trakcie epidemii, jaka wybuchła podczas wojny ze Spartą)

Tukidydes, *Wojna peloponeska*, przeł. Kazimierz Kumaniecki

ROZPRAWA TRZECIA

INQUISITIO

Okres przyznawany oskarżycielowi i obronie na przygotowanie procesu poprzez zebranie dowodów i świadków.

ROZDZIAŁ XXIV

Świadkowie

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

77 r. p.n.e.

– Już wiem, co chciał powiedzieć Cynceron po zakończeniu *divinatio*. – Cezar był rozgorączkowany, pełen entuzjazmu. Labienus słuchał go z zainteresowaniem, ale na jego twarzy rysował się pewien cień, którego rozpromieniony swoim odkryciem przyjaciel jeszcze nie dostrzegł. – Trzeba być obrońcą, bez wątpienia, bo to przynosi popularność. Rola *accusator* czy też *delator*, jak go nazywają, nie przynosi chwały, bo jest on jak dziecko skarżące na kolegów przed dorosłymi. Skarżenie się czy oskarżanie ma coś wspólnego z zazdrością. Oskarżenie senatora, jak my to zrobimy z Dolabellą, ma na celu zakończenie jego kariery politycznej, zaszczucie i odsunięcie go od życia publicznego, upokorzenie i odarcie z prestiżu.

Labienus zaraził się entuzjazmem Cezara i na chwilę zapomniał o złych wieściach, jakie przynosił.

– Przecież Dolabella naprawdę jest skorumpowanym senatorem, więc należy odrzeć go z prestiżu, ujawnić jego czyny i zatrzymać karierę polityczną. Inaczej zostanie nowym Sullą. A nawet kimś gorszym.

– Tak, oczywiście, mój przyjacielu – przyznał Cezar. – To jest naszym celem. Cynceron pewnie myśli tak samo, ale nie mam wątpliwości, że chodziło mu o to, jak osiągnąć ten cel i nie wydawać się przy tym złośliwym. Rola oskarżyciela nie przyniesie nam popularności, natomiast rola obrońcy uczyni z nas bohaterów, podobnie jak opowiedzenie się w tym procesie po stronie słabszych. Jeśli chodzi o Dolabellę, wiemy, że nic nie jest pewne, że on jest silny, potężny, wiemy nawet, że kontroluje trybunał, ma po swojej stronie senatorów, z których wielu jest tak

samo skorumpowanych jak on, wszystkich optymatów, wiemy, że dostaliśmy cztery miesiące na *inquisitio* nie dlatego, że chcieli nam ułatwić zbieranie dowodów przeciwko Dolabelli, lecz po to, żeby dać czas Metellusowi, ich przywódcy, na powrót z Hispanii i objęcie roli przewodniczącego trybunału. Z całą pewnością Dolabella poprosił o to optymatów. Nie pomija niczego. Metellus zajęty jest wojną z Sertoriuszem, pamiętasz prawą rękę mojego wuja Mariusza? Okopał się w Hispanii i prowadzi otwarty bunt przeciwko Republice kontrolowanej przez optymatów.

Labienuś skinął głową. Świetnie pamiętał Sertoriusza, walecznego podwładnego Mariusza. Jego najdzielniejszego oficera.

– A wybrali na *accusator* mnie zamiast Cycerona, bo są przekonani, że jestem od niego znacznie gorszy, a przynajmniej mniej doświadczony. Do tego Dolabella zatrudnił mojego wuja Kottę i Hortensjusza, najlepszych adwokatów w Rzymie. Jest silny, ale wobec ludu w bazylice jest tylko *reus*, oskarżonym. To sprawia, że jego siła słabnie, a ja staję się jego oskarżycielem, tym, który oskarża, może nawet oczernia. W ten sposób nie zdobędę popularności, nie w oczach ludu. Na Jowisza, trzeba temu zaradzić! Musimy znaleźć sposób, żeby lud rzymski postrzegał mnie jako obrońcę słusznej i szlachetnej strony.

– Ujawnianie korupcji i próba odsunięcia skorumpowanych polityków od władzy jest działaniem słusznym i szlachetnym.

– Tak, ale nadal jesteśmy stroną oskarżającą. Trzeba stać się obrońcą, obrońcą czegoś lub kogoś. Ja, Gajusz Juliusz Cezar, stanę w bazylice jako obrońca Macedończyków, prostych ludzi, którzy szanują władzę Rzymu i mimo samowoli namiestnika nie zbuntowali się przeciwko Republice, choć mają uzasadnione powody, żeby to uczynić. Te osoby postanowiły przyjąć prawo rzymskie, nasze prawo, uznać je za swoje i z tego względu należy im się sprawiedliwa obrona. Będę ich adwokatem, oskarżę Dolabellę, udowodnię przed sądem jego nikczemność, ale nie w formie ataku, lecz obrony tych, którym wyrządził krzywdę. Rozumiesz?

Labienuś niespiesznie skinął głową, spacerując po atrium.

– Tak, widzę to wyraźnie. To ma sens – przyznał, ale jego twarz nadal pozostawała ponura. – Szkoda, że będziesz miał mniej narzędzi do tej obrony – podkreślił z powagą.

– Co chcesz przez to powiedzieć? I skąd ta ponurość?

Labienus zatrzymał się i spojrzał mu w oczy.

– Przynoszę złe wieści.

– Jakie? – spytał Cezar, siadając na *solium*.

– Wetus, inżynier, który miał zeznawać jako nasz świadek, ten, którego Dolabella zatrudnił niby do naprawy Via Egnatia i który miał podczas procesu wyjaśnić, że nigdy nie dotarły do niego podatki, jakie Dolabella narzucił na brukowanie drogi...

– Podatki, które sobie zatrzymał, tak – przerwał mu niecierpliwie Cezar. – Jego zeznanie jest dla nas kluczowe. Co się z nim dzieje?

Labienus odpowiedział od razu. Nie było sensu opóźniać przekazania złych wiadomości.

– Dziś znaleźli go martwego w jego domu.

– Jak to?

– Został zasztyletowany.

Labienus wyjął z fałd togi cienki sztylet z czerwono-czarną rękojeścią i położył go na stole. Na ostrzu widniały jeszcze ślady krwi.

– Tym go zabili.

Cezar wykrzywił twarz w sarkastycznym uśmiechu.

– Na Jowisza! Nawet nie zadali sobie trudu, żeby wyglądało to na wypadek.

– Rzeczywiście – potwierdził Labienus. – Ale to nie wszystko. Kiedy spędzałeś parę dni w twojej posiadłości za miastem, Macedończycy, a raczej ten z nich, którego wołają Perdikas, wysłał mi wiadomość: kapłan ze świątyni Afrodyty w Tesalonikach, który zgodził się zostać świadkiem w procesie, również kilka dni temu został zamordowany w swojej świątyni.

– W Macedonii?

– W Macedonii.

– Nawet tam dotarli agenci Dolabelli – wycedził Cezar przez zęby. Był zaskoczony, ale chciał więcej informacji. – Też został zasztyletowany?

– Tak. Za dużo zbiegów okoliczności: dwóch twoich najważniejszych świadków o dużej wiarygodności ginie ledwie kilka tygodni po tym, jak ogłosiłeś, że będą zeznawać podczas *divinatio*. A chciałeś tylko, żeby wzmocniło to twoją pozycję w rywalizacji o stanowisko.

Cezar zamilkł na chwilę. Dobrze, że nie ujawnił wszystkich swoich świadków.

– To był poważny błąd z mojej strony – wyszeptał w końcu. – Zrobiłem to celowo, również celowo udałem nieudolnego mówcę: chciałem, żeby mnie wybrali na oskarżyciela, sądząc, że w tej roli poniosę prawdziwą porażkę. Podejrzewałem, że wykorzystają ogłoszenie imion świadków przeciwko nam, ale myślałem, że najwyżej do tego, żeby obrońcy Dolabelli lepiej przygotowali ich przesłuchanie albo znaleźli osoby gotowe złożyć kontrzeznania. Nigdy nie przypuszczałem, że ich zabiją.

Znowu zapadła cisza.

– Robi się poważnie – odezwał się wreszcie Labienus.

– Robi się bardzo poważnie – podkreślił Cezar, wspominając te wszystkie razy, gdy wuj Mariusz ostrzegał go przed brutalnością Dolabelli i niebezpieczeństwem, w jakie mógłby wpaść, gdyby postanowił się z nim zmierzyć. Teraz wszystkie te ostrzeżenia zaczęły buzować w jego głowie.

Przyjaciele przez chwilę milczeli. Cezar zatopił się w myślach, Labienus szukał rozwiązania problemu spowodowanego śmiercią świadków. Nie mógł jednak go znaleźć.

Obaj byli zdruzgotani.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał w końcu Labienus.

– No cóż, pozostaje nam zeznanie, o którym nie wspomniałem podczas *divinatio*.

– Ono nie wystarczy – odparł smutno i zarazem szczerze przyjaciel. – To świadectwo kobiety. Wiesz, że Hortensjusz i Kotta ją zmiążdżą. Jest bardzo młoda. Nie uniesie presji. A nawet jeśli ją uniesie, ich przesłuchanie umniejszy to, co zrobił jej Dolabella.

– Wiem o tym – przyznał Cezar. – Ale świadectwo tej dziewczyny, Myrtale, jest porażające: to córka arystokraty z Tesalonik, nie niewolnica. Poruszy sumienia. W każdym razie nam ono nie wystarczy. Trzeba jej strzec, ale też znaleźć świadków, którzy zastąpią tych zamordowanych przez ludzi Dolabelli. Myrtale nadal znajduje się pod opieką Macedończyków?

– Nigdy nie opuszcza domu, który zamieszkują – wyjaśnił Labienus. – A Macedończycy chodzą uzbrojeni po zęby. Trzeba ich zabić, nim się choć dotknie dziewczyny.

– Dobrze. Zajmijmy się więc tą drugą sprawą. Mamy cztery miesiące na *inquisitio* – mówił dalej z pewnością siebie Cezar, odzyskując energię po tych druzgoczących wiadomościach. – Tak jak powiedziałem, wyznaczylimy ten termin, żeby dać Metellusowi możliwość powrotu i przewodniczenia trybunałowi, ale ja zamierzam wykorzystać każdą minutę z tych czterech miesięcy. Popełnili błąd.

– Że dali ci tyle czasu?

– Że dali mi tyle czasu i że zabili inżyniera i kapłana tak szybko. Gdyby zrobili to pod koniec tego okresu, zostalibyśmy bez świadków i nie mielibyśmy czasu na reakcję.

– Ale zabili ich już teraz – podkreślił Labienus. Zaczynał rozumieć, o co chodzi przyjacielowi.

– Właśnie, na Herkulesa! Mamy czas, żeby poszukać nowych.

– Nowych świadków?

– Zgadza się. – Cezar spojrzał na niego rozplómonionymi oczami. – Chcesz towarzyszyć mi w podróży?

– Dokąd?

Cezar nie miał wątpliwości.

– Do Macedonii.

ROZDZIAŁ XXV

Via Egnatia *

Półwysep Apeniński, w drodze do Macedonii

77 r. p.n.e.

Cztery miesiące wystarczały, żeby dotrzeć do Tesalonik i wrócić przed kolejnym posiedzeniem sądu – *reiectio*, ale nie dawały możliwości na odkładanie podróży. Dlatego Cezar i Labienus następnego ranka wyruszyli Via Appia na południe, do portu w Brundizjum. Jechali konno. Najważniejsze było dotrzeć jak najszybciej. Podróżowała z nimi czwórka niewolników i grupa byłych gladiatorów służących im za eskortę. Takie wyprawy zawsze niosły ze sobą niebezpieczeństwo. Wybrał się z nimi również doświadczony inżynier rzymski o imieniu Marek.

– Dlaczego go zabrałeś? – spytał Labienus, gdy tylko rozpoczęli podróż Via Appia w kierunku południowym.

– Powiedziałem ci, że potrzebni są nam nowi świadkowie – odparł Cezar. – Jego zeznania zastąpią te, które złożyłby człowiek zatrudniony przez Dolabellę do naprawy Via Egnatia. Potrzebny nam inżynier, który oceni stan drogi i poświadczy, że od lat nie zainwestowano w nią ani grosza.

Labienus skinął głową, ale nadal coś mu nie pasowało.

– A jak przekonałeś go, żeby zeznawał, żeby w ogóle dołączył do tego szaleńczego pomysłu? Zapewne wie, co stało się z jego kolegą.

– Kiedy Sulla przy wsparciu Dolabelli skonfiskował dobra przeciwników politycznych, pozbawił też pieniędzy głównych zleceniodawców Marka. Od tamtej pory nie wie mu się najlepiej. Powiedzmy, że ma ochotę na małą zemstę. A i tak wiele już stracił.

Labienus nadal widział blask w oczach przyjaciela. Z powodu, który ciągle mu umykał, Cezar uważał, że jest w stanie doprowadzić do skazania Dolabelli w tym procesie, chociaż trybunał został przekupiony, jego przewodniczący otwarcie stoi po stronie optymatów, a Dolabella zatrudnił najlepszych adwokatów w mieście. Z całą pewnością entuzjazm Cezara był po prostu zaraźliwy.

Dotarli do Brundizjum.

Załadowali się na pierwszą trierę, która miała wolne miejsca, i ruszyli w stronę Dyrrachium ** na wybrzeżu macedońskim, po drugiej stronie Mare Superum ***.

– Będziesz próbował odsunąć któregoś z członków trybunału? – spytał Labienus podczas podróży na północ, czując morski wiatr na twarzy. To było działanie przewidziane podczas kolejnego etapu procesu, zwanego *reiectio*, czyli momentu, w którym *accusator* i adwokat mogli wnioskować o usunięcie kogoś ze składu sędziowskiego. – Myślałeś już o tym?

– Tylko jednego – odparł Cezar. – Wszyscy senatorowie stoją po stronie Dolabelli, ale najsilniejszy, najpotężniejszy jest ten, na którego czekają, i jego powinniśmy odsunąć.

– Metellus? – Labienus był autentycznie zaskoczony. – Ten, który będzie przewodniczącym trybunału?

– Tak, Metellus – odparł zdecydowanie Cezar.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Nie wiem. Muszę najpierw z kimś porozmawiać.

– Z kim?

– Z matką. To najinteligentniejsza osoba w Rzymie, jaką znam. Poszukam jej rady w sprawie *reiectio*.

Labienusa nie zdziwiła ta odpowiedź. Wiedział, że Cezar uwielbia matkę, a także poznał się na rozsądku i inteligencji Aurelii. Mimo to uważał, że jego przyjaciel za wiele nadziei pokłada w radach kobiety, choć wolał nie wypowiadać tych wątpliwości na głos. Obaj więc w milczeniu spoglądali na horyzont, wypatrując wybrzeża Macedonii.

Gdy słońce zaszło, udali się pod pokład, żeby chwilę odpocząć. O świcie obudzili ich niewolnicy.

– Widać już wybrzeże, panie – poinformował Cezara jeden z nich.

Zeszli ze statku w Dyrrachium i ponownie wsiedli na konie, żeby rozpocząć przegląd Via Egnatia. Hałaśliwe portowe miasto było bramą, od której zaczynała się droga prowadząca na wschód. Dojechali stamtąd do Claudiany, która była wówczas zaledwie niewielkim obozem wojskowym *****, ale mogli tam bezpiecznie spędzić noc pod opieką wojsk rzymskich.

Następnego dnia kontynuowali podróż do Masio Scampa i potem do Lychnidos *****, gdzie zjedli posiłek w tawernie nad jeziorem o przejrzystych wodach, od których wzięło nazwę miasto: *lychnitis* [Λυχνίτις] po grecku oznacza przejrzysty. Równie przejrzyste było widać, że droga znajdowała się w okropnym stanie: bruk w wielu miejscach popękał albo wręcz go brakowało – być może został rozkradzony do użytku prywatnego w okolicznych willach lub innych budowlach wiejskich i miejskich. Gorszą rzeczą był jednak brak żwiru na wielu odcinkach drogi. To sprawiało, że dziury w niej były liczne i często natykali się na pojazdy, które utknęły z ich powodu, co spowalniało przewóz towarów. Na tej zapomnianej przez inżynierów drodze najlepiej było przemieszczać się pieszo lub konno.

Marek uważnie badał wszystkie niedociągnięcia, jakie spotykali, gdyż Cezar chciał zebrać jak najwięcej informacji, które ułatwiłyby mu oskarżenie Dolabelli. Szczególnie skupiali się na zaniedbanych mostach oraz obsunięciach na odcinkach górskich, gdzie spadające kamienie sprawiały, że droga stawała się praktycznie nieprzejezdna.

Przemieszczali się nieustannie w kierunku wschodnim.

Następne przystanki zrobili w Heraclei Lincestis, Florinie, Edessie i Pelli *****. Nie dało się nie zauważyć fatalnego stanu drogi i z tego powodu marsz w stronę stolicy prowincji stawał się uciążliwy i powolny. Trasa została dobrze wytyczona przez budowniczych, ale w ostatnich latach nie przyłożono się do jej utrzymania, szczególnie w czasach, gdy namiestnikiem prowincji był Dolabella.

Przez te wszystkie miejscowości przejechali, zatrzymując się tylko po zapasy wody i żywności. Jedynie w Pelli Cezar chciał spędzić dwie noce, żeby zwiedzić miastowidmo. Było ono niegdyś stolicą wielkiego króla Filipa II, ojca Aleksandra Wielkiego.

Cezar wziął Labienusa pod ramię i poprowadził go obok licznych zrujnowanych budynków. Rzymianie zrównali miasto z ziemią wiek wcześniej, podczas wojen z Macedończykami i Grekami, i dotąd go nie odbudowano, jakby Rzym nadal obawiał się starej, potężnej stolicy. Podobnie jak Kartagina, Pella po zniszczeniu na dziesiątki lat popadła w zapomnienie. Niemniej miasto tej rangi nadal robiło wrażenie, nawet porzucone i zapomniane.

– Tutaj pod koniec żywota wystawiał swoje sztuki Eurypides – wyjaśnił przyjacielowi Cezar. Chodzili między wystawnymi posiadłościami pokrytymi roślinnością, z popękanymi lub na poły zburzonymi murami, gdy nagle zacytował mu wersy z *Heleny*: – Ἄφρονες ὅσοι τὰς ἀρετὰς πολέμῳ κτᾶσθε δορὸς ἀλκαίου λόγχαισι καταπαυόμενοι πόνους θνατῶν ἀμαθῶς. Εἰ γὰρ ἄμιλλα κρινεῖ νιν αἵματος, οὔποτ' ἔρις λείψει κατ' ἀνθρώπων πόλεις: Nierozumni, wy, którzy cnoty wojną, drzewcem bojowej włóczni zyskujecie w głupim przeświadczeniu, żeście uwolnieni od ludzkich trudów. Bo jeśli rozsądzać ma krwawa walka, to nie ustanie nigdy ten spór wśród miast... *****. – To właśnie sądził Eurypides o konfliktach ludzkich i wojnie, mój przyjacielu. Nie wszystko można i należy rozstrzygnąć za pomocą broni, dlatego istnieje sprawiedliwość, dlatego istnieją sądy, i my również stawimy się przed jednym z nich.

Dzieła Eurypidesa niekoniecznie zrobiły wrażenie na Labienusie, więc Cezar dodał więcej informacji o Pelli.

– Tutaj również udzielał lekcji Arystoteles. W mieście, po którym spacerujemy, urodził się Aleksander Wielki.

Wzmianka o odległym w czasie dramaturgu czy starym filozofie niewiele poruszyły Labienusa, ale imię Aleksandra Wielkiego sprawiło, że innymi oczyma spoglądał teraz na opuszczone i zniszczone miasto.

– Tutaj urodził się Aleksander... – powtórzył z podziwem.

Po obu stronach ciągnęły się na wprost zrujnowane domy, w których można było dostrzec wzorzyste płytki mozaiki w niezliczonych kolorach, przedstawiające wszelkiego rodzaju sceny mitologiczne. Zmieniały one odbiór tego miasta – teraz nie sprawiało już wrażenia wymarłego, lecz raczej uśpionego, niczym olbrzym, który wypoczywa w oczekiwaniu na chwilę wybudzenia, być może już w niedalekiej przyszłości, zawsze niepewnej.

– Wcześniej czy później to miasto musi zostać odbudowane ***** – stwierdził Cezar, gdy wrócili do miejsca przy Via Egnatia, gdzie czekali na nich niewolnicy.

Kontynuowali podróż na wschód.

Wreszcie dotarli do Tesalonik.

Z całą pewnością podróż ta okazała się owocna: zebrali informacje, które udowodnią niewłaściwe zarządzanie prowincją przez Dolabellę, ale Cezar zaczął się niepokoić. Gdyby trafili na złą pogodę, będą potrzebowali więcej czasu na powrót niż na podróż do stolicy Macedonii. Ponadto miał jeszcze dwie ważne sprawy do załatwienia. Po pierwsze, powinien pozyskać jakiegoś prestiżowego świadka, choćby miejscowego arystokratę, który zgodzi się pojechać do Rzymu i tam zeznawać przeciwko Dolabelli. Po drugie, chciał udać się dalej na wschód, w kierunku Bizancjum, żeby upewnić się, iż droga jest w fatalnym stanie na całej długości, mimo iż Dolabella nałożył specjalne podatki niby na jej utrzymanie.

– Nie mamy czasu, żeby zająć się obiema tymi sprawami, na Herkulesa – powiedział nieco rozzłoszczony Cezar.

Zaczął nawet żałować tamtego dnia w Pelli. Pofolgował własnej ciekawości i na jedną dobę stracił z oczu cel podróży.

– Ufasz Markowi? – spytał go Labienus.

– Do pewnego stopnia.

– Niech więc on przejedzie dalej Via Egnatia i sprawdzi stan bruku, a my zostaniemy tutaj, szukając świadka, który zechce zeznawać w sprawie przestępstw

Dolabelli popełnionych w Tesalonikach. Szczególnie w kwestii złupienia świątyni Afrodyty, co podkreślali Macedończycy, którzy zlecili ci przygotowanie aktu oskarżenia. I oczywiście tej okropnej sprawy córki jednego z nich.

Cezar usiadł na *solium*, oparł łokcie o stół i zasłonił rękami usta. Znajdowali się w domu, do którego zaproszono ich dzięki listom od Aeroposa i Perdikasa, informujących miejscową arystokrację, że mają przed sobą oskarżyciela rzymskiego w sprawie przeciwko Dolabelli. Macedończycy przyjęli Cezara z pewnym chłodem, prawie nieufnością i sceptycyzmem, ale udało mu się także dojrzeć blask nadziei w oczach niektórych tesaloniczan. Miejscowi nie ufali niczemu, co rzymskie, mimo że jednocześnie pragnęli sprawiedliwej zemsty na Dolabelli. Nie przeszkadzało im, że uzyskają ją z ręki innego Rzymianina.

– Miałbym więcej zaufania do naszego inżyniera, jeśli byś mu towarzyszył – powiedział Cezar. – Przyjęto nas tutaj całkiem dobrze i nie spodziewam się problemów. W ciągu kilku dni uda mi się przekonać kogoś, żeby wybrał się z nami w drogę powrotną do Rzymu i razem ze swoimi pobratymcami zeznawał przeciwko Dolabelli. Musi to jednak być jakiś kapłan. Zeznania takiej osobistości zawsze są odbierane z szacunkiem przez sąd.

– Z pewnością dlatego zasztyletowali tamtego, który miał przyjechać i zeznawać w Rzymie – potwierdził Labienus.

– Właśnie.

– Dziś rano przynieśli mi sztylet, który znaleźli w jego ciele. Zostawiłem go w westybulu. Również jest cienki i ma taką samą rękojeść jak ten, którym zabito inżyniera w Rzymie.

Cezar jedynie westchnął i skinął głową. Istnienie tych sztyletów sprawiało, że czuł groźny oddech Dolabelli na karku.

– Dobrze. – Labienus usiadł z nim i wrócił do prośby przyjaciela. – Jeśli chcesz, żebym pojechał z inżynierem, tak uczynię.

Cezar uśmiechnął się i położył mu rękę na ramieniu.

– Tak, mój przyjacielu. Myślę, że tak będzie lepiej – powiedział. – Pojedźcie do Kypseli *****, która leży w prowincji Tracja. Nie ma potrzeby, poza tym brakuje nam czasu, żebyście dotarli do samego Bizancjum. Najważniejsze, by stwierdzić, czy Via Egnatia jest w tak samo złym stanie za Tesalonikami, i sprawdzić, czy poza granicami prowincji, która w ostatnich latach znajdowała się pod rządami Dolabelli, jej stan się polepsza. To mnie interesuje. To byłby wyraźny dowód. Możesz to dla mnie zrobić, przyjacielu?

– Wyjadę jutro o świcie – potwierdził Labienus.

– Świetnie. – Cezar podniósł się i spojrzał na niewolników, którzy odczytali jego zamiary i natychmiast przynieśli wino i jedzenie. – Mamy zatem czas na rozsądną kolację, po tylu dniach podróży po najgorszym bruku, jaki w życiu widziałem.

* Patrz mapa [4].

** Dziś Durrës w Albanii.

*** Morze Adriatyckie.

**** Obecnie Peqin w Albanii.

***** Pierwsze miasto nazywa się dzisiaj Elbasan (Albania), a drugie Ochryda (Macedonia Północna).

***** Pierwsze z tych miast nosi obecnie nazwę Bitola (Macedonia Północna), pozostałe to miasta w Grecji, które do dzisiaj nazywają się tak samo.

***** Eurypides, *Helena*, [w:] tegoż, *Tragedie*, t. 3, przeł. Jerzy Łanowski, Warszawa 2007, s. 71–72.

***** Uczyni to imperator August, cioteczny wnuk i spadkobierca Juliusza Cezara.

***** Dzisiejsza Ipsala w europejskiej części Turcji.

ROZDZIAŁ XXVI

Smutne spojrzenie Orestesa

Dom starego Orestesa w akropolu w Tesalonikach

Macedonia

77 r. p.n.e.

Wszyscy szanowani obywatele Tesalonik wskazywali tego samego człowieka: podeszłego w latach Orestesa. Wydawało się, że wzbudza on najwięcej podziwu, zarówno wśród bogatych arystokratów, jak i skromnych bywalców targów czy tawern. Cezar skierował więc kroki do domu tego człowieka.

Rezydencja, w której mieszkał Orestes, nie była ani luksusowa, ani najlepiej położona, ani w żaden sposób się nie wyróżniała, ale w jej wnętrzu czuć było przyjazną aurę duchowego spokoju.

Gospodarz nie zgrywał osoby niedostępnej, nie kazał zbyt długo czekać rzymskiemu gościowi.

– Jestem Orestes – powiedział w ramach prezentacji.

– A ja Gajusz Juliusz Cezar – odparł gość, nie dodając żadnych tytułów, by okazać się równie skromnym. Poza tym w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat wspomnienie, że jest obywatelem rzymskim i adwokatem Macedończyków w sprawie przeciwko Dolabelli, zabrzmiałoby pretensjonalnie, a także byłoby niepotrzebne. Wszyscy w Tesalonikach wiedzieli, kim był i co tutaj robił.

– Czy chciałbyś napić się wody? A może wina? – spytał gospodarz, wskazując ręką krzesło pośrodku małego zdobnego, lecz czystego i cichego patio.

– Wystarczy woda – zgodził się Cezar, ponownie starając się sprawiać wrażenie człowieka o skromnych potrzebach.

Orestes zwrócił się do jednego ze sług:

– Woda i wino, puchary dla obu. – Usiadł na drugim krześle. – Wypiję puchar wina i jeśli gustujesz w dobrym napoju Dionizosa, zachęcam, abyś mi towarzyszył. Żyję skromnie, ale czasami pozwalam sobie na parę kaprysów. W moim wieku ciało delectuje się już niewieloma rzeczami i na tym etapie życia nie powstrzymuję się przed wypiciem czegoś od czasu do czasu.

– Z przyjemnością będę ci towarzyszył.

Podano im wino.

Wypili.

– To rzeczywiście świetny trunek – przyznał Cezar, powoli delectując się napojem.

– To prawda – potwierdził Orestes i nagle jego twarz się zachmurzyła. Postawił puchar na stole, który słudzy umieścili obok jego krzesła. – To, co sprowadza cię do mojego domu, nie ma natomiast nic wspólnego ze świetnością.

– Nie – zgodził się Cezar, nie bardzo wiedząc, jak zinterpretować te słowa.

– Nie przywiodła cię tu żadna świetność. Z jednej strony przestępstwa, które badasz, są bez wątpienia godne pogardy: od gwałtu po złupienie świątyni Afrodyty, przez przywłaszczenie sobie pieniędzy z licznych wymyślonych podatków. Z drugiej strony, twój młody wiek zdradza, że moi rodacy, którzy udali się do Rzymu, nie zapewnili sobie usług *accusatorum* o powszechnie znanej świetności. Dotarły do mnie wieści, że to twój pierwszy proces w Rzymie.

Cezar przestał pić.

Powoli odstawił puchar na drugi stolik.

– Zostałeś dobrze poinformowany, to mój pierwszy proces – przyznał. – Staram się nadrobić brak doświadczenia pilną pracą i zaangażowaniem oraz szlachectwem ducha. Szukam najlepszych świadectw, które sprawią, że Dolabella zapłaci za podłe krzywdy wyrządzone tej prowincji.

– To, że przyjechałeś, dowodzi twego zaangażowania, nie ma tu żadnych wątpliwości – stwierdził Orestes. – Ale wyjaśnij mi, co masz na myśli, mówiąc o „szlachectwie ducha”.

Cezar kilka razy zamrugał. Nie przypuszczał, że rozmowa potoczy się w tym kierunku, raczej oczekiwał wspomnień staruszka z czasów, kiedy ten był kapłanem świątyni Afrodyty złupionej przez Dolabellę. Spodziewał się też rozmowy o tym, czy Orestes zgodzi się udać do Rzymu, żeby złożyć zeznania o tym przestępstwie. Jak przekonali się z Labienusem w ostatnich tygodniach, była to długa podróż po drodze znajdującej się w okropnym stanie, co oznaczałoby wyczerpujące i trudne przedsięwzięcie dla kogoś w podeszłym wieku. Tymczasem to gospodarz badał Cezara w kwestii jego zdolności jako adwokata, a nie Cezar rozpatrywał przydatność zeznań Orestesa.

Postanowił jednak udzielić odpowiedzi na zadane mu pytanie. Był przekonany, że tylko na bazie relacji opartej na obopólnym zaufaniu człowiek ten mógłby stać się świadkiem gotowym opowiedzieć przed trybunałem w Rzymie o przestępstwach Dolabelli. Cezar znał wartość Orestesa, ponieważ wszyscy mieszkańcy miasta mówili mu o jego dobrym prowadzeniu się i świetlanym przykładzie zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnym. Za to Orestes prawie nic nie wiedział o swoim gościu.

– Szlachectwo ducha oznacza dla mnie walkę o sprawiedliwość – wyjaśnił Cezar. – Ale sprawiedliwość dla wszystkich: dla tych potężnych i słabych, dla Rzymian i nie-Rzymian poddanych prawu rzymskiemu. Dla mnie Dolabella reprezentuje to, co przeciwi się temu szlachectwu. Jest senatorem, który jako namiestnik prowincji wykorzystał władzę do łupienia, kradzieży, a nawet gwałtu na kobiecie, którego nie obchodziły skutki tych zbrodni, którym kierowały jedynie pożądanie władzy, bogactw i własnej przyjemności. Ja wierzę w sprawiedliwy Rzym. Dla wszystkich. I jeśli z powodu tej wiary muszę stawić czoło skorumpowanym senatorom takim jak Dolabella, nie zawaham się ani nie przestraszą mnie trudności związane z tym przedsięwzięciem.

– Twoje szlachectwo ducha mnie zachęca, lecz twa naiwność mnie smuci. Jeśli uda ci się zachować szlachectwo ducha, gdy dojdiesz do wieku dojrzałego, osiągniesz wielkie rzeczy, bez wątplenia. Ale szlachetne dusze albo szybko przestają takie być, albo... – Poszukał słowa, które nie zabrzmiałyby zbyt brutalnie.

– Albo są usuwane z drogi. Właściwie to jest bardziej prawdopodobne, że cię usuną z drogi w twojej młodości, niż że będziesz cieszył się zdrowiem w wieku dojrzałym.

– Dlaczego tak uważasz? – spytał Cezar. Nie zmienił tonu, ale Orestes nachylił się w jego stronę i przyłożył rękę do ucha. – Dlaczego uważasz, że tak się stanie? – powtórzył Cezar, podnosząc głos. W tamtej chwili ta drobna przeszkoda w postaci problemu ze słuchem gospodarza nie zwróciła jego uwagi.

– Nie zdajesz sobie sprawy, że jesteś skazany od momentu, w którym zgodziłeś się zostać oskarżycielem w tym procesie? Niezależnie od tego, czy go wygrasz, czy przegrasz.

Cezar zmarszczył czoło.

– Nieważne, czy wygram, czy przegram?

Orestes poczuł się jak Arystoteles oświecający umysł młodego człowieka, który pragnie zostać nowym Aleksandrem, ale niezbyt dobrze mierzy swoje siły i wszczynając konflikt z przeciwnikiem wyraźnie silniejszym i przede wszystkim posiadającym więcej środków.

– Jeśli przegrasz, młody Gajuszu Juliuszu Cezarze, twoja kariera polityczna w Rzymie skończy się, o czym z całą pewnością ostrzegło cię wielu przyjaciół i krewnych.

– Tak, ale jeśli wygram...

– Ale jeśli wygrasz – przerwał mu Orestes klasycznym tonem kapłana wygłaszającego przepowiednię. – Jeśli wygrasz, twoi wrogowie zrozumieją, że jesteś dla nich realnym zagrożeniem, i cię zabiją. Jak najszybciej będą mogli.

Zapadła długa cisza.

Zachodzące słońce stworzyło piękną grę światła i cieni w rogu patio. Cezar zastanawiał się nad słowami Orestesa, wpatrując się w białe ściany oświetlone ostatnim oddechem dnia.

– Piękny zachód słońca – powiedział.

Staruszek rozejrzał się i westchnął.

– Obawiam się, że o zachodzie życia moje zmęczone oczy sprawiają, że tracę wiele z piękności, która nadal trwa w świecie.

Cezar ponownie skupił się na swoim celu: potrzebni mu byli prestiżowi świadkowie. Z tego powodu nie zwrócił uwagi na tę aluzję do utraty wzroku przez Orestesa. Wreszcie postanowił zadać mu kluczowe pytanie. Potrzebował jasnego zakończenia rozmowy.

– Mam więc rozumieć, że nie pojedziesz ze mną do Rzymu zeznawać przeciwko Dolabelli?

Znów zapadła cisza.

Orestes wydawał się rozkojarzony, jakby jego umysł błądził po innych miejscach.

– Czyż nie odpowiedziałem już na to pytanie? – spytał wreszcie ku zaskoczeniu Cezara.

– Nie, nie odpowiedziałeś.

– Ach, a ja myślałem, że o tym rozmawiamy – mówił dalej Orestes, jakby wyszedł z transu. – Jestem już stary i nie mam zbyt wielu dni do stracenia. Szkoda twojej wczesnej śmierci. Ale jeśli upierasz się, by stawić czoło temu nędznikowi Dolabelli, to tak, pojedę do Rzymu.

– Dobrze – odparł z ulgą Cezar. – Jeśli to możliwe, wyjedziemy za tydzień.

– Za tydzień – zgodził się Orestes i wstał.

Cezar również się podniósł i w towarzystwie starego Macedończyka ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Orestes pożegnał go w milczeniu, patrząc smutno, co wywołało u młodego Rzymianina melancholię i poczucie niepewności.

W otoczeniu uzbrojonych ludzi Cezar przeszedł przez miasto i wrócił do rezydencji, gdzie niespokojny i zamyślony usiadł w pokoju, który służył mu za sypialnię.

W ciągu tygodnia Labienus i Marek mieli powrócić znad granicy z Tracją i przywieźć informacje o stanie Via Egnatia na odcinku za Tesalonikami.

Po siedmiu dniach, zgodnie z oczekiwaniami, Labienus stanął przed Cezarem, przynosząc wieści.

– Wszystko się zgadza – stwierdził, podsumowując swoją krótką podróż na wschód. – Droga jest w przeraźliwie złym stanie na całym odcinku aż do Tracji. Tam się polepsza.

– Inny namiestnik, inna dbałość o dobro publiczne – zinterpretował tę informację Cezar.

– Na to wygląda.

– To potwierdza, że Dolabella zaniedbał swoje obowiązki, jeśli chodzi o utrzymanie tak ważnej dla handlu w regionie drogi, a ponadto przejął na własne potrzeby pieniądze, które zebrał w celu poprawy stanu Via Egnatia.

– Zgadza się – potwierdził Labienus.

– Na Jowisza, to świetne wiadomości – entuzjazmował się Cezar.

Labienus nie podzielał stanu jego ducha. Nie uważał, że tak gładko pójdzie im przed trybunałem złożonym z optymatów.

– Udało ci się pozyskać jakiegoś świadka? – spytał.

Cezar opowiedział mu o swoim spotkaniu ze starym Orestesem.

Labienus wbił wzrok w podłogę, wydawał się zmartwiony.

– Jest bardzo stary – powiedział. – Może umrzeć podczas podróży albo w Rzymie, zanim stanie przed sądem.

Cezar westchnął.

– Istnieje takie ryzyko, ale jego wiek sprawi, że trybunał będzie miał do niego szacunek – powiedział zdecydowanym tonem.

– Możliwe.

– To pewne – zakończył Cezar i zaprosił przyjaciela, żeby zrelaksował się przy winie i dobrej kolacji.

Nadeszła noc i Labienus poszedł spać. Był zmęczony po szybkiej podróży Via Egnatia na wschód i jeszcze szybszym powrocie do Tesalonik.

W pustym pokoju Cezar jeszcze raz wrócił do myśli, że ma dobrych świadków: inżyniera Marka, szanowanego staruszka Orestesa. Nie należy też zapominać o młodej Myrtale, chronionej obecnie przez Macedończyków w Rzymie. Mimo to nikt nie wierzył, że to on wygra ten proces. Ani stary Orestes, ani jego przyjaciel Labienus, nikt.

W jego umyśle pojawiła się pewna myśl.

Pozwolił sobie na uśmiech.

Jego młoda małżonka Kornelia wierzyła w niego.

Oparł się na krzesło.

– Kornelia – wypowiedział głośno jej imię wśród cieni rzucanych przez pochodnie.

Tęsknił za nią.

Tęsknił za jej ślepą wiarą w niego i również, trzeba to powiedzieć, za jej cudownym ciałem.

MEMORIA TERTIA

KORNELIA

Żona Cezara

ROZDZIAŁ XXVII

Pakt o władzy

Domus rodziny Juliuszów w Rzymie

88 r. p.n.e., jedenaście lat przed procesem Dolabelli

Wojna przeciwko Marsom i innym plemionom italskim miała się ku końcowi. *Socii* – wszystkie zwykle sprzymierzone z Rzymem ludy, które wystąpiły zbrojnie, gdyż nie chciano im przyznać obywatelstwa Republiki na drodze pokojowej, zostały pokonane. Koniec wojny oznaczał, że niepodpisany, lecz przyjęty milcząco rozejm między popularami a optymatami również wygasł.

Mariusz zdawał sobie z tego sprawę. Przywódca popularów próbował przejąć kontrolę nad Rzymem lata przed ostatnią wojną, ale jego sojusznicy Glaucja i Saturninus zostali zamordowani, a on sam musiał uciekać z miasta. Optymaci zaakceptowali jego powrót tylko dlatego, że geniusz militarny sześciokrotnego konsula był potrzebny do zaprowadzenia porządku w Italii. Ale gdy tylko stłumiono bunt, różnice między optymatami a popularami ponownie się ujawniły. Wprawdzie istniały na półwyspie pewne miejsca, gdzie rebelia jeszcze dogorywała, głównie na terenach zamieszkałych przez Samnitów, ale w oczach Senatu nie miało już to takiego znaczenia, więc na nowo rozgorzał odwieczny konflikt między najbogatszymi konserwatywnymi oligarchami a ich przeciwnikami w Senacie i Zgromadzeniu Ludowym, którzy domagali się zmian w społeczeństwie i rzymskich instytucjach.

Mariusz obserwował sprawność, z jaką Sulla manipulował Senatem, i obawiał się, że kuria odda jego podwładnemu z czasów wojny w Afryce najwyższe dowództwo nad wojskiem. Rzym szykował się, żeby stawić czoło nowemu zagrożeniu – takiemu samemu jak w swoim czasie Jugurta lub Cymbrowie i Teutoni, a może nawet większemu. Chodziło o króla Mitrydatesa VI Eupatora,

władcę Pontu na wschodzie, który zaatakował rzymskie protektoraty w Azji i groził teraz inwazją na Grecję *. Ktoś musiał go powstrzymać. Tyle że Mitrydates nie był, jak niegdyś Teutoni czy nawet Jugurta, przywódcą plemion przyzwyczajonych do ciągłego stanu wojny. Mitrydates był potężnym królem wojowniczego państwa z doświadczoną armią i liczną flotą, która w krótkim czasie mogłaby zająć cały wschodni basen Morza Śródziemnego i stworzyć tak wielkie wyzwanie dla Rzymu, jakim w czasach legendarnego Hannibala była Kartagina. Dlatego właśnie Senat ustalił, że powstanie profesjonalne wojsko na bazie reform wprowadzonych przez Mariusza podczas kampanii przeciwko Teutonom. Rzymska biedota, która – jak okazało się pod *Aquae Sextiae* – po przeszkoleniu jest w stanie walczyć z niesamowitą skutecznością, miała zostać uzbrojona i wyruszyć na wschód, żeby stanąć przeciwko doświadczonym żołnierzom Mitrydatesa. Mówiło się o zrekrutowaniu sześciu legionów, ni mniej, ni więcej.

Mariusz nie miał wątpliwości, że ten, kto dostanie legiony pod swoje rozkazy, po pokonaniu Mitrydatesa stanie się panem Rzymu. Ani w Italii, ani w innej prowincji nie było siły militarnej zdolnej sprzeciwić się takiej armii. Należało więc zdobyć władzę nad tym wojskiem jako konsul lub prokonsul z *imperium*.

Wobec forteli Sulli, który dążył do uzyskania dowództwa od Senatu, Mariusz również postanowił działać szybko. Senat składał się w większości z optymatów. Niczego nie można było w nim wskórać. Mariusz potrzebował wsparcia instytucji, która najmocniej przeciwstawiała się władzy kurii: Zgromadzenia Ludowego. Ale pobyt na wygnaniu, do którego zmuszono go po nieudanej próbie opanowania Rzymu z nieszczęsnymi Saturninusem i Glaucją, sprawił, że stracił wpływy we frakcji popularów. Najsilniejszym ich człowiekiem był obecnie Lucjusz Korneliusz Cynna i to z nim Mariusz postanowił się spotkać, zanim sytuacja polityczna się zmieni, a optymaci uzyskają władzę absolutną.

Cynna zgodził się na spotkanie. Czuł się pewien swego jako najpotężniejszy wśród popularów w Rzymie, ale Gajusz Mariusz był legendą dla tych wszystkich, którzy sprzeciwiali się optymatom. Być może w oczach Cynny Mariusz należał bardziej do przeszłości niż do terażniejszości, ale była to przeszłość tak pełna

chwały, tak mityczna, że samo jego imię mogło doprowadzić do potężnej unii wszystkich popularów, której celem byłaby kolejna zmiana struktur rzymskich i uzyskanie sprawiedliwszego podziału dóbr, ziem i praw. Dlatego Cynna zgodził się na spotkanie z Mariuszem i rozmowę o tym, o czym należało porozmawiać, a także ustalenie wszystkiego, co niezbędne. Poprosił jedynie, by spotkanie odbyło się w neutralnym miejscu – ani w domu Gajusza Mariusza, ani w jego własnym.

Mariusz zaproponował więc rezydencję Gajusza Juliusza Cezara ojca w samym centrum dzielnicy Subura. Cynna nie miał nic przeciwko temu. Na spotkanie udał się w towarzystwie Sulpicjusza Rufusa, trybuna ludowego, oraz zaledwie ośmioletniej dziewczyny – swej córki Kornelii, która miała odegrać rolę w planie, jaki wykoncypował. Uznał to za interesujące, że w pewnych przypadkach kobieta może okazać się bardziej pożyteczna niż mężczyzna, ale ta myśl szybko się rozviała.

Juliusz Cezar ojciec udostępnił miejsce na spotkanie i wystąpił jako gospodarz. Jego kariera polityczna nie była zbyt spektakularna, należał do stronnictwa popularów i trudno mu było odnieść sukces w Rzymie rządzonym przez optymatów. To, że dwóch największych przywódców – Mariusz i Cynna – wybrało jego dom, sprawiło, że zyskał na znaczeniu, którego do tej pory ani on, ani nikt z jego rodziny nie wypracował sobie zwykłym biegiem *cursus honorum*. Jego żona Aurelia również przychylnie przyjęła wiadomość, że zostaną gospodarzami tego spotkania.

– Jeśli nigdy nie przejdziemy na stronę optymatów, musimy być jak najmocniejsi wśród popularów – stwierdziła podczas kolacji, gdy małżonek spytał ją o zdanie. Rozmowie tej przysłuchiwał się młody Cezar.

Sulpicjusz Rufus i Lucjusz Korneliusz Cynna weszli do głównego atrium rezydencji rodziny Juliuszy, gdzie oczekiwali na nich Juliusz Cezar ojciec i oczywiście Gajusz Mariusz. Aurelia – stojąca nieco z boku, gdyż chodziło o spotkanie mężczyzn – odnotowała fakt, że Cynna przyszedł ze swoją młodziutką córką. Nie trzeba było słów, od razu wyczuła, o co mu chodzi. Uznała to za całkiem

dobry pomysł i zwróciła się do swojego dwunastoletniego syna, który również był obecny:

– Gajuszu, może pokażesz córce naszego gościa ogród tylnego atrium, gdy tutaj w spokoju toczyć się będzie rozmowa o przyszłości Rzymu.

Cezar kilka razy zamrugał. Jego matka rzadko dawała mu tak jednoznaczne instrukcje.

Spojrzał na dziewczynkę. Ta zwróciła wzrok w kierunku ojca. Cynna skinęła głową.

Młody Cezar i mała Kornelia opuścili główne atrium.

– Chodź – powiedział do niej.

Poszła za nim.

Inny chłopiec w jego wieku być może czułby się nieco niezręcznie w towarzystwie dziewczynki, ale Cezar wychowywał się z matką i dwiema siostrami, więc był przyzwyczajony do obecności kobiet.

– Masz rodzeństwo? – spytał ją, żeby przełamać lody.

– Jednego brata – odparła, nie zatrzymując się i nie podnosząc wzroku. Ona za to czuła się niezręcznie.

– Ja mam dwie siostry. Dobrze mi z nimi, ale chciałbym mieć również brata. Tego mi brakuje, choć mam przyjaciela Labienusa. Jesteśmy w tym samym wieku i robimy razem wiele rzeczy. Ty masz przyjaciółki?

– Nie – powiedziała, podkreślając odpowiedź ruchem głowy. – Nie pozwalają mi wychodzić z domu. Dzisiaj wyszłam wyjątkowo – zaryzykowała to wyjaśnienie wobec swady, z jaką się do niej zwracał.

Cezar się zastanowił – było oczywiste, że dziewczynkom prawie nie pozwalano wychodzić z rodzinnego domu. Najwyżej na zakupy na targu. I rzeczywiście przybycie Cynny w towarzystwie córki, a nie syna, było czymś wyjątkowym. Chyba że syn był jeszcze małym dzieckiem.

– Jesteś starsza od brata?

– Nie. Mój brat jest w twoim wieku.

– To rzeczywiście dziwne, że przyprowadzili ciebie.

Dotarli do tylnego atrium.

– Moja matka nazywa to ogrodem – zmienił temat Cezar – ale, jak widzisz, tak naprawdę to ledwie kilka donic z roślinami, które lubi pielęgnować.

Kornelia przespacerowała się między kwiatami.

– Jest piękny – powiedziała grzecznie, tak jak ją nauczyli zachowywać się wobec przyjaciół rodziny. Uznała, że znajduje się w domu przyjaciół ojca.

Jako młody chłopak Cezar wolno pojmował pewne rzeczy, ale szybko zaczął coś przeczuwać. To mu jednak nie wystarczało, chciał wiedzieć, chciał mieć wszystkie informacje. Matka nakazała mu zająć się tą dziewczynką, a więc...

– Widziałaś kiedyś luperków? – spytał ku jej zaskoczeniu.

To było bardzo bezpośrednie pytanie. Luperkowie to młodzieńcy, którzy podczas luperkaliów składali ofiary z kóz, a z ich skór robili rzemienie przypominające bicze – nazywano je *februa* – następnie okładali nimi panny, które były już zdolne do małżeństwa po to, żeby, jak mówiono, pobudzić ich płodność. Święto odbywało się w miesiącu, który od tychże biczy przyjął nazwę februiarius.

Przebywanie wśród luperków i otrzymanie od nich lania oznaczałoby, że dziewczyna jest już kobietą, a więc menstruuje. Kornelia zafrasowała się na to pytanie.

– Nie, nie przebywałam wśród luperków – odpowiedziała, spuszczać wzrok, jakby czuła się winna, że jest tak małą dziewczynką. – Jestem jeszcze bardzo młoda – dodała ze wstydem. – Wkrótce są moje urodziny, ale dopiero... dziewiąte.

– Tak właśnie myślałem. Że nie przebywałaś wśród nich. Pytałem o to, czy widziałaś ich na ulicy, kiedy krzyczą i leją swoimi *februa*. Nie chciałem cię urazić.

– Aha – powiedziała Kornelia, ale nie odważyła się podnieść wzroku. – Widziałam ich, gdy bili jedną z moich kuzynek. I to tyle.

Cesarowi zrobiło się nieswojo, gdy pojął, że ona poczuła się niezręcznie. Jednocześnie nadal intrygowało go, dlaczego ją przyprowadzono, ale nie chciał jej przestraszyć – być może powód był inny od tego, który mu się nasuwał. Mimo to

nie mógł przestać uważnie się jej przyglądać. Była jeszcze dzieckiem, ale widać było jej urodę, uprzejmość i dobre wychowanie. Nie wiedział o niej zbyt wiele, poza tym, że wydawała się bardzo nieśmiała, choć w tej sytuacji było to normalne: w obcym domu przebywała z chłopcem, którego nie znała.

– Chciałabyś się dowiedzieć, o czym rozmawiają nasi ojcowie, Gajusz Mariusz i Sulpicjusz Rufus, trybun ludowy? – spytał.

Kornelia wreszcie spojrzała na niego. Twarz Cezara wydała jej się miła. Uznała go za wysokiego i silnego, dostrzegając, że stara się być uprzejmy. Mimo że nadal niewiele się odzywała, już nie czuła się niezręcznie w jego obecności.

– Ale możemy? Możemy słuchać ich rozmowy bez pozwolenia?

Cezar uśmiechnął się i położył palec na ustach. Zbliżył się do dziewczynki i powiedział cicho:

– Chodź ze mną.

Wziął ją za rękę.

Kornelia drgnęła: nigdy jeszcze nie trzymał jej za rękę nieznajomy chłopak. A jej brat nie był z nią blisko. Gdy minęło zaskoczenie, spodobało jej się to: Cezar trzymał jej rękę mocno, ale nie robiąc jej krzywdy. Poczowała się z nim pewnie.

Poprowadził ją przez korytarze do czegoś w rodzaju niewielkiej biblioteki pełnej papirusów.

– To *tablinum* mojego ojca – wyjaśnił tak samo cichym głosem. – Ma dwa wejścia. My przyszliśmy tu od strony tylnego atrium, ale ma też połączenie z głównym. Jeśli podejmiemy do tego drugiego wejścia, które jest osłonięte tylko kotarą, możemy posłuchać, o czym rozmawiają. Wuj Mariusz zawsze mówi głośno.

– Mój ojciec również – podkreśliła Kornelia, podniecona przygodą, w którą wciągnął ją ten młodzieniec.

– To świetnie. Chodź za mną, trzymaj się mnie, ale się nie odzywaj, niezależnie od tego, co usłyszymy, zgoda?

– Zgoda – wyszeptała.

Nadal trzymał ją za rękę i poprowadził do głównego wejścia do *tablinum*, zasłoniętego grubą kotarą, przez którą przebijały się głosy rozmówców znajdujących się w atrium. Doszły ich one już, gdy szli w tamtą stronę, a gdy podeszli do kotary, było je bardzo dobrze słychać.

Wówczas Cezar puścił rękę Kornelii.

Żałowała, że to zrobił, ale oczywiście nic nie powiedziała i, naśladując go, zbliżyła się do kotary, uważając jednak, żeby jej nie dotknąć. Skupili się na słuchaniu.

Główne atrium rezydencji rodziny Juliuszów

– Jeśli Sulla obejmie dowództwo nad wojskiem stacjonującym w Noli, będzie to oznaczało koniec naszych dążeń do zmian w prawie i wszelkich innych. – Potężny głos Gajusza Mariusza nadawał autorytet każdej sylabie. – Poza tym przy nowych zasadach ta armia składa się z sześciu legionów. Sześciu. Wraz z wojskami pomocniczymi będzie to sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Te siły w rękach Sulli oznaczają nasz koniec. Optymaci będą rządzili wedle własnego upodobania i nas zmiotą. I to nie subtelnie, tylko dosłownie. Zniszczą nas.

– Nic jednak nie możemy z tym zrobić – sprzeciwił się Sulpicjusz Rufus. – Dominują w Senacie, odkąd przed laty nie dopuścili do wprowadzenia reform Saturninusa i twoich. Wyszli nam naprzeciw, szukając wsparcia w walkach ze zbuntowanymi Marsami i resztą sprzymierzeńców, ale gdy tamci zostaną pokonani, jak mówisz, Sulla i reszta optymatów, mając władzę w Senacie, przejmą konsulat. Zrobią, co będą musieli, żeby wygrać wybory na dwa najwyższe stanowiska. Potem postawią Sullę na czele wojska.

– Zgromadzenie Ludowe może ich powstrzymać – zaznaczył Mariusz.

– Jak? – spytał Cynna, który wypowiadał niewiele słów, ale zawsze te właściwe.

– Uchwalając prawo wbrew woli Senatu i przejmując prerogatywę wyznaczenia dowódcy wojska w Noli albo legionów, które mają iść na wojnę z Mitydatesem,

czyli tej samej armii. Niech Zgromadzenie postanowi, że tym dowódcą zostanie ja. Tak to można zrobić.

Zapadła cisza.

– Sulpicjuszu, mógłbyś sprawić, żeby Zgromadzenie zbuntowało się w taki sposób przeciwko Senatowi? – spytał Cynna. Wojsko, o którym mowa, miało zostać wysłane za granicę, na wschód, przeciwko Mitrydatesowi, zatem sprawa należała do polityki zagranicznej, a decyzje w tym obszarze podejmował wyłącznie Senat.

Trybun ludowy dobrze się zastanowił, nim odpowiedział.

– Gdyby chodziło o innego kandydata na dowódcę tych legionów, nie byłoby to dla mnie tak oczywiste, ale jeśli wystawimy Mariusza, który ocalił nas przed Jugurtą, a także Cymbriami i Teutonami, co lud pamięta i za co jest mu wdzięczny, to nie mam wątpliwości. Zwłaszcza jeśli podkreślimy, że Mitrydates to nowy Hannibal. Strach przed kolejną inwazją na Italię, zwłaszcza po tym wszystkim, co się działo podczas buntu Marsów i pozostałych sprzymierzeńców, sprawi, że Zgromadzenie jednogłośnie opowie się za Mariuszem. Lud na pewno bardziej ufa jemu niż Sulli.

– Ta inwazja nie jest niemożliwa – dodał Mariusz. – Mitrydates grozi, że przekroczy Hellespont i zaatakuje Grecję. Jeśli nie stawimy mu czoła tam, z pewnością nie zatrzyma się, dopóki nie dotrze do samego Rzymu. Jest wyjątkowo ambitny. Wróćmy jednak do kwestii dowództwa nowych legionów. Musimy działać szybko: Senat zbiera się jeszcze w tym tygodniu i podczas tego posiedzenia dojdzie do wyznaczenia Sulli.

– Zgromadzenie też może zebrać się w tym tygodniu – zaproponował Sulpicjusz Rufus.

– Byłoby idealnie – stwierdził Mariusz.

Wydawało się, że wszystko zostało postanowione, ale Cynna chciał jeszcze poruszyć własną sprawę.

– Nie mam nic przeciwko temu, żebyś otrzymał dowództwo tego wojska, ale udasz się z nim na wschód, a my zostaniemy w Rzymie i będziemy musieli poradzić sobie z optymatami rozwścieczonymi, że Sulla stracił stanowisko.

Mariusz nie był zaskoczony tymi słowami. W Rzymie nikt nie wspierał nikogo bezinteresownie.

– Słucham cię, Cynno. – Rozparł się na kline i wyciągnął ramię, żeby niewolnik dolał mu wina.

– Otrzymasz dowództwo nad wojskiem jako *privatus*. Nie możemy wpłynąć na wybory konsula, ale... – Cynna zastanowił się przez kilka chwil: miał prosić o dużo, choć z twarzy Mariusza wnioskował, że były konsul również bardzo pożąda dowództwa. Wreszcie się odważył. – Skoro tylko obejmiesz legiony i optymaci znajdą się w defensywie, wystawię swoją kandydaturę na konsula, a nasz przyjaciel Sulpicjusz swoją na pretora. Klienci z całego Rzymu nas poprą. Liczymy również na wsparcie twoje i twoich ludzi.

Mariusz nie musiał się długo zastanawiać: konsulat i pretura wydawały się rozsądną ceną za dowodzenie sześcioma legionami, wojskiem, które było kluczem do kontroli nad Rzymem.

– Zgoda. Porozumieliśmy się – potwierdził.

– Może powinniśmy wznieść toast za ten pakt – powiedział Juliusz Cezar ojciec. Podczas narady rozsądnie zachowywał milczenie wobec takich mężów, jak Mariusz, Cynna i Sulpicjusz, którzy przewodzili stronnictwu popularów w Rzymie.

Aurelia również była obecna przy rozmowie, choć trzymała się z boku. Teraz zwróciła się w stronę niewolników:

– Wino i jedzenie dla wszystkich. W obfitości – nakazała. Następnie, patrząc na Mariusza, Cynnę i Sulpicjusza, dodała uprzejmie: – Zaszczycie nas zjedzeniem wieczerzy w naszym domu, prawda? Błagam bogów, aby wasze zajęcia pozwoliły na tę krótką chwilę przyjemności.

Cała trójka przyjęła zaproszenie.

Wszystko wydawało się przesądzone, ale Cynna chciał jeszcze jednego.

– Należę do ludzi, którzy uważają, że poza toastami należy również przypieczętować pakt pewnego rodzaju związkami.

Aurelia odetchnęła głęboko. Wiedziała, co się święci, odkąd Cynna wszedł do jej domu w towarzystwie córki.

– Jakiego rodzaju związkami? – spytał Mariusz. Pochłonięty kwestią tego, jak przygotować sześć legionów, żeby stawić czoło Mitrydatesowi, nie miał głowy do innych spraw.

– Ja mam syna i Gajusz Mariusz ma syna – zaczął Cynna. – Ale syn Mariusza jest mężem Licynii, a nasz poważany przywódca, sześciokrotny konsul, nie ma córki. Tutaj nic nie zdziałamy. – Wyrzucił z siebie krótki śmiech, na który reszta odpowiedziała uśmiechem, a potem kontynuował: – Ale mam też córkę, Kornelię. A Juliusz Cezar i... – spojrzał uprzejmie na Aurelię – nasza gospodyni mają młodego syna, Juliusza Cezara syna, bratanek Gajusza Mariusza. Jeśli moja córka i bratanek Gajusza Mariusza połączą się węzłem małżeńskim, będzie to dla mnie oznaczać, że pakt został przypieczętowany i to mocno, że jest to umowa na przyszłość i na długo. Nadchodzą trudne czasy. Chciałbym mieć poczucie, że wszyscy jesteśmy... rodziną. Ta jedność uczyni nas silniejszymi.

Cynna zamilkł. Od dawna nie wypowiedział tylu słów na raz. Mówcą w tym gronie był Sulpicjusz. Jego dar publicznego przemawiania przyda się, gdy trybun będzie przekonywał Zgromadzenie Ludowe do buntu przeciwko Senatowi i bezpośredniego wyznaczenia Gajusza Mariusza na dowódcę nowego wojska.

Napił się wina, dając czas rozmówcom na rozważenie jego dodatkowej prośby.

Mariusz spojrzał na Juliusza Cezara ojca, a ten na Aurelię. Ona lekko skinęła głową, ale jej małżonek uznał, że nie jest przekonana, i próbował znaleźć wyjście z sytuacji. Spotkanie zaczęło się komplikować. Nie spodziewał się, że jego rodzina zostanie wplątana w pakt między Mariuszem a Cynną.

– Ta propozycja sprawia nam przyjemność, to dla nas zaszczyt, Cynno – zaczął. – Ale twoja córka jest jeszcze dzieckiem, czyż nie?

– Zgadza się. Nie jest jeszcze kobietą, jeśli o to ci chodzi, ale szybko się nią stanie. Nie mówię, żeby małżeństwo zawrzeć już jutro, tylko żeby je dziś przypieczętować.

Mariusz się nie odzywał. Nie chciał, żeby cokolwiek mu przeszkodziło w objęciu dowództwa nad nowym wojskiem. Senat prawie go wygnał. Zgromadzenie Ludowe było jedynym sposobem osiągnięcia celu, a to oznaczało, że trzeba spełnić żądania Sulpicjusza i Cynny. Zwłaszcza tego ostatniego, który kontrolował wszystkie sprężyny stronnictwa popularów w Rzymie.

Cezar ojciec wyczuł niecierpliwość w spojrzeniu Mariusza. Przejechał wierzchem lewej dłoni po twarzy.

– Małżeństwo zostanie zawarte, gdy nadejdzie czas – zgodził się wreszcie. – Gdy córka Lucjusza Korneliusza Cynny dorośnie, stanie się kobietą.

Tablinum domostwa rodziny Juliuszów

Juliusz Cezar i Kornelia spojrzeli na siebie w mroku biblioteki.

Nic nie powiedzieli.

On chwycił ją za rękę, jak wcześniej, i wyprowadził z pomieszczenia. Szli korytarzami, aż wrócili do tylnego atrium.

Tam puścił jej dłoń.

Ona wbiła wzrok w kwiaty.

A on patrzył na nią.

– Przykro mi – powiedziała Kornelia prawie szeptem, jakby nadal znajdowali się w bibliotece.

– Dlaczego jest ci przykro? – spytał skonfundowany.

– Że każą ci się ze mną ożenić.

– Cóż, każą nam obojgu. Tobie również.

– Tak, ale ja jestem przyzwyczajona do tego, że mówią mi, co mam robić. Ty może nie bardzo.

– Cóż – przyznał.

Znowu zapadła cisza.

– Bałam się tego, wiesz? – powiedziała Kornelia po paru sekundach.

– Czego?

– Tego, za kogo mnie wydadzą.

– A teraz się nie boisz?

– Nie... Jesteś miły. I... przystojny. I nie jesteś wiele starszy ode mnie.

– Nie, nie sądzę, żebym wzbudzał strach – powiedział z sarkastycznym, lecz nieco smutnym uśmiechem. – Ale sam się boję.

– Mnie? – Kornelia była zaskoczona.

– Nie – znów się uśmiechnął, ale tym razem szczerze, czysto. – Nie ciebie. Ty również jesteś miła i młoda, bardzo młoda. – Zaczął się śmiać. – I ładna – dodał.

– Więc czego? Bogów? Ja trochę tak – stwierdziła.

– Nie boję się bogów. Pochodzę od Wenus. Przodkiem mojej rodziny jest Julus, potomek Eneasza – wyjaśnił kategorycznie, jakby mówił o niepodważalnych faktach. – Boję się, że nie będę w stanie sprostać oczekiwaniom innych. Wuj był sześć razy konsulem i wszyscy w domu spodziewają się, że będę jak on. Nie mówią tego, ale czytam to w spojrzeniu ojca i matki. Nie mam braci. To muszę być ja. Jak można zrównać się ze zwycięzcą z Afryki, z tym, który ocalił nas przed atakiem Teutonów, z kimś, kto sprawił, że nasze wojsko stało się najpotężniejsze na świecie?

– Tak. Nie będzie ci łatwo – przyznała.

Ponownie na nią spojrzął. Spodobało mu się, że nie powiedziała głupstw w rodzaju „nie przejmuj się” albo „dasz sobie radę”. Nie będzie mu łatwo, to pewne.

– Właściwie to będzie ci niezwykle trudno – dodała. Zaczęła się śmiać i Cezar nie mógł powstrzymać śmiechu.

Wybuch radości potrzebny był obojgu, zwłaszcza po tym, czego się dowiedzieli. Uspokoiwszy się, zamilkli.

– Czytasz? – przerwał ciszę Cezar.

– Oczywiście – odparła urażona Kornelia. – Myślisz, że jestem głuptasem? – Nagle zniżyła głos, żeby dodać: – No dobrze, tylko po łacinie. Nie znam greki. Chciałabym się nauczyć, ale ojciec twierdzi, że greka i retoryka nie są dla kobiet. Że moim zadaniem jest rodzić dzieci mężowi.

Cezar na nią spojrzął i nagle pojął, że ta dziewczyna urodzi mu dzieci.

– Ja lubię czytać – powiedział. Zastanowił się, który autor najbardziej mu się podoba. To był Eurypides, ale on pisał po grecku. – Znasz Plauta?

– Wiele razy o nim słyszałam, ale nie czytałam żadnego jego dzieła ani nie widziałam nic w teatrze.

– Poczekaj – powiedział Cezar i wyszedł z atrium.

Została sama pomiędzy kwiatami.

Wtedy zjawiała się Aurelia.

– Kornelio, ojciec chce, żebyś dołączyła do naszej wieczerzy... – Rozejrzała się po atrium, ale nie dostrzegła syna. – Gajusz zostawił cię tu samą? – W jej głosie słychać było oburzenie.

– Nie, nie. Był ze mną cały czas. Poszedł tylko po coś, co chciał mi dać – wyjaśniła natychmiast Kornelia i Aurelia się uspokoiła.

Wrócił Cezar, pozdrowił matkę i podał Kornelii papirus.

– To *Komedia ośla* Plauta. Jego pierwsze dzieło. Jest zabawne.

– Twoje ulubione – skomentowała Aurelia, zdziwiona widokiem syna oddającego papirus dziewczynce, którą dopiero poznał.

– Nie mogę tego przyjąć – rzekła Kornelia, patrząc w podłogę.

– Bardzo cię proszę – nalegał. – Będziemy mogli o nim porozmawiać.

Aurelia była zaskoczona rozmową. Coś się tutaj wydarzyło. Między nimi. Coś ich połączyło, nie wiedziała, co, ale jedna rzecz nie budziła wątpliwości: polubili się. Rozluźniła się, bo ten fakt wszystko ułatwiał.

Kornelia wzięła papirus od Cezara i oboje poszli za Aurelią w stronę głównego atrium, gdzie dołączyli do wieczerzy.

Gdy goście sobie poszli, Aurelia zwróciła się do syna:

– Córka Cynny wydaje ci się miła?

– Tak – odparł. Nic więcej nie powiedział, tylko pocałował matkę w policzek i udał się na spoczynek.

– Wiedzą – stwierdziła Aurelia, gdy została sam na sam z mężem.

– Co wiedzą? – spytał, nieco oszołomiony wypitym winem.

Dostrzegła jego zmęczenie. Juliusz Cezar ojciec zmartwił się, gdy Cynna wystąpił z żądaniami. Ona również. Przez chwilę oboje bali się, że spotkanie zakończy się fiaskiem. Jej małżonek potrzebował snu.

– Nic ważnego, mój mężu. Myślę, że również powinniśmy już odpocząć.

Wstali i udali się do sypialni. Niewolnicy zaczęli sprzątać, starając się nie hałasować talerzami, pucharami, sztućcami oraz resztkami wieczerzy rozrzuconymi po stołach.

Cynna i jego córka w mocnej obstawie podążali ku domowi. Pochodnie niewolników rozświetlały mrok rzymskiej nocy.

– Rośnij prędko, dziewczyno – padło nagle. Głos należał do Cynny.

Kornelia skinęła w milczeniu głową. Ojciec nie oczekiwał innej odpowiedzi, chciał tylko jej posłuszeństwa i ona o tym wiedziała.

* Patrz mapa [2].

ROZDZIAŁ XXVIII

Nauki Cezara

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

88 r. p.n.e.

Aurelia weszła do *tablinum* i tak jak się spodziewała, natknęła się na syna siedzącego przy stole i piszącego pod czujnym okiem tutora. Marek Antoniusz Gnipho był niezwykle wykształconym człowiekiem, stanowił interesującą mieszankę wschodniej erudycji, gdyż studiował w najważniejszych miejscach greckiego świata, i barbarzyńskiego pochodzenia – urodził się bowiem w Galii. Nieraz słyszała, jak stary nauczyciel opowiada Cezarowi historie o Galii i jej ludach, zamiast skupić się na Arystotelesie, Eurypidesie czy Menandrze. Często myślała, że to strata czasu poświęconego na edukację syna, ale Cezar wydawał się bardzo zainteresowany opowieściami o barbarzyńskich Celtach, ściślej łączyły go one z nauczycielem. Aurelia uznała więc, że z pewnością okaże się to nieszkodliwe. I miała rację, ponieważ Cezar tak samo koncentrował się na lekcjach greki czy łaciny.

– Przyszedł twój wuj Mariusz, synu – powiedziała.

Młodzieniec szybko zakończył pisanie i wstał, żeby przywitać gościa. Tylko poważne spojrzenie matki zatrzymało go w biegu. Zwrócił się do starego nauczyciela.

– W nocy dokończę tekst, dobrze?

Gnipho skinął głową.

Cezar minął matkę i pospiesznie pobiegł na spotkanie wuja.

Aurelia chciała, żeby syn zawsze okazywał nauczycielowi szacunek. Nie obchodziło jej, że to wyzwoleniec. Dla niej najważniejsze było, żeby Cezar nauczył

się szanować wiedzę, którą Gnipho mu przekazywał, chociaż czasami nauczyciel upierał się i tracił czas na historie o galijskich wojownikach.

Gnipho czytał tekst pozostawiony przez Cezara.

– O czym jest? – zainteresowała się Aurelia.

– *Laude Herculis* – odparł Gnipho i nie odrywając wzroku od tego, co napisał jego uczeń, wyjaśnił: – To poemat chwálący bohaterskie czyny Herkulesa, który jest... dobrze napisany. – Podniósł wzrok. – Musi tylko go skończyć.

– Herkules... Interesujący wybór tematu. Największy bohater.

– Być może młodzieniec ma wygórowane aspiracje.

– To jego przeznaczenie – ucięła Aurelia.

– Być jak Herkules? – odważył się spytać Gnipho, jakby uznał wypowiedź matki za zbyt górnolotną lub przesadną.

– Być jak Herkules, zgadza się – odparła tym samym tonem i odwróciła się, żeby wrócić do atrium, do szwagra i syna.

– Ostatecznie Herkules umiera z powodu zdrady – podsumował Gnipho.

Aurelia zatrzymała się i przez chwilę popatrzyła na starego tutora.

– Tak – zgodziła się rzymska matrona – ale wszyscy śmiertelnicy kiedyś umierają. A po śmierci Herkules stał się bogiem.

Gnipho pochylił głowę przed matką swego ucznia.

Atrium rezydencji rodziny Juliuszów

Gdy Aurelia weszła, Gajusz Mariusz i Cezar prowadzili ożywioną rozmowę. Ten widok sprawił jej przyjemność, podobnie jak propozycja złożona przez dawnego konsula i senatora.

– Przyszedłem, żeby zabrać chłopaka na Pole Marsowe – powiedział Mariusz. – Chcę się przekonać, czy poprawił się w walce.

– Oczywiście. Jego ojca nie ma w domu, ale jestem pewna, że Gajusz będzie zachwycony tym pomysłem.

Rozemocjonowany Cezar poszedł za wujem. Bardzo chciał mu pokazać, jakie uczynił postępy w walce mieczem, męstwie, odporności i zwinności.

Pole Marsowe

Zbocze na przedmieściach Rzymu, na którym rozciągało się pole służące do ćwiczeń w sztuce wojennej, pełne było młodzieńców – niektórzy byli prawie dziećmi – próbujących swych sił w walce wręcz, strzelaniu do celu lub jeździe konnej bez strzemion, na sposób rzymski. Wyprostowana postać Gajusza Mariusza eskortowanego przez Sertoriusza i licznych weteranów sprawiła jednak, że w tłumie otworzyło się przejście, którym zdecydowanie kroczył były konsul.

– To będzie odpowiednie – powiedział Mariusz, wybierając miejsce, gdzie chciał sprawdzić umiejętności ulubionego bratanka.

Mariusz miał innych siostrzeńców i bratanków, a także własnego syna, którego wielce miłował i którego kształceniem zajął się w swoim czasie, ale w tym dwunastolatku wyczuwał pewną siłę, zdecydowanie, które wywoływały jego szczególną radość. Tylko wytrwali ponad normę są w stanie przekroczyć wszystkie ograniczenia i trudności, jakie często stawiają przed nimi wrogowie polityczni. W tym młodzieńcu Mariusz wyczuwał coś, czego nie umiał określić: zdecydowany charakter opakowany w wyjątkową inteligencję. Ale to wszystko bez umiejętności wojennych nic nie znaczyło. Nieumiejący walczyć wręcz chłopak zginie w pierwszej prawdziwej potyczce, w którą się wda – czy to na wiejskich terenach północy, czy w starciu ze zorganizowanymi wojskami Mitrydatesa albo innych królów wschodu.

– Dajcie mu miecz do ćwiczeń – nakazał Mariusz swoim ludziom.

Natychmiast podali chłopakowi drewnianą broń, a jego wuj chwycił podobną.

Cezar jeszcze ważył miecz w rękach, jakby chcąc się przekonać, czy jest taki sam jak te, którymi do tej pory ćwiczył, gdy wuj bez słowa uderzył go w ramię płaską stroną swojej broni. Zrobił to z taką siłą, że chłopak stracił równowagę i upadł na ziemię. Stamtąd spoglądał na Mariusza, zaskoczony i wściekły.

– Myślisz, że wróg ostrzeże cię przed atakiem, chłopcze? – rzucił wuj z poważną miną. – Myślisz, że Galowie albo żołnierze Mitrydatesa zapytają o pozwolenie, nim przystąpią do natarcia? Na Herkulesa, wstawaj i broń się!

Cezar podniósł się i wyciągnął przed siebie miecz na wysokości piersi. Już miał zaatakować wuja, gdy tamten znów przemówił.

– Poczekaj, chłopcze. Jeśli to ma być prawdziwe ćwiczenie, musisz się zmierzyć z kimś, kto jest na tyle sprawny, żeby dorównać twojej zwinności.

Gajusz Mariusz miał już sześćdziesiąt dziewięć lat. Wiedział, że jest zbyt stary i powolny, aby stawać do pojedynku. Lepszy byłby jako dowódca wojska przeciwko Mitrydatesowi, a nie instruktor rozwścieczonego młodzianiszka, gotowego zaatakować z całej siły.

Były konsul spojrział na Sertoriusza. Ten nie czekał na rozkaz, tylko skinął głową i wziął od dowódcy drewniany miecz.

Cezar przełknął ślinę. Kwintus Sertoriusz, wieloletni zastępca jego wuja, miał trzydzieści kilka lat i był w doskonałej formie fizycznej.

Wokół tej pary i Mariusza otoczonego przez weteranów powstał krąg ciekawskich, którzy chcieli zobaczyć wynik pojedynku.

– Dlaczego nie atakujesz, chłopcze? – spytał Mariusz z wygodnego dystansu.

Cezar spocił się, nie odważył się otwarcie uderzyć silnego oficera, który brał udział w tysiącu bitew. Wierzchem wolnej ręki otarł twarz. Słońce stało w zenicie. Panował upał. Myślał nad próbą zaatakowania przeciwnika z jednej lub drugiej strony, ale gdy tylko się do tego gotował, Sertoriusz zmieniał pozycję, uniemożliwiając jakikolwiek atak z boku. A frontalne natarcie na takiego żołnierza było jednak szaleństwem.

– Nie tak dawno mówiłeś mi, żebym nie rzucał się do walki, której nie mogę wygrać, wuju – wyjaśnił Cezar. – Nie mam żadnych szans przeciwko Sertoriuszowi. Dobrze o tym wiesz.

Mariusz skinął głową. Sprawiał wrażenie zadowolonego, ale w jego odpowiedzi uznanie dla inteligencji bratanka mieszało się z żądaniem, by ten

okazał więcej energii.

– Cieszę się, że pamiętasz moje lekcje, chłopcze. Nie możesz ani nie powinieneś atakować Sertoriusza, ale co, jeśli to on zaatakuje ciebie? Nie będziesz się bronił? – Były konsul gestem ręki nakazał podwładnemu atak na bratanka.

Kwintus Sertoriusz ruszył do przodu. Nie spieszył się, ale był zdecydowany. Cezar zastanawiał się, czy zrobić unik w jedną, czy w drugą stronę, ale krąg gapiów nie dawał mu wielkiego pola manewru. Gdy chciał zareagować, Sertoriusz już uderzył go w ramię.

– Aaach – wrzasnął młodzieniec.

A potem w drugie.

– Na Jowisza! – wykrzyknął Cezar.

Cofnął się. Chciał uniknąć kolejnych ciosów, zasłaniając się mieczem, ale Sertoriusz zręcznie uderzył go znowu: w lewy bok, w prawy, znowu w ramię i w drugie, którym Cezar się zasłonił.

Mariusz w milczeniu uważnie obserwował tę scenę. Wiedział, że jego bratanek znajduje się na skraju wytrzymałości. Tego właśnie chciał: zobaczyć go w sytuacji krytycznej. Co zrobi? Będzie błagał? Uklęknie? Poprosi Sertoriusza, by przestał? Zwróci się do wuja, by powstrzymał podwładnego?

Cezar nie uczynił żadnej z tych rzeczy. Po prostu znosił ciosy. Całe jego ciało spływało potem, na ramionach i udach pojawiły się siniaki, a nawet strużka krwi. Walczyli drewnianymi, nienaostrzonymi mieczami, ale była to broń chropowata i nieobrobiona, więc podczas ćwiczeń zdarzały się rany. Sesja treningowa zaczynała przypominać wymierzanie kary.

Sertoriusz zatrzymał się i spojrzał na konsula.

Cezar wykorzystał tę chwilę – oparł się na mieczu jakby ten był laską i wyrównał oddech. Bolało go całe ciało. Czuł się ośmieszony i nie wiedział, co zrobić. Musiał zaatakować, ale Sertoriusz z pewnością wykorzysta to, że się zbliży, i zada mu mocniejsze ciosy. Na razie cierpiał tylko z powodu siniaków i zranionej boleśnie dumy.

Sertoriusz nadal patrzył na Gajusza Mariusza. Ten patrzył na bratanka. Cezar wbił wzrok w ziemię.

– Kontynuować – nakazał były konsul. – Nie kazałem wam przestać.

Sertoriusz westchnął. Nie bardzo rozumiał, o co chodzi. Podejrzewał, że konsul chce dać lekcję bratankowi, ale nie wiedział, na czym ma ona polegać. Wydawała się po prostu ciężką karą. Bardzo ciężką.

Ponownie wyciągnął miecz.

Cezar usłyszał rozkaz wuja, zaczerpnął powietrza i znów skupił się na tym, jak zminimalizować szkody, zupełnie niezdolny do powstrzymania serii ciosów, które bezlitośnie na niego spadały.

Otrzymał wyjątkowo silne uderzenie w udo, które mimo że wymierzone płaską częścią ostrza, sprawiło, że opadł na kolano. Sertoriusz bez wahania uderzył go wówczas w twarz. Nie z okrucieństwa. To była inercja wojownika pomieszana z chęcią zakończenia tych tortur. Pomyślał, że lepiej powalić przeciwnika raz a dobrze, zamiast przedłużać pojedynek.

Ale być może nie ocenił dobrze własnej siły. Albo błędnie założył, że Cezar ochroni się jakoś przed tym ciosem.

Uderzenie mieczem w twarz zabrzmiało fałszywie. Trach! Był to jednak suchy dźwięk, wydawał się ostateczny, przesadny. Młody Gajusz Juliusz Cezar, dwunastoletni chłopak, padł na ziemię jak kłoda i znieruchomiał na zboczu Pola Marsowego.

Zapadła gęsta cisza.

Mariusz zastygł.

Sertoriusz natychmiast odrzucił miecz i zbliżył się do młodzika. Przesadził. Obawiał się najgorszego. Nachylił się nad Cezarem, żeby sprawdzić, czy chłopak jest przytomny, gdy nagle tamten odżył i z całej siły uderzył mieczem w jądra Sertoriusza, jakby miał w rękach młot samego Wulkana.

– Aaach! – wrzasnął Sertoriusz i padł na ziemię, osłaniając swoje klejnoty i łapiąc oddech, a tymczasem Juliusz Cezar wstał i uniósł drewniany miecz, gotowy

kontynuować pojedynk.

Stał, a z jego policzka sączyła się krew, ramiona miał pokryte siniakami i pęknięciami, ale się nie poddawał. Kwintus Sertoriusz nadal ział z bólu, ale próbował wstać, żeby walczyć dalej.

– Wystarczy! – krzyknął wówczas Gajusz Mariusz.

Sertoriusz skinął głową i nadal trzymając się za jądra, odsunął się na bok.

Mariusz stanął naprzeciwko bratanka.

– Oszukałeś Sertoriusza, chłopcze, ale musisz zdać sobie sprawę z jednej rzeczy: z inteligentnym przeciwnikiem można zrobić to tylko raz. Tego podstępu nie wykorzystasz dwukrotnie. Rozumiesz?

– Rozumiem – potwierdził Cezar. – Ale teraz mi się to przydało.

Mariusz przytaknął.

– Idziemy do domu. Trzeba opatrzyć ranę na twojej twarzy. Matka zabije mnie za to, że cię tak oszpeciłem. – Roześmiał się.

Podczas tej rozmowy posłaniec zbliżył się do Sertoriusza.

Wuj i bratanek ruszyli przed siebie. Krąg ciekawskich się rozszedł. Wszyscy omawiali to, jak dwunastolatek zdołał pokonać ni mniej, ni więcej tylko najbardziej zaufanego człowieka wielkiego Mariusza.

Ten objął bratanka ramieniem i nadal do niego przemawiał. Cezar odczuł ból, ale nic nie powiedział, bo zdawał sobie sprawę, co ten gest znaczy: zaufanie, może nawet dumę.

– Nauczyłeś się, że nie należy wdawać się w bójkę, jeśli nie możesz jej wygrać, pokazałeś, że potrafisz użyć sprytu, żeby się obronić, a nawet przekonałeś się, że inteligentnego przeciwnika można oszukać tylko raz, ale wiesz, chłopcze, co jest najważniejsze w tym przeklętym konflikcie między popularami a optymatami, który staje się coraz brutalniejszy i w który sam kiedyś zostaniesz wplątany?

Cezar zmarszczył czoło, gdy zastanawiał się nad odpowiedzią.

W tym momencie Sertoriusz zbliżył się do byłego konsula.

– Senat na najbliższym posiedzeniu przekaże Sulli dowództwo nad legionami zrekrutowanymi do walki z Mitrydatesem – powiedział.

– Musimy porozmawiać z Cynną i zwołać Zgromadzenie Ludowe – odparł zdecydowanym tonem Mariusz.

Kontynuowali drogę powrotną do miasta.

– Inteligencja – powiedział nagle Cezar. – To inteligencja jest najważniejsza w tym konflikcie, wuju.

– To prawda, chłopcze, ale będziesz musiał jej użyć, tak jak ja teraz, do zdobycia dowództwa nad wojskiem: to jest i zawsze będzie najważniejsze.

Juliusz Cezar czuł krew spływającą po policzku i ciało obolałe od ciosów i dotyku wuja na ramieniu. Zachował w głębi umysłu słowa Gajusza Mariusza, żeby nigdy ich nie zapomnieć.

ROZDZIAŁ XXIX

Rzym jest mój

Nola, Półwysep Apeniński

88 r. p.n.e., sześć tygodni później

Senat wybrał Sullę na konsula i przyznał mu dowództwo nad wojskiem stacjonującym w Noli, które miało wyruszyć na wschód, żeby zatrzymać ekspansję Mitrydatesa na Morzu Śródziemnym.

Jednocześnie Zgromadzenie Ludowe zadziało na własny rachunek i przyznało sobie prawo do wyznaczenia dowódcy tego samego wojska. Po gorącym wystąpieniu Sulpicjuszowi udało się sprawić, że lud Rzymu powierzył tę armię Gajuszowi Mariuszowi.

Konflikt wybuchł z nową siłą.

Sulla okazał się szybszy: wyruszył do Noli, zanim zrobił to ktokolwiek inny. Pojechał z kilkoma zaufanymi ludźmi, bez własnego oddziału, chcąc jak najszybciej przejąć kontrolę nad armią. Wśród tych, którzy dzień i noc bez wyczerpania galopowali u jego boku, znajdował się Dolabella.

Mariusz wykazał się większą ostrożnością, chciał najpierw zgromadzić potężną grupę swoich weteranów z Afryki i wojny z Teutonami, żeby stanąć przed armią w Noli w silnej obstawie. Ostrożność, która tyle razy wcześniej się opłacała – na przykład pod Aquae Sextiae – tym razem sprawiła, że stracił inicjatywę na rzecz Sulli. Tylko czas i wydarzenia pokażą, który z tej dwójki okaże się sprawniejszy.

Wyznaczony przez optymatów dowódca dotarł do Noli o świcie i natychmiast spotkał się z trybunami legionów, którym przedstawił mandat, jaki otrzymał od Senatu. Wszystko wydawało się proste, ale Mariusz, trybun ludowy Sulpicjusz i sam Cynna mieli spore doświadczenie w kwestiach politycznych i wysłali

wiadomość o wyznaczeniu Mariusza przez Zgromadzenie Ludowe. Mimo że dowódca nadal organizował swój wyjazd w Rzymie, posłańcy dotarli do Noli razem z Sullą, dlatego trybuni zawahali się przed uznaniem mandatu Senatu. Gdyby Zgromadzenie Ludowe zaproponowało kogoś innego, oficerowie nie mieliby wątpliwości, Mariusz był jednak legendą legionów. Sulla również mógł pochwalić się pewnymi osiągnięciami, ale zwycięstwo Gajusza Mariusza nad Teutonami, zwłaszcza w bitwie pod Aquae Sextiae, było dla weteranów wojennym triumfem, jakiego historia Rzymu nie znała od czasów wojen Scypiona w Afryce.

Sulla zdał sobie sprawę, że walczy już nie z człowiekiem, nie z przywódcą wrogiego stronnictwa, lecz z mitem.

Spotkanie z trybunami nie szło po jego myśli.

Dolabella widział poważną minę swojego dowódcy; zrozumiał, że ten jest zaniepokojony, ale nie przyjmuje do wiadomości porażki.

– Chciałbym wam coś zaproponować – powiedział Sulla trybunom. – Zbierzcie wszystkich oficerów, centurionów, *optiones* i pozostałych w centrum obozu i tam, przed wami wszystkimi, posłańcy Zgromadzenia Ludowego wyjaśnią powody, dla których wyznaczono Mariusza dowódcą tej armii. Potem ja wyjaśnię racje Senatu, który wyznaczył na to samo stanowisko mnie. Po wysłuchaniu obu stron zdecydujecie.

Trybuni spojrzeli po sobie, wszyscy uznali to za dobry pomysł.

Zgodzili się.

Sulla i Dolabella zostali sami w *preatorium*, namiocie przeznaczonym dla dowódcy, chociaż jeszcze nie wiedzieli, czy mają do niego prawo.

– Widziałem miny oficerów, gdy posłańcy Zgromadzenia Ludowego powiedzieli im, że lud wybrał na dowódcę Mariusza – powiedział zdenerwowany Dolabella. – Nie wiem, w jaki sposób możesz ich skłonić do zaakceptowania mandatu Senatu. Nie przekonają ich kwestie prawne, to, że legiony mają walczyć poza Italią, a polityka zagraniczna należy do prerogatyw Senatu. Wojskowi nie znają się na tych sprawach.

Na stole pośrodku namiotu stały dzban wina i puchary.

Sulla był poważny, zamyślony, ale nalał wina i wręczył jeden z pucharów Dolabelli.

Wypili. Sulla do dna.

– Z całą pewnością legiony nie znają się na kwestiach politycznych. Wiem o tym. Za to rozumieją inne sprawy. – Uśmiechnął się enigmatycznie. – Szczególnie te nowe legiony zrekrutowane z łachmaniarzy i biedaków, jak to się robi od czasu, gdy sam Mariusz zreformował wojsko przed kampanią przeciwko Teutonom. Teraz każdy może zostać legionistą. Nie zapominaj, Dolabello, że właśnie z takimi ludźmi mamy do czynienia: z biedakami, z nikim ważnym.

Do namiotu wszedł jeden z trybunów.

– Wszyscy oficerowie będą niedługo gotowi, wezwaliśmy też posłańców Zgromadzenia.

Sulla skinął głową. Trybun pozdrowił go w wojskowy sposób i opuścił namiot.

– Ani ci żołnierze, ani popularzy nie zdają sobie sprawy, jaka jest stawka – powiedział dobitnie Sulla. Dolabella słuchał go bardzo uważnie. – Po pierwsze, Mitrydates. Król Pontu to nie jest zwykły wróg ani upadający przywódca. Jego państwo prowadzi ekspansję i sięga po wszystko. Ledwie przed kilkoma miesiącami porwał Ptolomeusza, który miał być jedenastym Ptolomeuszem rządzącym w Egipcie. Przetrzymuje go teraz w Poncie. Mitrydates chce decydować, kto stanie na czele Egiptu, ni mniej, ni więcej. Władza już całą Azją i zagraża naszym interesom, gdyż chce przekroczyć morze i udać się do Grecji. Ale to nie wszystko. Tego nie widzą popularzy. Może tylko Mariusz. Reszta myśli tylko o swoich rozgrywkach. Po drugie, od tego, kto zostanie wyznaczony dowódcą tej armii, zależy wygrana w Rzymie. Stoimy przed podwójnym wyzwaniem: najpierw wygrać Rzym, a potem w żadnym razie nie przegrać z Mitrydatesem. Taka jest stawka, mój przyjacielu.

Dolabella dokończył wino, słuchając wyjaśnień Sulli. Postawił puchar na stole i spojrzał senatorowi prosto w oczy.

– Ale wszystko zależy od tego, czy uda nam się przekonać trybunów i resztę oficerów do zaakceptowania ciebie jako jedyne dowódcy tego wojska – powiedział, nadal nie mając pojęcia, jak się to może Sulli udać.

– Zgadza się – odparł tamten i podszedł do wejścia do namiotu. – Chodź ze mną... i ucz się. Pokażę ci charakter ludzkiej natury.

Centrum obozu rzymskiego niedaleko Noli

Samnici, ostatni zbuntowani sprzymierzeńcy zebrani nieopodal Noli, nadal opierali się Rzymianom, ale okrutne oblężenie, jakiemu zostali poddani, sprawiło, że ich siły się wyczerpywały. Jediną nadzieję pokładali w wybuchu podziałów wśród Rzymian – konflikt między popularami a optymatami mógł przynieść ulgę w ich sytuacji. Albo ją rozwiązać, jeśli doszłoby do wybuchu wojny domowej.

Podobnie myślał Sulla, słuchając posłańców Zgromadzenia wyjaśniających oficerom legionów, dlaczego Mariusz powinien być ich najwyższym dowódcą. Nie powiedzieli niczego nowego: przypomnieli zwycięstwa Mariusza w Afryce i na północy, szczególnie podkreślając wielki sukces pod Aquae Sextiae, gdzie powstrzymał Teutonów zagrażających Rzymowi. Według nich tylko Mariusz był w stanie uwolnić Italię od rosnącego niebezpieczeństwa, jakie stanowił król Pontu, który nie przestawał poszerzać swoich dominiów nad Morzem Śródziemnym.

Gdy posłańcy Zgromadzenia skończyli mówić, trybuni spojrzeli na Sullę. Ten skinął głową i umiejscowił się na drewnianym podeście, który czasami służył za scenę.

Gdy tam stanął, wyprostował szyję – bolała go. Prawie nie wypoczął, odkąd w pośpiechu wyjechał z Rzymu. Właściwie nie zatrzymał się, dopóki tu nie dotarł. Kilka razy odchrząknął. Oczyszczył gardło, rozpoczął swoją mowę.

– Mariusz jest wielkim legatem, wyśmientym dowódcą wojska – zaczął ku zaskoczeniu Dolabelli stojącego w pierwszym szeregu trybunów oraz zdziwieniu oficerów spodziewających się zdecydowanego ataku na propozycję Zgromadzenia. – Przypomniano nam jego przeszłe czyny, jego zwycięstwa, kampanie. Co ja mam

wam powiedzieć? Że były to zwycięstwa łatwe, nieskomplikowane? Że Mariusz nie pobił naszych poważnych wrogów? Czyżbym był kłamcą? Nie, nie to chcę wam powiedzieć. Nie mam zamiaru sprzeczać się z prawdą, a zwłaszcza przed wami, od których zależy bezpieczeństwo Rzymu, szczególnie w takim momencie, przy jeszcze niezakończonym buncie Marsów i sprzymierzeńców – wszak mamy przed sobą oblężenie Samnitów – i kiedy na wschodzie rośnie nam kolejny potężny wróg: Mitrydates z Pontu, zagrażający już nie tylko Egiptowi, Azji czy Grecji, lecz nam samym tutaj, w Italii, jak powiedzieli posłańcy Zgromadzenia. Nie, to nie jest chwila na kłamstwa i fałszerstwa. To bardzo ważny moment w naszej historii. Musimy wybrać najlepszy sposób na pokonanie wroga, zanim urośnie on tak, że okaże się to niemożliwe.

Zamilkł na chwilę, żeby wyrównać oddech.

Wiedział, że słuchają go uważnie. Nie atakując Mariusza, zbił ich z tropu, i czuł, że są ciekawi, w którą stronę skieruje teraz swoją mowę.

Założył ręce na piersi.

– Wprawdzie Mariusz jest dobrym legatem – kontynuował – ale ja również wykazałem się zdolnościami dowódczymi, inteligencją i skutecznością, kierując kohortami i legionami w Afryce i na północy, gdy towarzyszyłem Mariuszowi w jego kampaniach. Nie muszę wam przypominać, że schwytanie króla Jugurty było w dużej mierze możliwe dzięki moim zasługom. Również podczas ostatnich walk ze zbuntowanymi *socii* wykazałem się wojennymi umiejętnościami.

Odetchnął.

Teraz musiał dokonać autokrytyki. Jeśli porównywał się z Mariuszem, nie mógł się bez tego obejść. Na tym polegał plan.

– Wiem, co sobie myślicie: że to, o czym wspomniałem, miało miejsce i mogę być dobrym dowódcą. Mimo to wszyscy jesteście przekonani, że Gajusz Mariusz jest ode mnie lepszy.

Umilkł. Spojrzał na swoją publiczność. Trybuni w pierwszym szeregu kiwali głowami.

– Mógłbym zaprotestować wobec tej myśli, mógłbym przytoczyć kontrargumenty – mówił dalej Sulla – ale szczerze mówiąc, nie widzę powodu, dla którego miałbym wchodzić w tego rodzaju debatę, ponieważ... i teraz dochodzimy do sedna... dziś nie chodzi o to, kto stanie na czele wojska, które pokona Mitrydatesa, lecz chodzi o wojsko, które pokona Mitrydatesa.

Widział, jak trybuni i centurioni spoglądają na siebie zbici z tropu.

– Oczywiście, na Jowisza. Posłańcy Zgromadzenia Ludowego powiedzieli wam, że musicie zaakceptować Mariusza na dowódcę wojska, które będzie walczyć z Mitrydatesem, ale nie powiedzieli, że to wy będziecie tym wojskiem. Chcą tylko, żebyście pozwolili Mariuszowi decydować o kampanii wojennej. Przysporzy ona wielkich łupów i ogromnych bogactw tym legionistom, którzy wezmą w niej udział. Będą to sumy znacznie przekraczające to, co udało się zdobyć podczas każdej z poprzednich kampanii, gdyż na wschodzie skarby, złoto i srebro występują w ilości nieskończenie większej niż w podbitych miastach w Afryce czy Galii Cisalpejskiej. W Azji, gdzie wiele miast przeszło już na stronę Mitrydatesa, albo w Grecji, gdzie ostatecznie przyjdzie nam się zmierzyć z królem Pontu, czekają nas znacznie większe, atrakcyjniejsze, bardziej pożądane łupy, Mariusz o tym wie. On chce zdobyć te skarby, ale moi przyjaciele – pozwólcie, że się będę tak do was zwracał, gdyż z niektórymi z was w ramię w ramię walczyłem w wojnie przeciwko zbuntowanym *socii*. A więc moi przyjaciele, powtarzam, Gajusz Mariusz nie chce wykorzystać waszych sił i doświadczenia, żeby ruszyć na wschód i pokonać Mitrydatesa.

Dał im kilka chwil, żeby przetrawili to, co usłyszeli. Po krótkiej przerwie przemówił znowu.

– Ja, moi przyjaciele, stoję tu przed wami z mandatem, jakim obdarzył mnie Senat, ale czyż nie zastanawia was, dlaczego nie ma tu z nami Mariusza, którego mianowało Zgromadzenie? Nie zastanawia was to?

Kolejna krótka przerwa.

Oficerowie zmarszczyli czoła. Cisza stała się gęsta, trybuni oddali się nieciekawym myślom. Wśród słuchaczy zapanował niepokój.

– Odpowiem wam na to pytanie, na Jowisza! Jestem tutaj, ponieważ w przeciwieństwie do Gajusza Mariusza nie mam przed wami nic do ukrycia. On tu nie przybył, ponieważ zbiera teraz swoich weteranów z Afryki i północy, żeby poprowadzić ich na wschód przeciwko Mitrydatesowi, a później rozdzielić pomiędzy nich olbrzymi łup. Dlatego nie ma dziś z nami Gajusza Mariusza!

Najpierw zobaczył zaskoczenie na twarzach wielu centurionów i trybunów, potem rozpały się one gniewem. Posłańcy Zgromadzenia mrugali oczami, byli zbici z tropu. Nic nie wiedzieli o tym, o czym mówił senator, ale rzeczywiście słyszeli, że Mariusz chce zebrać małą grupę weteranów w charakterze eskorty. A może naprawdę nie chodziło o kilku weteranów, lecz o całe dawne wojsko, jak powiedział właśnie Lucjusz Korneliusz Sulla?

Dolabella z podziwem spojrzał na swojego mentora. Sulla kłamał z niesamowitą łatwością. I nie tylko: wymyślał wyjątkowe, śmiałe historie...

Sulla obserwował, jak ziarno wątpliwości kielkuje w spojrzeniach posłańców Zgromadzenia Ludowego. Na zmarszczonych czołach trybunów i centurionów ujawniły się niedowierzanie i gniew. Chcieli, żeby łup ze wschodu trafił w ich ręce.

Wybrany przez optymatów dowódca patrzył na nich z poważną miną. Tę „kwestię” legioniści rzymscy doskonale rozumieli: pieniądze. Mariusz profesjonalizował wojsko walczące dla Rzymu, ale skutkiem ubocznym było to, że pieniądze stawały się dla żołnierzy coraz ważniejsze. Sulla zdał sobie z tego sprawę. Wcześniej niż sam Mariusz.

– Tak więc, moi przyjaciele, macie dwa wyjścia – powiedział. – Albo zaakceptujecie mnie jako waszego dowódcę, albo pozwolicie, żeby Mariusz zebrał swoich weteranów, powiedział wam parę słów, zlecając kontynuowanie oblężenia, a następnie wyruszył ze swoim wojskiem, nie z wami, zebrać ogromne bogactwa, jakie wedle prawa i decyzji Senatu należą się wam. Sami uznacie, co jest dla was lepsze. Ale muszę was ostrzec, zanim podejmiecie decyzję.

Teraz trybuni i centurioni wydali mu się dość przekonani do jego osoby jako dowódcy, ale chciał dodać coś jeszcze, żeby ta decyzja była nie do złamania, nieodwracalna.

– Muszę was ostrzec, na Herkulesa, że jeśli ruszymy stąd bezpośrednio na wschód, bardzo możliwe, że Mariusz i Cynna oraz trybun Sulpicjusz i reszta popularów w Rzymie tak zmienią prawa, że należący się na mocy prawa wojennego łup trafi nie do was, lecz do skarbcza Rzymu administrowanego przez nich i ich zwolenników. To znaczy skonfiskują bogactwa zdobyte waszym wojennym wysiłkiem. Jeśli naprawdę chcecie wyruszyć na wschód pod moimi rozkazami, pokonać Mitrydatesa i stać się bogaczami, zapewnić sobie wygodne życie, powinniście, powinniśmy wszyscy ruszyć najpierw...

Zamilkł. Odetchnął głęboko.

– Na Rzym! – powiedział.

Dolabella, który do tej pory słuchał Sulli z lekkim uśmiechem na twarzy, spoważniał i zastygł z na wpół otwartymi ustami. Nikt nigdy nie ruszył na Rzym na czele legionów. Ta sugestia była niesłychana, absurdalna, niemożliwa. A może nie?

Sulla dobrze wiedział, co właśnie zaproponował, ale miał świadomość, że potęgą pieniądza – a raczej pożądanie go przez tych, którym go brakowało – była tak wielka, że mogła doprowadzić do rzeczy nie do pomyślenia.

– Tylko jeśli najpierw pójdziemy na Rzym i zapewnimy sobie wyraźną przewagę Senatu nad Zgromadzeniem Ludowym – wyjaśnił – tylko w ten sposób zagwarantujemy sobie, że to Senat podejmie wszystkie decyzje, a nie Zgromadzenie. Tylko jeśli odbierzemy władzę w kwestii wyznaczania dowódcy rzymskich legionów, jaką trybuni ludowi w rodzaju Sulpicjusza sobie przywłaszczyli, tylko jeśli to uczynimy, będziemy mogli ruszyć na wschód i mieć pewność, że cały łup, jaki tam zdobędziemy, będzie naprawdę nasz. Tak więc wasze opcje wyglądają następująco: zaakceptować władzę skorumpowanego Zgromadzenia zdominowanego przez popularów i patrzeć, jak Mariusz i jego weterani przywłaszczają sobie bogactwa, albo zgodzić się na mnie jako dowódcę,

zaakceptować władzę Senatu i pójść najpierw na Rzym, żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości co do tego, że kampania na wschodzie wraz ze wszystkimi zdobytymi podczas niej bogactwami na mocy prawa przypadnie wam i tylko wam. Co wy na to, oficerowie legionów? Będziecie stać tu beczynnie, pilnować przekłętą oblężenia, którego końca nie widać, które niewiele lub zgoła nic nam nie daje, czy ruszycie ze mną na Rzym, żeby zaprowadzić porządek i umocnić władzę Senatu, zapewniając sobie kampanię na wschodzie? Co wolicie: beczynne przyglądanie się, jak rozwiewają się wasze marzenia, czy marsz na Rzym?

Sulla zakończył przemowę z uniesionymi rękami, czekając na odpowiedź trybunów i centurionów.

– Marsz na Rzym! – odpowiedział w końcu jeden z trybunów i zaraz potem dziesiątki, setki oficerów krzychało jednocześnie raz za razem: – Marsz na Rzym! Marsz na Rzym! Marsz na Rzym!

Sulla zszedł z podestu. Natychmiast zbliżył się do niego Dolabella.

– Nie możesz zaatakować Rzymu – powiedział, nadal kompletnie zadziwiony rozwojem wypadków.

– Nie zaatakuję Rzymu – sprzeciwił się Sulla i na widok niedowierzania malującego się na twarzy Dolabelli od razu wyjaśnił, co ma na myśli. – Rzym jest mój.

ROZDZIAŁ XXX

Nauki Kornelii

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

88 r. p.n.e.

Matka Cezara zaprosiła Kornelię, żeby spędziła z nią przedpołudnie. Ojciec dziewczyny nie pozwalał jej nigdy wychodzić z domu, nawet na zakupy na Forum Boarium w towarzystwie niewolników – tym razem jednak zrobił wyjątek.

– Nie przynieś mi wstydu – powiedział. – Nie mów dużo i bądź skromna.

Cynna nie był zaskoczony, że matka młodego Cezara chce lepiej poznać dziewczynę, z którą ma się ożenić jej jedyny syn. Nie przywiązywał wagi do tych uczuć, w których w jego mniemaniu lubowały się kobiety, bo związek został już przypieczętowany. Dopóki nic nie zmieniano w pakcie małżeńskim, relacje między członkami obu rodzin były mu obojętne.

Kornelia zabrała ze sobą papirus z dziełem Plauta, który dostała od Cezara, i pod nadzorem grupy niewolników udała się do rezydencji w dzielnicy Subura.

– Przeczytałaś? – spytała Aurelia, gdy dziewczyna wręczyła jej zwój z *Oślą komedią*.

– Tak – odparła krótko Kornelia, stosując się do rady ojca.

– Podobało ci się? – dopytywała gospodyni, gestem zapraszając dziewczynę, żeby usiadła na *solium* w głównym atrium. Puste kline wskazywały, że jeszcze nie nadeszła pora na posiłek.

Kornelia nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Spodobała ci się ta sztuka?

– Wydała mi się zabawna.

– Bo taka jest. Jej bohater wydaje się idiotą. Myślisz, że mężczyźni są idiotami?

Kornelia otworzyła usta.

Nie odpowiedziała.

Aurelia postanowiła rozluźnić nieco tę rozmowę. Dziewczyna nie skończyła jeszcze dziewięciu lat, w dodatku prawie nie opuszczała ojcowskiego domu.

– Jak myślisz, dlaczego cię tutaj zaprosiłam?

– Nie wiem – skłamała Kornelia.

– Sądzę, że wiesz. Kłamstwo nie jest najlepszym początkiem relacji, nie uważasz?

Kornelia była przekonana, że Aurelia chce ją wypytać o to, co dziewczyna myśli o jej synu, ale wypowiedzenie tego na głos oznaczałoby ujawnienie faktu, że młodzi wiedzą o pakcie małżeńskim, a więc że podsłuchiwali zza kotary w *tablinum*. Biła się teraz z myślami. Skłamała, żeby ukryć to, że zrobili coś niewłaściwego. Ujawnienie tego faktu byłoby przyznaniem się przed przyszłą teściową, że ją podsłuchiwała, nawet jeśli miało to miejsce za wiedzą jej syna. A nawet gorzej: jeśli o tym powie, okaże matce Cezara, że bez problemu może zawieść zaufanie przyszłego męża.

Kornelia była zrozpaczona. Czy miała udawać, że ojciec powiedział jej o pakcie? Ale przecież wszyscy wiedzieli, że on prawie z nią nie rozmawia...

– Wiem, że jesteś świadoma ustaleń o waszym małżeństwie – powiedziała Aurelia. – Cezar podsłuchuje rozmowy w *tablinum*, odkąd był dzieckiem. Myślę, że od chwili, w której nauczył się chodzić. Wydaje mu się, że nie mam o tym pojęcia, ale się myli. Nie o tym mówimy, dziewczyno. Spytałam cię, czy wiesz, dlaczego cię tu zaprosiłam.

Kornelia przełknęła ślinę. Wobec tego przesłuchania trudno jej będzie spełnić ojcowski nakaz, żeby mało się odzywać.

– Żebyśmy porozmawiały o Cezarze, pani synu.

– Co za głupota, na bogów – odparła nieco rozczarowana *domina*. – Jaki ma sens, żebym rozmawiała o kimś, o kim wiem wszystko. Nie, nie chciałam rozmawiać o moim synu. Zaprosiłam cię, żeby porozmawiać o tobie.

– O mnie? – Kornelia nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. – Moja osoba nie ma znaczenia.

– Dla twojego ojca bez wątpienia jesteś tylko środkiem prowadzącym do związku z moim synem, bratankiem Gajusza Mariusza, najważniejszego przywódcy popularów. Widzę, że Cynna nie zwraca na ciebie uwagi. Ale ja taka nie jestem. Opowiedz mi o sobie, zdradź mi, co lubisz robić.

Kornelia spuściła wzrok, była zmieszana. Nie wiedziała, od czego zacząć.

– Lubię szyć i uczyć się tego, jak prowadzić dom, i tkać...

– Nie mów mi o rzeczach, o których sądzisz, że się od ciebie oczekuje – przerwała jej Aurelia. – Powiedz mi, co naprawdę lubisz robić.

Kornelia podniosła wzrok i zacisnęła usta.

– Naprawdę lubię tkać, miło spędzać czas przy krośnie. Jak odzywać się od niewolników, co jest potrzebne przy prowadzeniu domu – te rzeczy w ogóle mi się nie podobają. Często nie wiem, jak się wtedy zachować. Myślę, że się tego nauczę. Ale najbardziej lubię czytać.

– Co?

– Wszystko. W moim domu nie ma dużo papirusów. Nie tak jak tutaj. – Spojrzała w stronę *tablinum*, ale zaraz przypomniała sobie, że stamtąd po kryjomu podsłuchiwała panią domu. Poczerwieniała i ze wstydu ponownie spuściła wzrok.

– Mogę pożyczyć ci inne dzieła Plauta. Czytasz też po grecku?

Kornelia westchnęła. Znowu to pytanie.

– Nie. Ojciec nie widzi potrzeby uczenia mnie innych rzeczy niż te, które będą mi potrzebne.

– Oczywiście.

Krótkie milczenie.

– Chciałabyś nauczyć się greki i poznać różne historie, takie jak dzieje Talestris, królowej Amazonek, czy Heleny i wojny trojańskiej? Znasz którąś z nich?

– Nie, nie znam. I bardzo chciałabym móc je przeczytać, ale ojciec...

– Wyświadcz mi tę przysługę i nie wspominaj więcej o ojcu. Rozmawiasz ze mną, z Aurelią.

Kornelia nic nie powiedziała, tylko kilkakrotnie skinęła głową.

– Chcesz, żebym nauczyła cię greki?

Dziewczyna poczuła, jak do oczu napływają jej łzy.

– Tak, bardzo, pani.

Wtedy do domu weszli Cezar i Labienus, kierując się prosto do atrium, gdzie natknęli się na Kornelię i Aurelię.

– Sulla maszeruje na Rzym! – ogłosił Cezar. – Prowadzi sześć legionów z Noli. Aurelia spojrzała na niego zaskoczona.

– Jesteś pewien, synu? To niemożliwe. Żaden senator nie skierowałby legionów przeciwko Rzymowi.

W tym momencie do domu wszedł również ojciec Cezara, który wrócił z forum.

– Doszło do tego, co niemożliwe – potwierdził wiadomość. – Na forum mówi się tylko o tym.

Był spocony. Pewnie przebiegł całą drogę z centrum miasta, żeby przynieść informacje.

– Wody! – krzyknęła władczo Aurelia i spojrzała na niewolnika *atriense*. Ten natychmiast ruszył spełnić żądanie, a ona zwróciła się do Kornelii:

– Tak się do nich mówi.

Dziewczynka ponownie skinęła głową. Szybko, bez otwierania ust.

– Nie prowadzi całych sześciu legionów – mówił dalej Cezar ojciec. – Chyba zostawił spory kontyngent, żeby kontynuował oblężenie Samnitów w Noli, ale i tak ma dużo wojska. Nikt i nic mu się nie przeciwstawi. Rozmawiałem z Mariuszem i Cynną. Mariusz musi znów udać się na wygnanie. Nie ma w mieście odpowiedniej liczby weteranów, żeby stawić czoło wojsku, które prowadzi Sulla. Nie może wyperswadować tym żołnierzom, żeby zrejterowali, bo jak się zdaje, Sulla obiecał im cały łup z wojny przeciwko Mitrydatesowi. Nie mamy lepszych

warunków do zaoferowania. Trudno to przyznać, ale Sulla jest bardzo sprytny i zdobył pełne zaufanie legionów. Mariusz wyjedzie, jak zrobił to w czasach kryzysu po śmierci Saturninusa i Glaucji w wyniku tamtego przeklętego *senatus consultum ultimum*. Schroni się w Afryce. Cynna... – spojrzał na Kornelię; co to dziecko robi w jego domu? – Cynna zostanie w Rzymie. Dla Sulli nie jest tak wielkim wrogiem jak Mariusz. Cynna zapewnił mnie, że doprowadzi do porozumienia, żeby uniknąć rozlewu krwi w mieście. Ale wszystko to nie będzie łatwe.

Przyniesiono mu wodę.

Napił się.

Usiadł na *solium*.

– Zdecydowanie niełatwe – powtórzył.

Domus Lucjusza Korneliusza Cynny

Tej samej nocy

Kornelia wróciła do ojcowskiego domu. Tak jak się spodziewała po tym wszystkim, co usłyszała w rezydencji Juliuszów, Cynna był niespokojny.

– Co zrobisz, ojczy? – spytał go syn.

Cynna nieodmiennie milczał.

Kornelia spoglądała na tę scenę, również się nie odzywając. Gdy ojciec znajdował się w takim stanie, lepiej było nic nie mówić, nic nie robić, żeby nie paść ofiarą jego choleryczności.

– Poczekamy – powiedział w końcu *pater familias*. – Przyjmiemy wszystkie warunki, jakie zechce postawić Sulla, ale wcześniej czy później będzie musiał opuścić Rzym ze swoim wojskiem, żeby stanąć do walki z Mitrydatesem. Wtedy zaczniemy działać. To będzie nasza chwila. Tymczasem dobrze się przygotujemy.

Syn przyjął wyjaśnienia ojca, ale Kornelia nie była w pełni usatysfakcjonowana. Gdyby jej matka była bardziej zdecydowaną kobietą, taką jak Aurelia, sama spytałaby o to męża, ale Annia zachowywała się powściągliwie –

częściowo z powodu otrzymanego wychowania, częściowo dlatego, że Cynna nie był tak tolerancyjny jak Cezar ojciec – i nigdy o nic nie dopytywała.

Ku zaskoczeniu wszystkich Kornelia odważyła się odezwać.

– Na co się przygotowujemy, ojczy?

Cynna spojrział na nią z niechęcią. Co tu wyjaśniać?

– Na jego powrót, bo Sulla teraz przejmie władzę, potem wyjedzie, ale wróci – odparł z pogardą w głosie. – Nic nie rozumiesz, bo jesteś kobietą.

Kornelia zamilkła i spuściła wzrok. Prawdę mówiąc, czuła się swobodniej i bardziej doceniana w domu rodziny Juliuszów niż we własnym. Nie nienawidziła ojca, ale nie była pewna, czy go kocha. A jej matka pogrążona była w milczeniu.

ROZDZIAŁ XXXI

Religia Sulli

Rzym

87 r. p.n.e.

Tak jak zapowiedział Cezar ojciec, trudno było przeciwstawić się Sulli i jego legionom. Wykorzystując zaskoczenie i powszechne przerażenie, senator opanował miasto i podporządkował sobie wszystkie jego instytucje. Senat już wcześniej był we władzy optymatów, tak więc teraz Sulla skupił się na Zgromadzeniu Ludowym.

Trybun Sulpicjusz nie tylko doprowadził do wyznaczenia Mariusza na dowódcę wojska, lecz również wprowadził prawo, które przyznawało obywatelstwo rzymskie większej liczbie *socii*, mimo że niedawno zakończyła się wojna z wieloma ze sprzymierzeńców, a w przypadku Samnitów z Noli nadal trwała. Rozszerzenie obywatelstwa rzymskiego na te ludy było konieczne, żeby zmienić cenzus Zgromadzenia: to dzięki sprzymierzeńcom jako nowym głosującym zapewniono Mariuszowi dowództwo.

Sulla sumiennie zajął się uchylaniem tych zmian: cofnął wszystkie reformy, nowy cenzus, poszerzenie obywatelstwa rzymskiego. Ponadto nakazał schwytanie Gajusza Mariusza i Sulpicjusza Rufusa. Mariuszowi z pomocą weteranów udało się zbiec – zaokrętował się na statek i ruszył do Afryki. Ale Sulpicjusz nie miał takich możliwości. Jeszcze przed przybyciem Sulli do Rzymu Senat wydał *justitium*, w którym odbierano mu funkcję trybuna ludowego. Ponieważ Mariusz i jego weterani nadal znajdowali się w mieście, kuria ostatecznie musiała anulować tę decyzję. Po ucieczce Mariusza i wkroczeniu legionów Sulli Sulpicjusz również starał się umknąć.

Zatrzymali go w Laurentum, zaledwie kilka mil od Rzymu.

Tam też go stracili.

Sulla spacerował po forum na oczach senatorów i ludu. Był pewien swego, spokojny, wręcz wesoły. Patrzył na wbitą na pal głowę Sulpicjusza, nadal jeszcze krwawiącą. Ostrzeżenie dla reszty popularów. Szkoda, że Mariusz mu się wymknął.

– Atakujemy resztę? – spytał Dolabella. Myślał o Cynnie i innych przywódcach stronnictwa popularów, którzy nadal pozostawali w mieście.

Sulla dobrze się zastanowił.

– Nie – powiedział wyraźnie. – Będziemy negocjować. Nasze prawa w zamian za ich życie.

– Dlaczego nie wprowadzimy naszych praw i nie wykończymy tamtych? – dopytywał Dolabella.

Rozmowa na forum, na którym tkwiła głowa Sulpicjusza, zdawała się dodawać mu tyle animuszu, że był gotów rozpocząć totalne represje wobec popularów. Poza tym lubował się w cudzym cierpieniu. Po prostu mu się ono podobało.

– Czystka na wielką skalę wymagałaby wielomiesięcznej obecności wojska w Rzymie, a mamy dwa problemy, które nie pozwalają zatrzymać legionów w mieście.

– Dwa? Na Herkulesa! Co to za problemy? – Dolabella nie rozumiał, dlaczego mieliby nie wykorzystać swojej przewagi i kontroli nad wszystkimi instytucjami do ostatecznego zmiecienia opozycji. Zmiecienia w sensie totalnego zniszczenia. Masakry.

Sulla westchnął. Przejechał ręką po ustach i wyjaśnił, dlaczego nie chce dopuścić do rzeźni.

– Obiecałem tym legionom ładne zdobycze, pieniądze, a w Rzymie nie ma tyle złota i srebra, żeby zaspokoić ich żądania. Musielibyśmy złupić świątynie albo opróżnić skarbiec państwowy. Po drugie, Mitrydates nadal nam zagraża. Z obu powodów muszę wyruszyć z legionami na wschód. A bez wojska nie utrzymamy władzy w mieście. Przynajmniej na razie. Dlatego dogadamy się z Cynną. Wobec nieobecności Mariusza to on jest głosem popularów w Rzymie.

– Dlatego go nie zabiłeś – powiedział oświecony nagle Dolabella.

– Zgadza się – potwierdził Sulla. – Potrzebny mi jest przywódca popularów, który zapanuje nad swoimi stronnikami. Dogadam się z nim, żeby przyjął cofnięcie reform Sulpicjusza, który nam tu towarzyszy. – Odwrócił się w stronę posępnego pała i pozwolił sobie na złośliwy uśmiech. – Myślę, że głowa trybuna ludowego będzie świetnym przypomnieniem tego, co czeka wszystkich, którzy będą próbowali manipulować cenzusem wyborczym. Teraz nam on sprzyja, bo anulowaliśmy obywatelstwo przyznane przez Zgromadzenie Ludowe naszym wrogom. Zaproponuję Cynnie konsulat. To ambitny człowiek, więc przyjmie propozycję. A potem ty i ja wyruszymy przeciwko Mitrydatesowi.

Sulla założył ręce na piersi i kontynuował przechadzkę wokół pała, z którego nadal kapła krew.

Zaczynało mu się to wszystko podobać. Wiedział, że w tej samej chwili wiele osób w Rzymie ze strachu przed wojną domową modli się do bogów, składa ofiary i błaga o łaski bóstw. Ale jego religia była inna. On sam był w niej bogiem, panteonem były jego życzenia, a kapłanami – legiony. Nowa religia dla nowego świata: jego świata.

ROZDZIAŁ XXXII

Cinnamum Tempus *

Rzym

87 r. p.n.e.

Podczas nieobecności Sulli sprawy w Rzymie miały się tak, jak zaplanował. Ale tylko na początku.

Cynna został konsulem jako przedstawiciel stronnictwa popularów, a drugim Gnejusz Oktawiusz ** – reprezentował optymatów. Tutaj plan Sulli zaczął się łamać. Cynna wrócił do projektu straconego Sulpicjusza Rufusa w kwestii poszerzenia cenzusu wyborczego o obywateli należących do sprzymierzeńców. Oktawiusz próbował negocjować z Cynną, ale ten domagał się włączenia do cenzusu trzydziestu pięciu nowych *tribus*. Konserwatyści nie mogli się na to zgodzić. Wobec tego Senat, który niezmiennie kontrolowali optymaci, usunął Cynnę ze stanowiska konsula, wydał nakaz jego wygnania z Rzymu i w jego miejsce powołał Korneliusza Merulę.

Cynna opuścił miasto wraz z rodziną, także z Kornelią. Ale Senat źle to wszystko skalkulował. Sulla ostrzegał ich wcześniej: „Bez moich legionów nie wdawajcie się w konflikt z Cynną. Nawet jeśli złamie umowę, nie atakujcie go. Czekać na mnie”. Zignorowali tę radę. Cynna świetnie sobie radził w sytuacji otwartego konfliktu: wyzwolił niewolników i zrekrutował sprzymierzeńców, którzy pragnęli zemsty za porażkę wojenną z lat poprzednich. Z tym wojskiem ruszył na Rzym, tak jak kilka lat wcześniej zrobił to Sulla. Nieliczne wierne optymatom oddziały pod dowództwem Gnejusza Oktawiusza nie stanowiły siły zdolnej do obrony, bo miały nikłe doświadczenie w walce. Wobec tego trybuni wymogli na Metellusie Piusie, najbardziej doświadczonym z nich, żeby przejął kierowanie

obroną miasta. Jąkała, widząc jednak, że armia Cynny jest liczniejsza, uciekł z miasta, tak jak Mariusz, kiedy na Rzym maszerował Sulla.

Większa część wojska Gnejusza Oktawiusza zdezerterowała. On sam schronił się na położonym na wschód od Tybru, już poza miejskimi murami wzgórzu Janikulum poświęconym bogu Janusowi.

Cynna ponownie opanował Rzym. Popularzy kontrolowali teraz stolicę Republiki, podczas gdy Sulla rozpoczął wojnę z Mitrydatesem w Grecji.

Gnejusz Oktawiusz trafił do więzienia, a potem został stracony. Jego głowę wbito na pal tak samo jak stało się wcześniej z Sulpicjuszem: optymacki konsul za trybuna ludowego popularów. Cynna uznał to za sprawiedliwe. Wielu popularów się z nim zgadzało, ale nie wszyscy – niektórzy twierdzili, że trzeba doprowadzić do ugody z optymatami, inaczej przelew krwi nigdy się nie zakończy. Wtedy Cynna postanowił wezwać Gajusza Mariusza i jego syna, żeby obecność dawnego dowódcy wzmocniła jego przywództwo w stronnictwie popularów. Mariusz zgodził się wrócić do Rzymu: opuścił Afrykę i wkroczył do miasta nad Tybrem w otoczeniu małej armii weteranów, którzy dołączyli do niego na południu Italii. Wówczas ponownie spotkał się z Cynną w domu rodziny Juliuszów, żeby zreorganizować rządy w Republice i stawić czoło nieobecnemu nadal Sulli.

Domus rodziny Juliuszów

Tamtej nocy

Kornelia i młody Cezar znów siedzieli razem w tylnym atrium rezydencji rodziny Juliuszów w rzymskiej dzielnicy Subura.

– Wszystko u ciebie w porządku? – spytał chłopak. – Zmartwiłem się, gdy usłyszałem, że ojciec cię ze sobą zabrał, kiedy Senat wygnał go z miasta.

– Wszystko w porządku – odparła, wzruszona myślą, że się o nią niepokoił. – Ojciec nie chciał ryzykować, że mój brat i ja zostaniemy zakładnikami.

– Dbaj o siebie i twoje bezpieczeństwo.

Kornelia spuściła wzrok i pokręciła głową.

– Nie, mój ojciec dba tylko o siebie. – Podniosła oczy na Cezara. – Jestem dla niego ważna tylko dlatego, że za moją sprawą nasza rodzina połączy się z twoją, spowinowaconą z Mariuszem. Tylko to go we mnie interesuje.

Młody Cezar nic na to nie powiedział.

– Już mi nie przeszkadza brak czułości z jego strony – kontynuowała Kornelia. – Przyzwyczaiałam się. Wiedziałam też, że użyje mnie, aby połączyć się z kimś, z kim będzie miał wspólny interes polityczny. Cieszę się bardzo, że przeznaczenie połączyło mnie z tobą. Ty dobrze mnie traktujesz. I twoi rodzice, a zwłaszcza matka.

– Uczy cię greki, wspominała mi o tym.

– Tak. Jestem jej bardzo wdzięczna. Wiem, że robi to z twojego powodu i dla ciebie. Chce, żebym była żoną, na jaką zasługujesz. Wprawdzie ona tak nie mówi, ale wiem, że o to jej chodzi.

– To możliwe – przyznał Cezar – ale gwarantuję ci, że gdybyś nie wydała jej się miłą, nie robiłaby tego.

– Czego?

– Nie uczyłaby cię greki – uściślił. – W ostatnich latach matka ciągle powtarza, że jest już za stara, żeby znosić w swoim otoczeniu głupców. Gdyby nie uznała cię za osobę inteligentną, nie siedziałaby z tobą nad greką. Poza tym mówi, że szybko się uczysz.

– Twoja matka jest naprawdę inteligentna – powiedziała Kornelia, zaskoczona tym, jak łatwo rozmawia jej się z Cezarem. Wychowanie u boku dwóch sióstr sprawiło, że był przyzwyczajony do rozmów z dziewczynkami, sam jej to powiedział przed wieloma miesiącami. – Twoja matka udaje, że tak nie jest, ale śledzi uważnie wszystko, co się dzieje. I... – zamilkła.

– I co?

Kornelia nie odważyła się powiedzieć tego na głos, jedynie wyszeptała:

– I ma własne zdanie na każdy temat. Również o polityce.

Cezar wybuchnął śmiechem, do którego dołączyła. Podobało jej się, że jest przy niej taki swobodny.

– To prawda – potwierdził, gdy przestali się śmiać. – Moja matka ma własne zdanie.

Zamilkli.

Cezar chciał ją spytać, co czyta, ale inna kwestia w tej chwili interesowała go bardziej.

– Pójdziemy posłuchać? – zaproponował, patrząc w stronę *tablinum*.

Ona znów czuła potrzebę zniżyć głos do szeptu:

– Twoja matka wie, że podsłuchujesz... że podsłuchujemy.

– Tak przypuszczałem – odparł Cezar, nie okazując zaskoczenia. – Ale czy powiedziała ci, żebyśmy więcej tego nie robili?

Kornelia zmarszczyła czoło.

– Nie, tego nie mówiła.

Podał jej rękę.

Ona ją chwyciła.

– Więc chodźmy.

Tak samo jak przed paroma miesiącami poprowadził ją długim korytarzem do *tablinum*, z którego można było przejść do głównego atrium, gdzie właśnie spotkali się Cynna, jego syn, Gajusz Mariusz i jego potomek, Sertoriusz, Cezar ojciec oraz Aurelia.

Główne atrium rezydencji rodziny Juliuszów

Cynna i Mariusz krzyczeli, brutalnie przerywali sobie nawzajem.

Ich synowie się nie odzywali, obaj mieli poważne miny. Nigdy nie widzieli tak zażarcie kłócących się ojców.

Z kolei Cezar starał się ich uspokoić.

– Obaj macie rację – powtarzał. – Na bogów, obaj uczyniliście to, co uznaliście za najlepsze, żeby doprowadzić do zmian w Republice i je utrwalić, ale musicie

stąd wyjść z jakąś ugodą. Dobrze wiecie, że Sulla wróci i albo będziemy trzymać się razem, albo nasze spory okażą się jego najlepszym sprzymierzeńcem w walce o powrót do władzy absolutnej.

Mariusz i Cynna się uciszeli.

Niezwykle poważna Aurelia zachowała milczenie. Od czasu do czasu spoglądała na kotarę, za którą mieściło się *tablinum*.

– Stracenie Gnejusza Oktawiusza było błędem – upierał się Mariusz. – Krew znów zażąda krwi.

– Optymaci słuchają jedynie tego, kto ma siłę i potrafi ich przestraszyć – kontrargumentował Cynna. – To jest język, jakim się posługują. Wykorzystali go przeciwko Grakchom, przeciwko Saturninusowi i Druzusowi, a nie tak dawno przeciwko Sulpicjuszowi.

– To ich język, ale Sulli nie przerazisz kolejnym ścięciem głowy, on jest silny i to bardzo – sprzeciwił się Mariusz.

– Wszystko zależy od tego, jak mu pójdzie na wojnie z Mitrydatesem – podkreślił Cynna. – Być może król Pontu wykona za nas brudną robotę i go wykończy. Tymczasem Metellus umknął, a ty mogłeś wrócić właśnie dzięki temu, co uczyniłem.

Mariusz westchnął.

– To prawda. Kluczem jest to, jak zakończy się kampania przeciwko Mitrydatesowi – przyznał pojednawczym tonem.

– O bogowie! – uradował się Cezar ojciec. – Wreszcie jakiś punkt wspólny. Wina! – krzyknął w stronę niewolnika *atriense*.

Ten udał się po wszystko, co potrzebne.

Postawiono puchary.

Wypito.

Napój Bachusa rozluźnił nieco atmosferę.

– Co się stało, już się nie odstanie – powiedział Mariusz. – Sugeruję jednak dwie rzeczy.

– Słucham – odparł Cynna.

– Musimy opanować niewolników, których wyzwoliłeś i uzbroiłeś, żeby zdobyć kontrolę nad Rzymem. Sieją terror na ulicach. Nie będę roztrząsał, czy ich użycie i ten terror były konieczne do zastraszenia optymatów i ich najemników, ale pod naszą władzą Rzym ma oznaczać porządek. Moi weterani są spokojniejsi i to oni zapewnią kontrolę nad miastem bez potrzeby użycia niepohamowanej przemocy.

– Mogę nakazać, aby część niewolników wycofano z ulic – zgodził się Cynna.

– Co jeszcze sugerujesz?

– Jeśli chcemy zapewnić sobie bezwarunkowe poparcie ludu, musimy wprowadzić reformy prawne, których nasze stronnictwo zawsze broniło. Chodzi mi nie tylko o poszerzenie cenzusu za sprawą przyznania obywatelstwa sprzymierzeńcom, ale także o rozdanie ziemi i zboża.

Zapadła gęsta cisza.

– Dobrze – powiedział Cynna, choć niezbyt głośno.

– A więc zgadzamy się w tej sprawie? – nalegał Mariusz, który chciał usłyszeć wyraźną deklarację.

– Zgadzamy się – odparł nieco pewniejszym tonem.

– Niech tak będzie.

– Świetnie! – Cezar ojciec ponownie okazał radość i zwrócił się do niewolników, żeby przynieśli jedzenie.

Aurelia podniosła się i po raz pierwszy przemówiła donośnym głosem.

– Pójdę po Gajusza i Kornelię, żeby do nas dołączyli.

Cezar ojciec i Cynna skinęli głowami. Matrona wyszła powoli z atrium. Musiała dać czas dzieciom, by opuściwszy *tablinum*, zdążyły dotrzeć do tylnego atrium, gdzie miała je spotkać.

Wykorzystując hałas czyniony przez niewolników przygotowujących posiłek oraz szum rozmów na temat delikatesów, jakie miał zaserwować im Cezar ojciec, Mariusz szeptem zwrócił się do Sertoriusza stojącego u jego boku:

– Niech weterani przejmą kontrolę nad ulicami. Jeśli trzeba będzie zabić tych przeklętych wyzwolenców Cynny, niech to zrobią.

Sertoriusz tylko skinął głową.

– Dobrze. – Mariusz wyciągnął rękę z pustym pucharem, czekając, żeby mu go napełniono.

Można było odnieść wrażenie, że wszystko już omówiono i postanowiono, niemniej pozostała jeszcze jedna kwestia, która od zawsze zajmowała Mariusza: bezpieczeństwo bratanka. Jego syn był dojrzałym mężem i w razie potrzeby mógł dowodzić legionami. Ale Cezar był na to jeszcze za młody, dlatego wuj i ojciec chłopaka omówili strategię, która miała zapewnić mu bezpieczeństwo, gdyby Sulla powrócił do władzy.

– Jest też jeszcze pewna sprawa, którą chciałbym z tobą ustalić – powiedział Mariusz do Cynny.

W tej chwili młody Cezar i Kornelia weszli do pomieszczenia i rozsiedli się na kline wskazanych im przez Aurelię.

– Co to takiego?

– Chodzi o stanowisko *flamen Dialis*, głównego kapłana Jowisza. Nadal jest nieobsadzone.

To nikogo nie dziwiło: najbardziej prestiżowa funkcja kapłańska w Rzymie podlegała różnego rodzaju ograniczeniom, które szczerze mówiąc, były po prostu niewygodne, jeśli nie w ogóle niemożliwe do spełnienia. *Flamen Dialis* nie mógł spędzić więcej niż jednej nocy poza Rzymem, tak naprawdę musiał często sypiać we własnym łóżku, oddalając się najwyżej na trzy dni, nie mógł także rozbierać się w miejscu publicznym, co uniemożliwiało mu korzystanie z łaźni będących ulubionym miejscem wszystkich Rzymian, nie mógł też nosić pełnych pierścionków ani dotykać różnych powszednich przedmiotów, na przykład bluszczu i winorośli, które rosły w wilgotnym mieście, zakazywano mu jeździć konno, oglądać broń i manewry wojskowe, a także nakładano na niego wiele innych restrykcji. Tak więc nieliczni aspirowali do tego rodzaju funkcji, mimo że

niosła ona ze sobą również znaczące przywileje, w tym prawo do uczestniczenia w zebraniach Senatu, zasiadanie w *sella curulis*, która dawniej zarezerwowana była dla królów rzymskich, a teraz dla konsulów, oraz prawo do eskorty liktora.

– O co chodzi? – spytał Cynna. – To stanowisko jest wolne.

– Wzmacniając nasz sojusz, chciałbym, żeby powołano na nie mojego bratanka Gajusza Juliusza Cezara – powiedział Mariusz.

Nie proponował własnego syna, bo ten był mu potrzebny na czele weteranów z Afryki, a Cezar mu się w tej roli jeszcze nie przyda.

Cynna pił wino i zastanawiał się nad propozycją.

Cezar ojciec wyczekiwał jego odpowiedzi, tak samo Aurelia.

Młody Cezar był bardzo zaskoczony. Zakrztusił się i zaczął kaszleć, ale natychmiast poskromił spazmy, wypijając szklankę wody. Nikt go nie uprzedził. Podobnie jak wtedy, gdy ustalono, że ożeni się z Kornelią. Znane mu ograniczenia w funkcjonowaniu *flamen Dialis* przyprawiały go o zawrót głowy, ale milczał, tak jak od niego oczekiwano.

Kornelia na moment położyła mu dłoń na ramieniu – to dla rzymskiej kobiety uczestniczącej w przyjęciu rzadki gest.

Cynna skończył pić. W końcu Cezar miał zostać jego zięciem.

– Tylko żonaty człowiek może zostać wybrany na to stanowisko – zauważył, jakby to był problem. – Naginamy wiele praw, ale zmienianie tych odnoszących się do bogów nie przysporzy nam popularności.

– Nie mówię, żeby powoływać go już teraz – powiedział Mariusz. – Niech mój bratanek poślubi twoją córkę, gdy ta stanie się kobietą, i wtedy zostanie mianowany *flamen Dialis*.

Cynna dostrzegł w tym gwarancję małżeństwa.

– Niech tak będzie. – Podniósł puchar w geście toastu, świętując następny punkt, w którym zgadzał się z Mariuszem.

Niewolnicy roznieśli liczne tace z apetycznym jedzeniem.

Młody Cezar nic nie jadł.

- Wszystko w porządku? – spytała go cicho Kornelia.
 - Powiedzmy, że nagle straciłem apetyt – odparł.
-

* Epoka Cynny. Tak nazywano w Rzymie okres, w którym absolutną władzę sprawował w nim ten przywódca popularów. Inni autorzy używają też nazwy *Cinnae dominatio*.

** Nie ma nic wspólnego z Oktawianem Augustem, pierwszym cesarzem Rzymu, którego wówczas jeszcze nie było na świecie.

ROZDZIAŁ XXXIII

Świątynie Grecji

Delfy, Grecja

87 r. p.n.e.

Sulla wkroczył do Grecji od strony Epiru i gdy dotarł w okolice słynnej wyroczni w Delfach, nakazał legionom zboczyć z drogi prowadzącej ku wojskom Mitrydatesa.

– Chcę zapytać o coś pytię – wyjaśnił opóźnienie w wydaniu bitwy wrogowi.

Nagły atak religijności dowódcy zdziwił Dolabellę, gdyż spowolnienie marszu armii mogło dać Mitrydatesowi czas na reorganizację i wzmocnienie pozycji w Grecji. Uznał jednak, że nie ma co dyskutować z rozkazem i przekazał go trybunom.

Od pewnego czasu Delfy chyliły się ku upadkowi, ale wyrocznię nadal odwiedzało wielu pielgrzymów, nie tylko z całej Grecji, lecz również z tak odległych miejsc jak Azja czy Galia. Tłoczyli się w okolicach świątyni, w której mieszkały i wieszczły trzy pytie.

Zeszli z gór w stronę świętego miejsca. Pielgrzymi ustępowali z drogi Sulli, któremu towarzyszył Dolabella i kilka centurii dobrze uzbrojonych legionistów. Sulla miał już za sobą splądrowanie Olimpii i wielu pielgrzymów obawiało się, że rzymski prokonsul mógłby popełnić inny niegodny czyn, ale właściwie nikt nie spodziewał się, że do tego rzeczywiście dojdzie. Delfy były najświętszym miejscem w regionie i chociaż przez wiele wieków okresy świetności przeplatały się z momentami dekadencji, w jakiej świątynia pogrążona była obecnie, nigdy nie ucierpiały z powodu otwartej grabieży. Nikt się na to nie odważył – obawiając się zemsty Apolla, któremu od dziesiątków lat to miejsce było poświęcone. Wręcz

odwrotnie: od niepamiętnych czasów władcy z całego świata greckiego składali wyroczni bogate prezenty jako wyraz wdzięczności za przepowiednie, które albo się spełniły, albo pomogły im skutecznie kierować przeznaczeniem swoich ludów w czasach pokoju i przede wszystkim wojny. Część świątyni została zniszczona podczas trzęsienia ziemi, ale ją odbudowano. Brutalną grabież popełnili raz Fokidyjczycy, którzy bogactwami wyroczni chcieli spłacić trybut po klęsce poniesionej w wojnie z Filipem II Macedońskim, ojcem Aleksandra Wielkiego. Ale sam Filip nakazał im oddać zrabowane skarby i świątynia powróciła do dawnej świetności. Od tamtej pory niewielu ważyło się cokolwiek ukraść w Delfach, nawet małego posążka.

– Pójdziemy do pytii? – spytał Dolabella, gdy krętą drogą wspinali się w stronę sanktuarium.

– Możliwe – odparł Sulla. Wydawał się rozkojarzony, jakby myślał o innych sprawach, a nie o wizycie, którą mieli złożyć. Nieustannie się rozglądał.

– Myślałem, że można je o coś spytać jedynie w wyznaczone dni.

– Dziewięć razy do roku. Raz w miesiącu między lutym a październikiem.

Odpowiedź zaskoczyła Dolabellę, który nie spodziewał się, że jego dowódca jest tak biegły w kulcie delfickim. Skinął głową, a potem wyraził kolejną wątpliwość.

– Zawsze się zastanawiałem, dlaczego te kapłanki nazywa się pytiami. Czyżby miały coś wspólnego z pytonami?

Sulla westchnął. Brak ogłady Dolabelli czasami wprawiał go w zakłopotanie. Można nienawidzić wrogów, na przykład Greków, albo nie wierzyć w bogów i wyrocznie, ale nieznamość historii była nie do zaakceptowania.

– To sanktuarium było początkowo poświęcone Gai – wyjaśnił. – Strzegła go córka bogini pod postacią olbrzymiego węża o imieniu Pyton. Ponoć Apollo zabił gada i w ten sposób zdobył wyrocznie dla siebie, gdzie jest czczony pod imieniem Apolla Pytyjskiego. A służące mu kapłanki nakazał nazwać pytiami na cześć zabitego zwierzęcia.

Dolabella znów został zaskoczony.

– Nie sądziłem, że jesteś wyznawcą Apolla.

– Nie jestem, ale znam historię tego miejsca i na tej podstawie wnioskuję, że znajdziemy tu najwięcej skarbów w całej Grecji. Złote i srebrne posąжки, wypełnione monetami skrzynie i wszelkiego rodzaju dary są właściwie słabo chronione, ponieważ i tak z obawy przed Apollem nikt nie odważył się po nie sięgnąć. Dary te piętrzą się w głównym sanktuarium oraz we wszystkich małych świątynkach albo magazynach, które tu widzimy. Każde greckie miasto, każde królestwo, które czci tutejszą wyrocznię, zbudowało przy tej drodze swoje budynki z darami dla sanktuarium.

– Chcesz złupić wyrocznię delficką? – spytał Dolabella. Oczy miał szeroko otwarte.

– Widzisz tu jakąś armię, która mi to uniemożliwi?

– Nie.

– A my mamy armię, która musi szybko zobaczyć złoto i srebro i go dotknąć. Obiecałem im wielkie bogactwa. Będą lepiej walczyć z wojskiem Mitrydatesa, jeśli przekonają się, że służba pod moimi rozkazami rzeczywiście dostarcza im ogromnych korzyści, nie sądzisz?

Z czysto praktycznego punktu widzenia pomysł Sulli był idealny, ale Dolabella nadal jeszcze miał wątpliwości, czy to z powodu swojej religijności, czy ze zwykłego przesądu...

– Ale Delfy... Nawet Tukidydes i Platon szanowali tę wyrocznię... Delfy to centrum świata.

– Zgadza się, widzę, że znasz tę legendę. – Sulla wydawał się nieco rozbawiony skrupułami i obawami swojego zastępcy.

– Zeus wypuścił dwa orły, tak było? – spytał Dolabella. – Jednego ze wschodniego krańca świata, drugiego z zachodniego. Spotkały się one tutaj, wyznaczając Delfy jako *ónfalos*, pępek świata.

– Tak mówią – przyznał Sulla, nie zwalniając kroku i nieustannie się rozglądając, jakby chciał się upewnić, że w tym miejscu nie ma nikogo poza pielgrzymami.

Natknęli się tylko na małą grupkę uzbrojonych mężów u stóp wielkiej rampy prowadzącej już bezpośrednio do świątyni.

Sulla spojrział na jednego z trybunów, a ten nie potrzebował nawet ustnego rozkazu. Natychmiast jego podwładni otoczyli strażników, zmusili ich do oddania mieczy i włóczni. Przewaga liczebna legionistów, których Sulla przyprowadził do sanktuarium, była kolosalna. Mimo to uznał, że pielgrzymów jest zbyt wielu.

– Przyprowadzić cały legion. Oczyszczyć teren. Jeśli będzie trzeba, nawet siłą. Chcę, żeby w ciągu godziny wszyscy pielgrzymi zniknęli z Delf – zwrócił się do innego trybuna.

Ten zasalutował z pięścią przyłożoną do piersi i wraz z kilkoma centurionami oddalił się, żeby wykonać rozkaz.

Sulla, Dolabella i spora grupa uzbrojonych legionistów zaczęli wspinać się po rampie.

Pytie w ogóle się nie pojawiły.

– Może naprawdę potrafią przewidywać przyszłość i postanowiły się stąd ulotnić – stwierdził Sulla, nie bez pewnej dozy szacunku w głosie. – Te kapłanki są inteligentne.

Dolabella nic nie powiedział. Nie był zbyt religijny, ale przywiązywał wagę do przesądów, nawet dużą, i nie lubił banalizować żadnej kwestii związanej z bóstwami, kapłanami czy kapłankami.

– Policzyłem, że jest ich dwadzieścia siedem – dodał Sulla.

– Dwadzieścia siedem czego?

– Świątynek po obu stronach drogi prowadzącej do głównego sanktuarium. To dwadzieścia siedem magazynów z darami dla wyroczni. Więcej, niż sobie wyobrażałem. Niektóre z budynków wyglądały na prawdziwe świątynie.

Dolabella znów nie skomentował tych słów. Coraz mocniej się przekonywał, że dla Sulli wizyta w Delfach oznacza tylko pieniądze.

Weszli do świątyni.

W środku słyhać było wodę ciekącą z rury – znajdujący się w niej płyn miał ponoć właściwości magiczne, pochodził z pobliskiego źródła Kastalii i przepływał przez mały basen oraz posąg lwa. Na wyróżniającym się, położonym wyżej miejscu można było dostrzec posąg sfinksa, a obok niego znany aforyzm Siedmiu Mędrców starego świata greckiego: Γνῶθι σεαυτὸν: „Poznaj samego siebie”.

– To dobra rada – stwierdził Sulla. – Przeszukać wszystkie sale świątyni. Zebrać złoto, srebro, monety i wszelkie wartościowe przedmioty tu, na środku, i to szybko. Niech zbiorą też bogactwa ze wszystkich świątynek przy drodze i ułożą je przed ich drzwiami. Przyprowadzić wozy do transportu tego wszystkiego. Złoto i srebro stopimy później, żeby rozdać je żołnierzom.

Tak rozpoczęła się najbardziej brutalna grabież i świętokradztwo, jakie od wieków dotknęły Delfy.

Podczas gdy legionieści zbierali złote i srebrne posążki, skrzynie z monetami i szlachetnymi kamieniami oraz wszelkiego rodzaju cenne przedmioty – od pucharów po luksusowo udekorowaną broń, Dolabella podszedł do uradowanego Sulli. Wnętrze świątyni pachniało liściem laurowym, którego pytie używały do swoich transów, żeby połączyć się z bogami Olimpu i poznać ich wolę odnośnie do tych, którzy pytali o przyszłość.

– Naprawdę nie boisz się bogów? Nie martwisz się, jak zareaguje Apollo? – spytał.

Sulla odwrócił się powoli i spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie. Moją jedyną obawą było, że nie będę miał czym zapłacić legionom, ale ta sprawa właśnie się rozwiązała dzięki współpracy ze strony świątyni delfickiej. Jutro ruszamy do Aten.

Wszystko szło idealnie: miał dobrze zaopatrzone wojsko, które dzięki złotu i srebru z Delf będzie mu absolutnie wierne. Czekala go kampania przeciwko

trudnemu wrogowi, ale czuł się silny, gotowy.

Wrócił do swojego namiotu w obozie.

Miał właśnie położyć się spać, gdy do *preatorium* wszedł Dolabella.

– Apollo przemówił: Cynna przejął kontrolę nad Rzymem. Gnejusz Oktawiusz został stracony, Mariusz wrócił do miasta – wyrzucił z siebie w krótkich, punktujących słowach.

Siedzący na łóżku Sulla przytaknął kilka razy, wpatrując się w ziemię.

– Apollo niczego nie zrobił – odparł, nie podnosząc wzroku. – Cynna i tak przy pierwszej sposobności nie dotrzymałby umowy. Trzeba jednak przyznać, że jest szybki i metodyczny.

Nie powiedział nic więcej i ta cisza dławiała Dolabellę, który odczuł potrzebę, żeby przełamać ją uściślającym pytaniem.

– Co robimy?

Sulla bardzo powoli wypuścił powietrze z płuc. Podniósł głowę i patrzył teraz w sufit namiotu, wyciągając szyję, żeby się rozluźnić.

– Ruszymy na Ateny, potem przeciwko Mitrydatesowi, a na koniec wrócimy do Rzymu silniejsi i nie okażemy litości wrogom.

Dolabella skinął głową. Jego mentor wyjaśnił wszystko. Nic nie trzeba było dodawać.

– A teraz pora się przespać – zakończył tę rozmowę Sulla, jakby przejęcie władzy przez Cynnę, śmierć konsula Oktawiusza i powrót Mariusza do Rzymu były drobnymi przeszkodami, które w żaden sposób nie powinny zakłócić przyjemności spokojnego snu.

ROZDZIAŁ XXXIV

Spoczynek orła

Rezydencja rodziny Gajusza Mariusza w Rzymie

Styczeń 86 r. p.n.e.

Nawet najsilniejszy orzeł, nawet ten, który lata najwyżej, pewnego dnia traci moc w skrzydłach.

W kolejnym roku konsulami zostali Cynna po raz drugi i Gajusz Mariusz po raz siódmy. W przypadku tego ostatniego było to coś, co nigdy wcześniej się nie wydarzyło i miało się już nigdy nie wydarzyć w Republice. Ale ten, który wygrał wojnę w Afryce i przede wszystkim zatrzymał marsz Cymbrów i Teutonów na Rzym, który zmienił symbole legionów na orły i przekształcił naturę rzymskiego wojska, zachorował ledwie kilka dni po wyniesieniu na siódmy konsulat.

Przez tydzień pozostawał w łóżku.

Miał ponad siedemdziesiąt lat.

Był słaby.

Gorączkował.

Śniło mu się, że w miejsce Sulli dowodzi legionami w wojnie przeciwko Mitrydatesowi. Pragnienie objęcia tego stanowiska mieszało się z gorączką i mąciło myśli, przez wiele godzin trzymając go na pograniczu snu i jawy.

Miał jednak także przebliski świadomości. Rozmawiał wówczas z synem, z Cynną i innymi ważnymi przywódcami stronnictwa popularów. Sertoriusz, który zastąpił go na czele setek wiernych weteranów, nadzorował dom męża, który siedmiokrotnie sięgnął po konsulat, jednocześnie pilnując porządku w Rzymie.

– Jesteśmy sami? – spytał Mariusz Sertoriusza.

– Tak, konsulu – potwierdził tamten. Widział, że jego dowódca nie jest do końca pewny, dlatego dodał, żeby go uspokoić: – Cynna wrócił do domu przed paroma godzinami. W atrium znajdują się tylko twój syn i młody Cezar. Mówiłeś, że chcesz z nimi porozmawiać. I ze mną.

– Tak, dobrze... – mówił z trudem. – Cynna jest szalony... Sprowadzi na nas kłopoty... Na sprawę popularów... Jest zbyt radykalny... To się nie uda...

Sertoriusz starał się mu pomóc, uzupełniając jego słowa, żeby stary żołnierz nie musiał wszystkiego wypowiadać.

– Wszystko zależy od kampanii przeciwko Mitrydatesowi, prawda?

– Wiele się nauczyłeś – odparł wdzięczny Mariusz.

– Jeśli Sulla pokona Mitrydatesa i zdobędzie bogactwa do rozdania wśród legionistów, pozyska armię, której nie będziemy mogli stawić czoła – kontynuował Sertoriusz. – Myślę, że Cynna tego nie rozumie.

– Cynna nie docenia Sulli.

– Jeśli Sulla zwycięży w Azji i wkroczy do Rzymu, moim zdaniem powinniśmy się wycofać, ale tym razem nie do Afryki.

– Nie mów „my”, mój przyjacielu... Mnie tu już nie będzie.

Sertoriusz przełknął ślinę. Z wysiłkiem powstrzymywał łzy. To, że konsul nazwał go przyjacielem, roztkliwiło go.

– Dokąd chcesz się udać, jeśli Sulla przejmie absolutną władzę? – spytał Mariusz.

– Do Hispanii – odparł Sertoriusz. – Ma więcej zasobów... i gór. Z naszymi weteranami i innymi wojskami, które udałoby mi się tam pozyskać, mógłbym bronić sprawy popularów, a potem renegocjować z pozycji siły. Taki jest mój plan.

Gajusz Mariusz westchnął. Potrzebował więcej czasu niż zwykle, żeby przetrwać informacje. Odpowiedział dopiero po chwili.

– To wspaniały plan.

Zapadła długa cisza.

Mogli powiedzieć sobie wiele rzeczy. Sertoriusz towarzyszył Mariuszowi w niezliczonych kampaniach i zawsze, bez wyjątku, był wobec niego lojalny. A w obliczu niekończącego się konfliktu między optymatami a popularami taka lojalność w czasach wojny i czasach pokoju była rzadkością, tak samo wartościową – albo bardziej – jak najwykwintniejsze klejnoty, jakie można sobie wyobrazić.

Żaden z tych dwóch mężów, walecznych na polu bitwy, inteligentnych w obmyślaniu strategii i lojalnych do samej śmierci, nie powiedział ani słowa. Po prostu wspólnie milczeli. Była to pożegnalna cisza.

– Chcę porozmawiać z moim bratankiem – powiedział w końcu Mariusz.

Sertoriusz wstał, pożegnał się salutem wojskowym i zachowując tę ciszę, którą chciał ze sobą zabrać, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

W atrium młody Cezar czekał ze swym ojcem i z synem Mariusza na najgorsze.

– Konsul chce cię zobaczyć – zwrócił się do niego Sertoriusz.

Gajusz Juliusz Cezar spojrział na ojca, a ten skinął głową. Potem skierował wzrok na młodego Mariusza i ten również skinieniem wyraził zgodę, mówiąc:

– Teraz czuje się dobrze. Gdy gorączka ustępuje, można z nim porozmawiać. Ale nie bądź tam za długo, chłopcze.

Młody Cezar przeszedł korytarzem między uzbrojonymi weteranami, którzy pilnowali domu konsula. Wszedł do pokoju męża, którego z powodu kampanii ratujących Rzym przed inwazją barbarzyńców nazywano trzecim założycielem miasta.

– Podejdz... Gajuszu – wyszeptał słabnącym głosem stary Mariusz.

Cezar usłuchał i usiadł na *seli*, którą niedawno zajmował Sertoriusz.

– Nie mam wiele siły – zaczął Mariusz. – Tak więc przejdę... do rzeczy... Wiele razy ostrzegałem cię przed Sullą... Powtarzam to. Cynna kontroluje miasto i myśli, że tak będzie już zawsze... ale Sulla wróci... Mitrydates nie jest dla niego przeciwnikiem, a Cynna... Nie wiem... Poślubisz jego córkę... ale niech mianuje cię *flamen Dialis*... Wiem, że to uciążliwe, chłopcze, ale uwierz mi... chciałem cię

chronić. Nikt nigdy nie nakazał stracenia *flamen Dialis*. To stanowisko... cię ochroni... A przynajmniej da czas... żeby pomyśleć... jeśli wszystko pójdzie źle...

Mariusz nie mógł więcej mówić. Zabrakło mu sił.

– Mam zostać *flamen Dialis* i strzec się Sulli – podsumował Cezar, żeby wuj wiedział, że zrozumiał jego szarpane słowa.

– Właśnie tak, chłopcze... Bardzo dobrze... Teraz... wezwij mego syna... Ten orzeł pofrunie już tylko do Hadesu.

Cezar wstał i ruszył w stronę drzwi, gdy Mariusz prawie niedosłyszalnym szeptem zwrócił się do niego po raz ostatni:

– I przed Dolabellą... strzeż się... Jest tak samo niebezpieczny jak Sulla...

Młody Cezar skinął głową.

Mariusz zamknął oczy.

Cezar wyszedł z pokoju, między czuwającymi weteranami minął się z synem Mariusza, który zmierzał na spotkanie z ojcem.

W atrium Cezar ojciec rozmawiał z synem szeptem, czekając na powrót syna Mariusza. Nie mogli opuścić domu bez pożegnania z tym, który wkrótce stanie się nowym *pater familias* rodziny Mariuszów.

– Co ci powiedział?

– Powtórzył, żebym ożenił się z Kornelią, został wybrany na kapłana Jowisza i żebym strzegł się Sulli i Dolabelli.

– To małżeństwo w tej sytuacji jest dla nas wszystkich korzystne, a ja będę się domagał, żeby zrobili cię kapłanem, możesz być tego pewien – odparł ojciec. – A przed Sullą i Dolabellą niech nas chronią bogowie. Nie wiem, czy Cynna i młody Mariusz zdołają ich powstrzymać, ale nie traćmy wiary.

Sertoriusz usłyszał ich słowa, choć mówili cicho. Zachował jednak dla siebie myśli na temat przyszłości reżimu Cynny. Już omówił z konsulem to, co należało omówić. Miał swój plan: Hispanię.

Pokój Gajusza Mariusza

Syn siadł u boku konsula i poczekał, aż ojciec się do niego odezwie. Ten jednak tylko miotał się w łóżku. Młody mężczyzna położył Mariuszowi rękę na czole. Było niezwykle gorące.

– Jugurta! – wrzasnął Mariusz. – Gdzie jest ten przeklęty Jugurta?

– Nie żyje, ojcze. Twoje wojska go pojmały i stracono go w więzieniu, pamiętasz?

Gajusz Mariusz przytaknął, ale wcale się nie uspokoił.

– A Teutobod? Co z nim? – spytał. – Jego armia jest olbrzymia... nie możemy atakować... musimy poczekać...

– Teutobod zginął w bitwie, ojcze, pod Aquae Sextiae. Zmiażdżyłeś jego armię, tak jak pozostałe wojska Teutonów, Cymbrów i Ambronów, i wszystkich, którzy stawili ci czoło. Ojcze, ty zawsze zwyciężałeś.

Gajusz Mariusz zdawał się przez kilka chwil spokojniejszy. Przestał się rzucać i znów przemówił:

– Trzeba więc powstrzymać... Mitrydatesa... Ty staniesz na czele lewego skrzydła... Sertoriusz po prawej... Ja zajmę się środkiem... Musimy go otoczyć... z kawalerią... jak pod Aquae Sextiae... rozumiesz?

– Rozumiem, ojcze. Tak się stanie. – Nie chciał się sprzeciwiać. Nie widział sensu w tym, żeby teraz tłumaczyć ojcu, że to Sulla walczy w Azji z królem Pontu.

Gajusz Mariusz odwrócił się w stronę syna i przez chwilę na niego patrzył.

– Wygrałem wszystkie wojny, prawda?

– Wszystkie, ojcze.

Siedmiokrotny konsul wyraźnie się rozluźnił na te słowa i podobnie jak podczas rozmowy z Cezarem zamknął oczy.

Trwało to krótko.

Prześcieradła przestały podnosić się i opadać. Całe łóżko znieruchomiało.

Gajusz Mariusz syn wyjął złotą monetę spod togi, powoli otworzył ojcowskie usta i ostrożnie umieścił pieniążek. Później zajmie się wszystkimi pozostałymi rytuałami pogrzebowymi, ale Charon musi dostać monetę, aby przewieźć na drugą

stronę Styksu największego, najbardziej inteligentnego, najzdolniejszego żołnierza rzymskiego w historii. Gajusz Mariusz syn nie mógł oczywiście widzieć przyszłości.

Atrium rezydencji rodziny Mariuszów

Syn konsula wrócił do pomieszczenia, w którym czekali Cezar ojciec, jego syn, Sertoriusz i weterani Mariusza. Spokojnie, w żołnierskich słowach ogłosił im śmierć ojca. Tak jak życzyłyby sobie tego zmarły.

– Mój ojciec... nie żyje.

Forum w Rzymie

Styczeń 86 r. p.n.e., dzień po śmierci Gajusza Mariusza

Rodzina Cezara wracała z forum po ceremonii spopielenia zwłok Mariusza.

– Czy to smutne wydarzenie przyniesie nieco pokoju? – spytała męża Aurelia w drodze do dzielnicy Subura, dokąd zmierzali eskortowani przez własnych niewolników i weteranów stronnictwa popularów, dawnych żołnierzy Mariusza, którzy z przyjaźni i lojalności nadal chronili ich rodzinę.

– Nie wiem – odparł Cezar ojciec.

Nagle natknęli się na bardzo liczną grupę uzbrojonych ludzi prowadzonych przez dość młodego dowódcę, dwudziestoosmiolatka.

– To Fimbria. – Cezar ojciec przyspieszył kroku, zachęcając małżonkę, syna i córki, żeby uczynili to samo. – Chodźmy do domu.

– Kim jest Fimbria? – spytał Cezar syn.

– Prawą ręką Cynny, który, mój synu, obecnie de facto rządzi Rzymem, gdyż podporządkował sobie Senat i kontroluje Zgromadzenie Ludowe – odparł ojciec, a potem spojrzął na Aurelię. – Jeśli Fimbria opanuje rzymskie ulice, to mogę ci zaręczyć, że pokoju nie będzie. To najbardziej brutalny człowiek Cynny. Jesteśmy w tym samym stronnictwie, ale ani Mariusz, ani ja nie zgadzamy się... to znaczy,

nie zgadzaliśmy się... na metody stosowane przez Fimbrię i Cynnę, żeby utrzymać kontrolę nad miastem.

Ateny

Marzec 86 r. p.n.e.

Sulla wspiął się na Akropol. Stamtąd mógł lepiej podziwiać widok: dla Greków była to katastrofa, dla niego – lekcja. Całe miasto stało w płomieniach, a pozbawieni kontroli legionści gwałcili i rabowali.

Dolabella nie okazywał zazwyczaj skrupułów, ale teraz nie przestawał go niepokoić widok płonącego miasta, dawniej upiększzonego przez Fidiasza, niegdyś z niesamowitą odwagą rządzonego przez Peryklesa. Jego mentor Sulla wymknął się spod kontroli. Najpierw pomaszerował na czele legionów na Rzym, co było niesłychane i nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Potem złupił święte sanktuarium w Delfach, a teraz podpalił Ateny, ponieważ miasto okazało przychyłność marszowi Mitrydatesa przez Grecję, licząc, że król Pontu wyzwoli Hellenów spod rzymskiego jarzma.

– To naprawdę było potrzebne? – spytał Dolabella wśród dymu i płomieni.

– Z czysto militarnego punktu widzenia nie – przyznał Sulla – ale było to konieczne ze strategicznego punktu widzenia, w ramach wojny, w której miasta muszą zdecydować, czy pozostaną naszymi sojusznikami, czy też przejdą na stronę Mitrydatesa. Myślę, że moje przesłanie do świata greckiego zostanie teraz zrozumiane: albo jesteście z nami, albo ogień strawi wasze domy. Nie ma niczego pomiędzy. Chodźmy stąd, zanim płomienie całkowicie nas otoczą i nie będziemy mogli uciec.

Dolabella ruszył za nim w milczeniu, trawiąc okrutną i bezlitosną inteligencję dowódcy.

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

Jesień 86 r. p.n.e.

Cynna zjawił się w domu Cezara bez zapowiedzi, ale oczywiście został przyjęty życzliwie, tak samo jak w przeszłości. Podobnie jak ostatnio, przyszedł w towarzystwie córki.

Choć miała dopiero dziesięć lat, dziewczynka swobodnie czuła się w domu, którego pani traktowała ją jak jeszcze jedną córkę. Aurelia nadal uczyła ją greki i okazywała serdeczność.

Nie trzeba było nakazywać Cezarowi i Kornelii, żeby poszli razem do tylnego atrium, podczas gdy ich rodzice mieli rozmawiać o polityce i poważnych sprawach. Nie trzeba było również ani jednego słowa, żeby oboje udali się prosto do *tablinum*. Cezar po prostu chwycił Kornelię za rękę.

– Odejście Mariusza to prawdziwa strata, ale widzę, że sprawnie kontrolujesz miasto – zaczął uprzejmie Cezar ojciec. – Uczynienie Lucjusza Waleriusza Flakkusa, rozsądnego człowieka, następcą Mariusza na stanowisku konsula wydało mi się dobrym pomysłem, który uspokoi najbardziej wrogich nam konserwatystów w Senacie. – Nie wspomniał nic o Fimbrii, któremu Cynna przyznał szerokie prerogatywy.

– Zgadza się, dlatego go wyznaczyłem – odparł Cynna, podczas gdy serwowano im wino. – Bez wątplenia jest on człowiekiem rozsądnym. Czasami wydaje mi się, że aż za bardzo.

Nikt nie zareagował na te słowa. Cezar ojciec wiedział, że w kwestii utrzymania władzy Cynna jest raczej zwolennikiem działań radykalnych, dlatego od miesięcy promował Fimbrię.

– Wyślę do Grecji nowe wojsko – ogłosił nagle konsul. – Nie chcę, żeby jedynie Sulla walczył przeciwko Mitrydatesowi.

– Odniosł liczne zwycięstwa – stwierdził ostrożnie Cezar ojciec. – W Cheronei i Orchomenosie, jeśli dobrze słyszałem. Może... za dużo tych zwycięstw?

Cynna uśmiechnął się.

– Doświadczony Cezar zawsze trzymał się na uboczu i nie obejmował znaczących stanowisk politycznych. – Cynna patrzył na gospodarza uważnie,

oceniając jego reakcje, wyraz jego twarzy. – Wielu uważa, że to dlatego, że nie jesteś biegły w polityce. Ale ja myślę inaczej: sądzę, że widziałeś licznych mężów, którzy sięgali po władzę i ginęli. Sądzę, że jesteś inteligentniejszy, niż to okazujesz. Gajusz Mariusz zawsze odwiedzał ten dom. To podsunęło mi te myśli. Dlatego cenię twoją radę, Cezarze. Myślisz, że wysłanie drugiej armii to dobry pomysł?

Cezar ojciec pił wino, zastanawiając się pospiesznie nad odpowiedzią. Nie było sensu udawać głupiego. Cynna odkrył tajemnicę jego trzymania się na uboczu polityki – chodziło o bezpieczeństwo rodziny.

– Tak, wysłanie drugiej armii, aby uniknąć sytuacji, że wojna z Mitrydatesem pozostaje jedynie w rękach Sulli, wydaje mi się dobrym pomysłem – powiedział wreszcie zdecydowanym tonem.

– Wiedziałem! Na Herkulesa! – krzyknął rozentuzjasmowany Cynna. – Wiedziałem, że muszę to zrobić, ale twoje potwierdzenie sprawia, że jest to wręcz konieczne. Wyślę na czele tego wojska Flakkusa. Senat się z tym pogodzi, chodzi mi o optymatów.

– Wysłanie Flakkusa to również dobry pomysł – zgodził się Cezar ojciec.

– Dobrze. Gdyby twój syn był nieco starszy, zasugerowałbym, żeby go wysłać w tej nowej armii. To będzie dobra okazja, żeby wykazać się na polu walki, ale chłopak jest jeszcze za młody, prawda?

– Ma dopiero czternaście lat. Za młody na tę kampanię.

– Może i jest za młody na wojnę, ale nie na żeniączkę.

Cezar ojciec i Aurelia od jakiegoś czasu spodziewali się tego rodzaju komentarza.

– Pamiętaj, przyjacielu, że zawarliśmy pakt – zauważył Cynna, a na jego twarzy wykwitł uśmiech innego rodzaju.

– Pamiętam, przyjacielu i rzymski konsulu. Dobrze o nim pamiętam – odparł Cezar ojciec. – Mój syn ożeni się z twoją córką, ale ona jeszcze nie stała się kobietą. Ma...

– ...dziesięć lat. – Cynna dokończył zdanie z pewnym znużeniem, jakby to była wina dziewczynki, że rośnie tak powoli. – Wkrótce stanie się kobietą. Wkrótce będzie *viri potens* i będzie mogła znieść w sobie mężczyznę.

Jego słowa zabrzmiały raczej jak groźba niż stwierdzenie oczywistego faktu.

Aurelia spuściła wzrok. Nikt tego nie zauważył. Po raz pierwszy poczuła, że może małżeństwo jej syna z młodą Kornelią nie jest dobrym pomysłem. Cynna z każdym dniem coraz mniej jej się podobał. Zabrakło Mariusza, który stanowił dla niego przeciwwagę. W tej chwili małżeństwo Cezara i Kornelii, na zawarcie którego naciskał przywódca popularów, udawało się odwlekać dzięki inteligencji jej małżonka oraz temu, że dziewczyna jeszcze nie menstruowała.

– Zjemy kolację? – zaproponowała pani domu z szerokim uśmiechem.

– Bardzo chętnie – zgodził się Cynna.

Nikt nie musiał ich wzywać: Cezar syn i Kornelia wkrótce zjawili się w głównym atrium, żeby dołączyć do posiłku.

Aurelia widziała, że są szczęśliwi, i postanowiła nie podejmować żadnej decyzji w kwestii ich małżeństwa. Rozwój wypadków sam wyznaczy los tego projektu.

Do nieformalnego zgromadzenia dołączyły też siostry Cezara i prowadzone rozmowy rozwiały nieco zmartwienia Aurelii. Zelżało nawet podskórne napięcie, jakie dało się wyczuć między Cezarem ojcem a Cynną z powodu nacisków tego ostatniego na zawarcie małżeństwa.

Gdy kolacja się zakończyła, Cynna i jego córka wrócili do domu po uprzejmym pożegnaniu przez Cezara ojca, Aurelię, Cezara i jego siostry.

Tamtej nocy Cezar ojciec usiadł na skraju łoża w małżeńskiej sypialni i zaskoczył Aurelię nieoczekiwanym komentarzem.

– Przyjmę propozycje małżeńskie wobec naszych córek.

– Od Pinariusza i Balbusa? – spytała, wspominając dwóch pretendentów, którzy od paru miesięcy zabiegali o ich córki.

Pierwszy z nich, który chciał ożenić się z Julią Starszą, pochodził z rodziny patrycjuszowskiej, podczas gdy drugi – dążący do małżeństwa z Julią Młodszą – był plebejuszem. Żaden nie należał do znaczącej rodziny, ale w tych niepewnych czasach małżeństwo z młodzieńcem, który nie wybijał się w polityce, było nieco bardziej pożądane: oznaczało mniejsze niebezpieczeństwo.

– Tak – potwierdził Cezar ojciec.

Aurelia przytaknęła.

– W ten sposób pozostanie nam tylko jedno małżeńskie zmartwienie.

– Zgadza się – odparł jej mążnek.

– To najdelikatniejsza sprawa, najważniejsza.

– Najdelikatniejsza, tak, najważniejsza – powtórzył i dodał, wzbudzając niepokój Aurelii: – Jestem zmęczony.

Jej mążnek nigdy się na nic nie skarżył. To się jej wydało dziwne.

Domus konsula Lucjusza Korneliusza Cynny

Tej samej nocy

Fimbria przyszedł już po północy. Był uzbrojony i towarzyszyła mu bardzo liczna grupa tak samo bezlitosnych jak on mężczyzn; wszyscy oczekiwali na rozkazy.

– Czy konsul Rzymu mnie wzywał? – spytał, gdy tylko wszedł do domu.

– Wezwałem cię – odparł Cynna, po czym wziął go pod ramię i zaprowadził do *tablinum*. – Wyślę drugą armię na wschód, żeby zmierzyła się z Mitrydatesem.

– Dobrze – powiedział Fimbria, żeby okazać, że słucha uważnie, choć nie wiedział za bardzo, w jaki sposób się to do niego odnosi.

– Waleriusz Flakkus stanie na czele tej armii.

– Flakkus? Przecież to tchórz. Może coś jest wart jako konsul tutaj, w Rzymie. Ale jest... słaby.

– Wiem, ale właśnie dlatego Senat się na to zgodzi. Konserwatyści uznają, że nie stanowi on żadnego zagrożenia dla Sulli, bo ktoś taki jak Flakkus nie będzie

mógł się wyróżnić w wojnie przeciwko Mitrydatesowi. Więc bez problemu uzyskamy jego mianowanie.

Fimbria rozumiał to, ale nie miał pojęcia, do czego służy wysłanie kogoś takiego jak Flakkus do walki u boku tego wilka Sulli. Gdy tylko się zetkną, Sulla natychmiast obmyśli, jak go sobie podporządkować.

– Wiem, wiem – mówił dalej Cynna, jakby czytał w myślach zaufanego podwładnego. – Flakkus będzie łatwą ofiarą manipulacji Sulli, dlatego ty pojedziesz z nim na tę wojnę. Zostaniesz legatem dowodzącym legionem. Dlatego cię wezwałem.

Fimbria skinął w milczeniu głową. Powoli.

– Konsul mógł mi powiedzieć to jutro na forum albo w Curia Hostilia, albo...

– Oczywiście – przerwał mu Cynna. – Nie wezwałem cię w środku nocy, żeby ci to oznajmić, tylko żeby cię poinformować, że podczas tej kampanii będziesz miał dwie misje. A tych nie mogę spokojnie wyjaśnić na forum, gdzie otaczają nas senatorowie z jednego i drugiego stronnictwa.

Fimbria zastygł. Poruszył tylko ustami.

– Dwie misje?

Cynna postanowił wykorzystać koncentrację, z jaką podwładny go słuchał.

– Chciałbym móc bezpośrednio mianować cię konsulem albo prokonsulem z *imperium* nad tą drugą armią, ale jesteś za młody, nie skończyłeś jeszcze trzydziestki. Jak powiedzieliśmy, Flakkusa zaakceptują wszyscy. Twoja pierwsza misja polega na tym, że zabijesz Flakkusa i przejmiesz kontrolę nad armią. Nie interesuje mnie, jak to zrobisz. Wojsko ma być pod twoją komendą, zanim dotrze do Azji.

– Dobrze. To da się zrobić – stwierdził Fimbria. Podobał mu się pomysł, że miałby dowodzić całą armią. Szybko piął się w górę i nie przeszkadzało mu zadawanie śmierci, żeby jeszcze przyspieszyć ten pochód. Nawet jeśli musiałby zabić rzymskiego konsula. W każdym razie to był słaby konsul. – Powiedziałaś, że będę miał dwie misje.

– Tak, dwie – potwierdził Cynna, ale zamilkł, jakby wypowiedzenie na głos drugiego zadania sporo go kosztowało. Usiadł w *solium*.

Fimbria się nie ruszył, chociaż obok stało drugie krzesło. Chciał wiedzieć, co jest jego drugim celem. Zapytał:

– Druga misja polega na tym, że to ja pokonam Mitrydatesa, prawda?

Cynna powoli otarł palcami usta i brodę. Przełknął ślinę. Spojrzał na podłogę, a potem podniósł wzrok, wbił go w oczy Fimbrii i przemówił bez pośpiechu, nie podnosząc głosu, z mrozącą krew w żyłach obojętnością i wyraźną prostotą.

– Nie. Mitrydates nas nie obchodzi. Odgrywa w tej rozgrywce rolę drugorzędną. Zajmiemy się nim w swoim momencie. Twoja druga misja polega na zabiciu Sulli.

ROZDZIAŁ XXXV

Śmierć Juliusza Cezara

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

85 r. p.n.e.

Właśnie spopielili ciało ojca.

Zmęczenie, o którym mówił matce, zmieniło się w złe samopoczucie, a złe samopoczucie w chorobę, z kolei choroba w śmierć.

Cezar siedział skulony na skraju kline, ręce trzymał na uszach, jakby nie chciał niczego ani nikogo słuchać.

W wieku piętnastu lat stał się *pater familias*. Scypion również szybko przejął tego rodzaju odpowiedzialność, ale mimo wszystko nie w tak młodym wieku. A on nie czuł się Scypionem. Czuł się nikim.

Młody Cezar był przygnębiony. Na skraju wytrzymałości. A ojciec przecież zdołał rozwiązać pewne ważne kwestie rodzinne, na przykład małżeństwa jego siostr. Dzięki temu mógł przeżyć ostatnią radość w swoim życiu: narodziny Atii *, córki Julii Młodszej i Balbusa. Umarł, przynajmniej poznawszy wnuczkę.

Cezar siedział teraz samotnie na *solium* w samym środku atrium.

Mimo zamkniętych oczu wyczuł czyjąś obecność i wyprostował się, jednocześnie opuszczając dłonie i podnosząc powieki.

Stała przed nim Kornelia.

– Przykro mi – powiedziała.

Cezar spojrzał na nią w milczeniu. Miała dopiero jedenaście lat, ale już zaczęła nabierać kobiecych kształtów. Była pogodna i ładna. Może jej ojciec by się nie zgodził z tym stwierdzeniem, ale Kornelia szybko rosła.

– Dziękuję – powiedział i gestem zaprosił ją, żeby usiadła na *cathedrze* obok.

Nadal kontrolowany przez popularów Senat po raz trzeci wybrał Cynnę na konsula. Gnejusz Papiriusz Karbo był jego współkonsulem, ale wszyscy wiedzieli, że jest słaby i że Rzymem rządzi Cynna. A więc ojciec Kornelii.

Dziewczynka usiadła. Nie wiedziała, co robić, co jest właściwe, a co nie, ale widok pogrążonego w smutku Cezara poruszył jej serce: jego ojciec zapadł na gorączkę i po kilku tygodniach już nie żył.

– Czuję się samotny – powiedział Cezar. – Bez wuja i bez ojca jestem nikim.

– To nieprawda – odparła szybko. – Jesteś odważny.

Uśmiechnął się, ale jakby z trudem.

– Oczywiście. Podśłuchuję za kotarą *tablinum*. Jestem bardzo odważny – powiedział cynicznym tonem. – Już widzę, jak Sulla przede mną drży.

Kornelia nie dała się zbić z tropu i odparła łagodnie:

– Już nie musisz kryć się za żadną kotarą. Jesteś *pater familias*. Od teraz każdy, kto wejdzie do tego domu, musi zwracać się do ciebie, rozmawiać z tobą. To ty decydujesz.

Cezar spojrzał na nią, jakby nagle stała się inną osobą: nie dziewczynką, z którą od jakiegoś czasu się spotykał, lecz kimś, na kogo można liczyć. Nagle nie czuł się już taki samotny ani przygnębiony. I było coś jeszcze... Spojrzał na nią ponownie, a ona na niego. Żadne nie odwróciło wzroku. Patrzyli na siebie intensywnie. Niespodziewanie poczuł niepokój, jaki odczuwają mężczyźni – bardzo silny, niezwykle potężny. Chciał jej dotknąć i zbliżył rękę do jej dłoni, a ona jej nie cofnęła, mimo że wyczuła ten ruch.

Wcześniej nieraz brali się za ręce, gdy prowadził ją do *tablinum* posłuchać po kryjomu, o czym rozmawiają rodzice, ale wtedy chodziło o dłonie dzieci. Teraz, gdy Cezar położył rękę na nieruchomej dłoni Kornelii złożonej na oparciu krzesła, dziewczyna zadrżała, z czego zdał sobie sprawę. To już nie były ręce dzieci, które chwyciły się w środku przygody. Niepokój, jaki odczuwał, nie miał nic wspólnego z dzieciństwem, a sposób, w jaki Kornelię przeszedł dreszcz, nie przypominał zachowania dziewczynki. Pomyślał, że drugą dłonią mógłby pogłaskać ją po

twarzy. Pomyślał, że mógłby ją nawet pocałować. Pomyślał o tylu rzeczach, ale nie wiedział, czy tak naprawdę powinien to robić. Czuł, że ona się nie poruszy. Ale mimo to nie powinni. Wówczas Cezar uznał, że chce tylko jej dobra i dlatego nic więcej nie zrobił.

Aurelia weszła do atrium, pogodna jak zawsze, mimo niedawnej śmierci męża. Dla niej nie był to dobry moment na rozpaczanie, choć w środku czuła ból. Dla niej to były dni, w których musiała zająć się wszystkim i wszystkimi.

– Chcesz zjeść z nami? – spytała Kornelię.

Dziewczynka zamrugała kilkakrotnie, jakby wyrwano ją z transu, spuściła głowę, podniosła ją znowu i spojrzała na Cezara.

– Chcesz, żebym została? – spytała, zanim odpowiedziała Aurelii.

Matce Cezara spodobała się jej reakcja. Dziewczyna pokazywała, że wie, iż decyzja o tym, kto dołączy do posiłku w domu rodziny Juliuszów, należy do niego.

Cezar skinął głową.

Aurelia odwróciła się do niewolnika *atriense* i nakazała ustawić jeszcze jedno kline.

– Przyjdzie twój ojciec? – spytał Cezar.

Kornelia wzruszyła ramionami.

– Niewiele ze mną rozmawia, dobrze wiesz. – Ciągle jeszcze czuła się nieco oszołomiona chwilą, którą niedawno przeżyli.

– Przyjdzie – wtrąciła się Aurelia. – Cynna szybko zjawi się, żeby z tobą porozmawiać, Gajuszu. Możesz być tego pewien.

Za tymi słowami kryło się wiele: matka Cezara, jak wszyscy w Rzymie, wiedzieli, że Cynna wysłał na wschód drugą armię pod dowództwem Waleriusza Flakkusa i Fimbrii, żeby ograniczyć władzę Sulli w kampanii przeciwko Mitrydatesowi. Był to bez wątpienia błyskotliwy manewr polityczny i wojskowy, żeby przygotować się na to, czego obawiali się popularzy: powrót Sulli do Rzymu, a zwłaszcza formę, w jakiej to nastąpi. Jeśli plany Cynny rozwiną się pomyślnie, małżeństwo Cezara z Kornelią okaże się dobrym pomysłem. Jeśli jednak Sulla

wyjdzie z tej zagrywki obronną ręką, mogło dojść do innej sytuacji: ten związek oznaczałby niebezpieczeństwo, wrogość Sulli, który może zechce się pozbyć jej syna. Aurelia była pewna, że Sulla nie będzie zbyt pobłażliwy w stosunku do zięcia Cynny.

Zaprosiła Kornelię, by zajęła miejsce obok Cezara. Na razie ojciec dziewczyny rządzi Rzymem, a więc wszystko jest w porządku. Aurelia dostrzegła również, że Cezar i Kornelia patrzą na siebie... jakoś inaczej.

* Przyszłej matki cesarza Augusta.

ROZDZIAŁ XXXVI

Fimbria kontra Sulla

Nikomedia, królestwo Bitynii, Azja

85 r. p.n.e.

Dalej nie mógł już uciekać.

Ludzie Fimbrii schwytali konsula Waleriusza Flakkusa w Nikomedii.

Wszystko zaczęło się w Bizancjum, jeszcze zanim dotarli do Azji: Waleriusz Flakkus okazał się twardym i wymagającym dowódcą. Chciał dobrze przygotować legionistów, wyszkolić ich, żeby mieć szanse w wojnie przeciwko Mitrydatesowi. Ale Fimbria wykorzystał tę sytuację, żeby wywołać powszechny bunt, po którym przejął kontrolę nad armią. Mimo wszystko Flakkusowi udało się uciec. Fimbria nie mógł pozwolić, aby Rzymianin w randze konsula krążył po Azji, szukając możliwości zrekrutowania wojska lub zawarcia sojuszy z miejscowymi królami. Ścigał go więc wytrwale, aż dopadł w Bitynii.

Dwóch legionistów mocno trzymało konsula.

Gajusz Flawiusz Fimbria z całej siły wbił miecz w podbrzusze Waleriusza Flakkusa.

– Na Jowisza! – wykrzyknął tamten, gdy Fimbria obracał bronią w jego wnętrznościach. – Oszaleliście, ty i Cynna...

Padł na kolana, a z jego ust wylewała się krew. Twarz wykrzywiła mu się w ostrym bólu.

Z czystej ciekawości Fimbria kucnął przy umierającym konsulu.

– Dlaczego? – spytał. – Myślisz, że Mitrydates to nie jest wróg, z którym ja i Cynna możemy się zmierzyć?

Wówczas Waleriusz Flakkus padł na bok. Wykrwawiał się, ale nawet w bólu i wściekłości zaczął się dziwnie śmiać, jakby szarpały nim spazmy. Krew nadal lała mu się ust. Śmiał się z wielkiej głupoty swojego zabójcy. Tylko to mógł zabrać ze sobą w ostatnich chwilach: wiedzę, że ten, który zdradził, był tak samo martwy jak on.

– Nie Mitrydates... – Flakkus z trudem wyrzucał z siebie słowa. Napinał mięśnie twarzy, żeby zaczerpnąć więcej powietrza przez nos i usta, ale udawało mu się wciągnąć tylko krew. Dusił się.

Fimbria zmarszczył czoło i pochylił się, żeby wysłuchać ostatnich słów swej ofiary.

– Nie możecie się mierzyć... z Sullą – powiedział konsul.

I umarł.

Leżał na ziemi z rękami na brzuchu, dookoła niego powiększała się kałuża krwi. Oczy miał szeroko otwarte, na twarzy zastygł mu wyraz zaskoczenia, bólu i gniewu. Wszystkie te uczucia zabrał ze sobą do Hadesu.

Fimbria wyprostował się, czoło nadal miał zmarszczone i poważną minę.

Stanęli za nim oficerowie, oczekując rozkazów.

Odwrócił się do nich.

– Ruszamy na Mitrydatesa.

Rzymska diera na środku Morza Egejskiego

85 r. p.n.e.

W kabinie kapitana nad stołem pokrytym mapami pochylało się trzech mężczyzn: Sulla, Dolabella i Lukullus. Ten pierwszy wiedział, że nie wygra wojny z Mitrydatesem, jeśli nie pozyska odpowiedniego wsparcia od strony morza. Flota króla Pontu dominowała nad wschodnią częścią Morza Śródziemnego, ale Sulla nakazał Lucjuszowi Licyniuszowi Lukullusowi, zaufanemu człowiekowi optymatów, zebrać znaczną flotę od sojuszników na wybrzeżu Afryki, Egiptu i innych wschodnich królestw. Lukullus okazał się skuteczny i udało mu się

wykonać zadanie. Wsparł już nią Sullę podczas ataku na Ateny. Ale teraz trzeba było postanowić, co robić dalej, zwłaszcza że w wojnie pojawił się nowy gracz: Fimbria.

– Bez skrupułów stracił Waleriusza Flakkusa w Nikomedii – podsumował Lukullus ostatnie wiadomości, jakie dotarły z Azji. – Potem pokonał wojska króla Pontu w Pitane. Mitrydates schronił się w Mitylenie na wyspie Lesbos. Widać, że Fimbrii udało się zarazić wojsko własną dziką furją.

Lukullus nie odważył się zasugerować żadnego rodzaju akcji ani wobec Mitrydatesa, ani tym bardziej Fimbrii. W obecności Sulli wolał zachować rozsądną ciszę i czekać na rozkazy.

Za to Dolabella tak wyraźnie widział, co należy zrobić, że natychmiast to zaproponował:

– Możemy popłynąć i otoczyć Lesbos, a po połączeniu naszej armii z legionami Fimbrii zaatakować Mitrydatesa z dwóch stron i skończyć z tym zagrożeniem dla Rzymu.

– Możemy... – przyznał Sulla i zamilkł, wpatrując się w rozłożoną na stole mapę. Potem odezwał się niedbale, jakby komentował coś bez znaczenia: – Ale tego nie zrobimy.

Znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w plan z zarysowanymi wybrzeżami wschodniej części Morza Śródziemnego: Fimbria znajdował się w Azji, Mitrydates na Lesbos, chociaż jego wojska i flota stacjonowały też w Azji. Od zachodu napierała armia Sulli. Sytuacja była skomplikowana, a może bardzo prosta.

– Co więc zrobimy? – spytał Dolabella.

Sulla odwrócił wzrok od mapy. Odetchnął głęboko i wreszcie przemówił pogodnym tonem:

– Zaoferujemy Mitrydatesowi pokój, korzystny pokój, i pozwolimy mu uciec do własnego królestwa na wybrzeżu Pontus Euxinus *. – Widząc zdziwioną minę nie tylko Dolabelli, ale również Lukullusa, uznał, że musi wyjaśnić to, co dla niego było oczywiste. – To nie Mitrydates jest ważny, tylko Fimbria.

– Ale zwycięstwo leży w zasięgu ręki – stwierdził nieco oburzony Dolabella.

– Nie szukam tego zwycięstwa – odparł zdecydowanym tonem Sulla. – Zadanie klęski Mitrydatesowi z pomocą drugiej armii, którą dowodzi legat ze stronnictwa popularów, nie jest nam potrzebne.

– Czego więc szukasz?

– Chcę zetrzeć Fimbrię z powierzchni ziemi. Popularzy z Cynną na czele znów przejęli władzę w Rzymie. Mariusz nie żyje, ale Cynna kontroluje wszystko i znów zmienił cenzus. Mimo tego, co wcześniej uzgodniliśmy, na nowo włączył do niego wiele *tribus* sprzymierzeńców. To może być dopiero początek jego reform. Wysłał Fimbrię na wojnę, żeby nie dopuścić do tego, że to my osiągniemy absolutne zwycięstwo, co dałoby mi prawo do zbliżenia się do Rzymu ze zwycięskimi legionami, żeby odbyć triumfalny pochód. Myśli, że jest bardzo inteligentny, ale to zakończy się nową wojną. Zaczniemy ją tu i teraz, eliminując Fimbrię.

Dolabella pokręcił głową. Lukullus też nie był pewien, czy to dobry plan, choć nie miał odwagi sprzeciwić się dowódcy.

– Ale jeśli zaoferujemy korzystny pokój Mitrydatesowi, król Pontu nie zapłaci za koszty wojny, a bez pieniędzy nie możemy zadowolić naszych wojsk, tym bardziej jeśli przejmujemy, jak zasugerowałeś, drugą armię. Taki jest twój plan, prawda? – Dolabella nadal chciał wszystko wyjaśnić. – Bez pieniędzy nic nam się nie uda.

– Co do tego masz rację. – Sulla uśmiechnął się. – Bez wątplenia ktoś musi ponieść koszty wojny przeciwko Mitrydatesowi i tej przeciwko Fimbrii, a gdy już zdobędziemy fundusze, będziemy walczyć w Italii przeciwko samemu Cynnii.

Mitylena, Lesbos

85 r. p.n.e.

Król Pontu od nowa czytał list od Lucjusza Korneliusza Sulli, rzymskiego prokonsula, w którym zaoferowano mu pokój bez konieczności zwrotu kosztów wojny ani żadnych odszkodowań czy trybutu. Miał jedynie wrócić do swojego

królestwa i uszanować granice ustanowione przed wojną. Otoczony dwiema armiami rzymskimi, z osłabioną przez nieustanne ataki statków Lukullusa flotą, uznał tę propozycję za podarunek. Nie rozumiał, czym sobie na niego zasłużył, ale nie zamierzał się nad tym za dużo zastanawiać.

– Powiedz prokonsulowi, że przyjmuję – powiedział do rzymskiego posłańca, który oczekiwał odpowiedzi.

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

85 r. p.n.e.

Gdy tylko znalazł się przed młodziutkim Cezarem, Cynna przeszedł od razu do rzeczy: przekazał mu kondolencje z powodu śmierci ojca, ale zaraz przypomniał, że poza tym smutnym wydarzeniem trzeba pomyśleć o ustalonym małżeństwie i wyznaczyć datę.

Mimo młodego wieku Cezar wiedział, że nie może i nie powinien się przeciwstawiać: jego przyszły teść kontrolował cały Rzym. Z drugiej strony, z osobistego punktu widzenia, bardzo lubił Kornelię i uznał, że ma szczęście, że to ona zostanie jego małżonką. W świecie, w którym małżeństwa były rodzinnymi paktami, jemu się udało.

– Gdy tylko stanie się kobietą – odpowiedział.

– Zgoda. Tak właśnie umówiliśmy się z twoim ojcem. Podoba mi się, że honorujesz jego słowo...

Nagle do atrium wkroczył spocony posłaniec i głośno spytał o Cynnę. Gdy ten mu odpowiedział, legionista ogłosił nowiny.

– Wieści z Azji, konsulu.

Cynna czuł się w domu młodego Juliusza Cezara, jakby ta rezydencja była jego własnością. Podniósł dłonie, pokazując ich wnętrza.

– Jakie? – spytał, ale posłaniec nie odważył się już odezwać. – Na bogów, żołnierzu, mówże! Konsul znajduje się tutaj między przyjaciółmi, nieprawdaż? – Odwrócił się na chwilę do Cezara.

Młodzieniec skinął głową.

W atrium znajdowali się jeszcze Aurelia, Kotta, Kornelia i siostry Cezara. Przy kobietach legionista z całą pewnością nie czuł się swobodnie. Miał przecież mówić o sprawach wojskowych. Cynna jednak nalegał.

– Fimbria nie żyje, konsulu. Sulla zaoferował pokój Mitrydatesowi, ten przyjął ofertę i wrócił do Pontu. Potem Sulla zaatakował Fimbrię, jakby był kolejnym wrogiem, i otoczył go w Tiatirze, między Sardes a Pergamonem. Fimbria nakazał walkę z wojskami Sulli za to, że tamten zawarł pokój z królem Pontu, nie konsultując się ani z nim, ani z Senatem, ale Sulla przekupił jego legiony ogromnymi sumami, więc odmówiły walki. Wobec tego Fimbria uciekł do Pergamonu. Sulla go ścigał i otoczył w świątyni Eskulapa, gdzie ostatecznie Fimbria popełnił samobójstwo. Sulla dowodzi obiema armiami w Azji i po zawarciu pokoju z Mitrydatesem istnieje możliwość, że w ciągu kilku tygodni wróci do Rzymu.

Cynna milczał, jak wszyscy pozostali.

Konsul Rzymu, przywódca stronnictwa popularów, kontrolował całe miasto, ale nie miał armii, która mogłaby walczyć z Sullą.

– Skąd wziął tyle pieniędzy? – Cynna zastanawiał się na głos. – Skoro zawarł pokój z Mitrydatesem, czyżby to król Pontu dał mu środki, żeby przekupić wojsko? Skąd ma tyle pieniędzy? Znowu coś złupił?

Nikt nie odważył się odpowiedzieć na te pytania, a Cynna zresztą tego nie oczekiwał, więc zaraz zamilkł i w ciszy rozważał, co zrobić. Jego plan zniszczenia Sulli w Azji spalił na panewce. A nawet gorzej: Sulla wychodził z tego starcia jeszcze silniejszy. Widać wyraźnie, że ważnymi rzeczami trzeba zajmować się osobiście. Przekazał je Fimbrii i ten poniósł kompletną porażkę.

Cynna znów spojrzął na Cezara.

– To małżeństwo zostanie zawarte. Teraz muszę zająć się pewnymi sprawami. Kornelio, idziemy – powiedział, nawet nie spojrzawszy na córkę.

– Tak, ojcie – odparła posłusznie dziewczyna, ale wychodząc, spojrzała na Cezara, a ten, który miał zostać jej mężem, odpowiedział na to spojrzenie uśmiechem.

Ojciec i córka opuścili atrium rezydencji rodziny Juliuszów.

Aurelia pojęła, że małżeństwo, które jeszcze przed kilkoma chwilami wydawało się korzystne, mogło ostatecznie okazać się obciążeniem. Ale jak odmówić Cynnie? Niemniej jednak, jak zgodzić się na ten związek, gdy Sulla stawał się coraz potężniejszy i jego powrót był nieunikniony? Jeśli to on zwycięży w tej batalii, małżonek córki Cynny nie będzie w łaskach głównego przywódcy optymatów.

Aurelia zmarszczyła czoło i przełknęła ślinę.

* Morze Czarne.

ROZDZIAŁ XXXVII

Ślub Cezara

Rzym

84 r. p.n.e.

Kornelia stała się kobietą.

Miała tylko trzynaście lat, właściwie jeszcze była dziewczynką, ale mogła mieć już dzieci, a jej ojciec pilnie dążył do tego małżeństwa. Ruszyły przygotowania do ślubu. Wyznaczono dzień. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ Rzymianie dzielili dni na *dies fasti*, w których można zawierać małżeństwa i rozpoczynać wielkie przedsięwzięcia, oraz nieodpowiednie dla tych celów *dies nefasti*. Rzymianie byli bardzo przesądni, a czasy burzliwe, tak więc znalezienie właściwej daty, mimo zainteresowania obu stron, trochę trwało. Ostatecznie jednak udało się wyznaczyć dzień ślubu.

Obie rodziny zebrały się na zaręczyny, tak zwane *sponsalia*, w trakcie których wprowadzano w życie umowę małżeńską. Uzgodniono warunki dotyczące posagu i tego, że małżeństwo będzie w formie *cum manu*, a nie *sine manu*. Oznaczało to, że Kornelia przejdzie całkowicie pod władzę męża i nie będzie już powiązana z ojcem. Poprosił o to Cezar i chociaż Cynnio nie podobało się, że straci kontrolę nad córką, dla niego ważniejsze niż rozpoczęcie sporu o warunki małżeństwa było przypieczerowanie związku z rodziną Gajusza Mariusza.

Podpisano umowę małżeńską.

Cezar wręczył Kornelii żelazny pierścień i nałożył go jej na palec serdeczny lewej ręki, który wedle Rzymian łączył się bezpośrednio z sercem. W najbliższej przyszłości zgodnie ze zwyczajem zastąpić go miał pierścień ze złota. Od tej pory ślub należało zorganizować w ciągu kilku miesięcy. Najpóźniej po dwóch latach.

Sponsalia zakończyły się luksusowym bankietem, w trakcie którego obie rodziny życzyły sobie wzajemnie szczęścia i pomyślności. Uroczystość jawiła się jako oaza dobrych uczuć w samym środku politycznej burzy, która targała Rzymem.

Azja

84 r. p.n.e.

Sulla prawie wszystkie swoje zasoby złota i srebra pozyskane z grabieży w Grecji wydał na przekupienie wojsk Fimbrii. Militarnie i politycznie była to całkowicie udana operacja, ale teraz potrzebował pieniędzy, olbrzymich sum sestercji, denarów i talentów. Waluta była mu obojętna. Chodziło o pieniądze. Dysponował już nie jedną, lecz dwoma armiami, którym musiał płacić, a nie miał dostępu do państwowego skarbcza Rzymu, kontrolowanego przez Cynnę. Żeby uniknąć tracenienia żołnierzy w długiej wojnie przeciwko Mitrydatesowi, pozwolił królowi Pontu zakończyć konflikt traktatem, w którym nie wymagano pokrycia kosztów wojny, jaką tamten zapoczątkował, a którą miał i tak przegrać. To było nietypowe zagranie dla Rzymu, gdyż ten zwykle walczył i zwyciężał. Ale pokój pozwolił Sulli przejąć absolutną kontrolę nad obiema rzymskimi armiami na wschodzie oraz umożliwił powrót do granic sprzed wojny bez tracenienia kolejnych legionistów. Sulla potrzebował wszystkich swoich zbrojnych. Ponownie miał zamiar ruszyć na Rzym. Po raz drugi.

Dolabella nieustannie zwracał mu uwagę na brak pieniędzy. Mieli jeszcze złoto i srebro ze złupienia Delf i Aten, ale było go za mało na wojnę z Rzymem Cynny. Nie z tym wojskiem, które przyzwyczało się do regularnego pobierania hojnego żołdu.

Mimo wszystko Sulla się nie cofał. Zanim zaproponował pokój Mitrydatesowi, już obmyślił, kto sfinansuje jego kampanię przeciwko Cynnie. Zmusił wszystkie miasta i królestwa, które przeszły na stronę Mitrydatesa, do wypłacenia ogromnych trybutów jako kary za bunt. To samo zrobił z prowincjami rzymskimi, które

przychylnie zapatrywały się na przejście spod kontroli Rzymu do grona terytoriów wasalnych króla Pontu. Te miasta, królestwa i prowincje opłaciły Sullę. Zostały do tego zmuszone. To był akt prawdziwej powszechnej grabieży Azji, przeprowadzonej bez gwałtu i podpalania, ale pod groźbą, że do tego dojdzie, jeśli nie dostarczą wyznaczonych sum. Spalenie Aten stanowiło świeży przykład i motywowało do zapłaty.

Sulla miał legiony, zdobył pieniądze i był niezwykle niecierpliwy.

Rzym

84 r. p.n.e.

Cynna wiedział, że osobiście musi wyjść naprzeciw wojskom Sulli, gdy tylko wylądują w Italii. Małżeństwo córki z bratankiem Mariusza wzmacniało jego pozycję jako absolutnego przywódcy popularów – w ten sposób unikał zdradzieckich ruchów za swoimi plecami, które mogły się pojawić po opuszczeniu miasta nad Tybrem.

Najbardziej martwił się możliwą zdradą.

Ale nie wiedział, że przyjdzie ona nie z tej strony, z której się jej spodziewał.

Wschodnia część Morza Śródziemnego

84 r. p.n.e.

Sulla płynął w stronę Rzymu. Zatrzymał się w Grecji, żeby zabrać wojsko, które zostawił tam podczas swojego marszu na Ateny, ale od razu ruszył do Brundizjum, skąd zamierzał rozpocząć drugi pochód do serca imperium. Ten ostateczny.

Patrzył na horyzont z dziobu statku. Dolabella zbliżył się i stanął za jego plecami. Sulla wyczuł jego obecność i nie poruszając się, skupiony na morzu, zwrócony w kierunku Rzymu, powiedział:

- Czy wszyscy posłańcy wyruszyli w podróż, nim odpłynęliśmy?
- Tak.

– Do Krassusa w Hiszpanii, Metellusa Piusa w Afryce i Pompejusza w Italii? – dopytywał.

Napisał do znaczących senatorów ze stronnictwa optymatów, którzy przebywali na wygnaniu. Chciał na nowo zebrać wszystkie siły konserwatystów. Miał wystarczająco dużo wojska, które przede wszystkim było doświadczony w boju – zarówno na ziemi w Grecji i Azji, jak i na morzu, podczas bitew Lukullusa. Wiedział jednak, że Cynna z całą pewnością zrekrutuje ogromną armię, żeby stawić mu czoło. Wszelka pomoc ze strony Metellusa, Krassusa i Pompejusza okazałaby się bezcenna. Ich włączenie się w nową wojnę mogło zdecydować o wyniku.

– Posłańcy udali się do każdego z tych trzech, prokonsulu – potwierdził Dolabella.

– Dobrze – odparł Sulla, nie odrywając wzroku od morza. Patrzył tam, gdzie znajdował się Rzym.

Domus Lucjusza Korneliusza Cynny, Rzym

84 r. p.n.e.

– *Ubi tu Gaius, ego Gaia* – powiedziała Kornelia podczas ceremonii małżeńskiej odbywającej się w gronie bardziej intymnym, niż życzyłby sobie tego Cynna.

Całą swoją energię skierował na rekrutację wielkiej armii w Italii, żeby powstrzymać Sullę, gdy tylko ten wyląduje. Setki, tysiące Rzymian, a także *socii*, którzy skorzystali na poszerzeniu obywatelstwa rzymskiego na sprzymierzone ludy italskie, zgłaszały się do udziału w wojnie. Właściwie to więcej wsparcia i entuzjazmu można było dostrzec po stronie sprzymierzeńców niż wśród ludu rzymskiego, co nie powinno dziwić. Cynna nadał obywatelstwo rzymskie mieszkańcom innych miast, za to nic nie zrobił w sprawie historycznych żądań stronnictwa popularów w samym Rzymie, jak również nie odniósł się do potrzeb ludu rzymskiego zamieszkałego w mieście: nie rozdał zboża ani ziem. Nigdy się tym tematem nie zajął. To Mariusz bronił pomysłu przeprowadzenia reform,

o które od dziesięcioleci walczyli Grakhowie, a potem Druzus, Saturninus i inni trybuni ludowi. Wszyscy zostali zabici przez optymatów. Ale Cynna za bardzo gustował we władzy, żeby zacząć się nią dzielić. Poza tym powstrzymanie lub odwrócenie tych reform sprawiło, że konserwatyści, którzy nadal pozostawali w mieście, nie okazywali mu tak wielkiej wrogości, co wzmacniało jego władzę. Teraz, gdy nieunikniony powrót Sulli sprawił, że Cynna stał pod ścianą, było za późno na rozdawanie zboża czy ziemi. Potrzeba na to więcej czasu. Cynna właściwie myślał do tej pory, że nigdy nie będzie musiał spełniać żądań bazy popularów, ale teraz widział, że trzeba coś w tym kierunku zrobić, inaczej osłabnie ich wsparcie, zwłaszcza to, jakiego udzielało mu Zgromadzenie Ludowe. W dodatku opuszczenie Rzymu, w którym zostawało tylu konserwatystów, nie było zbyt rozsądne.

Zastanawiając się nad tymi kwestiami, uczestniczył w tradycyjnych ceremoniach ślubnych. Na ich koniec Kornelia rzuciła się w ramiona matki Anni, udając, że nie chce, żeby zabierano ją z domu rodzinnego. Dziewczyna świetnie odegrała rolę, krzyczała i płakała, jakby nadszedł kres jej życia, jakby naprawdę przejście do domu małżonka było dla niej najgorszym możliwym losem. W ten sposób przywoływała legendę o porwaniu dziewic; oczekiwano od młodej żony, że wykona to z zapałem.

Annia również odegrała rolę kobiety przygniecionej odebraniem jej córki, ale zrobiła to w bardziej powściągliwy sposób, gdyż ogólnie raczej starała się unikać szumu wokół swojej osoby.

Następnie rozpoczął się długi pochód do domu małżonka zwany *deductio*. Orszak ślubny stanowili fletniści, mężczyźni z pochodniami, przyjaciele, krewni i trójka małych chłopców. Cynna, Annia i Aurelia, która reprezentowała w tym przypadku zarówno siebie samą, jak i zmarłego ojca pana młodego, niosły płonące wiązki głogu, kądziel i wrzeczono, symbole życia, jakie od tej pory miała wieść Kornelia w rezydencji rodziny Juliuszów.

– *Thalassio! Thalassio!* – krzyczały setki osób zebranych po obu stronach ulic, którymi poruszał się weselny orszak w dzielnicy Subura.

Tego słowa używał najbardziej zuchwały Rzymianin, żeby odstraszyć tych, którzy chcieli odebrać mu najpiękniejszą porwaną Sabinę. Od tamtej pory posługiwano się nim, by życzyć panu młodemu, który prowadził świeżo poślubioną małżonkę do domu, żeby nikt mu jej nie odebrał.

Młody Cezar, bratanek Mariusza, ucieleśniał nadzieje biednych Rzymian, którzy w tym młodzieńcu widzieli, a raczej chcieli widzieć kogoś, kto pewnego dnia wreszcie zrealizuje ich marzenia o otwartym wystąpieniu przeciwko najpotężniejszym senatorom oraz o rozdawnictwie ziem, zboża i innych bogactw, czyli reformach, które obiecał im Cynna, a które nadal jeszcze nie zostały wprowadzone. Cezar się żenił, dorastał i w wielu rosła ta dziwna nadzieja: a może rzeczywiście bratanek Mariusza okaże się w przyszłości przywódcą stawiającym ich odwieczne żądania na forum Senatu, który zdominowany przez konserwatystów ich gnębił, a kontrolowany przez popularów pod przywództwem Cynny ich ignorował?

Niektórzy myśleli o tych sprawach. Nie było ich wielu. Większość uczestniczyła po prostu w tradycyjnej ceremonii i wołała zwrócić się do bóstwa opiekującego się ślubami, syna Wenus i Bachusa:

– *Hymenaeus! Hymenaeus!*

Podczas marszu Cynna doszedł do pewnych wniosków: gdy tylko zaślubiny się zakończą, nakaze przeprowadzić kolejną brutalną czystkę wśród optymatów i ich rodzin. Ulicami Rzymu znów popłynie krew. Gdy pokona Sullę, będzie mógł rozdać ziemie ofiar czystki, proskrypcji i zabójstw. W ten sposób rozwiąże bieżący problem i zapewni sobie władzę na okres... nieskończony?

Dotarli do rezydencji rodziny Juliuszów. Sąsiedzi rzucali orzechy trójce chłopców idących na czele orszaku. W ten sposób zapewniali parze płodność. Cezar wziął od jednego z niewolników rodziny kosmyk wełny i nieco oliwy i wręczył je swojej małżonce, która przyjęła ten dar i podała go towarzyszącej niewolnicy. Z kolei Kornelia dała Cezarowi kilka asów, pieniążków – w charakterze ofiary dla larów nowej rodziny.

Świeżo poślubieni małżonkowie podeszli do drzwi rezydencji Juliuszów w centrum dzielnicy Subura.

Cezar wziął młodą żonę na rękę. Była prawie dziewczynką i ważyła niewiele, a on był atletyczny. Kornelii spodobała się siła jej młodego małżonka.

Cezar ostrożnie przekroczył próg domu. Potknięcie oznaczałoby zły znak, ale do niczego takiego nie doszło. Związek został pobłogosławiony przez bogów jako szczęśliwy i płodny.

Cynna opuścił rezydencję rodziny Juliuszów, Suburę i Rzym. Stał na czele ogromnego wojska i ruszył w stronę Brundizjum, gdzie spodziewano się rychłego przybycia Sulli.

Młodzi małżonkowie zostali wreszcie sami w atrium rezydencji rodziny Juliuszów.

Świat zmierzał w stronę nowej wojny.

A oni właśnie zostali sobie poślubieni.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Cynna przeciwko Sulli

Wschodnie wybrzeże Grecji

84 r. p.n.e.

Armia Sulli jeszcze okrętowała się na wybrzeżu greckim, gdy Dolabella spytał dowódcę o plan działania.

– Jaka jest nasza strategia?

– Taka sama jak w przypadku Fimbrii – odparł zdecydowanym tonem Sulla.

Tej samej nocy na pokładzie triery wyruszyli do Ankony legionieści, którzy mieli wmieszać się w stacjonujące tam wojska Cynny i rozmawiać z żołnierzami.

Rzym

84 r. p.n.e.

Cezar na nią patrzył.

Poprowadził ją za rękę przez dom, tak samo jak tamtego popołudnia, kiedy się poznali, a on zabrał ją do *tablinum*, żeby po kryjomu podsłuchać, o czym ojcowie rozmawiali na temat Rzymu i nich samych. Doszło do małżeństwa, które obie rodziny wtedy uzgodniły.

Teraz byli mężem i żoną.

Palily się świece.

Noc należała do nich i nikt nie mógł im przeszkodzić. Byli sobie legalnie poślubieni.

Tym razem zaprowadził ją do sypialni, która już zawsze miała do nich należeć. Aurelia oddała im pokój, który zajmowała z ojcem Cezara. Teraz to jej syn był *pater familias*.

Tylko łożo zostało zmienione, ponieważ mogła używać go tylko ta kobieta, dla której je zrobiono. Aurelia nakazała przygotować nowe i przystroić je na tę okazję jako *lectus genialis*, poświęcone geniuszowi, który miał sprzyjać płodności młodego małżeństwa. Na łożu znajdował się niewielki posążek z ogromnym, nieproporcjonalnym do reszty figurki fallusem. Obecność tej statuetki nie onieśmieliła Kornelii, która weszła na łożo i usiadła na posążku, choć nie na fallusie, mimo że czuła jego obecność tuż przy swojej wulwie. Nie wiedziała, co się teraz wydarzy.

Tamtej nocy zrobili to obok posążka, a w kolejne wieczory figurka stała już w rogu pomieszczenia, ale zawsze blisko łoża.

Pomyślał, że jest piękna.

Pomyślała, że czuje się z nim bezpiecznie.

Za pierwszym razem trochę ją bolało. Niewiele. Od samego początku był uważny. Zaskoczyło go, że tym razem było inaczej niż wtedy, kiedy płacił prostytutkom z dzielnicy Subura. Zaskoczyło go i spodobało mu się poczucie, że kobieta oddaje mu się z własnej woli. Nie umiał ocenić, jak dalece szukanie tego wrażenia wpłynie na całe jego życie, na losy Rzymu i historię świata.

To były noce, podczas których młody Cezar po prostu spał z Kornelią, leżał u jej boku i ją kochał.

Żyli z dala od śmiertelnego starcia między Cynną a Sullą, jakby znajdowali się na wyspie odłączonej od znanego świata. Oboje, potajemnie, bez wyznania tego sobie nawzajem, w milczeniu nasłuchując oddechu tej drugiej osoby, pragnęli, żeby tak właśnie było, żeby mogli naprawdę żyć na odległej wyspie, z dala od wojny, która rzucała cień na wszystkich.

Obóz główny Cynny, Ankona, północna Italia

84 r. p.n.e.

Legioniści Sulli wmieszali się w szeregi legionów Cynny w jego obozie głównym. Sulla wysłał ich z Grecji z jedną misją: mieli szerzyć wieści wśród

zebranych pod Ankoną żołnierzy.

Toczyły się przygotowania do wielkiego starcia, które wedle planów Cynny powinno rozegrać się poza Italią, w Tesalii na terytorium greckim. Chciał w ten sposób odsunąć wojnę od Rzymu. Ale legioniści Sulli zaczęli rozpuszczać pogłoski, jakoby Sulla miał przebaczyć żołnierzom z nowej armii stacjonującej w Ankonie, a także zapłacić im, jeśli po prostu opuszczą Cynnę. Pokazywali przy tym złote i srebrne monety, a nawet rozdawali je tym, którzy chcieli ich słuchać.

– Sulla ma ich o wiele więcej, mnóstwo monet: sestercje, denary, talenty... – powtarzali.

Cynna nie zapłacił jeszcze swoim legionom. Nie rozdał również zboża i ziemi, a sprawował funkcję konsula już czwarty rok z rzędu. Wiele obietnic i niewiele działań.

Legioniści pochodzący z ludu rzymskiego zaczęli mieć wątpliwości. Za to *socii* nadal byli wierni Cynnie: przynajmniej ci, którzy niedawno uzyskali obywatelstwo rzymskie. Wówczas Sulla ogłosił, że Pompejusz, Metellus i Krassus płyną do Italii. Byli to trzej najbardziej skuteczni legaci z czasów wojny ze sprzymierzeńcami. *Socii* pamiętali ich nazwiska i okrucieństwo. Bali się ich. Cynna nie miał żadnego doświadczenia wojennego. Lojalność legionów stacjonujących w Ankonie zaczęła się sypać: strach przed Pompejuszem, Metellusem i Krassusem oraz wojskami, które prowadzili z Afryki czy Hispanii, jak również tymi, które rekrutowali w samej Italii, do tego pieniądze za zmianę stron, a także brak doświadczenia wojennego Cynny przeciwstawione sławie militarnej Sulli.

Ta mieszanka była śmiertelna.

Dla Cynny.

Rzym

84 r. p.n.e.

Cezar został obrany *flamen Dialis*. Z jednej strony się cieszył, gdyż było to bardzo prestiżowe stanowisko: stał się najważniejszym kapłanem w gronie

piętnastu *flamines*. Wśród nich znajdowali się kapłani *maiores* poświęceni Jowiszowi, Marsowi i Kwirynowi, oraz *minores*, którzy sprawowali kult mniej ważnych bogów, takich jak Wulkan, Wulturnus, Flora, Ceres i inne. Kapłan Jowisza był z nich najznaczniejszy, jedynie liczne restrykcje, z jakimi wiązało się to stanowisko, nieco przygnębiały Cezara.

Innym jego zmartwieniem było przybycie Sulli do Italii, podobnie jak dla pozostałych członków stronnictwa popularów.

Kornelia chciała go rozchmurzyć.

Pewnej nocy nie ograniczyła się do położenia się nago na plecach i rozchylenia nóg albo całowania całego jego ciała, czym doprowadzała go do ekscytacji. Zaproponowała, że zrobi coś więcej. Coś, co widziała na obrazkach wyrytych na monetach *spintriae*, które przed paroma tygodniami pokazała jej pewna egipska niewolnica. Powiedziała, że te monety to rekwizyty używane do gier seksualnych: na każdej z nich widniała para kochanków w różnych pozycjach, podejmująca się praktyk seksualnych, jakich Kornelia nawet nie była w stanie sobie wyobrazić. Na jednej z nich, tej, która najbardziej zapadła jej w pamięć, kobieta klęczała przed mężczyzną i wkładała sobie do ust jego nabrzmiały członek.

– Mężczyźni to lubią? – spytała niewolnicę Kornelia.

– Bardzo – odparła tamta. – Ale rzymskie matrony nie powinny tego robić – dodała z naciskiem.

– Dlaczego?

– Nie wiem, pani. W Egipcie, skąd pochodzę, jest to normalna praktyka, ale inne niewolnice, te, które urodziły się w Rzymie, twierdzą, że rzymska matrona nie może robić takich rzeczy.

Pamiętając tamtą rozmowę, Kornelia całowała nagą pierś Cezara z czułością i słodyczą, jak robiła to podczas wielu poprzednich nocy. Tym razem jednak zdecydowanie kierowała się w dół, docierając do jego brzucha i jeszcze niżej. Jej usta ślizgały się po skórze małżonka, aż dotarły do sterczącego członka. Wówczas nieco się odsunęła i schyliła, by pocałować żołądź – nabrzmiałą, napiętą i rzucającą

wyzwanie, gotową do spełnienia aktu seksualnego. Ale w momencie, gdy miała dotknąć jej ustami, Cezar chwycił ją delikatnie za głowę i odsunął ją od penisa.

– Nie – powiedział.

– Nie lubisz tak? – spytała.

– Nie o to chodzi. – Cezar pociągnął żonę subtelnie, lecz na tyle mocno, żeby położyć ją obok siebie. – Ty nie powinnaś tego robić.

– Dlaczego?

– Bo usta są święte. To nimi mówimy, a słowami uczestniczymy w debatach, porozumiewamy się, używamy ich podczas procesów sądowych i mów. Usta są święte. Usta rzymskiego męża i rzymskiej kobiety. Nie należy profanować ich męskim penisem. Ani ust kobiety, ani ust innego obywatela.

Kornelia się nie odezwała i jedynie głaskała pierś małżonka.

– Ale ciebie całowali w ten sposób... albo coś jeszcze? – Uczyniła gest w stronę sterczącego penisa małżonka.

– Za dużo pytasz – odpowiedział i zamknął jej usta swoimi, żeby tej nocy nie było już więcej pytań, tylko pieszczoty i jęki.

I tak się działo przez dłuższy czas.

Gdy skończyli gry miłosne, spełnieni leżeli, wpatrując się w sufit i obserwując drżące cienie w rogach pomieszczenia. Światło świec było wątłe, a w domu panowała zupełna cisza. Wszyscy poza nimi spali.

Kornelia zadała kolejne pytanie.

– Dlaczego w Egipcie kobiety robią te rzeczy?

– Dlaczego ssą penisa mężczyzny?

– Tak. Opowiedziała mi o tym egipska niewolnica.

Cezar ułożył się na boku i pieszcząc jej nagie ciało, odpowiedział cicho na pytanie.

– Egipski bóg Ozyrys rządził wraz z siostrą Izydą, która również była mu poślubiona, ale bóg Set zazdrościł mu władzy i go zabił. Żeby upewnić się, że nikt nigdy nie zdoła wskrzesić jego ofiary, Set pociął na kawałki ciało Ozyrysa i ukrył

je w różnych miejscach. Ale z pomocą innych bóstw Izyda odzyskała wszystkie części ciała swojego boskiego małżonka i złożyła je z powrotem. Brakowało tylko penisa. Mówią, że Izyda zrobiła go z błota i gdy całe ciało zostało już złożone, w cudowny sposób wróciła Ozyrysowi życie. Niektórzy twierdzą, że zrobiła to za pomocą magicznych skrzydeł, inni jednak uważają, że dmuchała lubssała jego błotnego penisa. Być może dlatego takie praktyki między kobietą a mężczyzną nie są tam źle widziane.

– Skąd znasz tę historię?

– Ha, ha, ha! Nie stąd, skąd się spodziewasz. Opowiada ją Herodot w drugiej księdze *Dziejów*. W bibliotece mojego ojca jest mnóstwo papirusów. Przeczytałem je wszystkie.

Kornelia poddawała się pieścizotom, zastanawiając się nad inną kwestią.

– Byłeś kiedyś z egipską niewolnicą... albo... z Egipcjanką. – Uniknęła słowa „prostytutka”. Nigdy nie rozmawiali o tym, czy sypiał przed nią z innymi kobietami.

– Nigdy nie byłem z żadną Egipcjanką. – Pochylił się, żeby pocałować ją w policzek, nadal głaszcząc jej brzuch. – Nie sądzę, żebym kiedykolwiek miał być.

Roześmieli się oboje.

Cezar położył się z powrotem na plecach.

– Ale Egipt jest ważny – powiedział.

– Dlaczego?

– To klucz do kontroli wschodu. Właściwie to jeden z powodów, dla których rozpoczęła się wojna z Mitrydatesem. Nie tylko dlatego, że król Pontu zagroził naszym wschodnim prowincjom i Grecji, ale też dlatego, że dążył do opanowania Egiptu. Królestwo faraonów to bardzo bogate tereny.

– Ze złotem, jak Hispania? – spytała.

– Nie. Ze zbożem.

Spojrzała na niego zagubiona. Sądziła, że złoto jest o wiele cenniejsze niż zboże.

– Rzym rośnie szybko i ludzie potrzebują jedzenia. Musimy mieć coraz więcej zboża. Egipt jest bardzo ważny – podkreślił. – To klucz do zapewnienia nam żywności i strategiczne miejsce do kontroli nad wschodem, jeśli Rzym w ogóle chce kiedyś naprawdę opanować tę część świata.

Kornelia poczuła senność.

Cezar nadal mówił.

Jego głos ją usypiał.

– W podobny sposób na północy ważna jest Galia. Zawsze atakowano nas z tamtej strony: Hannibal w czasach Scypiona przybył z północy, tak samo jak Cymbrowie i Teutonowie w czasach wuja Mariusza. Jeśli opanujemy całą Galię, Rzym będzie zawsze bezpieczny. Przy tylu ludach galijskich zajęcie tego terytorium jest prawie niemożliwe, ale pewnego dnia ktoś powinien poważnie się do tego wziąć. Wiem dużo o Galii od Marka Antoniusza Gnipho, który był moim nauczycielem. On jest Galem. Studiował w Aleksandrii, ale pochodzi z Galii i myślę, że z tego powodu tak bardzo interesował się tymi ziemiami. Opowiedział mi tysiące historii. Mógłbym wymienić ci nazwy wszystkich plemion zamieszkujących Galię, jakie mają zwyczaje, gdzie są ich siedziby, skąd się wywodzą. Gnipho był dobrym nauczycielem. Teraz naucza w szkole, którą otworzył...

Cezar ponownie położył się na boku, żeby dalej mówić i jednocześnie patrzeć na Kornelię, ale zobaczył, że ona już śpi.

Zamilkł więc i wrócił do poprzedniej pozycji.

Patrzył w sufit i myślał.

O Galii.

I o Egipcie.

Obóz główny Cynny, Ankona, północna Italia

84 r. p.n.e.

Cynna wezwał oficerów swojej armii. Doszły go wieści, że wielu legionistów ma wątpliwości co do starcia z Sullą, którego uważali za niezwyciężonego. Doprowadzało go to do szewskiej pasji: Sulla nawet nie pokonał w jednoznaczny sposób Mitrydatesa, a wręcz zawarł z nim pokój, który w żaden sposób nie był dla Rzymu korzystny, stanowił raczej wstydliwą umowę. Może i odniósł parę zwycięstw w Grecji i w przeszłości miał jakiś chwalebny epizod w wojnie przeciwko Jugurcie, ale nic poza tym. Przeciwno Teutonom niczym się nie wykazał. Całe zasługi w niepodważalny sposób należało przypisać Mariuszowi. Ale chociaż widział ograniczenia w zdolnościach wojennych Sulli, Cynna zdawał sobie sprawę, że nie może ruszyć z tym ogromnym wojskiem w kierunku Grecji, nie zapewniwszy sobie jego lojalności. Wszystko to sobie obmyślił: miał zaproponować legionistom dodatkową wypłatę po pokonaniu Sulli w Grecji, a już teraz wypłacić pierwszą część żołdu, tak żeby legioniści poczuli się pod jego dowództwem pewniej.

Skupiony na sprawach politycznych w stolicy, nie wiedział, że Sulla już skusił jego armię w Ankonie, ani nie znał skali przekupstwa. Cynna nigdy nie zdążył na czas.

Stanął przed oficerami prawie bez eskorty, gdy jakiś żołnierz przedarł się do niego, żądając swojej wypłaty. Jeden z liktorów, którzy towarzyszyli konsulowi, odepchnął go paroma ciosami, ale to tylko podgrzało emocje tłumu legionistów, którzy zebrali się spontanicznie i bez pytania o pozwolenie stawili się na zebraniu oficerów.

Cynna chciał jak najszybciej dostać się na podwyższenie, z którego mógłby zwrócić się do wszystkich obecnych, dlatego nakazał jednemu z liktorów natychmiast oczyścić drogę.

– Przejście dla konsula rzymskiego! – krzyknął, patrząc na swoich strażników.

Ci odepchnęli legionistów, którzy nadal napierali na konsula, wyzywając go i żądając pieniędzy.

Cynna wpadł we wściekłość.

– Durnie – wycedził. – Gdybyście tylko wiedzieli, że właśnie o pieniądzach chcę mówić.

Nie rozumiał, że kwestia kontroli nad armią stacjonującą pod Ankoną już nie zależała od słów i obietnic. Sulla przysłał legionistom pieniądze, prawdziwe złote i srebrne monety. Ci ludzie słuchali już tylko tego argumentu.

Cynna nie zdołał nawet dotrzeć do podwyższenia: lawina kamieni spadła na liktorów i niego samego. Jeden ze strażników osłonił go tarczą, ale sytuacja wymknęła się już spod kontroli. Legioniści wyciągnęli miecze. Byli wzburzeni opóźnieniem w wypłacie żołdu, przerażeni koniecznością walki przeciwko Sulli, którego się bali, mieli także na uwadze obietnicę, że im wybaczy, włączy ich do własnego wojska, jeśli opuszczą stronnictwo popularów i konsula, a przede wszystkim czuli prawdziwe monety w kieszeniach jako zapowiedź spełnienia tych obietnic.

Poląła się krew.

Liktorzy nie mogli dać sobie rady z tłumem nieopanowanych legionistów. Oficerowie, centurioni i trybuni milczeli. Nikt nie wydał żadnego rozkazu.

Cynna został otoczony przez uzbrojonych żołnierzy.

Pierwszy miecz wszedł w jego plecy.

Drugi – w bok.

Reszta, pół tuzina kolejnych, jednocześnie wbiła się w niego ze wszystkich stron.

Cynna zginął na miejscu.

Padł tak, jak padają dyktatury: nagle i w zaskoczeniu, jakie maluje się na twarzy dyktatora, tak jakby nie mógł uwierzyć w to, do czego doszło.

Przekupstwo Sulli po raz kolejny przyniosło owoce.

ROZDZIAŁ XXXIX

Decyzja Aurelii

Rzym

84 r. p.n.e.

Powrót Sulli do Rzymu był nieuchronny. Była to tylko kwestia czasu.

Wieści o śmierci ojca Kornelii dotarły do rezydencji rodziny Juliuszów.

Cezar objął żonę, która od razu się rozplakała, nie tyle z powodu śmierci ojca, który nigdy jej nie kochał, ile dlatego, że upadek konsula oznaczał początek upadku reżimu popularów. Do Rzymu dotarły również wieści o ruchach takich mężów, jak Krassus, Pompejusz czy Metellus, którzy rekrutowali ludzi od Hispanii po Italię, żeby połączyć się z Sullą wracającym do Rzymu.

Wszyscy w domu Cezara zrozumieli, że sytuacja jest niezwykle trudna. Czy Papiriusz Karbo, drugi konsul, jedyny, który został po śmierci Cynny, jest zdolny zebrać odpowiednio potężne wojsko i – co ważne – wojsko lojalne, żeby stawić czoło Sulli i jego sojusznikom?

– Muszę wyjść – powiedziała Aurelia.

Cezar wyraził zdziwienie, że matka opuszcza dom w takich okolicznościach.

– Chcę zakupić odpowiednią ilość żywności, żebyśmy mogli wytrwać tygodnie, jeśli sprawy się skomplikują – wyjaśniła. – Jeśli Sulla znów pomaszeruje na Rzym, możemy mieć problemy z zaopatrzeniem.

Cezar skinął głową. Jego matka zawsze taka przezorna.

– Zabierz ze sobą tylu niewolników, ilu potrzebujesz – powiedział. – Bezpieczeństwo przede wszystkim.

Aurelia wstała.

Kornelia nadal szlochała w ramionach Cezara, a dwie szwagierki ruszyły, żeby ją pocieszyć.

Aurelia miała już wyjść z domu, gdy usłyszała głos synowej, która jeszcze nie do końca się uspokoiła.

– Powinnam pomóc. Pójdę z twoją matką.

Zatrzymała się i odpowiedziała zdecydowanym tonem:

– Nie! – Ponieważ odmowa zabrzmiała zbyt radykalnie i niejasno, dodała w bardziej uprzejmych słowach: – Przeżyłaś bardzo mocny cios i musisz odpocząć i... – spojrzała na córki, które pewnie teraz pomyślały, że któraś z nich powinna towarzyszyć matce. – Wolę, żebyście zostały w domu i przejrzały spiżarnie. Jeśli gdy wrócę, będzie czegoś brakowało, pójdziecie uzupełnić zapasy.

W ten sposób nie dawała możliwości wyjść z nią nikomu poza obowiązkową grupą niewolników w charakterze eskorty.

Matka Cezara krążyła po zaułkach Subury. Niewolnicy myśleli, że pójda na Forum Boarium, jeden z największych targów w mieście, żeby tam zakupić żywność, o której mówiła ich pani, ale nakazała im najpierw udać się do *tabernae veteres* na forum w centrum miasta.

Twarz Aurelii wyrażała napięcie: Kornelia nie była już żoną, która łączy jej syna z władzą. Ta władza właśnie się zachwiała i zaczęła swój ostateczny upadek. Nic nie było w stanie powstrzymać Sulli. Opór popularów oznaczać będzie jedynie długą i powolną agonię. Kornelia to teraz obciążenie. Bardzo znaczące i niebezpieczne.

– Tutaj wejdę sama – powiedziała do niewolnika *atriense*, gdy zatrzymali się przed sklepem znanym z przypraw.

Niewolnik skinął głową i upewnił się, żeby nikt więcej nie wchodził do środka, kiedy jego pani robiła zakupy.

Aurelia podeszła do właściciela i odezwała się cicho:

– Nie ma dziś twojej żony? Kilka dni temu zamówiłam u niej specjalne zioła, pomyślałam, że może już je dostarczono.

Mężczyzna nic na to nie odpowiedział, jedynie skinął bardzo wolno głową i ruszył w stronę zaplecza. Gdy ktoś pytał o jego żonę, wolał nie wiedzieć zbyt wiele o sprawie.

Niezbýt stara kobieta o miłych rysach twarzy i jasnym spojrzeniu pojawiła się w sklepie i podeszła do *dominy*, która o nią pytała.

Aurelia zwróciła się do niej po imieniu, chcąc wzbudzić zaufanie.

– Masz to, Mucjo?

– Mam, pani, ale muszę raz jeszcze ostrzec, że to niebezpieczne.

– Wszystkie trucizny są niebezpieczne, chodzi o to, żeby szybko zadziałała. Muszę rozwiązać poważny problem, ale nie chcę przysporzyć niepotrzebnego cierpienia. Śmierć sama w sobie jest już wystarczająco ponura.

– Działa bardzo szybko – potwierdziła Mucja. – Ale wiele kosztowało mnie jej zdobycie...

Aurelia delikatnie się uśmiechnęła. Spodziewała się czegoś podobnego. Wyjęła woreczek z pieniędzmi i położyła go na stole pokrytym przyprawami.

Kobieta bez słowa udała się na zaplecze i za chwilę wróciła z buteleczką.

– Jest śmiertelna? – spytała Aurelia, biorąc ostrożnie eliksir.

– Kilka kropli zabije najmocniejszego legionistę – wyjaśniła tamta. – Zrobiono ją z rośliny nazwanej przez Greków *sardónios*, jak wyspa, z której pochodzi *. Na ustach tych, którzy zmarli za jej sprawą, pozostawia dziwny uśmiech **, ale jest śmiertelna i działa szybko.

Aurelia skinęła głową, odwróciła się i wyszła ze sklepu. Teraz powinna udać się po żywność na Forum Boarium. Spieszyła się: trzeba zrobić zakupy, przygotować kolację i zająć się pewnym obciążeniem. Czuła się bardzo źle. Nikt tego może nie podejrzewał, ale polubiła Kornelię, tyle że po śmierci Cynny nagle wszystko się zmieniło. Musiała przede wszystkim chronić syna i wyzwolić go z okowów, które wiązały go z upadającym reżimem. Gdy Sulla wejdzie do miasta, będzie bezlitosny dla wszystkich powiązanych z Cynną. Aurelia szła zdecydowanym krokiem,

smutna, z kamieniem ciążącym jej na żołądku i dziwnym biciem serca, ale decyzję już podjęła.

Rzym nie był miejscem na sentymenty, trzeba myśleć praktycznie.

I szybko.

* Sardynia. (Roślina ta w języku polskim funkcjonuje pod nazwą kropidło szafranowe – przypis tłumaczki).

** Sardoniczny uśmiech.

ROZDZIAŁ XL

Postępy Sulli

Italia

83–82 r. p.n.e.

Sulla wraz z sojusznikami kroczył przez Italię. Opanował Kampanię. Wybrany przez popularów w miejsce Cynny konsul Norban został pokonany. Rozłokowane w Teanum wojska innego konsula – niejakiego Scypiona, choć to zbyt wielkie imię dla tak nieskutecznego dowódcy – zdezerterowały i przeszły na stronę zwycięskiego Sulli.

Metellus i Pompejusz atakowali w Picenum legiony nowego konsula Papiriusza Karbona, który zastąpił nieszczęsnego Norbana.

W rozpaczliwej próbie znalezienia jak najbardziej charyzmatycznego przywódcy, który stawiliby czoło Sulli, popularzy wybrali na nowego konsula syna Gajusza Mariusza. Ten przyjął wyzwanie i ruszył z zaimprovizowanym *in extremis* wojskiem do Sacriportus, żeby wydać regularną bitwę armii Sulli i Dolabelli.

– Co robimy? – pytali trybuni Sulle.

– Atakujemy – odparł tamten bez cienia wątpliwości.

Przyśniło mu się, że Mariusz ojciec mówił swojemu synowi, aby nie stawał do bitwy w tym dniu. Pomyślał, że to dobry znak, ale Dolabella nie był pewien, czy powinni rzucać się do boju.

– Żołnierze maszerowali wiele dni. Muszą odpocząć. Lepiej poczekać...

Jego słowa zostały jednak zagłuszone przez legionistów nadbiegających z drugiej strony obozu.

– Atakują! Atakują!

Niezależnie od snów Sulli Gajusz Mariusz Młodszy chciał napaść na wroga w trybie *oppugnatio repentina*, a więc bez czekania, nie dając możliwości wycoczynku ani sobie, ani przeciwnikowi.

Sulla spojrział na Dolabellę.

– Nie mamy wyjścia – przyznał ten drugi. – Obronimy się i przeprowadzimy kontratak.

Słowa Dolabelli zamknęły spotkanie i wszyscy trybuni ruszyli na swoje stanowiska.

Walka trwała wiele godzin.

Rzym

82 r. p.n.e.

Aurelia nie była w stanie zrealizować swojego planu. Zabrakło jej odwagi.

Przewracało jej się w żołądku na samą myśl. Przez wiele miesięcy opóźniała podjęcie decyzji, dzień za dniem, aż minął rok. Miała jeszcze nadzieję – niewielką, ale ciągle bijącą w sercu – że siły popularów pod wodzą różnych konsulów zdołają powstrzymać Sullę.

Ale i tak wszystko powoli zmierzało ku katastrofie. Porażka za porażką, wróg był coraz bliżej miasta, a nadzieja, jaką Aurelia pokładała w zdolnościach młodego Mariusza, gasła. To dzielny żołnierz, ale nie dysponował ani siłą, ani inteligencją ojca. W jakiś sposób Aurelia była przekonana, że duch wielkiego Mariusza przeszedł na jego bratanka, młodego Cezara, ale ten miał dopiero osiemnaście lat, nie mógł wiele zrobić.

– Jak myślisz, co się wydarzy? – spytała teściową pewnego popołudnia Kornelia.

– Cezar poszedł na forum. Przyniesie nam wieści – odpowiedziała Aurelia spokojnym tonem, choć od jakiegoś czasu przeczuwała ostateczną klęskę: nadejście Metellusa z Afryki i Pompejusza z Italii, doświadczenie Sulli oraz zbyt młody wiek Mariusza Młodszego mogły dać jedynie taki wynik.

Dlatego w końcu wróciła do decyzji, jaką wcześniej podjęła.

Osobiście poczęstowała młodą synową gorącym rosołem.

– Proszę, dobrze ci to zrobi – powiedziała. – Nadal jeszcze jest zimno i wilgotno. Mamy już dość problemów. Nie możemy dodawać do nich przeziębienia ani osłabienia, nie uważasz, moja mała?

Kornelia ujęła naczynie w obie dłonie.

– Ostrożnie. Jest bardzo gorący.

W gorącym płynie trucizna lepiej się rozpuszczała, a jej smak nie był odczuwalny.

Kornelia kilkakrotnie podmuchała powierzchnię zupy. Następnie powoli, żeby nie uronić ani kropli, przysunęła naczynie do ust i je umoczyła.

– Uf! – krzyknęła. – Na Jowisza! Bardzo gorące! Poczekam chwilę. – Ostrożnie odstawiła naczynie na stolik.

Aurelia wpatrywała się w rosół. Nie odzywała się.

– Chcę ci coś powiedzieć – zagała Kornelia.

– Tak, moja mała? – zachęciła ją teściowa, nie spuszczać wzroku z parującego płynu.

– Chciałabym wyrazić ci wdzięczność za wszystko, co dla mnie zrobiłaś w ostatnich latach, za to, jak przyjęłaś mnie w tym domu – zaczęła dziewczyna. – Ojciec nie żyje, a matka zawsze była oschła. Mój brat nie jest tak silny i inteligentny jak Cezar. Gdybym nie była poślubiona twojemu synowi, gdybym nie miała ciebie i twoich córek, byłabym... zagubiona i czułabym się bardzo osamotniona. I bardzo bym się bała. No dobrze, i tak się boję. Ale myślę, że wszyscy boimy się zwycięstwa Sulli, a ja przynajmniej nie czuję się w tym strachu osamotniona. Tak dobrze mnie traktowałaś... jakbym była twoją córką. Od samego początku. Nauczyłaś mnie greki i zawsze miałaś dla mnie miłe słowo. Małżeństwo z Cezarem to najlepsza rzecz, jaka mi się przytrafiła w życiu. Ale mieć ciebie za teściową jest zaraz za tym.

Aurelia tylko kiwała głową, nic nie mówiąc i nie odrywając wzroku od naczynia z rosółem. Nie ważyła się spojrzeć dziewczynie w oczy. Nie w tej chwili.

Kornelia znów ostrożnie sięgnęła po płyn, ale nie przestawała mówić.

– Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że będę zawsze wierna rodzinie Juliuszów i będę stać u boku mojego małżonka w każdych okolicznościach, a także zrobię cokolwiek będzie trzeba, o cokolwiek mnie się poprosi, cokolwiek Cezar zechce, cokolwiek rodzina Juliuszów uzna za najlepsze. Moja lojalność jest absolutna.

Aurelia wbiła wzrok w podłogę.

Kornelia zbliżyła naczynie do ust, powoli, żeby nic nie wylać. Zatrzymała się. Płyn nadal parował.

Oczekiwanie, aż rosół przestanie być gorący, przebywanie tylko we dwie, w zupełnej intymności z matką męża... Nie zaplanowała tego, ale nagle uznała, że nadeszła odpowiednia pora, żeby ogłosić to, czym prędzej czy później miała podzielić się z Aurelią, a przede wszystkim z Cezarem.

– Jest jeszcze jedna sprawa... – zaczęła, nie wypuszczając naczynia z rąk.

– Co takiego, moja mała? – spytała z westchnieniem Aurelia. Nie było jej łatwo. Wątpliwości pojawiły się po tych słowach dziewczyny, ale najważniejsze było zapewnienie bezpieczeństwa synowi, ocalenie go przed szkodliwym nagłym związkiem. Dlatego Aurelia nie wahała się, podtrzymywała swoją decyzję, nawet jeśli była ona okrutna.

– Chyba jestem w ciąży – powiedziała Kornelia i po tym krótkim, konkretnym zdaniu znów zbliżyła naczynie do ust.

– Czekaj! – nakazała jej Aurelia, gwałtownie wstając.

Dziewczyna przestraszyła się. Naczynie wypadło jej z rąk i rozbiło w drobny mak na mozaikowej podłodze. Wywar rozlał się po płytkach i zaczął wsiąkać w szczeliny.

– Na Herkulesa! Tak mi przykro! – zawołała dziewczyna, zawstydzona tym, co się wydarzyło. – Ależ jestem niezdarna!

– Nie, nic się nie stało – uspokoiła ją Aurelia. – Wydawało mi się, że... zobaczyłam... plamę... na naczyniu. A żona mojego syna nigdy nie będzie pić z brudnego naczynia. Zaraz poprosimy o drugie.

– Ale sama mi przygotowałaś ten rosół... Przykro mi, żałuję bardzo...

– To tylko rosół, Kornelio. Nic ważnego. Poza tym ciężarna kobieta ma prawo tłuc wszystkie naczynia świata. – Aurelia odwróciła się do niewolnika *atriense*. – Przynieście więcej rosółu. Dwie porcje, ja też napiję się czegoś ciepłego. I na bogów, sprzątnijcie to.

Niewolnik zbliżył się do nich.

– Pani je doprawi? – dopytał, bo nie wiedział, czy tak jak wcześniej jego pani zechce, żeby przyniósł rosół w dzbanku, a ona sama doprawi wywar.

– Nie, ty to zrób – odpowiedziała Aurelia i znów zwróciła się do Kornelii. – Zapomnij o rozlanym rosole. Cezar szybko wróci i przyniesie nam wieści. To ważne. A jeszcze ważniejsze to, co mi właśnie powiedziałaś. Od kiedy wiesz?

– Od trzech miesięcy nie krwawię – odpowiedziała dziewczyna.

Aurelia wstała powoli, podeszła do synowej i objęła ją z czułością.

– Następnym razem zawiadom mnie przy pierwszym opóźnieniu, dobrze?

– Tak, Aurelio... Mogę mówić ci po imieniu?

– Możesz, moja mała, możesz – odpowiedziała matka Cezara i zamknęła oczy.

Kornelia skinęła głową. Czowała się zawstydzona, zaczerwieniła się z powodu swojej niezdarności, ale znów okazało się, że jej teściowa jest nieskończenie dobrą osobą, a ona sama, Kornelia, ma wielkie szczęście, nawet teraz, gdy całe stronnictwo popularów w Rzymie się chwieje, bo należy do rodziny, która tak bardzo ją szanuje.

ROZDZIAŁ XLI

Prochy Mariusza

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

82 r. p.n.e.

Cezar przyjął wiadomość o ciąży Kornelii z zaskoczeniem charakterystycznym dla kogoś, kto po raz pierwszy zostanie ojcem, i radością młodego małżonka mającego wkrótce ujrzeć swoje dziecko. Codziennie chodził na forum i wracał do domu z wieściami na temat postępów Sulli w Italii, ale myślał tylko o tym, że świat staje się mało przyjazny dla nowego życia, które nosi Kornelia. Nie wiedział, co robić, żeby móc odwrócić bieg zdarzeń toczących się wbrew jego nadziejom, pragnieniom i bezpieczeństwu wszystkich członków rodziny.

Pewnego wieczoru wrócił do domu z ostatnimi nowinami. Nie były dobre: syn Mariusza zaatakował wojska Sulli, ale przywódca optymatów przy wsparciu innych senatorów ze stronnictwa konserwatywnego i dzięki swojemu doświadczeniu, a przede wszystkim dzięki wyćwiczonym na wojnie przeciwko Mitrydatesowi wojskom ostatecznie przechylił szalę na swoją korzyść i zwyciężył w bitwie. Mariusz schronił się w mieście Praeneste. A to nie było wszystko: konsul z ramienia popularów Norban został pokonany już wcześniej, a ten, który go zastąpił, Karbo, uciekł do Afryki. Optymaci Metellus, Pompejusz i Krassus przetaczali się po całej Italii, masakrując ośrodki oporu.

– To tylko kwestia czasu, kiedy dołączą do Sulli, a ten wejdzie do Rzymu i przejmie władzę – stwierdził Cezar.

Zapadła długa cisza. Ani siostry Cezara, ani jego matka nie powiedziały słowa. Tylko Kornelia się odezwała po pewnej chwili.

– Jestem zmęczona... Położę się. – Wstała powoli i ostrożnie, bo jej ciąża była już zaawansowana i trudno jej było poruszać się z dawną zręcznością.

– Odprowadzę cię – powiedział Cezar, zawsze uważny na jej samopoczucie.

W atrium rezydencji rodziny Juliuszów zapadała noc.

Noc zapadała w Rzymie.

Noc zapadała nad wszystkimi Rzymianami, którzy wierzyli w sprawę popularów.

Forum w Rzymie

Krassus jako pierwszy z optymatów przybył do Italii, by wesprzeć sprawę konserwatystów i Sulli. Metellus i Pompejusz szli wolniej, tłumiąc słaby opór niektórych *socii* odmawiających przyjęcia do wiadomości, że wszystkie ich marzenia o rzymskim obywatelstwie prysły wraz z powrotem Sulli, który prowadził restrykcyjną i konserwatywną politykę.

Sulla wreszcie dotarł do Rzymu.

W tym momencie nikt nie stawiał mu oporu. Nie było żadnych sił, które mogłyby stanąć z nim do walki, pozostały jedynie idee polityczne, ale te nie mają zdolności bojowej. Legiony Sulli przejęły kontrolę absolutną.

To jednak nie wystarczało. Sulla pożądał czegoś więcej niż pełnej kontroli, całej władzy. Radowała go również zemsta.

– Gdzie on jest? – spytał senatorów, którzy wyszli na forum, żeby powitać go przed budynkiem kurii.

Patres conscripti nie rozumieli, o kogo mu chodzi. Nawet Krassus. Tylko Dolabella wiedział, kogo szuka jego mentor.

– Mariusz – wyjaśnił. – Gdzie go pochowano?

Senatorowie poprowadzili Sullę wraz z silną grupą legionistów do miejsca, w którym spoczęły prochy dawnego przywódcy popularów – mauzoleum stało przy Via Appia, wzniesiono je szybko, prawie w sposób improwizowany. Wysiłki podjęte w celu zatrzymania pochodu Sulli przesunęły w nieokreśloną przyszłość

plany oddania pośmiertnego hołdu wielkiemu przywódcy. To nie był pomnik odpowiedni do sukcesów, jakie Mariusz odnosił w polityce i na wojnie.

Sulla zatrzymał się przed niewielką świątynią, gdzie spoczywały prochy jego wroga.

Nie, nie był to wielki pomnik, przynajmniej dla kogoś, kto siedmiokrotnie obejmował konsulat, ale mimo wszystko ten spoczynek starego populara mu się nie podobał.

– Spopielono go? – spytał.

– Tak – odparło kilku senatorów.

– Wyjąć jego prochy – nakazał wobec tego Sulla.

Legioniści zaczęli uderzać w drzwi prowadzące do świątynki, aż je wyłamali, dostali się do środka i po chwili pokazali Sulli metalową skrzynkę, która bez cienia wątpliwości zawierała prochy mitycznego Gajusza Mariusza.

– Idziemy – powiedział Sulla.

Dolabella znajdował się u jego boku i spytał o to, co wszyscy chcieli wiedzieć, ale nikt nie odważył się indagować.

– Dokąd zmierzamy?

– Poza miasto, żeby było odpowiednio daleko – odparł Sulla.

Rzeczywiście przeszli kilka mil: zostawili za sobą Rzym i przemierzali się wzdłuż Tybru, aż dotarli do miejsca, w którym wpływała do niego rzeka Aniene. Tam Sulla się zatrzymał.

– Chyba jesteśmy wystarczająco daleko. – Spojrzał na legionistów, którzy nieśli skrzynkę z prochami Mariusza. – Wysypać je tutaj.

Przez twarze żołnierzy przemknął cień wątpliwości.

To były prochy człowieka, który kilkakrotnie ocalił miasto, zwłaszcza w czasach śmiertelnego zagrożenia ze strony Teutonów zamierzających zniszczyć i zmasakrować cały Rzym. Wysypanie ich do rzeki oznaczałoby, że bohater nie będzie mógł cieszyć się wiecznym odpoczynkiem w Hadesie. Nieważne, że był wielkim wrogiem Sulli i optymatów.

Niemniej jednak wyraz twarzy przywódcy konserwatystów nie pozostawiał miejsca na jakiegokolwiek kwestionowanie rozkazu.

Legioniści w ciszy przełknęli wątpliwości i zbliżyli się do brzegu, a potem weszli do rzeki, docierając do miejsca, gdzie woda sięgała im powyżej pasa. Tam otworzyli skrzynkę i wysypali prochy Mariusza.

– Świetnie! – krzyknął Sulla.

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w rzekę, żeby cieszyć się swoją szczególną wiktoria *post mortem* nad Mariuszem, znienawidzonym wrogiem, obecnie pokonanym, martwym i pozbawionym wiecznego spoczynku. To było absolutne zwycięstwo.

Domus rodziny Juliuszów

Tego samego popołudnia

Gdy Cezar dowiedział się o tym, co Sulla zrobił z prochami jego wuja Gajusza Mariusza, przez długą chwilę nic nie powiedział. Labienus uszanował tę ciszę i zostawił go samego z Kornelią. To on przyniósł te żałobne wieści i tysiąc razy błagał o wybaczenie za to, że jest posłańcem.

Kornelia poszła do westybulu, gdzie czekał przyjaciel Cezara.

– Lepiej będzie, jeśli sobie pójdiesz – powiedziała. – Nigdy go takim nie widziałam. Potrzebuje czasu, żeby... żeby zaakceptować to, co się wydarzyło.

Labienus pożegnał się i wyszedł.

Kornelia wróciła do atrium, gdzie jej małżonek nadal siedział w *selli* obok *impluvium*. Niezmiennie milczał, wpatrywał się w mozaikę na podłodze.

Aurelii nie było w domu. Poszła na targ, na Forum Boarium, żeby zakupić żywność.

Kornelia powoli zbliżyła się do Cezara. Objęła go od tyłu.

– Nie wiem, kiedy ani w jaki sposób – odezwał się wreszcie Cezar spokojnym, zimnym, cichym głosem – ale pewnego dnia stawię czoło Sulli. Właściwie to nie wiem, kiedy ani w jaki sposób, ale pewnego dnia stawię czoło im wszystkim.

– Im wszystkim? – spytała łagodnie.

– Optymatom.

– Ale tylko Sulla sprofanował grobowiec – wskazała Kornelia, obawiając się, że Cezar zechce walczyć ze wszystkimi skorumpowanymi senatorami jednocześnie.

– Sulla dokonał tej obrazy, ale ani Pompejusz, ani Krassus, ani żaden z nich nawet nie próbował powstrzymać go przed popełnieniem takiego zła. Wszyscy są temu winni. Wszyscy zasługują na moją wieczną nienawiść. – Podniósł wzrok, żeby wbić go w słodkie oczy małżonki. – Kornelio, ja rozumiem, że są skorumpowani, bo chcą się wzbogacić, rozumiem ich gniew wobec tych z nas, którzy chcą zmienić sytuację, rozumiem, że walczą, żeby zachować przywileje. Rozumiem nawet, że za to zabijają. Ale profanacja grobowca jednego z największych żołnierzy Rzymu wyłącznie z czystej, złośliwej zemsty – do tego nikt nie ma prawa. Przekroczyli granicę i nie ma odwrotu. Pewnego dnia ja również przekroczę granicę, za którą nie będzie odwrotu, i krwią odpłacę im całe to okrucieństwo, jakie dziś popełnili. Przysięgam... na Jowisza.

To nie była zwykła przysięga. Składał ją *flamen Dialis*, najwyższy rzymski kapłan samego boga Jowisza.

Grzmot rozdarł niebo.

Zaczęło gwałtownie padać.

– Chodźmy – powiedziała Kornelia. Delikatnie ujęła rękę małżonka i poprowadziła go pod dach.

ROZDZIAŁ XLII

Najdłuższa noc

Rzym

31 października 82 r. p.n.e., rano, *hora tertia*

Wydawało się, że popularzy stracili wszystko.

Sulla chciał zacząć długą sesję Senatu, na której zamierzał odrzucić po kolei wszystkie prawa wprowadzone najpierw przez Mariusza, a potem Cynnę i innych przywódców popularów. Nic nie miało zostać z dawnego reżimu. Nawet wspomnienie.

Tak, wydawało się, że popularzy stracili wszystko, ale nagle wydarzyło się coś niespodziewanego. Los, który miał zmienić historię: dwa ludy italskie, Samnici i Lukanowie, którzy nigdy nie pogodzili się z przegraną w długiej wojnie ze sprzymierzeńcami, chwycili za broń i ruszyli na Rzym, żeby zmasakrować Sullę. Wiedzieli, że był to przywódca stronnictwa mniej chętnego zrównaniu praw *socii* z prawami Rzymian. Dlatego postanowili ruszyć na miasto nad Tybrem, zanim wojska innych konserwatystów, Pompejusza i Metellusa, połączą się z Sullą i Krassusem i sprawią, że buntownicy nic już nie zdołają ugrać.

Sulla otrzymał wieści o wyruszeniu Samnitów w drzwiach Senatu. W chwili, gdy miał rozpocząć pierwszą sesję poświęconą abolicji praw wprowadzonych w ostatnich latach przez popularów.

Zatrzymał się.

W milczeniu popatrzył w ziemię.

Założył ręce na piersi.

Dolabella i Krassus wpatrywali się w niego uważnie.

Lucjusz Korneliusz Sulla odwrócił się bardzo powoli. Posiedzenia Senatu muszą poczekać.

Domus rodziny Juliuszów

Tego samego dnia, o tej samej godzinie

Labienuś wszedł do domu przyjaciela z piersią wypełnioną nadzieją.

– Samniti atakują Rzym! Przybywają tysiącami! Sulla będzie miał problem, nawet z całym swoim wojskiem! To powszechny bunt *socii*. Lukanowie już się do nich przyłączyli.

Cezar przytaknął.

– Być może Sulla i jego zwolennicy za prędko uznali wojnę ze sprzymierzeńcami za zakończoną.

– Bardzo możliwe – zgodził się Labienus. – Gdy Cynna był u władzy, ich prawa i żądanie przyznania im obywatelstwa stanowiły istotny temat, ale wiedzą, że Sulla to wszystko zmieni.

– Z całą pewnością to właśnie ich rozpałiło. – Cezar nie mógł powstrzymać gniewu. – Oby Samniti rozszarpali tego żalostnego Sullę.

Ból związany z profanacją grobowca wuja Mariusza był jeszcze zbyt świeży, żeby życzyć Sulli czegokolwiek innego poza najgorszą możliwą śmiercią i zbezczeszczeniem prochów.

Nagle Cezara dobiegł krzyk żony, rozdzierający, brutalny sygnał niesamowitego, niedającego się wytrzymać bólu.

Obaj przyjaciele ruszyli w stronę pokojów.

Aurelia wyszła z pomieszczenia, w którym znajdowała się synowa, i stanęła na środku atrium.

– Kornelia rodzi! – krzyknęła radośnie, choć zdecydowanie nagłąco. – Jest bardzo młoda, opieka akuszerki może nie wystarczyć. Na Jowisza, synu, poszukaj greckiego medyka.

Coś w tonie matki kazało Cezarowi natychmiast spełnić jej prośbę. Ona trzykrotnie rodziła. Wiedziała, o czym mówi.

Pod murami Rzymu

Hora sexta

Sulla od kilku godzin sprawdzał fortyfikacje miasta i na jego twarzy nie było widać ani zadowolenia, ani zaufania: linie obronne Rzymu nie sprawiały wrażenia zdolnych do zatrzymania inwazji. Po wielu latach dominacji w Italii miasto nie troszczyło się zbyt o utrzymanie starych murów serwiańskich, powstałych w odległych czasach, kiedy rzeczywiście atak na miasto mógł nastąpić w każdej chwili.

Nawet w najgorszych momentach ostatniej wojny ze sprzymierzeńcami albo wtedy, kiedy Teutoni maszerowali na Rzym, nie odbudowano wszystkich odcinków muru, żeby wzmocnić obronę, przygotować się na ewentualność ataku na wielką skalę. Od zawsze uważano, że wrogowie Rzymu zostaną powstrzymani, zanim dotrą do bram miasta. Dlatego Sulli tak łatwo udało się przejąć nad nim panowanie za każdym razem, gdy pomaszerował na Rzym.

– Będziemy walczyć na zewnątrz, poza murami – wyjaśnił w zaimprovizowanym *preatorium* naprzeciwko Porta Collina, jednej z bram miasta, podczas zebrania najwierniejszych oficerów.

Byli wśród nich Dolabella i młody Krassus.

– Mury nie wytrzymają oblężenia, ale możemy ustawić na nich łuczników, którzy będą wspierać nasze wojsko albo... – Sulla zamilkł na krótką chwilę, a potem zmienił temat. – Musimy być gotowi do bitwy. Raporty patroli wskazują, że Samnici nadchodzą spieszenie i dotrą tu przed zmierzchem.

– Co oznacza, że nie zaatakują co najmniej do świtu.

Sulla pokręcił głową.

– Nie byłbym tego taki pewien. Wolę być gotów na nocną bitwę. Nie chcę zostawić niczego przypadkowi. Jest ich wielu i idą po wszystko.

Domus rodziny Juliuszów

Hora septima

Kornelia nieustannie krzyczała.

Medyk opuścił wreszcie jej pokój, w którym przy porodzie asystowały Aurelia, akuszerka i kilka niewolnic.

– Jak się czuje? – spytał Cezar. Nie znał się na porodach, ale wrzaski Kornelii wydawały się wskazywać na coś więcej niż zwykle cierpienie kobiety znajdującej się w tych okolicznościach.

– Na Asklepiosa, sprawy nie mają się dobrze – powiedział medyk. – Dziecko się nie odwróciło, skierowane jest nogami do przodu, do tego matka jest młoda i to jej pierwszy poród. Szczerze mówiąc... nie będzie łatwo.

Aurelia usłyszała komentarz medyka.

– Jeśli umrze... czy można jakoś uratować dziecko? – spytała z równą dozą okrucieństwa, co zmysłu praktycznego.

Medyk westchnął i skrzywił się, ale odpowiedział konkretnie:

– Można byłoby je wówczas wyjąć *post mortem* i może nawet uratować, ale wszystko zależy od tego, jak sytuacja będzie się rozwijać w najbliższych godzinach.

– Godzinach? – Głos Cezara pełen był paniki. – Kornelia nie może znosić tego przez godziny!

– Bardzo cierpi, to prawda – powiedział współczującym tonem medyk – a z mojego doświadczenia wynika, że w takich przypadkach poród się przedłuża. To bardzo trudne. Dlatego trzeba być gotowym na najgorsze. Teraz potrzeba mi więcej gorącej wody i czystych prześcieradeł. Ja bym pomodlił się do bogów – dorzucił, odwracając się w stronę pomieszczenia, w którym leżała Kornelia.

Cezar krążył po atrium, trzymając ręce na głowie.

Labienus patrzył na przyjaciela, nie bardzo wiedząc, co robić ani jak go pocieszyć.

Aurelia się zastanawiała. Intensywnie. Być może ten okropny poród sprawi, że Cezar wreszcie uwolni się od biednej Kornelii i od związku z reżimem Cynny, dzięki czemu przestanie być specjalnym celem Sulli, który z całą pewnością będzie chciał się go pozbyć, jak tylko umocni swoją władzę. Z drugiej strony... czy Sulla rzeczywiście ją umocni? Jak zakończy się bunt Samnitów? Czy *socii* będą w stanie pokonać człowieka, który doprowadził do klęski Cynny i obu Mariuszów? Wszyscy oni walczyli legionami podatnymi na przekupstwo, to oczywiste. Samnici natomiast bili się o własne prawa. Ich bunt nie był na sprzedaż. Sulla musi stanąć do walki, jak w Grecji... A podczas bitwy wszystko może się wydarzyć...

– Wiadomo coś o postępach Samnitów? – spytała.

– Słyszeliśmy, że bardzo szybko zbliżają się do Rzymu – odpowiedział Cezar. – Tyle wiemy.

– Dowiedz się więcej – nakazała mu Aurelia. – Tutaj nie jesteś potrzebny.

Wyszła za medykiem z atrium do Kornelii, która nie przestawała krzyczeć.

– Chodźmy – powiedział Labienus. – Sprawdźmy, co się dzieje na zewnątrz.

Cezar niezbyt chętnie opuszczał dom, ale pozwolił się wyprowadzić i obaj przyjaciele ruszyli ulicami Rzymu w stronę starego muru.

Pod murami Rzymu

Hora octava

Sulla wyprowadził z miasta dwie trzecie swojego wojska: dwie trzecie weteranów kampanii przeciwko Mitrydatesowi, którym ufał, i dwie trzecie nowych legionów Cynny, których lojalność kupił w Ankonie. Rozstawił te siły w dwóch ogromnych flankach poza murami miasta, pokrywając szeroki odcinek fortyfikacji w miejscu, gdzie spodziewał się nieuchronnego nadejścia Samnitów, Lukanów i innych ludów, które dołączyły do nich w tej ostatecznej próbie zapewnienia sobie praw w Rzymie.

Dowództwo nad weteranami przekazał Krassusowi, a legionów z Ankony – Dolabelli. Sam zajął pozycję na szczycie Porta Collina, żeby stamtąd wszystko

obserwować. Pozostałych żołnierzy zostawił w mieście, żeby upewnić się, że popularzy nie sięgną po broń, tworząc drugi front, co pozbawiłoby go kontroli nad Rzymem.

– Nadchodzą! – ogłosił jeden z wartowników.

W dali można było najpierw dostrzec ogromną chmurę pyłu, z której powoli wyłaniały się pierwsze oddziały uzbrojonych Samnitów. Zbliżali się szybko, prawie truchtem, do miejsca, które zajmowali Rzymianie.

Sulla przełknął ślinę.

Za kilka godzin zapadnie noc.

– Na Jowisza! Przynieść pochodnie! – nakazał. – Wszystkie pochodnie Rzymu mają się tu znaleźć!

Jeśli trzeba walczyć po zmroku, chciał dobrze widzieć, co się dzieje na polu bitwy.

Domus rodziny Juliuszów

Hora nona

Cezar i Labienus nie mogli opuścić dzielnicy Subura. Sulla rozstawił żołnierzy na wszystkich dościcach do forum i głównych ulicach. Przywódca optymatów wyraźnie nakazał, że Subura ma zostać odcięta. Nie chciał dopuścić do buntu w dzielnicy, która sprzyjała popularom i mogła wywołać powszechną rebelię w całym Rzymie.

– Wracamy do domu – powiedział Cezar.

Labienus skinął głową. Nie dało się w żaden sposób zaatakować Sulli. Nie mogli nawet minąć oddziałów porozstawianych dosłownie wszędzie.

Szybko znaleźli się z powrotem w rezydencji rodziny Juliuszów.

W atrium Aurelia ocierała chustką czoło i kark.

Kornelia nadal krzyczała.

– Dowiedzieliście się czegoś? – spytała Aurelia, gdy tylko ich zobaczyła.

– Sulla nakazał otoczyć Suburę – odpowiedział jej syn. – Nie możemy dostać się do murów.

Znów wrzask Kornelii.

– Na bogów! – krzyknął Cezar. – Nic nie można zrobić?

Aurelia nie odpowiedziała. Wszystko wyjaśnił już medyk, a sytuacja wcale się nie poprawiła.

Na murach Rzymu

Hora decima

Sulla obserwował legiony przygotowujące się do bitwy na dwóch flankach. Tę część już zorganizował, ale chciał jeszcze zająć się kwestiami, na które należało być gotowym.

Kilku trybunów czekało na jego rozkazy, a Dolabella i Krassus zajęli pozycje na czele legionów znajdujących się poza murami.

Sulla odwrócił się do oficerów.

– Dwie trzecie pochodni rozdysponujcie po równo wojskom Dolabelli i Krassusa, a resztę wydajcie tutaj, wzdłuż muru. Niech wszyscy dostępni łucznicy ustawią się na górze.

Domus rodziny Juliuszów

Hora undecima

Kornelia przestała krzyczeć.

Przyniosło to z jednej strony ulgę, ale z drugiej – skoro straciła czucie i nie parła, dziecko nie mogło się narodzić. Groziło to śmiercią obojga: chłopca i matki. Cezar był pewien, że to syn.

Usiadł. Nie. Dokładnie mówiąc, opadł na kline: jego świat się walił. Najpierw upadek rządu popularów w mieście, potem nadejście Sulli, a teraz być może miał stracić żonę, a w takim wypadku również syna.

- Może Samnitom uda się to, co nie udało się nam – stwierdził Labienus, który starał się odwrócić uwagę Cezara od tego, co działo się w pokoju Kornelii.
- Że co im się uda? – spytał tamten, nieco rozkojarzony.
- Pokonać Sullę.

Na murach Rzymu

Hora duodecima

Armia Samnitów zatrzymała się w odległości zaledwie tysiąca kroków od legionów.

Ostatnie promienie słońca osłabły, aż w końcu zupełnie się schowały.

Nagle zapadła ciemność i w morzu nocnych cieni wojsko wroga zniknęło z pola widzenia Rzymian.

Sulla bacznie to wszystko obserwował. Jeden z trybunów przyszedł, żeby mu coś powiedzieć, ale dowódca podniósł dłoń, nakazując milczenie. Wsłuchiwał się w odgłosy nocy.

Samnici zaczęli odpalać pochodnie.

Setki, tysiące płomieni w jednej chwili rozbłysły w ciemnościach, niczym ognista mozaika sięgająca aż po horyzont.

Dolabella i Krassus nakazali legionistom zrobić to samo i armie Rzymu również rozświetlił blask pochodni.

Sulla na razie nie potrzebował więcej światła. Wiedział, że łuczywa mogą za szybko się wyczerpać i to byłby błąd. Nie wiedzieli, iloma dysponuje wróg, ale mieli pewność, iloma sami dysponowali.

– Niech Krassus i Dolabella używają tylko jednej czwartej pochodni, drugą taką samą część zapalą, gdy nastanie *secunda vigilia*, i tak dalej – nakazał trybunom i kilku z nich wyszło, żeby przekazać rozkazy.

Światło było kluczowe w trakcie nocnej bitwy.

Sulla przechadzał się wśród cieni po szczycie starych murów. On widział, ale wróg nie mógł widzieć jego.

Samnici zaatakowali.

Domus rodziny Juliuszów

1 listopada, *prima vigilia*

Odgłosy bitewne docierały do otwartego podwórza domu Cezara. Z tego hałasu można było się domyśleć, że walka była zażarta, na śmierć i życie. Poza tym niczego więcej nie dało się dowiedzieć z całą pewnością. Plotki przeskakiwały od domu do domu w całej dzielnicy. Ponoć Samnici przedzierali się przez ścisłe szeregi rzymskich kohort. Ale... Czy naprawdę tak było?

Cezar krążył w desperacji. Labienus obserwował go, znów nie był w stanie nic zrobić. Kornelia przestała rozdzierająco krzyczeć, ale ani medyk, ani Aurelia nie wychodzili, żeby poinformować ich o postępach.

Pod murami Rzymu

Secunda vigilia

Oddane pod dowództwo Dolabelli legiony, którym brakowało doświadczenia i waleczności, szybko traciły teren, mimo że na pierwszej linii walki następowały sprawne zmiany. Dolabella biegał wte i wewte, rzucał rozkazy, żeby utrzymać pozycje, choć pilnował się, żeby nie znaleźć się za blisko frontu. Zażartość Samnitów, którzy walczyli o swoją wolność i swoje prawa, była silniejsza niż moc ramion przekupionych legionistów z Ankony. Na jego flance prędko zapanował chaos.

Powoli, lecz zauważalnie zaczął się cofać wraz ze swoimi przybocznymi. Nie zamierzał poświęcić życia w tej bitwie.

Krassus dowodził za to legionami, które już walczyły w wojnie w Grecji i Azji, więc utrzymał pozycje dzięki dyscyplinie. Po jego stronie Samnici raczej nie zdobyli terenu.

Sulla zdał sobie sprawę ze słabości legionów z Ankony.

– Zapalić pochodnie! – nakazał i natychmiast mury Rzymu rozświetliły się, ukazując setki łuczników gotowych strzelać.

Samnici zblizali się do murów i pchali na nie legionistów Dolabelli. Niektórzy z nich od razu rzucali się biegiem ku Porta Collina i innym przejściom, które pozostały otwarte, żeby oddziały mogły się ze sobą komunikować, a Sulla był w stanie szybko wysłać posiłki albo dokonać zmian w pierwszej linii.

Łucznicy czekali na rozkaz strzelania do Samnitów, ale ci nadal znajdowali się za daleko. Sulla miał inny pomysł.

– Strzelać do legionistów, którzy szukają schronienia za murami!

Trybuni spojrzeli na senatora.

Ale żaden się nie odezwał.

Łucznicy spojrzeli na trybunów i innych oficerów, ale usłyszeli tylko Sullę, który na nowo wykrzykiwał śmiercionośny rozkaz.

– Strzelać do uciekinierów! Na bogów! Już!

Łucznicy celowali ponad walczącymi legionami, oceniając, czy już mogą dosięgnąć Samnitów, ale teraz zmienili cel i skierowali strzały w dół.

– Już! Na Jowisza! – pospieszył ich Sulla.

Deszcz żelaza runął na uciekających legionistów. Ponad setka padła po pierwszej salwie. Zginęli od rzymskich strzał. To była brutalna kara za dezercję na polu walki, ale pozostali legioniści, którzy zamierzali uciekać, zatrzymali się.

Dolabella dostrzegł, co się wydarzyło, przystanął i nakazał powrót do walki tym, którzy byli w odwrocie.

Z wysokości muru Sulla zwrócił się do oficerów:

– Strzelać do legionistów, którzy uciekają i odważą się zbliżyć do muru. Strzelać do oficerów! Na Jowisza, strzelać nawet do mnie, jeśli to ja będę uciekał!

Te słowa zaskoczyły wszystkich, którzy go otaczali. Sulla szybko zszedł z muru i ruszył w stronę drogi prowadzącej do Porta Collina. Gdy mijał otwartą bramę, rzucił precyzyjny rozkaz:

– Zamykać!

Za nim słychać było zgrzyt żelaza opadających krat, które odcinały dostęp do miasta.

Dotarł do Porta Collina.

– Gdy tylko wyjdę, zamknąć bramę – nakazał.

Otoczony grupą wiernych weteranów ruszył w stronę flanki, którą dowodził Dolabella.

Nie zastanawiał się: nie po to łamał prawo i naciskał na senatorów, żeby zdobyć dowództwo legionów w wojnie przeciwko Mitrydatesowi, nie po to walczył w Grecji i Azji, a obecnie w Italii, na całym półwyspie, żeby teraz, gdy wreszcie miał Rzym w swojej mocy, stracić wszystko przez bunt Samnitów, który nie mógł się powieść.

– Śmierć albo wiktoria! – wrzasnął z całych sił, a dziesiątki, setki żołnierzy zaczęło jednocześnie powtarzać jego słowa.

– Śmierć albo wiktoria! Śmierć albo wiktoria! Śmierć albo wiktoria!

Lucjusz Korneliusz Sulla był może egoistą, politycznym arywistą, przebiegłym strategiem, łupieżcą miejsc świętych, człowiekiem gotowym kupić wolę innych i łamać ich śluby lojalności, wspierać zdradę, wszystko to, żeby tylko osiągnąć swoje cele polityczne, żeby zaspokoić osobiste ambicje. Może był nędznym człowiekiem, skorumpowanym senatorem, a nawet w przyszłości miał się stać podłym, okrutnym dyktatorem, ale na pewno nie był tchórzem.

Domus rodziny Juliuszów

Tertia vigilia

Poród stał się powolną agonią.

Dosłownie, ponieważ Kornelia zdawała się powoli umierać, a wraz z nią życie w jej łonie.

Cezar zrobił wówczas coś, co nie przystoi mężczyźnie. Popełnił transgresję, przekroczył granicę, ale nie była to ani najbardziej zaskakująca, ani ostatnia granica w jego życiu. Młody małżonek wszedł do pomieszczenia, w którym Kornelia

próbowała wydać na świat ich dziecko.

Gdy tylko się tam zjawił, niewolnice odsunęły się od łoża. Medyk odwrócił się i chociaż był zaskoczony, nie odezwał się. Skupiał się na swoim zadaniu.

Aurelia zdawała się mniej zdziwiona niż reszta. Wychowała swojego syna tak, żeby nie brał niczego za niemożliwe, jeśli uznał to za stosowne. Nie miała zamiaru mówić mu dzisiaj, co powinien i czego nie powinien robić, w końcu to on był tu *pater familias*.

Cezar usiadł przy Kornelii na miejscu pozostawionym przez niewolnicę, która chłodziła wilgotnymi chustami czoło położnicy.

– Jeśli nie będzie przec, nic nie da się zrobić – powiedział medyk.

Cezar nachylił się do Kornelii. Dolna połowa łóżka była pełna krwi. Jego żona obficie się pocila i miała zamknięte oczy. Aurelia przysunęła jej do ust naczynie z wodą.

– Gajusz tu jest – powiedziała.

Kornelia wypła z otwartymi oczami.

Na jej policzkach lśniły łzy. Łzy bólu, żalu, niemożności. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Była na to za słaba.

– Musisz przec – poprosił ją Cezar. – Musisz to zrobić dla siebie, dla mnie, dla dziecka. Musisz. Wiem, że potrafisz.

Kornelia przytaknęła i znów spróbowała, z całych sił, ale ten wysiłek zdawał się iść na marne.

– Lepiej będzie, jeśli ojciec wyjdzie – powiedział medyk.

Cezar spojrzał na matkę, Aurelia skinęła głową. Wówczas wyszedł.

Na zewnątrz, w towarzystwie Labienusa, znowu słuchał krzyków Kornelii przez czas, który wydał mu się długimi godzinami.

W końcu, kiedy Cezar stracił już nadzieję, że cokolwiek się tej przekłetej nocy uda, jego matka zjawiła się w atrium.

– To dziewczynka – powiedziała donośnie.

Pod murami Rzymu

Quarta vigilia

Sulla stawał naprzeciw każdego legionisty, który odważył się cofnąć.

– Wydałem rozkaz zabicia wszystkich, którzy zbliżą się do murów! – przypominał im, osobiście pchając ich z powrotem w stronę pierwszej linii walki.

Nieważne, czy to z powodu rozkazów Sulli, czy powtórzenia ich przez Dolabellę i innych oficerów, czy też dlatego, że groźba śmierci pod murami nie była pustym hasłem, lecz stanowiła dotkliwą rzeczywistość, większość legionistów wróciła do walki.

Obie strony poniosły ogromne straty, ale mimo to *socii* nie przestawali atakować i gdyby nie pewien nieprzewidziany zwrot akcji, ostatecznie zmiażdżyliby słabe legiony spod Ankony. Ale bitwa rozwijała się na dwóch flankach.

– Krassus zmiażdżył Samnitów po swojej stronie, a teraz otoczy i zaatakuje od tyłu tych, których mamy przed sobą – powiedział trybun wysłany przez Krassusa, żeby powiadomić Sullę o tych działaniach.

Przywódca optymatów skinął głową.

– Niech Krassus ich otoczy – potwierdził, a potem spojrzał na Dolabellę i dodał: – Zwycięstwo jest nasze, mój przyjacielu.

Długa noc dobiegała końca.

Bitwa również.

Światło poranka zaczęło odsłaniać morze trupów Samnitów i Rzymian, którzy padli podczas tej zacieklej nocnej bitwy. Po martwych Samnitach kroczyły legiony Krassusa, powoli, lecz nieuchronnie. Systematycznie i bez litości, niczym maszynka do mielenia mięsa zabijali wojowników, którzy wyczerpani zaczęli pojmować rozmiar porażki.

Lucjusz Korneliusz Sulla dostrzegł słońce wstające nad Rzymem.

– To nie jest początek nowego dnia, Dolabello – powiedział. – To początek nowej epoki.

W tym samym momencie zjawił się Krassus w otoczeniu legionistów, którzy tworzyli jego osobistą straż.

– Zmiażdżyłem ich na mojej flance. Poszło gładko – powiedział. – W ciągu paru godzin nie ostanie się nikt żywy. Myślę, że poszło mi lepiej niż Dolabelli. – Pozwolił sobie na uśmiech.

Sulla dostrzegł wściekłość na twarzy swojego zaufanego oficera. To prawda, że Krassusowi udało się to, w czym on zawiódł, ale też zwycięskie legiony były doświadczone, podczas gdy te prowadzone przez Dolabellę składały się z żołnierzy, którzy nie przeszli wcześniej przez pola bitewne. O świcie tamtego dnia Sulla przekonał się o kilku rzeczach. O tym, że Krassus jest tak samo ambitny, jak próżny i nie umie odróżnić zwycięstwa osiągniętego dzięki własnym zasługom od tego, którego był jedynie częścią – a to w pewnym momencie, w pewnym miejscu oznaczać będzie jego koniec. Poza tym przekonał się, że Dolabella nigdy nie będzie przyjacielem Krassusa. Wreszcie ostatnie przeczucie o wschodzie słońca: od teraz on, Sulla, osiągnie wszystko, czego zapragnie.

A pragnął wielu rzeczy.

Domus rodziny Juliuszów

Hora prima

– To dziewczynka – powtórzył medyk.

Dla wielu mężczyzn oznaczałoby to rozczarowanie, ale w tamtej chwili Cezar nie przejmował się ważnością i pilnością zapewnienia dziedzica rodzinie Juliuszów. Jeszcze o tym wszystkim pomyśli. Teraz zajmował go tylko stan obu: żeby nowo narodzona córka była zdrowa i przede wszystkim, żeby Kornelia wróciła do sił.

– Chyba straciła przytomność – powiedziała Aurelia, patrząc na młodą matkę.

Medyk podał dziecko niewolnicy, żeby je umyła, a sam pochylił się nad Kornelią. Położył jej rękę na czole. Nie reagowała. Nie wyglądała na osłabioną ani

nawet zemdloną, lecz na martwą.

W milczeniu pokręcił głową i zacisnął usta, na jego twarzy widniał smutek.

Cezar uklęknął przy żonie i wziął ją za rękę.

– Nie zostawiaj mnie, Kornelio... Nie zostawiaj mnie – wyszeptał jej do ucha.

ROZPRAWA CZWARTA

REIECTIO

Podczas *reiectio* oskarżyciel lub obrońca mogą wystąpić o odrzucenie członka trybunału sędziowskiego, uznawszy go za w szczególny sposób powiązanego z oskarżonym, co rzuca cień na jego bezstronność.

ROZDZIAŁ XLIII

Rada Aurelii

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

77 r. p.n.e.

Pięć lat po narodzinach córki Kornelii i Cezara cała rodzina zaangażowała się w proces przeciwko Dolabelli.

Rezydencja w dzielnicy Subura wydawała się prawdziwym babińcem. Kobiety z rodziny: Kornelia, siostry Cezara, jego siostrzenica Atia i Aurelia zebrały się przy kolacji w głównym atrium. Nie żył już ojciec Cezara ani jego wuj Mariusz, a drugi wuj – Aureliusz Kotta – nie spędzał z nimi czasu, dopóki trwał proces przeciwko Dolabelli, w którym był obrońcą, a więc przeciwnikiem swojego siostrzeńca. Tak więc młody *pater familias* rodziny Juliuszów nie mógł odwołać się do rad i doświadczenia żadnego bliskiego mężczyzny. Małżonkowie jego sióstr, Pinariusz i Balbus, również nie zjawiali się zbyt często w jego domu, zachowując rozsądny dystans wobec szwagra, który odważył się sprzeciwić wszechpotężnemu Dolabelli. Jego przyjaciel Labienus był natomiast tak samo niedoświadczony jak on sam. W tej sytuacji logicznym i oczekiwanym krokiem byłoby zwrócenie się o radę do któregoś z szanowanych polityków ze stronnictwa popularów w Zgromadzeniu Ludowym. Cezar jednak nie robił tego, czego się po nim spodziewano. Poszukał wsparcia u innej osoby. Wspomniał już o tym Labienusowi w trakcie podróży do Macedonii. Tą osobą była jego matka Aurelia. Jej mógł zawierzyć swoje troski.

– Za kilka dni odbędzie się *reiectio*, matko – wspomniał o sprawie, która zajmowała jego umysł przez całą podróż powrotną z Tesalonik. – Z podróży na wschód wróciłem z nowymi świadkami oraz informacjami pomocnymi do oskarżenia Dolabelli, ale wiemy, że trybunał złożony z optymatów jest zdecydowany, aby oczyścić go ze wszystkich zarzutów. Niezależnie od

przedstawionych przez mnie w bazylice dowodów i argumentów. Muszę więc dobrze wykorzystać szansę, jaką daje mi *reiectio*.

– Ale nie możesz odrzucić wszystkich sędziów – odpowiedziała Aurelia poważnie. Wyczuwała, że syn zada jej konkretne pytanie.

– Nie, a nawet jeśli mi się to udało, zastąpiliby ich inni optymaci sprzyjający Dolabelli. Nie, nie mam zamiaru marnować czasu i sił na nużące wykańczanie przeciwnika, co w ogóle nie poprawi mojej sytuacji w procesie. Myślę, że trzeba podejść do tej rozprawy inaczej.

– W jaki sposób? – dopytała matka.

– Chcę zażądać odrzucenia tylko jednej osoby: Kwintusa Cecyliusza Metellusa – powiedział uroczyście Cezar.

– Samego przewodniczącego trybunału? – Aurelia zadała oczywiste pytanie, żeby mieć czas na ocenę i przetrwanie tego pomysłu.

– Tak, przewodniczącego trybunału. Metellus jest przywódcą optymatów, wszyscy go szanują. Po śmierci Sulli i skupieniu się Dolabelli na przyjemnościach i zbrodniach, Metellus stał się głową konserwatystów. Wystarczy, że się skrzywi, rzuci monosylabą, a wszyscy idą za nim jak wytresowane psy. Nie mogę wymienić całego trybunału, ale mogę pozbawić go głowy. Muszę za wszelką cenę odsunąć Metellusa, ale...

– Ale?

Cezar zamilkł na kilka chwil.

– Nie wiem, jak tego dokonać – przyznał zdecydowanie, ponieważ nie czuł strachu ani wstydu z powodu swojej bezradności, mimo że już cztery miesiące zastanawiał się nad tą kwestią. Wiedział, co musi zrobić, ale nie wiedział jak. Spojrzał prosto w oczy rodzicielki. – Dlatego zwracam się do ciebie, matko. Jesteś najinteligentniejszą osobą spośród tych, którym mogę ufać. Gdybym mógł, zapytałbym Cycerona albo jego nauczyciela retoryki, starego Archiasza, albo któregoś z doświadczonych adwokatów, senatora czy kogoś ze Zgromadzenia, ale wiem, że nikt nie będzie ze mną szczery, nie w tej sprawie. Za bardzo boją się

Dolabelli i samego Metellusa, żeby podsuwać mi pomysły na to, jak odrzucić przewodniczącego trybunału. Nie masz doświadczenia w procesach sądowych, matko, ale potrafisz ocenić cudzy charakter. Jaki jest słaby punkt Metellusa? W jaki sposób mam go zaatakować?

Zapadła cisza. Kornelia, siostry Cezara i on sam zamilkli z szacunku do Aurelii, która się zamyśliła. Na jej twarzy malowały się powaga i spokój.

– To, o co pytasz, jest dość proste – stwierdziła. – Metellus pragnie naśladować swojego ojca, dorównać mu we wszystkim. Kwintus Cecyliusz Metellus Numidyjczyk był konsulem, Metellus Pius również pełnił tę funkcję.

– Tak, wyznaczył go Sulla – potwierdził młody Cezar, który słuchał matki z najwyższą uwagą. – Rok wcześniej wyznaczył także Dolabellę.

– Tak było – zgodziła się Aurelia i kontynuowała wywód: – Ale Numidyjczyk odbył również triumf przyznany mu przez Senat za zwycięstwa w Afryce. Ich wartość jest wątpliwa, ale to inna kwestia. Miał je odnieść w wojnie, którą zakończył twój wuj Mariusz, biorąc do niewoli samego Jugurtę. To jest klucz do zrozumienia Metellusa: jego ojciec był konsulem i przyznano mu triumf. On sam, przywódca optymatów, przewodniczący trybunału, był konsulem, nigdy żadnego nie odbył.

– Liczy na triumf, jeśli pokona Sertoriusza, zastępcę mojego wuja Mariusza, który stoi na czele rebelii w Hispanii – podchwycił Cezar. Zaczął rozumieć, do czego zmierza matka. – Metellus na kilka tygodni opuścił Hispanię z powodów rodzinnych, ale jako że Dolabella naciskał na niego, żeby został przewodniczącym trybunału, nie może od razu wrócić na wojnę, która z całą pewnością będzie jego ostatnią szansą na poprowadzenie wojsk przeciwko buntownikowi o tak wysokiej randze, a więc też ostatnią szansą na zwycięstwo, które pozwoli mu ubiegać się o wytęskniony triumf.

– Tak właśnie jest, synu.

Cezar kilkakrotnie skinął w milczeniu głową.

Kornelia i jego siostry zaczęły rozmawiać o innych sprawach. Nie z braku zainteresowania czy szacunku. Wiedziały, że rozmowa między matką a synem dobiegła końca i że teraz Cezar przez jakiś czas nie będzie się odzywał, lecz będzie rozważał to, co powiedziała Aurelia. Wiedziały również, że w takiej sytuacji docenia spokojną atmosferę domu, lubi słyszeć w tle głosy sióstr i żony pogrążonych w rozmowie.

– Mówiłem ci, że jesteś najinteligentniejszą kobietą, jaką znam, prawda? – Cezar ponownie zwrócił się do Aurelii.

– Wiele razy – przyznała.

– Muszę się jednak poprawić. Jesteś najinteligentniejszą osobą, jaką znam, niezależnie od płci. Właściwie to nie chciałbym mieć cię nigdy za wroga.

– Nie, nie chciałbyś – zgodziła się enigmatycznie. Jej uśmiech rozwiał wszelkie niedomówienia, jakie mogłyby pojawić się w głowie młodego Cezara, gdyby nie zajmował się właśnie tym, jak skutecznie przeprowadzić *reiectio*.

– Hispania... – w zamyśleniu wycedził przez zęby.

– Nawet jeśli wiesz, jak poprowadzić *reiectio* – odezwała się poważnie Aurelia – musisz poprawić swoją retorykę, żeby przekonać Metellusa do opuszczenia trybunału.

– Wiem o tym, matko, wiem.

Nie miał jej za złe tej uwagi. Nawet własna matka nie zdała sobie sprawy, że tylko udawał nieudolność oratorską podczas *divinatio*. Oznaczało to, że trybunał również nie będzie się wiele po nim spodziewał podczas *reiectio*, a więc uzna go za niezdolnego do odrzucenia któregoś z sędziów.

Spojrzał na młodą małżonkę. Tylko ona znała prawdę, tylko jej wyznał, że udawał podczas *divinatio*. Kornelia rozmawiała z obiema Juliami, ale zarazem śledziła uważnie, co Aurelia mówiła jej mężowi. Teraz posłała mu porozumiewawcze spojrzenie.

Cezar poczuł ogromną potrzebę kochania się z nią.

ROZDZIAŁ XLIV

Przewodniczący trybunału

Bazylika Sempronia, Rzym

77 r. p.n.e.

Gdy Juliusz Cezar wszedł do bazyliki Sempronia, rzuciło mu się w oczy, jak niewielu ludzi zebrało się w środku. Poza sędziami, oskarżonym i jego obrońcami, a także nim samym i jego przyjacielem Labienusem znajdowało się tam ledwie kilkadziesiąt osób: w tym jego matka, młoda małżonka i siostry.

– Chyba ten proces nie wzbudza nadmiernego zainteresowania – wyszeptał Cezar, siadając na *solium* przy stole przeznaczonym dla oskarżycieli.

Labienus zajął podobne krzesło obok.

– Niczego po tym procesie się nie oczekuje – wyjaśnił. – Wszyscy myślą, że przegramy. Nie widzieli... nie sądzą... – Labienus nie wiedział, jak skończyć zdanie bez urażenia miłości własnej przyjaciela.

– Po moim żalonym wystąpieniu podczas *divinatio* i po zabójstwie świadków uważają, że nie będę w stanie wykazać się czymkolwiek wartym obejrzenia – skonkretyzował Cezar niedokończoną wypowiedź Labienusa. – Tak właśnie jest, czyż nie?

Labienus czuł się nieswojo.

– Na Jowisza, to nie moja wina, że ludzie tak myślą.

– Ale tak jest – dodał Cezar, patrząc w stronę trybunału sędziowskiego. – I ja ciebie za to nie winię. Jak mógłbym to zrobić? Wygłosiłem mowę nieudolnie. Stało się. Popatrz, przyszedł Metellus.

Kwintus Cecyliusz Metellus Pius zasiadł na miejscu przewodniczącego, tak samo jak podczas *divinatio*. Reszta sędziów patrzyła na niego z prawdziwą

rewerencją.

– Jedzą mu z ręki – stwierdził Labienus.

– Dlatego go odrzucimy – powiedział cicho Cezar i nachylił się do ucha Labienusa. – Nasi przyjaciele, zwolennicy popularów, są na zewnątrz, tak jak o to prosiłem?

– Nie wszyscy przyszli, ale jest ich całkiem sporo – potwierdził Labienus. – Mam wrażenie, że ci, którzy się zjawili, zrobili to ze względu na twojego wuja Mariusza.

– Tak myślałem – odparł Cezar, nie spuszczać wzroku z trybunału. – Nikt za bardzo we mnie nie wierzy. Wiem, że ci, którzy przyszli, widzą we mnie bratanka Gajusza Mariusza, na dobre i na złe. Ale ich motywy nie mają znaczenia. Posłuchaj: gdy tylko wypowiem imię Metellusa, wyjdź na zewnątrz i powiedz, że wnioskuje o jego usunięcie z trybunału. To przykuje uwagę tych, którzy przyszli, i wielu innych. – Rozejrzał się po ogromnej sali, która była praktycznie pusta. – Niech to miejsce zapełni się, zanim skończę przemawiać.

Preacons, pomocnicy sędziów, którzy podczas rozprawy wspierali trybunał i jego przewodniczącego, stanęli przed sędziami.

– Zaczynamy – powiedział Labienus.

Preacons zwrócili się w stronę przewodniczącego trybunału.

Metellusowi udało się nie otwierać ust podczas *divinatio*, ale wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał to zrobić, żeby kierować przebiegiem procesu. Nie chciał jednak demonstrować publicznie swojego jękania, bo nie czuł się wtedy swobodnie. Dlatego przed rozpoczęciem *relictio* rozmówił się prywatnie z pomocnikami sądowymi, ustalając, że to oni będą informować o kolejnych etapach rozprawy.

Metellus jedynie lekko kiwnął głową, bez słowa, dając znać, że rozprawa może się rozpocząć. W Rzymie przewodniczący trybunału mógł scedować kierowanie przebiegiem procesu na *preacons*, którzy w jego imieniu wzywali świadków i udzielali głosu obrońcy czy oskarżycielowi.

– *Fauete linguis!* * – krzyknął jeden z pomocników.

Wszyscy zamilkli.

– W sprawie przeciwko oskarżonemu Gnejuszowi Korneliuszowi Dolabelli przemówi teraz obrona. Czy adwokat pragnie złożyć *reiectio* przeciwko któremuś z sędziów tego trybunału?

Aureliusz Kotta podniósł się i, nie ruszając się z miejsca, pewnie przemówił:

– Obrona zgadza się na senatorów stanowiących skład sędziowski w tym procesie. Ani mój kolega Hortensjusz, ani ja nie chcemy odrzucić żadnego z sędziów i ufamy w ich mądrość, która doprowadzi nas do słusznego werdyktu.

Usiadł.

Kierujący pracą sądu pomocnik, który stał się głosem Kwintusa Cecyliusza Metellusa, spojrział na przewodniczącego trybunału, a ten ponownie skinął głową.

Funkcjonariusz przemówił, patrząc na środek sali.

– W sprawie przeciwko oskarżonemu Gnejuszowi Korneliuszowi Dolabelli przemówi teraz strona oskarżająca. Czy pragnie złożyć *reiectio* przeciwko któremuś z sędziów trybunału?

Gajusz Juliusz Cezar powoli wstał. Dziś miał zamiar robić wszystko bez pośpiechu. Przynajmniej dopóki sala nie zapełni się publicznością. Wszedł do niej jeszcze jakiś ciekawski, poranny spacerowicz, który podążał otaczającą bazylikę ulicą Vicus Tuscus, być może w drodze do *tabernae veteres*, gdzie zamierzał coś kupić, i widząc otwarte drzwi, postanowił sprawdzić, co dzieje się w budynku. Przypadkowi, kierujący się ciekawością obywatele wchodzili do środka, lecz ogarniało ich rozczarowanie: to tylko proces przeciwko Dolabelli z tym nieudolnym oskarżycielem... Juliuszem Cezarem. Nic interesującego. I tak wiadomo, jak się to skończy. Ciekawscy przechodnie od razu opuszczali budynek.

Tymczasem nadeszła pora na mowę tego nieudolnego oskarżyciela.

Cezar opuścił miejsce przeznaczone dla oskarżyciela, przeszedł kilka kroków i stanął na środku sali, między oskarżonym, trybunałem, obrońcami i stołem, przy którym został Labienus.

– Dziękuję przewodniczącemu trybunału za udzielenie mi głosu – zaczął, patrząc prosto na Kwintusa Cecyliusza Metellusa, uznając jego najwyższą zwierzchność w procesie, mimo że ten nie odezwał się ani słowem i dyrygował wszystkim za pośrednictwem *preaones*. Wciągnął głęboko powietrze. – Chciałbym teraz odrzucić jednego z sędziów, senatora, ponieważ obecnie we wszystkich sprawach sądowych w trybunałach zasiadają jedynie senatorowie... – Odnotował kilka niespokojnych spojrzeń członków trybunału, bo wkroczył na pełen pułapek teren jednej z reform Sulli, który zdecydował, że wszyscy sędziowie mają być senatorami, i w ten sposób zapewnił kontrolę Senatu nad sądami. – To jest zawsze... delikatny moment. Mam na myśli *reiectio* – kontynuował.

Labienus westchnął. Przez chwilę obawiał się, że jego przyjaciel zatraci się w krytyce praw Sulli, zamiast skupić się na swoim dzisiejszym zadaniu: odsunięciu Metellusa od trybunału.

– Tak, bardzo delikatny – kontynuował młody *accusator* – ponieważ na tym etapie procesu ujawniamy pewien konflikt interesów między tym, któremu sprawę wytoczono, a jednym z sędziów. Oznacza to, że rzymski senator nie może być bezstronny, jeśli ma wspólne interesy z oskarżonym. – Cezar wydawał się rozkoszować wypowiedzeniem tego określenia: jednocześnie patrzył prosto w oczy Dolabelli, ale tylko przez chwilę. – Tak, w ten sposób dajemy do zrozumienia, że jakiś rzymski senator może nie być obiektywny. Czy ja mam takie zdanie, takie wrażenie, tak postrzegam któregoś z pięćdziesięciu dwóch sędziów tworzących ten trybunał? – Zatrzymał się na chwilę, jakby oczekując, że ktoś mu odpowie. – Odpowiedź brzmi: nie. Oskarżenie nie wątpi w bezstronność i szlachectwo ducha wszystkich sędziów i każdego z nich z osobna. Mimo to...

Zamilkł. Odwrócił się w stronę senatorów ze składu sędziowskiego.

– Mimo to oskarżenie wnosi o odsunięcie od składu sędziowskiego prokonsula Rzymu Kwintusa Cecyliusza Metellusa, przewodniczącego tego trybunału.

W całej bazylice rozległ się szmer – od miejsc siedzących po korytarze między nimi. Zebrani zaczęli między sobą szeptać. Cezar wiedział, że rozbudził ich oczekiwanie. Spojrzał na Labienusa. Ten podniósł się i opuścił salę. Miał

poinformować zwolenników popularów zebranych przed budynkiem, że oskarżyciel, bratanek Gajusza Mariusza, wyzwiał samego Metellusa, obecnego przywódcę optymatów. I że zażądał ni mniej, ni więcej jego odsunięcia od procesu.

Wiadomość szerzyła się pośród zebranych na ulicy, krążyła z ust do ust, najpierw na forum, a wkrótce w całym mieście. Konflikt między popularami a optymatami nie wygasł. Był jedynie uspiony, przygnieciony ciężarem bezlitosnych praw wprowadzonych za dyktatury Sulli. Niewielka iskra mogła doprowadzić do nowego pożaru, do ponownego stawiania żądań przez lud.

Metellus milczał. Być może plebs nieco podniecił się faktem, że ktoś odważył się przeciwstawić obecnemu przywódcy optymatów, ale przecież Kwintus Cecyliusz Metellus nie stracił zimnej krwi w przeszłości, gdy konsul Mariusz przyszedł z nim negocjować, nie, przyszedł narzucić mu warunki w jego własnym domu. Teraz również nie zamierzał nawet drgnąć wobec żądań młodziutkiego, pełnego pychy dyletanta, nieważne, jak blisko był on spokrewniony z Mariuszem.

Cezar wiedział, że pora przedstawić argumenty.

– Oczywiście przedstawię teraz powody takiego wniosku i będę bronił tego *reiectio* z taką samą szlachetnością ducha, obiektywnością i bezstronnością, jakie z całą pewnością prezentują członkowie trybunału, w tym osoba, do której odrzucenia dążę.

Zamilkł.

Pomocnicy sądowi spoglądali w osłupieniu to na młodego oskarżyciela, to na Kwintusa Cecyliusza Metellusa. Nigdy dotąd nie widzieli, żeby adwokat – czy to oskarżenia, czy to obrony – posunął się do wniosku o odrzucenie przewodniczącego trybunału. Z prawnego punktu widzenia było to możliwe i kiedyś nawet do tego doszło – słyszeli o tym, choć nigdy nie byli tego świadkami.

Metellus zerknął na *preacones* i ograniczył się do skinięcia głową.

Cezar popatrzył na Labienusa. Ten wrócił już do bazyliki, a teraz zacisnął usta i prawie niezauważalnie ruszył głową, wskazując na ludzi, którzy zaczęli wypełniać

wielką bazylikę, tak jak tego oczekiwał jego przyjaciel.

Młody oskarżyciel wrócił do swojej mowy.

– Jednakże skoro stwierdziłem, że nie wątpię w bezstronność żadnego z członków trybunału, dlaczego pragnę odsunąć od procesu samego przewodniczącego? Powód jest bardzo prosty: jest nim Rzym, ponieważ Rzym stoi ponad wszystkim. Dobro ojczyzny, bezpieczeństwo Republiki jest dla mnie ważniejsze niż jakikolwiek proces. Co to za wielki problem, z którym zmagają się obecnie Rzym? Co to za największe niebezpieczeństwo, które mu grozi? – Znów zrobił krótką pauzę, obrócił się dookoła własnej osi, dostrzegł, że do pomieszczenia wchodzi jeszcze więcej ludzi, i wreszcie wyrzucił z siebie powód *reiectio*: – Sertoriusz.

Samo wypowiedzenie imienia dawnego zastępcy Mariusza, człowieka, który podburzył do buntu kilka legionów w Hispanii, wojskowego, którego Metellusowi nie udało się pokonać przez ostatnie dwa lata, sprawiło, że w pomieszczeniu zapadła nagle cisza. Lud milczał z szacunku: nikt w Rzymie nie ośmielał się wymawiać imienia Sertoriusza, wygnanego przywódcy popularów, a teraz ten młody adwokat rzucił nim w samym środku bazyliki Sempronia, podczas procesu, tu, na forum. Z kolei sędziowie, senatorowie ze stronnictwa optymatów milczeli w oczekiwaniu na to, do czego zmierza młody i nierozważny *accusator*. Może powie coś, co pozwoli im wydać *senatus consultum ultimum*, uwięzić go i natychmiast stracić. To byłby sposób zakończenia tego przekłętego procesu, równie dobry jak każdy inny.

Aurelia ścisnęła rękę Kornelii. Dziewczyna zrozumiała, że matka jej małżonka martwi się, ponieważ Cezar dotknął tematu, którego nie należało poruszać podczas procesu w Rzymie rządzonym przez optymatów.

Cezar dobrze obliczył efekt swoich słów.

Wyczuł napięcie wśród członków trybunału, wiedział, że musi dobrze wymierzyć atak.

– Żałuję, sędziowie trybunału, że wspomniałem imię Sertoriusza, ale brak rozmowy o przyczynach problemów oznacza brak chęci stawienia im czoła.

Uznanie Sertoriusza za „problem” nie było w oczach optymatów zbrodnią. Wręcz przeciwnie. Czego chciał *accusator*? Nie wiedzieli, co myśleć.

– Sertoriusz zagraża bezpieczeństwu tego państwa rzymskiego – mówił dalej Cezar, podkreślając zaimek, żeby lud zaczął się zastanawiać: „Czy chce przez to powiedzieć, że są możliwe inne państwa rzymskie?”.

Przemawiał do jednych i do drugich, poruszał się po ruchomych piaskach.

– Jeśli Sertoriusz jest największym problemem, oznacza to, że Rzym musi wysłać swojego najlepszego człowieka, żeby ten problem rozwiązać. Wszyscy wiemy, że dzisiaj naszym najlepszym kandydatem na stanowisko prokonsula w Hiszpanii na czas konieczny do rozwiązania problemu jest ze względu na swój wiek i doświadczenie sam Kwintus Cecyliusz Metellus Pius, syn Kwintusa Cecyliusza Metellusa Numidyjczyka, który niegdyś odniósł triumfy w Numidii, w Afryce.

Obecny na sali Krassus poczuł się urażony tym stwierdzeniem. Od czasu swojego udanego udziału w bitwie pod Porta Collina uważał się za najlepszego żołnierza wśród optymatów. Ale Senat od zawsze spoglądał na Metellusa jako na naturalnego przywódcę w tych burzliwych czasach z powodu jego starszeństwa i zdolności dowódczych. Krassus czuł, że w razie gdyby zabrakło tego przywódcy, Senat raczej zwróciłby się do Pompejusza, na którego patrzył w jego odczuciu zbyt życzliwie i któremu ufał sam Metellus.

Ludzie nadal napływali do bazyliki.

Na sali znajdowało się zbyt dużo plebsu jak na gust Metellusa, Dolabelli i reszty optymatów. Przewodniczący spojrzął na Pompejusza i ten zrozumiał. Natychmiast wyszedł z budynku, tak jak wcześniej Labienus.

Krassus miał kolejny dowód, że wszyscy go ignorują: czy to oskarżyciel z ramienia popularów, czy przywódca optymatów. Zapamiętał to sobie dobrze.

Tymczasem młody Cezar kontynuował mowę.

– Ojciec naszego wybitnego przewodniczącego otrzymał przydomek „Numidyjczyk” właśnie na polu walki. Walczył za Rzym, ale nie tutaj, w mieście, tylko poza jego murami. Chodzi o to... bo gdzie zdobywa się przydomki, gdzie odnosi się epickie zwycięstwa? Zawsze na polu bitwy. Scypion Afrykański, ten sam, który zapoczątkował zwyczaj przyznawania przydomków za wielkie zwycięstwa, aby upamiętnić je *in aeternum*, otrzymał swoje miano po pokonaniu straszego Hannibala w Afryce. Metellus ojciec za swoje wiktorie nad Numidyjczykami. Ja pragnę dwóch rzeczy: po pierwsze, aby Rzym był bezpieczny, a po drugie, aby Kwintus Cecyliusz Metellus otrzymał możliwość naśladowania ojca, odniesienia wielkiego zwycięstwa i świętowania triumfu w Rzymie. Zasłużonego triumfu.

Wypowiedział słowo „zasłużony” sarkastycznym tonem i zwrócił się w stronę plebsu, który zajął już całą przestrzeń bazyliki. Ludzie się śmiali. Metellus ojciec właściwie nie zakończył wojny z Jugurtą w Afryce, była to zasługa Mariusza, wuja młodego *accusatora*. Tak przynajmniej myślał lud. Przyznanie mu przez Senat przydomka „Numidyjczyk” miało na celu wywyższenie senatora optymackiego i pomniejszenie Mariusza, który zawsze stał po stronie ludu.

Cezar zorientował się, że Pompejusz przyprowadził kilka dziesiątek uzbrojonych ludzi, najemników opłacanych przez optymatów. Była to wyraźna demonstracja siły obliczona na to, żeby młody oskarżyciel i wszyscy obecni mieli jasność, że optymaci nie dadzą się zastraszyć bazylice pełnej plebejuszy zebranych przez *accusatora* i jego stronników.

Napięcie rosło.

Cezar nieco obniżył tembr głosu, choć utrzymał jego moc. Teraz przemawiał łagodniej, bardziej pojednawczo.

– Tutaj, w bazylice Sempronia stąpamy po tej samej ziemi, która widziała narodziny Scypiona. Budynek ten wzniosł Tyberiusz Semproniusz Grakchus, zięć Scypiona, mąż jego córki Kornelii, na tym samym skrawku ziemi, na którym we wcześniejszych latach znajdowała się rezydencja samego Scypiona Afrykańskiego.

Wypowiedział imię „Kornelia”. On również był mężem pewnej Kornelii i teraz spojrzał w jej stronę: jego młoda małżonka patrzyła na niego rozogniona podziwem, napełniona dumą, jej serce biło emocjami. Potem Cezar spojrzał na matkę, która również patrzyła na niego z dumą i zaskoczeniem. Gdyby zatrzymał na niej wzrok przez kilka sekund, zdałby sobie sprawę, że w spojrzeniu rodzicielki widać nie tylko podziw, ale również uczucie, które starała się ukryć: strach. Podziw matki był dla doskonałego dyskursu, zaskoczenie wynikało z dostrzeżenia ogromnej różnicy między tym, jak przemawiał teraz, a tym, jak uczynił to podczas *divinatio*. Strach natomiast wzbudziło to, że jej syn okazywał nadzwyczajne zdolności, niezwykłą inteligencję i mógł wobec tego stanowić zbyt duże zagrożenie w oczach optymatów.

Ale Cezar nie miał czasu oceniać wszystkich tych uczuć. Musiał kontynuować mowę.

Metellus przełykał ślinę: wspomnienie Tyberiusza Semproniusza Grakcha niepokoiło go, bo mimo iż znalazł się w tej mowie jako zięć Scypiona, był też ojcem Grakchów, trybunów ludowych, którzy rozpoczęli walkę o prawa ludu, a więc niejako założyli stronnictwo popularów w Senacie i innych instytucjach Rzymu. Niepokoiła go ta wzmianka, tak, przede wszystkim dlatego, że nadal nie dostrzegał ostatecznego celu mowy Cezara. Nie wiedział, do czego on zmierza, i to wzbudzało jego nerwowość.

Cezar mówił dalej:

– Tak, spod ziemi, po której stąpamy, patrzy na nas Scypion, podobnie jak bogowie obserwują nas z niebios. Bo ja nie chcę odrzucenia Kwintusa Cecyliusza Metellusa po to, żeby zmienić skład trybunału sędziowskiego, lecz po to, by zapewnić Rzymowi jak najlepszą obronę. Pragnę, by nasz najlepszy żołnierz stawiał czoło buntownikowi Sertoriuszowi, który okopał się w Hispanii. A może Metellus postanowił schronić się za bezpiecznymi murami miasta? A może Metellus po prostu, bez ogródek... się boi?

Powiedział to.

Jego wuj Mariusz zniósł miesiące podczas kampanii przeciwko Teutonom, kiedy wszyscy byli przekonani, że ogarnął go strach, że jest tchórzem. Zniósł to, ponieważ wiedział, co robić, i było to ważniejsze niż opinia innych o nim. Kwestią otwartą pozostawało, czy Metellus będzie w stanie ścierpieć insynuacje o tchórzostwie wypowiedziane w obecności pozostałych senatorów. Czy był wykuty z tej samej stali bohaterów, co Mariusz? Czy raczej jego tworzywo pasowało do ludzi ambitnych, którzy oburzają się na każdą obrazę i nie mogą przejść nad nią do porządku dziennego?

W bazylice zapadła całkowita cisza: młody oskarżyciel nazwał przewodniczącego trybunału tchórzem.

W obecności wszystkich.

Ale to nie był koniec.

– Czy może Metellus boi się przegranej w wojnie z Sertoriuszem, boi się, że nie odniesie wyczekiwanego zwycięstwa, boi się, że nie uda mu się odbyć triumfu, czy wreszcie boi się, że nie dorówna własnemu ojcu?

Cezar zamilkł.

Pocił się.

Zaangażował w mowę ogromną energię, napięcie sięgało zenitu. Ale nie mógł jeszcze skończyć, musiał zapewnić przewodniczącemu godne wyjście z sytuacji, godną ścieżkę prowadzącą do akceptacji odrzucenia. Poza tym publicznie obraził przywódcę optymatów. Musiał odwołać te słowa albo bez wątpienia nie dotrwa do zmierzchu.

– Uważam, że tak nie jest – mówił dalej. – Jestem przekonany, że Kwintus Cecyliusz Metellus nie boi się ani wojny, ani walk z Sertoriuszem. Myślę też, że może osiągnąć to, co udało się jego ojcu. Zarazem sądzę, że dał się złapać w sieć procesu, który trzyma go w mieście, mimo iż osobiście go nie dotyczy i oczywiście pozwoliliby mu okazać bezstronność. Z tego powodu nie może poświęcić się swojemu prawdziwemu i najważniejszemu obowiązkowi wobec Rzymu: wojnie z Sertoriuszem. Proces oddala go od szansy naśladowania ojca. Nie, ani przez

chwile nie śmiałem myśleć, a nawet sobie wyobrazić, na Jowisza Najwyższego, na Herkulesa i wszystkich bogów, że Kwintus Cecyliusz Metellus mógłby się czegokolwiek bać.

Zaprzeczał teraz temu strachowi, ale po raz kolejny o nim mówił.

Pełna plebejuszy bazylika, niezwykle poważny trybunał, setka uzbrojonych najemników porostawianych po całej sali – wszyscy milczeli.

Metellus wbił wzrok w młodego oskarżyciela.

Cezar się nie przestraszył. Wypowiedział ostatnie zdanie swojej mowy.

– Przewodniczący trybunału być może uważa, że to ja jestem jego wrogiem, ale to nie ja go zatrzymuję w Rzymie, z dala od triumfu. To oskarżony, Dolabella, go tu zatrzymuje, staje między nim a jego chwałą.

Teraz tak. W tym momencie Gajusz Juliusz Cezar zakończył mowę, wrócił do Labienusa i usiadł na *solium*. Nagle wydarzyło się coś dziwnego: publiczność złożona z plebejuszy zaczęła go oklaskiwać.

Była to długa, burzliwa i nieprzerwana owacja. Tylko najemnicy, sędziowie i sam oskarżony do niej nie dołączyli.

Metellus oderwał wzrok od Cezara i wbił go w Dolabellę. Ten nie musiał odwzajemniać spojrzenia. Czuł, jak wściekłość Metellusa liże go po twarzy. Ale Dolabella zajął się teraz innymi rzeczami: skupił się na własnej wściekłości i zastanawiał się, jakie jest prawdopodobieństwo, że proces zakończy się dla niego niekorzystnie.

Metellus spojrzął na pomocników sądowych i podniósł lewą dłoń. Palce mały i serdeczny były zgięte, wskazujący i środkowy – wyprostowane, a kciuk odstawał. *Preacones* zrozumieli: najstarszy z nich wstał i przetłumaczył ten gest na słowa.

– Oskarżyciel otrzyma odpowiedź trybunału za dwa dni. *Reiectio* uznaje się za zamknięte.

Podniecona publiczność zaczęła opuszczać bazylikę Sempronia wśród ożywionych rozmów na temat tego, co się wydarzyło.

W absydzie zebrał się cały trybunał, z Metellusem.

Dolabella pozostał sam na swoim miejscu na środku sali, pod czujnym okiem uzbrojonych strażników.

Porozstawiani po pomieszczeniu najemnicy przyprowadzeni przez Pompejusza czuwali nad sytuacją.

Cezar i Labienus przez chwilę rozmawiali w miejscu przeznaczonym dla oskarżycieli, przy stole, na którym piętrzyły się papiirusy z różnymi notatkami.

* Cisza!

ROZDZIAŁ XLV

W mroku bazyliki

Bazylika Sempronia, Rzym

77 r. p.n.e.

Miejsce przeznaczone dla oskarżycieli

Niewolnicy gasili łuczywa i zamykali okna oraz drzwi. Mimo że w środku nadal znajdowali się członkowie trybunału, sam oskarżony, obrońcy i oskarżyciele, w pomieszczeniu powoli zapadał mrok.

– Podzieliłeś ich. Jesteś genialny – skomentował podniecony Labienus, patrząc w stronę pięćdziesięciu dwóch sędziów pogrążonych w gorącej dyspacie. Był wśród nich Metellus.

– Ustąpi – powiedział Cezar.

– Kto?

– Metellus. Sam ustąpi. Chce wrócić do Hispanii i walczyć z Sertoriuszem, pokonać go i odbyć tak pożądany triumf, który zrówna go w honorach z ojcem. Moja matka miała rację. Proces się zrównoważy: zabili moich świadków, ale teraz odpłaciłem im tą samą monetą i usunąłem ich przewodniczącego trybunału. Pozostaje tylko... – Rozejrzał się po sali. – Pozostaje tylko kwestia, kogo mianują przewodniczącym w miejsce Metellusa.

Absyda bazyliki

– Nie mówi-wi-wiliście, że t-t-to kiep-p-pski orator? – spytał nieukrywający oburzenia Metellus.

– Podczas *divinatio* niczym się nie wykazał – przypomniał Pompejusz, a reszta sędziów przytaknęła.

– To-to-to się p-p-pomyliliście – stwierdził Metellus. – Wysta-ta-tawił mnie na tacy całemu Rzy-rzy-rzymowi. Nie mam wyjścia, mu-mu-muszę wrócić do Hispanii i pokonać tego przekłętą Sertoriusza.

Im mocniej się gniewał, tym mniej się jąkał, jakby złość sprawiała, że zapominał o swojej wadzie.

– Przyjmiesz ten wniosek? – spytał Pompejusz.

– Oczywiście.

– Skoro już zdecydowałeś, po co te dwa dni na przemyślenie sprawy? – Pompejusz wyraził to, co intrygowało resztę sędziów.

– Ponieważ wiem, że Dolabella p-p-poprosi mnie, żebym zo-zo-został, i potrzebuję czasu, żeby go p-p-przekonać.

– Jak zamierzasz to zrobić? – nalegał Pompejusz. – Dolabella powiedział, że nie zgadza się na innego przewodniczącego. Tylko tobie w pełni ufa.

– Już wymyśliłem, kogo zap-p-p-proponować w mo-mo-moje miejsce.

– Krassusa? – odważył się spytać jeden z sędziów, ale Metellus pokręcił głową. Od czasu bezczelności, jaką okazał Krassus w trakcie bitwy pod Porta Collina, Dolabella go nie znosił.

– A więc kogo? – dopytywał inny z sędziów.

Ale Metellus już się nie odezwał.

Pogrążył się we własnych myślach.

Środek sali

Dolabella nie musiał podchodzić do absydy, żeby wiedzieć, o czym rozmawiają. Domyślał się, że Metellus informował sędziów o zamiarze powrotu do Hispanii. Ten młody Cezar okazał się niezwykle zdolny. Gnejusz Korneliusz Dolabella był przekonany, że straci swoją największą podporę w trybunale. Spuścił głowę, ale zaraz ją podniósł i wbił wzrok w młodego *accusatora*. Przeczucie, jakie miał po zakończeniu *divinatio*, właśnie się spełniało. Dolabella pozbył się wątpliwości: Cezar był tak niebezpieczny, jak to przewidział Sulla. Powinni byli go

zabić już jakiś czas temu. Ostatecznie, jak w przypadku tylu innych spraw, sam będzie musiał zająć się brudną robotą. W swoim czasie.

Miejsce przeznaczone dla oskarżycieli

– Patrzy na ciebie – powiedział Labienus.

Cezar podniósł wzrok i spojrzał na Dolabellę, który nieruchomo, w milczeniu siedział na swoim miejscu i badał go oczami, jakby chciał poznać jego myśli.

– Myślę, że źle to obliczyłeś – mówił dalej Labienus. – Twoim wrogiem nie jest przewodniczący trybunału. Jedyne prawdziwego wroga masz w samym Dolabelli.

– Mimo że nowy przewodniczący trybunału nadal będzie dla mnie istotny, naszym najbardziej zażartym wrogiem jest oczywiście *reus*, Dolabella – zgodził się Cezar, nie spuszczać wzroku z obiektu tej rozmowy; lubił go określać publicznie mianem oskarżonego. – On jeden rozumie to, co robię.

– A co robisz? – dopytał Labienus.

– Otwieram drugi front w tej wojnie.

– Nie rozumiem...

– Wojna między popularami a optymatami się nie zakończyła, mój przyjacielu – wyjaśnił Cezar, nie odrywając oczu od Dolabelli. – Pokonali mojego wuja Mariusza, mojego teścia Cynnę, potem syna Mariusza. Ale ja nadal tu jestem. Prawdziwa wojna toczy się w Hispanii, tam dowodzi Sertoriusz, ale ja teraz otwieram drugi front, odmienny, tu nie będzie broni, tu walczymy słowami. Nie widziałeś, jak rozgrzałem dziś plebejuszy? Optymatów ogarnął strach. Powinni zdać sobie sprawę, że tutaj, w Rzymie, powstał drugi front tej wojny, ale na razie dostrzega to tylko Dolabella. – Cezar zamilkł na moment i rozejrzał się po olbrzymiej sali. – Przy zgaszonych łuczywach i zamkniętych oknach bazylika pogrąża się w mroku, ale i tak ciemność, którą rozsiewa patrzący na nas Dolabella, jest najgorsza. Teraz doprowadzenie do jego skazania stało się ważniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Wcześniej to była sprawa odnosząca się do etyki,

sprawiedliwości. Teraz wygnanie Dolabelli to kwestia przeżycia. Mojego przeżycia. W nienawiści, z jaką na mnie spogląda, widzę własną śmierć.

Reus

DOLABELLA

Oskarżony

ROZDZIAŁ XLVI

Zbrodnia pierwsza: *violatio*

Rezydencja Aeroposa, przywódcy miejscowej arystokracji

Akropol w Tesalonikach

Pod koniec 78 r. p.n.e.

– Aaaa – wrzasnął Gnejusz Korneliusz Dolabella, wyciągając rękę z ust Myrtale. – *Scortum!*

Dziewczyna wykorzystała ból i zaskoczenie atakującego ją mężczyzny, żeby się wyrwać i pobiec do drzwi.

Dolabella, namiestnik Macedonii, odwrócił się i powoli za nią ruszył. Był gruby, poruszał się wolno i z niejakim trudem. Wobec szczupłej, drobnej sylwetki dziewczyny wydawał się cyklopem – równie przerażającym, co brutalnym i wzbudzającym wstręt.

– *Scortum* – wycedził ponownie.

Zdrową ręką przyciskał ranę, z której nadal ciekła krew. Ugryzła go z premedytacją, z wściekłością, jaką daje strach.

– Otwórzcie! Otwórzcie – krzyczała dziewczyna, uderzając w drzwi białymi jak mleko piąstkami. Zostały zamknięte przez legionistów towarzyszących namiestnikowi.

– Miałem zamiar tylko cię zerznąć, ale teraz zrobię to brutalnie – powiedział, podchodząc do niej.

Myrtale rozejrzała się. Szukała jakiejś broni albo innego przedmiotu, którym mogłaby się bronić. Albo zaatakować.

Dolabella to spostrzegł. Zatrzymał się.

– Otworzyć! – nakazał.

To zbiło z tropu dziewczynę.

Drzwi rozwarły się, ale nie przebiło się przez nie światło wolności, tylko padły zimne cienie rzucane przez uzbrojonych żołnierzy.

– Brać ją! – rozkazał Dolabella.

Legioniści otoczyli Myrtale, a ona chwyciła pogrzebacz stojący przy jednym z kominków ogrzewających pomieszczenie podczas mroźnej macedońskiej zimy.

Żołnierze się zbliżali. Rozjuszona skierowała w ich stronę pogrzebacz, na co oni wyciągnęli miecze.

– Złapać ją, ale nie zranić – nakazał im Dolabella. – To ja utoczę jej krwi.

Jeden z legionistów uderzył swoim mieczem w pogrzebacz. Myrtale była inteligentna, ładna i sprytna, ale nie silna. Broń wypadła jej z ręki. Gdy schyliła się, by ją podnieść, rzymscy żołnierze ją unieruchomili.

– Trzymajcie jej ręce i nogi. Będzie mi łatwiej – wydał szczegółowe instrukcje namiestnik.

Zrozumieli sens ostatniego zdania i położyli dziewczynę na podłodze, przytrzymując ją za ręce i nogi.

– Dajcie *pugio* – dorzucił Dolabella.

Jeden z żołnierzy wręczył mu sztylet.

Namiestnik rozciął tunikę i bieliznę Myrtale, odsłaniając jej nagie ciało poniżej pasa. Dziewczyna szamotała się, ale legioniści trzymali ją z taką siłą, że krew przestała docierać do jej kończyn, powoli traciła w nich czucie.

– Perdikas cię zabije – powiedziała, nie przestając się wyrywać.

– Ach, twój narzeczony... Zapomniałem o nim. – Dolabella zwrócił się do stojącego obok żołnierza. – Przyrowadźcie tego durnia. – Potem znów odezwał się do Myrtale. – Jeśli ma mnie zabić z twojego powodu, niech przynajmniej dobrze się przyjrzy temu, co ci zrobię, prawda?

– Przeklęty! Przeklęty! – Tyle tylko udało jej się powiedzieć, nim otrzymała mocny policzek, który ją ogłuszył.

– Au! – krzyknął namiestnik. Uraził sobie tym ciosem zranioną dłoń. Trzeba wezwać medyka, gdy to wszystko się skończy.

Wzgórek łonowy dziewczyny został odsłonięty. Jej nogi szeroko rozsunięte.

Do pomieszczenia wkroczyło kilku żołnierzy – prowadzili zakutego w łańcuchy Perdikasa. Młody Macedończyk chciał się wyrwać, gdy zobaczył obnażoną narzeczoną brutalnie przytrzymywaną przez legionistów. Między jej nogami klęczał rzymski namiestnik i śmiał się, szykując się do jej zhańbienia.

Nic nie mógł zrobić. *Optio* zdzielił go kilkakrotnie w podbrzusze. Wiedział, jak pozbawić tchu zbyt mocno szamocącego się więźnia.

Dolabella się nie spieszył. Począł, aż Perdikas wyrówna oddech i będzie w stanie dobrze się wszystkiemu przyjrzeć. Wtedy dopiero brutalnie wepchnął nagłym ruchem palce w pochwę dziewczyny. Myrtale zawyła z bólu. Spodziewała się, że to nastąpi, ale to była pierwsza penetracja w jej życiu – doświadczenie okropne, niechciane, pełne przemocy i strasznego cierpienia. Namiestnik zadawał go jeszcze więcej, obracając palce w środku i drapiąc jej wnętrze. Zabawiał się wyciąganiem i ponownym wkładaniem palców. Robił to w sposób obsceniczny, z całej siły, starając się zadać jak największy ból. Krew z ugryzionej ręki mieszała się z dziewiczą krwią Myrtale. To go podniecało.

Położył się na dziewczynie i wyszeptał jej do ucha:

– Teraz w ciebie wejdę... inaczej. I zostawię w tobie moją esencję, żebyś urodziła pięknego syna z rzymskiej krwi, na którego nie zasługujesz, a którego noszenie będzie ci okrutnym ciężarem.

Wstał i się rozebrał. Jego penis sterczał. Wszystko szło doskonale.

– Zabiję cię, zabiję! – wył Perdikas, oszalały z wściekłości, gniewu i żalu.

Myrtale zamknęła oczy i pomodliła się do Afrodyty o natychmiastową śmierć, jak najszybszą, nieważne skąd nadchodzącą.

ROZDZIAŁ XLVII

Druga i trzecia zbrodnia: *repunditis* * i *peculatus* **

Pałac namiestnika Macedonii, Tesaloniki

Pod koniec 78 r. p.n.e., trzy godziny wcześniej

Dolabella przyjął ich, siedząc na *cathedrze* obficie wyłożonej poduchami.

– No więc? – To były jedyne słowa, jakie rzucił na przywitanie.

Mógł pokusić się o kilka wyrazów uznania dla przedstawicieli miejscowej arystokracji. Macedończycy przez wiele lat buntowali się pod rzymskim jarzmem, ale w ostatnim czasie okazali się dobrymi sojusznikami w walkach z barbarzyńskimi plemionami, które nacierały od Dunaju, zwłaszcza Trakami. Pomogli również w długiej i trudnej kampanii Sulli przeciwko Mitrydatesowi z Pontu. Tak, kilka miłych słów byłoby bardzo na miejscu.

Ale Dolabella przeczuwał problemy i wiedział, że najlepszą formą obrony jest atak, okazanie najwyższej władzy wobec tego, kto przychodzi z żądaniem albo, co gorsza, ze skargą – z tego względu będzie wypowiadał się ostrożnie.

Młody Perdikas spojrzał na starszego Aeroposa, przywódcę miejscowej arystokracji, ojca Myrtale, narzeczonej młodzieńca. Perdikas chciał przemówić jako pierwszy, ale nie bez zgody najbardziej doświadczonego w negocjacjach z Rzymianami rodaka, najważniejszego męża spośród macedońskich elit.

Aeropos skinął głową.

Perdikas wystąpił krok do przodu i stanął twarzą w twarz z Dolabellą, starając się jednak zachować pozory grzeczności – inaczej niż namiestnik.

– Nazywam się Perdikas, a mój towarzysz to Aeropos, jak wiadomo w Rzymie, przywódca Tesalonik wśród nas, Macedończyków. Wspólnie pozdrawiamy Gnejusza Korneliusza Dolabellę, rzymskiego namiestnika.

Dolabella tylko przechylił się na swoim krześle w prawo, jakby chciał odsunąć się od przemawiającego i jego żądań.

– No więc? – powtórzył raz jeszcze ostrym i zimnym tonem.

Perdikas widział wyraźnie, że elegancja i szacunek na nic się w tej rozmowie nie zdadzą. Postanowił więc mówić bez ogródek.

– Namiestniku, sytuacja jest dla nas nieznośna: podatki na ziarno sprawiły, że cena chleba wzrosła tak, że wielu nie może sobie pozwolić na jego kupno. Poza tym dodatkowy podatek na naprawę Via Egnatia jest dla nas dużym obciążeniem, bo pozbawia nas środków, dzięki którym moglibyśmy pomagać najbardziej potrzebującym. My, Macedończycy, stanęliśmy u boku Rzymu w wojnie z Mitrydatesem i przeciwko Trakom. Senat przyznał nam status sojuszników ludu rzymskiego. I w taki sposób odplaca nam się teraz za udział w tych wojnach? – Popatrzył na zdobiące salę po dwóch stronach *cathedry* dwa posągi pochodzące ze świątyni Afrodyty. To jeszcze bardziej go rozpałiło. – Co gorsza, władze rzymskie, które mają ponoć dbać o pokój i bezpieczeństwo wiernego ludu macedońskiego, zbecześciły nasze najświętsze miejsce.

Dolabella wciągnął głęboko powietrze.

Wypuścił je.

Przejechał dłonią po podbródku, przed godziną idealnie ogolonym przez *tonsora*.

– Wezwać inżyniera Wetusa – powiedział w stronę legionistów, którzy trzymali straż w sali audiencyjnej.

Jeden z nich wyszedł szybko. Wtedy dopiero namiestnik spojrzął na Perdikasa.

– A więc po kolei: ziarno podrożało, ponieważ mieliśmy słabe zbiory i trzeba było sprowadzić je z Egiptu. To wiąże się ze znacznie wyższymi kosztami. Ludzie chcą jeść i ja im gwarantuję, że będą mieli co, ale za transport ziarna z daleka trzeba zapłacić, czyż nie? Stąd konieczność nałożenia dodatkowych podatków na ziarno w tym roku.

Perdikas miał zamiar odpowiedzieć. Słabe zbiory były kłamstwem i ziarno nie pochodziło z Egiptu, tylko z Macedonii. Wygórowane ceny ustalone przez namiestnika nie miały żadnego uzasadnienia. Młodzieniec poczuł jednak dłoń Aeroposa na ramieniu i zrozumiał, że powinien zachować spokój. Przerwanie namiestnikowi, nawet jeśli ten wypowiadał jedynie kłamstwa, im nie pomoże.

– A jeśli chodzi o naprawę Via Egnatia – kontynuował Dolabella. – To my, Rzymianie, ją zbudowaliśmy, żeby połączyć porty w Dyrrachium i Apollonii na zachodzie z Bizancjum na wschodzie, ale jest ona w okropnym stanie. To droga ważna dla Rzymu, ale jeszcze ważniejsza dla was, bo przecina całą Macedonię i stanowi kręgosłup regionu. Korzystacie z niej nieustannie, przemieszczając się między macedońskimi miastami. Czuję się zobowiązany do naprawienia tej drogi zniszczonej przez wasze wozy z towarami, przez wasze podróże po całej Macedonii. Wy jej używacie więcej niż inni. Sądzę, że ten, kto korzysta, powinien płacić więcej. Naprawdę nie wydaje wam się sprawiedliwe dołożenie się do kosztów prac koniecznych do odnowienia Via Egnatia?

– Z całym szacunkiem, *clarissimus vir* – postanowił przemówić Aeropos. – My, Macedończycy, płacimy już wiele podatków na rzecz Rzymu, dlatego wydało nam się właściwe spodziewać się, że ich część zostanie przeznaczona na naprawę drogi...

– Na Herkulesa, kto korzysta, ten płaci! – przerwał mu ostro Dolabella, sprawiając wrażenie urażonego, wyczerpanego tą rozmową.

Wtedy do sali wkroczył legionista w towarzystwie wezwanego inżyniera.

Dolabella od razu zwrócił się do niego, nie dając mu czasu się zastanowić:

– Wetusie, jaki jest stan Via Egnatia?

Inżynier spojrział na namiestnika, potem na Macedończyków i wyczuł napięcie, szczególnie u przedstawicieli miejscowej ludności.

– Bruk znajduje się w bardzo złym stanie, namiestniku – potwierdził. – Potrzebne są prace na całej długości drogi i pieniądze, które mi obiecano...

– Cisza! – zagrział Dolabella, czując, że inżynier zaraz poprosi go o wypłatę tysięcy sestercji i asów, które zebrał w ramach specjalnego podatku na naprawę drogi, ale zatrzymał we własnych skrzyniach. Wbił wzrok w inżyniera i zniżył głos: – Możesz odejść. Potem o tym porozmawiamy.

Wetus przełknął ślinę. Skłonił się, odwrócił i opuścił salę.

Perdikas i Aeropos zauważyli, że inżynier chciał poprosić o pieniądze, których nie otrzymał. Wszystko było tak oczywiste, tak bardzo niepozostawiające wątpliwości...

– Jeśli cena ziarna nie spadnie, a pieniądze zebrane na naprawę Via Egnatia nie trafią w ręce inżyniera, który ma tych napraw dokonać... – Perdikas nie dokończył zdania.

– Wówczas co, chłopcze? – wpadł mu w słowo rozwścieczony Dolabella. – Grozisz mi buntem? Jak tamte, z którymi musieli uporać się poprzedni namiestnicy?

Perdikas i Aeropos wiedzieli, że Dolabella mówi o Aleksandrze, synu Perseusza, który zbuntował się przeciwko Metellusowi, i o Eufantosie, który walczył z Gajuszem Sekstusem – w tym ostatnim przypadku przyczyną było bezpodstawne podniesienie ceny ziarna. Ale tamte rebelie należały już do przeszłości. Od lat Macedończycy nie buntowali się w ten sposób przeciwko Rzymowi.

Wówczas Aeropos postanowił przemówić z całym swoim autorytetem. Wypowiedział się powściągliwie, lecz z mocą, występując kilka kroków przed młodego Perdikasa.

– Bunt? Nigdy. Nie przyszliśmy tutaj z takim nastawieniem. Przedstawiamy tylko nasz niepokój związany z wysiłkiem, jaki nowe podatki nakładają na Macedończyków. Przyszliśmy wyrazić naszą niezgodę, namiestniku i najjaśniejszy mężu, na podatki, które uważamy za nadmierne, czy to na transport ziarna, czy to na utrzymanie drogi. I jeśli rzymski namiestnik nie uzna za stosowne ich obniżenia,

nie pozostanie nam nic innego, jak zwrócić się ze skargą do wyższej instancji. Wyślemy przedstawicieli macedońskiego ludu do Senatu w Rzymie.

Zapadła cisza.

Dolabella przez jakiś czas wpatrywał się w podłogę, nie schodząc z wygodnego siedziska. Znów przejechał dłonią po brodzie. Skarga Macedończyków przed Senatem byłaby czymś niedogodnym, choć niezbyt niepokojącym. Właśnie złożył wniosek o przyznanie mu triumfu na ulicach Rzymu po ostatnim zwycięstwie nad Trakami i skarga mogłaby rzucić cień w momencie podejmowania decyzji w tej sprawie. Ale on nigdy nie poddawał się tego rodzaju presjom.

Perdikas i Aeropos wpatrywali się w dwa posągi zabrane ze świątyni Afrodyty. Namiestnik w żaden sposób nie wyjaśnił tamtego świętokradztwa, a oni nie zamierzali nalegać. Postanowili, że na razie skupią się na kwestiach finansowych. Religia świetnie służyła podgrzewaniu emocji, ale obaj Macedończycy uznali, że wystarczy, jeśli będą poruszać się w sferze rozumu i dyplomacji.

Mylili się.

Zupełnie.

Dolabella należał do ludzi, którzy sądzą, nie bez pewnej racji, że poprzez emocje można wpłynąć na innych, na to, w jaki sposób myślą. Szczególnie jeśli wzbudzi się w nich strach.

Najbardziej podły człowiek potrafi manipulować sentymentami i tęsknotami z biegłością rzemieślnika, który nieustannie pracuje nad kruchym szkłem.

Namiestnik podniósł wzrok i odpowiedział Aeroposowi:

– Jeśli obniżę cenę ziarna i zmniejszę podatki na naprawę Via Egnatia, przysięgasz, że nie dojdzie do zbrojnego powstania ani że nie wniesiecie skargi w Rzymie?

Doświadczony przywódca Macedończyków pomyślał, że namiestnik zbyt łatwo zgadza się na ich żądania, ale również wiedział o złożeniu w Rzymie wniosku o triumf. Być może Dolabella naprawdę nie chciał, żeby do Senatu dotarły skargi

z jego prowincji w momencie, gdy *patres conscripti* mieli decydować o przyznaniu mu triumfu.

– Tak, *clarissimus vir* – odpowiedział zdecydowanie. – Gwarantuję, że nie dojdzie do buntu ani nie zostanie złożona żadna skarga, jeśli cena ziarna i podatki na naprawę drogi ulegną obniżeniu.

Dolabella pokręcił głową.

– Nic mi po twoich gwarancjach, masz mi przysiąc na to, co dla ciebie najświętsze.

Aeropos powoli skinął głową i mimo woli poczuł, że jego błyskotliwość zaprocentowała chwilą zwycięstwa. Patrząc na zrabowane posągi, odważył się wypowiedzieć przysięgę, która wydała mu się w tym momencie szczególnie odpowiednia.

– Przysięgam... na Afrodytę.

Dolabella zrozumiał aluzję, ale nic z tym nie zrobił. Pochylił się do przodu, żeby wysłuchać przysięgi, i zaraz potem ponownie rozparł się na krześle.

Jeszcze raz pokręcił głową.

– To nie wystarczy. On też musi przysiąc. – Wskazał na Perdikasa.

Młody Macedończyk instynktownie cofnął się o krok. Nie dlatego, że się bał. W niewinności swoich młodych lat niczego ani nikogo się nie obawiał. Miał jeszcze wiele się w życiu nauczyć. Wiele wycierpieć. Cofał się jak żołnierz, który zyskuje pole, żeby powiększyć przewagę i dalej walczyć.

Aeropos także na niego spojrział i skinął głową.

– Przysięgnij, chłopcze, zrób to – nalegał.

Perdikas zmarszczył czoło. Nie podobał mu się rozwój wypadków. Miał złe przeczucia, ale jeśli dzięki jego przysiędze, że nie dojdzie do buntu ani wysłania skargi do Senatu w Rzymie, podatki miały zostać obniżone, nie było to zbyt wygórowane żądanie.

– Przysięgam – powiedział.

Dolabella uśmiechnął się, ale ponownie pokręcił głową.

– Nie, nie w ten sposób – zwrócił się do młodzieńca. – Tak jak twój starszy kolega: przysięgnij na to, co jest dla ciebie najświętsze.

Perdikas nadal marszczył czoło. Jego przyszły teść był sprytny, gdy przysięgał na Afrodytę. Chciał zrobić to samo, ale jednocześnie wolał nie mówić niczego, co zostałoby odebrane jako krytyka namiestnika. Za to mógł zyskać jeszcze większą przychylność ojca narzeczonej.

– Przysięgam na Myrtale, moją narzeczoną, która jest dla mnie najświętszą rzeczą na świecie.

Dolabella kilkakrotnie kiwnął głową, jakby przyjmował te słowa z całą powagą. Właściwie to delectował się torturowaniem innych, należało ono do jego ulubionych zajęć.

– Nigdy nie słyszałem imienia Myrtale – skomentował z prawdziwym zaciekawieniem, jakby nie myślał o tym, o czym myślał.

Młody Macedończyk z dumą wyjaśnił pochodzenie imienia narzeczonej.

– To drugie z czterech imion, jakich używała matka Aleksandra Wielkiego. Najpierw nazywała się Poliksena, później, po zawarciu małżeństwa z Filipem II, ojcem Aleksandra, przyjęła imię Myrtale, następnie używała imienia Olimpia i na koniec – Estratonike.

– Ach tak – powiedział namiestnik, jakby naprawdę interesował go wykład z historii. – Matka Aleksandra, wielka macedońska dynastia, z której tak jesteście dumni i której potomkami i dziedzicami się czujecie.

– Bo nimi jesteśmy – stwierdził dobitnie Perdikas.

– Jasne, jasne – przyznał namiestnik, jakby naprawdę się z tym zgadzał. Nagle zmienił ton i rzucił w stronę legionistów ostry rozkaz: – Aresztować ich!

Zaskoczyło to wszystkich, zarówno Macedończyków, jak i żołnierzy. Ci ostatni jednak zareagowali natychmiast, wyciągnęli miecze i otoczyli obu mężczyzn, którzy nie rozumieli, co się dzieje.

* Uchybienie obowiązkom lub korupcja, na przykład tworzenie niesprawiedliwych, arbitralnych podatków.

** Przywłaszczenie środków publicznych, kradzież ze skarbca państwowego.

ROZDZIAŁ XLVIII

Klątwa Tesaloniki

Rezydencja Aeroposa

Akropol w Tesalonikach

Pod koniec 78 r. p.n.e., trzy godziny później

Dolabella na ułamek sekundy wygiął plecy i wypuścił z siebie powietrze, jak wieprz, który zachłysnął się jedzeniem.

– Aach!

Podniósł się, opierając ręce na podłodze.

Z trudem.

Z jego męskości nadal kapąły krople nasienia i krwi.

Odwrócił się do Perdikasa.

– Rzeczywiście, chłopcze, twoja narzeczona była dziewicą. Była... – Roześmiał się, parszkając śliną na nagie ciało Myrtale leżące między jego grubo ciosanymi nogami i nadal przytrzymywane przez żołnierzy.

Gdy Dolabella lekko skinął głową, legioniści puścili dziewczynę.

– Przyprawadźcie ojca tej dziwki! – rozkazał namiestnik.

Myrtale odsunęła się od ciemiezcy i szybko przebiegła na czworakach do kąta pomieszczenia, tuż obok wielkiego okna, przez które wpadało światło.

Dolabella udał się za nią, spocony i wyczerpany wysiłkiem. Mimo że czterej żołnierze trzymali dziewczynę, gwałt go zmęczył. Potrzebował łyku świeżego powietrza. Przez okno widać było całe miasto. Budynek znajdował się na szczycie akropolu, na skraju miasta – poniżej rozciągała się przepaść, ale także wspaniałe widoki.

Myrtale obserwowała, jak namiestnik wychyla się przez wielkie okno. Myślała szybko. Podniosła się zdecydowanie. Z furią rzuciła się na swojego ciemieżcę, żeby zepchnąć go w przepaść, nawet jeśli sama miała ponieść przy tym śmierć.

W sąsiednim pomieszczeniu

Legioniści podeszli do starego Aeroposa.

– Wstań i chodź z nami, starcze. Namiestnik cię wzywa.

Ojciec Myrtale podniósł się z taboretu, na którym go usadzono. Obawiał się tego, co zobaczy w sali obok. Słyszał krzyki córki i przekleństwa Perdikasa. Nie musiał pytać, wszystko rozumiał. Teraz miał tylko poznać rozmiary katastrofy.

Podniósł się powoli i poszedł za legionistami. W drugim pomieszczeniu miał zetknąć się z czymś przerażającym. Jego życie, takie jakie znał, na zawsze się skończyło.

W głównej sali rezydencji

Dolabella poczuł na plecach mocne pchnięcie, które miało zrzucić go w przepaść, ale zdążył chwycić framugę otwartego okna i powstrzymać swe ciało.

Myrtale napierała z całych sił, ale mimo że była młoda, zdrowa i pełna nienawiści, nie zdołała zepchnąć otyłego namiestnika w przepaść za oknem.

– Straż, do mnie! – krzyknął Dolabella.

Legioniści otoczyli dziewczynę, spoliczkowali ją i za nogi odciągnęli od namiestnika do drugiego kąta, gdzie skopali jej zwinięte w kłębek ciało. Rękami osłaniała głowę.

Dolabella się uspokoił. Już dawno śmierć nie zaglądała mu w oczy z tak bliska. Nawet podczas kampanii przeciwko Trakom, podczas której pilnował się, żeby nie trafić na pierwszą linię walk. Teraz uśmiechnął się. To był poranek pełen wrażeń i czuł, że żyje. Był zadowolony. Natychmiast doszedł do siebie.

– Wystarczy, na Jowisza! – powiedział żołnierzom, którzy kopali jego ofiarę. – Jeśli ją zabijecie, wyświadcycie jej tylko przysługę. Ma żyć, ma cierpieć.

Ponownie się roześmiał. Był szczęśliwy. Tak, dawno już nie patrzył śmierci w oczy z tak bliska. Chyba od czasów bitwy pod Porta Collina, kiedy na początku walki wydawało się, że on i Sulla przegrają, ale ostatecznie wszystko skończyło się dobrze. Przypomniawszy sobie Krassusa i jego chępliwość. To było nieco gorzkie wspomnienie. Ten kretyn myślał, że sam pokonał wszystkich Samnitów, a po prostu przydzielone mu wojska były lepiej wyszkolone niż te, którymi dysponował Dolabella na swojej flance...

– Rzucam na ciebie klątwę Tesaloniki... – powiedziała Myrtale cichutko, ale na tyle słyszalnie, że jej głos przebił się przez wspomnienia namiestnika i je odsunął.

– Co powiedziałaś? – spytał ze zmarszczonym czołem.

– Rzucam na ciebie klątwę Tesaloniki... niech cię zniszczy! – krzyknęła, wypluwając krew wypływającą z warg rozciętych przez sandały żołnierzy.

– Klątwę Tesaloniki? – spytał namiestnik, ale w tej samej chwili do sali wkroczył ojciec dziewczyny. – Na Jowisza, mamy tutaj Aeroposa, gospodarza tego domu, przywódcę wielkiej macedońskiej arystokracji. Popatrz, to twoja córka. Trochę ją poturbowali i straciła dziewictwo, ale jeśli ten kretyn, którego wybrałeś na zięcia, się z nią ożeni, nadal może dać ci wnuki i będziecie żyć długo i szczęśliwie, na co nie zasługujecie, bo jesteście głupcami. Wprawdzie to będzie życie z mniejszą ilością pieniędzy, bo zabiorę je sobie do Rzymu, ale może za to zostawię wam mojego syna, choć to nie przywróci wam honoru. Ale przecież nic takiego się nie stało, nie wydaje ci się? – Podszedł do starca, który nie wiedział, co odpowiedzieć. – Ale posłuchaj. Jest jeszcze coś.

Aeropos nie patrzył na namiestnika. Jego wzrok padał na pokrytą krwią córkę, zwiniętą w kłębek w kącie pomieszczenia.

– Starcze! – krzyknął wreszcie Dolabella. – Mam rozkazać, żeby cię parę razy zdzielili, czy będziesz słuchał?

Aeropos powoli odwrócił się w jego stronę.

– Już lepiej – powiedział Dolabella z uśmiechem na twarzy. – Wiesz, co teraz zrobię?

Zamilkł. Chciał, żeby tamten się odezwał, zapytał, żeby czuł się zmuszony do rozmowy w obecności zgwałconej córki i przyszłego zięcia przytrzymywanego przez legionistów, od czasu do czasu walących go dla uspokojenia w podbrzusze.

– Nie, nie wiem – odparł Aeropos niechętnie, bo widział, że tylko podjęcie rozmowy przyspieszy koniec tortury. – Nie wiem, co robi teraz... namiestnik.

Dolabella był w pełni usatysfakcjonowany tą uniżonością. Uwielbiał, gdy ci, którzy zwali się potomkami Aleksandra Wielkiego, się przed nim kłaniali. Niezbyt się ucieszył, gdy Sulla wysłał go do tej prowincji, ale trzeba przyznać, że znacznie się tutaj wzbogacił, zwyciężył na polu bitwy, dzięki czemu prawdopodobnie zostanie mu przyznany triumf w Rzymie, a poza tym w takie dni jak dzisiaj odnosił osobiste wiktorie nad tymi, którzy uważali się za lepszych od niego, ale byli tylko pyłem na jego butach. To wszystko razem sprawiało, że czuł się niepokonany.

– A teraz, starcze, pójdę do tej waszej przezacnej świątyni Afrodyty i zupełnie ją ogołocę. Zabiorę stamtąd wszystkie posągi, wszystkie. Będą zdobić mój wielki *domus* w centrum Rzymu lub jedną z luksusowych willi na wsi. Zabiorę też wszystkie złote i srebrne przedmioty, jakie tam znajdę, tak że cała przestrzeń, którą tak czcicie, pozostanie goła. Zostawię wam jedynie jońskie kolumny, które ją podtrzymują. To, starcze – powtórzył z rosnącą pogardą – to właśnie zrobię.

Ruszył przed siebie.

Gdy mijał pobitego Perdikasa, młodzieniec odezwał się do niego.

– Dlaczego?... Dlaczego?... – udało mu się z siebie wydusić, zanim kolejny cios w podbrzusze zmusił go do wymiotów.

– Puśćcie go – nakazał Dolabella.

Gdy żołnierze rozluźnili uścisk, Perdikas padł na podłogę – najpierw na kolana, potem na bok. Ręce trzymał na brzuchu. Dławiły go własne wymioty, gdy w desperacji chwycił ustami powietrze. Namiestnik kucnął przy nim.

– Dlaczego to robię? – spytał Dolabella. Potem kilka razy pokiwał głową i pochylił się do ucha Perdikasa. – Robię to wszystko, chłopcze, bo mogę. Rozumiesz? Bo mogę – powiedział mu cicho.

Gnejusz Korneliusz Dolabella, rzymski namiestnik, podniósł się i rzucił do swojej straży:

– Idziemy.

Zostawiał za sobą pełną rozpacz scenę.

Aeropos, widząc, że Perdikas z trudem oddycha, pobiegł ku niemu, żeby pomóc mu usiąść, zamiast najpierw podejść do córki. Podjął decyzję. Jedną z licznych decyzji, jakie podejmuje się w życiu. Jedną z tych, których można na zawsze żałować.

– Dzień... ku...ję – odpowiedział Perdikas na pomoc przyszłego teścia.

Myrtale wykorzystała tę krótką chwilę, żeby na czworakach zbliżyć się do okna, wspiąć się na parapet, odwrócić do ukochanego i pożegnać go spojrzeniem oraz słowami:

– Nie jestem ciebie godna! Nie jestem ciebie godna!

Przyjrzała się sobie: rozdarta w tysiącu miejsc tunika, posiniaczona skóra, wypływająca spomiędzy ud krew. Ból nie był tak ważny. Gwałt splamił ją, na to nie było rady. Honor ojca, rodziny... wszystko to stracone. To, że została zhańbiona wbrew swej woli, nie miało prawie żadnego znaczenia.

– Myrtale! Myrtale! Stój! – krzyknął z desperacją w głosie Perdikas. Opierał się plecami o ścianę i próbował odzyskać równowagę po ciosach, nie miał siły, żeby ruszyć i uniknąć ostatecznej katastrofy. – Zatrzymać ją! – krzyknął do swojego przyjaciela Archelaosa, który właśnie się zjawił, i do Aeroposa.

Obaj jednak tylko obserwowali Myrtale, nie próbowali powstrzymać jej przed rzuceniem się w przepaść.

Myrtale spojrzała na ojca. Ten się nie ruszył.

Odwróciła się w stronę wolnej przestrzeni i Tesalonik rozciągających się u jej stóp. Zrobiła krok naprzód. Jej ciało zachwiało się. Zaczynała opadać ku końcowi...

Nikt nie wie, jak i skąd.

Nikt nie potrafi tego wytłumaczyć.

Perdikas zdobył się na wysiłek, biegiem rzucił się w stronę okna i w ostatniej chwili złapał Myrtale, najpierw za tunikę, potem za ramię, a wreszcie w pasie. Wtedy wciągnął ją do środka.

Gdy uratowana Myrtale znalazła się z powrotem w sali, młodzieniec padł na posadzkę.

– Nie zbliżaj się ponownie do tego okna – powiedział.

Myrtale skinęła głową. Nie wiedziała teraz, jak się zachować, ale wiedziała, że zrobi wszystko, co nakaze jej Perdikas. Ojciec wolałby, żeby umarła. A on chciał ją żywą. Nadal była zagubiona, ale gdy słuchała ukochanego, mały promyk nadziei rozświetlił jej wnętrze wypełnione bólem i nieskończonym żalem.

– Znów będzie mnie godna, i godna wszystkich – powiedział z trudem Perdikas.

Aerpos i Archelaos patrzyli na niego surowo.

– Jak zamierzasz to sprawić? – spytał ten pierwszy, który czuł, że córka powinna rzucić się w przepaść, skoro sama sobie tego życzyła.

– Zemścimy się – odpowiedział Perdikas z ręką na poobijanym brzuchu. – Wykończymy tego rzymskiego psa.

– Dolabellę, senatora i namiestnika? – rzucił mu w twarz Aerpos, prawie pogardliwie. – Nie wiesz, co mówisz. To niemożliwe.

Perdikas pokręcił głową.

– Stanie się możliwe – nie odpuszczał. – Wymyślę, w jaki sposób. Dolabella już jest martwy. A ja ożenię się z Myrtale. Rzuciła na niego klątwę Tesaloniki. Dopilnuję, by się ona spełniła.

ROZDZIAŁ XLIX

Czwarta zbrodnia: *sacrilegium* *

Tesaloniki, dolna część miasta

Pod koniec 87 r. p.n.e., tego samego dnia

Większość rzymskiego garnizonu z Tesalonik towarzyszyło Dolabelli, który prosto z domu Aeroposa udał się do świątyni Afrodyty położonej w pobliżu dzielnicy administracyjnej miasta i pałacu namiestnika.

– Zamknąć wszystkie przejścia! – nakazał dowódcy garnizonu. Nie chciał, żeby ktokolwiek przeszkodził w łupieniu świątyni.

Gdy legioniści otoczyli okolicę, Dolabella skierował się do świętego miejsca. Minął olbrzymie, liczące setki lat kolumny jońskie. Podążała za nim spora grupa żołnierzy, których zadaniem było niedopuszczenie do nieprzyjemnych niespodzianek.

Namiestnik stanął na środku świątyni i powoli obracał się wokół własnej osi, podziwiając bogate dekoracje sanktuarium.

– Zabrać wszystko – powiedział.

Żołnierze spojrzeli po sobie.

– Wszystko, *clarissimus vir*? – upewnił się jeden z nich.

– Wszystko, co można zabrać – wyjaśnił Dolabella, nie odwracając zachwyconego wzroku od wspaniałych posągów i rzeźb, kadzielnic z brązu i dziesiątek różnego rodzaju oboli, które przyniosły tu setki wiernych. – Zostawcie tylko te przeklęte kolumny. Całą resztę zabieramy do Rzymu.

To nie Delfy ani Olimpia, które nie tak dawno ograbił jego mentor Sulla, ale za to wszystkie bogactwa złożone w świątyni Afrodyty w Tesalonikach będą tylko dla niego.

Domus starego Orestesa na akropolu w Tesalonikach

Był najstarszym przywódcą w mieście. Wszyscy szukali u niego rady w trudnych czasach.

Orestes prawie nie wychodził z domu. Miał ponad osiemdziesiąt lat i powtarzał, że widział już wszystko: wojny, zwycięstwa, porażki, silną i wolną Macedonię oraz Macedonię w rękach Rzymu. Przeżył marzenie o buncie przeciwko Rzymianom i zrozumiał, że nie mogło już do niego dojść, nie mogło i koniec. Teraz, gdy bolały go wszystkie kości, zaczął marzyć o przejściu do świata umarłych. To już nie był czas na życie towarzyskie. Pocieszanie się w ramionach kobiety należało do przeszłości. Jedynie wino, od czasu do czasu, pozwalało mu na słodkie otumanienie, do którego coraz częściej się uciekał.

Ale gdy inni przychodzili do jego domu i z szacunkiem prosili o radę, wysłuchiwał gości i jej udzielał.

Aeropos, Perdikas i Archelaos wyjaśnili Orestesowi, co się wydarzyło.

To była długa i gorzka opowieść, w trakcie której jedna po drugiej zostały wymienione zbrodnie namiestnika, bolesna seria przerażających wydarzeń, których nie można było powstrzymać.

– A teraz grabi świątynię Afrodyty – podsumował z naciskiem Archelaos po tym, jak Aeropos złożył dokładne wyjaśnienia.

Perdikas miał jeszcze widoczne rany i prawie się nie odzywał, jakby całą energię zużył na ratowanie Myrtale.

– Świątynia Afrodyty – powtórzył zamyślony Orestes.

Jeszcze nie tak dawno sam był kapłanem w tym sanktuarium. Grabież wydała mu się najgorszym czynem ze wszystkich, o których mu opowiedzieli. Zhańbienie Myrtale, gwałt jakich wiele, było krzywdą, szczególnie dla jej ojca i narzeczonego, którzy stracili honor... Ale złupienie świątyni Afrodyty i zawyżone podatki na ziarno i naprawę drogi ustanowione jedynie po to, żeby namiestnik mógł się wzbogacić, były w jego oczach najbardziej podłymi sprawami, tak samo jak

w oczach wszystkich Macedończyków, może poza Aeroposem i Perdikasem. Dla nich gwałt na Myrtale był ważniejszy od zwykłych trosk współmieszkańców.

– Możemy wykorzystać sytuację i podburzyć lud do powszechnego buntu – zasugerował młody i niedoświadczony Archelaos, który uważał rzymskie jarzmo za stan przejściowy.

Orestes pokręcił głową.

– Już za późno na rebelie, chłopcze – powiedział. – Może przed dwudziestoma laty, ale nie teraz. Rzymianie są i będą coraz mocniejsi. Rosną w siłę, nie słabną. Ich władza jest coraz większa, nie maleje. Możemy zachęcać do buntu, a nawet próbować zabić rzymskiego namiestnika, zanim ten opuści Macedonię, ale spadnie na nas brutalny gniew Rzymu i cały region zostanie zniszczony. Rzymianie rządzą na Wschodzie i na Zachodzie. Nie będą skłonni pozwalać na bunty, bo to daje zły przykład innym prowincjom. Nie, nie tędy droga. Nie mogę wam doradzić powstania.

– Mamy więc stać z założonymi rękami? Na Afrodytę! To właśnie nam proponujesz? – Perdikas prawie wypluł te słowa. Mimo ran zaczął odzyskiwać wigor.

Orestes spojrzał na niego, ale się nie odezwał.

– Ten młody człowiek nie wie, co mówi – wtrącił się Aeropos, żeby usprawiedliwić niefortunny komentarz Perdikasa.

– To zrozumiałe – przyznał Orestes. Odchrząknął i pociągnął łyk wina, żeby oczyścić gardło. – Macedonia stanowi już część Rzymu. Trzeba odwołać się do tamtejszego wymiaru sprawiedliwości i zażądać odpowiedniego zadośćuczynienia: niech zwróci wszystko, co zrabował ze świątyni, a także pieniądze niewydane na ziarno czy tym bardziej na naprawę Via Egnatia. Nie możemy prosić o większą karę, nie wedle obowiązujących praw rzymskich, ale być może dobry oskarżyciel zmusi Dolabellę do zapłacenia grzywny, która mu się nie spodoba, i przede wszystkim do tego, żeby udał się na wygnanie, opuścił swe ukochane miasto.

Aeropos westchnął. Tak jak jego towarzyszom wydawało mu się to niewielką karą.

– Wobec tego proces nam nie jest potrzebny. Dolabella musi umrzeć, jeśli chcemy w jakiś sposób zmyć hańbę, której ofiarą padła... – trudno było mu to powiedzieć – moja córka. I odzyskać honor.

Perdikas nagle wtrącił się z zaskakującą energią.

– Proces jest potrzebny – powiedział. – Usprawiedliwi naszą obecność w Rzymie, dzięki niemu znajdziemy Dolabellę. Z powodu procesu ten nędznik będzie musiał się pokazać w miejscu publicznym, a tego właśnie mi potrzeba.

Aeropos był pod wrażeniem determinacji młodzieńca, ale te słowa zdradzały szalony plan.

– Zawsze towarzyszyć mu będą uzbrojone po zęby zbiry – stwierdził. – Atak na Dolabellę w Rzymie nie jest możliwy, a nawet jeśli ci się uda, to będzie twój koniec. Zabiją cię na miejscu.

Ale Perdikas był całkowicie przekonany, że to jedyna droga.

– Pojadę do Rzymu, żeby ocalić życie Myrtale i zgładzić Dolabellę. Moje życie nie ma znaczenia. Ten proces jest mi potrzebny. Da mi szansę.

– Dobrze – podsumował Orestes. – Z tego, co mówicie, dziewczyna rzuciła klątwę Tesaloniki i to może pomóc, ale nadal potrzebny będzie proces i... nie wiem...

Zamilkł.

Cisza.

Starzec myślał.

– Co cię martwi? – spytał wreszcie Aeropos.

– Nie będzie łatwo – powiedział Orestes, jakby wybudził się nagle ze snu. – Tak, nie będzie łatwo znaleźć rzymskiego patrycjusza gotowego zostać oskarżycielem wszechpotężnego Dolabelli. Musi to być ktoś odważny... albo szalony. A najpewniej i taki, i taki jednocześnie.

Port w Dyrrachium

Trzy tygodnie później

Dolabella pospiesznie opuścił Tesaloniki. Niezadowolenie, jakie wzbudziły podatki na zakup ziarna, którego nie musiał tak naprawdę sprowadzać z Egiptu, albo wysokie daniny na naprawy Via Egnatia, których nie dokonał, sprawiło, że stał się wyjątkowo niepopularny. Zhańbienie córki jednego z arystokratów i złupienie świątyni Afrodyty jeszcze bardziej zaciążyły na i tak wątpliwej reputacji namiestnika. Można się było spodziewać, że w każdej chwili dojdzie do powszechnego powstania. Dlatego Dolabella chyłkiem wyjechał z miasta.

Jadąc Via Egnatia do portu w Dyrrachium na zachodzie, mógł przekonać się na własne oczy, że droga rzeczywiście jest w żalonym stanie. Wozy załadowane obficie posągami, złotem, srebrem i żywnością utknęły w ogromnych dziurach. Towarzyszyło mu kilka centurii legionistów, którzy zajęli się wyciąganiem ładunków, i tylko dlatego sprawnie dotarł na wybrzeże.

Mimo to był zadowolony. Każda pęknięta płyta, każda dziura w drodze, każdy na wpół zrujnowany most oznaczał pieniądze w jego kiesie. Co go obchodził stan drogi, którą nie zamierzał już nigdy więcej się poruszać? Ważne było tylko to, że zgromadził bogactwa, których wielkość trudno mu było ogarnąć umysłem. Za czasów Sulli zyskał sporo na proskrypcjach i wywłaszczeniach, jakie dotknęły popularów, ale najlepszym podarunkiem okazało się mianowanie go namiestnikiem Macedonii. Teraz, gdy zrozumiał, że potrzebny mu jest cały statek, wielki czterorzędowiec, że tylko tak przetransportuje wszystkie skarby do Rzymu, wyraźnie poczuł, jak wiele udało mu się zgromadzić podczas kadencji na stanowisku namiestnika tej odległej prowincji.

Był podniecony, pił wino przy stole, jaki przynieśli mu do portu niewolnicy. W ten sposób zarazem relaksował się i nadzorował *in situ* ładowanie dobytku. Za kilka godzin, gdy nadejdzie przypływ, wyruszy wraz ze swoim bogactwem – znajdzie się daleko od wrogich spojrzeń Macedończyków, którzy, czuł to, przypatrywali mu się z pewnej odległości.

Tylko jedna rzecz nie dawała mu spokoju.

– Za godzinę będziemy gotowi – powiedział Sekstus, kapitan statku, który zajął Dolabella.

Namiestnik postanowił podzielić się z marynarzem swoim niepokojem.

– Co oznacza klątwa Tesaloniki? – spytał, spojrzeniem nakazując niewolnikowi, żeby nalał jego rozmówcy wina.

Do tej pory wesoły i rozluźniony kapitan – który miał w końcu zarobić sporą sumkę na raczej prostej i krótkiej podróży – zmarszczył czoło i się zachmurzył.

– To taka legenda żeglarzy, ale... skąd to zainteresowanie macedońskiego namiestnika?

– To nie twoja sprawa – rzucił mu sucho Dolabella. Zaraz jednak przemówił grzecznie. – Wzbudziło to tylko moją ciekawość. Wiele razy o niej słyszałem – skłamał – i chciałem wiedzieć, o co chodzi. Uznałem, że taki marynarz jak ty może mi udzielić odpowiedzi, ale chyba się pomyliłem.

To zranienie miłości własnej kapitana przyniosło skutek.

– Tesalonika to córka potężnego Filipa II, ojca Aleksandra Wielkiego – zaczął marynarz. – Urodziła ją jedna z jego konkubin, a więc była jedynie siostrą przyrodnią zdobywcy wschodu. Mimo to uwielbiała swojego brata. Spędzili niewiele czasu razem, bo Aleksander zawsze przebywał z Arystotelesem, a potem udał się do Persji i Indii. Dziewczyna otrzymała imię na cześć jednego ze zwycięstw ojca osiągniętego na równinie tesalskiej: greckie słowo *niké*, oznaczające wiktoria, połączyło się z nazwą geograficzną: *Tesalia Niké*, Tesalonika. Gdy umarł Aleksander, doszło do kilku wydarzeń: jego generałowie, jak wszyscy wiemy, podzielili między sobą imperium. Kassander przejął Macedonię, zrównał z ziemią Pydnę i zbudował nowe miasto nad morzem. Zadał śmierć Olimpias, matce Aleksandra, i pojął za żonę jego siostrę przyrodnią Tesalonikę, na cześć której nazwał nowe miasto, nową stolicę Macedonii.

– W tym, co opowiadasz, nie ma niczego przekłętego ani niebezpiecznego – zwrócił uwagę Dolabella. Nie dostrzegając w usłyszanej historii żadnego związku

z dziewczyną, którą kilka tygodni wcześniej zgwałcił i która rzuciła na niego klątwę.

– To nie koniec, namiestniku – kontynuował kapitan. – Ponoć po jakimś czasie Aleksander powrócił, żeby zobaczyć się z siostrą, i wręczył jej magiczną wodę ze Źródła Wiecznej Młodości, a może po prostu wysłał jej buteleczkę z tą wodą. W niektórych wersjach sam Aleksander myje włosy siostrze wodą o szczególnych właściwościach, w innych robi to Tesalonika. Nieważne, jak było, po śmierci Aleksandra jego siostra tak mocno cierpiała, że postanowiła odebrać sobie życie i rzuciła się do morza. Wówczas stało się coś dziwnego: Tesalonika nie utonęła, lecz zmieniła się w syrenę, która teraz błąka się u wybrzeży greckich i gdy pojawia się jakiś statek pyta marynarzy: Ζει ó βασιλιάς Αλέξανδρος, to znaczy...

– Czy Aleksander żyje? – przerwał mu zniecierpliwiony Dolabella. – Ja też znam grekę. Po prostu mów dalej.

Kapitan skinął głową.

– Syrena oczekuje pozytywnej odpowiedzi, chce, żeby spytany marynarz odrzekł: Ζῆ καί βασιλεύει καί τόν κόσμον κυριεύει **. Jeśli tak zrobi, wszystko dobrze się kończy, pozwala statkowi płynąć dalej. Ale jeśli ktoś odpowie jej, że Aleksander nie żyje, Tesalonika zmienia się w przerażającą gorgonę, która mąci wodę z taką furją, że wyzwała najgorszą burzę. Statek wówczas tonie wraz z całą załogą. – Kapitan zamilkł na chwilę i napił się wina. – Ja nigdy nie natknąłem się na syrenę, ale wiem na pewno, że nie chcę tego doświadczyć. W tawernach słyszałem historie innych kapitanów, którzy opowiadali o spotkaniach z Tesaloniką i twierdzili, że żyją tylko dzięki temu, że udzielili właściwej odpowiedzi, ale pewnie to tylko takie opowieści przy winie. Właściwie to sędzę, że tak naprawdę Tesalonika zginęła z rąk jednego ze swoich synów. Wydaje się, że z zazdrości, ponieważ faworyzowała inne dziecko... – Kapitan pociągnął kolejny łyk wina, odstawił pusty puchar na stół i dodał: – Ale w morzu znajdziemy różne dziwne stworzenia. Nigdy nic nie wiadomo.

Dolabella się nie odzywał. W milczeniu wpatrywał się w wodę.

Kapitan zrozumiał, że cisza to sugestia, żeby sobie poszedł, tak więc wstał, by się pożegnać.

Dolabella myślał szybko i intensywnie. Nagle zaczęło mu się spieszyć. Woda w zatoce wyglądała spokojnie, ale marszczyła się na powierzchni. Znał właściwą odpowiedź i jeśli spotkają syrenę, o której wspomniała córka Aeroposa, wystarczyło jej udzielić. Ale mimo to...

– Wyładować wszystko ze statku – powiedział ku zaskoczeniu kapitana. – Wracam do Rzymu lądem.

* Okradanie bogów poprzez ograbianie świątyń.

** Żyje, króluje i podbija świat.

ROZPRAWA PIĄTA

PRIMA ACTIO

Pierwsze posiedzenie sądu

ROZDZIAŁ L

Pierwszy świadek Cezara: Marek

Bazylika Sempronia, Rzym

77 r. p.n.e.

Ziemia.

Cezar wpatrywał się w posadzkę bazyliki Sempronia.

Budynek wznosił się na ziemi, po której w przeszłości stąpał Scypion Afrykański. Przypomniał o tym podczas *reictio*. Tego mu było potrzeba: ducha Scypiona, żeby metaforycznie ujść z życiem z piekielnego procesu. A może nawet w ogóle ujść z życiem. Doświadczył złych momentów, przede wszystkim po zabójstwie swoich głównych świadków: Wetusa, inżyniera zatrudnionego przez Dolabellę, oraz kapłana ze świątyni Afrodyty, ale po zwycięskim *reictio*, podczas którego udało mu się wyłączyć ze składu sędziowskiego Metellusa, a także po podróży do Macedonii i pozyskaniu nowych świadków po raz pierwszy w trakcie tego procesu miał wrażenie, że istnieje możliwość wygranej. To go napędzało.

Cezar podniósł wzrok.

Sędziowie jeszcze nie weszli do sali. Ciekawe, który z nich pierwszy przekroczy próg? To będzie nowy przewodniczący trybunału.

Rozejrzał się. Siedzący przy nim Labienus sprawdzał notatki zawierające pytania do świadków, których wezwali do stawienia się podczas *prima actio*, pierwszego posiedzenia. Wiele rzeczy odbywało się dzisiaj po raz pierwszy. Było to pierwsze posiedzenie sądu po serii sesji przygotowawczych, a także prawdziwy początek pierwszego procesu, w którym Cezar brał udział.

Nie przestawał się rozglądać, tym razem po publiczności: jego matka, jego żona, jego siostry – wszystkie tam były. Matka, z poważną miną, milczała, wzrok

utkwiała w drzwiach, przez które miał wkrótce wejść trybunał, pewnie również się zastanawiała, kto został nowym przewodniczącym. Kornelia za to patrzyła prosto na niego, a w jej oczach czały się łzy. Kilka dni temu błagała go, żeby zrezygnował z udziału w procesie, ponieważ bała się o jego życie. Powiedziała mu, że *relictio* wzbudziło niepokój w szeregach optymatów i że nawet Dolabella nie postrzegał go już jako mało znaczącego przeciwnika. Powtarzała, że Aurelia uważa tak samo, dlatego zaklina go, by porzucił proces, chociaż początkowo wspierała go w wysiłkach. Cezar jednak całkowicie odrzucał taką możliwość, wzbudzając tym smutek i rozpacz młodej żony, która siedziała teraz wśród publiczności i w milczeniu wpatrywała się w niego oczami niosącymi ślady niedawnego płaczu. Ze swojego miejsca nadal do niego apelowała, nadal prosiła...

Po jej prawej siedziały siostry Cezara. Rozmawiały cicho między sobą. Również wyglądały na zatroskane.

– Idą – powiedział Labienus.

Cezar spojrzął na drzwi: na czele pięćdziesięciu dwóch sędziów szedł Pompejusz.

– Pompejusz? – spytał zupełnie zbity z tropu Labienus. – Nie jest na to zbyt młody?

Obaj jednak wiedzieli, że w Rzymie minimalny wiek i prawa dotyczące ograniczeń dostępu do stanowisk publicznych czy sędziowskich stosowało się dość wybiórczo.

– To ma sens – skomentował Cezar po cichu. – Pompejusz wyróżnił się w wojnie ze sprzymierzeńcami brutalną skutecznością. Teraz chcą sprawdzić, czy równie produktywnie poradzi sobie na polu prawniczym.

– I czy okaże się równie bezlitosny... – podkreślił Labienus.

Cezar skinął głową i spojrzął w stronę ustawiaczy klepsydr – wypełnionych wodą urządzeń do odmierzania czasu, jaki przyznawano adwokatom i oskarżycielom na mowy, argumentację i przepytywanie świadków.

– Jak myślisz? – spytał Labienus.

– Pompejusz jest zdolny do wszystkiego – odparł poważnie Cezar. – Po usunięciu Metellusa dostaliśmy mniej doświadczonego przewodniczącego, ale może też mniej litościwego... Podczas procesu trudno stwierdzić, kiedy przegrywasz, a kiedy wygrywasz... Na razie pilnuj, żeby ustawiacze klepsydr nie manipulowali przyznanym mi czasem.

– Dobrze.

Cezar spojrział teraz na lewo: adwokaci Kotta i Hortensjusz patrzyli na niego jak na ofiarę, jaką mają złożyć na ołtarzu. W oczach wuja można było dostrzec smutek, spojrzenie Hortensjusza było jedynie sarkastyczne.

Forum w Rzymie

Poprzedniej nocy

W królestwie cieni, w mieście tak wielkim, że na jego ulicach nie palono łączyw w samym środku nocy, pewna kobieta przemieszczała się w stronę *tabernae veteres* krokiem przypominającym raczej chód młodej dziewczyny niż rzymskiej matrony. Otaczała ją liczna grupa dobrze uzbrojonych niewolników, mająca chronić ją przed nocnymi bandami. Mimo to ryzyko było ogromne, nie tyle na forum, gdzie można było czuć się nieco bezpieczniej – może ze względu na obecność świątyni Westy, która nawet w złoczyńcach wzbudzała respekt, a może dzięki strażnikom budynków publicznych – lecz podczas powrotu do Subury, dzielnicy, którą opuściła tej nocy. Powrót w ciemnościach oznaczał igranie ze śmiercią, ale ta Rzymianka właśnie to miała na celu: okpienie śmierci, ratowanie życia. Nie swojego, lecz mężczyzny, którego kochała za bardzo, żeby pozwolić mu popełnić samobójstwo podczas tego procesu, który go zniszczy i z którego mógłby nie ujść z życiem, jeśli uda mu się wygrać. Dlatego wbrew wszelkim swoim wyobrażeniom zdecydowała się na ten krok, na tę... zdradę.

– Pani – powiedział jeden z niewolników, wskazując jej zbliżającą się grupę mężczyzn.

– Spokojnie – nakazała z mocą.

W nocnym mroku pojawiły się postacie Hortensjusza i Aureliusza Kotty spowite w kryjące ich sylwetki ubrania. Wyglądali jak prawdziwi najemnicy stojący na czele złowrogiej grupy.

– Spokojnie – powtórzyła kobieta.

Żaden z jej niewolników się nie poruszył, choć wszyscy trzymali ręce pod tunikami, gdzie kryli sztylety i noże, wszelkie narzędzia, którymi mogli zadać śmierć.

Bazylika Sempronia, Rzym

Proces przeciwko Dolabelli, *prima actio*

Pierwszy świadek wyraźnie i dokładnie odpowiadał na pytania Cezara. Inżynier Marek nie zostawił miejsca na żadne wątpliwości: Via Egnatia od portu w Dyrrachium po Tesaloniki, stolicę Macedonii, a także od Tesalonik w stronę Bizancjum znajdowała się w fatalnym stanie. Droga ta okazała się niegościnna i prawie niemożliwa do przebycia dla wozów, chyba że towarzyszyła im liczna eskorta, żeby wyciągać koła z niezliczonych dziur. Mosty ledwie się trzymały, płyty były połamane albo w ogóle ich brakowało, pośrodku trasy często leżały kamienie, które stoczyły się z okolicznych gór. Marek jako inżynier stwierdził, że przez wiele lat nikt nie zainwestował ani sestercji w naprawę Via Egnatia, a jeśli ktoś dawał do zrozumienia, że było inaczej... kłamał.

Kategorycznie i nieodwołalnie.

Zeznania były solidne jak skała.

A Dolabella zebrał podatek niby na naprawę tej drogi. Inżynier jednak był zdania, że nie przeznaczono na to żadnych środków.

Cezar usiadł. Był spokojny, pogodny, pewny siebie. Podróż do Macedonii się opłacała.

– Pora na pytania obrony – powiedział Pompejusz, który w przeciwieństwie do Metellusa nie korzystał z pomocy *preacons*.

Gnejusz Pompejusz samodzielnie prowadził posiedzenie i robił to dobrze. Nie jękał się i ku zdziwieniu Cezara po zeznaniu inżyniera wydawał się niezwykle spokojny, jakby nie przywiązywał do słów Marka wielkiej wagi.

Aureliusz Kotta podniósł się, stanął na środku sali i spojrzął na inżyniera siedzącego w odległości kilku kroków od niego, bliżej trybunału.

Publiczność, ponownie tłumnie zgromadzona w wielkiej bazylice, nadstawiła uszu.

– Marek... Inżynier, prawda? – Kotta krążył po sali nieco rozkojarzony, wzrok miał spuszczone.

– Zgadza się – potwierdził świadek.

– Ten sam Marek, którego przed kilkoma laty zatrudniano zwykle do wykonania robót publicznych w Rzymie?

– Przed kilkoma laty, tak, wykonałem kilka prac przy miejskich akweduktach i renowacji paru budynków na forum – odparł spokojnie przesłuchiwany, dumny ze swoich osiągnięć.

Cezar również był spokojny, chociaż przeczuwał, dokąd zmierza Kotta.

– Ten sam inżynier Marek, który po dojściu do władzy Sulli i Dolabelli został pozbawiony zleceń na roboty publiczne w Rzymie?

– Tak, ale...

– Ten trybunał wymaga jedynie, żeby świadkowie odpowiadali na pytania, nie oczekuje od nich argumentów ani kontrargumentów czy wyjaśnień w danej sprawie – przerwał mu szybko Kotta. – To znaczy, że inżynier złożył zeznania przeciwko Gnejuszowi Korneliuszowi Dolabelli. – Adwokat pilnował się, żeby nie określać swojego klienta słowem *reus*, oskarżony, co chętnie czynił przy każdej okazji jego siostrzeniec Cezar. – Świadek został pozbawiony zleceń, gdy Dolabella zajął się ich przydzielaniem. Czy to prawda?

– Prawda, ale nie dostawałem tych zleceń bez powodu, chodziło tylko o sprzyjanie kolegom... – próbował wyjaśnić Marek.

– Na Jowisza! Nie interesują nas przyczyny, dla których zdaniem świadka Gnejusz Korneliusz Dolabella pozbawił go zleceń na roboty publiczne! – wykrzyczał Kotta i mówił dalej, tak żeby Marek nie mógł przytaczać kontrargumentów. – Mógł to zrobić z wielu powodów: bo nie podobały mu się efekty waszej pracy, bo dochodziło do przekraczania budżetu czy z każdej innej racji. W tym procesie ważne jest tylko to, że świadek ma wyraźny motyw, dla którego czuje niechęć do mojego klienta. Zeznanie świadka może być motywowane gniewem i zwyczajną wolą zaszkodzenia podsądnemu.

Marek kręcił głową i próbował zaprzeczać, ale Kotta nie dawał mu dojść do głosu i nękał go szybkimi pytaniami, aż świadek stracił głowę.

– Dlaczego tak naprawdę inżynier Marek pojechał do Macedonii? Dlaczego z takim zainteresowaniem przyjrzał się stanowi Via Egnatia? I jeszcze kluczowe pytanie: w jaki sposób opłacił tę kosztowną podróż? Bo to daleka wyprawa, która wymaga wyłożenia z kieszeni sporej ilości srebrnych sestercji, jeśli nie denarów. Moje główne pytanie, na które trybunał musi uzyskać odpowiedź, żeby ocenić prawdziwość tych zeznań, brzmi: kto opłacił podróż Marka do Macedonii?

Inżynier przełykał ślinę. Przejechał wierzchem dłoni po wysuszonych ustach. Okłamanie rzymskiego trybunału sędziowskiego nie należało do najlepszych opcji. Nie tyle z powodu wysokich kar za fałszywe zeznania, ile raczej dlatego, że kłamcami pogardzano, i ta pogarda zamknęłaby mu drogę do nowych zleceń na roboty publiczne.

– Moją podróż opłacił Gajusz Juliusz Cezar – przyznał wreszcie Marek.

– *Accusator?* – upewnił się Kotta i wskazał palcem w stronę swojego siostrzeńca.

– Ten sam – potwierdził inżynier.

W tej chwili Cezar się podniósł.

– Zatrudniony przez Dolabellę inżynier – powiedział głośno, nie pytając o pozwolenie – ten, który zeznawałby tu dzisiaj o tym, że nie mógł dokonać naprawy na Via Egnatia, ponieważ nie otrzymał żadnych środków na ten cel, zginął

zasztyletowany. Dlatego musiałem sprowadzić innego inżyniera, żeby potwierdził zły stan drogi.

– Obecnie przemawia adwokat obrony – upomniał go władczo Pompejusz.

Cezar zamilkł, ale nie usiadł.

– Mógłbym zwrócić uwagę młodemu oskarżycielowi, że nie powinien mi przeszkadzać, ale to nie jest istotne – mówił dalej Kotta. Sprawiał wrażenie, że nic go nie dziwi i ma wszystko pod kontrolą. – Przykro nam z powodu śmierci poprzedniego świadka, ale oskarżyciel mógł po prostu poszukać któregoś z jego współpracowników. Ale nie, o wiele łatwiej i wygodniej było zatrudnić, tak, to odpowiednie słowo: zatrudnić kogoś podatnego na wpływ i manipulację, innego inżyniera, który czuje niechęć do mojego klienta, dobrze mu zapłacić, żeby zeznał wszystko, co oskarżenie sobie życzy. – Odwrócił się do inżyniera. – Jaka szkoda, że nasze prawa nie karzą krzywoprzysięstwa tak, jak powinny, ale już bogowie zajmą się tym, który ośmiela się wprowadzać w błąd trybunał sędziowski! Na Jowisza, to nie zeznanie, lecz szereg kupionych kłamstw!

Zamilkł.

Cezar chciał się odezwać, ale Pompejusz wszedł mu w słowo.

– Czy oskarżenie ma innego świadka?

Cezar zrozumiał, że przewodniczący trybunału zakończył przesłuchanie Marka. Żadne jego słowa nie mogły tego zmienić.

Spojrzał na podłogę.

Westchnął.

Musiał uporządkować myśli.

ROZDZIAŁ LI

Drugi świadek Cezara: Orestes

Bazylika Sempronia, Rzym

77 r. p.n.e.

Cezar chciał przedstawić swoje kontrargumenty, ale ani za bardzo nie wiedział, jak to zrobić, ani nie miał zgody Pompejusza na kontynuowanie tematu. Kotta wykazał brak wiarygodności zeznania inżyniera. Bardzo łatwo zredukował je do kupionego świadectwa.

Cezar nie wiedział, co robić.

– Czy oskarżenie ma innego świadka? – powtórzył Pompejusz, który wydawał się radować zagubieniem młodego Juliusza Cezara, bratanka Gajusza Mariusza.

– Orestes, kapłan świątyni Afrodyty w Tesalonikach – podpowiedział szeptem Labienus.

Cezar skinął głową, choć nie podniósł wzroku. Odetchnął głęboko i zapanował nad sobą.

– Oskarżenie... – Przełknął ślinę, potrząsnął głową i spojrzał Pompejuszowi prosto w oczy. – Oskarżenie prosi na salę Orestesa, dawnego wielce czcigodnego kapłana świątyni Afrodyty w Tesalonikach – powiedział jasno i wyraźnie, a następnie usiadł na chwilę, żeby się rozluźnić i przemyśleć sprawę, zanim starzec zajmie miejsce dla świadków.

– Wygląda na to, że się idealnie przygotowali zawczasu – skomentował Labienus. – Jakby dobrze przeanalizowali kontrargumenty.

– Nie – odparł Cezar. – Jakby wiedzieli to, co powinni wiedzieć. Skąd ta pewność, że opłaciliśmy podróż inżyniera? Albo wiedza o tym, że Dolabella pozbawił Marka zleceń po przejściu władzy przez Sullę? Mogli się tego oczywiście

domyślać, ale wróciliśmy z Macedonii dopiero kilka dni temu, ledwie zdążyli dowiedzieć się, że mamy nowych świadków. To... dziwne. Są poinformowani. Ktoś przekazał im te informacje.

Labienus nie wiedział, co powiedzieć.

Stary Orestes usiadł już przed trybunałem.

Forum w Rzymie

Poprzedniej nocy

– Kazałam wam stać spokojnie – powtórzyła kobieta.

Jej niewolnicy rozluźnili uścisk na rękojeściach sztyletów ukrytych pod tunikami. Nie mieli w ogóle ochoty wdawać się w żaden akt przemocy: dwóm zakapturzonym mężczyznom towarzyszyło tyle samo lub więcej niewolników. Gdyby doszło do walki na noże, śmierć zbierze żniwo po obu stronach. Oby udało im się porozumieć. Ich pani zdawała się kontrolować sytuację.

– Co chcesz nam powiedzieć? – spytał ją jeden z zakapturzonych.

– Opowiem, co tylko chcecie, jeśli zapewni to porażkę Cezara w sądzie – odpowiedziała. – Jakich informacji szukacie?

Mężczyźni spojrzeli po sobie, żaden nie odsłonił oblicza. Potem zwrócili twarze ku kobiecie. Jeden z nich chciał spytać, dlaczego zdradza Cezara, ale zmienił zdanie i od razu poruszył sprawę o sporym znaczeniu dla procesu.

– Musimy wiedzieć, kim są nowi świadkowie i wszystko o nich. Jakie są ich słabe punkty.

Kobieta zawahała się, rozejrzała się po spowitej mrokiem ulicy i zatrzymała wzrok na zasłoniętych twarzach.

– Zgoda – powiedziała.

I dokonała zdrady.

Bazylika Sempronia, Rzym

Proces przeciwko Dolabelli, *prima actio*

Cezar podniósł się powoli. Mocno liczył na efekt zeznań inżyniera, ale po słowach Kotty sprowadzał się on praktycznie do zera. W pewnym momencie w Macedonii, gdy poznał Orestesa, był przekonany, że ten staruszek będzie dla niego najlepszym wsparciem podczas procesu. Ale później wszystko się zmieniło. Stary kapłan był chętny do współpracy i najwyraźniej dążył do wymierzenia sprawiedliwości Dolabelli za nadużycia i przestępstwa, ale w tym wieku podróż z Macedonii do Rzymu – najpierw przekłętą Via Egnatia (w fatalnym stanie, nieważne, co twierdzi na ten temat obrona), a potem statkiem i jeszcze raz łodem z południa Italii do Rzymu – zdawała się pochłaniać jego siły. Cezar zaczął nawet wątpić w to, że Orestes będzie mógł stawić się w bazylice Sempronia w dniu wyznaczonym na *prima actio*, ale ostatecznie przyszedł. Mimo to młody oskarżyciel nie był pewien, czy wezwać go do składania zeznań. Orestes kilkakrotnie gościł w jego domu na kolacji, w której uczestniczyli żona, matka, siostry Cezara oraz Labienus i inni. Na początku recytował im fragmenty dzieł Sofoklesa i Eurypidesa z pasją, która poruszyła wszystkich. Ale z czasem zaczął tracić wigor. Źle słyszał. Trzeba było powtarzać mu pytania, a w ostatnich dniach wydawało się, że zapomina, co się działo i o czym rozmawiano poprzedniego dnia, nawet jeśli jego starsze wspomnienia pozostawały nienaruszone. Wobec zabójstwa ważnych świadków i zdyskredytowania ostatniego zeznania Cezar wiedział, że nie ma wyjścia i musi przesłuchać starca. Musi wykorzystać wszystkie karty, które ma w ręku.

Cezar stanął pośrodku sali. Mówił do Orestesa głośno i wyraźnie, dobrze wymawiając głoski i patrząc mu w twarz, żeby starzec mógł widzieć ruchy jego warg. Wszystko, żeby tylko pomóc mu szybko pojąć, co się do niego mówi.

– Nazywasz się Orestes i byłeś kapłanem świątyni Afrodyty w Tesalonikach na wschodnim wybrzeżu Macedonii. Czy to, co mówię, jest zgodne z prawdą?

– Jest – potwierdził starzec lekko załamującym się, lecz zrozumiałym dla wszystkich głosem.

– Z racji tego, jak również twojego wieku i faktu, że przez lata prowadziłeś godne i szlachetne życie, czy jesteś najbardziej szanowanym obywatelem swojego

miasta? – spytał Cezar, ciągle patrząc na świadka i powoli wypowiadając słowa.

– Ludzie mnie szanują.

– Przychodzą, żeby skonsultować z tobą ważne problemy i poprosić o radę?

– Tak robią.

Cezar skinął głową. Odwrócił się powoli w stronę oskarżonego, zacisnął usta i ponownie skierował się w stronę świadka.

– Czy to prawda, że kiedy Perdikas, Archelaos i Aeropos, szlachetni obywatele waszego miasta, przyszli do ciebie, żeby porozmawiać o tym, co zrobić w sprawie występków namiestnika Gnejusza Korneliusza Dolabelli, oskarżonego w tym procesie, poradziłeś im zwrócić się do rzymskiego wymiaru sprawiedliwości, unikając w ten sposób wszelkiego brutalnego konfliktu w prowincji?

– To prawda, tak im doradziłem.

Cezar ponownie skinął głową i przez chwilę wpatrywał się w członków trybunału – rzymskich senatorów, którzy zrobiliby wszystko, żeby uniewinnić Dolabellę. Teraz jednak na ich twarzach widniały ślady autentycznego zainteresowania tym, co ma do powiedzenia ten świadek. Tak jak spodziewał się Cezar, czcigodny starzec, kapłan, wykształcony i dobrze wychowany człowiek zawsze zostanie przynajmniej wysłuchany z uwagą. Trudno jest, a może nawet to niemożliwe, zmienić zapatrywania sędziów na ten proces, ale zasianie ziarna wątpliwości, jakichś wyrzutów sumienia byłoby pęknięciem w tym solidnym murze, któremu stawiał czoło.

– Czy to również prawda, że namiestnik, obecnie oskarżony, Gnejusz Korneliusz Dolabella, narzucił fikcyjne podatki na naprawę Via Egnatia, której nigdy nie zrealizował, że zebrał inne podatki, aby pokryć koszty rzekomego transportu ziarna z Egiptu, które tak naprawdę pochodziło z Macedonii, że ukradł posągi i inne skarby ze świątyni Afrodyty w Tesalonikach, a jakby tych przestępstw było mało, zgwałcił również Myrtale, młodą dziewczynę z arystokratycznej rodziny z waszego miasta, wówczas czystą dziewicę?

– Tak, namiestnik dokonał wszystkich tych czynów – potwierdził Orestes zdecydowanym tonem, choć głos jego wybrzmiał słabo.

Brakowało mu sił, żeby podkreślić te słowa, ale jego zeznanie było prawdziwe, wiarygodne i przerażające. Sprawilo, że rzymscy senatorzy poczuli się niezręcznie, zaczęli poprawiać się na swoich poduszkach i wygładzać togi, jakby nie mogli znaleźć odpowiedniej postawy.

– Tak nie mówi osoba, której zeznania kupilem – kontynuował Cezar. – Sami Macedończycy sfinansowali swoją podróż do Rzymu za pomocą skąpych środków, jakie zostawił im do dyspozycji *reus*. – Cezar nie przepuszczał okazji, żeby określić Dolabellę tym mianem. – Nie jest to także świadek, który czułby niechęć do oskarżonego, zanim ten trafił do Macedonii i w smutny sposób wkroczył w życie jego i wszystkich Macedończyków. To czcigodny dawny kapłan, człowiek zawsze wiodący uczciwe życie, szanowany przez macedońskie elity, ktoś, kto poza tym uznaje nasze prawa, nasz wymiar sprawiedliwości. Wobec zrozumiąlego gniewu swoich rodaków, którzy żądali zemsty na niegodnym i niesprawiedliwym wysłanniku Rzymu, hańbiącym imię Republiki wszędzie tam, gdzie się znajduje, tenże człowiek doradza swoim rodakom, żeby się nie buntowali, żeby nie podzegli do powstania, lecz odwołali się do naszych praw, do naszego wymiaru sprawiedliwości i dlatego zadenuncjowali zbrodnie oskarżonego przed tym trybunałem i teraz oczekują na wyrok. Ta czcigodna, szanowana osoba, która uznaje nasze prawa, wskazuje teraz oskarżonego Gnejusza Korneliusza Dolabellę jako autora ohydnych przestępstw, tym bardziej godnych potępienia, ponieważ zostały popełnione dzięki władzy, jaką Rzym przekazał w jego ręce, by rządził, lecz nie poniżał, administrował, lecz nie nadużywał, zarządzał jedną z rzymskich prowincji, lecz jej nie łupił. Być może obrona będzie czuła pokusę usprawiedliwienia takich zbrodni, twierdząc, że niekiedy dochodzi do gwałtów albo łupi się jakieś terytorium lub wywłaszcza dla celów wyższych, na przykład pokrycia kosztów wojennych. Może zechcą przypomnieć, jak sam Sulla, który wprowadził prawa, jakimi kierujemy się w tym procesie, wywłaszczył świątynie w Olimpii i Delfach. Wówczas jednak były to działania spowodowane potrzebą

wypłacenia żołdu naszemu wojsku wysłanemu do walki ze wzbudzającym strach Mitrydatesem z Pontu. W przypadku Macedonii nie ma żadnej wymówki, niczego, co łagodziłoby, usprawiedliwiłoby lub wybielałoby zbrodnie, jakie popełnił *reus* Gnejusz Korneliusz Dolabella wobec mieszkańców tej rzymskiej prowincji. Zrobił to dla własnej korzyści, nigdy dla korzyści państwa.

Następnie Cezar spytał Orestesa o posągi zabrane ze świątyni Afrodyty, poprosił go, by opisał, co widział na własne oczy, gdy ładowano je na wozy namiestnika, i wymienił pozostałe złupione skarby. Staruszek przedstawił wszystko w szczegółach, wolno, lecz wiarygodnie, niezbyt głośno, lecz słyszalnie, z pewną nutką hamowanej pasji, z jaką odnosił się do tego, co wydarzyło się w świętym dla niego i Macedończyków miejscu.

– Na Jowisza! Nie mam więcej pytań! – zakrzyknął zadowolony z odpowiedzi starego kapłana Cezar.

– Dobrze poszło – skomentował Labienus, gdy przyjaciel usiadł obok niego.

– Tak – zgodził się, nalewając sobie wody z dzbanka. – Ale martwi mnie, jakie pytania zada mu Kotta. I jak zachowa się Orestes? Spocił się, widziałeś? Jest wyczerpany. Może nie powinienem był go tak długo przesłuchiwać.

Labienus przyjrzał się Orestesowi, staruszek rzeczywiście był spocony i wyglądał na zmęczonego.

– Możliwe, ale z drugiej strony złożył świetne zeznanie. Tego nam było trzeba. Cezar skinął głową i napił się wody.

Tymczasem Aureliusz Kotta wstał ze swojego miejsca i spacerował teraz przed świadkiem ze wzrokiem utkwionym w suficie. Wydawał się nieco zagubiony, ale to była tylko maskarada. Odwrócił się w stronę publiczności, a plecami do świadka, który nie widział jego twarzy ani ruchu jego ust, i zaczął mówić.

– Więc teraz mamy uwierzyć, że ten stary obcokrajowiec – podkreślił te dwa słowa nieco pogardliwie – widział, jak Dolabella popełnia świętokradztwo i łupi świątynię. To prawda, starcze?

Orestes nie zareagował. Kotta nazwał go starym obcokrajowcem, ale dobrze wiedział, że jego szlachetna, wzbudzająca szacunek postawa wywarła pewne wrażenie na członkach trybunału, a więc zanim go zmiążdży, chciał upewnić się, czy informacje, które otrzymali on i jego kolega poprzedniej nocy, są prawdziwe. Nadal obawiał się zdrady ze strony tej, która podawała się za zdrajczynię. Kotta był niezwykle ostrożnym człowiekiem.

– Pytałem, Orestesie, czy mamy wierzyć w to, co nam mówisz – powtórzył wyraźnym dla obecnych, lecz niespecjalnie głośnym tonem, nadal zwrócony plecami do świadka.

Ten nie odpowiadał.

– Zastanawiam się, czy stary obcokrajowiec milczy, bo gardzi moimi pytaniami, mną jako adwokatem czy też naszym trybunałem. A może rozumie jedynie łacinę strony oskarżającej, a mojej już nie? – W tym momencie Aureliusz Kotta odwrócił się do świadka i spojrzał na sędziów.

Orestes nadal milczał. Był wykształconym człowiekiem. Nie miał problemów ze zrozumieniem łaciny, choć to greka była jego ojczystą mową. Ale skoro Kotta nie patrzył mu w twarz, nie wypowiedział słów jasno i wyraźnie, a w dodatku stał odwrócony, nieco zagubiony staruszek nie odpowiadał, ponieważ nie był pewien, czy przesłuchanie już się rozpoczęło.

Kotta postanowił podzielić się swoim spostrzeżeniem ze wszystkimi zebranymi.

– A może ten starzec po prostu źle słyszy?

Przez salę przebiegł szmer.

Pompejusz spojrzał na jednego z pomocników sądowych. Ten wstał i poprosił o ciszę.

– *Faucte linguis!*

Publiczność umilkła.

– No dobrze, na bogów, słuch nie jest najważniejszy, jeśli chodzi o identyfikację kogoś, kto łupi świątynię – mówił dalej Kotta, nabierając pewności

siebie. – Żeby to zrobić, żeby wiedzieć, kto dokonuje takiego przestępstwa, wystarczy widzieć. Nie prosimy szlachetnego starca o nic więcej. – Pozwolił sobie na uśmiech.

Jego kolega Hortensjusz wybuchnął śmiechem, do którego przyłączyły się różne osoby wśród publiczności.

Kotta nazwał staruszka „szlachetnym”, bo wiedział, że jeśli chce zredukować Orestesa do roli zbędnego worka kości na tej ziemi, używanie w odniesieniu do niego przymiotników nasuwających myśl o prestiżu zabrzmia bardziej ironicznie.

– Orestesie! – mówił dalej, podkreślając teraz każde słowo, jakby rozmawiał z głuchym, którego w dodatku ma za idiotę. – Z jakiej odległości obserwowałeś rzekome łupienie świątyni Afrodyty przez namiestnika?

Orestes natychmiast odpowiedział na to pytanie, ponieważ adwokat wypowiedział je głośno, stojąc blisko i patrząc mu prosto w oczy.

– Wojsko opanowało cały plac – wyjaśnił – ale widziałem namiestnika we własnej osobie, jak wychodzi ze świątyni wraz z legionistami niosącymi posągi i inne skarby.

– Z jakiej odległości? – powtórzył głośno Kotta.

– Nie wiem... może pięćdziesięciu kroków. Może trochę mniej.

– Rozumiem. – Adwokat zwrócił się teraz do publiczności. Następnie spojrzał znów na świadka i podnosząc głos prawie do krzyku, dodał: – Na tej sali znajdują się dziś siostry *accusator*. Czy świadek je zna?

– Znam – odparł Orestes.

Cezar i Labienus nagle się napięli.

– Jadłem z nimi któregoś wieczoru kolację w domu oskarżyciela – uściślił świadek.

– Świetnie – powiedział Kotta. – Nie ma w tym nic złego. Interesuje nas, czy świadek zna te osoby i czy te dwie kobiety znajdują się dzisiaj wśród publiczności, którą mamy tutaj mniej więcej trzydzieści kroków od nas. Ja świetnie je widzę. Czy świadek mógłby mi je wskazać?

Orestes zrozumiał pytanie i rozejrzał się po zebranych, ale jego zmęczony starczy wzrok sprawiał, że widział jedynie zamglone twarze i nie był w stanie nikogo rozpoznać.

Kotta odważył się na więcej.

– Czy świadek mógłby wskazać jakąkolwiek kobietę wśród publiczności?

Orestes mocno marszczył czoło, ale wszystko widział jak przez mgłę.

– W tej chwili nie mogę – przyznał. – Wzrok mi się znacznie popsuł w ostatnich tygodniach. Wcześniej widziałem lepiej.

– Oczywiście... – Kotta kontynuował cichym tonem, nie patrząc teraz na świadka – również lepiej słyszałeś i mamy w to uwierzyć.

– Co? – spytał Orestes. – Nie usłyszałem ostatniego zdania. To było pytanie?

Hortensjusz ponownie się roześmiał i zaraził śmiechem sporą część publiczności, a także wielu członków trybunału, co w oczach Cezara było poważniejszym problemem.

Ale Kotta jeszcze nie skończył.

Ponownie zwrócił się do świadka i przemówił do niego głośno i wyraźnie, jak zawsze, gdy chciał, żeby ten dobrze go rozumiał.

– Czy świadek jadł wczoraj kolację w domu *accusatora*?

Orestes miał właśnie odpowiedzieć, ale nagle uważne spojrzenie sędziów go sparaliżowało; zastygł w milczeniu z półotwartymi ustami i mrugał oczami.

– Świadek może odpowiedzieć – powiedział łagodnie Kotta. – To nic nadzwyczajnego, że świadek spożywa posiłki i rozmawia z oskarżycielem, który wezwał go, by składał zeznania podczas tego procesu. Nie ma w tym nic złego.

Orestes nadal się nie odzywał.

Kotta postanowił odpowiedzieć za niego.

– Oczywiście może się zdarzyć, że świadek nie pamięta, czy wczoraj jadł kolację w domu oskarżyciela.

Orestes miał to właśnie potwierdzić, ale był świadomy, że źle by to wyglądało w oczach trybunału.

– Czy świadek jadł wczoraj kolację w domu *accusatora*? – Pytanie wybrzmiało bezlitośnie w samym środku głównej sali wielkiej bazyliki Sempronia.

Forum w Rzymie

Poprzedniej nocy

– Kto był dzisiejszego wieczoru w domu? – Ku zaskoczeniu kobiety spytał jeden z zakapturzonych mężczyzn.

– Co to ma wspólnego z procesem? – odparła, ponieważ mimo popełnionej zdrady nie chciała podać im więcej informacji, niż było to potrzebne do tego, żeby Cezar wyraźnie przegrał sprawę.

– Ta wiedza pomoże nam podczas jutrzejszych przesłuchań – wyjaśnił mężczyzna.

Noc była tak mroczna, jak myśli wszystkich zebranych na tamtym rogu rzymskiego forum, tuż przy *tabernae veteres*.

Bazylika Sempronia, Rzym

Proces przeciwko Dolabelli, *prima actio*

Orestes nie mógł sobie przypomnieć. Zdecydował się na kłamstwo.

– Tak, zeszłej nocy jadłem kolację w domu adwokata zatrudnionego przez Macedończyków.

– To nieprawda – stwierdził Aureliusz Kotta.

Nie mógł podać źródła tej informacji, ale uznał, że jeśli da do zrozumienia Orestesowi, że wie więcej, niż starzec sam pamięta, tamten się zupełnie popłącze. W pewnej mierze Kotta był świadomy, że to, co robi staruszkowi, jest okrutne, ale podczas przesłuchania nie ma miejsca na jakąkolwiek litość.

– Świadek nie jadł wczoraj kolacji w domu *accusatora* – kontynuował – ale o tym nie pamięta. A może chociaż pamięta, czy jadł dziś śniadanie?

– Zawsze to robię – odpowiedział Orestes, który tak naprawdę nie był pewien. Wspomnienia z przeszłości były w jego umyśle wyraźniejsze, za to te

z nieodległego czasu ulotne i zamglone. Nic z tego nie rozumiał. Co tu się dzieje?

– Czy świadek pamięta, co zjadł na śniadanie? Kozie mleko, kaszkę, mięso, suszone owoce, a może wino? – Kotta nie przestawał bombardować go pytaniami.

Orestes nie pamiętał, co zjadł na śniadanie, nawet nie był pewien, czy w ogóle je spożył. Ale nie odważył się ponownie skłamać, bo adwokat sprawiał wrażenie, że wie o nim wszystko.

– Nie pamiętam – przyznał.

Cezar pokręcił głową. Informacja o tym, że Orestes w ostatnich miesiącach tracił pamięć, nie mogła pochodzić od niewolnika. Było to coś zbyt konkretnego... Kto więc go zdradził?

W tej chwili Kotta wpadł na genialny pomysł.

– Czy świadek pamięta, że poprosiłem go, żeby wskazał kogoś z publiczności?

Orestes zdawał sobie coś przypominać.

– Tak.

Kotta oblizwał wargi, zanim zadał kolejne pytanie.

– Kto to był?

Orestes otworzył usta, ale się nie poruszył ani nie powiedział ani słowa.

– Kto? – nalegał Kotta.

W pomieszczeniu zapadła absolutna cisza.

– Nie pamiętam – odparł wreszcie Orestes po kilku sekundach.

Kotta wiedział, że nic mu więcej nie potrzeba.

Odwrócił się w stronę publiczności, potem ku trybunałowi i przemówił z pewnością kogoś, kto pokazuje argumenty niebudzące wątpliwości.

– Nie słyszy, nie widzi, nawet nie pamięta, o co spytałem go ledwie kilka minut wcześniej. *Accusator* może próbować przekonać nas, że demencja tego człowieka to kwestia ostatnich tygodni, ale ja tak nie uważam. Sędziowie rzymscy, nie mamy przed sobą świadectwa czcigodnego starca, dawnego kapłana świątyni Afrodyty w Tesalonikach, lecz niedołężnego staruszka, pozbawionego wzroku, słuchu i pamięci. Mamy uwierzyć, że ten świadek relacjonuje dokładnie to, co zobaczył

czy usłyszał? Czy on pamięta wydarzenia, które miały miejsce przed paroma miesiącami w Macedonii? *Accusator* najpierw przedstawił nam zeznanie kupionego świadka, a teraz starca, który nie słyszy ani niczego nie pamięta, którego wmanipulował w powtarzanie wpojonych mu słów. Kupiony świadek, stary pomyleniec bez pamięci, jedynie ze wspomnieniami, które oskarżyciel wielokrotnie mu powtórzył. Wiedziałem, że *accusator* to młody i niedoświadczony człowiek, ale szczerze mówiąc, spodziewałem się po nim więcej.

Wypowiedziawszy te słowa, Aureliusz Kotta przespacerował się po bazylice niczym konsul podczas triumfu na ulicach Rzymu, a potem usiadł w miejscu przeznaczonym dla obrony obok Hortensjusza, który mu przelotnie pogratulował.

W miejscu przeznaczonym dla oskarżenia zapanowało poczucie kompletnej porażki.

– Nie tylko wiedzą o naszych świadkach – powiedział cicho Labienus. – Wiedzą o nich wszystko.

Cezar nie odpowiedział. Wpatrywał się w publiczność, szukając zdrajcy. Jego siostry były bardzo poważne. Matka, niewzruszona niczym egipski sfinks, zachowywała godne oblicze, siedząc nieruchomo i w milczeniu. Jego młoda żona Kornelia płakała i unikała jego spojrzenia. Dlaczego?

– Zostaje nam tylko świadectwo dziewczyny – powiedział Labienus. – Co robimy? Wezwiemy ją?

Salę opanowało podniecenie. Dziesiątki rozmów na temat tego, co zobaczyli podczas ostatniego przesłuchania. Wszyscy zaczęli zdawać sobie sprawę, że *accusator* nie jest w stanie podeprzeć swoich oskarżeń.

Stary Orestes zszedł z miejsca dla świadków w poczuciu zagubienia, ze spuszczoną głową, zamyślony. Podeszedł tam, gdzie czekali na niego Perdikas, Aeropos i Archelaos. Niezbyt do niego docierało, co się dzieje, ale czuł, że nic dobrego.

W tym momencie potężny głos Pompejusza przebił wszystkie rozmowy.

– Czy *accusator* ma jeszcze jakiegoś świadka?

Cezar milczał.

Pytanie przewodniczącego trybunału zawisło nad nim niczym miecz grożący jego szyi, drażniący jego gardło.

– Wezwiemy ją? – nalegał szeptem Labienus.

– Musimy to zrobić. Nie mamy nic poza tym – mruknął wreszcie Cezar i zaczął się podnosić.

ROZDZIAŁ LII

Trzeci świadek Cezara: Myrtale

Bazylika Sempronia, Rzym

77 r. p.n.e.

Cezar pozwolił Myrtale mówić. Prawie nie zadawał jej pytań. Opowieść młodej kobiety była wystarczająco jasna, bezpośrednia i przykra. Relacjonowała wydarzenia konkretnie, bez łez, ale widać było, że powstrzymuje emocje. W niezbyt obszernej, ale druzgoczącej dla Dolabelli relacji Myrtale opowiedziała, jak *reus* wszedł do jej domu, wykorzystując fakt, że nie było tam ani jej ojca, ani narzeczonego, jak ją uderzył, cisnął na podłogę, kazał legionistom przytrzymać i potem zgwałcił. Następnie wyjaśniła, że próbowała popełnić samobójstwo, lecz w ostatniej chwili powstrzymał ją narzeczony. Jej jedyną nadzieją na spokój i odkupienie, mówiła, było to, że rzymski trybunał wymierzy karę gwałcicielowi. Jej honor zależał od tego procesu.

– Dobrze – powiedział oskarżyciel.

Nie czuł potrzeby czegokolwiek dodawać. To świadectwo nie było kupione ani nie wypowiedział go starzec z problemami z pamięcią. Myrtale była konkretna, młoda, wiedziała, co mówi. Została brutalnie zhańbiona przez namiestnika, który wykorzystał władzę i siłę, żeby dokonać tej wstrętnej zbrodni.

Cezar usiadł i bardzo poważnie spojrzął na adwokatów obrony, czekając, aż jego wuj Kotta znów wstanie, żeby przesłuchać świadka. Tym razem było inaczej. To Hortensjusz powoli podniósł się, zaciskając usta i czyniąc przesadne gesty, jakby aprobował to, co zostało powiedziane. Z wystudiowaną powściągliwością tego, który wszystko sobie dobrze przemyślał, a nawet przećwiczył, zbliżył się do miejsca, gdzie siedziała Myrtale.

– Kobieta – powiedział. – Po kupionym zeznaniu i świadectwie pomyłonego starca bez pamięci oskarżenie stawia teraz przed nami kobietę.

Cezar zmarszczył czoło: prawo rzymskie pozwalało kobietom składać zeznania przed sądem. Nie było to absolutnie nic nowego. Nie spodziewał się, że właśnie na tym skupią się obrońcy. Do czego się posuną?

Forum w Rzymie

Poprzedniej nocy

– Dobrze, dzięki tym informacjom wystarczy nam materiału, żeby zdyskredytować świadków – powiedział zakapturzony mężczyzna, który przewodził grupie. – Ale musimy wiedzieć, czy ta zgwałcona dziewczyna będzie zeznawać.

Kobieta, która przekazała im informacje, poczuła się w tym momencie szczególnie niezręcznie. Miała wrażenie, że ujawnianie kwestii dotyczących Myrtale stanowiło jeszcze większą zdradę, ale oczywiście ocalenie Cezara było dla niej najważniejsze.

– Tak, będzie zeznawać.

– Musisz nam w takim razie – dorzucił drugi zakapturzony mężczyzna – podsunąć coś, co odbierze jej wiarygodność.

Bazylika Sempronia, Rzym

Proces przeciwko Dolabelli, *prima actio*

Hortensjusz wypowiadał słowa w taki sposób, żeby odpowiednio wybrzmiały w obszernej sali, w której toczył się proces.

– Mamy teraz uwierzyć kobiecie. – Podniósł jeszcze bardziej głos, jednocześnie machając rękami. – Kobiecie! – Widząc, że *accusator* chce się wtrącić, aby przypomnieć mu, że kobieta może składać zeznania tak samo jak mężczyzna, uprzedził go. Szybko i donośnie, krążąc z zarożumiałą miną po sali, kontynuował: – Oczywiście świadectwo kobiety jest podczas procesu dopuszczalne, co zawsze

uważałem za absurd, ale... – rozłożył ręce, unosząc dłonie do góry i patrząc na publiczność – w Rzymie jest zgodne z prawem. Godzimy się na to. Niech będzie. Kobieta. Może być, ale zastanówmy się nad wartością tego zeznania. Czy muszę przypomnieć tu zebranym, że pierwsza kobieta, Pandora, była zatrutym darem Zeusa, co można wyczytać u dawnych poetów? Kobieta stanowi przyczynę wszelkich konfliktów między nami, biednymi śmiertelnikami, a wieczni bogowie nas obserwują, nam pomagają i czasami nas karzą. Prometeusz ukradł święty ogień dla ludzi i uprzedził naszych przodków, żeby nie przyjmowali żadnych darów od Zeusa. Ale czy oni się tym ostrzeżeniem przejęli? Nie. Dar Zeusa pojawił się pod postacią kobiety: Pandory. Epimeteusz ją przyjął, pojął za żonę i nawet miał z nią potomstwo. A co uczyniła Pandora? Otworzyła swoją słynną amforę i wypuściła wszystkie nieszczęścia, które trapią nas dzisiaj, łącznie z kłamstwem, której bóstwo, Apate, my nazywamy je Fraus, jest płci żeńskiej, jest matką wszelkiej zdrady i oszustwa. I tak od Pandory, przez Fraus, po nasze czasy kobieta przynosi tylko nieszczęścia, a w przypadku, którym obecnie się zajmujemy, fałszerstwa i kłamstwa. Nawet sama Minerwa oszukała Ulissesa, gdy ten wreszcie dotarł na Itakę: skłamała, że Penelopa wzięła już sobie nowego małżonka. I dopiero gdy sprytny Ulisses odkrył, że przemawia do niego bogini, Minerwa porzuciła kłamstwo i powiedziała mu prawdę. Tak więc kobiety, nawet boginie, mają naturalną skłonność do kłamstwa. I teraz młody *accusator* przynosi nam oszustwo. Na wszystkich bogów! Nawet wojna trojańska wybuchła z powodu kobiety! Czy oskarżenie ma tylko tyle?

Cezar się nie odzywał. Nie spodziewał się takiej mowy i nie miał przygotowanych kontrargumentów. Czuł się otumaniony przecuciem zdrady, w dodatku coraz wyraźniej widział, że dopuściła się jej kobieta... Czyżby jego własna małżonka, która znała wiele szczegółów wykorzystanych teraz przez obrońców Dolabelli? Kornelii mówił o wszystkim. Rozmowa z nią i opowiadanie o swoich planach go rozluźniały. Nie, to nie może być prawda. Jego myśli mieszały się w głowie w gęstą papkę. Nie był w stanie zareagować. Po prostu milczał.

Hortensjusz poczuł się lepiej, gdy udało mu się zgasić oponenta. Wówczas zwrócił się w stronę Myrtale, której jeszcze nie zadał żadnego pytania.

– Kobieto, jak byłaś ubrana gdy namiestnik przybył do twojego domu?

– Jak byłam ubrana? – Myrtale była zaskoczona tym pytaniem.

– Czy ten świadek również nie słyszy? – Hortensjusz zwrócił się w stronę publiczności. – Widzę, że głuchota wśród Macedończyków zaczyna się w młodym wieku. – Roześmiał się, a wraz z nim wielu obecnych na sali i prawie wszyscy sędziowie.

– Byłam ubrana w tunikę! – krzyknęła Myrtale, żeby usłyszano ją w tym hałasie.

Hortensjusz ponownie zwrócił się w jej stronę.

– Popatrzcie, słyszy i nawet mówi – skomentował rozbawiony, wywołując kolejne salwy śmiechu. Nagle jednak jego twarz zmieniła wyraz na poważny i surowy. – Tylko tunikę? Czy młode Macedonki zwykle przyjmują mężczyzn w takim stroju?

– Nie, zazwyczaj nakładam też okrycie wierzchnie, jak *palla*, które noszą rzymskie kobiety, gdy wychodzą z domu.

– Ale miałaś na sobie tylko tunikę i otworzyłaś drzwi – upierał się Hortensjusz.

– To był namiestnik Macedonii – wyjaśniła Myrtale i ku zaskoczeniu wszystkich dodała wyzywającym tonem: – Czy miałam nie wpuścić do mojego domu człowieka, którego Rzym wysłał, by rządził naszymi ziemiami? To powinnam była zrobić?

Hortensjusz stał przed nią nieruchomo.

W sali zapanowała cisza.

Cezar kiwał głową, podziwiając hart ducha młodej Myrtale.

– To ja, dziewczyno, zadaję pytania – przemówił ponownie Hortensjusz. – Świadek, nawet jeśli jest kobietą, ma tylko odpowiadać. Ale skoro pytasz, to ci odpowiem: kobieta, która uważa się za skromną, nie otworzyłaby drzwi sama, lecz nakazałaby zrobić to niewolnikom, a tymczasem udałaby się do prywatnych

komnat, żeby się godnie odziać i nie występować przed gubernatorem w zmysłowym, prowokującym stroju. To powinnaś była zrobić, dziewczyno. Ale ty nie chciałaś pokazać się namiestnikowi jak czysta dziewica, lecz jak prostytutka i tak samo oddałaś mu się, żeby go potem oskarżyć.

– Jeśli oddałam mu się jak prostytutka, to namiestnik zapomniał mi zapłacić – odpowiedziała Myrtale, znów okazując nieoczekiwaną śmiałość.

Cezar wbił wzrok w podłogę. Odwaga dziewczyny zrobiła na nim wrażenie, ale jego umysł zajął się innymi kwestiami.

– Wszystko wiedzą – powiedział cicho do Labienusa.

– Wszystko?

– To, że była lekko ubrana, gdy otworzyła mu drzwi – wyjaśnił Cezar szeptem.

– O tym powiedziałem tylko jednej osobie.

Labienus przełknął ślinę i nic nie odrzekł.

Hortensjusz kontynuował przesłuchanie. Robił to z wściekłością, w gniewie. Chciał zetrzeć wszelkie ślady buńczuczności z twarzy tej dziewczyny, która odważyła się przeciwstawić mu się przed trybunałem sędziowskim, na jego terytorium.

– Był w domu jakiś mężczyzna, gdy wpuściłaś tam namiestnika?

– Nie, ale nie mogłam powiedzieć namiestnikowi...

Hortensjusz nie pozwolił jej dokończyć zdania. Uderzył w nią stekiem oskarżycielskich słów.

– Przyjęłaś go prawie naga, byłaś w domu sama, nie było wówczas twojego ojca ani brata, ani żadnego męskiego członka rodziny. Chciałaś, żeby do tego doszło, zrobiłaś to celowo. – Odwróciwszy się do publiczności, nie przerywał swojej argumentacji. – Oszukała go, oczarowała, chciała zdyskredytować namiestnika, jak już mówiłem. To wszystko jest tylko oszustwem wymyślonym przez obcokrajowców, którzy chcą ośmieszyć nasze rządy w Macedonii. To oznaka buntu. Udają, że oddają się pod nasze prawa, ale robią to z powodu podstępów: chcą podważyć nasz autorytet w obrębie samego systemu. Są o wiele bardziej

niebezpieczni niż wtedy, gdy występują zbrojnie na polu bitwy, gdzie nasze legiony już ich pokonały. Chcą nas zniszczyć tutaj, w Rzymie, chcą zniszczyć nasze rządy od środka i liczą w tym na nieocenioną pomoc ze strony prawdziwych wrogów Senatu – popatrzył na Cezara – którzy z powodu perwersji albo naiwności, nie wiem, co gorsze, wspierają ich, udzielają głosu tym kłamcom, tej kłamczynie, w samym sercu Rzymu, w bazylice Sempronia, przy forum naszego miasta.

Myrtale otworzyła usta, żeby upierać się przy tym, co wydawało jej się kluczowe: nie mogła odmówić wpuszczenia do domu namiestnika prowincji, ale Hortensjusz podniósł obie dłonie, żeby ją uciszyć. Przytłoczona koniecznością bronienia się przed tyloma ludźmi, osamotniona dziewczyna zamilkła.

– Kobieta, dziewczyna – powtórzył Hortensjusz. – Kobieta nie tylko powinna być uczciwa, lecz również sprawiać wrażenie takiej – wskazał, jakby wydawał wyrok.

– Ten człowiek mnie zgwałcił! – krzyknęła wówczas desperacko Myrtale, pokazując Dolabelle. – Zgwałcił mnie i skończył z moim życiem... – Wybuchła płaczem.

Bezlitosny Hortensjusz podszedł do niej.

– Wszystko to kłamstwa! – Kropelki jego śliny opryskiwały jej twarz. – Bujdy wymyślone przez kłamliwą *scortum*, która teraz za pomocą łez próbuje manipulować nami wszystkimi! – Pochylił się nad nią, jakby chciał jej wyszeptać do ucha jakiś sekret, ale przemówił głośno, tak żeby wszyscy słyszeli. – Płacz ci nie pomoże. – Wyprostował się i zwrócił w stronę trybunału. – Kupiony świadek, pomylenie bez pamięci i prostytutka. To są zeznania oskarżenia.

Myrtale płakała.

Sędziowie patrzyli na nią surowo.

Pompejusz sprawdził, jak wysoko stało słońce. Robiło się późno. Lepiej kontynuować innego dnia.

Cezar wpatrywał się w Kornelię.

ROZDZIAŁ LIII

Zdrada tej, którą kochasz najbardziej

Rzym

77 r. p.n.e.

Cezar szybko przebył całe miasto. Drogę z forum, z bazyliki Sempronia do domu w dzielnicy Subura przeszedł prawie niezauważenie, nie zdążył nawet mrugnąć. Oczy miał szeroko otwarte, usta zamknięte, szczękę zaciśniętą wściekłością, która zbierała mu się w trzewiach.

Labienus z trudem dotrzymywał mu kroku.

Nie rozmawiali, nie wymienili ani jednego zdania po drodze do domu. Labienus nigdy nie widział tak rozgniewanego Cezara.

Dotarli do *domus* rodziny Juliuszy i młody *pater familias* wpadł do atrium niczym lew podczas *venatium*. Tyle że nikt na niego nie polował, przynajmniej nie tej nocy. W tej chwili to on sam zachowywał się jak myśliwy.

– Gdzie ona jest? – spytał z miejsca niewolników, którzy patrzyli na niego zbici z tropu. Nawet Labienus nie wiedział, kogo szuka jego przyjaciel.

– Gdzie ona jest? – powtórzył Cezar.

Labienus wreszcie zaczął rozumieć spojrzenia, jakie Cezar rzucał w stronę publiczności podczas rozprawy: ktoś z jego domu prawdopodobnie dopuścił się zdrady i przekazał informację obrońcom Dolabelli, które wykorzystali do niezwykle łatwego zdyskredytowania jego świadków. Labienus był prawie pewien, że jego przyjaciel podejrzewa własną żonę.

– Na wszystkich bogów! – krzyknął Cezar. – Gdzie jest Kornelia?

Niewolnicy nie wiedzieli, co powiedzieć.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał Labienus, który obawiał się najgorszego. Nie wierzył, że Kornelia byłaby zdolna do zdrady ani że Cezar mógł w ogóle tak pomyśleć.

Pater familias miotał się wściekle po całym domu – zaglądał do wszystkich sypialni: tej, którą dzielił z Kornelią, tej należącej do jego matki. Ale nikogo tam nie znalazł.

– Kornelia! – krzyknął. – Wszystko wiedziała, powiedziałem jej wszystko, mówiłem jej o każdym ze świadków, a ona... ona! – nie dokończył zdania, którym chciał wyjaśnić Labienusowi swoje zachowanie.

Przyjaciel się nie odzywał. Trawił te informacje.

Cezar zwrócił się w stronę niewolników.

– Matki, sióstr i małżonki pana nie ma w domu – powiedział szybko niewolnik *atriense*, próbując pomóc Cezarowi. – Nie wróciły jeszcze z forum. Powiedziały, że w drodze powrotnej zatrzymają się w domu rodziny małżonki pana, żeby zapytać o zdrowie matki pani Kornelii, która jak się wydaje, zaniemogła...

– Wyślij kogoś, żeby ją przyprowadził! – wrzasnął wściekle Cezar, ale zaraz się opanował i nie uderzył biednego niewolnika, który padł na kolana przerażony gniewem swego pana.

– Co tu się dzieje? – Głos należał do Kornelii, która właśnie weszła do atrium. – Jaka jest przyczyna tych krzyków? – spytała słodkim, niewinnym tonem.

To nieco uspokoiło Cezara.

Podeszła do niego pewnym krokiem.

– Twoja matka została w moim domu... To znaczy w moim dawnym domu, z moją matką, która zaniemogła – wyjaśniła. – Ja wyszłam szybciej, bo wiem, że przeżyłeś trudne chwile podczas procesu, i chciałam jak najprędzej znaleźć się u twojego boku. Przyszły też twoje siostry.

W tym momencie, jakby potwierdzając prawdziwość jej słów, siostry Cezara weszły do atrium. Przestraszyły się, widząc wyraz twarzy brata. Z powodu swej nieskończonej miłości do małżonka, a także niewinności, oddania i lojalności

Kornelia nie była w stanie dostrzec wściekłości, jaka nim właśnie targała. Nie mogła sobie wyobrazić, że Cezar miałby źle o niej myśleć, a już w ogóle, że chciałby wyrządzić jej krzywdę. Widziała, że jest zły, nawet rozwścieczony – nie było co do tego wątpliwości – ale była przekonana, że to dlatego, że tak źle poszło mu dzisiaj w sądzie. Obrona z niezwykłą łatwością zdyskredytowała wszystkich jego świadków. To bez wątpienia był dla niego fatalny dzień.

– Co się dzieje, Gajuszu? – spytała niewinne, choć już przeczuwała, że coś wymyka jej się z rąk.

– Pytasz, co się dzieje? Pytasz, co się dzieje? – powtarzał, krążąc po atrium i machając rękami. Wreszcie zatrzymał się i przeszył ją wzrokiem. – Nie widziałaś?

– Co miałam widzieć? – spytała poważnie, cała napięta.

– Moi świadkowie, jeden za drugim, zostali zdyskredytowani przez obrońców, którzy wiedzieli o nich wszystko – wyjaśnił Cezar. – Wszystko – powtórzył.

Kornelia powoli usiadła na skraju kline.

– Wiedzieli wszystko, Kornelio. Wiedzieli o sprawach, o których powiedziałem tylko tobie.

Cisza.

Gęsta. Ciężka.

Labienus bał się tego, co mógłby zrobić jego przyjaciel.

Kornelia bała się tylko tego, co Cezar mógłby o niej pomyśleć.

– A ty myślisz, że cię zdradziłam, że powiedziałam o tych sprawach obrońcom Dolabelli? – spytała. Jeszcze panowała nad sobą, ale w jej oczach pojawiły się łzy.

Bardzo poważny Cezar podszedł do niej powoli.

Labienus wkroczył między nich.

– Jesteś zdenerwowany, nie wiesz, co robisz ani co mówisz – powiedział.

– Odejdź – rzucił w jego stronę Cezar. – To sprawa między moją żoną a mną.

Labienus wytrzymał spojrzenie przyjaciela, ale w końcu poddał się i bardzo powoli, wbrew sobie odsunął się na bok, choć był gotów interweniować w razie potrzeby.

Cezar kucnął przed siedzącą Kornelią. Chciał przemówić do niej z równej wysokości.

– Nie – powiedział kategorycznym tonem, zaskakująco trzeźwym, łagodnym i zimnym, ale w jego kolejnych słowach czaiła się powstrzymana wściekłość. – Nie, nie myślę, że celowo posłaś do obrońców Dolabelli. Nie, nie myślę, że świadomie mnie zdradziłaś. Jak mógłbym tak myśleć?

Kornelia kiwała głową, płacząc cicho z czystego napięcia, ale w środku odczuwała ulgę i wiedziała, jak zinterpretować powstrzymaną wściekłość męża w połączeniu z jego słowami.

– Nie myślisz, że zdradziłam cię celowo, ale uważasz, że w pewnym momencie, w jakimś miejscu powiedziałam o świadkach coś, co mogło dotrzeć do uszu obrońców Dolabelli i to wywołało katastrofę podczas dzisiejszych przesłuchań. Tak właśnie sądzisz.

Cezar westchnął.

– Zgadza się, tak właśnie sądzę – potwierdził.

Kornelia znów kiwała głową, a łzy powoli i cicho spływały po jej policzkach.

– Z nikim nie rozmawiałam o tym, co mi powiedziałeś na temat świadków – zapewniła, płacząc, ale nie szlochając, w myślach przebiegając wszystkie spotkania z ostatnich dni, przypominając sobie, co komu mówiła.

– Dobrze się zastanów, Kornelio – nalegał władcym tonem Cezar, choć jego gniew zdawał się topnieć. Zmiękczył go widok przestraszonej, płaczącej żony, która czuła się winna jego porażki. Wzburzenie mieszało się teraz ze współczuciem. Wściekłość z miłością. Zawód z tkliwością.

Kornelia nie przestawała się zastanawiać.

– Nie, nie rozmawiałam z nikim o świadkach – powtórzyła, ale nagle coś sobie przypomniała. – Chyba że... – nie dokończyła zdania.

– Chyba że co? – Cezar chwycił ją dwiema rękami, nie żeby jej zagrozić, lecz żeby jego żona skupiła się i odpowiedziała na pytanie.

Kornelia myślała szybko i chociaż wszystko nagle stało się jasne, było to zbyt straszne, żeby zostało ujawnione. Poszukała alternatywy.

– Być może któryś z niewolników nas podsłuchał... – zasugerowała, ale wcale tak nie myślała, chciała jedynie zyskać na czasie, żeby dobrze zastanowić się nad tym, czy jej podejrzenia mogły mieć jakieś podstawy... były zbyt okropne. – Tak, może któryś z niewolników podsłuchiwał, tak jak my, kiedy byliśmy dziećmi, pamiętasz?

– Jak wtedy, gdy dowiedzieliśmy się, że planują nasze małżeństwo? – dopytał Cezar, żeby zyskać pewność, iż dobrze ją zrozumiał.

– Coś w tym rodzaju – potwierdziła Kornelia.

Cezar nadal kuczał przy niej, a teraz rozejrzał się po pomieszczeniu: niewolnik *atriense* i pozostali ciągle tu z nimi byli.

– Myślisz, że któryś z niewolników nas szpieguje? Uważasz, Kornelio, że mam przesłuchać każdego z nich, aż zdrajca się przyzna?

Powoli się podniósł.

Zastanawiał się nad możliwością zdrady ze strony niewolników. Zdziwiłoby go to. Najpierw jego ojciec, a potem matka zawsze byli dobrymi panami. W *domus* rodziny Juliuszów nigdy się nikogo niesłusznie nie karało, a po śmierci Cezara ojca i na jego wyraźne życzenie kilku starszych niewolników zostało wyzwolonych. Niewolnicy w tej rodzinie mieli się znacznie lepiej niż w innych. Ponadto ich właściciele byli hojni i nagradzali ich sestercjami, które niewolnicy mogli zaoszczędzić, żeby potem kupić sobie wolność. Tego rodzaju traktowanie zawsze dobrze się sprawdzało. Cezar zdziwiłby się, gdyby któryś z niewolników go zdradził, ale skoro tak mówiła jego małżonka, powinien jednak ich przesłuchać... Wtedy Kornelia zaczęła kręcić głową i Cezar ponownie przed nią kucnął.

Młoda kobieta nie mogła pozwolić na taką niesprawiedliwość.

– Nie, nie sędzę, żeby to byli niewolnicy – wymamrotała, a on zrozumiał jej słowa. – Nie sędzę, że to któryś z niewolników. Jestem pewna, że są wobec ciebie lojalni.

Niewolnik *atriense* i reszta służby odetchnęli. Nie zdawali sobie sprawy, że przez kilka chwil wstrzymywali oddech. Widok broniącej ich młodej pani zrobił na nich wrażenie. Byłoby jej łatwiej, gdyby ich wskazała jako podejrzanych o zdradę.

– Wiesz coś jeszcze – powiedział do niej Cezar. – Wiesz, kto mnie zdradził. Rozmawiałaś z kimś. Kto to był? Ktoś na forum? Na targu? Powiedziałaś o tym swojej matce podczas jednej z wizyt? Rozmawiałaś z którymś z senatorów w bazylice, z którymś z weteranów wuja Mariusza, którzy nas chronią? Z kim rozmawiałaś, Kornelio? Jeśli nie niewolnicy, musi być to ktoś, z kim o tym wszystkim rozmawiałaś. Dlaczego to ukrywasz? Kogo chronisz? – Ponownie chwycił ją za ramiona. Nie potrząsnął nią, ale ścisnął mocno, nie czyniąc krzywdy. Okazywał gniew z powodu jej milczenia.

Zrozumiała, że nie przestanie pytać i pytać, i pytać, aż otrzyma odpowiedź. Ta jednak była zbyt okropna, prawda była tak przerażająca, więc Kornelia milczała. Milczała i płakała, a on nie przestawał zadawać jej pytań.

– Z kim, Kornelio? Na wszystkich bogów! Nie obwiniam cię, ale musisz mi powiedzieć, z kim rozmawiałaś! Z kim rozmawiałaś o świadkach? Z kim?

– Ze mną – rozległ się głos dorosłej kobiety.

Cezar odwrócił się i w progu atrium dostrzegł wyprostowaną, zdecydowaną postać matki. Puścił żonę, wstał i stanął naprzeciwko Aurelii, nic nie mówiąc, tylko wpatrując się w nią z niedowierzaniem i zmieszaniem.

Aurelia podała swoją *pallę* niewolnikowi *atriense*, który był szczęśliwy, że pani wreszcie się zjawiała. Teraz zaprowadzi porządek w sprawie tej całej zdrady.

– Kornelia opowiedziała mi o intymnych szczegółach dotyczących Myrtale – wyjaśniła zimnym, opanowanym głosem Aurelia. – Widziałam, że się martwisz, więc spytałam twoją młodą małżonkę, co cię gnębi, a ona zrelacjonowała mi twoje wątpliwości w kwestii tego, czy wziąć Myrtale na świadka, obawy, że mogliby się domyślić, że przyjęła Dolabellę sama i bez odpowiedniego odzienia. Problemy z pamięcią Orestesa, jego demencję widziałam sama, w tym atrium, podczas licznych kolacji, które z nami spożywał, a także wiem, kto sfinansował podróż

twoją, Labienusa i inżyniera Marka do Macedonii. Wszystkie te informacje przekazałam obrońcom Dolabelli. Mojemu bratu, twojemu wujowi – taka jest prawda.

Aurelia spojrzała na jedną z niewolnic i poprosiła o wodę. Czekaając, aż ją obsłużą, kontynuowała wyjaśnienia.

– To niesłychane! Jak mogłeś pomyśleć, że Kornelia rozmawiała o świadkach z kimś spoza zaufanego kręgu? Ta dziewczyna czci ziemię, po której stąpasz, Gajuszu. Na wszystkich bogów! Kornelia jest inteligentna i lojalna bardziej, niż to można sobie wyobrazić. Nie byłaby w stanie popełnić błędu, o jaki ją podejrzewałeś. Jak mogłaby z kimś poza mną rozmawiać o tak delikatnej sprawie jak słabe punkty świadków?

Cezar usiadł na sąsiednim kline.

W tej samej chwili rozległ się w patio głosik dziewczynki:

– Mamo, mamo!

Mała Julia podbiegła do matki i ją objęła.

– Przestraszyła się krzyków, pani, i uciekła – usprawiedliwiała się niewolnica, która przybiegła za dziewczynką.

Kornelia tuliła córkę w milczeniu.

– Wstań, kochana, idź do swojego pokoju i poczekaj tam na męża. I weź ze sobą waszą córkę – nakazała jej Aurelia.

Kornelia skinęła głową i bez słowa wyszła z atrium wraz z dzieckiem. Podobnie jak reszta obecnych była mocno przygnębiona wydarzeniami.

Aurelia spojrzała na niewolników i Labienusa.

– Idźcie do waszych *cubiculów* albo waszych prac. Ty również, Labienusie, idź do domu. Jutro też jest dzień i jak zawsze będziesz towarzyszył mojemu synowi podczas procesu. – Westchnęła, nim dodała: – Tego przekłętego, niekończącego się procesu.

Wszyscy usłuchali.

Aurelia zawsze przemawiała tonem autorytarnym, co sprawiało, że nikt nie kwestionował jej rozkazów. Zwykle nie wydawała ich w obecności syna, ale gdy to robiła, nikt się jej nie sprzeciwiał, dopóki on sam ich nie kwestionował.

A on milczał.

Aurelia i Cezar zostali sami w atrium. Ona stała, on siedział. Nie odzywali się, nie powiedzieli sobie niczego przez pewien powolnie mijający, pełen napięcia czas, w którym słychać było jedynie trzask łuczyw zapalonych przez niewolników.

– Jeśli chcesz, możesz mnie ukarać – powiedziała wreszcie Aurelia.

– Jak miałbym coś takiego zrobić, matko?

Westchnęła i usiadła obok syna.

Siedzieli przygnębieni jedno przy drugim. Łączyło ich poczucie zawodu i porażki.

– Dlaczego to zrobiłaś, matko?

Aurelia wstała, odwróciła się, i żeby nie patrzeć mu w oczy, co nie było jej normalnym zachowaniem, zaczęła krążyć po atrium. Tłumacząc swoje powody, starała się sama siebie zrozumieć.

– Chciałam cię ocalić. Jeśli wygrasz, przyjdą po ciebie, będą w tobie widzieć nowego przywódcę popularów, nowego Mariusza. Na początku procesu sądziłam, że twoja przegrana niesie jedynie ryzyko zepsucia kariery politycznej. Wzbudzało to we mnie żal, ale to była twoja decyzja, żeby przyjąć zlecenie. Podczas *divinatio* poszło ci fatalnie, ale już jakiś czas temu zdałam sobie sprawę, że tylko udawałeś, żeby uznali cię za gorszego oratora od Cyncerona. Udało ci się. Trybunał wyznaczył cię *accusatorem*, ale później, podczas *reiectio*, po mowie przeciwko Metellusowi zrozumiałam, że możesz nawet wygrać, a przynajmniej zabić ćwieka trybunałowi, mimo że wszyscy sędziowie to optymaci kupieni przez Dolabellę. To trudne, mało prawdopodobne, ale już nie postrzegałam zwycięstwa jako czegoś niemożliwego. Miałeś dobrych świadków i dążyłeś do odsłonięcia słabych punktów obrony Dolabelli. Dlatego aby uniknąć wygranej w procesie, potajemnie spotkałam się z obrońcami i przekazałam bratu informacje wystarczające do tego, żeby

zdyskredytować świadków, co też zrobił. Teraz nie wygrasz procesu, ale wiem już, że źle zrobiłam, widziałam, jak patrzył na ciebie dziś Dolabella. Tym samym spojrzeniem obdarzył cię podczas *reiectio*: od tamtej pory jesteś skazany na śmierć. Czeka jedynie na koniec tego przekłętogo, okropnego procesu, który wszystkich nas doprowadza do szaleństwa, który sprawia, że cię zdradziłam, który prowadzi cię ku śmierci i konfliktuje z Kornelią, najbardziej lojalną wobec ciebie osobą na świecie. A wszystko to po co? Po nic. Zdradą chciałam cię ocalić, ale jest już za późno. Dolabella przyjdzie po ciebie, gdy tylko będzie mógł. Sprawiałam ból – tobie, Kornelii, wszystkim. Po prostu pomyliłam się.

Usiadła na *solium*. Chciała napić się wody, czuła nadal suchość w gardle, ale nie życzyła sobie teraz obecności żadnego niewolnika. Poprosiła o wodę, gdy przyszła, ale potem nakazała wszystkim wyjść i ten ostatni rozkaz obowiązywał. Zamilkła.

– Pomyliłaś się, kiedy mnie zdradziłaś, matko, ale ja pomyliłem się co do Kornelii. Żadne z nas dwojga nie zachowało się właściwie.

– To prawda – zgodziła się Aurelia.

Cezar podniósł się z kline i usiadł na innym siedzisku, bliżej matki. Przejechał obiema dłońmi po twarzy.

– Co zrobisz, synu?

– Odpocznę i pomyślę o tym wszystkim. Masz rację, że proces wszystkich nas przyprawia o szaleństwo i konfliktuje między sobą: ty przeciwko wujowi Kotcie, przeciwko mnie, ja przeciwko Kornelii. Muszę uspokoić duszę i przemyśleć to dokładnie. – Spojrzał jej w oczy. – Rozumiem, że już nie będzie więcej zdrad. Prawda, matko?

– Prawda. Jeśli wpadniesz na pomysł, jak wygrać proces, nie ja go ujawnię.

– Dobrze. Udam się na spoczynek... i poproszę Kornelię o wybaczenie. – Wstał, podszedł do Aurelii, zatrzymał się u jej boku i pochylił, żeby pocałować ją w czoło. – Dobrej nocy, matko. Dziękuję, że próbowałaś mnie ocalić – wyszeptał. – Przetrwam, zobaczysz. Wychowałaś mnie na zwycięzcę. – Ruszył w stronę

wyjścia, ale na progu atrium zatrzymał się jeszcze i odwrócił do niej. – Byłem już skazany na śmierć, pamiętasz?

– Pamiętam. Za czasów Sulli.

– Za czasów Sulli – powtórzył Cezar.

Opuścił pomieszczenie i udał się do swojej sypialni. Czekala tam na niego Kornelia, zwinięta w kłębek na łożu, nadal zdenerwowana wszystkim, co zaszło. Ich córka ponownie znalazła się pod pieczę niewolnicy, tak że w pomieszczeniu znajdowali się tylko Cezar i Kornelia. Sam na sam.

Usiadł na łóżku obok niej, choć jeszcze nie odważył się jej dotknąć.

– Przykro mi – powiedział. – Nie ma słów ani czynów, które mogłyby odwrócić to, jak cię dziś potraktowałem.

Kornelia obejmowała swoje kolana i wciskała między nie brodę.

– Kiedyś zaryzykowałeś dla mnie życie – powiedziała.

– Tak. Za czasów Sulli.

Wszystko zawsze oznaczało powrót do czasów dyktatury.

– Nadal mnie kochasz?

Tego rodzaju pytanie było w ustach rzymskiej matrony czymś niewłaściwym. Nie powinna go zadawać, ale ich małżeństwo – oboje byli tacy młodzi, zwłaszcza ona – nie należało do zwyczajnych, przynajmniej jeśli chodzi o kwestię uczuć. Kochali siebie nawzajem, było to nieograniczone niczym uczucie. W Rzymie młode dziewczyny, prawie dzieci, często zostawały żonami mężczyzn trzydziesto- bądź czterdziestoletnich. A ona wyszła za młodzieńca, prawie chłopaka. Zakochali się w sobie.

– Tak, nadal cię kocham – stwierdził. – Nie wiem, co się ze mną stało. Matka ma rację: nie wiem, jak mogłem w ciebie zwątpić. Jesteś zbyt inteligentna, żeby rozmawiać z osobami spoza rodziny o sprawach, które ci powierzam. Trudno sobie wyobrazić, że moja matka jest zdolna do tego, co uczyniła. Nie ma w tym twojej winy.

– No cóż, nikt nie mógł spodziewać się tego, co uczyniła twoja matka, mimo że rozumiem, iż miała na celu chronienie ciebie – stwierdziła Kornelia nie bez racji.

– Tak, ale mimo wszystko nigdy nie powinienem był w ciebie zwątpić – upierał się Cezar. Zamilkł i oparł głowę na dłoniach.

Kornelia przysunęła się do niego i oderwała jego wielkie, zimne ręce, a w ich miejsce położyła swoje – małe, lecz ciepłe.

– Znów boli cię głowa? – spytała delikatnym głosem.

– Tak. Czasami mnie boli. I to bardzo. Ale twoje dłonie zawsze uśmierzają ból.

Przez jakiś czas tkwili tak na skraju łóżka, ona klęczała za nim na prześcieradłach, na poły naga, z dłońmi na jego skroniach, kojąc ból.

Cezar się uspokoił. Ból minął. Przychodził czasami. Jak dotąd nie wspomniał o nim żadnemu medykowi.

– Ten proces przyprawia mnie o szaleństwo – powiedział.

– Nie – odparła Kornelia, masując jego skronie. – Nie, najdroższy, oszalałeś w dniu, w którym z mojego powodu sprzeciwiłeś się Sulli. Ale ja cię takiego kocham: szaleńca. Szaleńca, który myśli, że da sobie radę ze wszystkimi i ze wszystkim. Szaleńca, który przede wszystkim uważa, że trzeba zwalczyć takiego nędznego przestępcę jak Dolabella. Takiego cię kocham.

Cezar westchnął.

A ona masowała mu skronie i szeptała do ucha.

– Masz dwadzieścia trzy lata, ale przeżyłeś tyle, ile stulatek, najdroższy. Przy wszystkim, co wycierpiałeś, o co walczyłeś, teraz i wcześniej. Tak jakbyś przeżył już sto lat.

– Nie wiem... Możliwe – zgodził się.

Zamknął oczy.

Przegrał proces. Przyjęcie zlecenia Macedończyków było szaleństwem. A może, jak mówiła Kornelia, oszalał już wtedy, w czasach Sulli. Tyle przeżył...

Czuł palce Korneli masujące jego skronie. Ta kobieta wierzyła w niego niezachwianie. Kornelia była jego schronieniem.

Nie otwierał oczu. Tak... Wszystko ciągle wraca do czasów Sulli, mentora Dolabelli. Sulla... Lucjusz Korneliusz Sulla...

Memoria quarta

SULLA

Śmiertelny wróg Mariusza i Cezara

Dwukrotny konsul

Dyktator rzymski

ROZDZIAŁ LIV

Powierzeni bogom

Rzym

Pod koniec 82 r. p.n.e., pięć lat przed procesem Dolabelli

Zanim Kornelia doszła do siebie po porodzie, minęło kilka dni. Urodzenie dziecka w wieku piętnastu lat stanowiło dla niej traumatyczne przeżycie. Była wykończona. Wyczerpana. Wydarzenia, które toczyły się w Rzymie, również nie pomagały w odzyskaniu sił.

Cezar nieustannie spędzał czas u jej boku, dozując złe wiadomości: zwycięstwo Sulli przy Porta Collina to nie wszystko, co wydarzyło się w tych okropnych dniach. Popularów niszczone, a ich pokonani sojusznicy, *socii*, uciekli. Brakowało czegoś wymownego w formie ostatecznej wiktorii optymatów: Praeneste, gdzie schronił się i okopał syn Gajusza Mariusza, nie wytrzymało oblężenia i upadło. Nadchodziły sprzeczne wiadomości i nikt nie miał jasności, czy Mariusz ostatecznie popełnił samobójstwo, czy też został stracony.

– W każdym razie nie żyje – stwierdził zachmurzony Cezar.

Postanowił oszczędzić dochodzącej do siebie żonie ostatniej wiadomości, która krążyła po Rzymie: Sulla kazał przysłać sobie głowę Mariusza, żeby wystawić ją wbitą na pal na forum, tak jak uczynił z głową trybuna ludowego Sulpicjusza, kiedy nie tak dawno po raz pierwszy wkroczył do Rzymu. Następnie w geście, który nie zostawiał wątpliwości co do tego, że nie jest skłonny do naprawy stosunków z wrogami, Sulla przyjął przydomek Felix, czyli szczęśliwy. Szczęśliwy z powodu ostatecznego zwycięstwa, całkowitego rozbicia popularów, szczęśliwy, ponieważ Rzym należał teraz do niego.

Kornelia powoli się podniosła i w asyście Cezara zaczęła krążyć po pokoju.

– Gajusz Mariusz nie żyje, jego syn nie żyje, twój ojciec nie żyje, mój ojciec nie żyje, Sertoriusz, nasza ostatnia nadzieja, prawa ręka Mariusza, uciekł do Hispanii, gdzie walczy o przetrwanie. Sulla opanował miasto i kontroluje wszystko. Ma władzę absolutną. Rzym stał się dla nas pułapką, Gajuszu, Rzym, który należy do Sulli. Ty jesteś bratankiem Gajusza Mariusza, a ja córką Cynny. W dodatku jesteśmy małżeństwem. Zabije nas wszystkich. Naszą małą Julię również.

Cezar nie wiedział, jak na to odpowiedzieć. Aluzja do możliwej śmierci nowo narodzonej córki mroziła mu krew w żyłach i paraliżowała myśli.

Aurelia weszła do pokoju i usłyszała ten powtarzający się lament. Podeszła do synowej i ją objęła, próbując uspokoić.

– Sprawy się skomplikują – powiedziała. – Bardzo. Ale musimy trzymać się razem i zachować spokój ducha. Gajusz żyje i jest silny, moja mała, razem znajdziemy sposób, żeby przetrwać te szalone czasy.

Te słowa wpłynęły kojąco Kornelię, która wreszcie zamilkła i z ramion Aurelii trafiła w objęcia małżonka.

– Ty nas ochronisz – powiedziała nagle, jakby ogarnęło ją przeczucie. – Nie wiem jak, ale nas ochronisz. Jesteś potomkiem Eneasza. Bogowie ci pomogą.

Cezar przytulił ją i zamknął oczy.

To zadanie go przygnębiało: ochronić żonę, matkę, córkę, siostry. To jego obowiązek, w końcu jest *pater familias*. Nieważne, że ma zaledwie osiemnaście lat i że Sulla jest wszechmocnym senatorem, dzierżącym w ręku nadzwyczajną i bezlitośnie egzekwowaną władzę. Jeśli stawi mu czoło samotnie, to będzie samobójstwo. Ale... bogowie? Kornelia wspomniała o ich pomocy. Cały Rzym wpadł w łapy Lucjusza Korneliusza Sulli, śmiertelnego wroga rodziny Juliuszów i tego wszystkiego, co reprezentowała. Jak on, Cezar, miał przeciwstawić się potędze Sulli? Bogowie? Był człowiekiem religijnym, jak wszyscy Rzymianie, ale wątpił, czy kilka ofiar złożonych na ołtarzu wystarczy, żeby rozwiązać jego problemy, a dokładnie obłaskawić Sullę albo – co jeszcze mniej prawdopodobne – uzyskać siłę konieczną do stawienia czoła dyktatorowi. Niemniej jednak...

Cezar intensywnie myślał.

Armia wysłana na wojnę przeciwko Mitrydatesowi była stracona: Sulla przejął nad nią dowództwo, zanim zdążył uczynić to Mariusz. Druga armia wysłana na wschód również przepadła: Sulla przekupił oficerów i legionistów. Nie mieli już także armii Cynny, jak tamte przekupionej przez Sullę. Samnici zostali zmasakrowani podczas bitwy pod Porta Collina, a wojsko młodego Mariusza rozbite w Praeneste. Nadal pozostawała jednak armia bogów. Boska władza ich przedstawicieli na ziemi...

Być może była to ich ostatnia armia.

Kornelia podsunęła mu istotny pomysł.

A wuj Mariusz go chronił, gdziekolwiek teraz był.

– Ależ był sprytny – wycedził Cezar przez zęby.

– Kto taki? – spytały jednocześnie jego matka i żona.

Spojrzał na nie błyszczącymi oczami.

– Mariusz.

– Mariusz? – Kornelia była skonfundowana.

Cezar dorzucił:

– I nie, nie jesteśmy sami. Masz rację, Kornelio: bogowie nam pomogą. Jowisz nam pomoże.

ROZDZIAŁ LV

Dyktatura Sulli

Budynek Senatu, Rzym

82 r. p.n.e.

– Ile czasu potrwa ta dyktatura? – odważył się spytać Dolabella, jedyny senator, który miał śmiałość tak bezpośrednio przemawiać do Sulli.

Znajdowali się w wielkiej sali w budynku Curia Hostilia. Dyktator nie poczytał mu za złe tego pytania. Właściwie to ustalili, że zostanie zadane po mowie, jaką Sulla wygłosi przed *patres conscripti*. W ten sposób będzie miał możliwość wyraźnie zaznaczyć, że wrócił do Rzymu na długo i ostatecznie przejął władzę, której nie zamierza nigdy oddać.

– Ile czasu potrwa ta dyktatura? – powtórzył pytanie Sulla. Pozwolił sobie na szeroki uśmiech, nim udzielił na nie odpowiedzi: – Tyle, ile trzeba.

Sesja Senatu została zakończona.

To znaczy Sulla postanowił, że na dziś już wystarczy. Wróć jutro. Zaplanował liczne posiedzenia, na których chciał uchwalić prawa konieczne do przejęcia kontroli nad wszystkimi instytucjami – wytrwale i systematycznie. Ale dziś do Rzymu dotarł piękny podarunek z Praeneste, czekał na forum. Chciał go zobaczyć. Nie mógł się doczekać.

Podczas gdy senatorowie opuszczali budynek, żeby towarzyszyć przy oglądaniu „podarunku”, Sulla rozmyślał nad przejęciem władzy: było ono tak szybkie jak kometa na niebie. Najpierw zyskał na znaczeniu wśród optymatów, a gdy stał się przywódcą konserwatystów, opanował wszystko, przejął kontrolę nad instytucjami. Stronnictwo popularów, do którego należał młody Juliusz Cezar, przestało cokolwiek znaczyć.

Sulla uśmiechał się. Od funkcji kwestora, którą pełnił podczas kampanii w Afryce jako podwładny Mariusza, przez stanowiska trybuna wojskowego na wojnie przeciwko Cymbrom i Teutonom, potem pretora w Rzymie, wreszcie namiestnika Cylicji, a na koniec – niesłychany awans na kluczowego dowódcę podczas wojny ze sprzymierzeńcami. Potem wybrano go na konsula. Jego kariera rozwijała się bez przeszkód i wreszcie zmierzył się z samym Mariuszem. Przejął dowództwo nad wojskiem, które miało walczyć na wschodzie przeciwko Mitrydatesowi, straszemu królowi Pontu, pod bacznym spojrzeniem Senatu zdobywającemu kontrolę nad Grecją. Te same legiony Sulla rzucił przeciwko Rzymowi, żeby pozbawić Mariusza władzy i w ten sposób objąć wyłączne dowództwo podczas wojny na wschodzie. Wprawdzie Mariusz i jego sojusznik Cynna wykorzystali nieobecność Sulli, żeby wprowadzić rządy popularów w Rzymie, ale najpierw śmierć Mariusza, a potem powrót po zawarciu pokoju z królem Pontu sprawiły, że stronnictwo popularów straciło władzę i zostało pokonane w wojnie domowej, krwawej, lecz zakończonej sukcesem Sulli.

Proklamował się dyktatorem Rzymu.

Zdecydowano już, że popularzy zostaną zmiażdżeni, tak aby nigdy nie wróciły pomysły nadania obywatelstwa i udzielenia prawa głosu kolejnym sprzymierzonym miastom czy klasom albo grupom społecznym, które nie tworzą jednolitego frontu z najbardziej konserwatywnymi senatorami.

Dyktatura to niezwykła forma rządów. Niespotykana od ponad wieku, odkąd Gajusz Serwiliusz został mianowany dyktatorem na czas wojny punickiej. Dlatego *patres conscripti* byli zaskoczeni tym ruchem Sulli.

On jednak uśmiechał się podczas rozmów z najbliższymi sobie senatorami, zwolennikami jego nowego jednoosobowego rządu.

– Teraz to my będziemy decydować, co jest normą – powtarzał, mimo że wszyscy, nawet jego najbardziej zagorzali obrońcy przeczuwali, że tak naprawdę to on będzie o tym decydował. – Rozpoczyna się nowa epoka, a właściwie nowa... jak to nazwać? Nowa rzeczywistość.

Milczenie.

Żadnego sprzeciwu. Ani śladu niezgody. Strach sprawia, że ludzie milczą.

Wszyscy wyszli na forum.

Tam, na samym środku placu, dobrze widoczna dla wszystkich Rzymian, tkwiła wbita na pal głowa Mariusza Młodszeo.

Sulla zbliżył się do niej powoli, ciesząc się, rozkoszując tą chwilą. Najpierw zbecześcił prochy Mariusza. Teraz miał przed sobą wbitą na pal głowę jego syna. W tym momencie widział sprawy jasno: trzeba się zabawić.

– „Wioślarem wpierw być trzeba, nim uchwycisz ster” *. – Roześmiał się, odwrócił i poszedł do domu. Prawie płakał ze szczęścia. Pokonał swojego największego wroga, Gajusza Mariusza, a teraz także jego syna. Trzeba to uczcić.

Domus Sulli, Rzym

Dolabella wszczął rozmowę w drodze do rezydencji świeżo proklamowanego dyktatora Rzymu. Chciał się dowiedzieć, jak daleko posunie się Sulla, żeby wprowadzić nowy porządek: reżim zgodny z ideami najbardziej konserwatywnych optymatów.

– Jakie są twoje kolejne kroki? – spytał.

– Odwołamy w Senacie prawa uchwalone przez popularów – wyjaśnił Sulla. – Ale nie możemy też zapominać o wymiarze sprawiedliwości.

– Wymiarze sprawiedliwości?

– Chodzi o skład trybunałów. Czasami zasiadają w nich obywatele z klasy ekwickiej, a nawet z innych warstw społecznych, i to są nierzadko trybunały bardzo przeciwne klasie senatorskiej, co stwarza problemy. Które znikną, gdyż nie będzie można sądzić naszych działań z zakresu sprawowania rządów, administracji i stanowienia prawa. A jeśli już, to nie będą mogły skutkować usunięciem z urzędu.

– Sulla uśmiechał się, gdy o tym opowiadał.

Dolabelli nie wydawało się to takie łatwe.

– Co zamierzasz uczynić, żeby sądy były bezpieczne dla nas wszystkich?

– Ogłoszę prawo, zgodnie z którym trybunały sędziowskie będą zawsze składać się z samych senatorów. – Sulla spokojnie szedł w stronę domu.

Dolabella mógł jedynie podziwiać jego śmiałość. Nowy dyktator Rzymu w niesłychany sposób upraszczał problemy. Dolabella rozumiał, że jego mentor ma zamiar usunąć wszelkie instytucje rzymskie, które mogłyby stanowić jakiś rodzaj opozycji wobec nowego reżimu, tej nowej rzeczywistości, o której mówił rano senatorom.

– Zostaje nam Sertoriusz – stwierdził cicho Dolabella, dotrzymując Sulli kroku.

– To prawda. Sertoriusz to poważna sprawa, którą rozwiążemy w odpowiednim czasie. Na razie jest daleko, schronił się w Hispanii. Wyślemy tam kogoś. Może Metellusa, tak zawsze chętnego, żeby odbyć jakiś triumf. Pokonanie Sertoriusza w Hispanii mogłoby mu zapewnić ten wymarzony triumf, w czym naśladowałby ojca. – Sulla wydawał się mówić bardziej do siebie niż do Dolabelli. – Tak, wyślemy Metellusa. Mimo wszystko bardziej mnie martwią niedokończone sprawy tu na miejscu, w Rzymie.

To niezwykle zaintrygowało Dolabellę, ale właśnie dotarli do rezydencji Sulli, więc postanowił zaczekać. Umościł się na kline obok dyktatora, zanim spytał go o tę kwestię.

– Jakie niedokończone sprawy?

Niewolnicy roznosili tace ze smaczными mięsami i aromatycznymi sosami, obficie nalewając wina.

Sulla nie odpowiedział Dolabelli.

A przynajmniej nie słowami. Natomiast skierował wzrok w prawo, w stronę kline, na którym leżeli jego córka Emilia i zięć Acyliusz Glabrion. Emilia tak naprawdę była jego pasierbicą, córką Cecylii Metelli, niedawno zmarłej żony dyktatora. Ten jednak zajmował się dziewczyną, jakby była z jego krwi. Nie z powodu specjalnych uczuć do Emilii, lecz dlatego, że wymagała tego rzymska tradycja. Z kolei Acyliusz Glabrion był młodym senatorem z obiecującą karierą

polityczną przed sobą; obiecującą zwłaszcza teraz, gdy stał się zięciem dyktatora Rzymu. Sulla skierował na niego wzrok.

Dolabella z uwagą obserwował swojego mentora i teraz skinął głową w milczeniu. Acyliusz mógł być jedną z niedokończonych spraw, o których mówił Sulla: młody senator ośmielił się skrytykować teścia, gdy ten proklamował się dyktatorem bez wskazania daty ograniczającej jego jedynowładztwo. Wielu uważało, że należało wyznaczyć kres takich rządów, nawet jeśli po latach dominacji popularów konieczne było poprowadzenie Rzymu silną ręką. Nikt jednak nie odważył się publicznie wyrazić tego rodzaju krytyki, zwłaszcza po tym, jak Sulla dał dowody brutalności i bezlitosnego postępowania wobec wrogów. Jego ofiarą padły setki popularów, i to nie był koniec. Proskrypcje i konfiskaty mienia tych, którzy sprzeciwili się Sulli, stały się czymś zwyczajnym, wręcz codziennym. Dolabella odważył się zapytać go o czas trwania dyktatury, ale nigdy tego nie kwestionował, a tym bardziej publicznie. Pytanie było wręcz ustalone z dyktatorem. Natomiast Acyliusz, choć również należał do stronnictwa konserwatystów – inaczej Sulla nigdy by go nie przyjął na zięcia – patrzył z niechęcią na pozycję teścia jako nieograniczonego dyktatora. Dokładny tytuł, który przyznał sobie Sulla, żeby określić swoją władzę i prerogatywy, brzmiał: *dictator legibus scribundis et rei publicae constituendae*, a więc dyktator, który ustanawia prawa oraz reorganizuje państwo wedle potrzeb. Władza absolutna. Bez wyznaczenia jakiegokolwiek daty granicznej.

– Acyliuszu – powiedział Sulla.

Dolabella świetnie znał ten ton. Podniósł brwi i westchnął, patrząc w dno swojego pucharu. Ten ton nie wieszczył młodzieńcowi świetlanej przyszłości. Acyliusz pomylił się, sądząc, że jego pozycja jest na tyle silna, iż może pozwolić sobie na krytykę tylko dlatego, że jest zięciem krytykowanej osoby.

– Acyliuszu – powtórzył Sulla, nieprzyzwyczajony do tego, że musi dwukrotnie wzywać kogoś, żeby go wysłuchał.

– Tak... ojczy – odparł wreszcie Acyliusz.

Sulla uśmiechnął się.

– Uważasz, że zwracając się do mnie w ten sposób, jesteś bezpieczny?

W sali zapadła absolutna cisza.

Goście przestali jeść i pić.

Niewolnicy znieruchomieli jak posągi. Słysząc było jedynie szmer wody w źródle znajdującym się wewnątrz rezydencji. Szorstki, poważny ton Sulli sparaliżował wszystkich.

– Nie rozumiem... – zaczął Acyliusz, ale Emilia powstrzymała go, kładąc rękę na jego ramieniu.

Wiedziała, że nie należy sprzeciwiać się ojczymowi, tym bardziej wobec gości. Wszystko, co mógłby powiedzieć małżonek, tylko pogorszyłoby jego sytuację.

– Czy ty, Acyliuszu, uważasz, że syn może krytykować publicznie decyzje polityczne ojca? – spytał Sulla.

Acyliusz wyjął ramię spod dłoni Emilii, nieświadomie zerwał ostatnią więź, która łączyła go z Sullą. Jego żona zwinęła się na klene, jakby wiedziała, że pora odseparować się od małżonka i uniknąć w ten sposób gniewu ojczyma.

Młodzieniec zrozumiał już, o co chodzi, ale uznał, że reakcja teścia jest przesadzona.

– Być może nie wyraziłem moich wątpliwości co do trwania tej... dyktatury w odpowiednim miejscu, ale sądzę, że wyznaczenie daty...

– Myślisz, że twoje sądy się liczą, chłopcze? – przerwał mu Sulla, używając poniżającego zwrotu, bo przecież Acyliusz mimo swojego młodego wieku, był senatorem Rzymu. – Na Jowisza, nie, w ogóle się nie liczą. Gdybyś wykazał się taką impertynencją w zaciszu prywatnym, mógłbym ci odpowiedzieć reprimendą, ale zrobiłeś to publicznie. Ledwie kilka tygodni temu popularzy rządzą Rzymem. Musiałem stoczyć długą wojnę domową, żeby przywrócić kontrolę nad miastem Senatowi, tym, których przeznaczeniem z nadania bogów jest nim rządzić, a także rządzić Republiką i jej prowincjami. Nie będę tolerował krytyki ze strony członków własnej rodziny. Potrzebna nam jedność w gronie optymatów. A ty ją rozbiłeś. –

Sulla zamilkł, wśród gęstej ciszy dopił do końca wino ze swojego pucharu. Wreszcie wydał wyrok: – Wstań i odejdz, Acyliuszu, i nigdy nie wracaj do tego domu.

Młodzieniec zastygł z otwartymi ustami, nadal leżąc na kline obok żony. Spojrzał na nią przelotnie, a potem na teścia.

– Od dzisiaj możesz uważać się za rozwiedzionego – powiedział Sulla.

Acyliusz powoli się podniósł, nadal miał otwarte usta.

– Jest w ciąży – ogłosił. – Mieliśmy ci dzisiaj o tym powiedzieć.

Sulla jedynie wyciągnął rękę z pustym pucharem. Szybki niewolnik zbliżył się, żeby go napełnić. Jego pan pociągnął porządny łyk, odstawił puchar na stół i ponownie wbił wzrok w Acyliusza.

– Dobrze, chłopcze, już mi to powiedziałaś. A teraz idź sobie. Masz szczęście, bo tylko fakt, że jesteś ojcem przyszłego dziecka mojej pasierbicy Emilii, ratuje ci życie. A teraz, na Jowisza, idźże wreszcie do diaska z mojego domu!

Acyliusz Glabron nawet nie pożegnał się z małżonką. Bez słowa opuścił uroczystość w domu dyktatora Sulli. Zrozumiał, że nieoczekiwanie popadł w kompletną niełaskę.

Atmosfera się rozluźniła. Po wyjściu Acyliusza goście wrócili do jedzenia i picia, a muzycy, którzy umilali długie *comissatio* po bankiecie, znów zaczęli grać. Wszyscy byli spokojniejsi. Tylko Emilia milczała i przygnębiona wpatrywała się w podłogę. Kochała Acyliusza i wiedziała, że krytyka ojczyzną, którą wygłosił jej już były mąż, miała dobre podstawy, choć została wypowiedziana w zdecydowanie niefortunnym momencie. Była w ciąży, rozwiedziona, nie miała ojca dla swojego dziecka. Dławił ją strach. Milczała.

– Nie uważasz, że, być może... byłeś trochę... powiedzmy... ostry z Acyliuszem? – odważył się zasugerować Dolabella. – Ostatecznie on jest... chciałem powiedzieć, był członkiem twojej rodziny – poprawił się szybko.

– Nie, nie, mój przyjacielu. Nie byłem dla niego za ostry. Surowy, ale też praktyczny z politycznego punktu widzenia – zaproponował Sulla. – Jeśli okazuję

taką twardość wobec krytyki na łonie własnej rodziny, ci, którzy do niej nie należą, zastanowią się dwa razy, zanim mi się sprzeciwią, zwłaszcza publicznie. Nie uważasz?

– Bez wątplenia – zgodził się Dolabella, kiwając na niewolnika, żeby nalał mu więcej wina. – Tak więc wszystkie sprawy zostały już rozwiązane?

Ponownie Sulla nie odpowiedział na to pytanie: teraz musiał wydać pasierbicę za mąż. Trzeba było oczywiście sformalizować rozwód, ale tym mógłby zająć się od razu następnego ranka – rola dyktatora daje pewne przywileje, jeśli chodzi o rozwiązanie niektórych kwestii prawnych. Chodziło o to, że Emilia... była do dyspozycji. Stanowiła świetną okazję do nawiązania ważnych politycznych relacji, więzów, sojuszy. Sulla czuł, że pewni ludzie będą mu lojalni, jak na przykład Dolabella, ale inne rzymskie orły zaczynały latać bardzo wysoko i należało je dobrze ze sobą złączyć, chociażby więzami rodzinnymi.

Dyktator powoli odwrócił głowę, czemu Dolabella uważnie się przyglądał. Tym razem Sulla zatrzymał wzrok na jednym z gości honorowych: Pompejuszu, który leżał na pobliskim kline.

Szybko się zastanowił, przebiegł w myślach wypadki i akcje, które już wcześniej dogłębnie rozważył. Teraz dokonywał ostatniego przeglądu stanu rzeczy przed podjęciem kluczowej decyzji. Pompejusz był jednym z młodych senatorów, którzy dokonali imponującego postępu na ścieżce kariery. Okazał zdecydowanie na polu walki. Wręcz po jego brutalnych i bezlitosnych akcjach podczas wojny ze sprzymierzeńcami obdarzono go przydomkiem *adulescentulus carnifex*, czyli „młodociany rzeźnik”. Był bardzo młody i niezwykle ambitny. Sulla nie miał wątpliwości: takich ludzi potrzebował. Sam się starzał i chciał spędzić ostatnie lata w spokoju. Organizacja Rzymu wokół dominującej klasy optymatów wymagała udziału silnych, bezlitosnych mężów, którym nie zadrzy ręka w momencie wymierzania kary, egzekucji, a nawet – jeśli to będzie konieczne – wojny. W ostatnim konflikcie z popularami Pompejusz wykazał się właściwą oceną sytuacji, gdy stanął po stronie Sulli i umiejętnie oraz skutecznie pokierował trzema legionami przeciwko armii Mariusza i pozostałych. Wreszcie należało wziąć pod

uwagę kwestię braku zakorzenienia w klasie senatorskiej. Jego ojciec jako pierwszy w rodzinie wszedł do Senatu. Pompejusz nie był więc wysokiego rodu, jak większość tu obecnych i w ogóle optymatów. Spowinowacenie się z Sullą byłoby dla ambitnego legata i polityka wyważeniem drzwi do kariery, bardzo obiecującego *cursus honorum* w szeregach konserwatystów.

Pompejusz poczuł na sobie wzrok Sulli i odwzajemnił spojrzenie, bez śladu dumy, po prostu okazał mu zainteresowanie. Tak jakby czytał w jego myślach. Musiał przyznać, że były one zgodne z jego własnymi planami. Zachował się jednak powściągliwie wobec wszechpotężnego dyktatora rzymskiego i poczekał, aż sam Sulla złoży tę propozycję.

– Ty, Gnejuszu Pompejuszu, poślubisz moją córkę Emilię.

Sulla nie czekał na potwierdzenie, tylko od razu odwrócił wzrok od tego, którego wybrał na przyszłego zięcia, i głośno nakazał niewolnikom przynieść więcej wina i jedzenia dla gości, ponieważ niedługo w rodzinie odbędzie się nowy ślub. Nic nie wspomniano o takiej drobnostce, jak ta, że Pompejusz był już żonaty.

Emilia westchnęła. Nic nie czuła do człowieka, którego wybrał jej ojczym, ale nieco uspokajało ją, że zostanie żoną jednego z jego najbliższych sojuszników. Dziecko, które nosiła, będzie chronione i ta myśl przynosiła jej ulgę.

Pompejusz myślał i pił. Nie zaakceptował propozycji Sulli, ale było oczywiste, że dyktator nie przyjmie odmowy. Z Antistią również nie pobrał się z miłości. Oskarżono go o korupcję i malwersacje przy podziale łupów w Asculum. Mogło się to dla niego skończyć niewesoło, gdyby trybunał sędziowski okazał się surowy, ponieważ podział wojennego łupu rzeczywiście nie odbył się zgodnie z prawem i zwyczajami. Postanowił wtedy ułatwić sobie sprawę i przed rozpoczęciem procesu udało mu się zdobyć rękę córki przewodniczącego trybunału.

Pociągnął łyk wina, wspominając, jak mu się tamta zagrywka udała: został oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Później, niespodziewanie, przywiązał się do swej młodej, zawsze wiernej żony. Nie chciał jej zostawiać. Przede wszystkim nie

byłoby to sprawiedliwe. Z drugiej strony odmowa mogłaby być dla niego początkiem końca.

Gnejusz Pompejusz podniósł puchar i jednocześnie przemówił głośno.

– Za szczęśliwy związek między moją osobą a Emilią, córką Lucjusza Korneliusza Sulli, dyktatora i zbawcy Rzymu!

– Piję za to! – odparł Sulla, podnosząc swój puchar. Gest ten powtórzyła reszta gości.

Ludzie wydawali się szczęśliwi.

Antistii nie było wśród obecnych.

Pompejusz wbił wzrok w podłogę. Tej nocy nie wróci już do domu, uda się do rezydencji któregoś z obecnych na bankiecie przyjaciół, a o rozwodzie poinformuje Antistię pisemnie. Kobiety reagowały bardzo emocjonalnie na pewne sprawy i Pompejusz nie miał ochoty niczego wyjaśniać. Antistia będzie musiała opuścić dom, do którego on powróci po kilku tygodniach, być może już z Emilią jako nową małżonką.

– Teraz już tak, prawda? – dopytywał szeptem Dolabella. – Teraz już wszystkie sprawy zostały rozwiązane i to ostatecznie, czyż nie?

Ale Sulla wyraźnie pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Została jeszcze jedna, ale tego człowieka nie ma tu z nami.

– Kogo?

– Cezara – odparł zdecydowanym tonem Sulla.

Dolabella zmarszczył czoło, był autentycznie zaskoczony.

– Cezara? Gajusza Juliusza Cezara? Chodzi ci o tego chłopaka? Przecież on jest nikim. Nie brał udziału w żadnej kampanii wojskowej, w żadnym procesie. Ludzie nie wiedzą nawet, czy on umie mówić. Naprawdę martwi cię ten młodzieniaszek? Ile on ma lat...? Dziewiętnaście?

– Osiemnaście – poprawił go Sulla, który dobrze przyjrzał się chłopakowi, o którym była mowa. – Jest *flamen Dialis* – dodał.

– *Flamen Dialis*? – Dolabella nie mógł w to uwierzyć. Czyżby Sulla zaczął się starzeć i opanowała go paranoja? – Przecież to stanowisko kapłańskie bez żadnej władzy politycznej.

– To prestiżowe stanowisko w oczach ludu i wszystkich pozostałych – zaproponował Sulla.

– No dobrze, został mianowany przez Mariusza i Cynnę, przywódców popularów. Jeśli tak bardzo cię to martwi, wystarczy, że odwołasz mianowanie. Masz teraz władzę absolutną. Bez ograniczeń. Tylko wydasz taki rozkaz i przestaniesz być kapłanem Jowisza.

– To mi nie wystarczy – mówił dalej bardzo poważnie Sulla.

Nikt inny nie słyszał ich rozmowy. Dookoła mówiono o tysiącu spraw, ale Dolabella skupiał się tylko na słowach swojego mentora. Próbował wyjaśnić sam sobie, czy ten niezwykle inteligentny człowiek, od którego tyle się nauczył, zaczynał tracić kontakt z rzeczywistością. Bo jeśli tak, być może nadeszła chwila... ale Sulla jeszcze nie skończył.

– Nie wystarczy pozbawić go stanowiska. Chcę powiązać go z nami, z naszym stronnictwem. Jak to zrobiliśmy z Pompejuszem. Każę Cezarowi rozwieść się z córką Cynny, przywódcy popularów, który z nami walczył, i ożenić go z jakąś młodą patrycjuszką, córką jednego z optymatów najbliższych... naszej formie postrzegania spraw.

Dolabella pochylił głowę i westchnął.

– Nadal uważam, że przesadzasz – podsumował to, co usłyszał.

– Nie, nie przesadzam – upierał się dyktator. – Ten młody Cezar jest bratankiem Gajusza Mariusza. Nikt nie wie, do czego jest zdolny. Chcę go mieć po naszej stronie. A nie przeciwko nam.

Dolabella kilkakrotnie lekko skinął głową. Legenda Mariusza, wielkiego przywódcy popularów, nadal była żywa. Rzeczywiście po śmierci jego syna Gajusz Juliusz Cezar pozostał jedynym istotnym członkiem rodziny dawnego konsula. A więc Sulla nie tracił głowy, ciągle był tym samym ostrożnym człowiekiem,

zdolnym przewidzieć potencjalne zagrożenia w przyszłości, tym, który dzięki przebiegłości i intuicji zyskał absolutną kontrolę nad Rzymem.

– Być może masz rację – przyznał wreszcie i napił się wina, ale nagle jego umysł zasnuła pewna wątpliwość. – A jeśli ten młody bratanek Mariusza, ten Gajusz Juliusz Cezar nie będzie chciał się rozwieść?

Sulla skierował dłonie do góry i wypowiedział tylko jedno słowo:

– Wtedy... – Nie dokończył zdania.

Dolabella nie potrzebował więcej wyjaśnień.

* Appian z Aleksandrii, *Historia rzymska*, t. 2, przeł. Ludwik Piotrowicz, Wrocław 1957, s. 60.

ROZDZIAŁ LVI

Rozwód Cezara

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

82 r. p.n.e., kilka dni po bankiecie Sulli

– Zgódź się – powtórzyła Kornelia. Siedziała w kącie pomieszczenia, skulona niczym przestraszone zwierzę, ale jej głos był zaskakująco spokojny jak na piętnastoletnią dziewczynę. – Zgódź się. – Zasłoniła dłońmi twarz, żeby stłumić szloch.

Tymi słowami próbowała zwolnić Cezara z odpowiedzialności za nią, ale swoimi gestami, mową ciała, łzami błagała go, żeby jej nie opuszczał.

W domu osiemnastoletniego młodzieńca – Sulla dobrze pamiętał jego wiek – nie było wielu dorosłych mężczyzn, którzy mogliby udzielić mu rady. Gajusz Mariusz, jego wielki mentor, zmarł przed czterema laty, ojciec Cezara przed trzema, a ojciec Kornelii, Cynna – dwa lata temu podczas wojny domowej. Teraz w pomieszczeniu znajdowali się Cezar, Kornelia, Labienus i tylko dwoje dorosłych z własnym zdaniem. Tyle że ta dwójka nie zgadzała się co do tego, co powinien zrobić pan domu. Byli to Aureliusz Kotta i Aurelia.

Centurion legionów Sulli przybył z rozkazem, żeby Cezar stawił się w rezydencji dyktatora Rzymu. Czekał teraz niewzruszony, żeby go tam natychmiast zaprowadzić. Szybko znalazł się na miejscu i przekazał wiadomość od Sulli.

– Lucjusz Korneliusz Sulla domaga się wizyty młodego Gajusza Juliusza Cezara, żeby omówić rozwód z Kornelią, córką zbrodniarza Cynny, oraz jego nowy związek małżeński z patrycjuszką odpowiednią dla jego pozycji – powiedział, a potem zamilkł i znieruchomiał niczym posąg w centrum atrium domu Juliuszów,

tej pozbawionej podpory rodziny, której *pater familias* był za młody, żeby stawić czoło naciskom dyktatora Rzymu. A przynajmniej brakowało mu doświadczenia, żeby rozegrać to jak najbardziej inteligentnie i rozsądnie.

Młodzieniec zbliżył się do Kornelii i położył jej rękę na ramieniu.

– Zgódź się na rozwód i idź – powiedziała, gdy poczuła jego dotyk. – Nie chcę, żeby coś ci się stało – powtórzyła. Opanowała się, starając się wlać w słowa więcej przekonania.

Aurelia obserwowała syna. Wielki Scypion Afrykański, który w młodym wieku przejmował ster spraw rodzinnych, miał wówczas dwadzieścia pięć lat. Cezar miał ich zaledwie osiemnaście, a jego przeciwnikiem był wszechpotężny Lucjusz Korneliusz Sulla. Bez ojca, bez teścia, a przede wszystkim bez Mariusza co mógł zrobić? Tylko ślepo posłuchać dyktatora. To właśnie doradził mu jej brat Aureliusz Kotta.

– Chłopak musi szybko udać się do rezydencji Sulli i zgodzić się na wszystko, co tamten zechce. Nic innego nie może zrobić.

Aurelii wydało się to bez wątpienia rozsądnym wyjściem. Mimo to w zimnym spojrzeniu syna odczytywała niepokój, wewnętrzny bunt, który mógłby pchnąć go do brutalnego konfliktu z Sullą. Do bitwy, której po prostu nie był w stanie wygrać. Wychowała syna na osobę, która nigdy nie oddaje pola, nigdy się nie podporządkowuje, zawsze walczy... Tyle że nie przypuszczała, że znajdzie się w takiej sytuacji tak szybko i że jego przeciwnik będzie tak potężny.

– A ty, matko, co uważasz? – spytał Cezar.

Aurelia skinęła głową, ale nic nie odpowiedziała. Powoli zaczęła w zamyśleniu krążyć po atrium. Gdyby wtedy otruła Kornelię, wszystko byłoby teraz prostsze, ale dziewczyna zaszła w ciążę i została matką córki Cezara. Poza tym zawsze okazywała rodzinie lojalność. Nie można jej wyeliminować. Na dobre i na złe – jak w tym przypadku – Kornelia należała do rodziny Juliuszów. Trzeba było działać w inny sposób.

Zwróciła się do centuriona, którego obecność mocno wszystkich krępowała.

– Mój syn uda się do domu Sulli, ale musi się przygotować. – Mówiła uległym tonem, ale jednocześnie delikatnie dawała do zrozumienia, że to ona jest tutaj *dominą*, co było dla żołnierza oczywiste. – Potrzebujemy chwili w gronie rodzinnym. Przypuszczam, że nie będzie to wielka niedogodność, jeśli poczekaasz na mojego syna na ulicy, prawda?

Centurion przez moment się zastanawiał. Otrzymał ścisły rozkaz, żeby nie dać się manipulować członkom rodziny wezwanego do stawienia się przed obliczem Sulli. Wahał się.

– Centurionie, nosisz odsłoniętą broń w obecności *flamena Dialis* – mówiła dalej matka Cezara. – To świętokradztwo. Nie boisz się bogów?

Żołnierz nadal nic nie mówił, ale zakrył miecz połą płaszczem.

– Mogę poczekać na zewnątrz, ale przyszedłem z uzbrojoną centurią – ostrzegł. – I nie powstrzymają nas żadne drzwi, jeśli wezwany przez Sullę szybko się w nich nie pojawi.

– Pojawi się – powiedziała Kornelia. – A teraz proszę – wskazała mu wyjście.

Żołnierz zsalutował, przykładając pięść do piersi, odwrócił się i wyszedł z atrium i domu. Niewolnicy zamknęli za nim drzwi i zabezpieczyli je grubą belką, która i tak nie mogłaby powstrzymać osiemdziesięciu uzbrojonych mężów.

– Mamy kilka chwil. – Aurelia popatrzyła na wszystkich obecnych. – Trzeba je wykorzystać.

Reszta utkwiała w niej wzrok. Nawet drobna Kornelia sprawiała wrażenie, że pozbyła się strachu, i w jej źrenicach pojawiła się nadzieja.

– Gajuszu – zaczęła Aurelia, zbliżając się do syna. – Pójdiesz do Sulli. Ja zajmę się Kornelią i zrobię to dobrze, nie musisz się tym martwić. Nie udasz się tam sam. – Spojrzała na Labienusa. – To chwila, w której decyduje się, czy wielka przyjaźń jest prawdziwa. Będziesz towarzyszył mojemu synowi? To ryzykowne. Nawet śmiertelnie niebezpieczne.

Labienus nie miał wątpliwości.

– Będę – odparł zdecydowanie. Kierował się przyjaźnią, pasją i złością na dyktatora. Jeśli Cezar będzie na tyle odważny, żeby sprzeciwić się Sulli, chciał być tego świadkiem, nawet za cenę życia. Lepiej zginąć, niż ugiąć się przed bezprawną dyktaturą, która przygniotła ich wszystkich.

– Świetnie. – Aurelia teraz zwróciła się do brata. – Powiedziałeś już, co o tym sądzisz, i ma to sens: Gajusz powinien zgodzić się na rozwód z Kornelią i pojąć za żonę tę, którą przeznaczy mu Sulla, ale Cezar – spojrzała na syna – zrobi to, co sam postanowi, to, co podsuną mu głowa i serce, i podejrzewam, że się na to nie zgodzi. Z dwóch powodów: ponieważ wychowałam go na męża, który się przed nikim nie ugina, i ponieważ... jest zakochany w Kornelii. – Spojrzała na dziewczynę. – I to dobrze, bo to dziecko zawsze okazywało mu lojalność i sprawiedliwość każe, by mój syn odwdzieczył się lojalnością. – Podeszła do synowej. – Nie martw się, moja mała, Sulla jeszcze nie zabija kobiet i dzieci. Nie dlatego, że nie chce, tylko dlatego, że to by źle wpłynęło na jego popularność. Wystarczy mu, że zabierze ziemię, domy i pieniądze, że uprzykrzy nam życie. Ale mamy w Rzymie wielu przyjaciół i przetrwamy, tym się nie martw. – Znowu spojrzała na Cezara. – Zabierzesz wszystkie pieniądze, jakie są w domu.

– Nie, matko. Te sestercje są wam potrzebne, żeby...

– Nie, mój synu – przerwała mu. – Będziesz ich potrzebował znacznie bardziej niż my. Jestem tego pewna. Poza tym, gdy tylko sprzeciwisz się Sulli, jeśli ostatecznie to postanowisz zrobić, ci sami legionieści, którzy czekają za drzwiami, przyjdą, żeby zabrać z tego domu wszystko, co wartościowe. Dlatego ty weźmiesz pieniądze, na pewno dobrze je wykorzystasz. – Zamilkła, westchnęła, spojrzała na podłogę i ponownie podniosła głowę. – Tak właśnie zrobimy. Niech bogowie cię chronią, synu mój. Nie zapomnij, że pochodzisz od Eneasza. Bądź dzielny, ale nie nierozsądny. Bądź sprawiedliwy, ale nie głupi. Pamiętaj o radach wuja Mariusza. Opowiadał mi o waszych rozmowach: nieważne, że nazwą cię tchórzem, ważne jest tylko ostateczne zwycięstwo. Powiedzieliśmy już sobie wszystko. Czekają na ciebie. Niecierpliwiają się. Wyjdź z tego domu. Bez niczego. Prześlę ci pieniądze. A teraz idź już.

Gajusz Juliusz Cezar skinął głową.

– Nie powiedzieliśmy wszystkiego, matko. Zostało jedno. – Spojrzał na siedzącą Kornelię, w której oczach czaiły się łzy, i kucnął przy niej. – Pożegnanie z tobą. Posłuchaj mnie, moja matka mówi prawdę: kocham cię z całego serca i zawsze będę cię kochał. Cokolwiek się stanie, cokolwiek usłyszysz, pamiętaj tylko o tym. – Wstał i szybko udał się do *cubiculum* matki, żeby zabrać stamtąd worki ze złotymi i srebrnymi monetami. Pomyślał, że szkoda, że resztę trzymali w willi poza miastem, gdyż z całą pewnością szybko zostanie skonfiskowana.

– Idę z tobą – powtórzył Labienus, gdy Cezar wrócił do atrium.

Uśmiechnął się. W takich okolicznościach przyjaciel był cenniejszy od złota. Ale praktycznie było mieć pieniądze. Zawsze.

– Jesteś tego pewien?

– Tak jak wtedy w dzieciństwie, gdy wdaliśmy się w bójkę. – Zaśmiał się i ten jego śmiech wszystkich rozluźnił.

– To idziemy.

Ruszyli w stronę drzwi. Nagle Cezar się zatrzymał.

– Mój *apex* – powiedział.

Kornelia wstała i pobiegła do ich wspólnej sypialni, zabrała stamtąd nakrycie głowy przynależne kapłanowi Jowisza i wróciła do westybulu, gdzie czekali na nią Cezar, Labienus i pozostali. Podeszła do męża i założyła mu *apex flamina Dialis*.

W drzwiach domu stał człowiek ubrany w białą togę i trzymający w rękach *fasces* – zwitek długich gałęzi. Oznaczał on władzę, bo jedną gałąź można łatwo złamać, ale nie kilka połączonych. Gdyby znajdowali się poza *pomerium*, a więc świętą centralną częścią miasta, liktor trzymałby również topór, ale nie można było tego robić w Rzymie. Niewiele osób miało prawo do eskorty liktorów na ulicach miasta nad Tybrem: edylowie mogli mieć ich dwóch, pretorzy sześciu, a konsulowie lub dyktatorzy dwunastu. Sulla za to przyznał sobie jako dyktatorowi eskortę dwudziestu czterech liktorów, co symbolizowało fakt, że jego dyktatura nie podporządkowywała się zwyczajom rzymskim. *Flamen Dialis* miał prawo do

jednego liktora, ale poza edylami, pretorami, konsulami i dyktatorem był jedynym Rzymianinem uprawnionym do eskorty.

Cezar spojrział na swojego liktora.

– Jeden przeciwko dwudziestu czterem Sulli. – Pozwolił sobie na uśmiech. – Widać wyraźnie, jak rozłożone są siły.

Ale nawet ta myśl go nie przestraszyła. Nakazał niewolnikom podnieść ciężką belkę blokującą drzwi i wyszedł z Labienusem na zewnątrz. Otoczyło ich osiemdziesięciu legionistów, którzy mieli odprowadzić Cezara do rezydencji Lucjusza Korneliusza Sulli, dyktatora, pana i absolutnego władcy Rzymu.

Cezar zauważył, że wszyscy legioniści zasłonili miecze płaszczami. Patrzyli na jego *apex* i na towarzyszącego mu liktora. Szedł na śmiertelne starcie, ale czuł opiekę wuja Mariusza, jaką ten otaczał go z Hadesu. Był *flamen Dialis*. Jak mocno Sulla odważy się naciskać na kapłana Jowisza?

ROZDZIAŁ LVII

Propozycja Sulli

Domus Sulli, Rzym

82 r. p.n.e.

Cezar i Labienus dotarli do domu Sulli eskortowani przez legionistów wysłanych przez dyktatora. Rezydencja była ogromna i miała nie jedno czy dwa, ale pięć atriów. Pierwsze służyło czasami jako westybul. Tam natknęli się na Pompejusza, który wychodził po zakończeniu audiencji u nowego szefa. Już sformalizował rozwód z Antistią i pojął za żonę Emilię, pasierbicę Sulli.

Spojrzenia Cezara i Pompejusza się spotkały.

W oczach Cezara czaiło się wyzwanie. Wzrok Pompejusza był zimny, lodowaty, przywodził na myśl Meduzę gotową do zamienienia przeciwnika w kamień. Konfrontacja trwała ledwie kilka chwil, ale obaj zaznaczyli terytorium.

Pompejusz wyszedł bez słowa.

– Gardzi nami – stwierdził Labienus.

Cezar tego nie skomentował. Skinął tylko głową. Wiedział o rozwodzie i nowym małżeństwie tamtego. Skoro ktoś tak okrutny szybko ustąpił Sulli, czyż nie byłoby rozsądnie, jak zasugerował wuj Kotta, zachować się tak samo?

– Wejść! – Centurion, który prowadził ich przez całe miasto, wskazał drogę do drugiego atrium, którego dyktator używał do audiencji publicznych.

Cezar, Labienus i liktor weszli do środka. Ku ich zaskoczeniu prawie nikogo tam nie było. Tylko dwóch mężczyzn spoczywało na kline: Sulla i Dolabella, jego ówczesna prawa ręka. Wszystko wskazywało na to, że w nowym roku Sulla wyznaczy Dolabellę na konsula.

Nie było nikogo, poza – oczywiście – legionistami czuwającymi w rogach wielkiego atrium. Przeszukali już Cezara, Labienusa i liktora kilkakrotnie, żeby uniknąć niespodzianek. Obecność tylu żołnierzy była zbędna, chyba że służyła wywarciu odpowiedniego wrażenia. Stanowili symbol świeżo zainstalowanej dyktatury. Wyglądało na to, że nie miała się ona rychło zakończyć.

Cezar zwrócił uwagę, że żaden z legionistów nie uczynił nic, aby ukryć swoją broń.

Dolabella wstał z kline.

– Na Jowisza, kogóż my tutaj mamy? Straszego bratanka Gajusza Mariusza. – Podszedł do Cezara na odległość kilku kroków i powoli go okrążył. – Nie widzę w nim nic przerażającego. Szczerze mówiąc, Lucjuszu, nadal uważam, że przesadzasz – powiedział do Sulli.

Potem krótko przyjrzał się Labienusowi, nie skomentował jego obecności i wrócił na miejsce.

Sulla nic dotąd nie powiedział. Jadł suszone owoce i ser, wyłożone przed jego kline.

Zignorowany przez Dolabellę liktor odsunął się o kilka kroków od Cezara i Labienusa, którzy zostali sami na środku atrium. Był liktorem, ale nie czuł się bohaterem.

– Jesteście głodni? Czegoś sobie życzycie? – spytał dyktator niedbałym tonem, nawet nie spojrzawszy na przybyłych. Ale użył liczby mnogiej, zatem dostrzegł zarówno Cezara, jak i Labienusa. Nie miał zwyczaju nikogo ignorować. Zwrócił też uwagę, że Cezar przyszedł w towarzystwie liktora i miał na głowie *apex* kapłana Jowisza.

Na to pytanie Labienus pokręcił tylko głową, ale Cezar postanowił odpowiedzieć z dumą:

– Owszem, życzymy sobie wolności, *clarissimus vir*.

Sulla przestał przeżuwać.

Zapadła gęsta cisza. To wyzywające żądanie wolności było zbyt mocne, żeby złagodził je fakt użycia wobec senatora rzymskiego pełnego szacunku zwrotu.

Sulla wsadził czubek języka między zęby. Zatrzymał mu się tam i przeszkadzał kawałek migdała. Wreszcie udało mu się go wyjąć i połknąć wraz z łykiem wina.

– Chodziło mi o coś do jedzenia – powiedział wreszcie, odstawiając puchar na stół, nadal nie poświęcając młodzieńcom ani jednego spojrzenia.

– Nie, nie życzymy sobie niczego do jedzenia – odparł Cezar.

– Dobrze, wobec tego możemy przejść bezpośrednio do sprawy, która cię tu sprowadza, młody Gajuszu Juliuszu Cezarze. Wiesz, dlaczego kazałem cię wezwać?

– Wiem... *clarissimus vir*.

Sulla się uśmiechnął.

– Wolałbym, żebyś udzielił mi bardziej konkretnej odpowiedzi, chłopcze – zauważył.

Cezar wciągnął głęboko powietrze, wypuścił je i wreszcie udzielił odpowiedzi. Nie było sensu ciągle się sprzeciwiać.

– Lucjusz Korneliusz Sulla czuje się zaniepokojony moim małżeństwem z Kornelią, córką Cynny, który był związany paktem politycznym z Gajuszem Mariuszem, moim wujem. Obaj byli ewidentnymi nieprzyjaciółmi senatora i teraz dyktatora Rzymu, Sulli. Wedle tego, co przekazał mi centurion, Sulla pragnie, abym rozwiódł się z żoną, żeby następnie ożenić się młodą patrycjuszką z jednej z rodzin optymackich patrzących przychylnym okiem na sposób rządzenia Rzymem przez najbardziej konserwatywną część Senatu, stronnictwo zdecydowanie przeciwne wszystkiemu temu, czego mój wuj bronił przez lata: redystrybucji bogactw, rozdawnictwu ziemi i przyznaniu rzymskiego obywatelstwa szerszej liczbie mieszkańców. To tak w skrócie, ale myślę, że niczego nie pominąłem.

Sulla się zastanowił. Zajął się przeżuwaniami kawałka sera, wpatrując się uważnie w wyzywające oblicze młodego rozmówcy.

Z kolei Dolabella z rozbawieniem przyglądał się pojedynkowi, który oczywiście był mu szczerze obojętny. Komiczność sytuacji polegała dla niego na tym, że Cezar wyraźnie ignorował fakt, że znajduje się w o wiele gorszej pozycji, że w ogóle nic nie znaczy wobec wszechpotężnego i bezlitosnego Sulli. Być może chłopak nie wyjdzie nawet żywy z tego atrium. Milczenie Sulli nie oznaczało niczego dobrego dla *pater familias* rodziny Juliuszów.

– Nie, nie pominąłeś niczego – zgodził się Sulla, nadal chłodny, odległy, zamyślony.

Znów zapadła cisza.

– Nie zamierzam tego zrobić – odważył się powiedzieć Cezar.

– Czego? – zapytał Sulla z wielkim spokojem.

– Rozwieść się z żoną.

Lucjusz Korneliusz Sulla wydał z siebie długie, powolne westchnienie i niezwykle flegmatycznie podniósł opasłe ciało z kline, podszedł do Cezara i gdy dzieliła ich zaledwie odległość jednej stopy, bez słowa wymierzył mu siarczysty policzek, któremu nadał taką moc, choć nie był u szczytu sił, że rozciął wargę młodzieńca. Może dlatego, że ten się tego nie spodziewał, a może dlatego, że Sulla nadal nie opuściła siła ramion charakterystyczna dla wytrawnego żołnierza.

Labienus ruszył w ich stronę, jakby miał zamiar zainterweniować, ale dostrzegł dziesiątki uzbrojonych legionistów z mieczami w dłoni wyłaniających się z czterech rogów atrium. Zastygł. Cezar również powstrzymał się przed ostrą reakcją.

– To za ten impertynencki ton – wyjaśnił dyktator. – Mogę zrozumieć, że odmawiasz rozvodu i ożenku z patrycjuszką, córką jakiegoś godnego senatora, którą bym ci wybrał, ale nie mam zamiaru tolerować, żeby niedoświadczony i bezczelny *adulescens* ważył się patrzeć na mnie z góry w moim własnym domu.

Jasne, chłopcze? Czy mam poprosić jednego z legionistów, żeby wyjaśnił ci znaczenie moich słów przemocą, która ma potężną zdolność porządkowania spraw?

Cezar szybko przełknął ślinę i dumę. Nie miało sensu narażać się na pobicie. Lekcja wuja: nie rzucaj się do walki, której nie możesz wygrać.

– Wszystko jest dla mnie jasne, *clarissimus vir* – potwierdził w końcu. – Ale zaskakuje mnie, że ktoś, kto uważa się za obrońcę najdawniejszych rzymskich zwyczajów, śmie policzkować kapłana Jowisza.

Sulla lekko się uśmiechnął i machnął pogardliwie ręką.

– Widzę twój *apex* i zauważyłem, że przyszedłeś w towarzystwie liktora, mimo to mianowanie cię *flamen Dialis* w czasach reżimu Cynny, jak wszystkie inne dekryty z tamtego okresu, z mojego punktu widzenia jest wątpliwe. Poza tym, na Jowisza, tego samego, do którego się odwołujesz, wróćmy do głównego tematu rozmowy. A więc nie rozwiedziesz się z córką tego nędznika Cynny?

Cezar dobrze się zastanowił nad odpowiedzią.

– Z całym szacunkiem... nie, *clarissimus vir*.

– Z całym szacunkiem... – powtórzył ironicznie Sulla i spojrzał na Dolabellę. – Słyszałeś? Z całym szacunkiem... – Wybuchł soczystym śmiechem, którym zaraził licznych legionistów w atrium. Byli to weterani wojny z Mitrydatesem. Towarzyszyli dyktatorowi w wyprawach przez pół świata i czuli się współuczestnikami wszystkich jego wybuchów śmiechu czy złości: śmiali się wraz z nim i egzekwowali to, co podsunął mu gniew. Wedle potrzeby.

Ten śmiech był dla Cezara poniżający, ale młodzieniec się nie odezwał. Zaskoczyło go, że Sulla tak niewiele sobie robi z jego stanowiska. Nie wziął tego pod uwagę w swoich planach.

Sulla znów się podniósł.

Dolabella spojrzał na niego uważnie: to nie było zwykłe zachowanie mentora. Rzadko kiedy wstawał z kline nawet raz, nie robił tego zazwyczaj podczas audiencji, ale dwa razy... to już była zupełna nowość.

Dyktator powoli podszedł do Cezara. Z rozciętej wargi młodzieńca spływała na brodę i kapłała na mozaikę podłogową krew. Doświadczony przywódca konserwatystów stanął w tym samym miejscu, z którego spoliczkował Cezara. Podniósł rękę. Cezar zamknął oczy i odwrócił twarz, ale nie cofnął się. Czekał na kolejny cios. Nic takiego nie nastąpiło. Otworzył oczy i zobaczył, że Sulla stoi przed nim i w milczeniu drapie się po uchu.

– Gardzisz mną – powiedział dyktator. – Gardzisz mną, bo myślisz, że jesteś ode mnie lepszy, lepszy od niego. – Wskazał przelotnie Dolabellę. – Uważasz się za lepszego od wszystkich optymatów. Uważasz, że masz nad nami przewagę moralną, bo przejmujesz się losami rzymskiej hołoty, wszystkich tych oberwańców, którzy nie są patrycjuszami, biedaków, którzy urodzili się, żeby nam służyć, jak wszyscy ci mieszkańcy Italii żądający obywatelstwa, na które nie zasługują. Myślisz, że jesteś lepszy ode mnie, uważasz się za sprawiedliwszego, mądrzejszego, bardziej rzymskiego ode mnie. Ale wcale nie jesteś ani sprawiedliwszy, ani mądrzejszy, ani bardziej rzymski. W twoich żyłach płynie krew wuja: największego zdrajcy, jakiego Rzym kiedykolwiek widział, gotowego zniszczyć naturalny porządek rzeczy, ale teraz przybyłem ja, żeby przywrócić sprawom ich logiczny porządek, w którym najstarsze rodziny patrycjuszowskie rządzą państwem i prowadzą jego sprawy. Przybyłem, żeby ustanowić nowy porządek, w którym zlikwiduję wszelkie głosy niezadowolenia. W tym celu jestem gotowy zastosować tyle siły i przemocy, ile okaże się konieczne. Gardzisz mną, bo narzucam się w sposób brutalny. Gardzisz mną, bo uważasz się za szlachetniejszego ode mnie, ale jest w tobie, chłopcze, coś, czego ty w ogóle nie dostrzegasz, ale ja to widzę. – Podszedł do Cezara, aż jego wyperfumowany oddech owionął twarz młodzieńca. – Nie wiesz, nie jesteś zdolny dostrzec, że ty jesteś taki sam jak ja. Pewnie jeszcze nie teraz, ale widzę w tobie wszelkie przesłanki, że będziesz taki jak ja, że jeśli pozwolę ci rosnąć, ostatecznie staniesz się taki jak ja. – Oddalił się o kilka kroków i odwrócił od Cezara. – Tyle że ja wcale tobą nie gardzę, wręcz przeciwnie. Wiem, jak ocenić twoją prawdziwą wielkość. Widzę, co w tobie drzemie, i dlatego chcę mieć cię po swojej stronie. My, wielkie

senatorskie rodziny, potrzebujemy najlepszych Rzymian w tym nowym porządku, ale żeby do nas przystąpić, musisz przysiąc mi uległość i absolutną lojalność, zaczynając od rozvodu z córką Cynny i poślubienia tej, którą ci wyznaczę. Daję ci szansę, chłopcze, znacznie większą, niż na to zasługujesz. Dobrze się zastanów, zanim znów zabierzesz głos.

Sulla zakończył przemowę, wrócił na kline i sięgnął po puchar, z którego napił się wina, czekając na odpowiedź Cezara.

– Nie jestem taki jak ty, najjaśniejszy mężu, i podejrzewam, że w twoim reżimie nigdy nie zostanę senatorem. Przykro mi z tego powodu. Rozumiem, że moja kariera polityczna nawet się nie rozpocznie, ale mimo to nie zamierzam rozwieść się z Kornelią.

– Dlaczego? – spytał Sulla z czystej ciekawości. – Czy w ten sposób rzucasz mi wyzwanie?

– Nie lubię otrzymywać rozkazów od nikogo, *clarissimus vir*, ale jest jeszcze jeden powód.

– Jaki?

– Kocham moją żonę.

– To małżeństwo polityczne, ustalone między twoim wujem a Cynną. – Sulla podniósł do góry dłonie oraz brwi, pokazując, że niczego nie rozumie.

– To nie ma znaczenia, *clarissimus vir*, kocham moją żonę i przysiągłem jej lojalność, a ja dotrzymuję przysięg.

– Ja również dotrzymuję przysięg – odparł Sulla z lodowatą pogodą. – I przysiągłem, że nowemu porządkowi nie zagrozi żaden członek rodziny czy zwolennik Mariusza. Pozostaje mi Sertoriusz, dawny podwładny twojego wuja, który okopał się w Hispanii, ale bez wątpienia się nim zajmę. I pozostajesz mi ty, tutaj, w Rzymie.

Cezar czekał na wyrok.

– Możesz odejść – powiedział Sulla ku zaskoczeniu młodzieńca.

Cezar zamrugał oczami i zmarszczył czoło. Legioniści włożyli miecze do pochew i wrócili w rogi pomieszczenia. Cezar spojrział na Labienusa, który patrzył na wszystko z takim samym niedowierzaniem. Obaj szybko ruszyli w stronę wyjścia, a za nimi liktor – chciał opuścić ten dom, nim dyktator zmieni zdanie i nakaże ich obu, może nawet wszystkich trzech, natychmiast stracić.

Sulla i Dolabella zostali sami, poza liczną eskortą wojskową, która pilnowała atrium.

– Dlaczego pozwoliłeś mu odejść? – spytał Dolabella. – Skoro tak bardzo cię on martwi, dlaczego go nie zabijesz?

– Nie tutaj, nie w moim domu. W Rzymie nadal zostało mnóstwo popularów. I mimo że nie uznaję jego mianowania na *flamen Dialis*, jego zwolennicy i cały plebs postrzegają go jako kapłana Jowisza. Trzeba się najpierw tym zająć, pozbawić go stanowiska, a tymczasem będziemy go obserwować. Wystarczy mi jeden powód, żeby postawić go przed sądem kontrolowanym przez nas i wtedy go skazemy na śmierć. Z punktu widzenia prawa tak jest lepiej... bardziej idealnie.

ROZDZIAŁ LVIII

Zabójcza próba sił

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

82 r. p.n.e.

– Dlaczego wróciłeś? – spytała matka.

– Chcę mu pokazać, że się go nie boję – odparł categorycznym tonem Cezar.

– Powinieneś, chłopcze, powinieneś się go bać. I to bardzo – stwierdził Aureliusz Kotta.

Labienuś, który wrócił wraz z przyjacielem, nie odzywał się. Patrzył tylko, jak Cezar podchodzi do żony i ją obejmuje. Kornelia płakała. Była przerażona.

– Nie chcę, żeby cię skrzywdzili z mojego powodu – powiedziała, szlochając.

– Nie chodzi tylko o nasze małżeństwo. Nawet gdybym nie był twoim mężem, on i tak by mnie nienawidził. Bo jestem bratankiem Mariusza. – Cezar spojrzał na matkę. – Wuj mnie ostrzegał, ale mu nie wierzyłem. Powiedział, że nigdy mi nie wybaczą, że jestem jego bratankiem.

Aurelia westchnęła. Jej syn powinien opuścić Rzym, ale był uparty. Albo zdecydowany. Odważny lub szalony. Czas pokaże.

Minęły ledwie dwa dni, gdy w atrium domu rodziny Juliuszów zjawił się posłaniec Senatu.

Cezar przeczytał wiadomość znów w obecności matki, wuja Kotty, młodej Kornelii i wiernego przyjaciela Labienusa.

– Informuje mnie, że pozbawili mnie kapłaństwa. Już nie jestem *flamen Dialis* – ogłosił. – Nic go nie powstrzyma. Nic nie budzi jego szacunku. Nic poza siłą.

– Bałam się gorszej reakcji Sulli – przyznała Aurelia.

– Pozbawienie kapłaństwa to tylko początek – orzekł Kotta.

Nikt mu nie odpowiedział.

Brat Aurelii miał rację. Ale był to powolny proces. Przeprowadzona drobiazgowo, niezwykle delikatna operacja medyka. Sulla starał się pozbawić Juliusza Cezara udziału w życiu publicznym. A być może nawet pozbawić go życia w ogóle.

– W każdym razie nie uznawał mianowania mnie *flamen Dialis*, bo dla niego żadne prawa nadane przez Mariusza czy Cynnę nie są legalne. To tylko formalizm, żeby usprawiedliwić się w oczach senatorów i plebsu... – Zamilkł na kilka chwil, krążąc po atrium. Nagle zatrzymał się i spojrzał na wszystkich obecnych błyszczącymi oczyma. – Dobrze, zagram na jego planszy jego kartami, jego prawami, w tym nowym reżimie. Będę kandydował w wyborach na kapłana *quindecimviri sacris faciundis* – powiedział gwałtownie Cezar tonem konsula, który rusza do bitwy. – To stanowisko jest mniej prestiżowe od funkcji *flamen Dialis*, ale pochodzi z wyboru komicji, nie Senatu. Sulla ich nie kontroluje. Wszystko w rękach ludu.

Byli zaskoczeni. Ta walka w oczach Kotty była zarówno nierówna, jak i absurdalna, ale Aurelia dostrzegała siłę ducha syna i nie mogła go nie podziwiać, choć obawiała się zarazem, że udział w tych wyborach sprawi, że będzie narażony na akt zemsty, bo Sulla zinterpretuje to właściwie: jako publiczne wyzwanie rzucone jego władzy.

Domus Sulli

Dzień później

– Że co robi? – spytał Sulla z pełnym zaskoczeniem w głosie.

– Kandyduje na kwindecimwira – powtórzył Dolabella. – Wie, że wybierają ich komicje ludowe, pozostające poza naszą senatorską kontrolą. To oczywiste wyzwanie.

– Bez wątplenia – zgodził się Sulla. – Ale ci, którzy głosują w komicjach, są tak samo podatni na korupcję jak nasi koledzy w Senacie. W dodatku za o wiele

mniejsze pieniądze. Kupimy tyle głosów, ile trzeba, żeby nie został wybrany. A, wydaj rozkaz konfiskaty jego dóbr. Nie będzie miał pieniędzy, żeby rywalizować z nami o skorumpowanych członków komicji. – Sulla zamyślił się. – Cynna miał dużo pieniędzy. Skonfiskować wiano, jakie wniosła Cezarowi jego córka. To pozbawi go środków na kupno głosów. To pozbawi go siły. – Wyszczrzył zęby. – Jakie to zabawne.

– Co konkretnie?

– Izolowanie go krok za krokiem, zacieśnianie oblężenia, powolutku. Jakbyśmy go wolno dusili. Tak jest zabawniej.

Dolabella skinął głową i wyszedł z atrium, żeby przekazać instrukcje ludziom czekającym w westybulu. Trzeba było podyktować rozkazy, zająć się wyborami i kupić wiele głosów.

Domus rodziny Juliuszów

Piętnaście dni później

Cezar wbił wzrok w podłogę. Siedział na kline, nawet się nie położył. Jego matka, jego młoda żona, wuj Kotta i Labienus słuchali go uważnie.

– Jedyne pogorszyłem sytuację, rzucając Sulli wyzwanie. Nie tylko skonfiskował nasz rodzinny majątek, ale też pozbawił Kornelię jej pieniędzy. Nie uzyskałem wyboru na kwindecimwira. Kupił tyle głosów, ile zapragnął. Ludzi, lud tak samo łatwo skorumpować jak senatorów.

Skoncentrował się na ostatnich słowach, jakby w wieku osiemnastu lat doznał objawienia lub brutalnego zderzenia z rzeczywistością, które go zmroziło. Ci sami ludzie, o których prawa chciał walczyć, opuścili go za garść sestercji. Czy ta walka ma w ogóle sens?

Aurelia świetnie go znała. Wiedziała, o czym myśli.

– Lud Rzymu zasługuje, żeby o niego walczyć – powiedziała. – To, że kilku jego przedstawicieli uległo korupcji, nie oznacza, że większość, która umiera z głodu na ulicach i która cierpi z powodu nadużyć senatorów, nie zasługuje na

obronę. Ale tego starcia, synu, nie możesz wygrać. Przynajmniej nie teraz. Nie przeciwko Sulli u szczytu władzy. Musimy skupić się na przetrwaniu. Musimy powrócić do planu jak najszybszego wyjazdu z Rzymu. Z pieniędzmi, które nam zostały. Sulla rychło wyda nakaz twojego aresztowania. Najpierw chciał cię ośmieszyć w wyborach, ale teraz zaatakuje cię bezpośrednio. Weź tę resztę pieniędzy i opuść miasto. Złoto z worków nadal jest do twojej dyspozycji. Nasi przyjaciele, jak ci powiedziałam, pomogą Kornelii, waszej córce, mnie i twoim siostram.

Przyduszony poczuciem klęski Cezar skinął głową. Nie ruszył się z kline.

– Nie pokonał cię, synu – kontynuowała Aurelia. – Nie rozwiodłeś się z Kornelią, na czym najbardziej mu zależało, poza tym, żebyś przeszedł na jego stronę. Mimo to wygrywa tę potyczkę. Wyjedź z Rzymu natychmiast, a ja zbiorę wszystkich sojuszników, żeby przekonać go, by pozwolił ci wrócić. Jeśli nam się to nie uda, jest jeszcze jedno rozwiązanie, które wymaga po prostu cierpliwości.

– Jakie to rozwiązanie, matko?

– Sulla ma swoje lata. Niedługo umrze. To będzie dla ciebie okazja, a ja do tego czasu będę działać w mieście, żeby ci pozwolił wrócić. A teraz wyjedź z Rzymu, zanim będzie za późno.

ROZDZIAŁ LIX

Uciekinier z Rzymu

Via Appia, Rzym

81 r. p.n.e.

Wyszli z domu pod osłoną nocy. Via Appia podążali na południe. Labienus i Cezar kroczyli po starych płytach drogi zbudowanej przed wiekami, nie rozglądali się na boki. Bali się nocnej straży, ale udało im się o kilka godzin uprzedzić nakaz aresztowania Juliusza Cezara wydany przez Senat. Mieli przewagę.

– Trzeba będzie kiedyś naprawić tę drogę – zauważył Cezar.

Labienusa zaskoczył ten komentarz. Jego przyjaciel miał rację. Renowacja tej drogi była przedmiotem debaty w Senacie, ale spór między popularami a optymatami sprawił, że nigdy nie uchwalono potrzebnych na nią pieniędzy.

– W porządku, skupmy się na przetrwaniu, jak powiedziała twoja matka – powiedział Labienus. – Potem zajmiesz się Via Appia.

To miał być żart, ale Cezar zareagował z pełną powagą.

– Tak, pewnego dnia się nią zajmę – powiedział, wpatrując się w poluzowane płyty.

Labienus był zadziwiony. To należało do cech charakteru jego przyjaciela: wypowiadał nieoczekiwane komentarze w chwilach, w których nikt się tego nie spodziewał.

Przyspieszyli kroku.

Ogarnęła ich kompletna ciemność.

Nie było księżyca i mrok nocy gęstniał. Szli praktycznie po omacku, trzymając się starej drogi.

Wędrowali godzinami, żeby jak najbardziej oddalić się od miasta.

– Zaraz będzie świtać – powiedział Labienus.

Byli wyczerpani.

– Rzeczywiście – potwierdził Cezar. – Zejdźmy z drogi, żeby chwilę wypocząć.

Domus Sulli, Rzym

– Uciekł – ogłosił Dolabella, stojąc przed dyktatorem Rzymu.

Nikt nie mógł znaleźć Cezara w mieście nad Tybrem.

– Działaliśmy zbyt powoli – stwierdził Sulla. – Powinniśmy byli przewidzieć, że po porażce w wyborach postanowi zwiać.

Dolabella ośmielił się coś zasugerować.

– Może powinniśmy byli sprawić, żeby Senat wydał nakaz aresztowania przed wyborami.

Ale Sulla pokręcił głową.

– Nie, zdecydowanie nie. Nakaz aresztowania kogoś, kto przegrał wybory, to nie to samo, co nakaz aresztowania ich zwycięzcy.

– Ale wybory były... zmanipulowane – odważył się postawić sprawę jasno Dolabella.

Sulla pogardliwie wykrzywił twarz.

– Tyle kwestii w życiu jest zmanipulowanych... Będzie się o tym mówić oczywiście, ale w oczach publiki Cezar jest przegranym i o to chodziło. Nawet jego zwolennicy opadli na duchu, widząc, że to jest ten ich przywódca, który ma zastąpić Mariusza czy Cynnę w walce przeciwko nam. Gdyby był sprytniejszy, uciekłby zaraz po naszej rozmowie sprzed tygodni. Nie powinien był kandydować w tych wyborach: zachowałby resztki reputacji w oczach swoich ludzi. Ale ponieważ poszło mu jak poszło – nieważne, czy wybory były czyste, czy zmanipulowane – jego zwolennicy dostrzegli, że Cezar nic nie może zrobić przeciwko mnie, przeciwko nam, że to tylko wielka gorączka, ogromna duma, ale mało tam inteligencji.

Dolabella kilkakrotnie skinął głową. Jak zawsze to, co mówił Sulla, miało sens.

– Ilu mamy legionistów w Italii? – spytał dyktator.

– Sto dwadzieścia tysięcy – odparł Dolabella. Całe wojsko, które walczyło z Mitrydatesem na wschodzie, a potem przeciwko popularom podczas wojny domowej, a także legiony z Ankony, zostało rozmieszczone w Italii, żeby zapewnić konsolidację reżimu Sulli.

– Dobrze. Niech wszyscy go szukają. Chcę Cezara żywego lub martwego tutaj, w moim domu. Chcę go klęczącego przed moimi stopami albo jego trupa. Niech na niego zapolują. Jak na wilka albo najgorszego szkodnika.

Italia

Kilka tygodni po wydaniu nakazu aresztowania Cezara

Życie uciekiniera jest żalosne, smutne, pełne cierpienia. Gdy twoją jedyną nadzieją jest śmierć tego, który cię ściga, a który ma pięćdziesiąt siedem lat, melancholia i poczucie porażki zaczynają brać górę.

– Ale Sulla dużo je – stwierdził pewnego wieczoru Labienus, gdy siedzieli przy małym ognisku w górach. – Jest gruby i nieustannie pije wino. Bierze udział w niekończących się orgiach. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby zmarł nagle podczas jednego ze swoich bankietów.

Labienus od czasu do czasu towarzyszył Cezarowi. Jako jedyny wiedział, gdzie ten się znajduje, przynosił mu jedzenie w najbardziej odległe miejsca. Cezar martwił się, że przyjaciel tak bardzo się naraża, starając się dostarczyć mu pomoc w formie żywności i towarzystwa, ale sam unikał willi przyjaciół czy znajomych rodziny Juliuszów lub zwolenników wuja Mariusza. Wszyscy byli pod obserwacją. Labienus nie zaglądał już do domu, tylko spędzał noc u znajomych w Suburze, gęsto zaludnionej dzielnicy Rzymu, w której mieszkał. Labienusowi łatwiej było ukryć się w tamtejszym tłumie. Cezar nie mógł przebywać w mieście: tysiące legionistów patrolowały ulice i pilnowały bram.

Cezar wiedział, że jego przyjaciel wystawiał się na wyjątkowe niebezpieczeństwo, ale bez niego już by nie żył. Miał sporo pieniędzy, które dała

mu matka, niemniej udanie się na targ miejski, żeby kupić coś do jedzenia, wiązałoby się ze zbyt dużym zagrożeniem: legionści Sulli byli wszędzie.

Czas płynął.

Wkrótce napięcie stało się nie do zniesienia.

– Z każdym dniem coraz trudniej jest wymknąć się patrolom – powiedział tego wieczoru Labienus. – Na wszystkich bogów, wczoraj prawie mnie otoczyli przy wyjściu z Rzymu. Zaostrzyli kontrole na drogach i zaczynają tworzyć jednostki, całe centurie, które mają przeszukać góry. Sulla nakazał sprawdzić pod każdym kamieniem w Italii. Może powinieneś bardziej się oddalić. Popłynąć na wschód albo... – Nie był pewien, czy to wypowiedzieć, ale w końcu się zdecydował. – Albo do Sertoriusza do Hispanii.

– Myślałem o obu wyjściach – przyznał Cezar, wpatrując się ze szczytu łańcucha górskiego, na którym się znajdowali, w zachodzące słońce. – Na wschodzie polowanie będzie mniejsze, ale wszystkie porty w Italii znajdują się pod obserwacją. Próba zaokrętowania się byłaby bardzo ryzykowna. Najprawdopodobniej ktoś by mnie zdradził i przekazał legionistom Sulli, zanim statek wypłynąłby do Grecji czy Azji. Jeśli chodzi o Hiszpanię, poza tymi samymi problemami z zaokrętowaniem, gdybym połączył się z Sertoriuszem, Sulla uznałaby to za jeszcze bardziej wrogi akt z mojej strony i jeszcze mocniej prześladowałaby moją żonę, córkę, moją matkę, moje siostry... Nie mogę tego zrobić.

Labienus westchnął ze smutkiem. Cezar miał rację.

– Ale pętla wokół ciebie coraz mocniej się zaciska – nalegał już w lekkiej desperacji.

– Wiem o tym – zgodził się Cezar. – Postanowiłem pójść na bagna.

Zapadła cisza.

– To bardzo niebezpieczne – rzekł wreszcie Labienus. – Tamtejsze powietrze jest zepsute. Zachorujesz albo umrzesz.

– Tutaj już jestem martwy. Zobacz. – Wskazał w dół, gdzie trzydziestu legionistów wspinało się zboczem, uważnie przyglądając się każdej grudce ziemi,

odwracając kamienie, jakby dosłownie wypełniali rozkazy Sulli.

Labienus i Cezar spojrzeli po sobie. Objęli się.

– Spotkamy się tutaj za piętnaście dni – powiedział Cezar. – Oddalę się od legionistów, pójdę na północ, w stronę bagien. Nie wejdą tam ze strachu przed gorączką. Ale przetrwam. Ty wyjdź im naprzeciw. Nic ci nie zrobią, jeśli tylko nie zobaczą cię ze mną.

– Dbaj o siebie, na Jowisza!

– Przeżyję – powtórzył Cezar z uśmiechem. Potem zabrał żywność, którą przyniósł mu przyjaciel, i bukłak pełen wody i ruszył w stronę wilgotnej okolicy ciągnącej się w kierunku północnym, gdzie nikt o zdrowych zmysłach nie zaglądał, bo czekały go tam tylko choroba i śmierć.

Kryjówka Cezara na bagnach

Dwa tygodnie później

Gdy Labienus po raz pierwszy spotkał się z Cezarem po tym, jak jego przyjaciel przeniósł się na bagna, dostrzegł, że jest nieco niezdrów, słabszy i chudy. Przypisał to wtedy trudom, jakie ten musiał znieść, oraz ograniczonym porcjom jedzenia, ale gdy miał go zostawić, żeby zejść z gór, a Cezar ruszał z powrotem w puste, wilgotne i ciemne okolice, Labienus zdał sobie sprawę, że przecież przyniósł mu odpowiednią ilość żywności, żeby nie cierpiał głodu: *buccellati*, typowe racje legionistów, lekkie kawałki ciasta, które długo zachowywały świeżość nawet na niegościnnych bagnach, poza tym chleb, ser, suszone owoce, suszone mięso i zawsze jeden lub dwa bukłaki świeżej wody.

Piętnaście dni później już nie chodziło o drobną słabość, o worki pod oczami czy smutne spojrzenie spowodowane wieloma dniami spędzonymi na bagnach. Młody *pater familias* rodziny Juliuszów po prostu obficie się pocił i wstrząsały nim dreszcze.

– Jesteś chory – powiedział Labienus. – Musisz iść ze mną do naszej willi.

– Nie! – sprzeciwił się zdecydowanie Cezar. – Na Jowisza! To sprowadziłoby niebezpieczeństwo... na całą twoją rodzinę.

Z trudem wyrzucał z siebie słowa. Wymówienie każdego stanowiło dla niego poważny wysiłek.

Labienus intensywnie się zastanawiał. Musiał myśleć za dwóch, bo jego przyjaciel nie był w stanie dobrze ocenić sytuacji. To pewne, że sprowadzenie go do willi byłoby ryzykowne, ale... czy miał wyjście?

– Nie wracaj na bagna – powiedział Labienus po dłuższym namyśle, praktycznie nakazał to. – Zostań na noc tutaj. Jutro wrócę z medykiem i zobaczymy, co on powie. Zgoda?

Cezar nie odpowiedział. Usiadł na ziemi i kiwał głową w milczeniu, owijając się czystymi kocami, które przyniósł przyjaciel.

Tytus Labienus niepokoił się, zostawiając Cezara w takim stanie, ale tego wieczoru nie mógł zrobić dla niego więcej. Zszedł z gór i w drodze do willi zajrzał do pobliskiej miejscowości, żeby poszukać greckiego medyka, który leczył członków rodziny Labienusa. Gdy opuszczał z nim miasto, minął tawernę pełną legionistów. Wielu z nich wiedziało, kim jest młodzieniec i kim jest jego starszy towarzysz.

Korneliusz Fagita był doświadczonym legionistą i miał zmysł gończy. W końcu wcześniej zajmował się poszukiwaniem zbiegłych niewolników. Odnosił w tym liczne sukcesy. Ale jeśli nie chodziło o kogoś znanego, rekompensata finansowa była niewielka, dlatego wreszcie zdecydował się na wstąpienie do wojska, gdyż dawało mu to pewniejsze źródło zarobku.

Jak reszta żołnierzy, Korneliusz wiedział, że młody Labienus jest dobrym przyjacielem Cezara, najbardziej poszukiwanego człowieka w całej Italii. W momencie wyboru miejsca patrolowania uznał, że najlepiej będzie trzymać się wiejskiej willi rodziny, której najstarszy syn utrzymywał tak bliskie relacje z uciekinierem. Mimo to jego ludzie nie odkryli niczego nietypowego, a przynajmniej tak twierdzili. Korneliusz zestarzał się, był nieco zbyt wiekowy na

tego rodzaju robotę, zmęczony ciągłym ściganiem uciekinierów, więc przyjął ich wyjaśnienia, ale tamtego dnia instynkt zmusił go do działania.

– Idziemy – powiedział.

Jego ludzie poszli za nim, zaciskając zęby. W tawernie było im lepiej, ale rzeczywiście od kilku dni nie wyruszyli na żaden patrol.

– Już parę razy za nim poszliśmy – tłumaczył jeden z legionistów. – Albo wraca do domu, albo wyprawia się w góry na polowanie.

– W góry? – spytał Korneliusz. Szli w pewnej odległości za Labienusem i jego towarzyszem dość uczęszczaną drogą, na której ruch wozów pozwalał im się ukryć.

– Tak, w góry, w stronę bagien.

– I szliście za nim w obie strony? – dopytywał Korneliusz, nie zwalniając kroku.

– Cóż, w stronę jego willi tak – wyjaśnił *optio*, który przeczuwał, że czegoś nie dopilnowali. – Gdy szedł w góry, śledziliśmy go pół dnia. Potem wracaliśmy i czekaliśmy przy jego willi. Zawsze miał przy sobie sztukę upolowanej zwierzyny. Dlatego...

– Dlatego uznaliście, choć przecież nie mogliście tego wiedzieć, że poszedł na polowanie i tylko na polowanie. Miał ze sobą jakieś zaopatrzenie? Wodę, jedzenie? – spytał centurion, coraz bardziej wściekły na podwładnego.

Optio zamrugał kilkakrotnie, zanim odpowiedział.

– Tak, miał tego dużo... Ale myśleliśmy, że to dla niego na czas polowania.

– Kiedy wracał z polowania?

Optio przełknął ślinę.

– Następnego dnia – powiedział cicho.

– I nie pomyśleliście, że to trochę za dużo zaopatrzenia jak na jedną noc? – zakończył Korneliusz Fagites, oburzony głupotą swoich ludzi. A także zły na siebie samego z powodu braku uważnego nadzoru nad zadaniem.

Wtedy właśnie uwagę centuriona przykuli Labienus i medyk, którzy zeszli z drogi w kierunku gór. Korneliusz Fagites, ku uldze podwładnego, zapomniał

o całej rozmowie.

- Teraz się chodzi na polowanie w towarzystwie medyka? – spytał retorycznie.
- Na Jowisza! Co za banda głupców mi się trafiła!

W górach, kryjówka Juliusza Cezara na południe od Rzymu

Labienus i medyk znaleźli Cezara leżącego na ziemi, zwiniętego na boku, otulonego kocami i trzęsącego się od gorączki. Zapadła już noc.

- Od kiedy się tak czujesz? – spytał medyk, kucając przy młodzieńcu.
- Od kilku dni... Dzisiaj rano... gorzej... Pogorszyło się... – wyjaśnił Cezar łamiącym się głosem.

Medyk przyjrzał się jego twarzy, położył mu rękę na czole.

- To pierwsza taka gorączka?

Cezar pokręcił głową.

- Miałeś ją jakieś cztery dni temu? I może kolejne cztery dni wcześniej?

Cezar popatrzył na niego z otwartymi ustami.

- Tak... Kilka razy... Ale potem mija...

– Nie minie, dopóki tu zostaniesz, chłopcze. – Medyk spojrzał na Labienusa. – Na Asklepiosa, to gorączka bagienna *. Powoduje ją to zepsute powietrze, które wisi nad stojącą wodą. Trzeba go stąd zabrać, bo za każdym razem będzie czuł się gorzej. Jest młody i jeśli jutro o świcie przeniesiemy go w suche miejsce, prawdopodobnie dojdzie do siebie, ale jeśli nadal będzie tu siedział, umrze. Woda i jedzenie to nie wszystko. Musi opuścić to miejsce.

- Pomyślę o tym – powiedział Labienus.

– Nie mogę iść do twojej willi... Ani z nikim... – uprzedził myśli przyjaciela Cezar. – Kto mi pomoże, zostanie stracony.

Medyk przyjrzał mu się uważnie. Nagle zrozumiał, że ten trapiiony gorączką młodzieniec jest uciekinierem, którego szukają wszyscy legioniści w Italii.

- Ja nie zamierzam spędzić tu nocy. – Powrót po zmroku bez światła był z całą pewnością niebezpieczny, mógł się zgubić albo spaść w przepaść, ale grecki medyk

nagle poczuł, że bardziej boi się ludzi Sulli. – Zapłać mi, jak się umówiliśmy, i nie szukaj mnie więcej, żeby pomóc temu uciekinierowi.

Labienus spojrział na niego ze złością. Światło księżyca iluminowało poważne oblicze medyka, który wyciągał dłoń po monety.

– Zapłać mu... – powiedział Cezar. – Moimi pieniędzmi. – Wskazał na jeden z worków, w którym trzymał denary i sestercje, jakie matka dała mu przed opuszczeniem Rzymu.

Labienus był wściekły, ale kontrolował się. Wyciągnął kilka monet z worka i włożył je medykowi do ręki.

– To nic osobistego – uściślił tamten, być może nieco zawstydzony, że tej nocy nie spędzi u boku chorego, który go potrzebował. – Ale Sulla chce twojego młodego przyjaciela żywego lub martwego, a ja nie mam ochoty, żeby mnie w jakikolwiek sposób z nim powiązano. To nie moja wojna. Chłódź mu czoło zimnymi chustami przez całą noc. To trochę obniży gorączkę. I zabierz go w inne miejsce, gdy tylko wstanie dzień. O tej porze gorączka ustąpi.

Labienus nic nie powiedział.

Medyk zacisnął dłoń na monetach i odszedł w mrok nocy.

– Oby bogowie go zmylili i skończył w przepaści – rzucił wściekły Labienus.

– Ten człowiek... nie jest winny... że się boi – powiedział Cezar. – To Sulla... Nie złość się na kogoś, kto nam pomógł.

Labienus usiadł u boku przyjaciela i zaczął moczyć chustki wodą z bukłaka.

– Jesteś zbyt wspaniałomyślny dla wszystkich, Cezarze – mówił, kładąc mokry materiał na czole przyjaciela. – Wielkoduszność wobec innych któregoś dnia cię zgubi.

Tej nocy już nie rozmawiali. Cezar nie miał na to sił, a Labienus ochoty.

Labienus zasnął.

Ale Cezar nie.

Być może z powodu gorączki, a może dlatego, że zaczynało mu brakować sił, począł kwestionować wszystko. Czy ten jego bunt, ten upór, żeby nigdy nie

podporządkować się Sulli, miał jakikolwiek sens? Czy nie łatwiej byłoby pójść w ślady Pompejusza i zgodzić się na naciski dyktatora, rozwieść się z Kornelią i ożenić z kobietą, którą wybrałby mu tyran? Co osiągnie tą rebelią, tym uporem, tym nieustannym sprzeciwianiem się Sulli? Czy jego żona Kornelia, matka i cała rodzina nie miałyby się lepiej, gdyby potulnie zgodził się wypełnić rozkazy dyktatora? Kornelia bez wątpienia by cierpiała, on również, ale czy nie lepszy dla niej byłby rozwód niż bycie małżonką buntownika, uciekiniera, którego sam Sulla ogłosił wrogiem państwa rzymskiego?

Pocił się.

I we wszystko wątpił.

Nie wiedział już, co dobre, a co złe.

Niemniej jednak Kornelia nie chciała rozwodu. Zgadzała się jedynie po to, żeby go chronić. Matka popierała bunt przeciwko tyranowi, z kolei Labienus był tutaj, pomagał mu. Skąd tyle wyrazów wsparcia dla młodzieńca, który nie skończył jeszcze nawet dwudziestu lat? Co oni wszyscy w nim widzieli?

Odwrócił się i położył na boku. Zwinął się w kłębek i trwał w pozycji płodowej.

Dobrze wiedział, co wszyscy w nim widzieli, a przede wszystkim, kogo widział w nim Sulla: bratanka Gajusza Mariusza, największego przywódcy stronnictwa popularów, jedyne go, którego obecny dyktator naprawdę bał się przez całe swoje życie. To sprowadziło jeszcze głębsze myśli. Dlaczego wszechpotężny dyktator reagował na niego z taką wściekłością? Widział dzięki temu pytaniu, że być może jego przeznaczenie, tak jak przepowiedziała matka, sięgało dalej, niż on to sobie wyobrażał. Jeśli Sulla tak bardzo się go bał, że postawił na nogi dziesiątki tysięcy legionistów, którzy szukali go po całej Italii, być może on, Juliusz Cezar, rzeczywiście wzbudzał strach.

To go jeszcze bardziej podniosło na duchu.

Jest bratankiem Mariusza i sprostą oczekiwaniom wszystkich: matki, żony, sióstr, całej rodziny i przyjaciół. Nie mógł ich zawieść i zwyczajnie się poddać. Nie

zrobił tego, gdy Sertoriusz zaatakował go pod uważnym spojrzeniem wuja na Polu Marsowym. Cezar zrozumiał, co Mariusz chciał sprawdzić tamtego dnia, gdy pozwolił Sertoriuszowi tak bezlitośnie go pobić. Wuj chciał wiedzieć, czy należy do tych, którzy się poddają, którzy błagają o litość, czy wręcz przeciwnie: do tych, którzy podczas bitwy nigdy się nie uginają, i nigdy się nie poddają, niezależnie od okoliczności.

Pochodził od Eneasza, był potomkiem Marsa i Wenus.

Przypomniawszy sobie wówczas, co Sulla zrobił z prochami wuja, jak sprofanował jego grób. Przypomniawszy sobie, że w tamtej chwili obiecał sobie, że nigdy nie ugnie się przed tym despotą. Jego przeznaczeniem była walka z Sullą i wszystkimi tyranami, którzy mogli go zastąpić. Jego przeznaczeniem było zmienienie Rzymu.

Tak rozmyślając, wpadł w objęcia Morfeusza i wreszcie zasnął.

W górach

O świcie

Labienus obudził się wraz z pierwszymi promieniami słońca i rozejrzał się, prawie intuicyjnie.

– Na Herkulesa! Nadchodzą! – krzyknął, potrząsając śpiącym, wyczerpanym Cezarem, którego wykończyła gorączka.

– Kto?

– Legioniści. – Labienus patrzył w dół. – Albo szli za mną, albo medyk nas zdradził. Nie wiem, ale nadchodzą. – Odwrócił się do Cezara. – Musisz uciekać. Na bagna, właśnie tam.

Cezar pokręcił głową.

– Nie... nie mogę... Jestem bardzo słaby... A ten medyk, zdrajca czy nie, chyba wiedział, o czym mówi... Bagna nie są wyjściem w tej chwili... Nie w moim obecnym stanie...

– Ale zatrzymają cię i oddadzą Sulli, i...

Cezar przerwał mu w pół zdania. Jak przewidział medyk, gorączka ustąpiła o świcie na tyle, że mógł jasno myśleć.

– Weź pieniądze i uciekaj. Zdążysz.

– Nie mam zamiaru cię tu zostawiać. Zwłaszcza teraz, kiedy jesteś słaby. I jak miałbym zabrać twoje pieniądze? Jaki w tym sens? Mówisz bzdury, to pewnie z gorączki.

– Nie, czuję się dobrze i widzę wszystko jasno. – Cezar wstał i spojrzał w stronę zbliżających się legionistów. – Pieniądze na nic mi się tu nie zdadzą. Żołnierze je ukradną. Ale jeśli pozostaną w twoich rękach, będę miał atut w negocjacjach. Większa część środków, które zabrałem z domu matki, już trafiła do twojej willi, ale zabierz też te worki. Idź już, wracaj do siebie, wkrótce będziesz miał wiadomości ode mnie. Nie odstawią mnie Sulli. Przekonasz się. Jeśli czegoś nauczyłem się podczas ostatnich wyborów, to tego, jak bardzo skorumpowany może być człowiek, gdy tylko zaoferuje mu się ładną sumkę. – Uśmiechnął się. – Uczę się od wroga. Sulla to nędznik, ale można przejąć od niego strategię działania.

Labienus zaczął pojmować pomysł przyjaciela. Był ryzykowny, ale miał sens. Wziął pieniądze, przez moment potrzywał rękę na ramieniu Cezara, bez słowa odwrócił się i zniknął między drzewami, zanim wspinający się po zboczu legioniści zdolali go zobaczyć.

Cezar natomiast usiadł i na nich czekał.

Wkrótce otoczyli go uzbrojeni żołnierze.

– Kto jest dowódcą? – spytał tonem nie uciekiniera, lecz osoby przyzwyczajonej wydawać rozkazy.

– Ja. – Korneliusz Fagita dotarł na górę zasapany. Zdecydowanie robił się za stary na takie akcje.

– Chcę z tobą porozmawiać. Na osobności – zaproponował Cezar.

– Nie sędzę, że w twojej sytuacji uda ci się coś ugrać, zbiegu – odparł Korneliusz, w którego głosie wybrzmiało zmęczenie koniecznością wspięcia się tak

wysoko, żeby schwytać uciekiniera.

– Ja uważam, że owszem, nawet bardzo, ale tylko na osobności – nalegał Cezar.

Weteran wciągnął powietrze. Spojrzał na swoich ludzi, którzy po miesiącach służby pod nim wiedzieli, jak zinterpretować wyraz jego twarzy. Odeszli na tyle, żeby dowódca i uciekinier mogli odbyć prywatną rozmowę.

– Zmęczyłeś się wspinaczką na to wzgórze – stwierdził Cezar.

– To jest góra – zaprotestował centurion.

Cezar pozwolił sobie na uśmiech.

– Nie, centurionie, to jest tylko wzgórze, ale twoje lata cię obciążają. Nadeszła pora odpoczynku od wojska, czas zasłużonego odpoczynku... z odpowiednią gratyfikacją.

Korneliusz nie potrzebował więcej wyjaśnień.

– O jakiej sumie mówimy?

Cezarowi spодobało się, że przeszli od razu do rzeczy. Miał do czynienia z żołnierzem. Przypomniały mu się oschłe maniery wuja Mariusza.

– Wystarczającej, żebyś korzystał z niej przez resztę życia i nie musiał na nowo zaciągać się do legionów.

Korneliusz zastanawiał się. Zostało mu ledwie kilka miesięcy służby i nie chciał jej przedłużyć, ale potrzebował pieniędzy. Mimo że w ostatnich latach dostawał ładny żołd, nie był zbyt oszczędnym człowiekiem, a wino i prostytutki okazały się drogą rozrywką dla rzymskiego oficera.

– Muszę też kupić milczenie moich ludzi – podkreślił.

– Ilu ich jest?

– Centuria. Osiemdziesięciu.

Cezar się rozejrzył: na górze było niespełna trzydziestu.

– Tutaj nie ma nawet połowy z nich – stwierdził.

– Ale reszta będzie dopytywać. Trzeba uciszyć ich wszystkich. To zadziała. Kupienie milczenia tylko tych tutaj nie zadziała.

Cezar skinął głową.

– Zgoda. Trzydzieści srebrnych denarów dla każdego z twoich ludzi. Trzy tysiące dla ciebie.

– Z trzema tysiącami srebrnych denarów będę wiódł biedne życie, spokojne, ale bardzo skromne. Chcę pięćdziesiąt srebrnych denarów dla każdego z moich ludzi i piętnaście tysięcy dla siebie.

– Zgoda na to dla twoich ludzi. Dla ciebie sześć tysięcy.

– Dwanaście.

– Poprawmy te rachunki – zaproponował Cezar, nadal spokojny, chłodny, chociaż negocjował cenę za własne życie. – Czterdzieści denarów dla każdego z twoich ludzi i osiem tysięcy dla ciebie.

Korneliuszowi czterdzieści denarów dla żołnierzy wydało się dobrą sumą. Jego ludzie ją zaakceptują. Zostało tylko podniesienie własnego zysku.

– Dziewięć tysięcy dla mnie.

– Osiem i pół tysiąca.

– Osiem osiemset – upierał się Korneliusz.

– Zgoda: czterdzieści srebrnych denarów dla każdego z twoich ludzi i osiem tysięcy osiemset dla ciebie.

– Daj mi pieniądze.

Cezar nie mógł powstrzymać głośnego wybuchu śmiechu.

– Żebyś mi poderznął gardło tu na miejscu? – powiedział. – Zaprowadź mnie w suche miejsce, z dala od tych przeklętych bagien, a powiem ci, gdzie wysłać jednego z twoich ludzi z wiadomością, którą ci napiszę. Po trzech dniach dostaniesz pieniądze dla siebie i dla twoich żołnierzy. – Wiedział, że czwartego dnia wróci gorączka. A wtedy musiał już być wolny.

Korneliusz zacisnął usta i zmarszczył brew.

– Na Jowisza, niech tak będzie, ale jeśli trzeciego dnia nie dostanę pieniędzy, zakuję cię w kajdany i osobiście odprowadzę do Sulli.

– Dostaniesz pieniądze – podsumował kategorycznym tonem Cezar.

Namiot Korneliusza Fagitesa

Trzy dni później

Labienus wszedł do namiotu centuriona z pieniędzmi Cezara w worku, który trzymał w prawej ręce. Wiadomość od przyjaciela zawierała dokładne instrukcje, jak ma postępować. Labienus podszedł kilka kroków i położył worek na stole, na którym centurion postawił puchar z winem.

– Wszystko tu jest? – spytał.

– Tutaj? W tym małym worku dwanaście tysięcy denarów? – odparł Cezar. – Nie, człowieku, nie. – Spojrzał na przyjaciela. – Przyniosłeś wszystko, jak ci powiedziałem?

Labienus skinął głową i odwrócił się w stronę wyjścia.

– Reszta jest na zewnątrz, w rękach moich niewolników, których pilnują legioniści tego oficera.

– Wyjdźmy więc – powiedział centurion i pospiesznie dopił wino.

– Ja bym nie otwierał skrzyń w obecności twoich ludzi – stwierdził Cezar. – Może niektórym taki podział pieniędzy nie będzie w smak.

Korneliusz Fagita spojrzał na Cezara i krótko się zaśmiał.

– Na Herkulesa, masz rację!

Wyszedł z namiotu i nakazał swoim ludziom, żeby pozwolili niewolnikom wnieść skrzynie do środka. Labienus skorzystał z tej chwili i powiedział na osobności do Cezara.

– Skąd wiesz, że pozwoli nam odejść?

– Ma wszystkiego dość, wojska, wojny. Nic nie zyska, jeśli nas wyda. Hojność nie należy do zalet Sulli. Wszyscy to wiedzą. Pozwoli nam odejść, rozda po czterdzieści denarów swoim ludziom, a ja znów będę uciekinierem. Zrujnowanym, ale wolnym. Trzeba to uczcić winem.

Sięgnął po stojący na stole dzban i dwa czyste puchary, nalał obficie wina, jakby już nie był ściگانym przez prawo, lecz wręcz oficerem dowodzącym tą

centurią.

– Centurion zostanie tutaj przez kilka miesięcy, aż nadejdzie pora końca jego służby. Będzie udawał, że mnie szuka i pilnuje okolicy. Kilka tygodni udawania pracy, picia wina z ludźmi szczęśliwymi z powodu pieniędzy, jakie dostali. A potem spokojnie uda się na wypoczynek.

Cezar podał puchar przyjacielowi.

– Wypijesz ze mną? Za moją zrujnowaną wolność?

Tytus Labienus pokręcił głową, ale podszedł, żeby wziąć od uśmiechniętego Cezara puchar.

– Albo to wpływ gorączki, albo oszalałeś z powodu zbyt ciasnych więzów.

Cezar nie zgodził się na żadne z tych wyjaśnień.

– Ani jedno, ani drugie, mój przyjacielu. Po prostu coraz lepiej poznaję ludzką naturę. – Wypił do dna, odstawił puchar na stół i spojrzał na Labienusa. – Znów jestem uciekinierem.

* Malaria, choroba typowa dla wilgotnych i bagiennych okolic w Italii tamtego okresu.

ROZDZIAŁ LX

Pierwsze zwycięstwo

Pierwszą wiktorię Cezar odniósł nie na polu bitwy. Było to zwycięstwo ciche, z towarzyszeniem gorączki, po trudach ciągnących się całymi dniami, tygodniami, miesiącami w najmniej gościnnych zakątkach Italii. Ciągłe uciekał, ciągle był ścigany... Czekał na śmierć albo zgodę na powrót do Rzymu.

Domus Sulli, Rzym

81 r. p.n.e.

Najstarsza westalka, pretor Marek Emiliusz Lepidus, Aureliusz Kotta i sama matka Cezara przedefilowali tego ranka przez rezydencję Lucjusza Korneliusza Sulli, żeby prosić o przebaczenie dla młodego uciekiniera. Nawet Krassus i Metellus oraz inni przywódcy optymatów postulowali zakończenie prześladowań młodzieńca – nie z litości, lecz dlatego, że niezdolność do jego schwytania wzmacniała obraz Cezara jako tego, który rzucił wyzwanie władzom nowego reżimu. Sulla też tak to postrzegał, ale mimo wszystko...

Dyktator westchnął, gdy Aurelia wyszła z atrium. Został z Dolabellą i Pompejuszem, którzy towarzyszyli mu, gdy przyjmował tę serię petycji.

– Co o tym myślisz, Dolabello? – spytał Sulla. Pompejusza chciał mieć u swojego boku ze względu na jego zdolności militarne, ale uważał, że to zbyt młody człowiek, żeby słuchać jego opinii w kwestiach politycznych.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparł Dolabella. – To logiczne, że matka prosi o łaskę dla syna i że robi to także Aureliusz Kotta, bez wątpienia najbardziej umiarkowany z tej rodziny. Umiał nas zapewnić, że przebaczenie Cezarowi złagodzi niepokój wśród popularów, których sobie podporządkowaliśmy i pozbawiliśmy władzy po przejęciu kontroli nad instytucjami. Ale to, że najstarsza

westalka poparła tę prośbę, wskazuje, że sprawa młodego uciekiniera wymknęła nam się spod kontroli. Podobnie uważają Krassus i Metellus. Poparcia Lepidusa nie rozumiem.

– Lepidus lawiruje – powiedział Sulla. – Wie, że go nie cenię i że nie dopuszczę, żeby zajmował wysokie stanowiska polityczne. Jest bardzo ambitny. Woli rządzić niż wykonywać rozkazy. Jestem przekonany, że szykuje się do objęcia przywództwa w stronnictwie popularów, które straciło liderów. Nie ma chyba lepszego sposobu, by to osiągnąć, niż domaganie się przebaczenia dla bratanka największego historycznego przywódcy tej frakcji?

– Bardzo możliwe – zgodził się Dolabella. – Mimo to skończyliśmy ze wszystkimi popularami tutaj, w Rzymie. Zostaje nam jednak bunt Sertoriusza, oficera Mariusza, w Hispanii. Z drugiej strony, jak wskazali inni, rzeczywiście fakt, że młody Cezar unika aresztowania i ciągle rozpływa się w powietrzu, staje się problemem. Tak jakby otwierał nowy front popularów przeciwko nam w Italii. Bez wsparcia wojska, tylko z politycznym i to dość ograniczonym, ale może należałoby rozważyć... – Zastanowił się dobrze, jak ująć w słowa to, co chciał powiedzieć. – Tak, być może byłoby lepiej, gdybyśmy rozważyli akt łaski.

Sulla westchnął. Odwrócił się do Pompejusza. Wreszcie miał się przekonać, co on ma do powiedzenia w kwestii politycznej.

– Zgadzam się z Dolabellą – stwierdził Pompejusz. – Cezar jest nikim. Długim, niekończącym się i nieskutecznym ściganiem tylko przydajemy jego osobie splendoru, jak dziś zauważyli Krassus i Metellus.

Sulla kilkakrotnie pokręcił głową w milczeniu, po czym na jego twarzy zakwitł cyniczny uśmiech.

– Na Jowisza Najwyższego, ależ potraficie być naiwni, wy obaj... i cała reszta. – Dyktator był bliski rozpacz, ponieważ nikt nie ocenił dobrze sytuacji. – Mówimy o bratanku Gajusza Mariusza, najstraszniejszego wroga, jakiego w całej swej historii miała rzymska arystokracja. Gajusz Mariusz prawie nas zniszczył, prawie odebrał władzę senatorom. Zdaje się, że zapomnieliście, że niespełna rok

temu walczyliśmy z jego ludźmi w Italii. I, jak zauważyliście, jego zwolennicy nadal walczą przeciwko nam w Hispanii, pod wodzą Sertoriusza.

Zamilkł na chwilę. Musiał wszystko przemyśleć. Dla niego łaska dla Cezara była błędem, ale nie mógł stanąć w poprzek życzeniom wszystkich, którzy wspierali nowy reżim. Nikt nie rozumiał ukrytego potencjału, jaki czaił się w tym młodzieńcu. Sulla przypomniał sobie jego wyzywające spojrzenie. Gdy ledwie osiemnastoletni młokos śmie sprzeciwić się wszechpotężnemu dyktatorowi Rzymu, to znaczy, że jego ambicja jest nieskończona. Czy tak trudno było to dostrzec?

Westchnął, zanim znów zabrał głos.

– Niech tak będzie. Przebaczę temu przekłętemu Juliuszowi Cezarowi. Niemniej jednak robię to wyłącznie dlatego, że nie możemy pozwolić sobie na robienie z siebie pośmiewiska. Gnejusz Korneliusz Dolabella ma rację, każdego dnia, w którym żaden z naszych stu dwudziestu tysięcy legionistów nie jest w stanie go schwytać, okazujemy nieudolność. Nie chcę przyczynić się do większego splendoru tej postaci ani tworzyć legendy kogoś, kto z całą pewnością, przynajmniej na razie, jest nikim. Nie brał udziału w żadnej ważnej sprawie publicznej ani nie walczył na wojnie – to prawda, choć obaj się mylicie. Wszyscy się mylą, jeśli chodzi o brak znaczenia, jaki przypisujecie Cezarowi. Jeśli nie umrze młodo, nabierze tego znaczenia oraz siły, a wtedy stanie się dla nas zagrożeniem. Ale ja jestem starym psem. To wy, ty, Dolabello, i ty, Pompejuszu, będziecie musieli uporać się z tym, z którego teraz się śmiejecie, którego tak bardzo nie docenicie. To już nie będzie należało do moich obowiązków. Gniew, który mną targa, moje przeczucia każą mi kontynuować pościg, ale rozum podpowiada, że to przebaczenie na krótką i średnią metę da mi spokój w ostatnich latach życia, ponieważ zniszczę w zarodku legendę, jakoby ten Cezar był taki niezłomny. Walka z legendami jest niemożliwa. Trzeba zawsze unikać sytuacji, w której wróg wierzy w jakieś legendy, szuka w nich nadziei. Bez legend nie ma nadziei, a bez nadziei wróg jest ostatecznie pokonany. Dlatego tu i teraz udzielę Cezarowi łaski, ale dobrze zapamiętajcie moje słowa. Dlaczego nie należy nie doceniać tego młodego Juliusza Cezara?

Zamilkł na chwilę i pociągnął porządny łyk wina. Zaraz odstawił puchar na stół przed kline i potem spojrzał głęboko w oczy najpierw Dolabelli, potem Pompejuszowi.

– *Nam Ceasari multos Marios inesse* *.

* „W tym Cezarze drzemie wielu Mariuszów”, Swetoniusz, *Żywoty Cezarów*, przeł. Janina Pliszczyńska, Warszawa 1954, s. 16.

ROZPRAWA SZÓSTA

SECUNDA ACTIO

Drugie posiedzenie sądu

ROZDZIAŁ LXI

Zeznanie Dolabelli

Bazylika Sempronia, Rzym

77 r. p.n.e.

Cezar porządkował papirusy z notatkami leżące na stole oskarżenia. Po jego prawej Labienus uważnie wpatrywał się w zgromadzoną publiczność.

– Przyszło mnóstwo ludzi – zauważył. – I to nie my ich wezwaliśmy.

– Wolałbyś, żeby nie było ich aż tylu? – spytał znad swoich notatek Cezar nieco rozkojarzonym tonem.

Labienus nie odpowiedział.

– Rozumiem, że milczysz, bo odpowiedź brzmi tak: wolałbyś, żeby nie było ich aż tylu – mówił dalej zaskakująco spokojnie Cezar. – Sądysz, że po katastrofie podczas *prima actio*, im mniej świadków mojej kolejnej porażki, tym lepiej, prawda? Czy źle odczytuję twoje myśli, przyjacielu?

Labienus westchnął, nim odpowiedział.

– Nie, odczytujesz je dobrze.

Cezar skinął głową i rozejrzał się: Dolabella siedział już na środku sali, gotowy do złożenia zeznań. Członkowie trybunału z Pompejuszem na czele również umościли się na swoich miejscach. Wśród publiczności Cezar dostrzegł żonę, matkę i siostry, które patrzyły na niego z mieszaniną podziwu i niepokoju na twarzach. Pozdrowił je lekkim skinieniem głowy i z nieco wymuszonym uśmiechem. Pojednanie z matką się dokonało, ale nadal czuł w sercu ból spowodowany zdradą. Rozumiał jej motywy, bała się, że syn mógłby w jakiś sposób wyprowadzić z równowagi straszego Dolabellę, ale i tak było wiadomo, że oskarżony będzie go prześladował po zakończeniu procesu. Ale matka Cezara uznała, że lepiej nie

poniżać przeciwnika na oczach publiczności. To było trudne. Nikt już nie myślał o skazaniu Dolabelli. Mimo to Cezar nadal zachował promyczek nadziei i jak zawsze z całą pasją stawał do walki, w tym przypadku słownej, z Dolabellą.

– Wstaje Hortensjusz – zaanonsował Labienus.

Nadal pogrążony w myślach Cezar obserwował ruchy obrońcy. Pojednanie z Kornelią było za to absolutne. Wybaczyła mu, że w nią zwątpił. Podczas procesu stała się dla niego największą podporą, najlepszym balsamem i źródłem jego siły.

– Masz zamiar go zaatakować, prawda? – spytała tego ranka, gdy pomagała mu założyć togę. – Rzucisz się na Dolabellę podczas procesu.

– Tak, mam taki zamiar – odpowiedział i odwrócił się do niej. – Wiesz co? To ciekawe, ale zdradą przed *prima actio* matka dała mi w tym procesie drugą szansę.

Kornelia spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem.

– Nie rozumiem, w jaki sposób – powiedziała szczerze.

– Dla Dolabelli i dla jego obrońców, dla trybunału i publiczności jest dwóch Juliuszów Cezarów. Zobaczyli dwie różne osoby. Najpierw nieudolnego Cezara z *divinatio*, gdzie pozwoliłem się zmiażdżyć Cynceronowi, żeby to mnie wyznaczili na *accusator*, ale publiczność nie jest tego świadoma. Potem zobaczyli błyskotliwego Cezara podczas *reiectio*, gdy udało mi się odsunąć od trybunału Metellusa. Wszyscy zastanawiali się, który z tych dwóch Cezarów jest prawdziwy, który będzie dominował podczas procesu, a teraz po porażce, jaką poniosłem podczas *prima actio*, kiedy Hortensjusz i Kotta zdyskredytowali wszystkich moich świadków, trybunał, obrońcy, oskarżony i publiczność, wszyscy są przekonani, że jestem po prostu nieudolny jak podczas *divinatio* oraz *prima actio*.

– A dziś wróci prawdziwy Juliusz Cezar, ten z *reiectio*? Odważny i śmiały mężczyzna, którego kocham, który prawie stracił życie z mojego powodu, gdy sprzeciwił się Sulli? – spytała, choć znała już odpowiedź.

– Dziś wróci, jak mówisz, prawdziwy Juliusz Cezar. Ten odważny, ten śmiały, z całą pewnością mężczyzna, którego kochasz. Ten, który z twojego powodu sprzeciwił się Sulli. A dziś stanę naprzeciwko jego gończego psa, Dolabelli.

– Niech bogowie cię chronią.

Objęła go swoimi drobnymi ramionami i przytuliła mocno, szepcząc mu coś do ucha.

To wydarzyło się tego samego poranka.

Cezar mrugał oczami i zastanawiał się.

– Zaczyna – rzucił Labienus.

W czasie wyznaczonym przez całą klepsydre Dolabella odpowiadał na pytania pewnego siebie Hortensjusza.

Cezar wsłuchiwał się w każdą odpowiedź, w każde słowo oskarżonego, skupiając uwagę na jego kategoriycznych twierdzeniach, swobodnym zachowaniu wobec obrońcy oraz wyzywającym spoglądaniu na publiczność.

Dolabella okazywał swobodę i spokój wobec pytań, a także zadowolenie i pewność co do własnego toku myślenia.

Obrona wezwała go do złożenia zeznań jako swojego głównego i jedynego świadka.

– Oskarżenie twierdzi, że Via Egnatia znajduje się w opłakanym stanie na całym macedońskim odcinku. Czy to prawda? – spytał Hortensjusz.

– Prawda – przyznał Dolabella ku zaskoczeniu Cezara i Labienusa, którzy szybko jednak zorientowali się, że była to dobrze przemyślana odpowiedź. – To prawda, że znajduje się w złym stanie, ale nie tak fatalnym, jak tu zasugerowano. Było tak, gdy objąłem prowincję. Dokładnie mówiąc, prace remontowe, które podjąłem, sprawiły, że jej stan się polepszył, choć bez wątplenia zostało mnóstwo do zrobienia.

– Świetnie – zgodził się Hortensjusz. – Zatem wyjaśniliśmy tę kwestię. Rozumie się, że podatki zebrane na naprawę drogi zostały wykorzystane w tym celu.

– Zgadza się – potwierdził Dolabella.

– Tak samo jak podatki nałożone w celu sprowadzenia ziarna z Egiptu wykorzystano do sfinansowania jego transportu, zgadza się?

– Oczywiście.

– Dobrze. Zostają nam do wyjaśnienia dwa punkty, na których opiera się oskarżenie namiestnika Macedonii, dawnego konsula i senatora, który nie tak dawno zasłużył na triumf na ulicach Rzymu. – Hortensjusz nie opuścił nic z bogatego *cursus honorum* swojego klienta. – Te dwa punkty są następujące. Po pierwsze: kwestia grabieży świątyni Afrodyty w Tesalonikach. Po drugie: kłamstwa rzucane tutaj przez młodą Macedonkę, niezamężną i niedziewicę, prawdziwą bezwstydnicę, używając łagodnych słów. Zajmiemy się najpierw sprawą grabieży. Czy to święte dla Macedończyków sanktuarium Afrodyty rzeczywiście zostało złupione?

– Zostało – ponownie zgodził się Dolabella. – Ale to nastąpiło, zanim przybyłem do miasta. Macedończycy nie są zbyt religijni i nie umieją dbać o swoje świątynie. Gdy dotarłem do stolicy prowincji, w sanktuarium nie było już posągów ani niczego wartościowego.

– Zgoda – kontynuował Hortensjusz, ani chwili nie zastanawiając się nad słowami swojego klienta, uznając je po prostu za niekwestionowaną prawdę. – Pozostaje nam zatem odrzucenie lub uwiarygodnienie oskarżenia tej zhańbionej Macedonki, które sama nam tutaj przedstawiła. Czy były namiestnik Macedonii mógłby nam wyjaśnić, co wydarzyło się między tą kobietą a nim samym?

– To bardzo proste: zaprosiła mnie do siebie – odparł Dolabella. – Wydało mi się to niezwykle, nawet u tak młodej kobiety, pochodzącej z arystokratycznej rodziny, że tak swobodnie zaprasza mnie do własnego domu, ale z grzeczności przyjąłem zaproszenie. Gdy tam poszedłem, była sama i w ubraniu odpowiednim na spotkanie intymne, a gdy tylko mnie zobaczyła, zaczęła mi się nieustępliwie narzucać. Jestem wdowcem. Postanowiłem przyjąć te seksualne fawory. Jeśli pragnęła zhańbienia, to jej sprawa. Przypuszczam, że liczyła, że zechcę zabrać ją ze sobą do Rzymu, gdzie zapewnię jej luksusowe życie u mego boku, ale oczywiście wolę każdą Rzymiankę od jakiejś Macedonki. – Roześmiał się. Wtórował mu jego obrońca, a także część obecnych na sali oraz niektórzy sędziowie.

Myrtale, Perdikas, Aeropos, Archelaos i Orestes oraz pozostali Macedończycy przętkali ślinę w dławiącym milczeniu i zaciskali pięści, powstrzymując wybuch gniewu, który wywoływały w nich te kłamstwa i śmiech trybunału. Rósł on w nich, tworząc śmiercionośną urazę.

– Myślę, że wszystko sobie wyjaśniliśmy – powiedział Hortensjusz, gdy śmiechy ucichły. – Obrona nie ma więcej pytań ani nie wzywa innych świadków. Obrona nie chce przedłużać tego absurdalnego teatru ani nudzić sędziów trybunału.

Pompejusz udzielił wówczas głosu oskarżeniu.

Cezar nie wstał. Ze swojego miejsca patrzył na Dolabellę.

Nigdy wcześniej ze sobą nie rozmawiali. Nawet wtedy, przed pięciu laty, gdy Sulla wezwał do siebie Cezara, czego Dolabella był świadkiem. Nawet wtedy. Patrzyli na siebie, obserwowali się nawzajem, ale nie mówili do siebie bezpośrednio. Tylko Sulla rozmawiał z Cezarem.

Accusator podniósł się powoli i zajął miejsce na środku sali.

Spojrzał na publiczność.

Wciągnął powietrze.

– *Testus unus, testus nullus* * – wybrzmiał głos młodego oskarżyciela. – Jeden świadek w procesie to jakby nie mieć żadnego. obrońca chce ukryć swoją niezdolność do znalezienia świadectw, które wesprą wersję oskarżonego, udając, że nie chce przedłużać procesu, który uważa za przedstawienie teatralne. To ciekawe: według obrony znajdujemy się w teatrze, może patrzymy na komedię, na farsę? A kim jego zdaniem są sędziowie, którzy biorą udział w tej rzekomej „farsie”? Nie, nie będę szedł tą drogą, ponieważ widzę, że obrońca chce się podnieść i powiedzieć, żebym nie wkładał w jego usta słów, których nie wypowiedział. Wróćmy więc do świadka obrony, jej jedyne świadka, innymi słowami do samego oskarżonego. – Odwrócił się do Dolabelli. – Ja miałem świadków, licznych, gotowych zeznawać przeciwko oskarżonemu, jak wyjaśniłem jakiś czas temu podczas *divinatio*. Ale moi dwaj główni świadkowie, kapłan świątyni Afrodyty pełniący tę funkcję w czasach, gdy *reus* był namiestnikiem Macedonii,

oraz inżynier, którego *reus* zatrudnił ponoć do naprawy Via Egnatia, moi świadkowie, którzy złożyliby zeznania o tym, jak oskarżony ograbił świątynię, i o tym, że nie zainwestował ani jednej sestercji w naprawę rzymskiej drogi przecinającej Macedonię, ci moi świadkowie nie żyją... Obaj. Zostali zamordowani przez nieznaną sprawców, którzy wbili sztylet... – podszedł do stołu, za którym siedział Labienus, podniósł jeden z nagromadzonych tam papirusów i wyjął spod nich nóż, czysty i błyszczący, który okazał zgromadzonym – sztylet, tak, wbity w plecy obu świadków, który zakończył życie jednego i drugiego. Najemnicy pozostawili na miejscu zbrodni jedynie tyle. Sztylet taki jak ten, który wam pokazuję.

Dolabella milczał. Jak na razie *accusator* jedynie insynuował, że te zabójstwa mogły zostać dokonane na jego rozkaz. Był ciekawy, czy odważy się wypowiedzieć ten zarzut bezpośrednio.

Cezar przełknął ślinę, był gotowy pchnąć oskarżonego do mówienia. Wiedział, że Dolabella już skazał go na śmierć, a zatem... dlaczego nie uderzyć z całą mocą?

– Jestem pewien, że sztylety – nadal pokazywał ten sam *pugio* o cienkim, błyszczącym ostrzu i białej rękojeści z kości słoniowej, chciał, żeby wszyscy dobrze mu się przyjrzeni – wbili w plecy moim świadkom najemnicy Gnejusza Korneliusza Dolabelli, oskarżonego w tej sprawie.

Hortensjusz podniósł się *ipso facto*.

– To bezpodstawne oskarżenie, na które nie ma dowodów – zaproponował. – A może nasz klient jest współnikiem wszystkich zabójstw, jakie codzienne popełnia się w Rzymie i prowincjach?

Cezar odwrócił się w jego stronę.

– Nie, myślę, że nie wszystkich – powiedział, co rozśmieszyło publiczność.

Pompejusz spojrział na *preaones*. Nie chciał stracić kontroli nad salą podczas posiedzenia. Najstarszy z pomocników wstał i poprosił o spokój.

– *Fauete linguis!*

Śmiech ucichł. Cezar wrócił do swojej mowy, zanim przewodniczący trybunału zdążył wezwać go do porządku.

– Nie, nie wszystkich, ale jestem całkowicie przekonany, że najemnicy, którzy zabili moich świadków i pozostawili sztylety w plecach obu niewinnych mężów, zostali opłaceni przez oskarżonego. – Spojrzał na niego badająco. – Czyż tak nie było?

Na twarzy Gnejusza Korneliusza Dolabelli błysnął uśmiech. Prawie nie mógł uwierzyć, że młody *accusator* jest tak nieudolny. Wystarczyło zaprzeczyć. Mocne słowa powszechnie rozpoznawalnego senatora przeciwko słowom nieznanego szerzej, niedoświadczonego, młodego oskarżyciela.

– Nie, te zabójstwa nie zostały popełnione na mój rozkaz. Poza tym wszyscy w Rzymie wiedzą, że towarzyszący mi ludzie nie noszą sztyletów z rękojeścią z kości słoniowej, lecz taką w kolorach czarnym i czerwonym. Zupełnie inne niż te, które pokazuje nam *accusator*, jakby chciał udowodnić, że sztylet znaleziony w plecach któregoś z jego świadków należał do kogoś z moich ludzi.

Cezar zastygł na środku sali. Przez chwilę wydawał się zaskoczony, pokonany po raz kolejny. Ale zanim w pomieszczeniu rozległ się szmer, znów przemówił.

– Sztylet, który trzymam w dłoni, należy do mnie – powiedział. – To prezent od mojej żony. Sztylety pozostawione na obu miejscach zbrodni są inne. Być może wyraziłem się w sposób, który sprawił, że świadek zrozumiał, że trzymana przeze mnie broń należy do zabójców, ale tak nie jest. – Podszedł do stołu, za którym siedział Labienus, powoli, od bocznej strony, żeby publiczność i trybunał mogli dojrzeć dwa sztylety z przyschniętą krwią, które wydobył spod stosu papirusów.

Cezar odłożył sztylet, który mu podarowała Kornelia, złapał za ostrza dwa inne, leżące na stole i podniósł je tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć ich czarno-czerwone rękojeści.

– Tymi sztyletami zamordowano świadków oskarżenia. *Reus* właściwie zidentyfikował je jako te, które zwykle noszą jego najemnicy. Mam świadków,

żywych, którzy mogą zeznać, że to właśnie są sztylety znalezione w plecach macedońskiego kapłana i inżyniera.

Dolabella poruszał ustami, ale nie otwierał ust. Nie odrywał warg od siebie, zarazem szybko oddychając. Spojrzał na Hortensjusza i Kottę. Ten pierwszy wstał.

– To niczego nie dowodzi. Może być zbiegiem okoliczności – stwierdził. – Nie tylko ludzie mojego klienta noszą takie sztylety. Nie możemy też być pewni, czy rzeczywiście tymi sztyletami zadano śmierć tamtym osobom.

Cezar uśmiechnął się. Udało mu się doprowadzić do tego, że Dolabella, prawie nieświadomie, zeznał przeciwko sobie.

– Być może to zbieg okoliczności, ale o tym, czy dowodzi tego, co mówię, nie zdecyduje ani oskarżenie, ani obrona, lecz pięćdziesięciu dwóch sędziów, ponieważ okazuje się, że nie jesteśmy w teatrze, nie oglądamy farsy ani spektaklu w Circus Maximus, lecz stoimy przed trybunałem sprawiedliwości w bazylice Sempronia w Rzymie. – Odwrócił się w stronę sędziów. – Do zeznań świadków oskarżenia złożonych podczas *prima actio* dołączam świadectwa, jakie *reus* złożył... przeciwko samemu sobie. – Zwrócił się ponownie do Hortensjusza. – Czy teraz obrona będzie chciała nas przekonać, że oskarżony jest kłamcą? Albo że oskarżony jest zdemenciałym starcem, który nie pamięta koloru rękojeści sztyletów, jakich używa jego własna eskorta? To byłoby z pewnością ciekawe.

Po raz kolejny wśród publiczności rozległ się śmiech.

Pod czujnym spojrzeniem Pompejusza *preaones* znów wezwali do zachowania spokoju i wreszcie zapanowała cisza.

Wszyscy myśleli, że Cezar zakończył przesłuchanie oskarżonego, właściwie to nawet wrócił do stołu oskarżenia, ale nagle się zatrzymał, odwrócił się w stronę Dolabelli.

– Ostatnie pytanie: czy *reus* uważa, że Macedończycy zasługują na sprawiedliwość, na naszą sprawiedliwość?

Oskarżony odchylił się na krześle do tyłu i odwrócił głowę, ale kątem oka patrzył na tego, który zadał mu pytanie. Było ono nieoczekiwane i z pozoru nie

dotyczyło sprawy. Wedle prawa rzymskiego Macedończycy mogli postawić przed sądem byłego namiestnika swojej prowincji za pośrednictwem innego obywatela rzymskiego, takiego jak Cezar, który stawał się w procesie oskarżycielem. Tak było. Ale nagle młody *accusator* pytał go o ocenę, czy było to słuszne.

Dolabella nie potrafił dostrzec pułapki. Nie widział, że wypowiedzenie opinii na ten temat mogłoby go w taki czy inny sposób poróżnić z trybunałem albo zdjąć z niego winę. Nie wiedział również, jak dokładnie wyrażenie zdania na ten temat mogłoby mu zaszkodzić. Wyprostował się i jasno i wyraźnie odpowiedział:

– Szczerze mówiąc, uważam, że ani Macedończycy, ani żaden inny lud niebędący Rzymianami nie zasługuje na udział w naszym wymiarze sprawiedliwości. Rzym jest dla Rzymian, a rzymskie prawo powinno stosować się jedynie do obywateli rzymskich. Zwłaszcza w przypadku pokonanego i niszczonego ludu, takiego jak Macedończycy, którzy są nikim i nigdy już nie staną się kimś ważnym. Żyją wspomnieniami z przeszłości, która miała być może jakieś znaczenie, ale zapominają, że teraz są tylko naszymi poddanymi i zależą od naszej woli. Aleksander, ich wielki Aleksander, nie żyje już od wieków. Umarł na dobre i został pochowany...

Chciał powiedzieć w „Aleksandrii”, bo tam znajdował się grób wielkiego macedońskiego zdobywcy, ale w tej samej chwili uciszył go potężny grzmot, który odbił się od ścian bazyliki. To dziwne. Poranek był bezchmurny. Może tymczasem się zachmurzyło. Dolabella nie chciał myśleć o innych wyjaśnieniach. Mimo to zamilkł.

Zastygł z otwartymi ustami i wstrzymał oddech. Patrzył na publiczność, ruszając jedynie gałkami ocznymi, kiedy nagle napotkał wbity w siebie lodowaty wzrok Myrtale.

Zobaczył, jak młoda dziewczyna zwraca się do jednego ze swoich macedońskich towarzyszy, ale nie słyszał, co do niego mówi. I tak przeczuwał, co to było.

– Powiedział to – rzuciła Myrtale do Perdikasa i powtórzyła z sercem bijącym gniewem i poczuciem zwycięstwa. – Powiedział to.

Cezara tak jak wszystkich zaskoczył ten grzmot, ale on nie miał sumienia splamionego gwałtem na młodej dziewczynie, która cisnęła za sprawcą klątwę Tesaloniki. Nie żył w cieniu tej groźby, że nigdy nie może powiedzieć, że Aleksander nie żyje. Wrócił do dialogu z oskarżonym, nie zwracając więcej uwagi na grzmot.

– To ciekawe, co *reus* myśli o całym tym procesie: że nie powinien mieć miejsca – powiedział z cynicznym uśmiechem.

Nie było więcej grzmotów.

Dolabella oderwał spojrzenie od Myrtale i odwrócił się do Cezara. Otrząsnął się z najbardziej posępnych i dziwacznych myśli na temat niesłychanego zbiegu okoliczności między wspomnieniem śmierci Aleksandra a niespodziewanym grzmotem, który zapowiadał ulewę.

– Ja stosuję się do praw i w konsekwencji akceptuję ten proces. – Nie chciał, by sędziowie zapamiętali go jako kogoś kwestionującego ich uprawnienia. Oczywiście w tej chwili nie interesowały go ich kryteria ani ostateczny wyrok, nieważne, jaki by był, ale mimo pogardy wynikającej z wiedzy, że ich wszystkich przekupił, rozumiał, że nie należy okazywać prawdziwych przekonań, żeby nikt nie poczuł się ośmieszony. Nie mógł lekceważyć trybunału w bazylice pełnej obywateli. – Mówiłem jedynie o prawie, które wykorzystuje się, żeby obcokrajowcy mogli mnie sądzić, prawie, które bym zmienił, ale które istnieje i dlatego staję tutaj, żeby go przestrzegać. Ja przestrzegam prawa.

– I o tym mówimy – zgodził się Cezar. – Chodzi o to, że chcemy wiedzieć, czy *reus* rzeczywiście przestrzegał prawa, gdy rządził Macedonią. – Nie dopuszczając do repliki oskarżonego, odwrócił się w stronę stołu i wypowiedział swoje ostatnie słowa w tym przesłuchaniu: – Nie mam więcej pytań.

* Jeden świadek, żaden świadek. To zdanie znajduje się w łacińskiej wersji Biblii, w Księdze Powtórnego Prawa, i zostało włączone do Kodeksu Justyniana w okresie późniejszym niż życie Cezara, ale nie oznacza to, że nie było używane wcześniej w nieformalny sposób.

ROZDZIAŁ LXII

Mowa końcowa obrony

Bazylika Sempronia, Rzym

77 r. p.n.e.

Zakończenie przesłuchania Dolabelli przez Cezara było bardzo efektowne. Hortensjusz wiedział, że powinien wymazać obraz, w którym oskarżony przyznaje się do zlecenia zabójstwa pierwotnych świadków. Mimo że trybunał był gotowy uniewinnić Dolabellę, Hortensjusz miał pełną świadomość, że podczas publicznego procesu, w bazylice wypełnionej widzami, w obliczu bardzo napiętej sytuacji politycznej, *reus* musiał wypaść jak najlepiej, a dodatkowo należało poważnie zdyskredytować Cezara.

W obliczu uspiętego, lecz niewygaszonego konfliktu między optymatami a popularami, który był niczym wulkan gotowy w każdej chwili wybuchnąć, Dolabella płacił obrońcom nie tylko za uzyskanie korzystnego wyroku, lecz również za przywrócenie dobrego imienia. Do uniewinnienia były namiestnik nie potrzebował najlepszych adwokatów. Ale musieli oni wykazać, że jego wybryki w Macedonii były właściwymi i dobrymi rządami.

Hortensjusz wstał, by zacząć mowę końcową obrony.

Aureliusz Kotta już po *prima actio* postanowił trzymać się z boku. Ciężko mu, że musi walczyć na sali sądowej z młodym siostrzeńcem i przyczyniać się, tak jak to zrobił, do zniszczenia jego publicznego wizerunku. Nie był z tego zadowolony, ale nie czuł się również za to odpowiedzialny: wielokrotnie ostrzegał go, żeby nie przyjmował zleceń od Macedończyków. Teraz było za późno, żeby zatrzymać miażdżącą machinę rzymskiego wymiaru sprawiedliwości. Hortensjusz ostatecznie zgniecie Cezara. Sztuczka ze sztyletem i wyprowadzenie Dolabelli z równowagi

były błyskotliwym pokazem sztuki oratorskiej i strategii, ale niczym więcej – przelotną iskrą inteligencji wobec burzy pełnej piorunów i grzmotów, które miał teraz cisnąć Hortensjusz na *accusator*. Krótkiej, lecz intensywnej burzy.

– Sędziowie trybunału – zaczął Hortensjusz, krążąc po sali i wymownie machając rękami. – Co my tutaj mamy? Będę dokładny i wypowiem się zwięźle, nie dlatego, że uważam ten proces za farsę, jak chciał was przekonać *accusator*, nie dlatego, że myślę, jakoby *reus*... to znaczy – szybko się poprawił – senator i były namiestnik Dolabella... – Zachowywał się nerwowo, absurdalnie nerwowo po tym incydencie ze sztyletem. – Wypowiem się więc zwięźle – powtórzył, szukając koncentracji we własnych słowach – ponieważ zarówno niewinność mojego klienta, jak i brak dowodów oskarżenia są dla mnie tak oczywiste, że nie widzę potrzeby rozwodzenia się nad skomplikowanymi argumentami, które nas oddalą od tematu. Świadcowie oskarżenia to inżynier, którego zeznanie zostało kupione przez *accusator*, wprawdzie w sposób subtelny, ale kupione sfinansowaniem podróży tegoż inżyniera do Macedonii. Następnie mamy chaotyczną opowieść pomyłonego starca, który stracił pamięć oraz nie słyszy i nie widzi, a na koniec zarzuty ze strony... kobiety.

– Wiemy jednak, że kobieta – kontynuował – zawsze jest skłonna do najbardziej prostackich kłamstw, jeśli nie do ordynarnej przesady. Nie trzeba też podkreślać jej kondycji kobiety niezamężnej i niedziewicy. A więc tyle tylko udało się zebrać oskarżeniu. Czyli właściwie nic. Ani jednego świadectwa godnego wzięcia pod uwagę przez rzymski trybunał. Co mamy natomiast po drugiej stronie? Wielkiego senatora, byłego konsula, triumfatora w walkach z Trakami, namiestnika, który zajął się poprawą warunków życia w swojej prowincji, starając się sprowadzić tam żywność z Egiptu, żeby uniknąć głodu, i naprawić zniszczoną Via Egnatia. To jego chce się obwinić za nieuchronną dekadencję Macedonii, która być może miała chwalebny przeszłość, lecz obecnie zmierza prosto ku katastrofie społecznej i ekonomicznej z powodu hańby, w jaką popadł jej lud łupiący własne świątynie i zajmujący się wyłącznie tworzeniem wymyślonych wrogów, których chce obarczyć odpowiedzialnością za swój brak godności, słabość i zbrodniczą

działalność. Tak więc podsumowując, stwierdzam, że Gnejusz Korneliusz Dolabella jest absolutnie niewinny. Podczas poprzednich rozpraw oskarżono go w sposób niesprawiedliwy. Proces ten mimo wszystko wskazał na pewną kwestię. – Tutaj odwrócił się w stronę Cezara. – Pokazał nam mianowicie, że niechęć bratanka Gajusza Mariusza do senatorów ze stronnictwa optymatów jest dziedziczna i równa się jego nieograniczonej nieudolności i przebiegłości. To nie proces o korupcję, lecz prostackie, grubo ciosane i pełne złościwości prześladowanie polityczne.

Hortensjusz zakończył mowę i usiadł obok kolegi.

Aureliusz Kotta nie pogratulował mu wyraźnie, tylko skinął głową w uznaniu dla tej konkretnej, krótkiej mowy. Nie była ona błyskotliwa, bo przy innych okazjach widział Hortensjusza w lepszej formie, lecz ku zmartwieniu jego siostrzeńca mowa końcowa obrony była realistyczna i niepodważalna. Nawet jeśli Dolabella był winny, Cezar nie zdoła podtrzymać oskarżeń dzięki fachowemu dowodzeniu... Nie było czasu o tym myśleć. Cezar już stał na środku sali. Kotta był autentycznie ciekawy, jak spróbuje on ocalić to, czego nie da się ocalić.

ROZDZIAŁ LXIII

Mowa końcowa Cezara

1 OBYWATEL: *Mym zdaniem wiele sensu w tym, co mówi.*

2 OBYWATEL: *A kto rozważy dobrze sprawę całą*

Przyzna, że Cezar ciężko był skrzywdzony.

W. Szekspir, *Juliusz Cezar*, akt 3, scena II,
przeł. Leon Urlich

Bazylika Sempronia, Rzym

77 r. p.n.e.

Cezar zaczął mowę zwrócony w stronę trybunału, patrząc na Pompejusza.

– Ja nie będę mówił krótko, będę mówił szczerze. Nie będę oszczędny w słowach, będę mówił długo, bo długa jest lista zbrodni popełnionych przez oskarżonego. – Wbił wzrok w *reusa*, wypowiadając po kolei jego *praenomen*, *nomen* i *cognomen*, jakby stanowiły część nieprzyjemnego, obscenicznego przekleństwa. – Gnejusz... Korneliusz... Dolabella. – Znów spojrzał na przewodniczącego trybunału i uprzedził jego ostrzeżenie o ograniczeniach czasowych tego wystąpienia. – Będę mówił długo i szczerze w czasie, jaki wyznaczą mi klepsydry.

Pompejusz wytrzymał to spojrzenie w milczeniu.

Cezar rozpoczął swoją mowę.

Wobec kłamstw, zabójstw i totalnej korupcji miał jedynie słowa.

– Sądzę, że aby dobrze zrozumieć, co wydarzyło się podczas posiedzeń w tym budynku, w bazylice Sempronia, w centrum rzymskiego forum, musimy odpowiedzieć na jedno konkretne pytanie: co albo kogo sądzymy podczas tego

procesu? O czym dokładnie rozstrzyga się w tej sprawie? Jakie werdykty wydajemy? – Trzymał ręce na piersi, patrząc na zmianę na publiczność i na trybunał, na obrońców i na samego oskarżonego, obracając się między nimi powoli, bez pośpiechu przemieszczając się po sali. – Mamy trzy pytania, ale tak naprawdę prowadzą się one do jednego: o co chodzi w tym procesie? Z pozoru możemy powiedzieć, że sądzimy tutaj przypuszczalnie bezprawne działania oskarżonego z okresu jego pobytu w Macedonii w charakterze namiestnika. Na to wygląda i ten temat z całą pewnością znajduje się w centrum debaty, ale proces sięga o wiele dalej, jest znacznie ważniejszy. To orzech zamknięty w grubej, twardej łupinie, która jednocześnie zapewnia mu przestrzeń do rośnięcia. Chroniąca orzech łupina jest tak samo ważna jak orzech: bez niej nie doszłoby do tego procesu ani nie nazwano by zbrodni, licznych zbrodni, uściślijmy, oskarżonego Gnejusza Korneliusza Dolabelli, które dzisiaj sądzimy. Tą łupiną jest Rzym i rzymski wymiar sprawiedliwości. To jest również sąd nad nimi oboma. Nie tylko obecni tu dzisiaj sędziowie tego trybunału, oskarżony i jego obrońcy, a także ja sam jako oskarżyciel i publiczność skupiamy się na słowach i argumentach. Skupiają się na nich również wszyscy mieszkańcy prowincji Macedonia, a także śmiem powiedzieć, że wszyscy mieszkańcy każdej prowincji świata rządzonej obecnie przez Rzym. Patrzą na nas i uważnie obserwują to, co robimy, i to, co mówimy, ponieważ chcą się dowiedzieć, z czego zrobione są nasze prawa i jaki jest zasięg naszej sprawiedliwości.

– Mieszkańcy prowincji hispańskich, Galii Cisalpejskiej, Afryki, całej Italii, Sardynii i Sycylii, wielkiej części Grecji i oczywiście Macedonii znają już, i to dobrze – kontynuował – moc naszej broni, naszych legionów, inteligencję naszych legatów na polu bitwy. Ta broń i te legiony sprawiły, że wszystkie te ludy trafiły pod nasze rządy, ale teraz pragną wiedzieć, czy jesteśmy wyłącznie zdobywcami, czy też ponadto jesteśmy zarządcami, a między wieloma możliwymi rodzajami tych ostatnich: czy jesteśmy zarządcami sprawiedliwymi czy niesprawiedliwymi, godnymi tego, by zaakceptować nasze zasady, a może niegodnymi otrzymać od nich hołd. I to właśnie w głównej mierze się dzisiaj wyjaśnia podczas tego procesu.

A konkretnie: na krótką metę wydaje się, że sędzimy jedynie zbrodnie złego namiestnika, lecz gdy spojrzymy z perspektywy tych, którzy jako Rzymianie są przeznaczeni do rządzenia innymi ludami, musimy być świadomi, że dziś rozstrzygamy kwestię tego, czy na Jowisza, na Marsa, na Wenus i wszystkich bogów, zasługujemy na prawdziwe i skuteczne rządzenie tymi ludami.

Zapadła głęboka cisza.

– Zasłona dymna – szepnął do kolegi Hortensjusz. – Tylko słowa.

– Tylko słowa – zgodził się Kotta – ale dobrze powiedziane. A ludzie ich słuchają. – Subtelnie, choć wyraźnie wskazał oczami na publiczność, na co Hortensjusz odwrócił się w stronę obywateli, którzy wypełniali tego poranka bazylikę.

Rzeczywiście poszerzenie przez Cezara celów procesu przykuło uwagę wszystkich obecnych, a szczególnie sympatyków programu popularów, zawsze gotowych żądać zmian i rozdawnictwa bogactw. To oni stanowili większość zgromadzonych w sali. Cezar zmierzał do samego sedna rzymskiego systemu rządów, a obywatele chcieli się przekonać, jak daleko posunie się w kwestionowaniu reżimu, który stworzył Sulla i utrzymywali optymaci.

Cezar przykuł również bez wątpienia uwagę Macedończyków, ponieważ to ich bezpośrednio dotyczył proces, ale słowa *accusator* zainteresowały także sędziów oraz resztę obywateli ze stronnictwa konserwatywnego, ponieważ oni pragnęli zachować świat taki, jaki był: sztywny i kontrolowany przez niewielką grupę rzymskich optymatów, i teraz zastanawiali się, jak daleko posunie się młody adwokat w krytyce obowiązującego systemu.

Tak więc intensywność pierwszej części mowy Cezara sprawiła, że wszyscy słuchali w skupieniu.

Pompejusz zdawał sobie sprawę z obaw optymatów. Jako przewodniczący trybunału, a jednocześnie po wyjeździe Metellusa do Hispanii najważniejszy przedstawiciel najbardziej konserwatywnego skrzydła Senatu dla zachowania

pozorów pozwolił mówić Cezarowi, pilnując, żeby oskarżyciel nie przekroczył granic tego, co można wypowiedzieć publicznie.

Cezar wiedział, że zwrócone są na niego nie tylko wszystkie oczy, ale również wszystkie myśli. Na dobre i na złe, nadeszła jego pora.

– Adwokat Hortensjusz wygłosił bardzo krótkie podsumowanie argumentów na rzecz uniewinnienia oskarżonego od wszystkich zbrodni, o które się go oskarża. Zwięzłość ma pomóc w przekształceniu długiej listy przestępstw w zaledwie niedopatrzenia bez większej wagi, w dodatku takie, których nie da się przypisać właśnie jemu. Świątynia Afrodyty została wedle obrony ograbiona przed przyjazdem *reusa* do Tesalonik. Sprowadzenie ziarna z Egiptu? Jedyne przyznano, że tak było, ale nie przedstawiono żadnego dowodu poza słowami samego Dolabelli. Zabójstwo moich pierwszych świadków to zbieg okoliczności. Nowi świadkowie? Albo im zapłaciłem, albo są starymi pomyleńcami, a świadectwo kobiety nic nie znaczy. Tak więc *reus* jest niewinny. Tak wygląda linia argumentacji obrony, jakby Macedończycy, którzy przyjechali tutaj z Tesalonik, nie mieli innych potrzeb, na które mogliby wydawać tę resztkę pieniędzy, jaka im została po zachłannym przejściu Dolabelli przez ich prowincję, i koniecznie chcieli nią sfinansować kosztowny proces oparty na wymyślonych zbrodniach, jakby zhańbiona kobieta koniecznie chciała poniżyć się publicznie przed setkami obcych. Kto w ogóle może pomyśleć, że Macedończycy i ta kobieta nie mają innych, ciekawszych rzeczy do roboty, niż tracić pieniądze i poniżyć się za nic i z powodu niczego, jedynie dla własnych konfabulacji?

Zamilkł. Przejechał po ustach lewą dłonią. Potrzebował wody, ale nie chciał po nią iść. Jeszcze nie teraz. Dał się ponieść własnemu gniewowi, ale dobrze kontrolował słowa. Udało mu się rozpaść serca wielu obecnych, skłonnych uwierzyć mu bardziej niż obrońcom Dolabelli. Czytał to w spojrzeniach obywateli, którzy intensywnie się w niego wpatrywali. Musiał kontynuować.

I tak zrobił.

Czuł, że jego serce również płonie.

– Dlatego więc nie będę mówił krótko. – Zerknął na ustawiaczy klepsydr i szybko popatrzył w oczy Pompejusza. – Proszę przewodniczącego trybunału o nakazanie ustawiaczowi klepsydr, żeby odsunął się od tych narzędzi, które mierzą przeznaczony mi czas. To, że obrońca nie wykorzystał całego swojego czasu, nie oznacza, że ja zrobię to samo. Wszystkie klepsydry w liczbie sześciu są pełne. Zadbam o to, żeby wyrobić się w czasie, w którym po kolei się opróżnią, jak być powinno. Ale nie widzę konieczności, żeby ustawiacz przebywał cały czas obok nich.

Pompejusz spojrział na *accusatora* z miną równie poważną, co niewzruszoną.

Rzeczywiście, jak przeczuwał Cezar, przewodniczący trybunału poinstruował ustawiacza, żeby w razie potrzeby skrócenia mowy końcowej oskarżyciela odpowiednio manipulował klepsydrami. Nawet nie przyszło mu na myśl, że młody *accusator* zwróci na ten szczegół uwagę. Wobec rzuconego mu publicznie wyzwania, czując na sobie spojrzenia wszystkich obecnych, Pompejusz nie miał innego wyjścia. Skinął więc lekko ustawiaczowi, nakazując mu odejść na kilka kroków od klepsydr. Zachował jednak głęboko w sercu tę impertynencję młodego Cezara. A był osobą, która nie zapomina ani nie wybacza czegoś takiego.

Cezar kiwnął głową ze środka sali. Prawą ręką pogładził się po głowie. Miał długie włosy. Lubił je czuć pod dłonią, chociaż zauważył, że bardzo szybko mu wypadają. To go martwiło. Niedawno odkryta skłonność do wczesnego łysienia denerwowała go, ale teraz musiał zająć się innymi sprawami, innymi kwestiami. Przestał przygładzać włosy i wrócił do mowy.

– Nie, nie będę mówił krótko, ale również niespecjalnie długo. Zastosuję złoty środek, ale i tak raz jeszcze wrócę do tego, co miało miejsce w tej sali. Według obrony i oskarżonego nieprawdą jest, że pieniądze z podatków nałożonych w celu naprawy Via Egnatia nie zostały na ten cel wydane, ale sam *reus* przyznaje, że stan drogi pozostawia wiele do życzenia. Tłumaczy to tym, że kiedy przybył do Tesalonik, była w stanie znacznie gorszym. Na wszystkich bogów! Podczas dwóch lat zarządzania prowincją można nie tylko naprawić jedną drogę, ale nawet zbudować drugą! Gdyby wszyscy namiestnicy, pretorzy, konsulowie

i prokonsulowie z takim samym znanstwem podchodzili do zarządzania jak Dolabella, Rzym nie miałby połączeń drogowych z resztą świata, nawet kiepskiej ścieżki, którą i tak nigdzie nie da się dotrzeć. Mandat namiestnika wystarcza, żeby zbudować dwie drogi z Dyrrachium do Bizancjum – po jednej w każdą stronę.

W bazylice Sempronia znów rozległ się śmiech.

I trwał długo.

Preacones musieli zainterweniować, żeby zapadła cisza.

Cezar wykorzystał to i podszedł do stołu oskarżenia, żeby napić się wody. Zrobił to powoli. Gardło wyschło mu nie tylko z powodu ciągłego mówienia. Pragnienie wynikało również z napięcia.

Wrócił na środek sali.

Wszystkie spojrzenia zwrócone były na niego.

– Oprócz zanegowania faktu, że *reus* przywłaszczył sobie fundusze publiczne, obrona również mocno wyśmiewała zarówno moich świadków, jak i moje argumenty. „Więcej się po mnie spodziewali”. Tak powiedzieli. Pogardliwie potraktowali nawet opowieść kobiety, której honor doznał uszczerbku. Wyśmiali ją i oskarżyli o kłamstwa, ale jedynym argumentem obrony było... że to tylko kobieta. Dla podtrzymania tego argumentu adwokat Hortensjusz wymienił przykłady z mitologii, w których podkreśla się negatywny wpływ kobiet na losy świata. Jest to zestawienie, jeśli mogę tak powiedzieć, wyraźnie stronnicze. A to dlatego, że równie dobrze moglibyśmy stworzyć inne, w którym kobiety okazałyby się jeśli nie dobrymi istotami, to przynajmniej nieobarczonymi winą za całe zło, od którego cierpimy w naszych czasach. To jeszcze nie wszystko: jeśli przywołujemy bogów i wydarzenia z przeszłości, moglibyśmy dojść do wniosku, że kobiety są tak samo godne zaufania jak mężczyźni, a w niektórych przypadkach nawet bardziej.

– To się jeszcze okaże – przerwał mu Hortensjusz. Wstał i rozłożył ręce, udając atak śmiechu, którym zaraził jedynie kilku sympatyków optymatów i ich sposobu widzenia świata.

Cezar stanął naprzeciwko niego i przyjmując wyzwanie, zaczął przedstawiać swoje argumenty.

– Przypominam obronie, że to pora moich klepsydr, ale niech będzie, przyjrzyjmy się temu wyzwaniu rzuconemu honorowości kobiet. Moglibyśmy przypomnieć, że bóg oszustwa nie jest kobietą. Jest nim Dolos, bóstwo rodzaju męskiego. Często nazywa się kobietę niestałą, zmienną, ale w samej *Odysei* czytamy, że Penelopa dochowała na Itace wierności Ulissesowi podczas jego nieobecności, mimo ciężkiej próby. Wcale nie jestem taki pewien, czy wielu mężów poddałoby się jej z możliwością odniesienia sukcesu. – Cezar zamilkł i uważnie spojrzął w oczy Pompejuszowi.

Wszyscy w Rzymie wiedzieli, że przewodniczący trybunału ożenił się z Antistią, swoją pierwszą małżonką, żeby wpłynąć na trybunał, w którym jej ojciec był sędzią, i że potem porzucił ją na rozkaz Sulli. Pompejusz nie był żadnym wzorem wierności. Pozostawał wierny jedynie swojej ambicji.

Przewodniczący trybunału się nie odezwał. Jedynie zapisał w pamięci ten nowy atak na swoją osobę. Cezar robił wszystko, żeby postawić oskarżonego w złym świetle, i najwyraźniej to samo chciał uczynić z nim. Wydawało się, że to nie wyrok interesuje go najbardziej.

Po rzuceniu aluzji do niestałości Pompejusza Cezar mówił dalej:

– Penelopa była lojalna. Do końca. Ale to nie wszystko: pamiętamy, że Rzym zbudowali potomkowie Eneasza, a sam Eneasza pochodzi nie od boga, lecz od bogini, od Wenus. Dzięki boskiemu pochodzeniu Rzym nosi w sobie krew bogini. Naszym najbardziej wyjątkowym bóstwem, dla którego postawiliśmy okrągłą siedzibę tuż obok, kilka kroków od bazyliki, gdzie się znajdujemy, jest inna bogini: Westa. W sanktuarium tejże bogini trzymamy to, co najświętsze w naszej historii – święty ogień, który chroni Rzym, zachowuje miasto, dopóki płonie. Moglibyśmy zadać pytanie: komu oddaliśmy pod opiekę święty płomień, od którego tyle zależy? Mogliby go strzec wprawieni w boju legionieści albo weterani naszych potężnych armii. Moglibyśmy otoczyć świątynię gladiatorami albo innymi zabójczymi wojownikami, żeby to oni pilnowali świętego ognia Rzymu. Ale tego nie

zrobiliśmy. W dawnych czasach postanowiono, że święty płomień Westy będzie zawsze pod ochroną i opieką sześciu dziewiczych kapłanek. To im oddaliśmy to najświętsze zadanie. Sześciu kobietom – westalkom.

Cezar zatrzymał się na chwilę. To była zwykła retoryka. Chciał się przekonać, czy Hortensjusz będzie miał teraz coś do dodania, ale tak nie było. Udało mu się uciszyć obronę. Zdawało się, że proces przybiera inny kierunek.

Pierwsza klepsydra została opróżniona. Kropla za kroplą zaczęła przelewać się druga.

Gajusz Juliusz Cezar wrócił do swojej mowy, był pewien siebie i przekonany, że przemawia dobrze.

– Twierdzono również, że to pewna kobieta, Helena, i jej niewierność były powodem wybuchu okrutnej wojny trojańskiej. Tak rzeczywiście było, jeśli zawierzmy słowom Homera z *Iliady*, ale jeśli na te same czyny spojrzemy oczami Eurypidesa, który powtarza wersję Stezychora – pozwalam sobie polecić lekturę tych autorów obrońcy *reusa* – Helena nie miała nic wspólnego z wojenną pożogą, w której w absurdalny sposób zginęło tylu ludzi. Mógłbym teraz godzinami przywoływać przykłady autorów greckich i rzymskich, dawnych i współczesnych, w których kobiety nie plamią się niewiernością, niestałością czy kłamstwem. – Spojrzał na klepsydry: cztery z sześciu były jeszcze pełne, ale czy druga nie opróżniła się zbyt szybko, jakby w jednym momencie? – Nie chcę jednak ani nudzić trybunału, ani odchodzić od głównego tematu procesu. Pragnę jedynie podkreślić, że Myrtale, młodej Macedonce zhańbionej przez oskarżonego – za pomocą siły i brutalności – możemy wierzyć albo nie, lecz w żadnym razie na podstawie wyłącznie tego, że jest ona kobietą, nie możemy nie dawać wiary jej słowom. – Podszedł do Hortensjusza, nie przestając mówić. – Ja również więcej spodziewałem się po obronie. Jeśli chodzi o moje błędy i nieudolność podczas tego procesu, mogę przynajmniej zrzucić je na fakt, że to moja pierwsza sprawa, ale obrońcy oskarżonego nie mogą użyć tej wymówki, ponieważ są wyrobieni w procesach. Ich problem nie polega na braku doświadczenia, w żadnym razie, lecz na tym, że ich klient ma trudności z wybroniem się, a poza tym brakuje mu

żywych – podkreślił to słowo – świadków gotowych zeznawać na jego korzyść, nawet za całe złoto, jakie *reus* zgromadził w bezprawny sposób, łupiąc i grabiąc. Tak jest, taką osobę mamy bowiem przed sobą: złodzieja, gwałciciela, mordercę. Zbrodniarza.

Oklaski na całej sali.

I okrzyki. Po raz pierwszy pojawiło się w nich słowo „zbrodniarz”.

Było oczywiste, że lud nie żywi do Dolabelli sympatii. Wystarczyło, żeby ktoś rzucił w jego stronę obelgą, by rozpałcić w ludziach chęć lżenia go, ich gniew, ich zemstę. Dolabella symbolizował tyranię Sulli, zwycięstwo optymatów, porażkę popularów, Grakchów, Druzusa, Saturninusa i wielu innych, którzy walczyli za lud. Dolabella symbolizował porażkę Mariusza. A teraz przemawiał do nich bratanek tego samego Mariusza. I mówił słusznie.

Pompejusz spojrział w stronę drzwi, w których stał doświadczony żołnierz dawnych legionów Sulli. Emerytowany oficer skinął głową i powiedział coś do kogoś stojącego na zewnątrz. Pompejusz spodziewał się, że oskarżyciel będzie próbował rozpałcić nastroje plebsu, i przygotował na tę okoliczność wojsko, które miało w razie potrzeby przejąć kontrolę nad sytuacją.

Cezar zobaczył, że po całym pomieszczeniu rozchodzi się kilka dziesiątków ubranych niczym zwykli obywatele, lecz z pewnością uzbrojonych w coś poza sztyletami mężczyzn. Musiał dobrze ważyć każde wypowiedziane słowo. Nadeszła pora okazać powagę, ale zarazem uderzyć w ton podniosły, uroczysty.

Wzniósł ramiona.

Okrzyki przeciwko Dolabelli ucichły.

Hortensjusz wstał i po raz kolejny wtrącił się w wypowiedź Cezara. Uważał, że ten jest za bardzo skupiony, zbyt pewnie kontrolując sytuację. Należało podważyć jego argumenty, przerwać tok myśli, rozbroić retorykę.

– Nie należy ufać kobietom – upierał się adwokat Dolabelli. – Wszystkie noszą w sobie Klitajmestrę, która, przypomnijmy, zamordowała swojego małżonka Agamemnona po jego powrocie z wojny trojańskiej.

Cezar powoli opuścił ręce.

Nie okazał zniecierpliwienia ani zaskoczenia z powodu kolejnej wypowiedzi Hortensjusza. Wiedział, że obrońca robi to z desperacji. Teraz inicjatywa należała do niego. Klitajmestra stanowiła symbol niewiernej zbrodniarki. Tak opowiadano jej historię, prawie zawsze zresztą nie do końca.

Cezar miał właśnie dotrzeć do sedna swojej mowy, bardziej politycznej niż prawnej, ale nie zamierzał pozostawić bez odpowiedzi tego przykładu niewiernej kobiety, której nie można ufać, jakim miała być dla wszystkich obecnych Klitajmestra.

– Klitajmestra, żona Agamemnona – powiedział, powoli zmierzając ze swojego miejsca w stronę Hortensjusza – bez wątpienia zabiła małżonka. Ale niekoniecznie było to morderstwo. Pozostaje do wyjaśnienia, czy było to zabójstwo, czy... egzekucja. Ponieważ historia Klitajmestry, którą stawia się jako przeciwieństwo wiernej Penelopy, zawsze jest przedstawiana w sposób niekompletny. Klitajmestra zabiła Agamemnona, ale ten wrócił spod Troi z nową kochanką, Kasandrą, a w dodatku wszyscy zdają się zapominać, że Agamemnon zabił własną córkę Ifigenię, złożyłwszy ją w ofierze bogom w zamian za wsparcie podczas wojny trojańskiej. Zamordował własną córkę, swoją i Klitajmestry. Moglibyśmy godzinami zastanawiać się, czy Klitajmestra miała rację, mszcząc się za śmierć Ifigenii, ale nigdy nie możemy wątpić, że przynajmniej nie brakowało jej powodów do zabicia Agamemnona. Tak samo Myrtale, młoda Macedonka, miała swoje powody, żeby oskarżyć o gwałt Gnejusza... Korneliusza... Dolabellę.

Cisza.

Milczenie Hortensjusza.

Milczenie publiczności.

Cezar bez pośpiechu wrócił ku środkowi sali.

Podniósł jeszcze raz ramiona i teraz nikt mu już nie przeszkodził.

– Jednakże na początku mojej mowy – mówił dalej *accusator* – powiedziałem, że w tym procesie chodzi o coś więcej niż tylko o zbrodnie popełnione przez

Gnejsza Korneliusza Dolabellę. Zapowiedziałem, że w tym procesie chodzi o nas samych, o to, czym jest Rzym i jakiego rodzaju sprawiedliwość jesteśmy gotowi mieć dla nas samych i dla tych wszystkich, którymi rządzymy. I to jest niezwykle ważne, ponieważ możemy siłą naszej broni narzucić się podczas aktu zdobywania, ale zachować tę zdobycz na dłużej możemy tylko, jeśli będziemy umieli zrobić to siłą naszej sprawiedliwości dla wszystkich, nie sprawiedliwości, która obejmuje jedynie nielicznych. Na myśl przychodzą mi teraz, adekwatne do tej sprawy, słowa, które Tukidydes kładzie w usta Peryklesa, gdy ten godny władca wypowiada swoją słynną mowę wspominającą jego rodaków poległych w długiej wojnie peloponeskiej. Perykles mówi wówczas, i słusznie, następująco:

Χρώμεθα γὰρ πολιτείαι οὐ ζηλούσῃ τοὺς τῶν πέλας νόμους, παράδειγμα δὲ μᾶλλον αὐτοὶ ὄντες τισὶν ἢ μιμούμενοι ἑτέρους. καὶ ὄνομα μὲν διὰ τὸ μὴ ἐς ὀλίγους ἀλλ' ἐς πλείονας οἰκεῖν δημοκρατία κέκληται· μέτεστι δὲ κατὰ μὲν τοὺς νόμους πρὸς τὰ ἴδια διάφορα πᾶσι τὸ ἴσον (...) Ἄνεπαχθῶς δὲ τὰ ἴδια προσομιλοῦντες τὰ δημόσια διὰ δέος μάλιστα οὐ παρανομοῦμεν, τῶν τε αἰεὶ ἐν ἀρχῇ ὄντων ἀκροάσει καὶ τῶν νόμων, καὶ μάλιστα αὐτῶν ὅσοι τε ἐπ' ὠφελίᾳ τῶν ἀδικουμένων κεῖνται.

Cezar nie chciał przemawiać jedynie do sędziów, którzy mogli zrozumieć grekę, lecz pragnął przede wszystkim dotrzeć ze swoim przekazem do Rzymu, którego przedstawicielami obecnymi na tej sali byli liczni obywatele, tak więc po deklamacji tekstu Tukidydesa, przetłumaczył go, aby obecni mogli wszystko dobrze zrozumieć:

– „Nasz ustrój polityczny nie jest naśladownictwem obcych praw, a my sami raczej jesteśmy wzorem dla innych niż inni dla nas. Nazywa się ten ustrój demokracją, ponieważ opiera się na większości obywateli, a nie na mniejszości. W sporach prywatnych każdy obywatel jest równy w obliczu praw (...). Kierując się wyrozumiałością w życiu prywatnym, szanujemy prawa w życiu publicznym; jesteśmy posłuszni każdoczesnej władzy i prawom, zwłaszcza tym niepisany, które bronią pokrzywdzonych i których przekroczenie przynosi powszechną hańbę”

*.

Cezar ponownie zamilkł, żeby ludzie spokojnie przetrawili sens tych słów, wiedział jednak, że musi ich poprowadzić. Powoli, dobitnie mówił dalej, nie spiesząc się, chociaż woda w klepsydrze nieubłaganie znikła.

– Zastanówmy się, przyjrzyjmy się dobrze znaczeniu tych słów. Być może nie nazywamy „demokracją” naszych form rządzenia nami samymi i innymi, ale na pewno nasze prawa mają te same cele, o których mówi Perykles: chronić interesy nie garstki, lecz większości. A przynajmniej ja to tak rozumiem. Równie ważne jest to, co do czego jestem pewien, że wszyscy tu dzisiaj obecni się ze mną zgodzą: chcemy być wzorem dla innych, a nie czerpać wzory od innych. To kluczowa kwestia.

– Przekonaliśmy się na własnej skórze – kontynuował – w bólu i przy wielkim cierpieniu wszystkich w Rzymie, jak poważnym błędem okazało się niebranie pod uwagę faktu, że nie rządzą jedynie samymi sobą, lecz również wieloma z tych, którzy nas otaczają. Nie tak dawno zbuntowali się przeciwko Rzymowi Marsowie i przyłączyli się do nich liczni nasi sprzymierzeńcy, nasi italscy *socii*, ponieważ uznali, że nie rządzą nimi dobrze. Po ogromnej ilości przelanej krwi zawarliśmy z nimi traktaty, ponieważ nasze prawa dotyczą ich w taki sam sposób, w jaki – co musimy zrozumieć – dotyczą już nie tylko Italików, lecz również mieszkańców każdej prowincji rządzonej przez Rzym, gdzie wysyłamy namiestnika jako naszego przedstawiciela i przedstawiciela naszej formy rządów. Ten przedstawiciel, ten namiestnik, zarządzając prowincją, powinien być absolutnym wzorem zachowania, jako że nie jest tam sam i dla samego siebie, jak wydaje się sądził *reus*, lecz jest tam, w tym przypadku w Macedonii, jako przedstawiciel nas wszystkich, każdego rzymskiego obywatela. Macedończycy są dziś wśród nas, gdyż akceptują nasze prawa, które sami im daliśmy i którymi objęliśmy także inne ludy przyjmujące je teraz za własne. Postanowili nie stosować siły i przemocy przeciwko oskarżonemu, przeciwko Dolabelli, przeciwko wyraźnie skorumpowanemu przedstawicielowi, którego na nasze i ich nieszczęście wysłaliśmy do Tesalonik. Dlatego tak ważne jest, abyśmy oddali sprawiedliwość pokrzywdzonym, jak sam Perykles określa tych, którzy cierpią z powodu niesprawiedliwości. Ale to nie wszystko...

Podszedł do stołu, za którym siedział Labienus. Przyjaciel nalał mu wody. Cezar wypił kilka łyków i odstawił naczynie. „Woda” – pomyślał. Spojrzał w stronę klepsydr: zostały trzy pełne. Ustawiacz siedział w pewnej odległości od nich, ale Cezar widział wyraźnie, że mimo jego uwag w pewnym momencie je przestawił. Woda przepływała zbyt szybko. Zwłaszcza w drugiej klepsydrze: zdawało mu się, że spłynęła w kilka chwil. Odwrócił się wówczas w stronę oskarżonego. Dolabella wiercił się na swoim miejscu, jakby nie mógł znaleźć wygodnej pozycji. To spodobało się Cezarowi.

Z kolei Pompejusz rozglądał się na boki: na mężczyzn, których wezwał, żeby opanowali publiczność, w razie gdyby od okrzyków przeszła do rękoczynów, na obrońców, na ustawiacza klepsydr, na publiczność, na samego Dolabellę... a potem wreszcie i na niego. Na Cezara.

Spojrzenia przewodniczącego trybunału i oskarżyciela się przecięły.

Młody Cezar wrócił na środek sali.

– To jednak nie wszystko, powiedziałem – kontynuował. – Perykles mówił również o strachu. O jaki strach mu chodzi? O bardzo konkretny: strach przed prawem. Strach przed jego nieprzestrzeganiem. Jest to bardzo ważna obawa, gdy trzeba rządzić wolą innych. Ten strach wzbudzają na polu bitwy nasze legiony, ten strach sprawia, że wrogowie cofają się lub poddają, ale to strach przed karą za nieprzestrzeganie prawa powstrzymuje nas przed *corruptio*, w której osoby niegodziwe, takie jak Gnejusz Korneliusz Dolabella, nurzają się z radością niczym wieprze w błocie.

– Zbrodniarz! Dolabella to zbrodniarz!

– Wieprz!

Publiczność ponownie przerwała mowę Cezara obelgami ciskanymi w stronę *reusa*. Nigdy dotąd nie widziała tak kąśliwego i tak bezpośredniego w swoich atakach oskarżyciela i to jeszcze bardziej podżegało ją do złożeczenia Dolabelli.

Pompejusz spojrział w stronę drzwi. Do pomieszczenia weszło więcej ludzi, z pewnością byli tak samo dobrze uzbrojeni jak poprzedni, chociaż nadal nie było

widać żadnego miecza ani sztyletu. Cezar jednak prawie wyczuwał ciężar wojennego metalu gromadzącego się w bazylice Sempronia. Nie wiedział dlaczego, ale był też przekonany, że Perdikas, Archelaos, Aeropos i reszta Macedończyków nie chadzała po mieście ani nie przyszła na rozprawę tego ranka bez ukrytej broni, równie licznej jak ta, jaką dysponowali ludzie Pompejusza.

W intensywnym oceanie krzyżujących się spojrzeń Cezar nie dostrzegł, że Dolabella przywołał jednego ze swoich niewolników, który czekał w cieniu rogów budynku. Ten szybko podniósł się i zbliżył do jednego z *preacones*, podczas gdy pozostali pomocnicy sądowi nawoływali do zachowania spokoju, żeby w sali znów zapanowała cisza.

Pomocnik wziął mały złożony papirus, który wręczył mu niewolnik Dolabelli, i niezauważony przez nikogo zaniósł go do przewodniczącego trybunału. Cała sala, rozpalona słowami Juliusza Cezara, na różne sposoby ubliżała i złorzeczyła *reusowi*.

Pompejusz wziął złożony skrawek papirusu. Rozwinął go i przeczytał w ciszy:

*Habeo ingrattissimum sensum tenendi Caii Marii nouam incarnationem ante me in medio basilicae. Iam scis quod cum iuueni Caesare faciendum erit. Sulla recte dicebat **.*

Chociaż przewodniczący trybunału nie widział, skąd przybył do niego ten niepodpisany papirus, gdy tylko go przeczytał, od razu popatrzył w stronę Dolabelli.

Z kolei *reus*, jakby sprawa go nie dotyczyła, jakby nie działo się nic, co miało na niego najmniejszy nawet wpływ, przyglądał się własnym paznokciom. Postanowił, że jak najszybciej zada Cezarowi śmierć, gdy tylko ta farsa się skończy, ponieważ dla niego ten proces był właśnie farsą. Podjęcie decyzji go uspokoiło. Wreszcie mógł się rozluźnić na swoim miejscu przed trybunałem złożonym z pięćdziesięciu dwóch sędziów, którzy mieli go skazać lub uniewinnić. Nic nie przynosi większego spokoju niż zdecydowane postanowienie. A jemu spokój przyniosła myśl o zadaniu śmierci osobie, która odważyła się stawić mu

czoło. Notatka, którą wysłał Pompejuszowi, nie była prośbą o zgodę na zabicie Cezara, gdy tylko proces się zakończy. To wyłącznie wyraz uprzejmości wobec Pompejusza, wyrastającego na młodego przywódcę optymatów, ze strony jednego z najstarszych konserwatystów. Od czasu śmierci Sulli, od dawna, Dolabella nie prosił nikogo o zgodę na nic.

Cezar znów podszedł do stołu, za którym siedział Labienus, żeby napić się wody.

– Ustawiacz – szepnął mu przyjaciel.

Cezar odwrócił się w stronę klepsydr: ustawiacz właśnie się od nich odsuwał, ale było oczywiste, że chwilę wcześniej znajdował się bliżej nich. Cezar nie miał wątpliwości, że nimi manipulował, wykorzystując tumult na sali. Od tej pory czas będzie dla niego płynął szybciej, o ile to możliwe. Właściwie to miał wrażenie, że w tej samej chwili jego życie zaczynało odliczanie do wyznaczonego mu wcześniej końca. Brutalnego końca. Ile właściwie miał czasu na mowę, zanim pozostałe klepsydry się wyczerpią? Ile uda mu się zrobić, zanim wypełni się czas jego życia?

Wrócił na środek sali.

Stanął twarzą do trybunału.

Po licznych wysiłkach pomocników sądowych znów zapanowała cisza.

– Tak jest, sędziowie, ten proces nie dotyczy jedynie Dolabelli, lecz również samej esencji tego, kim jesteśmy. A nawet tego, kim powinniśmy być: zdobywcami czy wyzwoliciełami? Chcemy być tyranami czy legendami jak Dariusz I i Aleksander, którzy nie tylko podbijali terytoria, lecz również hojnie nimi zarządzili, tak że kochano ich i doceniano we wszystkich prowincjach ich imperiów. O tym decydujemy podczas tego procesu. Dla Arystotelesa politykiem, a więc prawdziwym władcą, jest tylko ten, kto szuka cnoty, kto jest gotowy kierować się kwestiami uniwersalnymi. Nie możemy z powodów osobistych podejmować decyzji ani wydawać wyroków o winie bądź niewinności w tym procesie, lecz zwróćmy uwagę na wszystkich, których dotyka to, co tu osądzamy: na oskarżonego z jednej strony, ale z drugiej na pokrzywdzone przez niego osoby. Nie możemy

rozdzielić między obywatelami Rzymu a tymi, którzy nimi nie są, a już na pewno nie wtedy, kiedy ci ostatni stawili się przed nami na mocy naszych praw, przyjmując je za własne.

– Na forum nieraz słyszałem, że należy stworzyć więcej praw, żeby odpowiadały na potrzeby sytuacji takich jak ta, którą się teraz zajmujemy – mówił dalej – ale uważam, że tak nie jest. Im więcej praw, tym większa korupcja. Nie chodzi o to, żeby mnożyć w nieskończoność prawa, lecz o to, żeby zapewnić przestrzeganie tych, które już mamy. Ale wiem, wszyscy to wiemy – powoli odwrócił się z rozłożonymi ramionami w stronę publiczności, jakby wszyscy obecni zostali ujęci w jego mowie – że *reus* w tajemnicy domaga się przywilejów, że praktycznie kupuje sędziów, że stosuje różnego rodzaju naciski, żeby uniewinnili go od zarzutów. To nasuwa mi na myśl słowa Plauta: *iniusta ab iustis impetrari non decet* ***. Ja wierzę i myślę, potrzebuję wierzyć, że sędziowie w Rzymie są sprawiedliwi, tak samo jak myślę, że Dolabella szuka czegoś, co delikatnie mówiąc i parafrazując Plauta, jest w złym guście.

Zaczerpnął powietrza. Spojrzał na klepsydry. Czas leciał. Zostały dwie pełne. Mógł zażądać wyjaśnień, ale już mocno rozgrzał publiczność. Rozsądek nakazywał zmierzać do końca mowy. Nawet jeśli pod presją zmanipulowanych zegarów.

– Dostarczyłem świadectwa i dowody złych praktyk Gnejusza Korneliusza Dolabelli, ale jeśli tlą się jeszcze jakieś wątpliwości, zostaje nam przyjrzeć się nie tylko jego przeszłemu zachowaniu, lecz także sposobom postępowania w teraźniejszości: przyjęcia, bankiety, rozrzutność, niewyobrażalny luksus, kochanki i wszelkiego rodzaju ekscesy – to na co dzień otacza *reusa*. Wracając do genialnego Plauta, *male partum, male disperit* ****. Tak właśnie jest. Jeśliby Dolabella zgromadził fortunę na drodze pracy i wysiłku, na pewno korzystałby z niej z większym umiarem i lepszymi zwyczajami, ale jego obecna rozrzutność i obsceniczny ekshibicjonizm bogactw są właśnie owocem ich ciemnego pochodzenia, tego, że powstały na drodze podstępów i zbrodni: grabieży Macedończyków za pomocą bezprawnych podatków i łupienia ich świątyń. Jeśli pozwolimy, żeby oskarżony został uniewinniony od zarzutów, jakie stawiają mu

Macedończycy, dlatego tylko, że jest obywatelem Rzymu, a zbrodnie popełnił w Macedonii, będziemy żyli w strachu przed tym zbrodniarzem. Trybunał mógłby zastosować maksymę *multis minatur qui uni facit iniuria*. Sędziowie trybunału, z całą pewnością zagraża wielu ten, kto wobec jednego popełnia niesprawiedliwość *****. Jeśli trybunał uniewinni Dolabellę, popełni niesprawiedliwość wobec nas wszystkich, wobec pozostałych obywateli Rzymu, którzy staramy się przestrzegać praw, i wobec wszystkich Macedończyków, którzy decydują się na stosowanie naszych praw i zwyczajów. Czytałem w różnych miejscach i podpisuję się pod tym zdaniem: Δεῖ ἐν μέν τοῖς ὄπλοις φοβερούς, ἐν δὲ τοῖς δικαστηρίοις ἐλεήμονας εἶναι. Tak, „trzeba być bezlitosnym na polu bitwy, lecz pełnym współczucia podczas procesu”. Zapytam jednak jeszcze: pełnym współczucia wobec kogo? – Tutaj Cezar przypomniał sobie, co mu powiedział Cynceron. Że powinien być obrońcą, a nie oskarżycielem. – I odpowiadam, *iudices*, pełnymi współczucia wobec pokrzywdzonych, pełnymi współczucia wobec Macedończyków.

– Obrońca nie przepuścił żadnej okazji, żeby nazwać mnie publicznie *accusatorem* – mówił dalej Cezar – gdyż jestem oskarżycielem Dolabelli, ale tu i teraz jestem również kimś więcej, kimś ważniejszym: jestem obrońcą Macedończyków, tych, których dotknęła przerażająca niesprawiedliwość. I to niejedna! Długa, niekończąca się seria niesprawiedliwości, jakich dopuścił się skorumpowany Dolabella. I jeśli bronię Macedończyków, to z powodu dobra wspólnego, dobra nas wszystkich, Rzymian i nie-Rzymian podlegających prawom sprawiedliwego Rzymu, który kochamy. Nie jestem wyłącznie oskarżycielem z ramienia Macedończyków, lecz również obrońcą sprawiedliwości, obrońcą wszystkich rzymskich obywateli, którzy mają dość tego, że skorumpowany senator stara się wyjść bez szwanku z procesu po tym, jak popełnił niezliczone zbrodnie i obrzucił błotem imię Rzymu tam, gdzie w jego imieniu rządził, a następnie zamiast rządzić w imię Pax Romana, doprowadził do wrzenia, które może przerodzić się w bunt i wojnę.

Cisza.

W środku sali.

Wszystkie spojrzenia wbite w Cezara.

– I byliśmy bezlitośni wobec Macedończyków na polu bitwy – mówił dalej oskarżyciel. – Ale teraz, przed trybunałem sprawiedliwości musimy być pełni współczucia, wrażliwi i wziąć pod uwagę ich żądania, skoro tak jak w tym przypadku są one słuszne, oraz wynagrodzić im krzywdy i cierpienia. Pięćdziesięciu dwóch sędziów tego trybunału to senatorowie, a konkretnie ci, którzy sami określają się mianem optymatów, ponieważ uważają się za najlepszych z najlepszych. Na wszystkich bogów, okażcie to! Ponieważ *corruptio optimi, pessima* *****. – Ściszył głos, ale jego słowa nadal wybrzmiewały z mocą. – Okażcie więc *iudices*, że sprzeciwiacie się temu bezprawiu i pamiętajcie o tym, co w pewien sposób zawiera się w formie myślenia Demokryta: Μούνοι θεοφιλέες, ὅσοις ἐχθρόν τὸ ἀδικέειν. Tak, „bogowie kochają nieprzyjaciół niesprawiedliwości”. Niech więc bogowie mają powody, by nas kochać, a my, obywatele Rzymu i Macedończycy oraz wszyscy rządzeni z tego miasta miejmy powody, żeby was szanować. Nawet w najlepszym koszu z najlepszymi jabłkami może trafić się jedno zepsute. Jeśli je stamtąd wyciągniemy, reszta pozostanie nienaruszona, zdrowa, ale jeśli zepsute jabłko zostanie w koszu, ostatecznie w krótkim czasie wszystkie pozostałe też ulegną zepsuciu.

Raz jeszcze spojrzął na klepsydry: została mu tylko jedna, a i ona powoli się wyczerpywała...

– Ja, owszem, wierzę w sprawiedliwość. Ja, owszem, wierzę w Rzym. Wiem, że obrońcy chcieli ukryć prawdę o czynach, ukryć zbrodnie oskarżonego, pomieszać wszystko, ale sędziowie niech pamiętają, że również mówi się: Ἡ Δίκη γάρ καὶ κατὰ σκότον βλέπει. Tak, niech wszyscy członkowie tego trybunału pamiętają, że „sprawiedliwość widzi również w ciemności”. I jako sędziowie, jako przedstawiciele tejże sprawiedliwości, musicie umieć dostrzec w cieniu rzucanym przez wymyślone historie obrony wielką hańbę i niesłychaną pogardę oskarżonego wobec wszystkiego tego, co jest słuszne, przyzwoite i czcigodne. Dlatego błagam bogów, aby oświecili ten trybunał i aby Gnejusz Korneliusz Dolabella został

skazany za wszystkie swoje ohydne zbrodnie, aby w ten sposób wyrzucić z miasta najbardziej zepsute, najbardziej jadowite, najpodlejsze jabłko, jakie możemy sobie wyobrazić. Zatruty owoc, który przyniesie Rzymowi nie bogactwa i pomyślność, lecz wojny, bunt ze strony tych wszystkich, którzy cierpią pod skorumpowaną władzą!

Zamilkł na moment. Musiał wyrównać oddech, zanim powie wszystko, powie to, co najważniejsze.

Wśród publiczności rozległy się krzyki przeciwko Dolabelli, trochę oklasków, ale Cezar podniósł ręce i zapadła cisza.

Palcami przejechał po włosach, nadal długich.

Odwrócił się w stronę publiczności, poszukał wzrokiem Kornelii, a ona spojrzała na niego i poczuł jej miłość. Obrócił się do matki i widział, że kiwa głową, i wtedy stanął naprzeciwko Dolabelli i odczytał z jego twarzy nienawiść.

Juliusz Cezar zaczerpnął głęboko powietrza. Jego czas się kończył. Jego głos rozbrzmiał w bazylice.

– W tym procesie sędzi się nie tylko Dolabellę i jego zbrodnie, jak wspomniałem. W tym procesie sędzi się coś więcej. A ja nie jestem jedynie adwokatem Macedończyków. Jestem adwokatem Rzymu. obrońcy próbowali nas przekonać, że Dolabella jest Rzymem, ale to nieprawda. W tym procesie Rzym nie jest Dolabellą, Rzymem nie jesteście wy, sędziowie. Rzym i lud Rzymu mają swojego przedstawiciela we mnie. Tu i teraz Rzym to ja.

Podniósł ręce.

Ostatnie krople spływały w szóstej klepsydrze.

Wśród publiczności rozległy się burzliwe oklaski.

Pompejusz był bardzo poważny.

Dolabella na zewnątrz opanowany, w środku aż się gotował.

Kornelia czuła wzruszenie.

Aurelia dumę, choć również strach.

– Byłeś niesamowity – pogratulował mu Labienus, gdy tylko Cezar usiadł obok niego. – Jak na Lesbos.

Brawa nie milkły. Cezar spojrział na Labienusa rozpalonymi oczami, jego serce biło szybko.

– Jak na Lesbos – odpowiedział dobitnie.

* Tukidydes, *Wojna peloponeska*, przeł. Kazimierz Kumaniecki, Kraków 1957, s. 149.

** Odnoszę niezwykle nieprzyjemne wrażenie, że mam przed sobą, w środku tej bazyliki, reinkarnację Gajusza Mariusza. Wiesz, co trzeba będzie zrobić z młodym Cezarem. Sulla miał rację.

*** „Nie wypada bowiem nieuczciwości żądać od uczciwych”, Plaut, *Amfitrion*, [w:] tegoż, *Komedie*, przeł. Ewa Skwara, Warszawa 2002, s. 170.

**** „Co było źle nabyte, to idzie na marne”, Plaut, *Punijczyk*, [w:] tegoż, *Komedie*, przeł. Gustaw Przychodzki, Kraków 1935, s. 73.

***** Maksyma przypisywana Publiliuszowi Syrusowi, chociaż możliwe, że używano jej już wcześniej.

***** Najgorsze jest zepsucie najlepszych. Maksyma przypisywana św. Hieronimowi, ale prawdopodobnie znana już znacznie wcześniej.

Memoria quinta

LABIENUS

Przyjaciel Cezara

Zastępca dowódcy podczas podboju Galii

ROZDZIAŁ LXIV

Ziemia Safony

Mitylena, wyspa Lesbos, wschodnia część Morza Śródziemnego *

78 r. p.n.e., rok i kilka miesięcy przed rozpoczęciem procesu Dolabelli

Podobny do boga wydaje mi się
ten mężczyzna, który siadł naprzeciwko
i uważnie słucha twoich słodkich słów
w oczarowaniu.

Gdy ponętnie się uśmiechasz, me serce
w piersi drży niespokojne, zalęknione,
a gdy na ciebie patrzę, łamie się głos,
nagle zanika **.

Cezar zrolował papirus i zapatrzył się w morze.

Czytanie greckiej poetki Safony na tej wyspie, z której pochodziła, wydawało mu się najbardziej logicznym zajęciem na świecie. To prawda, że mieli wydać bitwę wojsku Mityleny broniącemu obleganego miasta przed Rzymianami, ale jemu strofy Safony pisane do ukochanej przypominały ciepłe ciało żony, wyrozumiałe pieszczoty Kornelii w środku nocy, jej uśmiech o świcie. Wspomnienia rozluźniały go i na nowo napełniały energią potrzebną na ten dzień, który zapowiadał się intensywnie: niedawno przybyły na wyspę prokwestor Lucjusz Licyniusz Lukullus, najwyższy dowódca rzymski w regionie, wezwał jego i Labienusa do swojego namiotu. Cezar przeczuwał, że chodzi o niebezpieczną misję.

Czy się bał?

Zmarszczył brew i odłożył papirus z wierszami.

W głębokim milczeniu tego poranka we wschodniej części Śródziemnomorza przytaknął sam sobie.

Tak, bał się.

Właściwie to bał się wielu rzeczy: obawiał się porażki, tego, że nie spełni oczekiwań, że nie okaże się godnym bratankiem Gajusza Mariusza. Bał się, że legionieści nie będą mu posłuszni, bo był tak młody, miał ledwie dwadzieścia jeden lat, chociaż zarówno on, jak i jego przyjaciel Tytus Labienus zostali mianowani na stanowiska *tribunus laticlavus*. Poza tym owszem, bał się samej bitwy, tego, jak zareaguje, gdy stanie naprzeciwko wroga, jakie wrażenie zrobią na nim krew i przemoc rozpętana na pierwszej linii walki. Do tej pory brał udział jedynie w potyczkach albo ćwiczeniach, czy to na Polu Marsowym, czy to w obozie na Lesbos. Teraz miał jednak sprawdzić się w bezpośredniej walce z wrogami Rzymu, a to było coś innego. Bez instruktorów, bez zasadzek na nosiwodów wroga czy inne patrole straży przedniej ludów, które na tych terenach zbuntowały się przeciwko Rzymowi. Teraz, Cezar nie miał wątpliwości, wszystko było na poważnie.

Liczne miasta w Azji i wyspy na Morzu Egejskim *** oraz małe królestwa wystąpiły przeciwko władzy Rzymu, wykorzystując to, że jego armie skoncentrowały się na pokonaniu straszego Mitrydatesa z Pontu. Ale Senat nakazał, co dla Cezara było rozsądnym posunięciem, ukarać wszystkie ludy, które wykorzystwały chwilę rzymskiej słabości w czasach wojny domowej między Sullą a Mariuszem. Konflikt między optymatami a popularami pozbawił pozycje rzymskie w Azji wojsk, a teraz nadeszła pora odzyskać to, co stracone.

Lesbos było jednym z terytoriów, które zdradziły zaufanie Rzymu. Ale mimo że mieszkańcy wyspy niekoniecznie na nie zasługiwali, nie byli głupi i wiedzieli, w jaki sposób Rzym ukarał nieodległe miasta. Znali również umiejętności dowódcze Lucjusza Licyniusza Lukullusa, któremu sam Sulla nakazał utrzymać dominację rzymską na wschodzie. Lesbijczycy okopali się w fortecy w Mitylenie, nad największą zatoką wyspy. Zabezpieczyli mury miejskie i wzmocnili wieże obronne. Zaopatrzyli się w ogromną ilość zboża i innego pożywienia oraz wykopali

odpowiednio głębokie studnie, żeby zapewnić sobie dostawę słodkiej wody wewnątrz fortecy. Tak więc mogli wytrzymać długie i ciężkie oblężenie, którego się spodziewali. Owszem, mogli też przegrać, ale nie byli bez szans. Rzym, mimo iż znacznie potężniejszy, miał dokąd wysłać wojska, a Lesbos stanowiło tylko niewielką enklawę. Dlatego tutejsi mieszkańcy byli przekonani, że jeśli przez kilka miesięcy będą się opierać, być może legiony Lukullusa zostaną wezwane w inne, ważniejsze dla rzymskich interesów miejsce, albo wyczerpane wysiłkiem zgodzą się na negocjacje, w których uda się ugrać dla Lesbos przebaczenie ze strony Senatu w zamian za na przykład zgodę na ustanowienie stałego garnizonu rzymskiego na wyspie. Byłaby to porażka, ale taka, która pozwalała przetrwać, uniknąć pożarów i kompletnego zniszczenia domów, rodzin i wszystkiego, co posiadali. I to miało już posmak zwycięstwa. Lesbijczycy wiedzieli, że Rzym potrafi zażarcie mścić się na zdrajcach, ale znali też rzymski pragmatyzm. Jeśli więc oblężenie potrwa długo i będzie się komplikować, wszystko może się wydarzyć.

Dlatego od kilku tygodni stawiali opór.

Juliusz Cezar usłyszał za sobą kroki.

Wiedział, kto nadchodzi. Wstał z miejsca, w którym czytał Safonę z twarzą zwróconą ku morzu.

Poprawił miecz u pasa i się odwrócił.

– Wreszcie cię znalazłem – powiedział przyjaciel.

– Nie chowałem się. Przyszedłem w to piękne miejsce, żeby poczytać – odparł Cezar. – Miałem właśnie iść napić się wina, ale czekałem na ciebie, żeby to zrobić razem.

– Ha, ha, ha! Na Herkulesa! Dobrze – zgodził się Labienus.

Jak zawsze towarzyszył Cezarowi w jego przygodach, tym razem na wschodzie.

Po petycjach najstarszej westalki i dziesiątków krewnych, przyjaciół i różnych osobistości publicznych Sulla przebaczył Cezarowi. Zaciśnął zęby i to zrobił, ale –

jeśli można to tak ująć – zasugerował młodemu Cezarowi, żeby wyjechał z Rzymu, przynajmniej na jakiś czas. Sulla chciał wzmocnić kontrolę nad miastem bez obecności bratanka Gajusza Mariusza. Cezar przyjął łaskę od Sulli, chociaż wiązało się z nią wygnanie. Nie tyle jako kara, co rodzaj długiej podróży.

Pozwolono mu na kilkutygodniowy pobyt w domu po miesiącach spędzonych na uciekaniu. Mógł zregenerować się po gorączce bagiennej, cieszyć się z objęć żony, ze śmiechu małej córki Julii, towarzystwa siostr i rad matki. Niewiele było to czasu, choć młody *pater familias* rodziny Juliuszów dobrze go wykorzystał. Ostatecznie musiał po raz ostatni przytulić żonę, pocałować córkę, otrzymał błogosławieństwo matki, pożegnał się z siostrami i udał się na wschód.

– Gdzie jesteś?

Głos Labienusa wyrwał Cezara z zamyślenia.

Weszli do swoich namiotów po krótkim spacerze z plaży do obozu, podczas którego Cezar się nie odzywał.

– Tak naprawdę byłem... w Rzymie – odpowiedział szczerze. – Myślałem o rodzinie.

Labienus skinął głową, ale zaraz zadał pytanie, które miało oderwać przyjaciela od bolesnej nostalgii i przywrócić jego umysł teraźniejszości i obecnym sprawom.

– Myślisz, że znowu nas wyślą z misją dyplomatyczną?

Cezar rozlał wino do pucharów. Podał przyjacielowi jeden z nich i spojrzał w stronę wejścia do namiotu. Znow się zamyślił. Zaraz po przybyciu na wschód Lukullus wysłał ich obu do Bitynii, żeby w jego imieniu zażądali od króla Nikomedesa IV statków, które miały wzmocnić flotę rzymską we wschodniej części Morza Śródziemnego. Cezar wypełnił misję. Wiedział, że krążyły na ten temat absurdalne pogłoski, jakoby przespał się z królem, żeby uzyskać statki dla Lukullusa. Był pewien, że szerzyli je wrogowie w Rzymie, żeby zaszkodzić jego publicznemu wizerunkowi, ale bardziej martwiło go, że dojdą do uszu Kornelii.

– Ona nigdy w ciebie nie zwątpi – powiedział Labienus, jakby czytał w myślach przyjaciela.

Pasywne stosunki homoseksualne, oddanie się innemu mężczyźnie były źle widziane w Rzymie.

– Mówisz o Kornelii? – spytał Cezar.

– O Kornelii – potwierdził Labienus.

Cezar skinął głową. To pewne: ona nigdy w niego nie zwątpi. Inni tak, ale nie ona. Aurelia, jego matka, również nie.

Mimo wszystko prawdą było, że król Bitynii, znany ze swojej żądzy, mu się narzucał, a nawet naciskał na niego i zasugerował, że jeśli Cezar się z nim nie prześpi, nie da mu statków. Młody Rzymianin odpowiedział, że król może zrobić, co zechce, a on, Cezar, wróci do prokwestora Lucjusza Licyniusza Lukullusa i powiadomi go o odmowie. Że sam może straci polityczne uznanie i zostanie zdegradowany, ale Lukullus pomaszeruje wtedy na Bitynię z legionami, żeby przypomnieć królowi, że traktaty z Rzymem, takie jak ten dotyczący przysyłania statków na potrzeby rzymskiej armii, obowiązują i że prokwestor nie przyjmuje odmowy ze spokojem.

Cezar przypomniał sobie, jak w tym momencie Nikomedes wykrzywił twarz i wyrzucił go z sali audiencyjnej. Ale zaraz też następnego dnia otrzymał notatkę od samego króla, w którym ten informował go, że bityńskie statki są gotowe wyruszyć na pomoc Rzymowi. Nikomedes IV dotrzymał umowy. Pogłoska o tym, że Cezar się z nim przespał, i tak jednak rozniosła się po całej Azji. Lukullus nigdy nie spytał go, jak mu się udało je uzyskać. Właściwie to prokwestora, który był mężem na wskroś pragmatycznym, nie interesowało za bardzo, jak to zrobił, skoro wypełnił rozkaz.

– Najpierw myśli o rodzinie, a teraz wspomnienia z misji w Bitynii – odezwał się ponownie Labienus. – Czy jest sposób, żeby skłonić cię, byś myślał o tym, co tu i teraz?

Cezar uśmiechnął się.

– Myślisz, że wyśle nas z kolejną misją dyplomatyczną? – powtórzył Labienus.

Jego przyjaciel pokręcił głową.

– Nie – powiedział wreszcie. – Lukullus przybył, żeby zakończyć oblężenie, i przeczuwam, że będziemy bardzo mocno zaangażowani w tę sprawę.

– Jako żołnierze?

Cezar jedynie kiwnął głową.

Labienus zrozumiał powagę sytuacji. Pogłoski nie zabijały, ale miecze, włócznie i strzały podczas prawdziwej walki – tak. On również jeszcze nie brał udziału w żadnej. Pod tym względem obaj byli nowicjuszami. Pili w ciszy, patrząc w podłogę.

* Patrz mapy [8], [9], [10].

** Wiersz Safony zatytułowany *Pożegnanie uczennicy*, przeł. Nikos Chadzinikolau.

*** Patrz mapa [3].

ROZDZIAŁ LXV

Rozkazy Lukullusa

Obóz rzymski obok Mityleny, wyspa Lesbos

Namiot prokwestora Azji

78 r. p.n.e.

Logiczne byłoby podejmowanie decyzji wojskowych w *praetorium*, tam, skąd dowodzi się armią rozmieszczoną na Lesbos. W zwyczajnym trybie Minucjusz Termus, propretor wysłany, żeby wygasić ostatnie ogniska oporu przeciwko Rzymowi w tym regionie, zebrały tam trybunów i resztę dowódców.

Tak, to by było logiczne. I tak się zazwyczaj robiło.

Ale na specjalnym statku rzymskiej floty na Morzu Egejskim do Mityleny zawinął Lucjusz Licyniusz Lukullus. A więc groźny prokwestor Republiki na wschodzie, prawa ręka wszechpotężnego dyktatora Sulli w tej części świata. Lukullus walczył u boku Sulli podczas wojny ze sprzymierzeńcami, podczas kampanii przeciwko Mitrydatesowi i podczas niedawnej wojny domowej. Nic więcej nie trzeba wyjaśniać. Sulla ślepo ufał temu mrocznemu, milczącemu człowiekowi, który mówił niewiele, był nieco surowy i sztywny.

Mimo że Minucjusz Termus sprawował dowództwo *de iure*, stał teraz przed prokwestorem i pocił się w środku namiotu, który był miejscem dysponowania funduszami tutejszej armii. Dla Sulli pieniądze były kluczowe, dlatego swoich najbliższych wolał wyznaczać na kwestorów i prokwestorów niż na pretorów, legatów i trybunów wojskowych. Minucjusz Termus widział to wyraźnie, tak samo jak to, że opóźnienie w zdobyciu Mityleny i przejściu w ten sposób całkowitej kontroli nad Lesbos, nie podobało się Sulli, który wiedział o wszystkim, wszystkiego pilnował i wszystkiego pragnął, nawet wtedy, gdy ponoć wycofał się

z życia publicznego. Przybycie Lukullusa nie zapowiadało niczego dobrego dla Minucjusza Termusa, który obawiał się, że w najlepszym wypadku jego kariera polityczna i wojskowa na zawsze zostanie w oczach Sulli splamiona z powodu nieznaczących postępów podczas tego przekłętą obłężenia. A może zatrzymana *in aeternum*, co oznaczało to samo. W najgorszym wypadku natomiast Sulla mógł już zdecydować o karze za to, co uznał za nieudolność w zdobywaniu wyspy.

– Jak sobie możesz wyobrazić, Minucjuszu – zaczął Lukullus bez pozdrowienia ani jakichkolwiek słów wstępu – Republika nie jest zadowolona z rozwoju wydarzeń w tym kąciku Morza Egejskiego.

Minucjusz Termus wiedział, że gdy Lukullus mówi „Republika”, tak naprawdę ma na myśli Sullę.

– Prokwestorze, miasto jest znacznie lepiej bronione, niż to wygląda na pierwszy rzut oka. Jego mury są nie do przebicia. Nie powiem, że nie da się ich zburzyć, ale z siłami, jakie mam do dyspozycji, nie widzę innego wyjścia niż długie, powolne obłężenie.

Lukullus usiadł w wygodnej *cathedrze* stojącej głęboko w namiocie przy stole z pucharami pełnymi wina. Dwoma. Mimo to prokwestor nie zaprosił rozmówcy, żeby dołączył do degustacji napoju Bachusa.

Lukullus napił się w milczeniu.

To był długi łyk.

Odstawił puchar.

Ponownie spojrzał na propretora.

– Długie obłężenie powiększa opór Mityleny i zmienia wyspę Lesbos w ognisko buntu na wschodzie, który za bardzo podziwia Mitrydatesa. Król Pontu stawiał czoło Rzymowi i został pokonany oraz zawarł traktat z Republiką, ale Lesbos, która go poparła, nadal wymyka się nam spod kontroli. Senatowi to się nie podoba. Twoja nieudolność tutaj, Minucjuszu, sprawia, że źle wypadasz w oczach... Rzymu.

Propretor przełknął ślinę. Teraz był już pewien, że gdy mówiono o „oczach Rzymu”, należało je rozumieć jako „oczy Sulli”. Minucjusz nie bał się Rzymu, ale owszem, przerażał go Sulla i jego zemsta na tych, którzy zawiedli. Nie mógł się powstrzymać i prawą ręką otarł pot z czoła.

Lukullus się uśmiechnął. Doprowadził propretora do stanu, o jaki mu chodziło.

– Ale ja wiem, że się starasz, Minucjuszu Termusie, i... Rzym również. Dlatego damy ci drugą szansę zdobycia miasta.

– Dzięki ci wielkie, prokwestorze. Jestem gotowy zrobić, co tylko prokwestor uzna za słuszne.

Lukullus poprawił się na krześle i spojrzał mu w oczy.

– Przygotowałem plan zmniejszenia oporu mieszkańców tej wyspy, ale żeby wprowadzić go w życie potrzebni mi są dwaj młodzi oficerowie... odważni, impulsywni. Myślałem o Juliuszu Cezarze i jego przyjacielu, tym, który wszędzie mu towarzyszy.

– To Tytus Labienus, prokwestorze.

– Tak, właśnie tak się nazywa. Chcę z nimi porozmawiać.

Minucjusz Termus miał wyjść z namiotu, żeby nakazać wezwanie młodych trybunów, ale Lukullus uniósł prawą dłoń.

– Pozwoliłem sobie sam ich wezwać, gdy tylko się tu zainstalowałem. Zjawia się lada moment.

Propretor kiwnął głową w milczeniu.

Lukullus również się więcej nie odzywał i jedynie obserwował szklaną misę pełną czerwonych owoców, które przywiózł statkiem z Cerasus.

– Wina? – spytał wreszcie.

– Tak, chętnie – poprosił Minucjusz.

Zauważył, że puchary są złotego koloru. Gdy wziął jeden z nich, zrozumiał, że naczynia, których używał Lukullus podczas podróży na wschodzie, rzeczywiście wykonano ze złota. Prokwestor, tak jak wszyscy optymaci, lubił luksus.

Pili i rozmawiali o pogodzie. Nie była to błaha rozmowa, ponieważ deszcz wpływał na plany ataku na oblężone miasto.

– Przyszli – powiedział, zagładając do środka, centurion.

– Niech wejdą – nakazał Lukullus.

Propretor był bardzo ciekawy wyniku tej rozmowy, chciał wiedzieć, na czym polega nowy plan Lukullusa. Wybór trybunów do tej nowej strategii go zdziwił, ponieważ młodego Gajusza Juliusza Cezara sam Sulla wskazał jako wroga Rzymu, mimo przebaczenia. Z drugiej strony Sulla w pewnym momencie musiał zakończyć represje wobec wrogów i chyba zaczął od okazania wielkoduszności Juliuszowi Cezarowi. Dlatego Minucjusz był teraz skonfundowany faktem, że wysłannik Sulli szukał trybuna znajdującego się w niełasce dyktatora, jakby stanowił on klucz do zdobycia miasta. Zdecydowanie był zaintrygowany. Nie rozumiał, co kryje się za tą sprawą.

Cezar i Labienus stanęli na baczność w wejściu do namiotu.

Lukullus nadal siedział w *cathedrze*. Nie zaproponował wina nowo przybyłym. A oni tego nie oczekiwali.

Juliusz Cezar właściwie nie spodziewał się niczego dobrego od jednego z zaufanych ludzi Sulli, ale skoro przełożeni wezwali go na spotkanie, nie miał wyjścia. Mógł tylko wypełniać rozkazy. Lukullus już raz wysłał go z nieprzyjemną misją do Bitynii. Nie przeczuwał, żeby teraz chodziło o zadanie lub misję o mniejszym stopniu komplikacji, raczej o coś jeszcze bardziej niebezpiecznego.

– Znów się widzimy, trybunie – zaczął Lukullus.

– Tak jest, prokwestorze.

Lukullus kontynuował przemowę, najpierw patrząc w dół, potem na Minucjusza, a na koniec na Cezara i Labienusa. Podawał szczegóły swojej strategii zdobycia Mityleny, wyjaśniał tę część, która bezpośrednio zależała od działań obu wezwanych na spotkanie trybunów.

Minucjusz słuchał bardzo uważnie, marszczył czoło i od czasu do czasu popijał wino. Nie odzywał się ani nie przerywał prokwestorowi.

Cezar i Labienus słuchali na baczność, w milczeniu. Od czasu do czasu rzucali sobie zaskoczone spojrzenia, ale w żadnym momencie nie zwrócili się do prokwestora.

– Jakież pytania? – chciał wiedzieć Lukullus, gdy skończył.

Minucjusz jedynie wbił wzrok w dno pustego pucharu. Labienus pokręcił głową, ale Cezar miał pewne... wątpliwości.

– Powiedziałbym, że prokwestor przydzielił mnie i trybunowi Labienusowi najbardziej ryzykowną część planu.

– Również tę najważniejszą – odparł z uśmiechem Lukullus.

– Tak jest, prokwestorze – przyznał Cezar – ale wolałbym wykonać ją sam.

Lukullus nie był zaskoczony odpowiedzią młodego trybuna. Jeśli ten przedstawiciel rodziny Juliuszów sprzeciwił się samemu Sulli, nie ulegało wątpliwości, że nie zechce siedzieć cicho w razie, gdy coś nie będzie dla niego jasne.

– Daję wam szansę wykazania się w bohaterskiej akcji, daję ją wam obu – odparł Lukullus. – Czyżby trybun Juliusz Cezar chciał zachować cały splendor dla siebie? Czyżby nie chciał dzielić się nim nawet z tymi, których uważa za przyjaciół?

Labienus przysłuchiwał się tej nieoczekiwanej wymianie zdań, nie wiedząc, jak się wtrącić.

– Powiedzmy, prokwestorze, że wolę wziąć na siebie całe ryzyko – wyjaśnił Cezar.

– Czyżby trybun Juliusz Cezar się bał? – spytał Lukullus, znów z cynicznym uśmiechem.

– Prokwestor może o mnie myśleć, co zechce. Ja zawsze wypełniam rozkazy. – Przypomniawszy sobie, że odmówił rozvodu z Kornelią, gdy nakazał mu to Sulla, co było głównym źródłem jego nieszczęść, dodał: – Oczywiście rozkazy wojskowe.

Zapadła gęsta cisza.

– Ja również zrealizuję plan nakreślony przez prokwestora – włączył się po raz pierwszy Labienus. – Razem z trybunem Juliuszem Cezarem.

– Na Jowisza. – Lukullus wstał i podszedł do stołu, żeby dolać sobie wina. – Twój towarzysz w biedzie wydaje się bardziej zdecydowany od ciebie, Cezarze.

Ten spojrzał na przyjaciela.

– Wiem, że to ryzykowne zadanie – wyjaśnił Labienus, patrząc w rozgniewane oczy Cezara, który nie spodziewał się, że Labienus z takim zdeterminowaniem będzie dążył do udziału w tym szaleństwie. – Ale nie myślę zostawić cię samego. Uda nam się.

– Trybun Labienus okazuje więcej zdecydowania i więcej odwagi niż trybun Cezar, nie uważasz, Minucjuszu? – powiedział Lukullus, siadając na *cathedrze* z pucharem pełnym wina, do którego dodał odrobinę wody, żeby je osłabić. – Oczywiście plan niesie ze sobą pewne ryzyko, ale Sulla za moim pośrednictwem obiecuje Gajuszowi Juliuszowi Cezarowi możliwość całkowitego odkupienia swoich przewin w jego oczach. Zrealizujemy ten plan, zdobędziemy Mitylenę, a ja przekażę pozytywny raport o twoich działaniach, który trafi do Rzymu i do Puteoli, gdzie obecnie rezyduje Sulla po usunięciu się z życia publicznego.

Znów zapadła cisza.

– Czyżby naprawdę Gajusz Juliusz Cezar... się bał? – powtórzył Lukullus.

Cezar zastanawiał się dobrą chwilę.

– Tak – powiedział wreszcie kategorięcznym tonem. – Ale wypełnię rozkazy.

Cezar i Labienus opuścili namiot.

Dwaj dowódcy zostali sami.

– Wydaje się, że jest tchórzem – podkreślił Minucjusz Termus.

Lucjusz Licyniusz Lukullus masował sobie usta opuszkami palców lewej ręki. Dopiero po kilku chwilach odpowiedział na tę uwagę.

– Ja tak nie sędzę. Musisz mieć odwagę, żeby przyznać przed przełożonymi, że boisz się walki podczas misji, która jest ewidentnie bardzo ryzykowna. Ten Juliusz Cezar jest... dziwny.

Zmarszczone czoło prokwestora wskazywało, że ma wątpliwości co do rozkazów wydanych przed chwilą młodemu trybunowi. Ale obiecał Sulli. Ten nie lubił, gdy nie wypełniano jego instrukcji co do joty.

Obóz rzymski obok Mityleny

W drodze do namiotu trybunów Cezara i Labienusa

– Na Herkulesa! Dlaczego się w to włączyłeś? To ja muszę się oczyścić w oczach Sulli, nie ty – mówił wściekły Cezar. – Powinieneś siedzieć cicho i teraz mógłbyś zostać razem z wojskiem, gdy rozpęta się to szaleństwo.

Ale Labienus odpowiedział mu ze spokojem i powagą, argumentując obficie, co zaskoczyło Cezara.

– Ja również potrzebuję oczyścić się w oczach Sulli, bo jestem twoim przyjacielem. Noszę tę plamę i z nią umrę. Sulla nienawidzi nie tylko ciebie, lecz również wszystkich tych, którzy w taki czy inny sposób cię wspierają albo ogłaszają się twoimi przyjaciółmi. Jest już dla mnie za późno. Mogę tylko pomóc ci zmyć tę plamę w oczach Sulli, Rzymu, Senatu i sprawić, że twoje imię zabłyśnie w historii Republiki. Wyraźnie widzę, że tylko w ten sposób moje również się w niej odznaczy. Razem dokonamy wielkich rzeczy. Jestem pewien, że gdy ktoś spisze twoje wojskowe sukcesy i będzie musiał zapisać imiona tych, którzy stali u twego boku, wspomni o mnie. W ten sposób zostanę zapamiętany. Ale teraz skupmy się na Mitylenie i na przetrwaniu, żebyśmy mogli wrócić do Rzymu i zrobić to wszystko, co nas czeka. Pomyśl o Kornelii, może to ci doda otuchy.

Cezar zatrzymał się i spojrzał na przyjaciela, który nadal szedł do przodu zdecydowanym krokiem. Być może Labienus nie oceniał odpowiednio ryzyka tej misji, ale bez wątpienia Cezar miał w nim wierne przyjaciela.

Labienus odwrócił się w jego stronę.

– Idziemy? Mam chęć wypić przynajmniej jeszcze jeden puchar wina, a prokwestor nie był zbyt gościnnie.

Cezar roześmiał się. Ten wybuch pozwolił mu wyzwolić się od nagromadzonego napięcia, które powstało podczas spotkania.

– Idziemy, mój przyjacielu. Na Jowisza, napijemy się.

ROZDZIAŁ LXVI

Eksterminacja Cezara

Obóz rzymski obok Mityleny, wyspa Lesbos

Namiot prokwestora Azji

78 r. p.n.e.

Licyniusz Lukullus i Minucjusz Termus nadal znajdowali się w namiocie prokwestora.

– To ciekawa strategia – skomentował propretor – i może zakończyć się poddaniem się Mityleny, ale...

– Ale? – spytał Lukullus. – Na Jowisza, powiedz, co myślisz. Nienawidzę niedokończonych zdań.

– Ale ten plan ma słabą stronę – odważył się stwierdzić Minucjusz.

– Jaką?

Propretor zrozumiał, że jego rozmówca będzie naciskał, aż pozna wszystkie wątpliwości.

– Prąd i wiatr dookoła wyspy są... gwałtowne – rzucił. – Statkom może być trudno wrócić i zabrać wojsko, tak jak zaplanowałeś.

– Naprawdę? – Lukullus rozluźnił się na wygodnym krześle o wysokim oparciu.

Wyraz twarzy i sarkastyczny ton, z jakim wypowiedział te słowa, oświeciły Minucjusza Termusa. Lukullus był doświadczonym żeglarzem i z całą pewnością rozpoznał panujące tutaj warunki już rano, gdy podpływał do wyspy. Wiedział, że prąd i zmienny wiatr o świcie mogą spowolnić manewry rzymskiej floty i w konsekwencji opóźnić ich powrót wedle planu przedstawionego młodemu trybunom.

Otworzył szeroko oczy i znieruchomiał z otwartymi ustami, jakby go sparaliżowało. Zrozumiał właśnie prawdziwy wymiar planu i rzeczywisty cel tej strategii.

– A jeśli nasza flota spóźni się z powodu prądu i wiatru, młody trybun Gajusz Juliusz Cezar zostanie otoczony przez wroga, z niewystarczającymi siłami, żeby się bronić, i zostanie...

– Eksterminowany – wszedł mu w słowo Lukullus. – O to prosił mnie Sulla – dodał w ramach wyjaśnienia. – Lesbos jest mu obojętne, Mitylena go nie obchodzi, choć trzeba będzie w końcu zdobyć miasto w taki czy inny sposób. Najważniejsze jest spełnienie jego życzenia. Chce wreszcie ujrzeć martwym młodzieńca, który odważył się rzucić mu wyzwanie w Rzymie.

Minucjusz Termus dobrze się zastanowił, zanim skomentował to, czego się dowiedział.

– Ale Sulla przebaczył Cezarowi.

– Nigdy w życiu nie zmieniłeś zdania, Minucjuszu?

Propretor westchnął, odstawił puchar na stół i skinął głową.

– Tak, oczywiście, czasami – przyznał. – Ale czy wspomnienie imienia Sulli podczas przedstawiania planu trybunom nie wzbudziło podejrzeń młodego Cezara? Jestem przekonany, że coś podejrzewa. Jest młody i brak mu doświadczenia w walce, ale ma szósty zmysł, który pozwala zorientować się co do lojalności i... – Szukał odpowiedniego słowa, ale nie odważył się go ostatecznie wypowiedzieć.

– Spisków – powiedział Lukullus. – Trzeba nazywać rzeczy po imieniu, chociaż Sulla woli mówić o „egzekucji”. I owszem, pomyślałem, że wspomnienie imienia naszego wielkiego przywódcy może wzbudzić podejrzenia, ale zrobiłem to na wyraźne życzenie samego Sulli. Gdy Cezar zostanie otoczony przez wroga i zrozumie, że wpadł w pułapkę niczym dziecko, niczym głupiec, gorzej, niczym naiwniak, między jednym śmiertelnym ciosem a drugim wyraźnie pojmie, że to wszystko sprawka Lucjusza Korneliusza Sulli – tego sobie życzy dyktator.

– Ale na wszystkich bogów, czy Cezar nie będzie tego przeczuwał wcześniej i nie odrzuci planu?

– Ciekawa myśl – zgodził się Lukullus. – Ale nie może odmówić jego wykonania. To ja dałem rozkaz, ty go poparłeś, to są instrukcje od przełożonych. Coś przeczuwa, ale nie jest w stanie objąć myślą wszystkiego, co ustaliliśmy, bo nie sądzi, żebyśmy zaryzykowali życie pięciuset legionistów tylko po to, żeby z nim skończyć. Cezar ma szlachetne serce, a tacy ludzie nie pojmują, że wrogowie mogą przedsięwziąć coś, co pozbawione jest moralnego uzasadnienia, tylko po to, żeby się ich pozbyć. Ale cel zawsze uświęca środki dla Sulli, dla mnie i mam nadzieję, że i dla ciebie. Szczerze mówiąc, osobiście nie widzę w młodym bratanku Mariusza przyszłego wielkiego wroga, ale Sulla ma na jego punkcie obsesję, a ja nie będę się sprzeciwiał jednemu z jego najdroższych pragnień. Chce śmierci Cezara i jutro Cezar będzie martwy. A teraz wypijmy więcej wina. Wydaj rozkazy, żeby legioniści zwinęli obóz jak najszybciej i zaczęli okrętowanie się na moje statki. Pora dać znać obrońcom Mityleny, że my, Rzymianie, jutro rano odstąpimy od oblężenia. Przynajmniej pozornie.

Minucjusz Termus pił, żeby nie pozostawiać wątpliwości co do swojej lojalności wobec Sulli. Lukullus pił, żeby przetrwać to, że ryzykuje życie pięciuset ludzi, aby skończyć z jednym człowiekiem, który przeszkadza Sulli. Sporo wypił tej nocy, ponieważ w głębi duszy nadal miał skrupuły i chciał utopić je w alkoholu, żeby móc spokojnie wypełnić przeklęte rozkazy dyktatora.

ROZDZIAŁ LXVII

Niemożliwa misja

Mitylena, wyspa Lesbos *

78 r. p.n.e.

Mury miejskie

O świcie strażnicy wpatrywali się w horyzont. Wszystko wyglądało tak jak zwykle do chwili, gdy jeden z najmłodszych wśród nich, obdarzony sokolim wzrokiem, zmarszczył brew, zdecydowanie wyrażając niedowierzenie.

– Odpływają – powiedział cicho.

– Co powiedziałaś? – spytał jeden z weteranów.

– Rzymianie – wyjaśnił nieco głośniejszym głosem młodzieniec. – Wsiedli na statki i odpływają.

Wszyscy spojrzeli w kierunku, który wskazywał.

– Na Demeter! Chłopak ma rację! – potwierdził jeden z dowódców obecnych na murze, wzywając boginię czczoną na tej ziemi.

Na morzu widać było żagle rzymskiej floty oddalającej się od wyspy, a przed nimi, jakieś dwa tysiące kroków od miasta – opuszczony obóz.

Pałac satrapy Mityleny

Z mianowania Mitrydatesa VI, króla Pontu i bicza bożego na Rzymian na wschodzie, Anaksagoras był satrapą i *strategosem*, a więc jedynym i najwyższym władcą na wyspie Lesbos. Monarcha, który kierował losami całego regionu – od Pontu po Syrię, od granic z Partią do wybrzeży greckich – postanowił nagrodzić go w ten sposób za walne przyczynienie się do zwycięstwa w bitwie pod górą Scorobas, w której król Pontu zmasakrował rzymskie wojska i potwierdził swoją

całkowitą kontrolę nad tym terytorium. Kontrola ta zachwiała się podczas kampanii Sulli przed kilku laty, ale ustabilizowała się po traktacie, który zaoferował on Mitrydatesowi, żeby móc rozwiązać problemy z Mariuszem i popularami w Italii. Mitrydates sprawował rządy żelazną ręką do czasu rzymskiego kontrataku przeprowadzonego przez Lukullusa na rozkaz samego Sulli, kiedy ten wygrał wojnę domową. Z odległej Italii chciał pokazać Mitrydatesowi, że traktat pokojowy, który mu niegdyś zaproponował, nie miał służyć królowi Pontu do wzmocnienia kontroli nad wschodem, lecz jedynie pozwolić Sulli pokonać wrogów ze stronnictwa popularów w Rzymie. Uzyskawszy pełnię władzy nad Senatem i pozostałymi instytucjami, Sulla ponownie wysłał legiony na wschód.

Anaksagoras korzystał ze spokoju i bogactw, jakie oferowała Lesbos, delektując się tutejszym sławnym winem, sypiając z niewolnicami i wolnymi kobietami oraz chadzając z uczty na ucztę. To wszystko do czasu. Gdy Rzym wysłał tu najpierw propretora Minucjusza Termusa, a potem prokwestora Lukullusa, Anaksagoras wyczuł, że świętowanie dobiega końca. Nie był jednak przekonany, czy stanie się to z powodu rzymskiej armii. Przedłużający się opór dawał mu pewien margines. Trzeba było zobaczyć, co zrobi Mitrydates i jakie straty są gotowi ponieść Rzymianie podczas długiego oblężenia. Być może ostatecznie opuszczą Lesbos. Dlatego wiadomości, jakie przynieśli strażnicy tego ranka, skupiły całą jego uwagę.

– Odpływają? Jesteście pewni? – spytał z wysokości wyłożonego poduszkami tronu stojącego na środku ogromnej sali audiencyjnej.

– Tak, panie mój, obrońco tej ziemi! – potwierdzili jeden za drugim strażnicy, klękając przed władcą.

– Ja również to potwierdzam, panie mój, obrońco – powiedział Pittakos, zastępca dowódcy wyspy. – Wspiąłem się na mur i widziałem, jak rzymska flota oddala się od wybrzeża.

Anaksagoras nachylił się. Trudno mu było zebrać myśli. Miał kaca po wczorajszej nocy, a rano spółkował z młodą niewolnicą. Przejechał dłonią po czole.

– Przynieście mi wody – powiedział, starając się uporządkować myśli.

Nie podobał mu się ten Pittakos, mężczyzna o mrocznej wojennej przeszłości, którego poznał w Anatolii i który prawdopodobnie po to, żeby zdobyć przychylność mieszkańców Lesbos, przyjął imię dawnego mędrca z tej wyspy. Wcześniej nazywał się... Anaksagoras pokręcił głową. Nie mógł sobie przypomnieć. Co zresztą za różnica.

– A ty co o tym myślisz, Teofaniesie? – Anaksagoras popatrzył w drugi koniec sali.

Teofanes był przywódcą miejscowej arystokracji. Wolałby, żeby na jego wyspie rządzili Rzymianie, a nie Mitrydates, ale był to mimo wszystko mąż inteligentny, dlatego Anaksagoras cenił sobie jego rady. Poza tym służył jako łącznik między królem Pontu a obywatelami Mityleny. Jak na razie udowodnił swoją przydatność, utrzymując rodaków w wierności okupantowi, a więc Mitrydatesowi.

– Ja też wspiąłem się na mur i rzeczywiście nie ma wątpliwości, że statki rzymskie się oddaliły.

Anaksagoras zwrócił uwagę na dokładność tej odpowiedzi.

– Chcesz przez to powiedzieć, że tylko udają, że odpłynęli, a na wyspie zostawili ukryte wojska, których nie możemy dostrzec z muru?

– Istnieje oczywiście taka możliwość... panie – przyznał Teofanes, unikając wymówienia tytułu, jaki nosili wszyscy satrapowie mianowani przez Mitrydatesa. – Ale obóz rzymski również wydaje się opuszczony...

– Nie ma tu miejsca, żeby ukryć wojsko – wtrącił się Pittakos.

– Poza niewielkim lasem niedaleko wybrzeża – zauważył Teofanes.

– Niewielkim, jak sam mówisz – upierał się Pittakos. – Można tam ukryć najwyżej trzystu, może czterystu ludzi, a nie legion taki jak te, które do wczoraj obozowały pod naszymi murami.

Anaksagoras westchnął. Jego dwaj najważniejsi doradcy nigdy się ze sobą nie zgadzali. Niewolnik przyniósł mu wodę. Satrapa napił się z brązowego naczynia

wzmocnionego ołowiem. Zaspokoił pragnienie. Odepchnął niewolnika i zwrócił się do doradców.

– Jest bardzo prawdopodobne, że Rzymianie musieli wycofać się z powodu zmęczenia albo ponieważ wezwano ich gdzie indziej. Król Mitrydates dobrze kontroluje terytorium i tak jak Rzymianie próbują ukarać miasta, które go wspierają, on też atakuje sojuszników Rzymu. Ale rzeczywiście odplynięcie rzymskiej floty może być zagranem strategicznym, podstępem. Możliwe, że Rzymianie ukryli wojska w jakimś odległym miejscu wyspy. Poczekają, aż się rozluźnimy, i wtedy zaatakują z zaskoczenia. Na Apolla! Musimy sprawdzić, jak się sprawy naprawdę mają. – Zamilkł na chwilę, zanim ogłosił decyzję. – Wyjdziemy z wojskiem i zorientujemy się w sytuacji.

– Moglibyśmy wysłać patrole – zasugerował Pittakos.

– Owszem, ale jeśli naprawdę gdzieś się ukrywają, wybiją naszych żołnierzy, a nie możemy pozwolić sobie na utratę choćby jednego wojownika, nie mówiąc już o całym patrolu. Bezpieczniej będzie wyjść z dużą częścią wojska i zbadać sytuację na wyspie. Ustawimy na murach łuczników, ach, i co ważne: brama będzie cały czas otwarta, w razie gdybyśmy musieli szybko się wycofać, jeśli rzeczywiście wojsko rzymskie ukryło się gdzieś na wyspie.

Pittakos miał zaproponować, ale Anaksagoras podniósł głos:

– Na Apolla! Taką podjąłem decyzję!

Wszyscy obecni ukłonili się satrapie.

– Pittakosie, zorganizuj wyjście wojska i łuczników na murach. Będiesz dowodził w mieście pod moją nieobecność. Teofanesie, ty pójdiesz ze mną.

Nie było więcej dyskusji.

Las niedaleko wybrzeża, dwa tysiące kroków od murów Mityleny

– Co robimy? – spytał Tytus Labienus, patrząc z niepokojem na bramę miasta.
– Wychodzą z całym wojskiem.

– Na to czekaliśmy, pamiętasz? – odpowiedział Cezar, przeskakując wzrokiem między wrogimi oddziałami a morskim horyzontem. – Za bardzo się oddalili.

– Kto? – spytał Labienus, nie spuszczać z oczu armii Mityleny.

– Lukullus i Termus na naszych statkach odpłynęli za daleko.

– Cóż, miało to wyglądać na prawdziwy odwrót.

– Mimo wszystko. Coś mi w tej sprawie śmierdzi – mówił dalej Cezar. – Na razie zostaniemy tutaj, między drzewami. Wróg najpierw pójdzie do opuszczonego obozu, żeby sprawdzić, czy mogą coś stamtąd zabrać.

Tytus Labienus dostrzegł napięcie na twarzy przyjaciela. Spojrzał na morze i rzeczywiście – nie było już widać ani jednego żagla ich floty. Zostali na tyłach z kohortą złożoną z czterystu osiemdziesięciu żołnierzy. Mieli nękać wroga, gdy ten wyjdzie z miasta, nie pozwolić mu wrócić za mury, zanim statki rzymskie nie wrócą z resztą legionów. Ale... jeśli Lukullus i Termus się spóźnią, Cezar, on sam i reszta żołnierzy zostaną zmasakrowani.

Spojrzenia przyjaciół na moment się skrzyżowały.

– Jeśli statki nie wrócą, nasza misja jest... niemożliwa. Ale na razie działamy zgodnie z planem Lukullusa – powiedział Cezar.

Labienus zwrócił uwagę na to „na razie”.

* Patrz mapa [8].

ROZDZIAŁ LXVIII

Posłaniec

Mitylena, wyspa Lesbos

78 r. p.n.e.

Triera dowódcy rzymskiej floty, na pełnym morzu

W odległości kilku mil od Lesbos Lucjusz Licyniusz Lukullus obserwował, jak linia wybrzeża znika na horyzoncie. Mimo to nadal nie wydał rozkazu, żeby zawrócić.

– Jeśli my nie widzimy wybrzeża, oni również nie widzą nas – skomentował Minucjusz.

– Widzą żagle – odparł prokwestor, wskazując na wysoki środkowy maszt statku z rozpostartym żaglem, który wykorzystywał silny wiatr, żeby oddalić się od wyspy. – Poza tym taki jest nasz plan. Nie zapominaj o jego głównym celu.

– Wiem, prokwestorze, ale jeśli mogę, chciałbym zwrócić uwagę na pewną sprawę. Skoro ja sędzę, że sporo się już oddaliliśmy od wybrzeża, tak samo myślą legionieści na statku. Zostawiliśmy za sobą kohortę i wszyscy liczą, że wrócimy i nie porzucimy swoich w obliczu wroga. Oczywiście wszyscy liczą, że wrócimy... na czas.

Lukullus skinął głową, ale nie zamierzał się nagiąć.

– To ja zdecyduję, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila i...

– Łódź! – krzyknął z bocianiego gniazda marynarz.

Prokwestor i propretor dostrzegli niewielką łódkę z kilkoma legionistami na pokładzie.

– Posłańcy z Rzymu – powiedział Minucjusz Termus.

– Na pewno – przytaknął Lukullus. – Niech wejdą na pokład i stawią się w mojej kajucie. Tymczasem utrzymać kierunek i oddalać się od Lesbos.

Opuszczony obóz rzymski

Anaksagoras przemierzał obóz Rzymian w nastroju bojowym. Był doświadczonym żołnierzem i wiedział, że przed swoimi ludźmi musi zawsze sprawiać wrażenie czujnego i zdecydowanego dowódcy. Nie niepokoiło go niespodziewane odpłynięcie wroga. To mogło oznaczać, że jego najwyższy przełożony, król Mitrydates, zaatakował w innym punkcie i Rzymianie musieli skoncentrować tam wojska, które mieli rozlokowane na całym wschodzie. A może nawet lepiej: może król Pontu zmusił Rzymian do całkowitego wycofania się z regionu, co udało mu się kilka lat temu, gdy zawarł pakt z Sullą.

Satrapa rozejrzał się uważnie. Jakkolwiek sprawy się miały, teraz zajmował się kradzieżą. Szybkie wycofanie się Rzymian sprawiło, że nie zabrali z obozu wszystkiego. Leżały w nim porzucane różnego rodzaju przedmioty: narzędzia kowalskie, naczynia, parę mieczy i sztyletów, ale nic złotego ani srebrnego. To go trochę przygnębiło, ale zaraz jego ludzie znaleźli kilka stert z workami zboża, które z całą pewnością przydadzą się, żeby wypełnić wywołane oblężeniem braki w zaopatrzeniu miasta.

– Znaleźli coś jeszcze. – Teofanes wskazał na grupę żołnierzy na skraju obozu.

Anaksagoras zabrał ze sobą przywódcę miejscowej arystokracji, ponieważ wiedział, że jest on skłonny paktować z Rzymianami, i obawiał się, że zostawiając miasto w jego rękach, ryzykuje, że zamknie bramy przed jego wojskiem. Pittakos, mimo swojej ambicji, był wierny królowi Pontu i lepiej dopilnuje, żeby do niczego takiego nie doszło. Inaczej będzie musiał mierzyć się z gniewem nie tyle satrapy, ile samego Mitrydatesa.

– Chodźmy zobaczyć – powiedział Anaksagoras.

W otoczeniu eskorty ruszył w kierunku miejsca, które wzbudziło zainteresowanie jego ludzi.

Triera dowódcy rzymskiej floty

Kajuta prokwestora

– Posłaniec już idzie – powiedział Minucjusz Termus. – Wchodzi właśnie na pokład.

– Dobrze – odparł Lukullus, ale nagle, jakby dopadły go wątpliwości, rzucił pytanie: – Zostawiłeś *pila* na widoku, tak jak kazałem?

– Tak, ponad tysiąc pięćset włóczni gotowych do użycia zostało w obozie – potwierdził Termus.

– Dobrze, to bardzo dobrze. – Lukullus usiadł na wielkim fotelu wyłożonym poduszkami i czekał na posłańca.

Zaraz zjawił się jeden z *optio*.

– Posłaniec z Rzymu, prokwestorze – ogłosił.

– Niech wejdzie – nakazał Lukullus i odwrócił się do Minucjusza Termusa. – Zostaw mnie z nim sam na sam.

Ten rozkaz zranił dumę propretora, ale wobec jednego z najwierniejszych przyjaciół Sulli wolał po prostu zaszalutować po wojskowemu, przykładając pięść do piersi. Szedł w stronę drzwi, gdy prokwestor wydał mu jeszcze jedną instrukcję.

– I niech flota zawraca. Pora skierować się z powrotem na Lesbos, inaczej, jak powiedziałaś, żołnierze zaczną podejrzewać, że zostawiliśmy ich towarzyszy, a tego nie chcemy.

Termus odwrócił się do prokwestora, skinął głową i wyszedł z kajuty. W drzwiach minął się z posłańcem. Dostrzegł w jego dłoni złożony, zapieczętowany woskiem papirus, ale miał swoje rozkazy, zaczął więc wspinać się po schodach prowadzących na pokład.

Las na Lesbos, niedaleko wybrzeża

– Ruszamy? – spytał Labienus.

– Jeszcze nie – odparł Cezar. – Dopóki nie zobaczymy żagli wracających statków.

Labienus uznał, że to rozsądna odpowiedź.

Na morzu jednak nadal nie było widać niczego poza nietkniętą linią horyzontu.

Opuszczony obóz rzymski

– Włócznie? – spytał niedowierzającym tonem Teofanes, patrząc na łup znaleziony przez ludzi Anaksagorasa.

– I to sporo, panie mój – potwierdził jeden z żołnierzy. – Jakiś tysiąc, może nawet więcej.

– To dziwne. Dlaczego zostawili te włócznie? Parę zapomnianych w pośpiechu mieczy czy sztyletów tak, ale tak duży stos włóczni to coś niezwykłego.

– W dodatku są dobre – powiedział Anaksagoras, podnosząc jedną z nich do góry, jakby oceniał jej wagę i to, jak łatwo można wymierzyć ją w wyobrazonego wroga. – To idealne rzymskie *pila*.

Teofanes spojrział na niego. Niczego nie rozumiał. On zajmował się historią i lekturą, nie znał się na wojnie.

– Rzymskie włócznie stworzone tak, żeby wbijać się w tarcze wroga: albo zabijają, albo ranią, albo uniemożliwiają obronę. Bardzo trudno jest je wyciągnąć z tarczy.

To znalezisko nie wzbudziło podejrzenia Anaksagorasa. Podczas wojen widział już wiele dziwnych sytuacji i ta wcale nie należała do najniezwykłych.

– Zabrać je – nakazał swoim ludziom.

Triera dowódcy rzymskiej floty

Kajuta prokwestora

Lucjusz Licyniusz Lukullus przeczytał list przywieziony z Rzymu.

Dwa razy, w milczeniu.

– Na Jowisza! – wykrzyknął przez zęby. – Kiedy? – spytał posłańca.

– Przed miesiącem, prokwestorze.

– Dobrze. Nie wychodź stąd i z nikim nie rozmawiaj. Masz tu wodę i coś do zjedzenia. Zrozumiałeś moje rozkazy?

– Tak, prokwestorze.

Posłaniec nie wyglądał na zaskoczonego reakcją dowódcy. Biorąc po uwagę to, do czego doszło w Rzymie, a raczej na południe od Rzymu, było to normalne.

– To wszystko zmienia – wymamrotał Lucjusz Licyniusz Lukullus. Podniósł się powoli i ruszył w stronę drzwi. – Wszystko – powtórzył, wspinając się na pokład.

ROZDZIAŁ LXIX

Strach Cezara

Mitylena, wyspa Lesbos

W lesie na wybrzeżu

78 r. p.n.e.

– Widać pierwsze żagle – powiedział cicho Labienus. Widział, że jego przyjaciel jest bardzo skoncentrowany.

– Tak – odparł Cezar. – Nie zajmie im to wiele czasu, chociaż wolałbym jeszcze trochę poczekać.

Labienus odwrócił się w stronę opuszczonego obozu.

– Ale żołnierze z Mityleny wracają już do miasta – zauważył.

Obaj przyjrzeni się wojsku wroga. Szybko obliczyli, że mogło liczyć dwa tysiące lub dwa i pół tysiąca ludzi. Oznaczało to przewagę liczebną znacznie większą, niż Labienus i Cezar się spodziewali.

– Wyszli praktycznie w całości – wypowiedział Cezar to, co obu im krążyło po głowie.

– Są ostrożni – potwierdził Labienus.

– Ten Anaksagoras wie, co robi – mówił dalej Cezar. – To mi się nie podoba. On przeczuwa, że to pułapka. Nasze statki są zbyt daleko, ale masz rację: jeśli nie ruszymy teraz, plan prokwestora się nie uda. A nas będą sądzić za niewypełnienie rozkazów, za bunt.

Imię dowódcy wojska stacjonującego w Mitylenie znali, ponieważ ich przełożeni negocjowali z samym Anaksagorasem możliwe poddanie miasta, do którego nigdy nie doszło. Nie wiedzieli o nim wiele więcej. Teraz Cezar zdał sobie

sprawę, że mają do czynienia ze zdolnym wojskowym, przede wszystkim rozsądnym, takim jak jego wuj Mariusz.

– Ruszamy więc? – spytał ponownie Labienus.

Gajusz Juliusz Cezar przejechał wierzchem lewej dłoni po czole.

Pocił się.

Czyżby się bał?

Tak, bał się.

Oszukiwanie samego siebie nie pomagało.

Będzie inaczej niż na ćwiczeniach na Polu Marsowym czy w obozie.

To wojna. Prawdziwa. Niepohamowana.

Po raz pierwszy w życiu weźmie udział w walce.

Miał dwadzieścia jeden lat.

Labienus już wydawał rozkazy sześciu centurionom kohorty, ale on trwał na stanowisku, nieruchomy, sparaliżowany.

Przełknął ślinę. Scypion po raz pierwszy walczył w wieku siedemnastu lat. I ocalił własnego ojca. A on tkwił tutaj, dręczony obawami.

Nie, nie miał za sobą wielu czynów wojennych.

Lepiej czułby się na forum w Rzymie, używając słów, wygłaszając mowy w bazylikach.

Jeśli przeżyje ten dzień.

– Żołnierze są gotowi – powiedział Labienus, który wrócił do Cezara.

Ten jednak nadal tkwił w miejscu i milczał.

Labienus zorientował się, o co chodzi.

– Ja też się boję – przyznał cicho. – Dla mnie też to pierwszy raz. Wiesz o tym. Ale musimy ruszać, przyjacielu. Musimy walczyć. Do tego nas wyszkolili. Tym jesteśmy. I wieloma innymi rzeczami, ale także tym.

Gajusz Juliusz Cezar się nie odzywał, nie poruszał. Padł ofiarą własnej paniki.

Tytus Labienus nie wiedział, co powiedzieć. Pomyślał, że mógłby sam ruszyć z sześcioma centuriami, a walka i tak wciągnie przyjaciela, ale to Cezar powinien dać sygnał do ataku. To on był dowódcą. I nadal się nie poruszał.

W tym momencie Labienus wpadł na pewien pomysł. Nachylił się do ucha Cezara i wyszeptał mu cztery słowa:

– Jesteś bratankiem Gajusza Mariusza.

Nawet to nie zadziałało: bratanek Mariusza stał niczym posąg, sparaliżowany. Brak działania Cezara sprawił, że historia świata się... zatrzymała.

ROZDZIAŁ LXX

Oczy Rzymu

Puteoli, Kampania, na południe od Rzymu

78 r. p.n.e., miesiąc przed bitwą pod Mityleną

Gnejusz Korneliusz Dolabella dotarł do willi Lucjusza Korneliusza Sulli w Puteoli o zmierzchu. Zamiast przybyć drogą lądową, popłynął statkiem z Ostii aż do zatoki, nad którą leżało miasto. Była to żmudna i wyczerpująca przeprawa. Podobnie jak jego mistrz, Dolabella lubował się w luksusie i wygodach, ale i tak musiał wyruszyć w tę podróż: Sulla wezwał go do swojej rezydencji w Puteoli, a to mogło oznaczać tylko dobre wiadomości. To mogło oznaczać tylko władzę. Nominalnie decyzje podejmował Senat, ale wszyscy wiedzieli, że losy Rzymu rozstrzygały się w willi, do której wycofał się Sulla, oficjalnie z powodu problemów zdrowotnych. Tak naprawdę chodziło o inteligentną strategię mającą na celu uchronienie się przed spiskami, tak częstymi w przepełnionym i zawsze trudnym do kontrolowania Rzymie. Sulla formalnie przekazał władzę w ręce Senatu, który odzyskał swój status po obaleniu praw wprowadzonych przez popularów, dających więcej prerogatyw innym instytucjom, jak Zgromadzenie Ludowe czy trybuni ludowi. Po reformach Sulli cała władza skupiała się w Senacie. On sam zrezygnował z dyktatury, kończąc stan wyjątkowy. Niemniej jednak wszyscy wiedzieli, że nawet nie sprawując władzy dyktatorskiej, Sulla nadzorował, pilnował i kontrolował działania Senatu.

Puteoli stanowiła mieszankę luksusowej willi i fortecy, którą łatwiej obronić przed spiskowcami niż zawsze pełen ludzi i napięć Rzym. Willi pilnowali weterani legionów walczących w kampanii przeciwko Mitrydatesowi, a potem w wojnie przeciwko Mariuszowi. Małe miasto zostało zmilitaryzowane i żeby dotrzeć z portu do willi Dolabella musiał przedstawić list Sulli pięć razy, na różnych stanowiskach

strażniczych pilnujących dostępu do rezydencji najpotężniejszego człowieka w Republice.

W końcu dotarł do wielkiej willi.

Minął ogromne drewniane drzwi w murze otaczającym posiadłość. Po obu stronach drogi łagodnie wznoszącej się zakosami rosło pół setki sięgających nieba cyprysów. Na jej końcu znajdowało się coś w rodzaju szerokiego tarasu, z którego rozciągał się widok na zatokę. Okazała perspektywa z widocznym portem w Puteoli, domami, świątyniami i rozległym obozem wojskowym, w którym stacjonowała większa część żołnierzy wiernych Sulli. W razie wybuchu buntu w Rzymie trudno byłoby się tu dostać, jeśli w ogóle. Były dyktator okazał się na tyle przebiegły, że na swoją siedzibę wybrał miejscowość położoną nad morzem. Przygotował też niewielką flotę trier, zawsze gotowych wywieźć go w inne miejsce, w którym mógłby się przegrupować, żeby wrócić i odzyskać władzę. Niedawno wybuchła rebelia jednego z konsulów – Emiliusza Lepidusa – który przeszedł na stronę popularów i żądał wprowadzenia praw przeciwnych temu, co zarządził Sulla. Lepidus zaczął rozdawać darmowe ziarno, mówił o powrocie wygnanych, zwrocie skonfiskowanych ziem przydzielonych weteranom Sulli, a nawet o odzyskaniu przez popularów zabranych im bogactw.

– Chwileczkę – powiedział niewolnik, który był przewodnikiem Dolabelli.

Nowo przybyły zatrzymał się i czekając, zajmował się wspomnianiem niedawnych wydarzeń oraz podziwianiem inteligencji swojego mentora. Sulla działał z Puteoli i udało mu się skierować przeciwko buntownikom najpierw drugiego konsula, Lutacjusza Katullusa, a potem Gnejusza Pompejusza, który ostatecznie pokonał w polu wojska, jakie Lepidus zgromadził w Italii. Zbuntowany konsul zbiegł na Sycylię, gdzie zmarł, a jego zastępca uciekł – tak jak wielu popularów w tamtych latach – do Hispanii, do Sertoriusza, który mimo wysiłków Metellusa nadal utrzymywał sporą część terytorium w stanie otwartej wojny przeciwko Rzymowi.

Dolabella kiwał głową w milczeniu i czekał. Sulla przeżywał te wszystkie wojskowe i polityczne napięcia w spokojnym i bezpiecznym schronieniu w Puteoli.

– Tędy, *clarissimus vir* – powiedział niewolnik *atriense* należący do właściciela olbrzymiej rezydencji, z której rządzono rzymskim światem.

Dolabella przeszedł przez kilka pokoi obficie udekorowanych wszelkiego rodzaju motywami odnoszącymi się do życia wiejskiego, polowań, a wreszcie erotyki. Minał dwa atria z portykami i sporym *impluvium* w środku, aż dotarł do pomieszczenia prowadzącego do głównego atrium budynku. Drzwi były zamknięte.

– *Clarissimus vir* ma tu zaczekać, mój pan zaraz przyjdzie. Oto woda i wino.

Senator Dolabella został sam. Zbliżył się do stołu, na którym stały naczynia, i nalał sobie trochę wina zmieszanego z wodą. Wprawdzie drzwi były zamknięte, ale gdy tylko kroki oddalającego się niewolnika umilkły, Dolabella usłyszał suche trzaśnięcia, a po każdym z nich okrzyk bólu. Kogoś chłostano. Natychmiast rozpoznał ten dźwięk, ponieważ sam często kazał chłostać niewolników, którzy nie wypełniali obowiązków ze skwapliwością, jakiej oczekiwał.

Jeszcze więcej trzaśnięć bicia.

Suche idealne uderzenie skóry o skórę. Więcej krzyków. Teraz brzmiały inaczej. Chłostano więc nie jednego niewolnika. Nie. Kobiety. Chłostano niewolnice. Kilka niewolnic. Dało się rozpoznać pewien rytm, serię, rodzaj koncertu uderzeń bicia i krzyków.

Nagle drzwi prowadzące do atrium otwarły się i pojawił się w nich Lucjusz Korneliusz Sulla w pięknej purpurowej tunice. Drzwi za nim zaczęły się zamykać, ale dyktator zdążył rzucić jeszcze kilka słów do sąsiedniego pomieszczenia.

– Zaczekajcie, aż wrócę, Walerio. Nie chcę stracić ani jednego krzyku moich niewolnic.

– Jak sobie życzysz, ukochany – odpowiedział mu zmysłowy głos kobiety przeciągającej sylaby, prawdopodobnie z powodu wypitego wina. A może zażytego opium? Jeśli chodzi o Sullę, wszystko było możliwe.

– Dolabella! – krzyknął Sulla, zwracając się w stronę przyjaciela. – Dzięki, dzięki, dzięki, że przyjechałeś. Wiem, że to niezwykle niedogodna podróż, ale to miejsce jest tysiąc razy bezpieczniejsze niż Rzym. Ja nie zginę, jak tyłu innych,

w kłótni na forum wywołanej przez spiskowców. Zostawiam taki los pozostałym, tym, którzy popełnią błąd i zaufają senatorom. – Roześmiał się na cały głos. Miał sześćdziesiąt lat i wielki brzuch, ale nadal poruszał się z energią i nie wyglądał na kogoś, kto ma zamiar rozluźnić choć trochę uścisk silnej ręki, jaką sprawował absolutną władzę.

– Zawsze miło jest zobaczyć Sullę, choćby w tym celu trzeba przepłynąć morze albo znieść zatrzymywanie na niekończących się punktach kontrolnych. Przywiozłem listy z Rzymu.

Dolabella pokazał złożone i zapieczętowane papirusy.

– A od Lukullusa ze wschodu? – Sulla okazał prawdziwe zainteresowanie.

– Nie, nic stamtąd nie przyszło – odparł Dolabella z pewnym rozczarowaniem. Nie lubił zawodzić mentora. – Mam listy od Katullusa i Pompejusza. Zajęli się buntem Lepidusa.

– Wiem, wiem. Obaj okazali się skuteczni, szczególnie Pompejusz – skomentował Sulla. – Widać wyraźnie, że to on jest orłem, który wybija się ponad nas wszystkich. To on sprawi, że moje prawa będą obowiązywać długie lata, a nasze przywileje przetrwają. Teraz interesują mnie tylko wieści od Lukullusa ze wschodu – dorzucił nieco skwaszonym tonem. – Ale chodź, zostaw listy na stole i posłuchaj uważnie.

Wziął gościa za ramię i poprowadził go w kąt pomieszczenia, szukając bez wątpienia najbardziej dyskretnych warunków dla tej rozmowy.

– Poprosiłem Lukullusa o załatwienie pewnej sprawy, dość ważnej, i oczekuję jego wieści w każdej chwili. Lukullus nigdy mnie nie zawiódł. Ty również nie. Na wschodzie stawka jest wysoka. Nie rozwiązaliśmy problemu z Mitrydatesem. Bunt Cynny i reszty popularów oraz starych zwolenników Mariusza zmusił mnie do zawarcia pokoju z tym przeklętym królem Pontu, gdy trzeba było go zniszczyć. To zaległy temat, który sam Lukullus albo ty, albo ktoś inny będzie musiał wkrótce rozwiązać. Dlatego chcę, żeby we wszystkich prowincjach w tamtej części świata zasiadali moi zaufani ludzie. Chcę, żebyś ty objął Macedonię. Rozumiesz? Wiem,

że to daleko, ale tam właśnie cię teraz potrzebuję. Zajmiemy się wschodem, a potem stłumimy bunt Sertoriusza i popularów w Hispanii, jeśli stary Metellus nie będzie w stanie powybijać tych przeklętych rebeliantów. Taki jest plan. Teraz skupiam się na Azji, z Lukullusem, dlatego chcę, żebyś udał się do Macedonii i obstawiał jego tyły. Co o tym sądzisz, przyjacielu?

Dolabella wiedział, że Sulla mógł ujmować życzenia w formę pytań lub propozycji, ale tak naprawdę były one rozkazami. Należało z nim postępować tylko w jeden sposób: być posłusznym i w ten sposób się bogacić. Sprzeciwianie się jego planom oznaczało śmierć – wcześniej czy później.

– Udam się tam, gdzie Sulla mnie pošle.

– Świetnie, świetnie, na Jowisza, przyjacielu. To mi się podoba – powiedział Sulla, klepiąc go po ramieniu. – Dobrze, już omówiliśmy ważne sprawy. Teraz trzeba się nieco zabawić. Chodź ze mną do głównego atrium, spędzimy tam przyjemny czas. Odkryłem nowe rozkosze.

Sulla trzykrotnie zastukał w drzwi i po krótkiej przerwie powtórzył gest. Grube drewniane skrzydła rozstały się i były dyktator wszedł do głównego atrium; za nim podążał jego gość.

– Odkryłem nowe rozkosze – powtórzył Sulla. Odwrócił się do Dolabelli i wziął go pod ramię. – Uprawiałaś kiedyś miłość w otoczeniu krzyków bólu? To rozkoszowne. Istnieje takie słowo? Jeśli nie, powinno.

Po obu stronach atrium stały zwrócone plecami do środka młode kobiety z rozłożonymi ramionami. Przy każdej z nich silny, muskularny niewolnik z biczem. Niewolnice były całkowicie nagie, a plecy, nogi, ramiona i pośladki większości z nich nosiły ślady uderzeń... Niektóre obficie krwawiły, inne miały zasklepione rany, skóra nielicznych była jeszcze nietknięta.

Dolabella rozglądał się z szeroko otwartymi oczami i złośliwym, pełnym podziwu półuśmiechem.

– Wymieniam je, żeby dłużej przetrwały – powiedział Sulla. – Dostają sto batów i pozwalam im kilka dni odpocząć. Niektóre umierają. Przywożą mi kolejne.

Wydaję fortunę na niewolnice, ale to jest takie podniecające... – Podszedł do kobiety wygodnie rozpartej w samym środku tego szaleństwa, sprawiającej wrażenie, jakby wszystko działo się poza nią. – Walerio, ukochana, Dolabella przyjechał z Rzymu.

Młoda małżonka byłego dyktatora leżała na kline w samym środku pomieszczenia, ubrana tylko w spodnią tunikę. Jedną pierś miała odsłoniętą, drugą zakrywała ręka Metrobiusza, aktora przebranego za kobietę, już podstarzałego wieloletniego osobistego przyjaciela Sulli.

Kilka kroków dalej, obok honorowych kline Walerii i Sulli, stało jedno puste – dokładnie po prawej byłego dyktatora. Ten pokazał Dolabelli, żeby się na nim położył. Naprzeciwko rozłożyli się aktorzy Roscjusz i Soreks. Każdy z nich obejmował i pieścił zakrwawioną nagą niewolnicę. Kobiety były na wpół nieprzytomne od otrzymanych batów i szlochały.

Szloch.

Z każdego rogu pomieszczenia.

Rozkaz, który były dyktator wydał, gdy wyszedł do Dolabelli, przerwał katowanie trzydziestu związanych niewolnic. Mimo to nadal płakały – większość z bólu, a te, które właśnie przywiązano do ściany, z czystej paniki, ponieważ widziały, w jakim stanie znajdowały się ich towarzyszki, i zdawały sobie sprawę, jak okrutny czeka je los.

Niewolnicy przynieśli więcej jedzenia i picia dla Sulli, jego żony i przyjaciół, którzy towarzyszyli mu w krwawej orgii. Orgii ekstazy i śmierci. Dolabelli też podali kilka tac z pysznymi daniami i kosztowny złoty puchar wypełniony napitkiem.

– Pij, przyjacielu, pij – zachęcił go były dyktator. – I jedz...

Dolabella był głodny, a spektakl jeszcze wzmógł jego apetyt: tutaj wiedzieli, jak można rozkoszować się życiem i pieniędzmi. Musi też zorganizować coś podobnego, ale tyle niewolnic... to było kosztowne, jak powiedział Sulla. Bardzo kosztowne. Oczywiście teraz, kiedy został namiestnikiem Macedonii, miał świetną

okazję się wzbogacić i wypróbować tego rodzaju zabawy. Mógłby zrobić coś podobnego w... jak nazywa się stolica Macedonii? W Tesalonikach? Dyrrachium? Ale bardziej niż torturowanie niewolnic podniecało go gwałcenie młodych wolnych kobiet, nawet arystokratek. Musi to sobie dobrze przemyśleć.

Dolabella wziął w rękę kawałek... czegoś oblanego pysznym sosem. Zaczął jeść, podczas gdy Sulla nakazał powrót do chłostania niewolnic przywiązanych do ścian. To, co spożywał Dolabella, wydawało się dobre, ale miało nietypowy smak.

– Co to takiego? – spytał.

– Szparagi w sosie z ostryg i krewetek – wyjaśnił Sulla. – Świetny afrodyzjak. A poczekaj, aż spróbujesz mięsa. Nie da się przyrządzić go lepiej.

Rozmawiali mimo krzyków niewolnic. Metrobiusz wstał i odkrył tym samym plecy małżonki dyktatora. Przechadzał się, udając kroki kobiety, czyniąc przesadnie kobiece gesty, prawie śmieszne. Mim Soreks zostawił niewolnice, stanął za Metrobiuszem i zaczął udawać przed arystokratyczną publiką, że biczuje kolegę. Tamten się śmiał, płakał, krzyczał i wył.

To krótkie przedstawienie bardzo spodobało się byłemu dyktatorowi i jego małżonce. Oboje wybuchli śmiechem.

Dolabella czuł się tutaj świetnie. Tego właśnie chciał dla siebie. Pomyślał, że mógłby zrobić z Tesalonik – już wiedział, które miasto jest stolicą Macedonii – własne Puteoli. Obiecał sobie i przysiągł na rzymskich bogów, że będzie chłostał i posiadał najpiękniejsze kobiety w Tesalonikach, gdy tylko obejmie żelazną ręką rządu w prowincji. Chociaż powinien skoncentrować się raczej na zdobywaniu bogactw, żeby potem cieszyć się nimi w spokoju w swojej starej willi na przedmieściach Rzymu.

Wtedy w jego umyśle pojawiła się pewna wątpliwość.

– Co to za sprawa, którą zajmuje się Lukullus na wschodzie? – spytał.

Mimo zachwyty bankietem, na który został zaproszony przez szefa rzymskiego świata, nie zapomniał, że Sulla interesuje się sprawami w tamtym regionie.

– Mmmm – wymamrotał były dyktator. Jadł i myślał.

Zastanawiał się, co odpowiedzieć, ale szybko się zdecydował: Rzym był całkowicie pod jego kontrolą. Pompejusz, jego zbrojne ramię w stolicy, powstrzymał ostatnią próbę obalenia reżimu – bunt Lepidusa. Nie było potrzeby udawać, a poza tym w strzeżonym przez lojalnych legionistów Puteoli Sulla czuł się zupełnie bezpieczny. Mógł ujawnić Dolabelli tajemny plan.

– Kazałem Lukullusowi skończyć z Juliuszem Cezarem.

– Myślałam, że darowałeś mi życie – wtrąciła się przysłuchująca się rozmowie Waleria.

– Tak powiedziałem publicznie w Rzymie – przyznał Sulla. – To były chwile negocjacji, wzmacniania mojej władzy absolutnej. I tak wielu wstawiało się za tym przeklętym bratankiem Mariusza. Pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy: *Dum modo scirent eum, quem incolumem tanto opere cuperent, quandoque optimatum partibus, quam secum simul defendissent, exitio futurum; nam Cæsari multos Marios inesse* *. I tak im powiedziałem. W tamtym czasie myślałem, żeby zapomnieć o sprawie, ale nie mam zamiaru opuścić świata, by potem z Hadesu patrzeć, jak ten młodzik rozwala całe moje dzieło. W końcu jest przeklętym bratankiem Mariusza i nie, nie mam ochoty odejść z tego świata, zostawiwszy go żywego. Dlatego powiedziałem Lukullusowi, żeby zorganizował, co trzeba. Cezar ma paść w walce. Chyba służy pod Termusem na Lesbos. Oblężenie Mityleny ma być początkiem i końcem kariery wojskowej Juliusza Cezara. Lesbos stanie się jego grobem.

Znów się roześmiał.

Ten zaraźliwy śmiech owinęły wrzaski niewolnic, które nadal bezlitośnie chłostano. Soreks wrócił z jedną z nich i zaczął ją ujeżdżać. Wykończona dziewczyna wyglądała jak zakrwawiona szmaciana lalka i biernie pozwalała mu na wszystko, tłumiąc szloch. Ubrany w kobiece ciuszki Metrobiusz szukał ustami piersi Walerii jak napalony kozioł i małżonka byłego dyktatora wydawała się podniecona. Tymczasem Sulla bawił się i radował całym tym spektaklem pełnym krwi, krzyków, seksu i żądz.

Dolabella wstał.

– Na Herkulesa! Piję za rychłą śmierć Gajusza Juliusza Cezara! Którym już nigdy nie będziemy musieli się przejmować!

– Piję za to, przyjacielu – odpowiedział szczęśliwy Sulla. – Lukullus zajmie się wyeliminowaniem tego impertynenckiego młodzika, który odważył się mi sprzeciwić, a potem rozwiąże problemy na wschodzie. Niedługo wyślę Pompejusza do Hispanii, żeby zabił Sertoriusza i resztę popularów, którzy się tam ukryli. Stary jąkała jest nieudolny. – Alkohol sprawił, że mógł powiedzieć prawdę o Metellusie. – Taki mam plan, przyjacielu. A my dwaj się zabawimy: ja tutaj, w Puteoli, a ty w Macedonii. Nic się nie może zepsuć. Załatwiłem wszystkie niezłatwione sprawy.

Kilka godzin później Dolabella opuścił atrium i udał się do przydzielonego mu pokoju. Mieli mu przynieść jedną z wychłostanych niewolnic. Był w ekstazie. Widział wyraźnie, że świat należy do tych, którzy mogą więcej, mają więcej i że nikt nigdy mu się nie przeciwstawi, podobnie jak Sulli. Nikt się na to nie odważy. Ten młody Cezar ośmielił się nie posłuchać rozkazu, gdy Sulla zasugerował, żeby rozwiódł się Kornelią, a teraz miał zniknąć z powierzchni ziemi. Taki jest świat i taki będzie już zawsze. Wolność dla rządzących, dla tych, co wydają rozkazy. A reszta zmieniona w niewolników, w służących.

Był pijany.

Przyprowadzili mu niewolnicę z rozrytymi plecami. Dziewczyna trzęsła się z bólu, ze strachu, z czystego przerażenia.

Dolabella zasnął.

Niewolnica wcisnęła się w kąt i przez wiele godzin płakała, aż w końcu wyczerpanie przeważało nad strachem i również zasnęła.

Główne atrium w willi Sulli

Orgia trwała dalej.

Bez końca.

Teraz Soreks penetrował Walerię, która jęczała.

Metrobiusz tańczył na środku pomieszczenia, nadal przebrany za kobietę.

Chłostanie niemiłosiernie kontynuowano.

Niewolnice wyły z bólu.

Sulla spacerował między stołami uginającymi się od jadła i napitków. Chwiał się pod wpływem alkoholu. Nie przestawał się śmiać. Miał czerwoną, przekrwioną twarz. Nie panował nad nogami, ale był szczęśliwy w tym świecie z powodu swojego wielkiego zwycięstwa nad wszystkim i wszystkimi.

Nagle targnęły nim wymioty.

Najpierw skulił się z powodu odruchu, potem opadł na kolana, oparł się o jedno z kline i zaczął wymiotować.

Śmiał się i wymiotował.

Gdy skończył wyrzucać z siebie wszystko, co pochłonął tego dnia, wstał i ruszył do stołu, żeby znów coś zjeść. I się napić. Przypomniawszy sobie o Cezarze przebywającym na wschodzie, tak daleko od wszystkich rzymskich przyjaciół, pod rozkazami Lukullusa. Znów zaczął się śmiać: ten przeklęty bratanek Mariusza był wreszcie martwy.

* „Niech go sobie biorą, lecz niech wiedzą, że ten, którego ocalenia tak bardzo pragną, kiedyś zgotuje zgubę stronnictwu optymatów, które wspólnymi siłami dotychczas zdołali ocalić od klęski; w tym Cezarze drzemie wielu Mariuszów”, Swetoniusz, *Żywoty Cezarów*, przeł. Janina Pliszczyńska, Warszawa 1954, s. 15–16.

ROZDZIAŁ LXXI

Życie przyjaciela

Mitylena, wyspa Lesbos *

78 r. p.n.e.

W lesie na wybrzeżu

Gajusz Juliusz Cezar nadal się nie poruszył.

„Jesteś bratankiem Gajusza Mariusza”.

Słowa Labienusa ciągle jeszcze odbijały się echem w jego głowie.

– Wezwij centurionów – powiedział wreszcie.

Labienus odetchnął z ulgą. Przyjaciel wracał do siebie. Nie wątpił w jego odwagę, ale to była pierwsza bitwa. Nikt nigdy nie wie, jak zareaguje w takiej sytuacji. Labienus obserwował przyjaciela podczas treningów na Polu Marsowym w Rzymie, a potem w obozach wojskowych, przez które przeszli i w których zakończyło się ich szkolenie. Cezar był dobry we wszystkich aspektach: w walce wręcz, szybkości reagowania, sprawności i wytrzymałości. Jeśli uda mu się przetrwać ten atak paniki, sprawdzi się na polu walki, Labienus był o tym przekonany. Nie miał wyjścia: sytuacja była trudna, a plan prokwestora okazał się szalony, zwłaszcza dla nich, dla centurii, które zostały na wyspie, czekając na powrót rzymskiej floty.

Po chwili Labienus i sześciu centurionów dowodzących jednostkami składającymi się na kohortę otoczyli Cezara.

– Ja stanę na czele pierwszej centurii naprzeciwko bramy, na tyle jednak daleko, żeby nie dosięgły nas strzały łuczników, którzy mogli zostać na murach. Labienus stanie po mojej prawej z drugą centurią i jeszcze jedna ustawi się po jego prawej. Reszta po mojej lewej. Przetniemy drogę wojsku Anaksagorasa

wracającemu z opuszczonego obozu. Wróg ma przewagę w stosunku jeden do pięciu, ale naszą misją jest tylko stawić opór i nie dopuścić, żeby dotarli do bramy miasta, dopóki nie wróci flota z resztą armii. Wtedy to my będziemy mieć przewagę liczebną i skoro oddziałów wroga nie będą chronić mury miasta, prokwestor i propretor wybiją je w pień. Jakieś pytania?

Nikt się nie odezwał. Żołnierze spodziewali się czegoś podobnego, gdy prawie cała armia odpłynęła bez nich. Teraz wszystko już zostało powiedziane i nie pozostawiało niedomówień.

– Żagle są już blisko. – Labienus wskazał na morze.

Między drzewami widać było maszty pierwszych statków rzymskiej floty, które podpływały do wybrzeża. Ten nowy horyzont przyniósł ulgę i zastrzyk zapału centurionom i legionistom, którzy oczywiście byli przerażeni tak wyraźną przewagą liczebną wroga. Widok nadpływającej floty sprawił, że kamień spadł im z serca. Wystarczyło przez jakiś czas wytrzymać, jak mówił młody trybun postawiony na ich czele. Dało się to zrobić. W ten sposób zdobędą miasto. I będzie łupienie, pieniądze, wino i kobiety. Przyszłość zapowiadała się jasno.

Opuszczony obóz rzymski

– Na Demeter, na Apolla i wszystkich bogów! – krzyknął Teofanes.

Anaksagoras odwrócił się i skierował wzrok na morze, w które wpatrywał się przerażony przywódca lokalnej arystokracji. Flota Rzymian wracała.

– Mmmm – wymamrotał satrapa przez zęby.

Był człowiekiem wojny. A bitwy mogły zakończyć się nieoczekiwanie. W jakiś sposób wcale nie zdziwił się obrotem rzeczy.

Zmarszczył czoło.

Przekalkulował wszystko.

Rzymskie statki nadal znajdowały się daleko, a prąd i wiatr działały na ich niekorzyść. Wystarczyło wycofać się i wrócić do punktu wyjścia. Mieli jeszcze żywność i studnie w mieście, które pozwolą im stawiać opór miesiącami. Pomoc Mitrydatesa przybędzie raczej wcześniej niż później i będzie skuteczna, a wtedy

Rzymianie naprawdę będą musieli się wynieść. Ta wycieczka okazała się korzystna: rozgrzali się i poczuli nieco wolności, a poza tym zebrali trochę żywności pozostawionej przez Rzymian i skonfiskowali ich broń...

– Mój panie, obrońco, tutaj! – krzyknął nagle jeden z oficerów.

Anaksagoras odwrócił się teraz w stronę miasta i zobaczył sześć centurii wychodzących z nieodległego lasu, odcinających mu drogę do Mityleny.

– To była pułapka – powiedział Teofanes nieco rozpaczliwie.

Anaksagoras myślał głośno:

– Niecałe pięciuset żołnierzy. Nas jest pięć razy więcej. Szybko się przez nich przebijemy i schronimy w mieście. Pittakos pilnuje otwartej bramy... – Spojrzał na morze. – Posejdon i Eol przysporzą mnóstwo pracy rzymskim marynarzom... Mamy czas... i mamy... – Odwrócił się bardzo wolno w stronę żołnierzy zbierających porzucone włócznie. – Niezły zbiór *pila*, mnóstwo broni do ciskania. Tak, Teofanesie, to jest pułapka, ale nie jestem pewien, czy to my w nią wpadliśmy. – Spojrzał ponownie na sześć centurii zagrażających mu drogę do miasta. – Zastanawiam się, kim jest dowódca kohorty wysłanej na... samobójczą misję.

– Do tego nas sprowadzono? – wtrącił się Teofanes, jakby pytając sam siebie, choć wiadomość była wyraźnie przeznaczona dla Anaksagorasa. – Wykorzystują nas, żeby rozwiązać wewnętrzne spory? Teraz mamy odwalać brudną robotę dla Rzymian?

Ale satrapie Mityleny nie spodobały się te słowa.

– Nie robię niczego brudnego – stwierdził, waząc w dłoni jedną z rzymskich włócznie. – To będzie szybka, czysta egzekucja. Wrócimy do miasta, zabijemy pięciuset legionistów, a przynajmniej większość z nich. Mitrydates nas za to w niedalekiej przyszłości nagrodi. Nie obchodzą mnie konflikty między Rzymianami. Walczę na rzecz interesów króla Pontu, a ty, Teofanesie, powinieneś robić to samo.

To był koniec dyskusji.

– Rozdać *pila*! – nakazał Anaksagoras oficerom. – Sformować falangę i czekać na mój rozkaz!

Na murach Mityleny

Pittakos obserwował ruchy rzymskich centurii i falangi sformowanej przez ludzi Anaksagorasa. Widział też rzymską flotę, która zbliżała się do wyspy, chociaż powoli.

– Łucznicy na pozycje – rozkazał oficerom. – Jeśli rzymskie centurie pod naporem Anaksagorasa spróbują wycofać się w stronę muru, wybić je.

Na morzu, niedaleko wybrzeży Lesbos

– Wiosłuj, wiosłuj! – krzyczał pilot statku.

Triera płynęła powoli, co zaczynało być denerwujące. Wybrzeże znajdowało się naprawdę blisko, ale mieli wrażenie, że w ogóle nie posuwają się do przodu. Wiał wiatr przeciwny. Zwinęli żagle. Trzeba było dopłynąć, wiosłując, ale nawet gdy wszyscy marynarze zasiedli do wiosł i robili to z całym zapalem, skutek był nikły.

Operacja za bardzo się opóźniała.

Minucjusz Termus wyczuł nerwowość wśród legionistów na statku.

– Boją się, że dotrzemy za późno, żeby pomóc kohorcie, którą zostawiliśmy na wyspie – powiedział cicho do Lukullusa.

Prokwestor skinął głową. Przed otrzymaniem listu z Rzymu uśmiechnąłby się w tym momencie. Dobrze wyliczone opóźnienie miało ułatwić zabicie młodego Cezara, co stanowiło główny cel misji. Ale teraz widział to zupełnie inaczej. Tyle że bogini Fortuna była kapryśna i plan toczył się swoim rytmem. Młody trybun zginie na Lesbos, u bram Mityleny, wraz z sześcioma centuriami. Lukullusowi żal było bardziej czterystu osiemdziesięciu legionistów, którzy towarzyszyli Cezarowi. To poświęcenie przed godziną usprawiedliwione życzeniem wszechpotężnego Sulli teraz wyglądało raczej na marnowanie wojska, którego bez wątplenia brakowało na wschodzie, żeby utrzymać się podczas prawie już odwiecznego konfliktu z Mitrydatesem.

– Szkoda – powiedział w końcu Lukullus. – Dobrze byłoby ocalić przynajmniej część z tych sześciu centurii.

To zdanie zbiło z tropu Minucjusza Termusa. Wyczuł, że prokwestor zmienił opinię co do swojego planu, ale nie rozumiał dlaczego. Ogarnęło go pewne przeczucie.

– Czy mogę wiedzieć, prokwestorze, co było w liście przywiezionym z Rzymu?
– spytał przenikliwie.

Lukullus nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w wybrzeże Lesbos.

Kohorta rzymska naprzeciwno Mityleny

– Utrzymać formację! *Testudo*, na mój rozkaz! – krzyczał Cezar, rozglądając się na boki.

Widział, jak falanga wroga z czołem szerokim na sześć centurii groźnie kroczy w ich stronę. Dostrzegł wolną przestrzeń między poszczególnymi centuriami i zdał sobie sprawę, że mogły stanowić miejsce, w którym przeciwnik się przebiję, a jeśli złączy legionistów w jedną grupę, szybko zostaną otoczeni: wróg miał wyraźną przewagę liczebną i mógł zaatakować ich skrzydła. Niemniej centurie w formacji *testudo* mogły sprawnie kontratakować.

Ale i tak nie wyglądało to dobrze.

Cezar spojrział na horyzont: statki zwinęły żagle. Wiatr im nie sprzyjał. Musiały użyć wiosel, co spowolni ich przypłynięcie. To nie był dobry znak.

Przypomniał sobie Kornelię, swoją córkę Julię, matkę, siostry... Bardzo możliwe, że już ich nigdy nie zobaczy.

Ale nie miał czasu na tęsknotę.

Przełknął ślinę, obserwując pochód wroga.

Falanga Anaksagorasa znajdowała się pięćset kroków od nich i szybko kroczyła do przodu. Nie nosili długich *saris* typowych dla tej formacji, lecz krótsze włócznie, gotowe do rzucenia. To wzbudziło czujność Cezara.

– *Testudo, testudo!* – krzyknął na całe gardło.

Tarcze ruszyły w górę.
Centurie się osłoniły.
Zaraz miał spaść deszcz żelaza.

Falanga Mityleny

Idąc za pierwszym szeregiem, Anaksagoras obliczał odpowiedni moment, żeby zacząć rzucać *pila*. Gdyby Rzymianie nie mieli tej przeklętej zdolności do zbijania się w oddziały szczelnie chronione tarczami, z całą pewnością jedna salwa zupełnie by wystarczyła. Ale w tej formacji obronnej częściowo się uratują. Oczywiście przewaga liczebna jego wojska zrobi resztę.

Obejrzał się w stronę morza: statki rzymskie nadal poruszały się z trudem i nie dotarły jeszcze do wybrzeża. Ma dużo czasu, żeby dokonać masakry w odpowiednim porządku. Podczas wojny nie należy się spieszyć. Trzeba zabijać dobrze i skutecznie. Spokojne wykonanie przynoszącego zwycięstwo manewru wywoływało absolutny niepokój wroga. Mógł wówczas poczuć nadchodzącą porażkę i śmierć, a to często zmuszało do ucieczki. A uciekający wróg łatwiej padał ofiarą. Dlatego Anaksagoras nie przyspieszył ruchu wojska. Ani rozkazu uderzenia.

Zrobi to w swoim czasie.

Świadomie zwlekał.

Dopóki nie poczuł, że nawet Teofanes patrzy na niego wyczekująco. Bezuszyteczny na wojnie, potrafiący jedynie pisać i negocjować układ z przegranymi. Tym właśnie był dla niego Teofanes. Jego niecierpliwość dawała Anaksagorasowi jeszcze większą pewność siebie. On rzeczywiście wiedział, jak to rozegrać.

Policzył od dziesięciu do jednego, cedząc kolejne słowa, żeby nie przyspieszyć przed chwilą, która jak sądził, jest stosowna: Δέκα, ἐννέα, ὀκτώ, ἐπτά, ἕξ, πέντε, τέτταρες, τρεῖς, δύο, εἷς.... Gdy wypowiedział „jeden”, krzyknął:

– Teraz! Rzucać *pila*, teraz!

Rzymskie centurie naprzeciwko Mityleny

Cezar zobaczył, jak niebo ciemnieje. Chmura złożona z ponad tysiąca włócznie była gęsta. To spowoduje straty w jego oddziałach.

Włócznie świszczały w powietrzu i zbliżał się moment, w którym zaczną bezlitośnie opadać.

Trzaski wywołane uderzeniem w tarcze i przebicciem wielu z nich rozbrzmiały w głowie młodego trybuna jak grzmot. Słyszał krzyk legionistów i widział ich trzymające tarcze ramiona przebite żelaznym deszczem.

– Aaaach!

Ze wszystkich stron.

Cezar miał szczęście i jego tarcza pozostała nietknięta. Stał w pierwszym szeregu, jak jego wuj pod *Aquae Sextiae*, żeby dać przykład odwagi, a wróg skierował włócznie w centrum jego kohorty, chcąc spowodować maksymalnie dużo strat. Więcej było rannych niż martwych, ale i tak straty były poważne. Z drugiej strony jednak każdy kwadrat każdej centurii pozostał nietknięty na swoich zewnętrznych szeregach; martwi i ranni padali w centrum *testudo*. Dużo ich. Za dużo. Legionista stojący obok Cezara opuścił broń. Włócznia przebiła mu ramię i nie był w stanie utrzymać tarczy wysoko.

– Przykro mi, trybunie – powiedział żołnierz przez łzy z bólu.

– Już dobrze – odparł Cezar. – Teraz będziemy walczyć wręcz. Utrzymaj tarczę... – Chciał mu powiedzieć, żeby miał ją przed sobą podczas zderzenia z wrogiem, ale zdał sobie sprawę, że włócznia nadal tkwi w drewnie. Tarcza nie nadawała się do użytku.

Na krótką chwilę zatrzymało się mu serce.

Olśniło go.

Wbił wzrok we włócznię: rzucono w nich rzymskimi *pila*. Tylko one potrafiły rozpaść się w ten sposób, oddzielając drewnianą część od tej żelaznej, żeby uczynić tarczę niezdatną...

Rozejrzał się szybko i zrozumiał, że w tarcze jego ludzi wbiły się *pila*, dziesiątki, setki rzymskich włócznie. Własna broń zabiła i zraniła wielu legionistów.

Skąd Anaksagoras je wziął? Z obozu rzymskiego? Ale... jak Lukullus i Termus mogli pozwolić na pozostawienie tej broni w obozie? Jak...? Już nie zadawał sobie więcej pytań. Nagle dzięki nadpobudliwości umysłu w momencie walki bardzo szybko ocenił fakty i okoliczności – wszystko zaczęło się układać: Lukullus był prawą ręką Sulli na wschodzie, a Sulla zawsze pożył śmierci Gajusza Juliusza Cezara, który mu się sprzeciwił i nie zgodził się na rozwód z Kornelią oraz małżeństwo z matroną bliską Sulli. Dyktator nigdy nie wybaczał. Ten publiczny akt był tylko przedstawieniem. Nadal go nienawidził. Bał się, ponieważ Cezar był bratankiem Mariusza. Przypomnił sobie jego słowa: „Twoi wrogowie, którzy są moimi wrogami, wybaczą ci wszystko poza jednym: Sulla nigdy nie wybaczy ci, że jesteś moim bratankiem, a Dolabella, jego prawa ręka, jego pies gończy, będzie miał jeszcze mniej zrozumienia. Przykro mi, chłopcze, będziesz musiał z tym żyć. Będziesz musiał spróbować to przetrwać”.

Cezar widział wszystko wyraźnie: plan powstał tylko po to, żeby go zabić, nawet jeśli przy okazji zginą żołnierze sześciu centurii.

Wojsko Mityleny parło do przodu.

Z formacji *testudo*, przytłoczony okrzykami rannych, spojrział w stronę morza. Statki nadal nie dotarły do wybrzeża. Spóźnił się. Lukullus zrzuci winę na wiatr, na prądy morskie, ale był przecież doświadczonym żeglarzem. Nie mógł popełnić tak poważnego błędu, chyba że zrobił to celowo. Wszystko dobrze sobie zaplanował. Zostawił *pila*, żeby ułatwić Anaksagorasowi wybicie kohorty – to był ostateczny cios.

Falanga wroga postępowała do przodu.

Cezar myślał szybko. Miał trzy wyjścia. Pierwsze: pospieszny odwrót do lasu. Tam mogliby się ukryć. Byłby to akt tchórzostwa i niewypełnienie rozkazów, w których kazano im nie dopuścić do powrotu Anaksagorasa do miasta. W ten sposób narażał się co najmniej na *gradus deiectio*, degradację, lub *ignominia missio*, wyrzucenie z wojska. A może nawet Lukullus by go stracił za bunt, ściął mu głowę na oczach legionistów. O ile oczywiście uszedłby z życiem i podczas ucieczki nie trafiłaby go włócznia wroga.

Drugie wyjście polegało na dokładnym wypełnieniu rozkazów prokwestora i próbie utrzymania jak najdłużej swoich pozycji, żeby przeszkodzić Anaksagorasowi w powrocie do miasta. W ten sposób Lukullus i Termus zyskaliby czas na wylądowanie z resztą wojska, które jednak jak dotąd nie dotarło do wybrzeża. To była misja samobójcza dla Cezara i jego ludzi, którzy jeszcze żyli. Stwierdził, że ma nadal do dyspozycji dwie trzecie z tych czterystu osiemdziesięciu legionistów, których zaatakowano śmiertelnościami włóczniami. To również nie było odpowiednie wyjście. Zginą wszyscy, a jeśli powrót Lukullusa się opóźni, nie osiągną celu. Anaksagoras zdoła schronić się za bramą Mityleny i ocali swoje wojsko.

Falanga się zbliżała.

Trzeba coś zrobić.

Podjąć decyzję, przede wszystkim podjąć decyzję.

– *Pila ! W górę!* – wrzasnął Cezar.

Jego ludzie przygotowali własne włócznie.

Wróg był blisko.

– Teraz! Rzucać! Na Jowisza! – nakazał Cezar.

Widział, że niektórzy ranni wysilali się, żeby z wściekłością cisnąć broń w stronę wroga.

Falanga odnotowała straty.

Sporo.

Ale było ich dużo.

Cezar zobaczył, że Anaksagoras szybko przeorganizował oddziały, by zapęnić powstałe z powodu śmierci żołnierzy luki, i parł dalej do przodu.

Statki Lukullusa płynęły na wiosłach, ale wyglądało to, jakby zatrzymały się na morzu.

Cezar przełknął ślinę i nadal myślał.

Miał trzy wyjścia. Trzy. Nie uciekać do lasu ani nie zostawać tutaj. Trzecia opcja. Ale jeśli nie wypełni planu Lukullusa, wszyscy pomyślą, że jest tchórzem,

przeklętym tchórzem...

Nagle przypomniał sobie słowa wuja, radę, której udzielił mu Mariusz tamtego dnia w tawernie nad Tybrem, gdy opowiadał o bitwie pod Aquae Sextiae. Radę, którą Cezar miał wypisaną w głębi serca, wykutą jak w kamieniu: „Możesz udać, że jesteś tchórzem i wcale nim nie być, możesz udać, że jesteś kiepski i wcale taki nie być. Najważniejsze jest zwycięstwo. Nieważne, czy nazwą cię tchórzem. Nie stawaj do walki, dopóki nie uwierzysz w swoją wiktoryę. Pamięta się tylko tego, kto zwyciężył. Wszystko, co wydarzyło się przed walką, zostaje zapomniane. Pamiętaj, chłopcze, nie rzucaj się do walki, jeśli nie możesz jej wygrać”.

Falanga wroga nadal się zbliżała. Było ich pięć razy więcej.

– To nie ma sensu – wycedził Cezar przez zęby.

Żołnierze Anaksagorasa zmiotą ich z powierzchni ziemi.

Istniało trzecie wyjście.

– Do miasta! Wszyscy! Za mną! – wrzasnął Cezar, ku zaskoczeniu swoich ludzi wskazując mury Mityleny.

Falanga wojsk Mityleny

Anaksagoras obserwował, jak sześć rzymskich centurii rozformowało się i rozpoczęło szybki odwrót... ale nie w stronę lasu, z którego wyszli, lecz ku miastu. W pierwszej chwili uśmiechnął się na ten widok: właśnie coś takiego chciał sprowokować. Teraz wszystko będzie łatwe. Niemniej jednak... dlaczego uciekali do miasta, pod jego mury obstawione łucznikami? Bardziej logiczny byłby powrót do lasu i próba ukrycia się do chwili przybycia reszty rzymskiej armii. Chociaż Anaksagoras widział, że statki Rzymu potrzebowały jeszcze tyle czasu na przybicie do brzegu, że on mógł bez problemu otoczyć kohortę w lesie, wybić ją i wrócić bezpiecznie do miasta. W każdym razie ucieczka w stronę murów przyspieszała śmierć legionistów.

Marszczył mocno czoło, obserwując działania wroga. Nagle zrozumiał. To nie była ucieczka. To był po prostu atak. Z małymi szansami na powodzenie, ale mimo wszystko. Pozostawanie na pozycjach przed jego falangą oznaczało dla tych

Rzymian samobójstwo. Jako żołnierz nie mógł nie podziwiać inteligencji tego, kto dowodził tymi sześcioma centuriami.

– Oszaleli – powiedział Teofanes. – Łucznicy ich wybiją. To wszystko pójdzie jeszcze bardziej gładko.

Anaksagoras jednak pokręcił głową.

– Ten, kto dał rozkaz odwrotu w kierunku miasta, nie oszalał – powiedział. – Mamy tam łuczników, ale nie żołnierzy. Jeśli Rzymianie dotrą do bramy, będziemy mieli problem. A jeśli Pittakos będzie zmuszony ją zamknąć – jeszcze jeden. Nie, dowódca tych centurii, kimkolwiek jest, nie oszalał. – Szybciej! – rozkazał żołnierzom.

Anaksagoras dostrzegł nagle, że zaczyna mu brakować czasu.

Mury Mityleny **

Pittakos z powagą, ale też spokojem obserwował ruchy falangi Anaksagorasa i sześciu rzymskich centurii. Widział też, że flota wroga zbliża się do plaży i nie miał wątpliwości, że rzymski manewr okazał się podstępem, aby wyprowadzić wojska z miasta. Wszystko jednak znajdowało się pod kontrolą: Rzymianie nie zostawili odpowiedniej liczby legionistów, żeby utrudnić powrót Anaksagorasa i jego ludzi do Mityleny. Satrapa dobrze zrobił, wychodząc poza mury z siłami zdolnymi wydostać się z tej pułapki. Teraz zmiecie z drogi rzymską kohortę, a gdy wróci za mury, zamknie bramę i Rzymianie jedynie stracą na darmo kilka setek ludzi. Głupi sposób na wojowanie. Ale... Co robią te centurie? Uciekają. Można się było tego spodziewać po brutalnym deszczu włóczni wypuszczonych przez wojów Anaksagorasa. Ale Rzymianie biegli w formacji, w porządku w stronę... otwartej bramy Mityleny.

– Łucznicy! Gotować się! Na Apolla, gotować się! – krzyknął Pittakos do ludzi, których miał do dyspozycji na murach. – Celować w Rzymian! Celować!

Centurie rzymskie pod murami Mityleny

– Do miasta, do bramy! – krzyknął rozgorączkowany Cezar. – Na Jowisza! Za mną! Wszyscy! Do Mityleny! – W jego umyśle odtwarzały się nieustannie słowa Mariusza: „Pamiętaj, chłopcze, nie rzucaj się do walki, jeśli nie możesz jej wygrać”.

Tytus Labienus przyjął ten rozkaz z zaskoczeniem.

– Do miasta! Do miasta, na Herkulesa! – nie przestawał krzyżeć Cezar. – Zachować *testudo*, ale szybko się ruszać, do miasta! Do bramy!

Labienus zawsze myślał trochę wolniej od przyjaciela, ale zaczął rozumieć, że to mogło być najlepsze wyjście: ucieczka w stronę lasu oznaczała niewypełnienie rozkazów, a walka z falangą Anaksagorasa – samobójstwo. Zostało im tylko przejęcie kontroli nad bramą do miasta. To było szaleństwo, ale możliwe do wykonania. Trudne, lecz przynajmniej dawało szansę.

– Do miasta! W *testudo*! – powtórzył Labienus, a za nim ten sam rozkaz podali centurioni.

Brakowało jednak niezbędnego szczegółu. Zbliżenie do muru oznaczało narażenie się na kolejny deszcz żelaza, tym razem strzał, dlatego mieli zachować formację *testudo*. Ale nie mogli przejść przez bramę naraz, brakowało na to miejsca. Trzeba było wydać rozkaz przeformowania.

I został on wydany:

– Do bramy w szyku bitewnym! – krzyknął Cezar. – W szyku bitewnym, na Herkulesa!

Reforma jego wuja Mariusza zakładała, że wszystkie centurie kohorty składały się z ludzi z tym samym uzbrojeniem. Kohorty z kolei różniły się tylko doświadczeniem w walce. Centurie były ustawione hierarchicznie i w bardzo dokładnym porządku bitewnym, który znali na pamięć żołnierze i oficerowie. Dlatego centuria III ustawiła się szybko na szpicy i jako pierwsza została zaatakowana gradem strzał z murów, ale chroniona przez tarcze – mimo pewnej liczby rannych – parła naprzód. Po brutalnym zalewie *pila* strzały prawie nie były legionistom straszne. Natychmiast za nią ustawiła się centuria VI, potem II, którą

dowodził Labienus, za nimi centuria V i tuż za nią centuria I z Cezarem na czele. Węza osłoniętego uniesionymi tarczami zamykała centuria IV. Ten porządek przypominał tamten z dawnych czasów, gdy centurie różniły się uzbrojeniem, ale wszyscy go znali i bez zastanawiania się w taki sposób się ustawiali. Nie było już czasu na namysł. A jeśli nawet, to legionieści przeczuwali, że Juliusz Cezar myśli za nich wszystkich.

Na murach Mityleny

– Na Apolla! Wybić ich! Wybić ich! – powtarzał niezmordowanie Pittakos, widząc, jak mimo wypuszczanych strzał chronieni przez tarcze żołnierze rzymscy, zostawiwszy tych, co padli od włóczni, podchodzili blisko do bramy miasta, szeroko otwartej, żeby ułatwić powrót Anaksagorasa, który nie zdążył jeszcze zareagować na ten zaskakujący manewr kohorty.

Pittakos chciał zamknąć bramę, żeby odciąć drogę nieprzyjacielowi, ale to wymagało czasu. A jej późniejsze otwarcie, gdy Anaksagoras zmasakruje centurie, również trwałoby za długo. Tymczasem ze statków rzymskiej floty wyskakiwali już legionieści. Wszystko w dziwny sposób się komplikowało. A to dlatego, że dowódca kohorty wpadł na pomysł, żeby ruszyć w stronę Mityleny. Nie. Lepiej zostawić bramę otwartą, nawet jeśli oznaczałoby to, że legionieści wkroczą do miasta. Można walczyć z nimi w środku i w ten sposób ułatwić odwrót Anaksagorasowi. Zamkną ją zaraz za jego wojskiem, pozostawiając na zewnątrz legion Lukullusa i Termusa. To było najważniejsze. Wybicie na ulicach Rzymian z sześciu centurii, którzy pozostaną jeszcze przy życiu, będzie kwestią czasu. Dzięki przewadze liczebnej po powrocie wojska Anaksagorasa sytuacja zostanie opanowana.

– Zamykamy bramę, panie? – spytali Pittakosa.

– Nie – odparł. – Poczekamy na powrót Anaksagorasa. Zbierzcie ludzi, którzy nie są łucznikami, i spróbujcie powstrzymać Rzymian przy murach.

Wojsko Mityleny poza murami miasta

Anaksagoras zaczął reorganizację wojska w długą formację, niczym wąż pełznący za tym pierwszym, złożonym z rzymskich centurii, ponieważ teraz najważniejszy był powrót do miasta. Potem zmasakrują Rzymian. Dostrzegł, że Pittakos koordynuje z nim swoje działania i pozostawia bramę otwartą.

– Świetnie. Wszystko pójdzie dobrze – wymamrotał do siebie.

Przed bramą miasta

Legioniści ponieśli dalsze straty pod nieustającym zalewem strzał, ale centurie III i VI już wchodziły przez bramę. Za nią natknęli się na regiment złożony z kilku tuzinów żołnierzy nieprzyjaciela, którzy próbowali ich powstrzymać, ale Anaksagoras zabrał najlepszych ludzi. Mimo że kohorta X, którą Lukullus oddał pod dowództwo Cezara, składała się z mało doświadczonych legionistów, byli oni dobrze wyszkoleni i po tym, jak przeżyli dwa bezlitosne ataki i widzieli śmierć wielu towarzyszy, pożądali zemsty. Wreszcie mogli bić się wręcz, do czego zostali wytrenowani.

Ci w pierwszej linii ochraniali się tarczami i wciskali między nie miecze, którymi kłuli przeciwnika, za to reszta trzymała tarcze w górze i broniła się przed strzałami.

Legioniści z pierwszej linii kłuli i kłuli mieczami.

Z wściekłością.

Pchali też wroga za pomocą *umbones* tarczy, a potem znów kłuli z wściekłością, która była praktycznie wynikiem hysterii wymieszanej z adrenaliną, bo walczyli o życie.

O przetrwanie.

Walczyli, jakby zaraz miał skończyć się świat.

Dwie pierwsze centurie przedarły się między nielicznymi ludźmi, jakich udało się zebrać Pittakosowi. On sam nadal znajdował się na murze, skąd kierował łucznikami strzelającymi do Rzymian. Garstka obrońców Mityleny, którzy stawili czoło wrogowi w bramie, została zmasakrowana i Pittakos kazał teraz strzelać łucznikom na ślepo.

Rzymianie nadal chronili się pod uniesionymi tarczami. Ale... co mieli robić teraz, gdy byli już w mieście? Gdzie są trybuni? Potrzebne były nowe rozkazy...

Okazało się, że nie wszystko podczas ucieczki do miasta poszło dobrze.

Labienus padł w walce.

Strzała przebiła mu nogę. Żył, ale leżał na ziemi jakieś dwieście kroków od bramy, przy której centurie walczyły o kontrolę nad wejściem do miasta.

Cezar dotarł ze swoją centurią do bramy i dostrzegł nieporządek wśród żołnierzy. Poszukał Labienusa. Nigdzie nie było go widać. Najpierw jednak trzeba zorganizować legionistów.

– Centurie III, VI i II do miasta, w całości! – rozkazał. – Bronić dostępu do łańcuchów bramy za wszelką cenę! Zabić każdego, kto się zbliży! Dajcie znać, gdy przejmiecie kontrolę nad łańcuchami, na Jowisza!

Dostali wyraźne rozkazy i pod dowództwem centurionów II i III ruszyli je wypełnić. Centurion VI zginął.

– Centurie V, I i IV za mną! Wyjdziemy na zewnątrz, stawimy czoło ludziom Anaksagorasa! – krzyknął i dopiero potem spytał centuriona: – Gdzie drugi trybun?

– Ranny, tam, między padłymi pod murem. – Żołnierz wskazał na leżącego na ziemi Tytusa Labienusa, który chronił się tarczą przed strzałami nadal wypuszczanym przez paru łuczników.

Ludzie Anaksagorasa byli blisko Labienusa. Idąc w stronę bramy, metodycznie przebijali mieczami wszystkich żołnierzy, którzy padli lub zostali ranni w walce. Anaksagoras upewniał się, że nie zostawia za sobą żywych Rzymian. Labienus nie miał szans. To była tylko kwestia czasu, krótkiego czasu, dopóki któryś z wojowników Anaksagorasa nie dobije rannego trybuna.

* Patrz mapa [9].

** Patrz mapa [10].

ROZDZIAŁ LXXII

Rozkazy Cezara

Mitylena, wyspa Lesbos

78 r. p.n.e.

Przed bramą miasta

Cezar odwrócił się do dowódcy centurii I. Po raz drugi miał wydać na polu walki własne rozkazy, a nie powtórzyć otrzymane od przełożonych. Rozkazy, które sam obmyślił. Pierwsze odnosiły się do przejęcia kontroli nad bramą. A raczej próby przejęcia tej kontroli. Czy im się to uda, jeszcze się okaże. Teraz podejmowanie decyzji i wydawanie rozkazów stawało się dla niego proste, ale nie miał czasu, żeby się nad tym zastanowić. Piliła kwestia Labienusa.

– Utrzymać pozycję! Idę po rannego trybuna, ale jeśli Anaksagoras nas dopadnie, macie zamknąć bramę. Jasne? Nieważne, co się stanie, nieważne, czy trybun Labienus i ja zdołamy wejść do miasta, twoja misja polega na zamknięciu bramy, zanim dotrą do niej żołnierze Anaksagorasa. Zrozumiałeś?

Centurion skinął głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

– Powiedz, że zrozumiałeś, do diaska! – krzyknął Cezar, opryskując go swoją śliną i złością.

– Zrozumiałem, trybunie!

Cezar położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął je, co oznaczało, że go docenia. Centurion był od niego dwa razy starszy, ale patrzył na trybuna jednocześnie ze zdziwieniem i z podziwem. Cezar się odwrócił. Wciągnął głęboko powietrze. Będzie biegł. Odrzucił tarczę, bo ważyła za dużo, a prędkość była teraz najważniejsza. Potem wezmą tarczę Labienusa.

Biegł nierównym zygzakiem, bez rozpoznawalnej sekwencji. Wokół spadło kilka strzał, ale dzięki jego prędkości i ciągłym zmianom kierunku łucznicy nie byli w stanie dobrze wymierzyć. Poza tym Pittakos kazał im strzelać w największe skupiska Rzymian, tuż pod murami, blisko bramy. Nie chcieli marnować strzał na trudny do powalenia cel.

Cezar dopadł Labienusa.

– Możesz wstać? – spytał.

– Nie wiem... – odparł Labienus. – Nie wiem... ale... oszalałeś: idź stąd... – powiedział, z trudem wyrzucając z siebie słowa, gdyż tłumił je ból pochodzący z przebitej lewej łydki.

– Zamknij się i wstawaj, na wszystkich bogów! – nakazał mu Cezar, chwytając ramię przyjaciela. Nie było czasu na dyskusje. – Do góry!

Podniósł go z siłą, która zaskoczyła Labienusa.

– Nie będę mógł... iść!

– Zamknij się i w drogę albo sam cię zabiję! – rzucił Cezar tak władczo, że Labienus zamilkł i opierając się na przyjacielu, ruszył, choć powoli i z trudem.

Cezar jedną ręką podtrzymywał Labienusa, drugą chwycił tarczę, żeby osłonić ich przed strzałami, które jeszcze sporadycznie padały wokół. Nie było ich wiele, bo zbliżyli się do nich ludzie Anaksagorasa i łucznicy na murze, na rozkaz samego Pittakosa, nadal skupiali się na centuriach, które walczyły o kontrolę nad wielkimi łańcuchami służącymi do otwierania i zamykania bramy.

Dowódca centurii I patrzył w kierunku trybunów. Zbliżali się do nich ludzie Anaksagorasa.

– Nie uda im się – powiedział stojący za nim *optio*.

Centurion skinął głową.

– Nie, nie uda im się – zgodził się, a potem przeklął bogów, ich szczęście i boginię Fortunę oraz wszystkich żołnierzy Mityleny.

Był weteranem pierwszej wojny przeciwko Mitrydatesowi. Wielokrotnie brał udział w bitwach i zdarzyło mu się walczyć pod rozkazami przełożonych

inteligentnych i nieudolnych, tchórzy i pełnych odwagi, szybkich w podejmowaniu decyzji i przygnębiająco wolnych. Widział wielu patrycjuszy, którzy stawali się trybunami tylko dlatego, że należeli do arystokracji, ale nie byli zdolni do dowodzenia w sytuacjach krytycznych, unikali walki wręcz na pierwszej linii, z którego to powodu on sam widział śmierć wielu towarzyszy. Ale nigdy nie spotkał jeszcze patrycjuszowskiego trybuna, który wykazałby się taką odwagą i śmiałością, jaką demonstrował właśnie Juliusz Cezar. Ryzykował życiem, dosłownie, żeby ocalić innego oficera.

– Niech to szlag! – powtarzał nieustannie, a potem zwrócił się w stronę *optia* i dowódców centurii V i IV. – Gdy tylko przejmiecie kontrolę nad łańcuchami, zacznijcie zamykać bramę. Ja z centurią I idę po trybunów!

Oficerowie, którzy rozumieli, jak ważne jest zamknięcie bramy, nim falanga Anaksagorasa zetknie się z legionem pod dowództwem Lukullusa, który nadciągał od strony wybrzeża, uznali ten rozkaz za właściwy. Wszyscy oni, jak również legioniści, byli pełni podziwu dla odwagi swoich dowódców i uznali, że warto, by centuria I próbowała dać im przynajmniej szansę.

– Idziemy, niech to szlag, idziemy! – krzyknął centurion.

Pod murami Mityleny

Tylna część falangi, pozycja Anaksagorasa

Satrapa dostrzegł dwóch trybunów z trudem zmierzających w stronę bramy. Byliby dla niego świetnym trofeum – mógłby stracić ich na oczach mieszkańców Mityleny, a potem rzucić ich głowy z murów, żeby w ten sposób obniżyć morale Lukullusa, Termusa i reszty Rzymian.

Uśmiechnął się na tę myśl. Doceniał odwagę tych trybunów, ale wojna to wojna...

Był już blisko, gdy zobaczył nadciągającą od strony bramy centurię. Natychmiast zapomniał o trybunach, choć widział wyraźnie, że centuria ruszyła im na ratunek. Myślał raczej o tym, że brama znajduje się bardziej w rękach Rzymian niż ludzi Pittakosa: jeśli legioniści ją zamkną, oni zostaną na zewnątrz i... Spojrzał

za siebie: wojsko Lukullusa i Termusa nadciągało od strony plaży w szyku bojowym i miało nad jego ludźmi przewagę liczebną. Legioniści wiedzieli, że właśnie zabił wielu spośród ich towarzyszy. Jeśli Anaksagoras się czegoś nauczył podczas wojny z rzymskimi legionami, to właśnie tego, że potrafiły walczyć szczególnie zawzięcie, gdy mściły się za zabitych przyjaciół.

Uśmiech zniknął mu z twarzy.

Czasami wojna to przeklęta sprawa.

Pod murami Mityleny

Pozycja Cezara i Labienusa

– Ruszaj się, do diaska! – krzyczał Cezar.

– Nie mogę! Na wszystkich bogów, zostaw mnie! – odpowiadał Labienus, ale jego skargi na nic się nie zdawały, bo Cezar nadal go uparcie podtrzymywał.

Szli do przodu, ale powoli, a ludzie Anaksagorasa byli tuż za nimi... Nagle podbiegła do nich centuria I i stanęła między żołnierzami satrapy a trybunami.

– Kłuć! Kłuć! – wrzeszczał centurion.

Cezar nie mógł w to uwierzyć. Wyglądało to tak, jakby wszyscy legioniści zarazili się jego wściekłością i energią. Nagle wszystko było możliwe. Dwóch żołnierzy podeszło do Cezara.

– Weźmiemy trybuna – powiedzieli i przejęli na siebie ciągnięcie Labienusa do bramy miasta.

Cezar oddał im rannego przyjaciela i stanął u boku centuriona z mieczem w rękę i tarczą Labienusa. Dołączył do walki jako jeszcze jeden żołnierz w formacji niewielkiego *testudo*, którego połowa padła. Kłuć mieczem z furją, brutalnie. Nie sprawiało mu to trudu. Wystarczyło, że wyobraził sobie, że przeciwnik stanowił długie ramię tego nędznika Sulli, a on przecież, choć nieświadomie, rzeczywiście tym był.

Nawet w samym środku krwawego szału zachował trzeźwe postrzeżenie celów wojskowych i nakazał uporządkowany odwrót do bramy, nadal otwartej.

– Szybko, centurionie, albo zostaniemy na zewnątrz – rzucił.

Oficer skinął głową.

– Wycofać się żwawo! – krzyknął do swoich ludzi.

Padły jeszcze pojedyncze strzały, ale byli już blisko bramy, która powoli zaczynała się zamykać. Pozostali centurioni wypełnili rozkazy i gdy tylko przejęli kontrolę nad łańcuchami, które wprawiały w ruch olbrzymie drewniane koła, zaczęły zamykać ciężkie żelazne skrzydła broniące dostępu do miasta.

Na murach

Pittakos bezradnie obserwował zamykanie bramy: brakowało mu żołnierzy, bo tych zabrał ze sobą Anaksagoras, a łucznicy mieli już niewiele strzał.

Nic nie mógł zrobić.

Tylko patrzeć na klęskę.

Wszystko stracone.

A może nie?

Rozejrzał się. Miał pod swoimi rozkazami około trzystu łuczników.

Spojrzał w dół: oddział wroga liczył niewiele ponad dwustu żołnierzy – włącznie wypuszczone przez ludzi Anaksagorasa i strzały jego łuczników sprawiły, że Rzymianie stracili połowę z sześciu centurii. Walka była więc wyrównana.

Pittakos pokręcił szyją i powoli ją rozluźnił. Zejdzie. A wraz z nim łucznicy gotowi walczyć wręcz i odzyskać kontrolę nad wielkimi kołami, na które nawinięto łańcuchy sterujące bramą.

Przed bramą Mityleny

Centuria I kohorty Cezara

– Rzucić tarcze i biec do bramy, już! Na Jowisza! – krzyknął Cezar, widząc, że łucznicy opuszczają mury.

Atak legionistów z centurii I powstrzymał pierwsze uderzenie żołnierzy Anaksagorasa; ci spodziewali się kolejnego ataku z większą liczbą ludzi. Wtedy

właśnie Rzymianie wykorzystali chwilę zawieszenia na szybki odwrót w stronę bramy, która powoli, lecz nieubłaganie się zamykała, zgodnie z rozkazami Cezara.

Labienus z pomocą dwóch legionistów przeszedł na drugą stronę murów, a za nim ruszyli ocaleńcy z centurii I, którzy przybyli mu na ratunek. Był wśród nich także ich centurion. Gdy prawie nie było już miejsca, żeby wcisnąć się między dwa ogromne żelazne skrzydła zamykające się ze zgrzytem pod wpływem własnego ciężaru, do środka przedostał się Gajusz Juliusz Cezar. Nikt jednak nie był w stanie zapobiec temu, żeby to samo zrobiło trzech żołnierzy Anaksagorasa. Czwarty utknął między skrzydłami bramy i słychać było teraz, jak pod naciskiem bezlitośnie zamykających się skrzydeł trzaskają jego kości. Wreszcie ciało nieszczęśnika zostało zgniecione. Wyglądało to tak, jakby wybuchł; krwawy deszcz zalał okolice bramy w obrębie murów. Wśród tej czerwieni Cezar wystawił swój miecz i rzucił się na żołnierzy wroga, którym udało się przedostać. Dołączyli do niego legionści z centurii I. Wystarczyło jedno mrugnięcie okiem, a żołnierze Anaksagorasa otrzymali ciosy w pierś i szyję z obu stron i natychmiast padli martwi.

Brama nadal się zamykała, ale czaszka tego, który utknął między jej skrzydłami, nie pozwalała na zakończenie tego procesu. Cezar wrzasnął do ludzi stojących przy kołach mechanizmu.

– Pchać! Pchać! – nakazał.

Posłuchali i czaszka również pękła, zgnieciona dwoma skrzydłami z żelaza, a krwawy deszcz tym razem skropił samego Cezara. Wreszcie usłyszeli dźwięczny, grzmiący odgłos, ogłaszający wszem wobec, że brama Mityleny całkowicie się zamknęła.

Falanga Anaksagorasa

Anaksagoras i jego ludzie znajdowali się na zewnątrz – dwa i pół tysiąca dobrze uzbrojonych żołnierzy – ale zaraz za nimi nadciągało od strony morza osiem tysięcy legionistów w szyku bojowym. Był to cały legion wraz z licznymi *vexillationes*, które przywiozła flota prokwestora.

Wojsko pod dowództwem Lukullusa

Lukullus i Termus opuścili trierę.

Niezależnie od spisków i mrocznych działań politycznych, obaj na polu bitwy byli dobrymi dowódcami. Cezar i Labienus zmienili pierwotny plan, ale rezultat okazał się lepszy, niż zakładano: udało im się nie tylko nie dopuścić do powrotu wojska Anaksagorasa do miasta, ale wręcz zupełnie im to uniemożliwić po przejściu kontroli nad bramą Mityleny i jej zamknięciu przed wojownikami, którzy teraz znajdowali się na otwartym polu.

– Jeśli kontrolują bramę i zdołają zapobiec jej otwarciu, mamy ich – powiedział Minucjusz Termus.

– Zgadza się – potwierdził Lucjusz Licyniusz Lukullus.

W jego głosie można było wyczuć pewne zaskoczenie i nieco podziwu dla wyczynu Juliusza Cezara, który powinien paść martwy, a jednak w ten poranek zmieniał się na oczach wszystkich w bohatera wojennego. Na Lesbos, w miejscu tak odległym, że trzeba było kilku tygodni, żeby przekazać nowiny z Rzymu. Kilku tygodni. Lukullus zmarszczył czoło.

W ciągu tych tygodni w Rzymie wszystko mogło się zmienić, a on nic by o tym nie wiedział.

– Ale Cezar nadal może paść w walce – dodał propretor, który ciągle nie odgadł, co myśli o tym wszystkim Lukullus, po którym spodziewał się większego przejścia faktem, że trybun zmodyfikował rozkazy i zamiast zginąć, heroicznie walczył. – Wiele godzin zajmie nam wybicie ludzi Anaksagorasa. A Cezar będzie musiał przetrwać ten czas w środku z ledwie garstką ludzi.

– Wiele godzin – zgodził się enigmatycznie prokwesor. Termus nadal nie wiedział, czy jego przełożonemu wydaje się to dobre, czy złe.

Brama Mityleny, w mieście

Labienus oparł się o mur. Skrzydła bramy zamknęły się. Słyszeli, jak ludzie Anaksagorasa walą w nie po drugiej stronie, rzucając greckie bluzgi, które zarówno Cezar, jak i on sam świetnie rozumieli:

– Otwierać, przekłęci, otwierać!

Cezar i Labienus spojrzeli na siebie.

– Teraz musimy wytrzymać – powiedział Cezar. – Nie dopuścić do otwarcia bramy.

Labienus skinął głową. Na jego twarzy pojawiło się wywołane bólem skrzywienie. Noga nadal krwawiła.

– Przewiąż czymś nogę w udzie, pasem od miecza na przykład – powiedział Cezar. – To powstrzyma upływ krwi. Niech medycy z *valetudinarius* legionu mają łatwą robotę.

Labienus skinął głową i zdjął pas, żeby ścisnąć nim nogę. Gdy wstał chwilę później, jego przyjaciel już był między centuriami i organizował obronę.

– *Testudo!* – krzyczał. – I kłuć wszystko, co się zbliży!

Nie był to zbyt błyskotliwy plan, ale łatwy w realizacji.

Pittakos zszedł z muru. Wiedział, że strzałami nie pokona tych nędznych Rzymian, którzy wcisnęli się do miasta. A przynajmniej nie uda mu się tego zrobić na tyle szybko, żeby zdążyć otworzyć bramę, by Anaksagoras wszedł z wojskiem do miasta i zorganizował jego obronę przed nadciągającym legionem.

– Idziemy! Za mną! – nakazał Pittakos.

Nie było sensu zostawiać łuczników na murach, gdy wojsko pod nimi to byli ludzie Anaksagorasa, a nie Rzymianie. Pittakos musiał przełamać obronę centurii, które zorganizowały się przy bramie i kontrolowały mechanizm jej otwierania i zamykania.

Stanął w pierwszej linii, żeby dać przykład.

Jego żołnierze chwycili włócznie i miecze, wszystko, co mieli, i ruszyli na *testudo* ludzi Cezara.

Pod murami Mityleny

Liczna falanga Anaksagorasa tworzyła długi front bitewny, toteż Lukullus postanowił wystawić podobną formację *triplex acies*, ale z pewną zmianą. Nie miał

do dyspozycji kohorty X, którą Cezar poprowadził za mury Mityleny. Miał więc tylko dwie kohorty z pierwszej linii, co nie wystarczało, żeby stawić czoło falandze. Dlatego nakazał, żeby wszystkie wojska pomocnicze i *vexillationes* stanęły przed legionem i rzuciły się przeciwko falandze wroga. Za nimi ruszyć miały kohorty VII, IX, V, VI i VIII – w drugiej linii – a potem tyły w typowej formacji *triplex acies* z podwójną kohortą I oraz kohortami II, III i IV.

Wojska pomocnicze i dodatkowe oddziały z wściekłością zaatakowały falangę Anaksagorasa. Jeśli przez dwadzieścia pięć lat odważnie i skutecznie walczyło się w pomocniczym oddziale rzymskiego wojska, można było uzyskać obywatelstwo, a nawet kawałek ziemi uprawnej na własność. To była dobra zachęta na dłuższą metę. Na krótszą było nią łupienie miasta, którym, jak przeczuwali, miała zakończyć się bitwa. To również zagrzewało ich do walki.

Anaksagoras i Teofanes poprowadzili falangę przeciwko wojskom pomocniczym Rzymu.

Zderzenie było mocne. Długie *sarisy* helleńskiej falangi spowodowały straty przeciwnika, ale formacja została utrzymana.

Wojska pomocnicze, wśród których było wielu zranionych na ciele i dumie, wycofały się na rozkaz Lukullusa korytarzami utworzonymi między kohortami VII, IX, V, VI i VIII, które teraz z wielkimi chęciami do walki i ze świeżymi legionistami stawały w pierwszej linii. Zakończenie tego długiego oblężenia miało nie tylko zapewnić im wypłatę żołdu, ale również oznaczało łupienie miasta, które motywowało zwykłych żołnierzy. Przede wszystkim jednak zajęcie Mityleny dawało szansę na opuszczenie tej odległej wyspy, której mieli już dość.

Zderzenie było brutalne, a *sarisy* nieustannie w nich biły. Wielu legionistów łamało je mieczami albo po prostu unikało tych długich włóczni, chroniąc się za tarczami, a następnie przechodząc do walki wręcz, w której wściekle siekli mieczami.

Falanga zaczęła się w kilku punktach łamać.

Lukullus obserwował bitwę i przeczuwał zwycięstwo, ale również to, że straci wielu żołnierzy. Anaksagoras był gotów zginąć, zabijając jak najwięcej wrogów. Prokwestor zastanawiał się, czy już pora rozkazać wymianę żołnierzy, ale nie mógł się zdecydować, czy ponownie wykorzystać na pierwszej linii wojska pomocnicze, czy ruszyć z bardziej doświadczonymi kohortami, które trzymał na tyłach.

Przetarł ręką usta. Oceniał możliwości. Wezwał jednego z trybunów.

– Weź dwie centurie z najbardziej doświadczonymi żołnierzami i poprowadź je na czoło razem z wojskami pomocniczymi – wyjaśnił. – Niech weterani skupią się na otoczeniu Anaksagorasa. Chcę, żeby zginął. Chcę, żeby zginął... i to już.

Brama Mityleny, w mieście

Cezar walczył na pierwszej linii.

Pittakos również.

Trybun zidentyfikował dowódcę wroga i przedarłszy się między włóczniami i mieczami legionistów ustawionych w formację *testudo*, dotarł w miejsce, w którym walczył Pittakos.

Cezar wściekle kłuł mieczem.

Pittakos zawył z bólu.

Po tym, jak padł ich dowódca, łucznicy prawie instynktownie się cofnęli. Niektórzy rzucili się do ucieczki, a za nimi ruszyli pozostali. Rozbiegli się po ulicach, szukając schronienia, w którym jednak nie byli w stanie ocalić życia.

W otoczeniu licznych legionistów Cezar szybko wspiął się na mury.

Pod murami Mityleny

Anaksagoras się tego nie spodziewał. Walczył w pierwszym szeregu, żeby dać przykład, i nie zorientował się, że Rzymianie otoczyli osobiście jego.

Padł szybko pod ciosami tuzinów mieczy legionistów.

Załamane falangi byłoby kompletne, jak to się stało w mieście, gdzie po śmierci Pittakosa łucznicy rzucili się do ucieczki, gdyby nie Teofanes, który stanął na czele wojska i utrzymał pozycje. Nakazał taktyczny odwrót o kilkadziesiąt

kroków, oddzielając falangę od pierwszego szeregu Rzymian. Natychmiast wystąpił naprzód, żeby rozmawiać o poddaniu się. Towarzyszyli mu jedynie arystokraci mityleńscy, których Anaksagoras zabrał ze sobą w charakterze zakładników. Wojownicy Anaksagorasa nie od razu zorientowali się, co się dzieje. Teofanes i jego towarzysze już byli wówczas bezpieczni w namiocie prokwestora, a rzymskie kohorty nieustannie atakowały, aż do zupełnego wybicia wrogiej falangi.

Żołnierze Anaksagorasa bronili się dzielnie. Poddali się dopiero pod koniec dnia, gdy zostało ich ledwie kilka setek.

– To silni wojownicy – powiedział Lukullus Termusowi na wzgórzu, z którego przyglądali się rozwojowi wydarzeń. – Będą z nich niezli niewolnicy.

Termus skinął głową. Bitwa zakończyła się dobrze, ale nadal pozostawała kwestia Juliusza Cezara. Żył, niczym widz na trybunie honorowej stał na szczycie murów, obserwując rozbicie falangi wroga.

Lukullus spojrzał na Termusa i zrozumiał, co go martwi, ale nadal niczego nie wyjaśniał. W otoczeniu dziesiątków legionistów zszedł ze wzgórza na pole bitwy usiane trupami i zbliżył się do murów miasta. Zatrzymał się ledwie kilka kroków od bramy.

Spojrzał na szczyt murów.

Cezar spojrzał w dół.

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Otwórz bramę, trybunie! – rozkazał Lucjusz Licyniusz Lukullus, mianowany przez Sullę prokwestorem rzymskim na wschodzie.

Cezar usłyszał rozkaz, ale się nie poruszył. Ten człowiek został wysłany przez Sullę, żeby zastawić na niego pułapkę i sprawić, że straci życie w bitwie. Krew mu się burzyła, ale był tylko trybunem. A jego przełożony, najpotężniejszy człowiek na całym wschodzie, właśnie wydał mu konkretny rozkaz na oczach wszystkich.

Labienus tkwił oparty o mur przy bramie i patrzył na Cezara, który znów stał jak sparaliżowany, tak jak wtedy, gdy mieli ruszyć do walki na początku tego

długiego dnia. Jak wszyscy legioniści, którzy kontrolowali mechanizm otwierania bramy, rozpoznał władczy głos prokwestora.

Cezar powoli zaczerpnął powietrza. Jego płuca napełniły się spokojem, nie tylko oddechem. Odwrócił się do legionistów z centurii I i wyraźnie, głośno wydał ostatni rozkaz tego dnia, ostatni rozkaz Cezara w trakcie oblężenia Mityleny.

– Otworzyć bramę!

ROZDZIAŁ LXXIII

Corona civica

Wyspa Lesbos, pod murami Mityleny

Namiot prokwestora

78 r. p.n.e.

Cezar otworzył bramę do miasta i Rzymianie zajęli Mitylenę.

Teofanes pertraktował z Lukullusem: przywódca miejscowej arystokracji odciął się od wojska Anaksagorasa przysłanego do miasta przez Mitrydatesa. Przedstawił Mitylenę jako ofiarę ekspansywnych i aneksjonistycznych dążeń króla Pontu. Tłumaczył, że oni nigdy nie chcieli opuścić strony Rzymu, ale zostali zalani przez wojsko Anaksagorasa.

Lukullus przyjął wyjaśnienia Teofanesa, ale mu nie wierzył. Ponieważ mieszkańcy Mityleny przez cały ten czas grali na dwa fronty, nakazał złupienie miasta. Trzeba było wynagrodzić legionistów po tylu miesiącach oblężenia i tak licznych stratach. Z jednej strony dotyczyły one centurii młodego Cezara, które przejęły kontrolę nad bramą, a z drugiej – tych, którzy padli podczas bitwy z falangą Anaksagorasa.

Teofanes musiał przyjąć łupienie miasta do wiadomości, ale w zamian za współpracę z wojskiem Lukullusa dostał obietnicę, że nikt z mieszkańców nie zginie, a miasto nie zostanie podpalone. To była straszna kara, ale Teofanesowi udało się przekonać współobywateli do zaakceptowania warunków traktatu.

– Gdybyśmy zamiast z Lukullusem negocjowali z Sullą, Mitylena całkowicie by spłonęła – powiedział – tak jak to stało się przed kilku laty z Atenami.

Teraz w namiocie prokwestora próbował ustalić szczegóły łupienia miasta, określić pewne ograniczenia.

– Ile czasu to potrwa? – spytał.

Tuż przed odpowiedzią Lukullusa do namiotu wszedł Cezar.

– Proszę o wybaczenie – powiedział młody trybun. – Zostałem wezwany przez prokwestora, ale nikt mi nie powiedział, że odbywa właśnie spotkanie.

Miał się wycofać, żeby poczekać poza namiotem na zakończenie negocjacji.

Teofanes patrzył na niego nieufnie: to ten oficer dzięki śmiałości w walce opanował bramę Mityleny i w rezultacie miasto trafiło w ręce Rzymian.

– Spokojnie, trybunie, nie musisz wychodzić. – Lukullus odwrócił się w stronę Teofanesa i powtórzył jego pytanie: – Chcesz wiedzieć, ile potrwa łupienie miasta?

– Tak – odparł szybko Teofanes, który koniecznie chciał określić rozmiary kary, jaką zsyła im Rzym za to, że pozwolili opanować miasto wojskom Mitrydatesa.

Lukullus pociągnął łyk wina z pucharu stojącego na stoliku nieopodal, kątem oka spojrzał na Minucjusza Termusa, który również był obecny na spotkaniu, i wreszcie wyraźnie odpowiedział:

– Do czasu, gdy rozpocznie się pożar.

Teofanes zamrugał oczami.

– Pożar? Jaki pożar? – spytał. Został wzięty z zaskoczenia.

– Pożar Mityleny oczywiście – wyjaśnił Lukullus z szerokim uśmiechem, widząc, że to, co dla niego było oczywiste, jego rozmówcy wydawało się niemożliwe.

– Ale... ale... nie tak to ustaliliśmy – odparł Teofanes i zaczął się pocić.

Cezar przypatrywał się tej wymianie zdań ze zmarszczonym czołem. Gryzł się w język, żeby się nie wtrącić.

Teofanes nadal próbował desperacko bronić miasta przed zniszczeniem.

– Ale gdybym zachęcał do stawiania oporu, nadal walczyłbyś na ulicach Mityleny i poniósłbyś liczne straty. – Nagle ogarnęło go podejrzenie, że sytuacja może stać się jeszcze trudniejsza. – Zabijesz nas wszystkich?

Zapadła gęsta cisza.

Lukullus odstawił puchar.

– Nie, jeśli nie będzie to konieczne.

Teofanes wbił wzrok w podłogę. Oddychał szybko, szukał jakiegoś ważnego powodu, dla którego Lukullus mógłby odstąpić od zniszczenia Mityleny. Podniósł znów oczy i wbijając spojrzenie w prokwestora zaczął mu grozić:

– Jeśli podpalisz miasto, ogłoszę na całym wschodzie, że Lucjusz Licyniusz Lukullus nie dotrzymuje danego słowa. W ten sposób nie będziesz mógł już zawrzeć żadnego paktu w regionie. Z nikim.

Lukullus nie wydał się zbyt przerażony tą groźbą. Odpowiedział z niezwykłym spokojem:

– Jeśli cię zabiję, nie będziesz mógł niczego nikomu opowiedzieć, nie sądzisz?

– A więc już zdecydowałeś: nie dotrzymasz słowa, podpalisz miasto i zabijesz nas wszystkich.

– Nie mam zamiaru zabijać mieszkańców Mityleny, ale jeśli będziesz się upierał przy swoich groźbach, twoja śmierć okaże się konieczna i egzekucja zamknie usta pozostałym. Pożar musi być. Muszę wysłać wyraźną wiadomość, że Rzym nie toleruje przechodzenia na stronę Mitrydatesa. Konflikt z królem Pontu będzie trwał jeszcze długo i musimy jasno zaznaczyć stanowisko Rzymu. Wobec wszystkich i...

– Być może pożar to nie jest dobry pomysł, prokwestorze – przerwał mu nieoczekiwanie Cezar.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w jego stronę: w oczach Teofanesa zabłysła nadzieja, Minucjusz Termus był zaskoczony, a Lukullus na poły obrażony, na poły zaintrygowany.

– Ach nie? – Prokwestor popatrzył na Termusa. – Okazuje się, że ten trybun nie tylko śmiało poczyną sobie w walce, ale też wykazuje nadzwyczajne zdolności dyplomatyczne.

Cezar zrozumiał, że wtrącanie się do rozmowy przełożonego nie było dobrym pomysłem, ale skoro już to zrobił, uznał, że lepiej wypowiedzieć swoje zdanie.

– Pożar Aten w Grecji niczego nie rozwiązał – powiedział i zanim Lukullus zdążył zaproponować, kontynuował wyjaśnienia: – Tak, Grecja wpadła w ręce Sulli, ale reszta wschodu rozumiała, że Rzym jest okrutny i niemiłosierny. To sprawiło, że Mitrydates stał się w regionie nie tym, kim jest naprawdę: tyranem, który ma na względzie jedynie osobiste ambicje, lecz wyzwolicielem, jedynym zdolnym przeciwstawić się przerażającemu olbrzymowi, jakim w oczach wielu na wschodzie jest Rzym. Prokwestor może spalić Mitylenę czy całą Lesbos, w ten sposób z pewnością wzbudzi strach, ale nie zyska nic ponad to. Nie zdobędzie żadnego sojusznika, który pomógłby nam kontrolować te wielkie terytoria i zagwarantowałyby trwały pokój.

– Na wszystkich bogów! Mamy nie karać długiej rebelii Mityleny? – spytał Lukullus. – To właśnie proponujesz, trybunie? Być może otworzyłeś bramę miasta, ale teraz mówisz o kontroli nad wschodem i szczerze mówiąc, uważam, że to dla ciebie za duży temat, chłopcze.

Cezar nie dał się zastraszyć i mówił dalej.

Teofanes był pod wrażeniem: ten oficer jak równy z równym wdał się w dyskusję z wszechpotężnym prokwestorem Rzymu na wschodzie. W Grecji słyszeli, że ten trybun nie tak dawno przeciwstawił się samemu Sulli. Widząc, jak zdecydowanie i z pewnością siebie przemawia w obecności prokwestora, utwierdził się w przekonaniu, że tamta historia musi być prawdziwa.

– Nie, nie możemy zostawić rebelii Mityleny bez kary – tłumaczył Cezar. – Ale trzeba szukać złotego środka, równowagi między siłą a okrucieństwem, władzą a tyranią. Hannibal zajął Hiszpanię dość szybko, łącząc siłę swojego wojska z paktami i umowami z Iberami. Nawet ożenił się z Imilce, Iberyjką, żeby wzmocnić więzy między nim a tymi, których sobie podporządkowywał.

Lukullus wybuchł śmiechem.

– Teraz sugerujesz mi małżeństwo z kobietą ze wschodu? Nie wiem, czy po dwóch żonach odważę się na trzecią – stwierdził, próbując żartem zbić argumenty młodego trybuna. Nagle przestał się śmiać, spojrział na niego uważnie i dodał: – Ale skończ, co zaczęłeś. Powiedz nam, co sądzisz.

Cezar skinął głową.

– Nie, nie chodzi mi o to, żeby prokwestor rozważył małżeństwo, to był tylko przykład paktu, jaki wykorzystał Hannibal, żeby opanować terytorium bez użycia siły lub systematycznego okrucieństwa. To ostatnie zwykle wywołuje urazę, a ta z kolei prowadzi do buntów na podbitych terytoriach. Gdy Scypion dotarł do Hispanii, zachował się bardzo podobnie: oblegał Nową Kartaginę, kartagińską stolicę regionu, i ją zajął, ale wykorzystał ten moment do uwolnienia iberyjskich więźniów Kartagińczyków. Stoczył kilka ostrych bitew z Iberami, ale potem, po odniesieniu zwycięstwa, okazał wspaniałomyślność i wkrótce opanował całą Hispanię.

– To dowodzi, że Hannibal, mimo małżeństwa z Iberyjką, nie osiągnął trwałych sojuszy za pomocą mieszanki siły i wspaniałomyślności – zaprotestował rozogniony Lukullus, który dał się na całego wciągnąć w debatę.

– Dlatego że Scypion wykorzystał tę samą strategię. Mitrydates używa tylko siły, a jeśli przeciwstawimy się jego sile tylko naszą siłą, walka o wschód będzie trwała wiecznie, jak wtedy, kiedy Katon zastąpił Scypiona w Hispanii i wycinał w pień oraz palił całe terytorium. Dekady zabrało nam przywrócenie kontroli nad Hispanią. Tutaj mamy do czynienia z tym samym: jeśli Mitylena spłonie, obraz Mitrydatesa jako wyzwoliciela spod okrucieństwa Rzymu zostanie wzmocniony. Jeśli okażemy wspaniałomyślność Mitylenie w momencie, gdy poniosła porażkę, inne miasta wschodu mogą przejść na naszą stronę i w ten sposób osłabić pozycję króla Pontu, co... ograniczy liczbę bitew, a więc i liczbę naszych strat.

Lukullus przechylił głowę.

– Możliwe, że jest tak, jak mówisz... – przyznał, ale nie wypowiedział wszystkich myśli na głos. Najpierw dodał do dyskusji inny punkt: – A w Hispanii

obecnie trwa bunt – podkreślił, odnosząc się do rebelii Sertoriusza i innych przywódców popularów na tamtym terytorium.

– Ale to nie bunt Iberów – zauważył Cezar. – W Hispanii mamy do czynienia z... – dobrze zastanowił się nad słowami – przedłużeniem nierozwiązanego sporu o reformy popularów, którym przeciwstawili się optymaci. To nie jest rebelia Iberów.

Lukullus ponownie skinął głową.

– Możliwe, że masz rację – potwierdził prokwestor. – Ale trzeba rozwiązać też inne sprawy. Moi ludzie potrzebują złota i kobiet. Jak masz zamiar im to zapewnić, chłopcze, bez łupienia i podpalenia miasta, bez zniewolenia córek, żon i służących Mityleńczyków? A może sugerujesz, że po tylu miesiącach oblężenia mam pozbawić legiony cennego łupu? Mam zdobyć miasta wschodu, jednocześnie podburzając przeciwko sobie własne wojsko?

W tym momencie Cezar odwrócił się do Teofanesa. Ten zrozumiał, że powinien coś zaproponować.

– Mogę sprawić, że Mitylena zbierze ogromną ilość złota i srebra i wręczy je prokwestorowi, żeby rozdał wśród żołnierzy. Ponadto od cylicyjskich piratów mogę pozyskać kobiety. Bez łupienia miasta. Złoto i srebro od razu. Kobiety za kilka dni. Legioniści dostaną wszystko, czego chcą.

– Bez łupienia i pożaru – dodał Lukullus, jakby nie mógł uwierzyć. – I w ten sposób wyślemy wieści o naszej wspaniałomyślności wschodowi, co może osłabić Mitrydatesa. – Prokwestor mówił do siebie, porządkując własne myśli.

Zapadła cisza.

Lukullus skinął głową.

– Niech tak będzie – powiedział i spojrzał na przywódcę miejscowej arystokracji, wydając ostateczny wyrok: – Jutro chcę mieć tu mnóstwo złota i srebra, żeby rozdać je moim ludziom. Pieniądze zaspokoją ich na kilka dni, ale niech kobiety dotrą tu jak najszybciej.

– Zrobimy, jak ustalono, prokwestorze – odparł Teofanes, który odczuwał zarazem niedowierzanie i podniecenie. Jego miasto było bliskie spalenia, kobiety gwałtu, a on sam egzekucji. Nagle wszystko się odmieniło. Zrujną się, oddając złoto i srebro Rzymianom oraz wydając tę garstkę, co im zostanie, na zakup kobiet od cylicyjskich piratów, ale można się z tego otrząsnąć i odrodzić. Po grabieży, pożarze, śmierci i masowych gwałtach nie podnieśliby się przez pokolenia.

Teofanes pożegnał się z propretorem i prokwestorem, odwrócił się i intensywnie spojrzał na młodego trybuna, który nieoczekiwanie go wybronił. Potem opuścił namiot.

Cezar wiedział, że ten człowiek na zawsze zapamięta jego twarz. Tylko czas pokaże, czy na dobre, czy na złe, jeśli w ogóle ich ścieżki jeszcze kiedyś się przetną.

Lukullus spojrzał na niewolnika i ten dołał mu wina.

– Zostałem wezwany, prokwestorze – powiedział Cezar – ale rozumiem, że z innego powodu, nie w celu negocjowania z przywódcą obywateli Mityleny.

– Zgadza się – odparł Lukullus – ale, proszę, spocznij. Bitwa się skończyła, podobnie jak debata o tym, czy podpalić miasto, czy nie – popijając wino, mówił przyjaznym tonem ze swej wygodnej *cathedry*.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej podobała mu się nowa perspektywa, jaką dawało zdobycie Mityleny. Ale to prawda, że wezwał młodego i śmiałego trybuna, a także, jak widać, sprytnego negocjatora, z innego powodu. Teraz lepiej rozumiał, jak ten chłopak zdołał przekonać króla Bitynii do odstąpienia statków rzymskiej flocie, nawet jeśli odrzucił seksualne awanse monarchy. Jego retoryka sprawiała, że było to możliwe.

Na stole stało więcej pucharów z winem oraz patera z czerwonymi owocami.

– Napij się z nami – zaprosił Cezara Lukullus.

Cezar poważnie się zastanowił, ale bardziej cenił własne życie niż uniknięcie kary.

– Jestem... zmęczony, prokwestorze – odpowiedział ku zaskoczeniu rozmówcy.
– Wolę nie pić.

Lukullus spoważniał.

Przełożony nigdy nie zaprasza, tylko rozkazuje.

Termus nie mógł uwierzyć, że młody trybun śmiał tak odpowiedzieć. Historie o nim i o tym, jak odmówił rozvodu, który nakazał mu Sulla, jak miesiącami unikał posłanych za nim legionistów, aż wreszcie zachorował na bagnach w centrum Italii, musiały być prawdziwe.

Lukullus złożył dłonie i położył je na kilka chwil na ustach, potem je rozłożył i zignorowawszy odrzucenie zaproszenia, mówił dalej:

– Dzielnie walczyłeś. Nie postępowałeś dokładnie wedle mojego planu. Zmodyfikowałeś go bez konsultacji ze mną, ale rezultat okazał się niezwykły. I osiągnąłeś podstawowy cel, jakim było zdobycie miasta. Poza tym uratowałeś życie oficera, tego trybuna, twojego przyjaciela... jak on się nazywa?

– Labienus, Tytus Labienus, prokwestorze – odpowiedział Cezar.

– Właśnie: Labienus. Wszystko to sprawia, że bez wątpienia zasłużyłeś na odznaczenie. Najlepszym w tej sytuacji, biorąc pod uwagę heroiczny akt ocalenia życia innego oficera podczas bitwy, będzie *corona civica*. I ja ci je przyznaję.

Cezar milczał, zamyślił się. Miał otrzymać nagrodę z rąk człowieka, który na polecenie Sulli – był tego pewien – miał doprowadzić do jego śmierci. Coś tu się nie zgadzało. Podzielił się z nim swoim zdaniem na temat podpalenia Mityleny, ale zrobił to dla dobra Rzymu i jego panowania w tym regionie, a nie dlatego, że ufał Lukullusowi.

Termus również niczego nie rozumiał. Nie widział sensu odznaczania człowieka, którego śmierci pragnął Sulla.

– Jesteś kimś niezwykłym, Gajuszu Juliuszu Cezarze – mówił dalej prokwestor. – Nie wydajesz się szczęśliwy z powodu odznaczenia, odrzucasz zaproszenie przełożonego na puchar wina, wtrącasz się w negocjacje dotyczące poddania miasta i nawet zmieniasz jego warunki, trzeba przyznać, że argumentując

inteligentnie i za pomocą dobrej retoryki, nie boisz się kary za to, że mi przerwałeś. Na pewno jesteś... szczególny. Spróbujesz chociaż tych czerwonych owoców? Przywiozłem je z Cerasus. Myślę, że zdobędą powodzenie na rynkach Rzymu. Mam nawet kilka drzewek w donicach, żeby je tam zasadzić po powrocie. Może ich spróbujesz i powiesz mi, czy ci smakują? Interesuje mnie twoje zdanie. Wydajesz się człowiekiem o trafnych intuicjach, tak jak wtedy, gdy postanowiłeś rzucić się na bramę Mityleny, zamiast próbować stawić opór falandze Anaksagorasa. Człowiek z intuicją i do tego szczęściarz.

Cezar spojrział na naczynie z czerwonymi owocami, ale nie podszedł do niego. Nic nie mówił, nie ruszał się, tylko przełykał ślinę. Nie chciał ponownie odmawiać, ale naleganie prokwestora, żeby napił się albo zjadł... mu się nie podobało. W jego oczach Lukullus był wysłannikiem Sulli na wschodzie, którego zadaniem było doprowadzenie do jego śmierci. Był przekonany, że plan ataku na Mitylenę był pomyślany tak, żeby zginął w walce. Przypomniawszy sobie *pila*, które ludzie Lukullusa w tajemniczy sposób zostawili w obozie. Jeśli prokwestor chciał jego śmierci, musiał albo go stracić, albo spróbować innej metody. Nie miał zamiaru mu pomagać, spożywając zatrute owoce.

Nagle Lukullus zrozumiał sytuację i zdał sobie sprawę, że Cezar wie o tym, że plan ataku miał na celu doprowadzenie do jego śmierci. Odmowa jedzenia i picia nabrała sensu. Nie chodziło o odrzucenie zaproszenia. Młodzieniec po prostu próbował utrzymać się przy życiu.

Lukullus powoli wstał, zbliżył się do stołu i wziął jeden z owoców.

– Mnie smakują. Są słodkie, soczyste... W środku mają pestkę. To bardzo mięsisty owoc.

Wziął jeszcze jeden, tym razem nie patrząc na naczynie, wybierając owoc na chybił trafił, po czym podniósł go do ust, zjadł i wypluł pestkę na podłogę, a zaraz potem usiadł.

Cezar zrozumiał to zachowanie. Prokwestor mógłby zatruć tylko część owoców, ale ten ostatni wziął bez patrzenia na naczynie. Młody trybun podszedł do

stołu, również wziął owoc, włożył go do ust i delektował się nim, aż połknął. Wypluł pestkę na dłoń i odłożył ją na naczynie.

– Bardzo smaczne – powiedział. – Będą się dobrze sprzedawać. Te owoce wyglądają na dobrą inwestycję.

Lukullus skinął głową.

– Możesz odejść. Jutro odznaczę cię *corona civica*.

Cezar pożegnał się z przełożonymi wojskowym salutem i opuścił namiot.

Termus i Lukullus zostali sami.

– Nie rozumiem cię – powiedział Minucjusz Termus, nie ukrywając całkowitego zadziwienia. – Przybyłeś na Lesbos, żeby zgodnie z instrukcjami Sulli eksterminować Cezara, a teraz go odznaczasz. Sulla cię zabije. Zabije nas obu, jeśli nie będę w stanie przekonać cię, że nie możesz zrobić tego, co chcesz zrobić.

Prokwestor zdawał się nie przejmować komentarzami Termusa. Zajrzał tylko do swojego pustego już pucharu.

– Sulla nie żyje – powiedział nagle.

Cisza.

Minucjusz Termus przeżył szok.

– Pamiętasz posłańca na statku?

Termus nadal się nie odzywał.

– Przywiózł właśnie tę wiadomość – wyznał Lukullus.

Propretor spojrział na podłogę i po chwili podniósł głowę.

– A więc go odznaczysz? – spytał.

– Ocalił drugiego oficera, ryzykując własnym życiem. Prawdopodobnie ocalił życie wielu legionistów, gdy zaatakował bramę miasta i z całą pewnością jego działania doprowadziły do zdobycia Mityleny. Zasługuje na *corona civica*. Muszę nadal walczyć o opanowanie wschodu, taką misję powierzył mi Senat. Myślisz, że wojsko będzie mnie szanować, jeśli nie dam mu tego zasłużonego odznaczenia? Myślisz, że uda mi się podtrzymać dyscyplinę, jeśli sam nie będę przestrzegał

wojskowych tradycji? Wymagam od moich ludzi, ale muszę ich odznaczać za heroiczne akty. A ten młody Cezar zachował się heroicznie.

Lukullus poczuł się wyczerpany. Że też musiał tak długo tłumaczyć coś, co jemu wydawało się oczywiste.

Minucjusz Termus przyjął do wiadomości wyjaśnienia, skoro dowiedział się o śmierci byłego dyktatora. Teraz bardziej przejmował się ogólną sytuacją.

– Po śmierci Sulli nic już nie będzie takie samo – stwierdził. – Kto będzie teraz rządził?

Lukullus połączył koniuszki palców obu dłoni i zaczął analizować sytuację polityczną.

– Popatrzmy: stary Metellus jest w Hispanii, gdzie walczy z Sertoriuszem. W Rzymie kilka orłów szybuje w górę. Jednym z nich jest Krassus, ale według mnie to Pompejusz jest najsilniejszy. Na średnią metę to on zostanie przywódcą optymatów, ale popularzy nie są jeszcze skończeni. Sertoriusz nabrał sił w Hispanii, a rebelia Lepidusa pokazała, że w Rzymie jego stronnicy nadal mają zwolenników. A ja chcę spokojnego odpoczynku. Zabicie Cezara, bratanka Mariusza, naznaczy mnie jako wroga popularów, a może dojdzie do tego, że się wzmocnią i będą szukać zemsty. Nie zamierzam wyróżnić się w tym odwiecznym konflikcie. Naprawdę jestem już... zmęczony. Z drugiej strony Sulla publicznie przebaczył Cezarowi, czyż nie?

– Tak było – przyznał Termus.

– A więc ma przebaczone. Swoją odwagą zasłużył na *corona civica*. Nie interesuje mnie, co się będzie od tej pory działo z tym młodym trybunem. Skończę misję na wschodzie, a potem zajmę się sadzeniem w Rzymie tych czerwonych owoców, ich uprawą i sprzedażą. Mitrydates, wojna ze sprzymierzeńcami, wojna domowa... Jestem zmęczony tyloma bojami.

Jeszcze raz wstał i sięgnął po kolejny czerwony owoc.

– Przywiozłem je z Cerasus. Nazwę je... *cerasi* *.

Szpital polowy legionu

Gdy tylko wszedł do obozowego *valetudinarium*, Cezar dostrzegł na jednym z łóżek dowódcę centurii I – tego samego, który postanowił go wesprzeć, gdy sam ruszył na pomoc Labienusowi.

– Wszystko w porządku, centurionie?

Oficer miał zabandażowane ramię i jedną nogę, nie mógł więc wstać, żeby zasalutować.

– W porządku, trybunie – odparł, zaskoczony, że młody arystokrata interesuje się jego zdrowiem. – Medyk mówi, że rany są powierzchowne. Wyjdę z tego.

– Mam nadzieję. Rzym potrzebuje takich oficerów jak ty. Jak się nazywasz?

– Gajusz Wolkacjusz Tullus, centurion I centurii X kohorty legionu...

– Wiem, w którym legionie służysz, centurionie – przerwał mu Cezar z uśmiechem. – Być może znów będziemy razem walczyć.

– To byłby dla mnie zaszczyt, trybunie.

Cezar skinął głową i ruszył między łózkami z rannymi, aż wreszcie znalazł Labienusa.

– Jak się czujesz? – spytał od razu.

– Przeżyję. Muszę, inaczej cię nie odznaczą. – Wybuchł śmiechem.

Cezar również się zaśmiał. Potem, z poważniejszą miną, zdradził mu swoje wątpliwości.

– Nie mogę zrozumieć Lukullusa: najpierw organizuje strategię, której celem jest nasza śmierć w walce. Jestem pewien, że Sulla wysłał go na Lesbos, żeby ze mną skończył. I z tobą, skoro upierasz się, by za mną podążać – zażartował. – Nie rozumiem, dlaczego mnie odznacza – zakończył ponownie poważny.

– Po obozie krążą pogłoski.

– Jakie?

– Mówią, że Sulla nie żyje.

Cezar powoli opadł na taboret stojący przy łóżku jego przyjaciela.

– Jak to się stało? Spisek?

– Nie. Orgia w jego willi w Puteoli. Dużo jedzenia, dużo picia, dużo kobiet. Zmarł jak nędzny wieprz, którym był.

Cezar przytaknął w zamyśleniu.

– To by wszystko wyjaśniało – przyznał. – Tak, jego śmierć sprawia, że działania Lukullusa mają sens.

Przez chwilę obaj milczeli. Pora spokoju po tylu walkach, po takiej ilości przelanej krwi i śmierci.

– Co zrobisz? – spytał Labienus.

– Wrócę do Rzymu – odparł zdecydowanym tonem Cezar. – Tęsknię za Kornelią, za moją córką, matką, siostrami, za wszystkimi. I za Rzymem.

– Myślisz, że Lukullus ci na to pozwoli?

– Tak, skoro Sulla nie żyje. Wypełniliśmy misję dyplomatyczną w Bitynii i misję wojskową na Lesbos. Jeśli poprosimy, pozwoli nam wrócić.

Labienus skinął głową, przez chwilę milczał, żeby podsumować sprawę.

– Jak wygląda *corona civica*?

– Jest zrobiona z gałęzi dębu, z liśćmi i żołędziami – wyjaśnił Cezar, którego wuj Mariusz zaraził pasją do wojska, więc znał wszystkie odznaczenia. – Nie jest ze złota. – Znowu się roześmiał.

– Nie chodzi o jej wartość, tylko o to, co symbolizuje – podkreślił Labienus, dotykając zranionej nogi i patrząc na przyjaciela z wieczną wdzięcznością.

– O to, co symbolizuje – przypieczętował Cezar.

* Czyli czereśniami. Lukullus sprowadził je do Rzymu w I w. p.n.e.

ROZPRAWA SIÓDMA

SENTENTIA

Ostateczny werdykt

ROZDZIAŁ LXXIV

Jednogłośnie

Bazylika Sempronia, Rzym

77 r. p.n.e.

Cezar usiadł obok Labienusa.

– Świetnie ci poszło – powiedział przyjaciel, kładąc mu rękę na ramieniu.

Tłum, który wypełniał bazylikę, nadal oklaskiwał mowę końcową Gajusza Juliusza Cezara.

Ale on sam był poważny. Porządkował notatki i po odsunięciu dwóch papirusów jego oczom ukazał się wieniec z liści dębowych, już suchych, brązowych.

– Wziąłeś ją z sobą – powiedział Labienus na ten widok. – Twoja *corona civica*.

Cezar uśmiechnął się nieznacznie. Ale zaraz znów zrobił poważną minę.

– Może przyniesie nam szczęście – wyjaśnił. – Chociaż sędzę, że nawet to odznaczenie nie uratuje nas w tej bazylice przed pięćdziesięcioma dwoma kupionymi sędziami.

Senatorzy będący członkami trybunału zebrali się wokół Pompejusza.

Dolabella się w nich wpatrywał. Cezar również.

Nagle oskarżony odwrócił głowę i spojrział Cezarowi prosto w oczy.

Obaj przez kilka intensywnych sekund nie spuszczaali wzroku.

Dolabella zrobił to jako pierwszy, ale oskarżyciel wiedział, że nie była to oznaka słabości. Po prostu ponownie zwrócił oczy na senatorów, którzy siedzieli wokół przewodniczącego trybunału.

Prawie nie mieli nad czym debatować.

Zarówno Cezar, jak i Labienus zrozumieli, że sędziowie nie prosili o czas na zastanowienie się, jedynie zebrali się wokół Pompejusza, wymamrotali parę zdań, na które przewodniczący trybunału kiwał głową, a oni przytakiwali w odpowiedzi. Wkrótce wszyscy wrócili na miejsca.

Jedynie Gnejusz Pompejusz nadal stał przed swoim krzesłem. Wiedział, że Dolabella na niego patrzy, wiedział, że wyrok jest niesprawiedliwy, i wiedział również, że podczas tego procesu stawka jest wyższa niż tylko kwestia korupcji Dolabelli. Pompejusz był świadomy tego, jak Cezar zagrał na przekształcenie posiedzeń sądu w otwarte przeciwstawienie się optymatom, w groźbę buntu. Odpowiedź musiała być jasna, zdecydowana i niekwestionowalna. Wystąpił kilka kroków do przodu i stanął twarzą w stronę publiczności, która właśnie skończyła oklaskiwać Cezara. Teraz miał wydać ostateczny werdykt.

– Niewinny – powiedział zdecydowanie. – Wyrok jednogłośny – dodał.

Niewinny w opinii pięćdziesięciu dwóch sędziów i przewodniczącego trybunału.

Gnejusz Korneliusz Dolabella został oczyszczony ze wszystkich zarzutów: tworzenia fałszywych podatków dla własnego wzbogacenia, ograbienia świątyni Afrodyty, gwałtu na młodej Myrtale. Ostatecznie uznano go za niewinnego ogólnej *corruptio*, którą trybunał uznał za nieudowodnioną.

Zupełnie niewinnego.

Dolabella rozluźnił się na krześle i wyszczerzył zęby.

Pompejusz wrócił na swoją *cathedra* i usiadł z poważną miną.

Obywatele, którzy oklaskiwali oskarżyciela i jego mowę końcową, po prostu zamilkli. Tak jakby nagle wszyscy zderzyli się z twardym murem. Wszystko w Rzymie miało pozostać bez zmian.

Cezar siedział wpatrzony w podłogę. Jego widok przywodził na myśl zupełną porażkę.

W centrum bazyliki

Dolabella podniósł się rozochocony. Szybko otoczyli go senatorowie optymaci – część z nich była tu w charakterze widzów, ale znaleźli się wśród nich również członkowie trybunału, którzy bezwstydnie podeszli, żeby mu pogratulować.

Stół oskarżenia

Cezar nadal tkwił na swoim miejscu.

Mógł się tego spodziewać, ale jednogłośnie wyroku go przybiła. Nie udało mu się przekonać ani jednego sędziego, żeby nie zgodził się z resztą.

– Ani jednego – powtarzał.

Labienus wstał.

– Nadciągają uzbrojeni ludzie na usługach optymatów – powiedział. – Lepiej, żebyśmy się stąd szybko wynieśli. Wezwałem kilku weteranów Mariusza, żeby nas eskortowali do Subury. W twoim domu będziemy bezpieczniejsi. To nie jest dzielnica, do której optymaci lub ich najemnicy lubią zaglądać. Wolą atakować na forum. Musimy już iść.

Cezar nadal siedział przygnębiony, zaskoczony rozmiarami porażki.

– Ani jednego – powtórzył. – Jestem skończony, jak przewidział wuj Kotta.

Wśród publiczności

– Idziemy, dziewczyno – powiedziała Aurelia do synowej.

Kornelia patrzyła na Cezara.

– Jest zdruzgotany – stwierdziła. – Muszę do niego pójść.

– Nie! – sprzeciwiła się teściowa. – Nikt nie jest tutaj bezpieczny! Pocieszysz go w domu – dodała bardziej przyjaznym tonem.

Przygnębiona wyrokiem dziewczyna, zarażona ślełą wiarą małżonka w inne zakończenie, nie miała siły, żeby przeciwstawić się Aurelii. Obie opuściły bazylikę w otoczeniu niewolników rodziny Juliuszów.

Na ulicy, przed bazyliką

Perdikas, Aeropos, Archelaos, Myrtale i inni Macedończycy, którzy przybyli do Rzymu, żeby wziąć udział w procesie, znaleźli się na ulicy. Stary Orestes został tego dnia w domu Cezara – był już bardzo słaby i chory. Jego stan zdrowia pogarszał się od dnia, w którym złożył zeznanie.

– Spróbowaliśmy rzymskiej sprawiedliwości – skomentował Perdikas. – Teraz zrobimy to po naszymu.

Archelaos i Aeropos wymienili spojrzenia, a potem popatrzyli na pozostałych Macedończyków.

Wszyscy przytaknęli.

Perdikas wyjął spod tuniki sztylet.

Pozostali zrobili to samo, wyciągnęli podobną broń.

– Ja też chcę – powiedziała ku zaskoczeniu wszystkich Myrtale.

Perdikas spojrzał na jej ojca.

– Dajcie jej sztylet – zgodził się Aeropos.

Perdikas wręczył jej swój.

– Proszę. Mam jeszcze jeden.

Wnętrze bazyliki

Dolabella patrzył, jak zbliża się do niego Pompejusz.

– Zostawcie nas samych. Odsunąć się, na Herkulesa! – krzyknął.

Pompejusz stanął przy nim.

– To nie jest moment, żeby cokolwiek robić – powiedział młody przewodniczący trybunału.

Dolabella uśmiechnął się cynicznie.

– Wiedziałem, że się nie odważysz. Sulla miał rację. Napisałem ci to poprzednio, ale widzę, że nawet uprzedzony nie zdążyłeś zebrać koniecznej odwagi, żeby zrobić to, co zrobić trzeba. Cezar, ten przeklęty bratanek Mariusza, musi umrzeć, i to natychmiast. Zanim się wzmocni, zanim zmieni się w nowego Mariusza. Nie dostrzegliśmy tego w odpowiedniej chwili, nawet ja. Ale Sulla to

widział. Jestem głęboko rozczarowany, że ty nie jesteś tego świadomy. Nie widzisz, do czego jest zdolny w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat? Sprzeciwił się Sulli, gdy miał osiemnaście. W wieku dwudziestu dwóch zdobył *corona civica*. Naprawdę chcesz się przekonać, do czego jeszcze jest zdolny?

– Udało mi się zapewnić ci wyrok uniewinniający, i to jednogłośnie – podkreślił Pompejusz swój dowód lojalności wobec Dolabelli i ogólnie optymatów.

– Żeby powstrzymać Cezara, potrzebne jest coś więcej niż wyrok.

– Ale jest pokonany, zdruzgotany. Popatrz tylko na niego. – Pompejusz wskazał w stronę drzwi, przez które przechodził właśnie młody oskarżyciel. Miał spuszczoną głowę i zwieszona ramiona, szedł wolno, ciągnąc stopami, prawie się potykając. – Jest oszołomiony i skończony na niwie polityki i o tym wie. Był nikim, a teraz nigdy nie stanie się kimś ważnym. Nie trzeba go zabijać. Nie w tej chwili. Ledwie kilka miesięcy temu mieliśmy bunt popularów pod wodzą Lepidusa. Nie trzeba podgrzewać atmosfery wobec pokonanego wroga.

Dolabella spojrzał w stronę Cezara, pokręcił głową.

– Odrodzi się. Ale ja mu na to nie pozwolę – zapewnił, jakby nic z tego, o czym mówił Pompejusz na temat podgrzewania atmosfery wśród popularów, nie dotarło do jego umysłu.

Odsunął się od przewodniczącego trybunału i reszty senatorów. Zwrócił się do swoich niewolników i najemników optymatów, których Pompejusz wezwał do bazyliki.

– Za mną – powiedział, nie podnosząc głosu, bo wystarczył ten władczy ton, który jedni po prostu mają, a inni nigdy go nie osiągają.

Najemnicy poszli za nim bez chwili wahania.

Dolabella najlepiej płacił za słuchanie swoich rozkazów.

Ten argument był niekwestionowalny jak wyrok, który właśnie zapadł w jego sprawie.

ROZDZIAŁ LXXV

Inna sprawiedliwość

Forum w Rzymie, niedaleko budynku Senatu

77 r. p.n.e.

Macedończycy zebrali się w rogu forum, niedaleko *tabernae veteres*. Czekali, aż Dolabella wyjdzie z budynku. Ich plan był prosty: iść za nim, aż skręci w jakąś mniej uczęszczaną ulicę, gdzie będą mogli go otoczyć i zabić. Wiedzieli, że będą go eskortować liczni najemnicy. Żaden z Macedończyków nie spodziewał się, że zachowa życie. Nie byli nawet pewni, czy uda im się osiągnąć cel. Ale nie o to chodziło. Najważniejsze dla nich było podjęcie próby.

Posłuchali starego Orestesa i odwołali się do rzymskiej sprawiedliwości.

Ta wydała swój wyrok. Nie zadośćuczyniła krzywdom, bo ani nie przywróciła honoru, ani nie zwróciła pieniędzy, ani nie uczyniła niczego innego.

Nadeszła pora na ich sprawiedliwość.

Zachmurzone niebo rozbłysło kilkoma prawie nieuchwytnymi piorunami. Wkrótce nad Rzymem rozległy się grzmoty. Zaczęło padać.

Właściwie padało już od kilku dni, od czasu *prima actio*, zacierającego się już w pamięci wszystkich uczestników. Od tamtej pory deszcz nie ustępował.

– To Tesalonika, siostra Aleksandra, przysłała po niego – powiedziała Myrtale cicho, ale tak, że wszyscy obok mogli ją usłyszeć.

– Tu nie ma morza ani syren, córko – odparł Aeropos.

– Rzeka wezbrała po ulewach – upierała się dziewczyna.

W pełni wierzyła w mściwą syrenę Tesalonikę. Być może dlatego, że musiała się czegoś trzymać. Została zhańbiona i pogardzało nią wielu spośród Macedończyków. Nawet Perdikas, który ocalił jej życie, teraz okazywał jej chłód.

Od kiedy stało się jasne, że jej honor nie zostanie przywrócony za sprawą wyroku skazującego za gwałt, Perdikas rzadziej z nią rozmawiał. Wiara w klątwę Tesaloniki była jedyną rzeczą, która ją podtrzymywała, dawała siłę konieczną do wstawania każdego ranka i chodzenia na posiedzenia sądu. Ale proces nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Została jej wyłącznie Tesalonika. Nic więcej.

– Ona nam pomoże – powiedziała dziewczyna, a deszcz zaczął z jeszcze większą furją zalewać miasto. – On to głośno i wyraźnie powiedział w bazylice: Aleksander nie żyje i to od dawna. – Dziewczyna patrzyła rozpalonymi oczami w niebo. – A ona go usłyszała. Tesalonika to słyszała. I przyjdzie po niego.

Wszyscy zasłonili głowy kapturami, nie spuszczać z oka drzwi do bazyliki. Przeszły przez nie małżonka i matka *accusatora*. Macedończycy odsunęli się, żeby zrobić im miejsce.

Wnętrze bazyliki Sempronia, przy drzwiach

– Moja matka i Kornelia wychodzą – powiedział Cezar.

– My pójdziemy inną drogą – odparł Labienus.

– Inną drogą? – Cezar nie rozumiał, co się dzieje, nadal był oszołomiony porażką. Zbierał papirusy, notatki i odznaczenie, które miało przynieść mu szczęście, ale tak się nie stało, przynajmniej on nie tak sobie je wyobrażał. Nie myślał o tym, co działo się wokół niego. Nie myślał o tym, że muszą uniknąć najemników Dolabelli.

– Popatrz – powiedział Labienus. Chciał, żeby przyjaciel zrozumiał wreszcie ich położenie, dlatego pokazał w stronę Dolabelli, który w otoczeniu dwudziestu najemników szedł w ich stronę. – Idą po nas. Przede wszystkim po ciebie. Za mną. Pójdziemy do Subury, ale inną drogą. W ten sposób odciągniemy najemników od twojej rodziny.

Cezar wyrwał się z otępienia. Myśl, żeby chronić matkę i żonę przed zetknięciem z najemnikami Dolabelli, wydała mu się sensowna. Reszta, nawet jego własne życie, mało go obchodziła. Po tej olbrzymiej porażce nie zyska sobie

poważania w rzymskich trybunałach. Nie ma znaczenia, że i tak sądy są skorumpowane.

– Idziemy, idziemy – zgodził się Cezar i ruszył za przyjacielem.

Gdy wyszli z bazyliki, dołączył do nich tuzin weteranów Mariusza.

– Przykro mi – powiedział jeden z nich – że nie przyszło nas więcej. Wszyscy w tych czasach boją się optymatów.

– W porządku – odparł Labienus. – Pójdziemy nad rzekę. Tamtędy przejdziemy do domu Cezara, żeby uniknąć drogi przez forum.

– Dobry pomysł – zgodził się stary żołnierz. – Widziałem już parę uzbrojonych grup przy wejściach do Subury od strony forum i nie byli to nasi ludzie.

Wtedy pojawili się Macedończycy.

Perdikas podszedł do grupy Cezara. Reszta trzymała się z dala.

Weterani stanęli między chronionym przez siebie młodzieńcem a Macedończykiem.

– Dajcie mu przejść – powiedział Cezar.

Utworzyli przejście.

Perdikas zbliżył się.

– Niewinny. Oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Na tym polega wasza słynna sprawiedliwość?

Cezar nie wiedział, jak odpowiedzieć. Tamten nie miał też zamiaru wysłuchiwać żadnych wyjaśnień. Były pilniejsze rzeczy do zrobienia. Wrócił do swoich.

Ulewa jeszcze bardziej się wzmogła.

– Idziemy, na Jowisza – krzyknął Labienus. – Najemnicy Dolabelli są już blisko!

Zaczęli szybko schodzić ulicą w stronę Tybru.

Drzwi do bazyliki, chwilę później

Dolabella i jego ludzie wynurzyli się z bazyliki, rozglądając się na wszystkie strony.

– Na Herkulesa! – krzyknął senator, czując na twarzy siłę deszczu.

– Poszli w kierunku rzeki! – krzyknął jeden z najemników.

– Za nimi! – nakazał Dolabella.

Ani deszcz ani najgorsza z burz nie mogły go zatrzymać. Już nie. Zachowywał pozory i całymi tygodniami znosił zniewagi padające z ust tego młodzieniaszka podczas sądowego przedstawienia, ale koniec z tym. Odbyło się to, co musiało się odbyć. Teraz rozwiąże swoje problemy na swój sposób, a dzięki ulewie, która zmuszała do szukania schronienia w domach, ulice będą puste. Dolabella bez przeszkód zaprowadzi własną sprawiedliwość. Był szczęśliwy, rozochocony, rozogniony. Czuł się jak wtedy, gdy ruszył zapolować na Saturninusa i ukamienował go w budynku samego Senatu. Cezarowi śmierć zada nie kamieniami, lecz sztyletami.

Przy tabernae veteres

– Tam są – powiedział, nie podnosząc głosu, Archelaos na widok Dolabelli i jego ludzi wychodzących z bazyliki.

– Zabijemy ich – odparł zdecydowanie Perdikas.

Grupa uzbrojonych Macedończyków rzuciła się za senatorem i jego płatnymi zabójcami.

Forum Boarium, przy Tybrze

Cezar i Labienus nie tylko szybko szli. Teraz po prostu biegli. Eskortujący ich weterani dawnych wojsk Mariusza, którzy walczyli pod Aquae Sextiae i w innych epickich bitwach, byli starsi, więc z trudem nadążali.

– Musimy... zwolnić... albo zostaniemy... sami – powiedział Labienus.

Cezar natychmiast się zatrzymał.

Przyjaciel miał mu powiedzieć, że nie jest to konieczne, ale szybko zorientował się, dlaczego Cezar to zrobił: drogę odcięła im druga grupa uzbrojonych mężczyzn, bez wątpienia również najemników Dolabelli.

– Doki – rzucił Labienus.

Port rzeczny głównego rzymskiego targu był jedyną wolną drogą, chociaż stanowił ślepy zaułek.

Ulewa wzmagala się. Byli przemoknięci, ale nie miało to w tej chwili znaczenia.

Nie mieli możliwości manewru, więc Cezar, Labienus i dziesięciu weteranów ruszyło w stronę doków.

Tyber był wzburzony, spuchnięty od spienionej wody nagromadzonej podczas ostatnich dni.

– Wkrótce wyleje – stwierdził Cezar.

Burzliwe ulewy powtarzały się codziennie od kilku dni. Poziom wody w rzece nieustannie rósł.

Dolabella i jego ludzie również dotarli do doków. Grupa towarzysząca senatorowi od forum połączyła się z najemnikami, którzy odcięli drogę Cezarowi i Labienusowi. Czterdziestu uzbrojonych ludzi przeciwko dziesięciu weteranom. Gdy Dolabella ruszał na polowanie, nic nie było w stanie go powstrzymać.

Cezar i Labienus zeszli na drewniany pomost. Doszli do samej rzeki. Wzburzona woda nie zachęcała do tego, żeby się w nią zanurzyć i próbować uciekać na drugą stronę. To nie było dobre wyjście w przypadku tak wzburzonego Tybru o wyjątkowo wysokim poziomie. Rzeką płynęły gałęzie, całe drzewa, nawet łódki, które woda wyrwała z kotwic.

Cezar odwrócił się, stanął na czele swojej grupy i przejął dowództwo.

– Macie dla nas miecze? – spytał, ale nawet nie odwrócił się do byłych żołnierzy. Nie spuszczał wzroku z najemników Dolabelli, którzy nadchodzili pomostem.

– Mamy – odpowiedzieli i podali broń jemu i Labienusowi, który od razu stanął u boku Cezara.

– Zabiją nas – wycedził przez zęby.

– Zabiją – potwierdził Cezar.

Wszystko zostało powiedziane.

Ledwie uszli z życiem na Lesbos, ale w tej potyczce nic nie było w stanie ich ocalić.

Drewno pomostu drżało z powodu wzbierającej pod nim wody. Jego struktura mogła się w każdej chwili zawalić.

Najemnicy optymatów stworzyli przejście, z którego w ulewie i hałasie rzeki powoli wyłoniła się opasła postać Gnejusza Korneliusza Dolabelli zdecydowanie kroczącego po drewnie.

– Skończę to, co zaczął Sulla! – wrzasnął na cały głos, żeby go usłyszeli mimo hałasu wzbierającego Tybru, wiatru i deszczu. – Myślałeś, że bez żadnych konsekwencji możesz tygodniami obrzucać mnie oskarżeniami przed całym Rzymem? Podczas procesu milczałem. Metellus, Pompejusz i inni nadal uważają, że musimy zachowywać pozory, ale ten teatr się skończył. To był twój ostatni występ, chłopcze. I nie jest to komedia Plauta. Przeżyłeś pułapkę, jaką zastawiono na ciebie na Lesbos, bo Lukullus jest słaby i nieudolny, jak wszyscy inni. Ale ja nigdy nie zawodzę: nie wyjdiesz stąd żywy, z tego miejsca, z serca Rzymu. – Śmiejąc się, wycofał się tym samym przejściem i na koniec rzucił własny wyrok: – Zabić ich wszystkich!

Zostawił swoich ludzi na pomoście. Sam zszedł z tego niestabilnego miejsca, coraz bardziej wstrząsanego prądami rzecznyymi. Wrócił na Forum Boarium, gdzie na bezpiecznej rzymskiej ziemi zamierzał spokojnie czekać na egzekucję Gajusza Juliusza Cezara. Towarzyszyło mu zaledwie dwóch zbirów.

W intensywnej ulewie nie dostrzegli na czas zbliżających się Macedończyków. Archelaos przebił sztyletem jednego z najemników, a Perdikas drugiego.

Niespodziewanie Dolabella znalazł się sam, otoczony przez Macedończyków.

– Do mnie! Do mnie! – krzyknął głośno, nawołując najemników z pomostu.

Macedończycy przepuścili Myrtale, żeby jako pierwsza wbiła sztylet w sflaczałe, tłuste podbrzusze Dolabelli. Bolesna, lecz płytka rana; nie była śmiertelna. Mimo całej wściekłości i nienawiści dziewczynie zabrakło siły, żeby przebić brzuch byłego namiestnika. Chciała powtórzyć pchnięcie, ale nagle najemnicy Dolabelli przybiegli z pomostu – ku zaskoczeniu Macedończyków. Natychmiast odpowiedzieli na wezwanie. Pragnęli na koniec dnia otrzymać zapłatę i to sprawiło, że pędem opuścili pomost, żeby zaatakować Macedończyków, którzy otoczyli ich pana. Bo jeśli Dolabella umrze, kto im zapłaci?

Archelaosowi przebili ramię, a staremu Aeroposowi, ojcu Myrtale, wbili w plecy dwa sztylety. Dwóch Macedończyków zginęło. Reszta, wielu rannych, odsunęła się pod wodzą Perdikasa, żeby się przegrupować.

Senator trzymał rękę na brzuchu, żeby spowolnić upływ krwi.

Deszcz nie przestawał padać. To było jak morska burza, tyle że na lądzie.

Cezar, Labienus i ich ludzie wykorzystali odwrót najemników i opuścili pomost, który był coraz mniej stabilny.

Więcej błysków na niebie. Jakby dzisiaj ciskali je bogowie.

I grzmoty.

Woda i wiatr.

Woda wszędzie.

Poziom rzeki rósł.

Cezar pokierował swoją grupą, otoczyli najemników i stanęli u boku Macedończyków. Tamci w milczeniu, bez żadnej oznaki akceptacji, ale też bez sprzeciwu przyjęli do wiadomości to połączenie sił, żeby przegrupować się i na nowo zaatakować ludzi Dolabelli. Najemnicy nadal mieli przewagę, ale tylko dwóch na jednego, podczas gdy wcześniej było to czterech na jednego. To zbiło ich z tropu. Nie byli weteranami wojennymi ani nawet byłymi gladiatorami, tylko płatnymi zabójcami. Zwykle mordowali w sytuacji wyraźnej przewagi liczebnej i zawsze pod osłoną nocy, a nawet zachodząc ofiarę od tyłu. Nie byli

przyzwyczajeni do walki twarzą w twarz z weteranami albo żądnymi dawno upragnionej zemsty mężami, i kobietą.

Wspólny atak Cezara, Labienusa, weteranów, Perdikasa i reszty Macedończyków spowodował, że wśród najemników Dolabelli było wielu rannych i kilku zabitych, natomiast atakujący prawie nie ponieśli strat.

Ludzie senatora wycofali się ku pomostowi. Dolabella również ruszył w stronę drżących desek wiszących nad rozszalałym Tybrem. Szybko cała grupa znalazła się na pomoście. Było ich trzydziestu i trudno będzie ich pokonać w tym miejscu, gdy tylko zewrą szyki.

Ani Cezar, ani Perdikas nie wiedzieli, jakie wydać rozkazy. Pomost był wąski, więc nie mogli otoczyć przeciwnika ani zaatakować go z dwóch stron. Został im jedynie atak frontalny. Niespodzianka wynikająca z połączenia sił Rzymian i Macedończyków została już przetrawiona. Najemnicy byli teraz bardziej zdecydowani. Nie walczyli już tylko o swoje pieniądze, lecz o życie, stąd atakowali z furją, co w połączeniu z ich uzbrojeniem okazywało się bardziej niebezpieczne dla przeciwnika.

Cezar, Labienus i Perdikas nadal nie wiedzieli, co robić, gdy Myrtale podniosła ręce do nieba, skierowała do góry sztylet z krwią Dolabelli na ostrzu i patrząc w chmury, zaczęła się modlić:

– Tesaloniko, siostrze Aleksandra! Ten, kto kroczy pomostem, powiedział, że twój brat nie żyje! Powiedział to jasno i wyraźnie! Rozpętaj nad nim i jego ludźmi swój gniew z powodu twojego brata, który żyje i panuje nad wszystkim i wszystkimi. Rozpętaj nad nim gniew całej Macedonii z powodu jego zbrodni i niesprawiedliwych czynów! Rozpętaj nad nim wściekłość bogów! Zaciągnij go do samego Hadesu!

Tyber zagrzmiął, jakby tysiąc gorgon wynurzyło się z jego wód, jakby Neptun i wszystkie syreny ze wszystkich mórz w tym właśnie punkcie, w tej chwili złączyły się w furii rzeki. Tyber podniósł się i pochłoniął pomost z Dolabellą i najemnikami. Stary senator wrzeszczał słowa, których nikt już nie słyszał:

– Nie, nie, przekłęci! Niiieeee!

Perdikas poczuł, jak Myrtale obejmuje go i wybucha płaczem.

On też ją objął – tak jak robił to, zanim Dolabella przybył do Macedonii.

Przerażeni siłą rzeki Cezar i Labienus nie odrywali wzroku od wód: ranny Dolabella próbował utrzymać się na powierzchni. Wściekłość Tybru była jednak taka, że wysiłki senatora okazały się nadaremne. Najpierw obserwowali, jak walczy z wodą, mając głowę i ręce nad nią, krzyczy i przeklina wszystko i wszystkich, a potem widać było już tylko jego ręce, następnie jedną z nich i wreszcie – nic.

Jedynie woda, wszędzie woda, wzburzona woda.

Gnejusz Korneliusz Dolabella został pochłonięty przez rzekę i nigdy nie znaleziono jego ciała.

W tawernach portowych, które odbudowano po tej nawałnicy, opowiadano później, że syrena Tesalonika zabrała ciało w głąb morza i w jakiejś odległej zatoce tańczy i śmieje się przy szkielecie i czaszce Dolabelli, będących przedmiotem wiecznych tortur. Nie pozwala mu nawet na spoczynek w królestwie umarłych.

ROZDZIAŁ LXXVI

Cezar, Cezar, Cezar

Domus rodziny Juliuszów, Rzym

77 r. p.n.e., niespełna pół godziny po walce w dokach

Cezar i Labienus wbiegli do domu rodziny Juliuszów w zupełnie przemoczonych i poplamionych krwią togach.

Przerażona tym widokiem Kornelia rzuciła się w stronę Cezara i zaczęła obmacywać jego ciało, szukając ran.

– Zabili go! Zabili go! – krzyczała bezustannie.

Scenie tej przypatrywała się blada Aurelia.

W próbie przywrócenia harmonii na łonie rodziny zaprosiła do domu Kottę, który teraz również był świadkiem hałaśliwego powrotu Cezara. Rzeczywiście jego siostrzeniec wyglądał na rannego.

– Nic mi nie jest, Kornelio – powiedział Cezar. – Nic mi nie jest. To krew najemników Dolabelli, nie moja.

– Zaatakowali cię? – spytała, mimo że było to oczywiste. Nadal oszołomiona, drobnymi rękami macała togę małżonka, jakby nie wierzyła jego słowom, jakby obawiała się, że ukrywa przed nią jakąś straszliwą ranę, żeby tylko jej nie przestraszyć.

– Szli za nami od forum – wyjaśnił Labienus, a potem pociągnął łyk wody, którą podał mu niewolnik. Aurelia nakazała służbie zająć się przybyłymi.

– Od forum? – powtórzyła Kornelia nieco spokojniejsza, bo nie znalazła na ciele małżonka żadnej rany.

– Tak. Zeszliśmy do doków portu rzecznego. Tam nas otoczyli, ale zaraz zjawili się Macedończycy i nasz los się odmienił. Zabili Dolabelle.

Cezar pokręcił głową.

– Nie zabili – poprawił przyjaciela. – Macedończycy nie zabili Dolabelli, tylko wykonali na nim wyrok śmierci.

Labienus i Kotta mieli coś powiedzieć, ale Aurelia przerwała im władcym tonem.

– Wyjaśnienia i debaty mogą poczekać. Idźcie do komnaty Gajusza i zrzucie te mokre, zakrwawione togi, ubierzcie się w coś czystego i suchego, a my tymczasem przygotujemy posiłek w wewnętrznym pomieszczeniu, z dala od tej ulewy, która spadła na miasto.

Cezar skinął głową.

Podeszła do niego matka.

– Nie trzeba wzywać medyka? – spytała.

– Nic mi nie jest, matko, nie trzeba. Jeszcze nie udało im się ze mną skończyć.

Patrzyła za nim, jak szedł w kierunku komnaty z Labienusem i Kornelią. Utkwiło jej w głowie jedno słowo: „jeszcze”.

Forum w Rzymie, niedaleko budynku Senatu

Pompejusz schronił się między kolumnami przy wejściu do jednej ze świątyń i obserwował najemników Dolabelli krążących po ulicach. Szeptali między sobą, a na ich twarzach malowało się wyraźne zmartwienie.

Jeszcze przed paroma godzinami był przewodniczącym trybunału w tym ciągnącym się procesie. Przeczuwał, co się dzieje, ale na razie nie reagował. Obserwował. Kilku senatorów przeszło przez forum w stronę Senatu, chroniąc się przed ulewnym deszczem. Po drugiej stronie ulicy całkiem spora grupa weteranów Sulli, którzy teraz słuchali jego samego, oczekiwała na rozkazy. Ci ludzie niedawno pod jego dowództwem tłumili bunt Lepidusa.

Spojrzał na tę grupę oczekującą na jego znak. Chciał tylko się upewnić, że tam są, że oczekują w pogotowiu, cokolwiek przyjdzie im zrobić tego popołudnia. A może tej nocy.

Domus rodziny Juliuszów

O zmierzchu

Gdy zasiadali do posiłku, ołowiane chmury zdławiły już prawie całe światło dnia. Od czasu do czasu spadał z nich deszcz, ale potem dawały odpocząć zmoczonemu i zabłoconemu miastu i jego rzece będącej o krok od wylania.

Niezważający na bezlitosną pogodę zebrani, z Cezarem i Labienusem już w czystych szatach, rozmawiali o tym, co się wydarzyło, a także o tym, co się jeszcze może wydarzyć – było to ważniejsze.

– Sprawiedliwość – powiedział Cezar. – Ta, której Macedończycy nie dostali w naszej bazylice, od naszego rzymskiego prawa, więc poszukali jej na ulicach Rzymu w samym środku rozpętanej nawałnicy, na nabrzeżu oszalałego Tybru.

– To nie sprawiedliwość, chłopcze, lecz zemsta – zaprotestował wzburzony Kotta. – Na Jowisza! To będzie miało swoje skutki, więcej zabójstw!

– Nieustanna niesprawiedliwość, wuju, zwykle powoduje brutalne reakcje. A Dolabella i senatorzy ze stronnictwa optymatów, z którymi ostatnio tak świetnie się porozumiewasz, od dziesięcioleci wspierają tę odwieczną nierówność w podziale ziemi, bogactw i praw. Przed paroma laty Italikowie zbuntowali się przeciwko Rzymowi, żeby uzyskać obywatelstwo i zapewnić sobie pewne prawa. Teraz mieszkańcy prowincji na naszych ulicach wykonują wyrok śmierci na podłym senatorze Rzymu, ponieważ nie jesteśmy im w stanie zapewnić prawdziwej sprawiedliwości. Zgadzam się jednak, że jest to złe: władza Rzymu traci na znaczeniu. Wkrótce nie będziemy w stanie rządzić naszym terytorium. Potrzebne są zmiany, głęboka transformacja, poczynając od kompletnego wyplenienia korupcji. O to chodziło w tym procesie, wuju. Ale ty i twoi przyjaciele tego nie widzicie. Rzym zmierza w stronę konfliktu domowego o wielkiej skali, jeśli nie uda się zreorganizować dystrybucji praw i obowiązków...

– Zatrzymaj sobie swoje mowy, młodzieńcze – przerwał mu ochrypłym głosem Kotta. – Możesz mieć rację albo nie, ale i tak twoja kariera polityczna skończyła się wraz z tym procesem. To było twoje pierwsze wystąpienie na forum i nie tylko je

z kretesem przegrałeś, Hortensjusz po prostu cię zmiażdżył. Cudem będzie, jeśli którego dnia uda ci się zostać chociaż edylem. Powiedziałem ci, żebyś trzymał się od tego z daleka...

– Graliście nieczysto – rzucił mu w twarz Cezar, patrząc na matkę.

Aurelia westchnęła i spuściła wzrok.

– Zachowaliśmy się tak jak zawsze przed rzymskim trybunałem. Zrobiłem, co mogłem, żeby zdyskredytować zeznania twoich świadków.

– Nie ma żadnych granic? – spytał wówczas Labienus.

– Podczas rzymskiego procesu nie ma granic, młody człowieku, nie ma. Powiedziałem ci tysiąc razy, żebyś nie porywał się na coś, co cię przerasta, na wszystkich bogów.

– Jesteś zdrajcą rodziny – przypieczętował tę wymianę zdań rozogniony, doprowadzony do ostateczności Cezar.

Kotta dostrzegł smutną twarz siostry.

– Przykro mi, Aurelio – powiedział. – Ostrzegałem go, ostrzegałem, żeby nie brał udziału w tym procesie, ale mnie nie posłuchał. Nigdy nikogo nie słucha. Może poza tymi, którzy źle mu doradzają i zachęcają go do szalonych czynów. – Spojrzał przelotnie na Kornelię.

Młoda kobieta miała coś powiedzieć, ale Cezar zdecydowanie położył jej rękę na ramieniu.

– Ten proces wszystkich nas wyprowadził z równowagi – stwierdziła Aurelia. – Wszyscy działaliśmy tak, jak uznaliśmy za słuszne, i wszyscy mieliśmy swoje powody, ale teraz nadeszła pora, żeby o tym zapomnieć i spróbować podtrzymać rodzinne relacje, teraz bardziej niż do tej pory. Przeczuwam, że nadchodzą burzliwe czasy. Powinniśmy trzymać się razem.

– Jakieś głosy... Na zewnątrz – rzucił Cezar.

Nikt z obecnych nic nie słyszał. Nawet deszczu. Jakiś czas temu nawałnica ustąpiła i tym razem zdawało się, że na dobre.

Aureliusz Kotta był przekonany, że jego siostrzeniec zwyczajnie próbuje sprowadzić tę niewątpliwie niewygodną dla siebie rozmowę na inne tory. Ale trzeba mu powiedzieć prawdę. Zniszczył sobie *cursus honorum* i jeśli będzie nadal kroczył tą samą ścieżką, za kilka miesięcy, a może tylko tygodni zostanie brutalnie zamordowany. Zwłaszcza teraz, po zabójstwie Dolabelli. Najbardziej radykalni senatorzy będą chcieli się zemścić i Cezar może stać się jedną z ich pierwszą ofiar.

– Nic nie słyszę – powiedział Kotta.

Juliusz Cezar zignorował tę uwagę i podszedł do rogu pomieszczenia, z którego najbliżej było do ulicy. Subura owijała ich rezydencję niczym siatka wąskich zaułków i małych domków, w których żyły tysiące biednych mieszkańców Rzymu, plebs Republiki.

– Rzeczywiście coś słyhać – powiedziała Kornelia i podeszła do małżonka.

Stanąła przy nim, a on tylko skinął jej głową. Uniósł rękę, wskazując, żeby nikt się nie odzywał.

Kotta westchnął i pokręcił głową, wpatrując się w podłogę.

Labienus skupił się na swoim winie. Gorzki łyk w sytuacji porażki.

Aurelia wyszła do atrium i spojrzała w niebo, na którym pojawiły się gwiazdy. Chmury się rozeszły. Nie było ich widać. Również coś słyszała. To brzmiało jak okrzyki tłumu. Na bogów! Może to najemnicy senatorów wysłani, żeby zabić jej syna za to, co Macedończycy zrobili z Dolabellą?

– Teraz słyszycie? – upierał się Cezar.

Labienus powoli się odwrócił. Usłyszał. Odstawił puchar na stół i podszedł do przyjaciela i jego małżonki.

Aureliusz Kotta skrzywił się. Rzeczywiście coś do niego docierało. Krzyki nadchodzących ludzi wrzeszczących niezrozumiałe słowa.

– Otwórzcie okna na ulicę! – nakazała Aurelia niewolnikom. – Ale niech drzwi pozostaną dobrze zamknięte! – dodała, a w jej głosie słyhać było strach.

Niewolnicy skwapliwie wypełnili rozkazy *dominy*. Wrzask tłumu wypełniającego wszystkie zaułki Subury zmienił się nagle w wyraźne słowa:

– Cezar! Cezar! Cezar!

Juliusz Cezar powoli odwrócił się do matki, która mrugała oczami. Nie mogła uwierzyć w to, co się tam działo. Stojący obok niej Kotta również. Jego twarz wyrażała zupełne zaskoczenie.

– Cezar! Cezar! Cezar!

Krzyki, owacje, wiwaty? Były coraz bliżej. Lud Rzymu pozbawiony wsparcia, pozbawiony przywódców, bez swoich trybunów, których w ostatnich dziesięcioleciach jednego za drugim zabijano ... Wszechpotężny Senat kontrolujący wszystko, Gajusz Mariusz martwy, Saturninus martwy, Grakhowie martwi, Druzus, Glaucja, Cynna i Lepidus martwi, tylu innych martwych... Ten lud znalazł wreszcie następcę ich wszystkich, młodego i energicznego męża, który nie bał się przeciwstawić prawej ręce Sulli, wszechpotężnemu Dolabelli, mimo skorumpowanego trybunału, sprzedajnych sędziów, mimo że tamten za pieniądze zdobył sobie najlepszych adwokatów, a ustawiacze manipulowali klepsydrami, mimo że wszystko zbiegło się przeciwko niemu. Tak, przegrał, poniósł porażkę. Ale lud Rzymu nie zwracał uwagi na ten kupiony wyrok...

– Cezar! Cezar! Cezar!

Odwaga, śmiałość i wiara w siebie, z jakimi młody Cezar wystąpił przed starymi skorumpowanymi senatorami – to ich rozpało, to przywróciło im nadzieję na zmianę.

– Cezar! Cezar! Cezar!

– Jesteś pewien, wuju, że naprawdę przegrałem ten proces? – ośmielił się wyzywająco powiedzieć młody adwokat. – Zapadł wyrok dla mnie niekorzystny, ale wydaje się, że lud widzi to inaczej, nie uważasz?

Aureliusz Kotta nalał sobie pełen puchar wina. Sącył je powoli, ale do dna. Kątem oka obserwował podnieconego siostrzeńca. Na ulicy nie przestawano wiwatować.

– Cezar! Cezar! Cezar!

Po raz pierwszy Rzym użył tego imienia jako okrzyku aprobaty. Po raz pierwszy w długiej historii wiwatów, które trwać będą wieki. Od teraz wiele rzeczy będzie wydarzać się po raz pierwszy w historii.

Młody adwokat stanął obok wuja. Czekał na jego odpowiedź.

– Lud, jak twierdzisz, młodzieńcze, może patrzeć na to inaczej, ale nie senatorzy. A to oni rządzą.

– Przed chwilą wróżyłeś mi rychły koniec kariery politycznej, zniszczenie mojego *cursus honorum* – przypomniał wyzywająco Cezar. – Ale ja sądzę, że ten proces to nie jest żaden koniec, lecz początek wszystkiego. Początek czegoś wielkiego.

– Cezar! Cezar! Cezar!

Wbijając wzrok w wuja, Juliusz Cezar dał rozkaz niewolnikom.

– Otwórzcie drzwi! Muszę pozdrowić lud Rzymu!

Służący zawahali się i spojrzeli na Aurelię. Matrona się nie poruszyła. Jej władza nie sięgała tak daleko jak autorytet *pater familias*. Drzwi domu rodziny Juliuszów rozwarły się.

Gajusz Juliusz Cezar odwrócił się i ruszył w ich stronę.

– Jak wuj siostrzeńca, bo jesteśmy rodziną, z miłości do twojej matki, ostrzegam cię, młodzieńcze: senatorzy po ciebie przyjdą. Niezależnie od wszystkich wiwatów świata twoje imię oznacza wyrok śmierci. Musisz opuścić Rzym, przynajmniej na jakiś czas. Dopóki się to wszystko nie uspokoi.

Cezar odwrócił się ponownie, żeby odpowiedzieć wujowi...

Budynek Senatu, forum w Rzymie

Tej samej nocy

Do zgromadzonych senatorów dotarły wieści o śmierci Dolabelli i zamieszkach na ulicach Subury oraz wiwatach na cześć Cezara.

– Trzeba coś zrobić – powtarzali, ale nikt nie ośmielił się podjąć decyzji.

Ich najwyższy przywódca, weteran Metellus walczył w Hiszpanii z buntownikami pod wodzą Sertoriusza. Nie można było pozbyć się tego raka: poza Rzymem – Sertoriusz, w Rzymie nagle pojawił się nowy front – Cezar.

– Cała Subura wiwatuje na jego cześć! – krzyknął niedawno przybyły senator. Na zaimprovizowanym zebraniu optymatów rozważano sytuację po procesie i wydarzeniach, które miały miejsce.

– Jego zabicie nie byłoby rozsądne... Nie tej nocy... – mówił inny.

W tym momencie naprzód wystąpił Marek Tulliusz Cynceron. Stał w samym środku grupy, obok Pompejusza. W trakcie procesu nie zabierał głosu i chociaż swobodnie czuł się w Senacie, nie opowiadał się wyraźnie po stronie optymatów, choć w żaden sposób nie był też bliski popularom. Zawsze wygłaszał wyważone opinie.

Wszyscy senatorowie wbili w niego wzrok.

Pompejusz również.

– Być może nie trzeba będzie go zabijać, ale powinniśmy zmusić go do opuszczenia Rzymu – powiedział kategorycznym tonem Cynceron. – Nie możemy pozwolić, żeby młody Juliusz Cezar przyzwyczaił się do wygrywania na ulicach tego, czego nie wygra w trybunałach sądowych.

Zapadła cisza.

Ktoś musiał wystąpić i położyć kres wybrykom Cezara, ledwie dwudziestotrzylatka, który już zdołał ich wystraszyć.

– Ja pójdę – wstając, ogłosił spokojnym tonem Pompejusz.

Wszyscy się zgodzili na jego propozycję. Skoro Metellus znajdował się poza Rzymem, Pompejusz zaczynał wyrastać na prawdziwego przywódcę miasta.

Domus rodziny Juliuszów

Cezar odwrócił się do wuja, żeby mu odpowiedzieć.

– Jestem ci wdzięczny za radę, bo wiem, że mówisz to jako wuj do siostrzeńca. Posłucham cię: opuszczę Rzym. Tak, zrobię to.

Gajusz Juliusz Cezar przekroczył w towarzystwie Kornelii próg rodzinnego domu. Lud Rzymu przyjął go, bez przerwy wykrzykując jego imię. Oto mieli przed sobą kogoś, kto odważył się przeciwstawić wszechpotężnym senatorom, którzy gromadzili bogactwa, podczas gdy plebs był wyczerpany, podporządkowany, pozbawiony środków. Cezar był jeszcze młody, zbyt niedoświadczony, bez odpowiedniego wsparcia. Ale również był kimś jeszcze: bratankiem Mariusza.

– Cezar! Cezar! Cezar!

Juliusz Cezar zatrzymał się na moment i zwrócił w stronę Kotty i Aurelii.

– Miałaś rację, matko, w jednej ważnej rzeczy.

– W której? – spytała.

– W tym, że nie jestem jeszcze wystarczająco silny, żeby stawić czoło senatorom. – Spojrzał na nią z niezwykłą czułością. – Ale stanę się silniejszy, matko. Stanę się silniejszy.

Kotta westchnął.

Aurelia z dumą patrzyła na syna. Bała się o niego, ale przepelniała ją zarazem duma i w tej chwili odwaga syna tłumiała jej obawy.

Wiwaty wokół ich rezydencji nie ustawały.

– Cezar! Cezar! Cezar!

– Chodź, Kornelio, będziesz mi towarzyszyć. A ty, Labienusie, idziesz z nami?

Młoda kobieta stanęła u boku małżonka. Dołączył do nich Labienus. Juliusz Cezar wyszedł pomiędzy nimi, żeby pozdrowić lud Rzymu.

Epilogus

Ulice Subury, Rzym

77 r. p.n.e.

Pompejusz zabrał ze sobą dwustu weteranów wiernych optymatom, setkę najemników i byłych gladiatorów na żołdzie Senatu. Ulice wypełniali ludzie, a Subura była niebezpieczną dla senatorów dzielnicą. Zakładał jednak, że wobec tego pokazu siły wojskowej mieszkańcy Rzymu opuszczą ulice i zamkną się w domach na sam widok Gnejusza Pompejusza kroczącego między ich *insulae*.

Domus rodziny Juliuszów

Kotta podszedł do siostry.

– Wiesz, że senatorowie ostatecznie go zabiją, prawda?

– To możliwe – przyznała Aurelia – ale być może, kiedy już to zrobią, jeśli im się w ogóle uda, on już doprowadzi do zmiany. Jak dobrze ujął to mój syn: to dopiero początek. On odmieni świat. Ani ty, ani wszyscy senatorowie Rzymu nie zdołacie go powstrzymać. Mój syn pochodzi prosto od Julusa, syna Eneasza, w jego żyłach płynie krew Wenus i Marsa. I błagam oboje bogów, aby go chronili i prowadzili zarówno w czasach pokoju, jak i wojny. Ponieważ będzie żył w czasach wojny, dobrze o tym wiem. Takie jest jego przeznaczenie.

Na zewnątrz wiwaty nie ustawały.

– Cezar! Cezar! Cezar!

Ulice Subury, Rzym

Cezar w towarzystwie Kornelii i Labienusa znalazł się pośrodku tłumu, który nieustannie wiwatował na jego cześć. Pozdrowiał ludzi z szerokim uśmiechem, gdy

nagle po drugiej stronie ulicy owacje stały się mniej intensywne i zaczęły milknąć, aż wreszcie zupełnie zamarły. W tłumie otworzył się wówczas szeroki korytarz – ludzie rozstąpili się na boki. W przejściu tym pojawiła się władcza, przysadzista sylwetka Gnejusza Pompejusza w otoczeniu dziesiątków uzbrojonych ludzi.

– Przychodzą, żeby cię aresztować? – spytała bojaźliwie Kornelia i chwyciła małżonka mocno za ramię.

– Nie, nie sędzę – odpowiedział jej cicho Cezar. – Nie teraz i nie tutaj, na oczach rzymskiego ludu. To tylko dodałoby mi ważności.

– A więc przyszli, żeby cię zabić? – spytała z jeszcze większym strachem.

Cezar rozejrzał się. Wielu z tych, którzy jeszcze przed chwilą wiwatowali na jego cześć, zostało na miejscu i chwyciło kamienie lub wyjmowało ostre noże, które błyskały w świetle pochodni.

– Senatorowie nie mają zwyczaju zabijać, jeśli sprawia im to jakąś trudność – dodał Cezar. – Przyszli w innej sprawie.

Pompejusz powoli podszedł do Cezara i zatrzymał się ledwie kilka kroków od niego. Przywódca optymatów również zwrócił uwagę na kamienie i noże w rękach obywateli. Jeśli przystąpi teraz do aresztowania albo ataku, spotkanie przerodzi się w regularną bitwę na ulicach Rzymu. Duża część wojska znajdowała się w Hispanii, gdzie walczyła z popularami pod wodzą Sertoriusza, więc nie mógł ryzykować powszechnego powstania w Rzymie. Postanowił działać zdecydowanie, lecz ostrożnie.

– Przyszedłem cię ostrzec – powiedział.

– Przed czym? – spytał Cezar, nie cofając się o krok.

Kornelia obejmowała go, wpatrując się w ziemię, prawie drżała, ale śmiałość i odwaga małżonka dodawały jej otuchy. Labienus stał wyzywająco, jak sam Cezar, gotów po raz kolejny walczyć za przyjaciela aż do śmierci, jeśli okazałoby się to konieczne.

– Przyszedłem cię ostrzec, że najlepiej będzie, jeśli opuścisz Rzym – uściślił Pompejusz.

Przez kilka chwil panowała cisza, a Cezar i Pompejusz intensywnie mierzyli się wzrokiem. To było jak zderzenie dwóch nowych tytanów, zapowiedź tego, co mogło przekształcić się w konflikt o rozmiarach, których nie zdołałby przewidzieć nikt z obecnych tego dnia na ulicach Subury. Zaczęło się od procesu skorumpowanego senatora, ale Cezar sprawił, że przerodziło się w coś znacznie większego. A wszystko jeszcze mogło wymknąć się spod kontroli...

To nie był moment ani miejsce na walkę. Od Mariusza nauczył się, żeby wydawać bitwy tylko we właściwie wybranym miejscu i czasie.

– Zgoda – odparł Cezar. – Wyjadę z Rzymu.

Pompejusz odetchnął z ulgą.

Z weteranów i najemników zeszło napięcie, a zebrani mieszkańcy opuścili nieco ręce, w których trzymali kamienie i noże, poczuli się zniechęceni. Oto kolejny przywódca, który ich opuszcza.

– Wyjadę z Rzymu – powtórzył Juliusz Cezar. – Ale wrócę.

Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił się i w towarzystwie Kornelii i Labienusa ruszył w stronę domu.

„Ale wrócę” – usłyszał lud Rzymu.

Znów rozległy się wiwaty, z większą siłą niż wcześniej, o ile to było w ogóle możliwe.

– Cezar! Cezar! Cezar!

Pompejusz odwrócił się na piętach i w eskorcie swoich ludzi wycofał się w uporządkowany sposób tym samym korytarzem, który otworzył sobie w tłumie. Wiedział, że to nie koniec. Musiał kroczyć wśród niekończących się wiwatów na cześć tego, który przegrał proces przeciwko Dolabelli.

– Cezar! Cezar! Cezar!

Porażka i zwycięstwo są czasami kwestią przyjętej perspektywy.

Statek na pełnym morzu, Morze Śródziemne

Dwa dni po walce w dokach Rzymu

Perdikas nie odniósł ciężkich ran, ale ramiona miał zabandażowane. Aeropos zginął. Archelaos był bardzo słaby, choć dochodził do siebie, śpiąc pod pokładem. Stary Orestes został w Rzymie, nie miał sił na kolejną podróż.

Myrtale podeszła i objęła plecy ukochanego.

– Co będzie z tym szlachetnym starcem?

Rozmawiali o Orestesie, wychodząc na pokład.

– Rzymianin powiedział, że się nim zajmie – odparł Perdikas.

– Juliusz Cezar?

– Tak.

– Zrobi to?

– Dotrzymał słowa. Jego wymiar sprawiedliwości nas zawiódł, ale wygląda na to, że zawiódł również jego. Wypełnił swoje zobowiązania: reprezentował nas przed sądem w Rzymie przeciwko Dolabelli. Do samego końca. A potem pomógł nam zaokrętować się i uciec z Rzymu. Zajmie się starym Orestesem. Jestem tego pewien.

Zatrzymali się na dziobie statku.

Myrtale mocno przytuliła się do Perdikasa.

– Gdy dotrzemy do Tesalonik... weźmiemy ślub – ogłosił młodzieniec. – I zapomnimy o tym wszystkim.

Ona nic na to nie powiedziała. Tylko wcisnęła twarz pod ramię Perdikasa.

Czuli wokół siebie morską bryzę.

– Będziemy mieli dobrą podróż – powiedział. – Tak czuję.

– Tesalonika i pozostałe syreny nas chronią – dodała.

Wysłuchiwali się w wiatr i hałas kilu statku, który, pracując do przodu, przebijał fale.

– Myślisz, że usłyszymy jeszcze o tym człowieku? – spytała Myrtale. – O tym Cezarze.

Perdikas powoli skinął głową, nie odrywając wzroku od horyzontu.

– Jestem przekonany, że wkrótce znów o nim usłyszymy – powiedział zdecydowanym tonem.

DODATKI

DODATEK I

Nota historyczna

Nie czytać przed zakończeniem lektury. Zawiera spojler.

Opisy dzieciństwa i młodości Juliusza Cezara można uznać za niejasny fragment jego biografii. W miarę jak stawał się coraz sławniejszy, mamy do czynienia z bardziej precyzyjnymi informacjami na temat jego życia prywatnego i publicznego. Ale w odniesieniu do pierwszych dwudziestu trzech lat, na których skupia się ta powieść, praktycznie nie istnieją żadne źródła.

Mimo to wiemy, że proces przeciwko Dolabelli rzeczywiście się odbył. Wiemy również kiedy, kim byli obrońcy skorumpowanego senatora i jakie prawa w nim obowiązywały, jak również kto był młodym oskarżycielem: mianowicie Juliusz Cezar. Znamy wynik procesu – Dolabella został uniewinniony. Sam przebieg procesu, jego poszczególne mowy nie przetrwały do naszych czasów. To jest zrozumiałe z punktu widzenia epoki. Rzymscy patrycjusze, którzy byli adwokatami, jak Cynceron albo Cezar, publikowali swoje mowy jedynie, gdy proces wygrywali. Po co informować o przegranej? Nawet jeśli była efektem manipulacji i korupcji. Porażka w Rzymie była porażką. Jedynie czas miał pokazać Cezarowi i jego współczesnym, że mimo przegranej proces Dolabelli był momentem, w którym lud rzymski ujrzał w młodym oskarżycielu nowego przywódcę popularów, odważnego, inteligentnego i śmiałego – idealnego następcę jego wuja Mariusza. To właśnie widzimy w powieści.

A jednak zaskakuje mnie, jak niewiele dzieł napisano o życiu Cezara, gdy zajmował się karierą prawniczą, chociaż był to kluczowy etap w życiu wielu młodych Rzymian, którzy w ten sposób w bazylikach miasta dawali się szerzej poznać. Bez wątplenia Juliusz Cezar najlepiej wykorzystał tę witrynę do zbudowania własnej popularności.

Należy wskazać na pewną kwestię moralną: wielu arystokratów chciało dać się poznać w procesach, w których przeczuwali, że pójdzie im gładko. Cezar odważył się wziąć udział w takim, w którym wszystko działało na jego niekorzyść, w którym musiał stawić czoło korupcji i niesprawiedliwości. Z pewnością wykorzystał proces dla własnej promocji, ale wziął w nim stronę Macedończyków, którzy zostali pokrzywdzeni i byli słabsi. Mógł stanąć przecież u boku Dolabelli, jak zrobił to jego wuj Kotta. To byłoby łatwe, ale Cezar wybrał sprawiedliwość – opcję bardziej ryzykowną, bardziej niebezpieczną i prowadzącą do pewnej porażki. Późniejsze wydarzenia pokazały, że stanowiła ona moment zwrotny w życiu Cezara i historii Rzymu.

Formalna przegrana jest tutaj obojętna. Moralnie Cezar wygrał i z punktu widzenia jego popularności proces ten wyznaczył granicę w jego życiu politycznym.

Ponieważ nie mamy dostępu do mów z tego procesu, musiałem zrekonstruować je przy pomocy naukowca, specjalisty od prawa rzymskiego z Uniwersytetu w Walencji, Alejandra Valiña. Dzięki temu pokazałem kolejne rozprawy odbywające się wedle zasad ustalonych przez Sullę, które obowiązywały w 77 r. p.n.e. Tylko ja ponoszę jednak winę za ewentualne błędy.

Odwołałem się również do tzw. tekstów równoległych, czyli procesów w sprawach o korupcję, jakie odbyły się w mniej więcej tym samym czasie, a których przebieg został udokumentowany i zachował się do dzisiaj. Chodzi na przykład o proces przeciwko Werresowi, w którym oskarżał Cynceron. Te teksty inspirowały mnie w momencie pisania mów i wypowiedzi adwokatów oraz świadków w procesie Dolabelli.

Starałem się podawać właściwe daty historyczne wydarzeń, ale w tej burzliwej epoce określenie dokładnych momentów oblężeń, buntów, bitew czy miejskich zamieszek może być nieprecyzyjne i różnić się, w zależności od źródeł, nawet o miesiące czy lata. Na przykład połączyłem oblężenie Mityleny na wyspie Lesbos ze śmiercią Sulli, podczas gdy – w zależności od konsultowanego źródła – między

oboma wydarzeniami mogła istnieć przerwa wynosząca wiele miesięcy, a nawet cały rok. W każdym razie doszło do nich mniej więcej w tym samym czasie.

Wszystkie wydarzenia historyczne w poszczególnych „memoriach”, czyli wspomnieniach, odnoszące się do Aurelii, Mariusza, Kornelii, Sulli czy Labienusa, miały miejsce, mimo że osobiste relacje między Kornelią a Cezarem czy między Labienusem a Cezarem również giną w mrokach dziejów, więc zwyczajnie dopisałem do nich własne przypuszczenia. Niewątpliwie Aurelia była niezwykle ważną osobą w życiu Cezara, a Mariusz okazał się jednym z najwybitniejszych przywódców rzymskich w całej historii, co w znaczący sposób wpłynęło na jego bratanka. Źródła odnoszą się często również do szczęśliwego i pełnego uczuć małżeństwa Cezara i Kornelii, podobnie jak twierdzą, że konflikt Cezara z Sullą był ostry i niebezpieczny. Wreszcie wiemy, że Labienus był jednym z wielkich przyjaciół naszego bohatera, choć nie mamy informacji o tym, jak ta przyjaźń została zapoczątkowana. Znamy więcej szczegółów ich późniejszej relacji, o czym opowiem w następnych powieściach.

Jeśli chodzi o najważniejsze bitwy, które opisuję w *Rzym to ja*, dysponujemy obszerną dokumentacją przebiegu starcia pod Aquae Sextiae, w której Mariusz pokonał Ambronów i Teutonów. Wykorzystałem ją do stworzenia tej relacji. Natomiast niewiele wiadomo o oblężeniu Mityleny. Było to na pewno pierwsze istotne doświadczenie bitewne Cezara, kiedy musiał się czymś wykazać, ponieważ rzeczywiście przyznano mu *corona civica*. Wiadomo również, że dowódcami w tamtym okresie byli Lukullus i Minucjusz Termus. Możliwe, że Rzymianie jedynie pozorowali odpłynięcie z wyspy, żeby sprowokować wrogie wojsko do opuszczenia miasta. Ale imiona przywódców Lesbos i szczegółowy przebieg tego starcia nie są pewne.

Powieść kończy się w momencie, w którym Pompejusz wyrasta na nowego przywódcę stronnictwa konserwatywnego w Rzymie. Sertoriusz, zastępca Mariusza, nadal przewodzi buntownikom w Hiszpanii, a Cezar musi wyjechać z Rzymu, gdyż kontrolujący miasto optymaci uznają go za wroga. Te wszystkie sprawy muszą rozstrzygnąć się w kolejnej powieści. Wyczuwa się już konflikt

między Pompejuszem a Cezarem. Będzie prawdziwy i brutalny, ale to, w jaki sposób obaj dotrą na szczyty władzy i jak będą zawierali i ostatecznie zrywali sojusze, jest wspaniałą historią do opowiedzenia. Już niedługo.

DODATEK II

Słowniczek

Accusator: Odpowiednik prokuratora w nowoczesnym procesie przed sądem. Odpowiedzialny za wniesienie oskarżenia. W każdym procesie rzymskim brał udział jeden oskarżyciel, którego wybierano podczas rozprawy zwanej *divinatio*. Mogli w niej wziąć udział różni chętni, żeby przedstawić swoją kandydaturę.

As: Moneta używana od III wieku p.n.e. w zachodniej części basenu Morza Śródziemnego. *As grave* to pieniądz, który wypłacano rzymskim legionistom. Była warta dwanaście uncji i w ślad za monetami Wielkiej Grecji przybrała formę okrągłą. Podczas drugiej wojny punickiej zaczęto ją wytapiać ze złota, zamiast z brązu.

Atriense: Niewolnik domowy wyższej rangi w starożytnym Rzymie. Nadzorował pracę pozostałych niewolników i cieszył się sporą swobodą w wykonywaniu własnych obowiązków.

Bazylika Sempronia: Jedna z czterech bazylik czasów Republiki, zbudowana w 169 r. p.n.e. przez Tyberiusza Semproniusza Grakcha, męża Kornelii, córki Scypiona Afrykańskiego, i ojca dwóch Grakchów, którzy z ramienia popularów sprawowali urząd trybuna ludowego. Spora część akcji powieści toczy się w tym budynku służącym jako miejsce działania wymiaru sprawiedliwości. Bazyliki rzymskie funkcjonowały jako trybunały. Nie były przeznaczone do celów religijnych. Po wielu wiekach chrześcijanie, którzy się w nich zbierali, nadali tym budynkom rolę kościołów. Prawdopodobnie bazylika Sempronia wznosiła się w centrum forum, na terenach, które wcześniej zajmował sam Scypion Afrykański i które Tyberiusz Semproniusz Grakchus albo odziedziczył po ślubie z Kornelią, albo zakupił. W 54 r. p.n.e. Juliusz Cezar zbudował bazylikę Julia na ruinach bazyliki Sempronia, która mogła paść ofiarą pożaru w tym samym roku albo niedługo wcześniej.

Buccellati: Kawalki ciasta wytwarzane prawdopodobnie z mąki, soli, masła i wody, które stanowiły rację żywnościową legionistów podczas kampanii wojennej. Ważyły niewiele, nie zajmowały miejsca i idealnie nadawały się do przechowywania przez długi czas, zapewniając odpowiednią dawkę kalorii, której potrzebował legionista.

Buccinator: Trębacz legionów.

Bulla: Amulet, który zazwyczaj nosiły w Rzymie małe dzieci. Miał za zadanie chronić je przed złymi duchami.

Calon: Niewolnik legionisty. Zwykle nie brał udziału w działaniach wojennych.

Carcere: Przedziały umiejscowione w lewej części Circus Maximus (patrząc od strony Palatynu), z których wyjeżdżały kwadrygi. W Circus Maximus istniało ich dwanaście – po jednej dla każdej kwadrygi biorącej udział w wyścigu na tym wielkim rzymskim hipodromie.

Cathedra: Krzesło bez podłokietników, z lekko zakrzywionym oparciem. Pierwotnie to kobiety korzystały z tego rodzaju siedzisk, ponieważ uważano je za bardziej luksusowe, ale szybko zaczęły używać ich także mężczyźni. Później stały się typowymi miejscami do siedzenia dla sędziów w trybunale lub nauczycieli retoryki. Stąd wywodzi się wyrażenie „mówić *ex cathedra*” (czyli mocą autorytetu).

Charon: Przewoźnik transportujący dusze umarłych przez rzekę Styks (Acheron). Pobierał za to opłatę w postaci monety – stąd wziął się rzymski zwyczaj wkładania pieniążka w usta zmarłego.

Cognomen: Trzeci element rzymskiego imienia, wskazujący na konkretną gałąź rodziny, do której należała dana osoba. Na przykład bohater tej powieści nosi *nomen* Gajusz, należy do rodziny (*gens* albo *tribus*) Juliuszów, a w jej obrębie do gałęzi określanej jako Cezarowie. Uznaje się, że często *cognomen* wywodził się od jakiejś cechy charakterystycznej wybitnego członka rodziny.

Comissatio: Część rzymskiego przyjęcia, która miała miejsce po zjedzeniu posiłku. Mogła trwać całą noc.

Comitium: Obszerny plac, który Tullus Hostyliusz wyznaczył w północnej części forum do organizowania zgromadzeń ludu. Na jego północnej krawędzi powstał budynek Curia Hostilia, w którym zbierał się Senat. W *comitium* gromadzili się senatorowie przed rozpoczęciem posiedzeń Senatu.

Corona civica: Jedno z najważniejszych rzymskich odznaczeń wojennych, jakie mógł otrzymać legionista lub oficer. Przyznawano je za takie zasługi, jak heroiczny akt podczas bitwy, na przykład uratowanie życia przynajmniej jednego towarzysza broni.

Corruptio: Termin oznaczający „korupcję”, używany do określenia pewnych przestępstw – od defraudacji środków publicznych po zepsucie moralne.

Cubiculum, cubicula: Pomieszczenia lub pokoje sypialne w rzymskim domu, zazwyczaj rozmieszczone dookoła atrium.

Cum manu: Małżeństwo rzymskie, w którym kobieta całkowicie przechodziła spod kurateli ojca pod kuratelę męża.

Cursus honorum: Określenie przebiegu kariery politycznej w Rzymie. Obywatel mógł osiągać kolejne szczeble stanowisk politycznych i wojskowych, od edyla w mieście Rzym, po kwestora, pretora, cenzora, prokonsula, konsula, a w nadzwyczajnych momentach, dyktatora. Były to stanowiska wybieralne, mimo że poziom transparentności podczas tych wyborów zmieniał się w zależności od sytuacji społecznej za czasów Republiki.

Czterorzędowiec: Statek używany do celów wojennych z czterema rzędami wiosł. Odmiana triery.

De iure: Dosłownie „wedle prawa”, a więc zgodnie z jego literą.

Deductio: Parada organizowana dla uczczenia wielu wydarzeń podczas życia społecznego Rzymian. Mogła upamiętniać zmarłego – miała wówczas charakter pogrzebu – albo celebrować zawarty związek małżeński.

Devotio: Akt złożenia ofiary o najwyższym znaczeniu, w którym generał, oficer lub żołnierz oddawał własne życie na polu bitwy, żeby uratować honor armii.

Dies fasti: Dni, w których można było odbywać zaślubiny, różnego rodzaju celebracje, a także rozpoczynać przedsięwzięcia oraz podróże, ponieważ wedle rzymskiego kalendarza były to dni odpowiednie lub cieszące się przychylnością bogów.

Dies nefasti: Dni, w których z powodów religijnych lub złego auspicjum (brak przychylności bogów) nie należało organizować zaślubin czy innych wydarzeń rodzinnych lub publicznych ani rozpoczynać nowych przedsięwzięć lub podróży.

Divinatio: W kontekście procesu sądowego moment, w którym adwokaci przedstawiają swoją kandydaturę jako oskarżyciele przeciwko innemu obywatelowi. Była to oddzielna rozprawa, przeprowadzana przed trybunałem rozstrzygającym *quaestio perpetua*, podczas której sędziowie decydowali o tym, który z kandydatów zostanie głównym oskarżycielem.

Domus: Typowa rzymska rezydencja zamożniejszych warstw społecznych. Zazwyczaj składała się z westybulu i wielkiego atrium, w którego centrum znajdowało się *impluvium*. Wokół atrium rozmieszczono główne pomieszczenia rodziny, a w głębi – *tablinum*. W atrium ustawiano również niewielki ołtarz poświęcony larom i penatom, opiekuńczym bóstwom ogniska domowego. Najbardziej okazałe *domus* miały dodatkowe atrium, zazwyczaj w formie portyku (kolumnady) z ogrodem pośrodku, zwane perystylem.

Eol: Bóg wiatru.

Fasces: Pęk lub wiązka gałązek, na których zawieszano topór. Nosili je liktorzy lub strażnicy towarzyszący rzymskim urzędnikom, takim jak konsulowie. Topór mógł być używany do ścięcia przestępców, a więc stanowił symbol władzy nad życiem i śmiercią, jaką cieszyli się wyżsi urzędnicy Rzymu oraz – w pewnej mierze – westalki, które również były eskortowane przez liktorów niosących *fasces*. Jak widzimy w powieści, niektórzy kapłani, w szczególności *flamen Dialis*, również mieli prawo do eskorty liktora niosącego *fasces*. Symbol ten został przyjęty przez Mussoliniego w XX wieku i stąd wywodzi się słowo „fasyzm”.

Faucte linguis: Wyrażenie łacińskie, które oznacza „wstrzymajcie języki”. Używali go *preaones*, czyli funkcjonariusze sądowi, żeby uciszyć publiczność podczas wystąpienia adwokatów. Używane także w kluczowych momentach przed złożeniem ofiary, tuż przed zabiciem zwierzęcia – cisza miała sprawić, że zwierzę zachowywało spokój.

Februa: Niewielkie paski skóry, których luperkowie używali do chłostania młodych Rzymianek, wierząc, że w ten sposób zapewniają im płodność.

Flamen Dialis: Kapłan Jowisza, jeden z najważniejszych w Rzymie. Cezar został mianowany *flamen Dialis*, gdy popularzy kontrolowali Rzym, ale Sulla usunął go z tego stanowiska. Wydaje się, że urząd nie był obsadzony przez wiele lat z powodu niełatwych do zniesienia restrykcji w życiu prywatnym, jakie się z nim wiązały.

Forum Boarium: Targ zwierzęcy nad Tybrem, na końcu *Clivus Victoriae*.

Fossa Mariana: Kanał, który nakazał wykopać w delcie Rodanu Gajusz Mariusz, żeby zapewnić dostęp do zaopatrzenia drogą morską dla swojego obozu w południowej Galii, gdzie szkolił armię mającą walczyć z Teutonami i innymi barbarzyńcami, którzy grozili Italii.

Gens: *Nomen* rodziny, *tribus* lub klanu.

Gladius: Miecz o dwóch ostrzach, wywodzący się z Iberii, przyjęty jako wyposażenie legionów rzymskich w okresie drugiej wojny punickiej.

Glans plumbea: Niewielki zaokrąglony lub okrągły pocisk używany przez procarzy stanowiących część starożytnego wojska. Zazwyczaj robiono go z ołowiu, co powodowało poważne straty przeciwnika, jako że pocisk uderzał w jego oddziały z wielką szybkością.

Gradus deiectio: Degradacja w wojsku.

Hades: Królestwo zmarłych.

Herkules: Odpowiednik greckiego Heraklesa. Syn Zeusa i królowej Alkmeny, którą bóg oszukał. W Rzymie Herkules był synem Jowisza i Alkmeny. Używano jego imienia jako wykrzyknika.

Homo novus: Określenie stosowane w starożytnym Rzymie na męża, który jako pierwszy w swojej rodzinie obejmował stanowisko konsula. Czasami rozszerzano je również na pierwszego z rodziny, który zasiadał w Senacie.

Hymen: Rzymski bóg, opiekun małżeństw. Jego imię wykrzykiwano, składając życzenia świeżo poślubionym małżonkom.

Ignominia missio: Wyrzucenie z rzymskiego wojska w sposób poniżający – za tchórzostwo lub niewypełnienie rozkazów przełożonego w trakcie bitwy.

Imperator: Generał rzymski dowodzący jednym, dwoma lub większą liczbą legionów. Zazwyczaj był nim konsul stojący na czele wojska konsularnego składającego się z dwóch legionów.

Imperium: Pierwotnie projekcja boskiej władzy Jowisza, emanująca przez tych, którzy jako wybrani na stanowisko konsula sprawowali władzę polityczną i wojskową w Republice. *Imperium* oznaczało dowództwo nad wojskiem konsularnym złożonym z dwóch legionów oraz wojsk pomocniczych.

Impluvium: Niewielki basen lub sadzawka pośrodku atrium, w którym zbierała się woda deszczowa następnie używana do celów domowych.

In aeternum: Na wieczność.

In extremis: Wyrażenie łacińskie oznaczające „w ostatniej chwili”. W niektórych kontekstach ma również znaczenie *in articulo mortis*, w obliczu śmierci, ale nie w tej powieści.

Inquisitio: W kontekście procesów sądowych w starożytnym Rzymie był to przydzielony przez trybunał sędziowski czas, w którym obrona i oskarżenie miały zajmować się zebraniem dowodów i świadków. Z tego łacińskiego terminu i jego dosłownego znaczenia „badanie” wywodzi się słowo „inkwizycja”, które obecnie kojarzy się negatywnie, choć w prawie rzymskim brzmiało neutralnie.

Insulae: Budynki mieszkalne. W czasach imperium rzymskiego sięgały nawet siedmiu pięter. Ich budowa często pozbawiona była jakiegokolwiek nadzoru, co

sprawiło, że konstrukcje były niskiej jakości i mogły z łatwością ulec zniszczeniu lub pożarowi, powodującym poważne katastrofy.

Ipsa facto: Wyrażenie łacińskie oznaczające „w tej chwili”, „natychmiast”.

Iudices: Sędziowie w trybunale rzymskim. Ich liczba zmieniała się na przestrzeni epok i zgodnie z obowiązującymi prawami. Trudno to określić, ale najprawdopodobniej w roku 77 p.n.e. było ich pięćdziesięciu dwóch. Ich pochodzenie również było różne w określonych epokach, a ta kwestia stanowiła powód nieustannego napięcia politycznego, ponieważ najbardziej konserwatywni senatorowie zdecydowali, że trybunały składać się będą jedynie z senatorów. W ten sposób zupełnie podporządkowali sobie wymiar sprawiedliwości.

Jowisz Najwyższy: Najwyższy bóg, zasymilowany Zeus. Jego kapłan (*flamen Dialis*) był najważniejszy w kolegium kapłańskim w Rzymie. Jowisz miał pochodzenie latyńskie, ale po włączeniu tego regionu do Rzymu, stał się bogiem opiekunem miasta i gwarantem *imperium*. Z tego powodu triumf zawsze miał honorować właśnie jego.

Kastor: Jeden z Dioskurów greckich (wraz z bratem Polluksem), których zasymilowała religia rzymska. Jego świątynia, zwana świątynią Kastorów albo Kastora i Polluksa, służyła jako archiwum stanu ekwickiego. Imię tego boga oraz jego brata były często używane jako wykrzyknienie.

Kline: Rodzaj łoża, na którym Rzymianie kładli się, żeby spożyć posiłek, szczególnie kolację. Zwykle ustawiano je po trzy, ale zawsze można było dodać kolejne, w razie goszczenia większej liczby osób.

Kuria (w powieści także jako Curia Hostilia): Pałac przeznaczony dla Senatu. Zbudowany na terenie *comitium* na rozkaz Tullusa Hostyliusza – stąd nazwa. W 52 r. p.n.e. budynek został zniszczony przez pożar i zastąpiony większym. Senat mógł wprawdzie zbierać się w innych miejscach, ale to właśnie w kurii odbywano zazwyczaj posiedzenia. Po wspomnianym pożarze zbudowano Curia Julia dla uhonorowania Cezara, która przetrwała do końca Cesarstwa; spłonęła

dopiero w pożarze w okresie panowania Marka Aureliusza Karynusa. Dioklecjan przebudował i powiększył ten budynek.

Kwestor / *Quaestor*: W legionach okresu Republiki zajmował się zaopatrzeniem armii, kontrolował wydatki i wypełniał inne zadania administracyjne.

Lary: Bóstwa opiekujące się ogniskiem domowym.

***Laudes Herculis*:** Poemat autorstwa Cezara, napisany prawdopodobnie w młodości. August uznał ten utwór za zbyt niskiej jakości, żeby przetrwał, zwłaszcza w obliczu ubóstwienia Cezara. Tekst zawierał pochwałę czynów Herkulesa.

***Lectus genialis*:** Łoże skonstruowane i przeznaczone dla młodych małżonków, ozdobione w sposób przedstawiony w powieści.

Legaci: Przedstawiciele lub ambasadorowie o różnym stopniu władzy w historii Rzymu. W czasach Republiki legat dowodził legionem i podlegał konsulowi lub prokonsulowi. W epoce Cesarstwa legaci wojskowi podlegali bezpośrednio cesarzowi.

Lemury: Duchy zmarłych, którzy nie zostali pochowani wedle świętych rzymskich rytów, względnie dusze potępionych z różnych powodów, które trzeba ubłagać i uspokoić, żeby nie atakowały żywych.

Liktor: Legionista służący w wojsku konsularnym, wyznaczony do wykonywania specjalnego zadania jako eskorta konsula, najwyższego dowódcy. Konsul miał prawo do eskorty dwunastu liktorów, a dyktator – dwudziestu czterech. W zależności od rangi i ważności inni urzędnicy również mieli prawo do eskorty liktora. Przykładem jest *flamen Dialis*.

***Ludus latruncularum*:** Dosłownie „gra w łotrzyków”. Rozgrywana pionami na szachownicy (podobnie do szachów czy warcabów). Rzymianie rozstawiali podczas bitwy swoje kohorty tak jak gracze pionki podczas gry w warcaby. W ten sposób dysponowali kilkoma szeregami, które mogły zmieniać się na pierwszej linii, jednocześnie nie zostawiając żadnej luki, którą mógłby wykorzystać przeciwnik, żeby przełamać rzymski atak.

Luperkalia: Święto, którego celem było z jednej strony chronienie terytorium, a z drugiej – zapewnienie płodności. Luperkowie biegali po ulicach z *februa*, żeby „chłostać” nimi młode Rzymianki, wierząc, że to zapewnia im płodność.

Luperkowie: Członkowie bractwa religijnego w starożytnym Rzymie, którzy przeprowadzali rytuały nakierowane na zapewnienie płodności.

Magnis itineribus: Marsz pospiesznym krokiem – w sytuacji, gdy legiony musiały jak najszybciej się przemieścić, żeby pilnie dogonić lub prześcignąć wroga.

Mars: Bóg wojny i zasiewów. To jemu w marcu oddawano w opiekę legiony przygotowujące się do nowej kampanii wojennej. Zazwyczaj składano wtedy ofiarę z barana.

Medyk (*medicus*): Specjalista obecny powszechnie w Rzymie od III wieku p.n.e. Niektórzy Rzymianie, na przykład Katon Starszy, z nieufnością obserwowali przedstawicieli tej greckiej profesji, preferując Rzym bez zagranicznych wpływów. Wedle Katona to *pater familias* miał dbać o zdrowie członków swojego domu. Ale pierwsi medycy pochodzenia greckiego, a potem kolejni kształceni już w Rzymie stali się osobami, do których zwracano się we wszystkich kwestiach związanych ze zdrowiem. Legiony rzymskie włączyły medyków do wojska, gdzie służyli w *valetudinarium*, czyli szpitalu polowym podczas kampanii wojennej.

Mila rzymska: Rzymianie mierzyli odległość w milach. Mila rzymska odpowiadała tysiącu kroków, z których każdy mierzył około 1,4–1,5 metra, a więc jedna mila równałaby się 1400 lub 1500 metrom. Istnieje jednak niepewność co do dokładnej długości mili.

Mury serwiańskie: Fortyfikacje wzniesione przez Rzymian w początkach Republiki, żeby bronić się przed atakami miast latyńskich, z którymi konkurowali o hegemonię w Lacjum. Przez wieki broniły miasta, dopóki w czasach Cesarstwa nie wzniesiono Muru Aureliana. Resztki murów serwiańskich można podziwiać nieopodal dworca kolejowego Termini.

Najjaśniejszy męzu (*clarissimus vir*): Wyrażenie używane podczas zwracania się do senatora rzymskiego.

Nefasti: Dni, które uznawano za nieodpowiednie na celebrowanie aktów publicznych i świąt.

Neptun: Pierwotnie bóg słodkiej wody. Następnie poprzez asymilację z greckim Posejdonem został również bogiem słonej wody morskiej.

Nomen: Również *nomen gentile* lub *nomen gentilicium* – określenie rodziny (*gens*) lub *tribus*, do którego należy dana osoba. Bohater tej powieści był członkiem *tribus* Juliuszów, dlatego nosi imię Juliusz.

Oppugnatio repentina: Atak z marszu, bez zatrzymywania się. Legiony rzucały się na wroga, jego obóz lub miasto bez zatrzymania pochodu. W ten sposób starano się wykorzystać czynnik zaskoczenia. Zazwyczaj jednak wrogie wojska zbierały się naprzeciwko siebie i spędzały tak kilka dni, zanim ruszały do walki.

Optio, optiones: Podoficer, w hierarchii rzymskiej znajdujący się pod centurionem. Miał poziom *duplicatus*, co oznaczało, że pobierał podwójny żołd i był zwolniony z wykonywania szczególnie uciążliwych czynności w obozie.

Optymaci (*optimates*): Dosłownie „najlepsi z najlepszych”, lecz sformułowanie to było używane chętnie przez najbardziej konserwatywne stronnictwo w rzymskim Senacie. W jego programie było zachowanie przywilejów klasy senatorów górujących w ten sposób nad ludem i pozostałymi klasami społecznymi w Rzymie, a także *socii*, czyli sprzymierzeńcami, oraz mieszkańcami prowincji. W czasach Republiki optymaci walczyli brutalnie z popularami, bardziej skłonni do przyznania praw innym klasom społecznym. Jak widać w powieści, ten konflikt często okazywał się krwawy, kilkakrotnie przeradzał się nawet w wojnę domową.

Palla: Odzież wierzchnia noszona przez rzymskie kobiety, narzucona na tunikę, gdy wychodziły z domu.

Pater familias: Głowa rodziny zarówno podczas rytów religijnych, jak i w aspektach prawnych.

Patres conscripti: Ojcowie ojczyzny – zwykle odnoszono się w ten sposób do senatorów. Termin ten pochodzi od dawnego wyrażenia *patres et conscripti*, w którym pierwszy człon odnosił się do rodzin patrycjuszowskich, a drugi do wybranych osób spośród pozostałych klas: ekwitów lub plebsu.

Peculatus: Przestępstwo polegające na bezprawnym przywłaszczeniu sobie pieniędzy publicznych.

Petitio: Podczas procesu sądowego rozprawa, na której obywatel prosi innego, żeby reprezentował go przed sądem. W przypadku omawianym w powieści Macedończycy musieli znaleźć obywatela rzymskiego, który byłby gotów wnieść sprawę przeciwko Dolabelli, innemu obywatelowi rzymskiemu, ponieważ oni sami nie byli Rzymianami i nie mogli oskarżać obywatela Rzymu bezpośrednio.

Pilum, pila: Broń osobista *hastati* i *principes*. Był to długi drewniany pał, sięgający nawet półtora metra długości, zakończony prawie tak samo długą częścią żelazną. W epoce historyka Polibiusza i prawdopodobnie w czasach, w których rozgrywa się akcja tej powieści, żelazo wbijano w drewno aż do połowy pała za pomocą silnych nitów. W późniejszych czasach zastąpiono jeden z nitów trzpieniem, który wbijał się w tarczę przeciwnika, sprawiając, że drewniany pał z niej wystawał, co często zmuszało właściciela tarczy do jej odrzucenia. W czasach Cezara ten sam efekt uzyskiwano dzięki żelaznej końcówce, której nie można było wyjąć z tarczy. Ciężar *pilum* wynosił od 0,7 do 1,2 kg i legioniści mogli je ciskać na odległość 25 metrów, przy czym najlepsi osiągnęli nawet 40 metrów. Rzucone *pilum* mogło wbić się w drewno czy nawet w metalową płytę na trzy centymetry.

Polluks: Razem ze swoim bratem Kastorem był jednym z greckich Dioskurów, których zasymilowała rzymska religia. Czczono ich w świątyni Kastorów lub Kastora i Polluksa, która służyła zarazem jako archiwum stanu ekwickiego. Imiona obu bogów były używane jako wykrzyknienia w epoce, w której toczy się akcja powieści.

Pomerium: Dosłownie: „po drugiej stronie muru” lub „poza murem”. W epoce klasycznej w ten sposób określało się święte centrum miasta, w którym między innymi zabronione było noszenie broni, czego jednak dość często nie przestrzegano podczas zamieszek w okresach republikańskim i cesarskim. *Pomerium* zostało wyznaczone przez króla Serwiusza Tulliusza i jego granice nie zmieniały się do czasów dyktatury Sulli. Wydaje się, że wyznaczała je linia kamieni granicznych.

Popularzy: Stronnictwo w rzymskim Senacie oraz w innych instytucjach, na przykład trybunacie ludowym, domagające się poszerzenia praw, tak żeby lud Rzymu, a także część sprzymierzeńców, mogli uczestniczyć w dystrybucji ziemi kontrolowanej przez oligarchów ze stronnictwa optymatów. Pierwsze ślady postulatów popularów pojawiają się pod koniec drugiej wojny punickiej, kiedy to zgłosili je Grakchowie, wnukowie Scypiona Afrykańskiego i trybuni ludowi. Inni trybuni i przywódcy również podnosili te postulaty, do czasu, gdy Gajusz Mariusz, wuj Juliusza Cezara, a potem Cynna, objęli przywództwo stronnictwa.

Porta Collina: Jedna z dawnych bram Rzymu w murze serwiańskim. Odbyła się tam krwawa bitwa między wojskiem Sulli a zbuntowanymi Samnitami.

Praecones: Funkcjonariusze wspomagający pracę urzędników lub sędziów w różnych działaniach: od ogłoszenia wyborów i liczenia głosów, po prowadzenie procesu sądowego. W powieści asystują przewodniczącemu trybunału podczas procesu przeciwko Dolabelli.

Praenomen: Imię danej osoby, poprzedzające *nomen*, czyli określenie przynależności do *tribus* i *cognomen*, czyli nazwę konkretnej gałęzi rodziny. Bohater powieści nosi imię Gajusz. Wobec szerokiego spektrum imion, jakimi dziś dysponujemy, może zaskakiwać to, że w systemie rzymskim było ich tak niewiele. Do tego każda rodzina lub *tribus* zwykle korzystała z ograniczonej puli imion. W ten sposób dość często członkowie tej samej rodziny nosili ten sam *praenomen*, *nomen* i *cognomen*, z czego wynikały problemy z identyfikacją osób przez historyków lub czytelników dzieł takich jak ta powieść. Dlatego, żeby nie mylić czytelnika, autor odróżnia Juliusza Cezara syna i Juliusza Cezara

ojca. Najczęściej używane *praenomina* w rodzinie Juliuszów to: Gajusz, Sekstus i Lucjusz.

Praetorium: Namiot najwyższego dowódcy. Znajdował się w samym środku obozu wojskowego, pomiędzy *quaestorium* a forum.

Prima actio: W procesie sądowym w starożytnym Rzymie, jeśli liczba świadków i dowodów była znaczna, trybunał mógł podzielić rozprawę na większą liczbę posiedzeń. To określenie oznaczało pierwsze z nich.

Primus pilus: Pierwszy centurion legionu, zazwyczaj weteran cieszący się wielkim zaufaniem trybunów i konsula lub prokonsula dowodzącego legionami.

Privatus: Dosłownie „prywatny”. W Republice używano tego terminu jako przeciwieństwa określenia „publiczny”. W charakterze rzeczownika określa człowieka prywatnego, a więc niesprawującego żadnej funkcji wojskowej czy cywilnej z wyboru, na przykład funkcji pretora czy konsula. W momencie kryzysu wojskowego wyjątkowo osoba, która nie sprawowała funkcji konsula lub prokonsula, mogła otrzymać *imperium*, a więc dowództwo nad jednym lub wieloma legionami, ale jedynie w charakterze „człowieka prywatnego”. Mogły mu je przydzielić Senat albo Zgromadzenie Ludowe, choć zwykle wiązało się to z kontrowersjami i wywoływało konflikt polityczny, jak możemy zobaczyć w powieści.

Prokwestor / Proquaestor: Tak jak kwestor / *questor* zajmował się zaopatrzeniem i logistyką wojska, ale na czas określony przez Senat.

Pugio: Sztylet rzymski mierzący mniej więcej dwadzieścia cztery centymetry długości i sześć centymetrów szerokości jelca. Wzmocniony w centrum, stanowił niezwykle trwałą broń, zdolną przeszyć kolczugę.

Pytia: Kapłanka sanktuarium w Delfach w Grecji, która ponoć potrafiła przewidywać przyszłość. W powieści tłumaczy się pochodzenie tej nazwy. Początkowo pytia musiała być dziewczicą, ale wydaje się, że po gwałcie na jednej z nich postanowiono, że funkcję tę będą pełnić kobiety w pewnym wieku, które miały jednak prawo ubierać się jak dziewice, nawet jeśli nimi nie były.

W najlepszych czasach były nawet trzy pytie jednocześnie, żeby móc odpowiadać na prośby, które spływały z całej Grecji i spoza jej granic, gdyż sława ich przepowiedni szerzyła się w całym świecie starożytnym.

Quaestio perpetua: Trybunał wyznaczony do rozstrzygnięcia kwestii prawnych w określonej dziedzinie, w powieści są to malwersacja i inne przestępstwa związane z korupcją. Trybunały te powstały, żeby uniknąć *iudicium populi*, czyli wyroku wydanego przez lud, który podczas procesu często zbierał się w *comitium* przed trybunami zwanymi *rostra*. Były to chaotyczne procesy, w których wyrok podyktowany przez lud zależał w dużej mierze od popularności oskarżonego. Jeśli podsądny cieszył się wielką popularnością, zwykle domagał się *iudicium populi*, wiedząc, że zostanie uniewinniony przez lud, który go uwielbiał i nie wierzył w stawiane mu zarzuty, nawet jeśli rzeczywiście można mu było udowodnić popełnienie zarzucanych czynów. Dlatego coraz częściej w wyjątkowych sprawach odwoływano się do alternatywnych trybunałów złożonych z senatorów, którzy zgadzali się sędzić tych bardzo popularnych podsądnych. Z kolei doprowadziło to do wyraźnych nadużyć – tym razem na niekorzyść podsądnych, którzy musieli stawić się przed trybunałami stworzonymi *ex profeso* dla ich sprawy i często nastawionymi negatywnie. W 148 r. p.n.e. trybun ludowy wprowadził prawo, które głosiło, że malwersacje środkami publicznymi lub nadużycia władzy namiestników poszczególnych prowincji będzie sędzić stała komisja złożona z senatorów i członków stanu ekwickiego – chciano w ten sposób stworzyć bardziej obiektywny trybunał. Sulla zmienił prawo: od tamtej pory wszystkie trybunały składały się wyłącznie z senatorów. W ten sposób zapewnił nietykalność klasie senatorskiej, gdyż z czystego korporatyzmu żaden z nich nie wydawał wyroku skazującego innego senatora oskarżonego przez trybuna ludowego, lud czy przedstawicieli innej prowincji, jak ma to miejsce w powieści.

Quindecimviri sacris faciundis: Albo kwindecemwir – jak w powieści. Chodzi o kapłanów wybieranych zazwyczaj na całe życie, mających między innymi konsultować księgi sybillińskie w poszukiwaniu informacji, które pozwolą

zinterpretować wydarzenia w teraźniejszości i przewidzieć przyszłość. Zwykle realizowano te konsultacje na wniosek Senatu.

Reiectio: Podczas procesu w starożytnym Rzymie adwokaci zarówno oskarżenia, jak i obrony mieli prawo do usunięcia ze składu sędziowskiego jednego lub więcej sędziów. W poświęconej temu rozprawie przedstawiali swoje motywy. Odnosiły się one do tego, że któryś z sędziów był związany osobiście czy rodzinie z oskarżonym lub miał z nim wspólne interesy, a więc mógł się okazać stronnicy. Nie wiadomo do końca, ile wniosków mógł złożyć adwokat podczas jednej rozprawy *reiectio*.

Repetundis: Korupcja. Utworzono specjalne trybunały, które miały sądzić przestępstwa należące do tej kategorii, co miało na celu ukrócenie korupcji w wielu instytucjach Rzymu.

Reus: Oskarżony w procesie w starożytnym Rzymie. Nie musiał być trzymany w areszcie, to określenie odnosi się jedynie do jego charakteru jako osoby, wobec której wnoszono oskarżenie.

Sacrilegium: Poważne przestępstwo polegające na złupieniu lub zniszczeniu świętego miejsca.

Salarium: Regularny żołd otrzymywany przez legionistów, który początkowo wypłacano częściowo lub w całości w soli, skąd wywodzi się jego nazwa. Sól była niezwykle ważna w tamtych czasach jako przyprawa oraz konserwant żywności. Z biegiem czasu zaczęto wypłacać *salarium* w monetach.

Sarisa: Długa włócznia, mierząca od 4 do 7 metrów, używana przez piechotę wojsk hellenistycznych. Wprowadził ją Filip II Macedoński, ojciec Aleksandra Wielkiego, a następnie używały jej oddziały samego Aleksandra i jego generałów po przedwczesnej śmierci tegoż. Przez długi czas była w użyciu w różnych królestwach hellenistycznych.

Scortum: Dzwonka, prostytutka.

Secunda actio: W procesie rzymskim, gdy liczba dowodów lub świadków była znaczna, trybunał mógł podzielić rozprawę na kilka posiedzeń. *Secunda actio*

było drugim z nich.

Sella: Najprostsze siedzisko w Rzymie. Odpowiednik taboretu.

Sella curulis: Podobnie jak *sella* nie ma oparcia, ale za to luksusowe siedzisko ze skrzyżowanymi nogami i łukami z kości słoniowej, które można złożyć, żeby ułatwić jego przenoszenie, tak więc konsul mógł z niego skorzystać również podczas podróży.

Senatus consultum ultimum: Edykt przyjęty przez Senat, w którym udzielano jednemu lub obu konsulom władzy potrzebnej do przeprowadzenia określonego działania, na przykład aresztowania tego, kogo Senat uznał za wroga państwa.

Sine manu: Forma małżeństwa o swobodniejszym charakterze niż *cum manu*. W tym przypadku żona nie oddziela się całkowicie od swojej rodziny i zachowuje z nią pewne związki.

Socii: Sprzymierzeńcy Rzymu, ludy, początkowo italskie, które zawarły pakt o współpracy z Rzymem. Z upływem czasu Republika zaczęła podejmować decyzje związane z przydzielaniem ziemi osadnikom oraz w innych kwestiach, które dotyczyły sprzymierzeńców, ale nigdy się z nimi nie konsultowała. Ostatecznie *socii* zażądali obywatelstwa rzymskiego, żeby mieć prawo głosu i wyboru w sprawach, które wpływały na ich życie i funkcjonowanie. Spotkało się to z całkowitym odrzuceniem ze strony optymatów, a nawet sporej części mieszkańców Rzymu. Niektórzy senatorowie ze stronnictwa popularów, jak również inni przywódcy tej frakcji, przychylali się ku przynajmniej rozpatrzeniu postulatów sprzymierzeńców. Konflikt przerodził się w wojnę ze sprzymierzeńcami zapoczątkowaną przez Marsów. Stąd dla Rzymian w czasach Cezara była to wojna „przeciwko Marsom”, a określenie „wojna ze sprzymierzeńcami” zostało ukute w czasie późniejszym.

Socors: Osoba, która uchyła się od działania, pozbawiona energii lub sił witalnych. W kontekście przywołanym w powieści określenie to oznacza po prostu tchórza.

Solium: Drewniane siedzisko z prostym oparciem, o surowym, oszczędnym stylu.

Spatha: Nieco dłuższy niż *gladius* miecz, który zazwyczaj nosili oficerowie legionu lub jeźdźcy z jednostek rzymskiej kawalerii.

Spintriae: Monety lub karty przedstawiające mężczyzn i kobiety w trakcie aktu seksualnego. Możliwe, że używali ich legioniści w burdelach imperium, żeby porozumieć się z prostytutkami – pokazywali jej monetę z aktem, na który mieli ochotę.

Sponsalia: Termin oznaczający „zaręczyny”, a więc pakt zapowiadający późniejsze zaślubiny. W Rzymie odbywała się z tej okazji ceremonia, podczas której ustalano dokładne warunki zawarcia związku małżeńskiego, szczególnie wszystko to, co dotyczyło przyszłej małżonki: jej wiano oraz dołączenie do rodziny męża na zasadzie *cum manu* lub *sin manu*.

Status quo: Wyrażenie łacińskie oznaczające „w obecnym stanie” lub „w obecnej sytuacji”.

Strateg: Początkowo ten termin odnosił się do urzędnika w starożytnej Grecji. Następnie ewoluował i zaczęto nim określać generała lub dowódcę wojska. W królestwach hellenistycznych używany także jako nazwa stanowiska gubernatora wojskowego, a obecnie – w Grecji nowożytnej – oznacza głównodowodzącego wojsk.

Subura: Dzielnica w starożytnym Rzymie, którą zamieszkiwały warstwy ludowe. Składała się z ulic o charakterze odmiennym od ulic bardziej szlacheckich części miasta. Rodzina Juliuszów mieszkała właśnie tam, co zbliżało ją do ludu, zgodnie z przekonaniem popularów. Obecnie znajduje się tam dzielnica Monti, w której nadal można wybrać się na piazza della Suburra.

Świątynia Afrodyty: Wielka świątynia w Tesalonikach w Macedonii, uważana przez wielu za Partenon tego miasta. Jej ruiny odkryto w roku 2000, co wywołało wiele kontrowersji, jako że przez długi czas przestrzeń ta była prawdziwym wysypiskiem śmieci. Dzisiaj można podziwiać niektóre kolumny, posągi i inne elementy wystroju w Muzeum Archeologicznym w Salonikach.

Tabernae veteres: Stoiska w południowej części forum, głównie zajmowane przez wymieniaczy pieniędzy.

Tablinum: Pomieszczenie wychodzące na atrium, położone naprzeciwko głównego wejścia do *domus*. Przeznaczone dla *pater familias*, służyło często jako gabinet pana domu.

Terra sigillata: Ceramika wysokiej jakości, w której serwowano posiłki jedynie najlepszym gościom. Zazwyczaj dekorowana.

Testudo: Typowa dla wojsk rzymskich formacja, w której legionieści podnosili tarcze w górę i zasłaniali się nimi ze wszystkich stron, chroniąc się w ten sposób przed atakiem za pomocą strzał, włóczni etc.

Toga viril: Zastępowała swoją poprzedniczkę – *toga praetexta* noszoną przez dzieci. Wręczano ją młodzieńcowi podczas święta zwanego *liberalia*, na którym przedstawiano nowych członków społeczności, dorosłych mężczyzn, i która kończyła się *deductio in forum*.

Tonsor: Golarz.

Tribunus laticlavius: Urząd wojskowy, na który mianowano młodych obywateli rzymskich, zazwyczaj w randze senatorów, żeby pod dowództwem legata zdobywali doświadczenie wojskowe.

Triera: Wojskowy statek w rodzaju galery. Jego łacińska nazwa *triremis* odwołuje się do trzech rzędów wiosł, które nadawały mu szybkość. Ten rodzaj statku był używany od VII w. p.n.e. podczas bitew morskich w całym starożytnym świecie. Niektórzy uważają, że statek został skonstruowany przez Egipcjan, ale historycy postrzegają triery jako kontynuację trzyrzędowca korynckiego. Tukidydes na przykład przypisuje wynalezienie tej konstrukcji Aminoklesowi. Starożytne wojska używały trier jako podstawowych jednostek swoich flot, mimo że miały do dyspozycji również większe statki, o większej liczbie rzędów wiosł: na przykład czterorzędowce lub pięciorzędowce. Budowano także statki o sześciu, a nawet dziesięciu rzędach wiosł, jak na przykład te, które brały udział w bitwie pod Akcjum między Oktawianem a Markiem Antoniuszem.

Kaligenos opisuje prawdziwego morskiego potwora o czterdziestu rzędach wiosł, który powstał za czasów Ptolemeusza IV Filopatora (221–203 r. p.n.e.), mimo że gdyby taki statek rzeczywiście istniał, byłby raczej zabawką władcy niż jednostką zdolną wziąć udział w bitwie morskiej.

Triplex acies: Zwykła formacja wykorzystywana przez rzymskie legiony, w której kohorty rozstawione były w trzech szeregach, tak że mogły zmieniać się na pierwszej linii walki i unikać w ten sposób wyczerpania podczas bitwy.

Triumf: Pełna przepychu, bogata parada zwycięskiego generała na ulicach Rzymu. Żeby zasłużyć sobie na ten zaszczyt, trzeba było odnieść zwycięstwo w bitwie podczas sprawowania funkcji konsula lub prokonsula.

Triumviri nocturni: Legioniści służący czasami jako strażnicy miejscy w Rzymie lub podbitych miastach. Często zajmowali się patrolowaniem nocami i pilnowaniem porządku publicznego.

Tullianum: Podziemne więzienie w starożytnym Rzymie, wykute na forum niedaleko budynku Senatu. Było wyjątkowo ciemne i przerażające, a warunki tam panujące – straszliwe.

Tunika spodnia: Tunika lub lekka koszula, którą nosiły kobiety w Rzymie.

Turma, turmae: Niewielki oddział kawalerii rzymskiej złożony z trzech dekurii, na które składało się z kolei po dziesięciu jeźdźców.

Ubi tu Gaius, ego Gaia: Zdanie używane podczas zaślubin w Rzymie. Oznacza „gdzie ty Gajuszu, tam ja Gaja”, odnosząc się do typowych imion rzymskich.

Umbones: Wielkie metalowe guzy zazwyczaj umieszczone w środku tarczy żołnierzy rzymskich, które ci wykorzystywali do atakowania przeciwnika.

Valetudinarium: Szpital rzymskich legionów. Wojsko rzymskie zawsze przygotowywało miejsce, w którym opiekowano się rannymi w bitwie lub tymi, którzy chorowali w trakcie kampanii wojennej.

Vallum: Drewniana palisada, którą legioniści budowali dla ochrony obozu. Czasami mogła być również z kamienia lub uzupełniona innymi środkami ochronnymi, na przykład fosą lub nasypem z pułapkami na zbliżającego się do

obozu wroga. Fosy często wypełniano *lilia* i *sudes*, czyli kolczatkami i palami różnego typu, które wbijały się w ciało tych, którzy wpadli w pułapkę.

Venatio: Polowanie na dzikie zwierzęta w formie rozrywki w rzymskich amfiteatrach lub cyrkach. *Venationes* z amfiteatru Flawiusza, znanego dzisiaj jako Koloseum, były szczególnie widowiskowe, ponieważ odtwarzano w nich również, choć niekiedy mało rygorystycznie, ich zwykłe habitaty. W czasach Cezara polowania w zamkniętych przestrzeniach i na oczach publiczności stanowiły już część rozrywek Rzymian, które regularnie organizowano w mieście nad Tybrem.

Vexillationes: Jednostki wojskowe, które na pewien czas rekrutowano lub przenoszono z miejsca na miejsce, żeby zapewnić wsparcie podczas konkretnego działania lub kampanii.

Via Appia: Droga rzymska łącząca bramę Capena w Rzymie z południem Italii.

Via Egnatia: Długa droga rzymska łącząca Morze Adriatyckie z Bizancjum, przecinająca prowincje Iliria, Macedonia i Tracja (obecnie: Albania, Macedonia Północna, Grecja i Turcja). Miała ogromne znaczenie handlowe i wojskowe.

Via Sacra: Jedna z najważniejszych ulic w starożytnym Rzymie. Prowadzi ze wschodu na zachód, od Kapitolu do dzisiejszego Koloseum. Przecinała całe forum i z tego względu mogła odpowiadać dawnej *decumanus*, która wraz z *cardo* wyznaczała samo serce pierwszego Rzymu. Po Via Sacra defilowały zwycięskie wojska, odbywając triumf po kampanii wojennej.

Violatio: Gwałt na kobiecie lub mężczyźnie.

Viri potens: Termin używany na określenie młodej kobiety, który oznacza, że jest ona dosłownie „zdolna do zniesienia mężczyzny”, czyli do stosunków seksualnych i zajścia w ciążę, a więc może zostać wydana za męża.

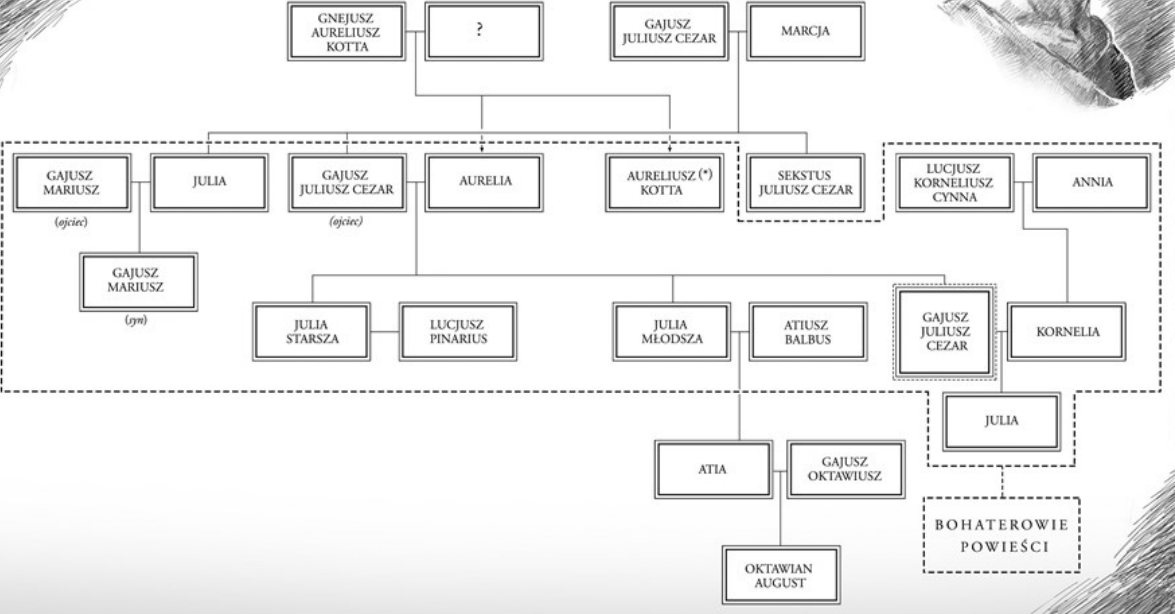
Wenus: Rzymska bogini miłości, płodności i piękna. Do pewnego stopnia tożsama z grecką boginią Afrodytą. Mówiło się, że wywodzi się od niej rodzina Juliusza Cezara.

Westalka: Kapłanka należąca do kolegium westalek poświęconych kultowi bogini Westy. Początkowo były tylko cztery, ale później poszerzono ich liczbę do sześciu, a następnie – siedmiu. Wybierano je w wieku sześciu i dziesięciu lat spośród rodzin, których ojciec nadal żył. Okres sprawowania urzędu wynosił trzydzieści lat. Po jego zakończeniu westalki mogły zawrzeć związek małżeński. Za to w trakcie służby były zobowiązane do zachowania czystości i chronienia świętego ognia miasta. Jeśli nie wypełniły ślubów, skazywano je na pogrzebanie żywcem. Jeśli ich przestrzegały, cieszyły się wielkim społecznym prestiżem – nawet mogły ocalić skazańca od egzekucji. Zamieszkiwały obszerną posiadłość przy świątyni Westy. Do ich obowiązków należało również wytwarzanie *mola salsa*, świętego oleju używanego podczas składania ofiar.

DODATEK III

Drzewo genealogiczne rodziny Juliusza Cezara

DRZEWO
GENEALOGICZNE
RODZINY
JULIUSZA CEZARA



(*) Inne źródła podają również, że Aureliusz Kotta był kuzynem, a nie wujem Cezara

DODATEK IV

Mapy historyczne



Wróć do przypisu



.OS

S

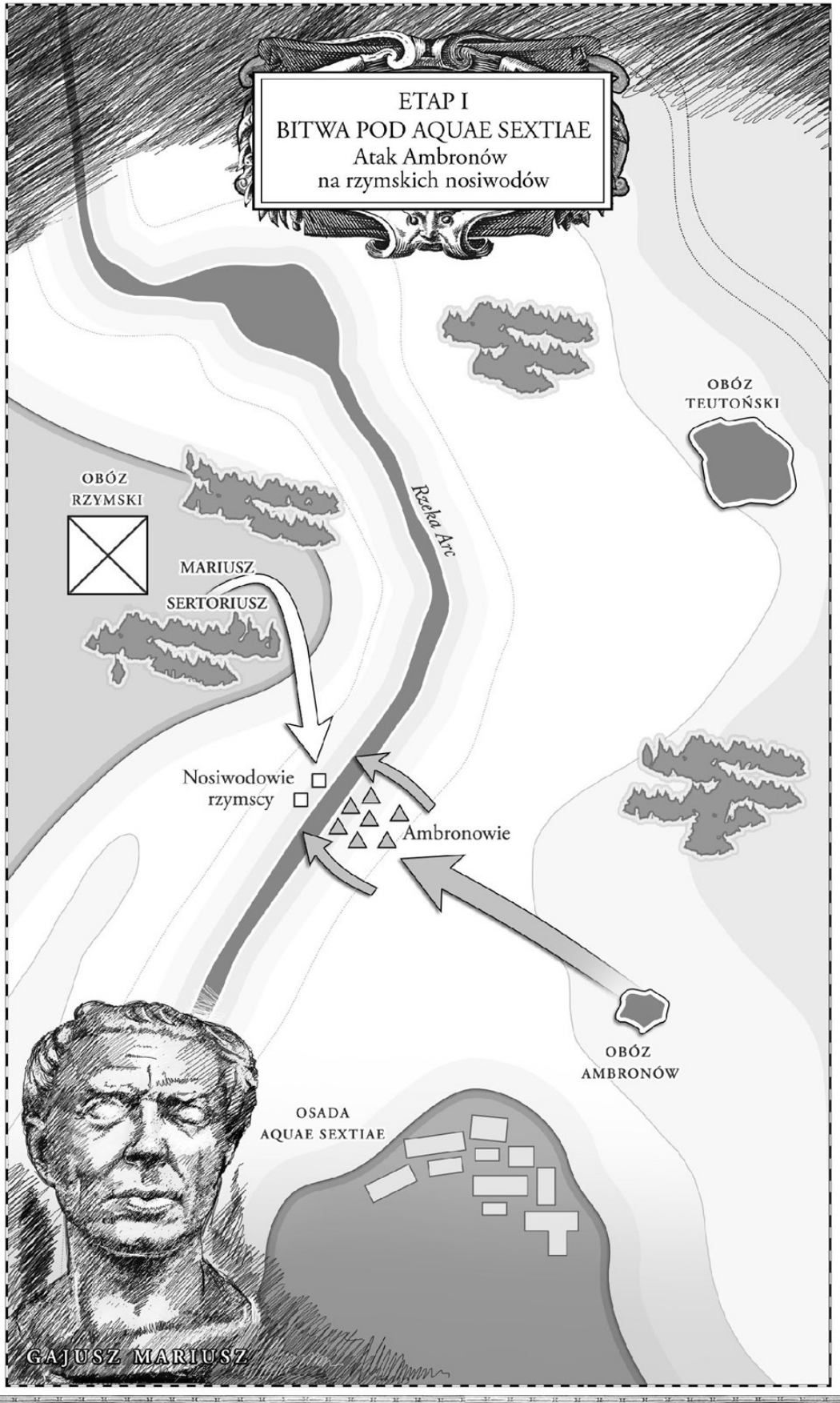
I

[Wróć do przypisu](#)



[Wróć do przypisu](#)

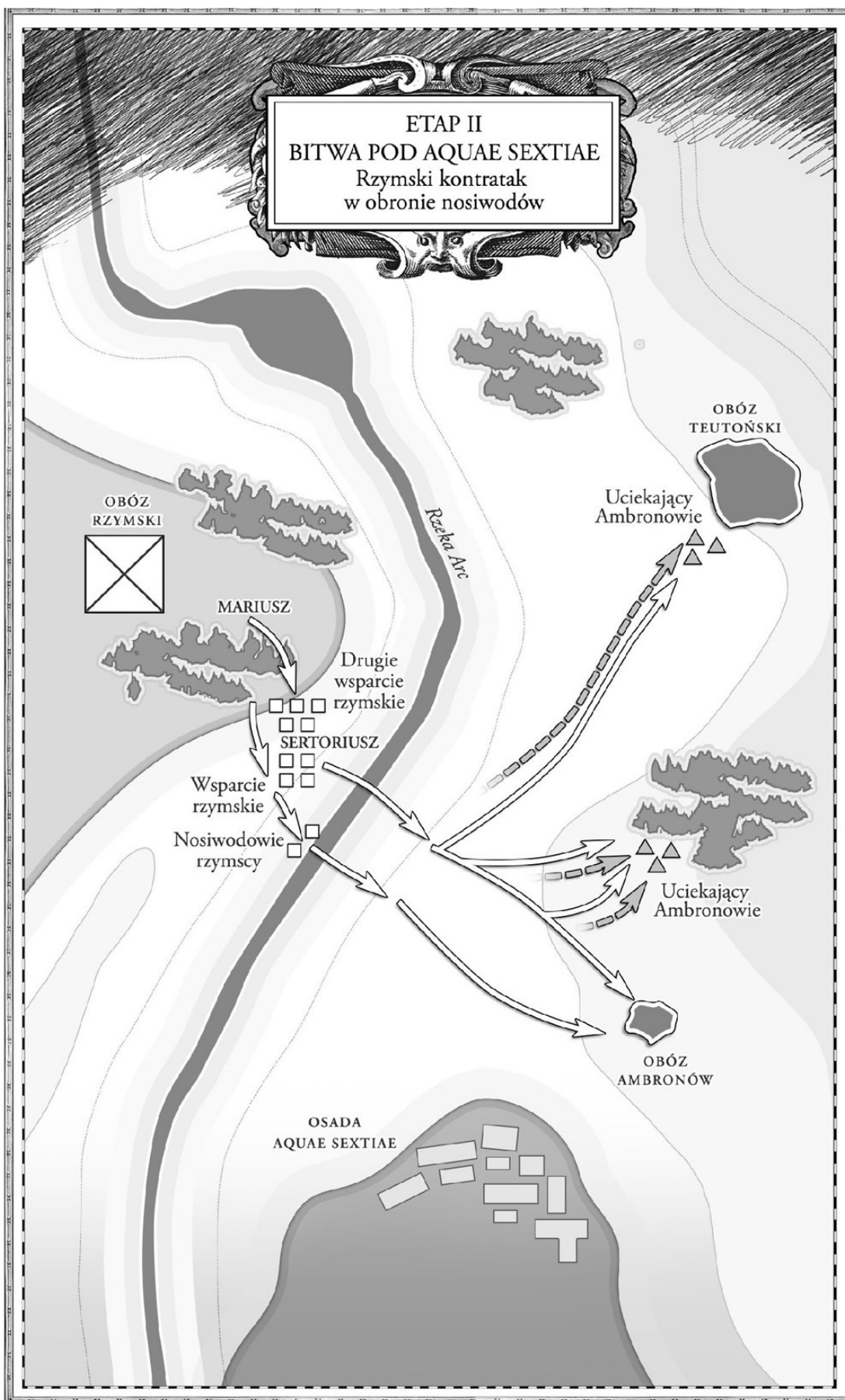
ETAP I
BITWA POD AQUAE SEXTIAE
Atak Ambronów
na rzymskich nosiwodów



GAJUSZ MARIUSZ

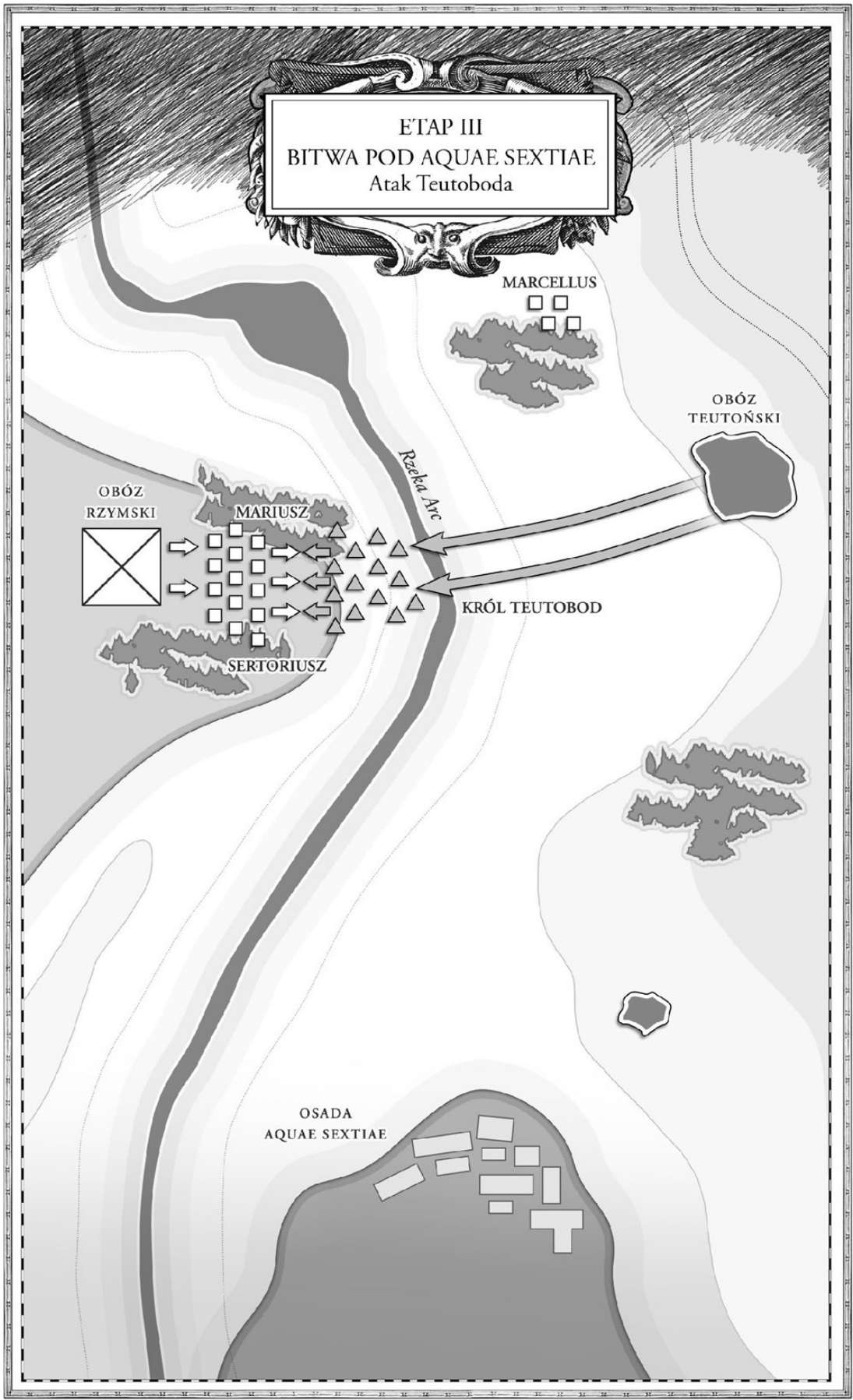
[Wróć do przypisu](#)

ETAP II
BITWA POD AQUAE SEXTIAE
Rzymski kontratak
w obronie nosiwodów



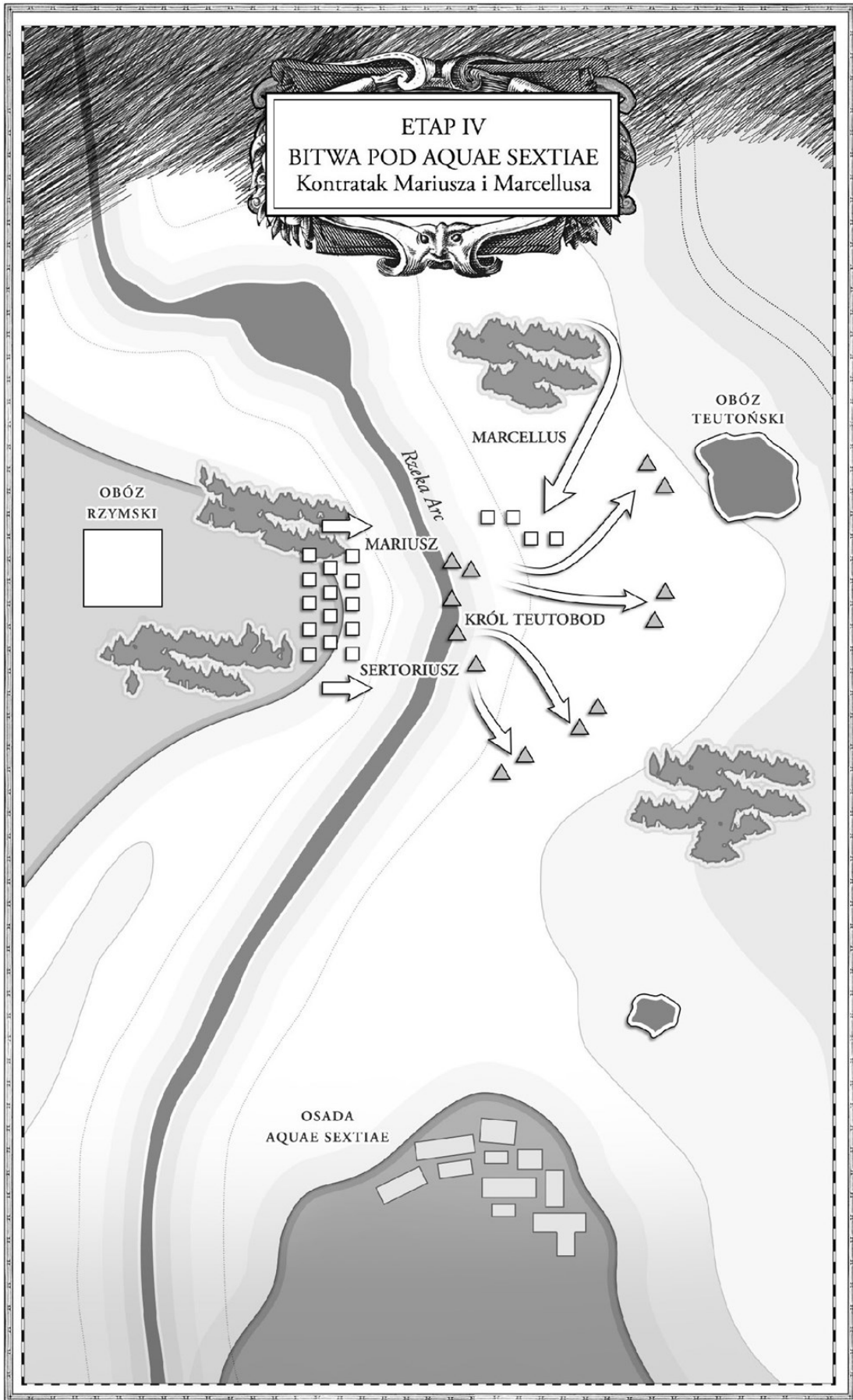
[Wróć do przypisu](#)

ETAP III
BITWA POD AQUAE SEXTIAE
Atak Teutoboda



[Wróć do przypisu](#)

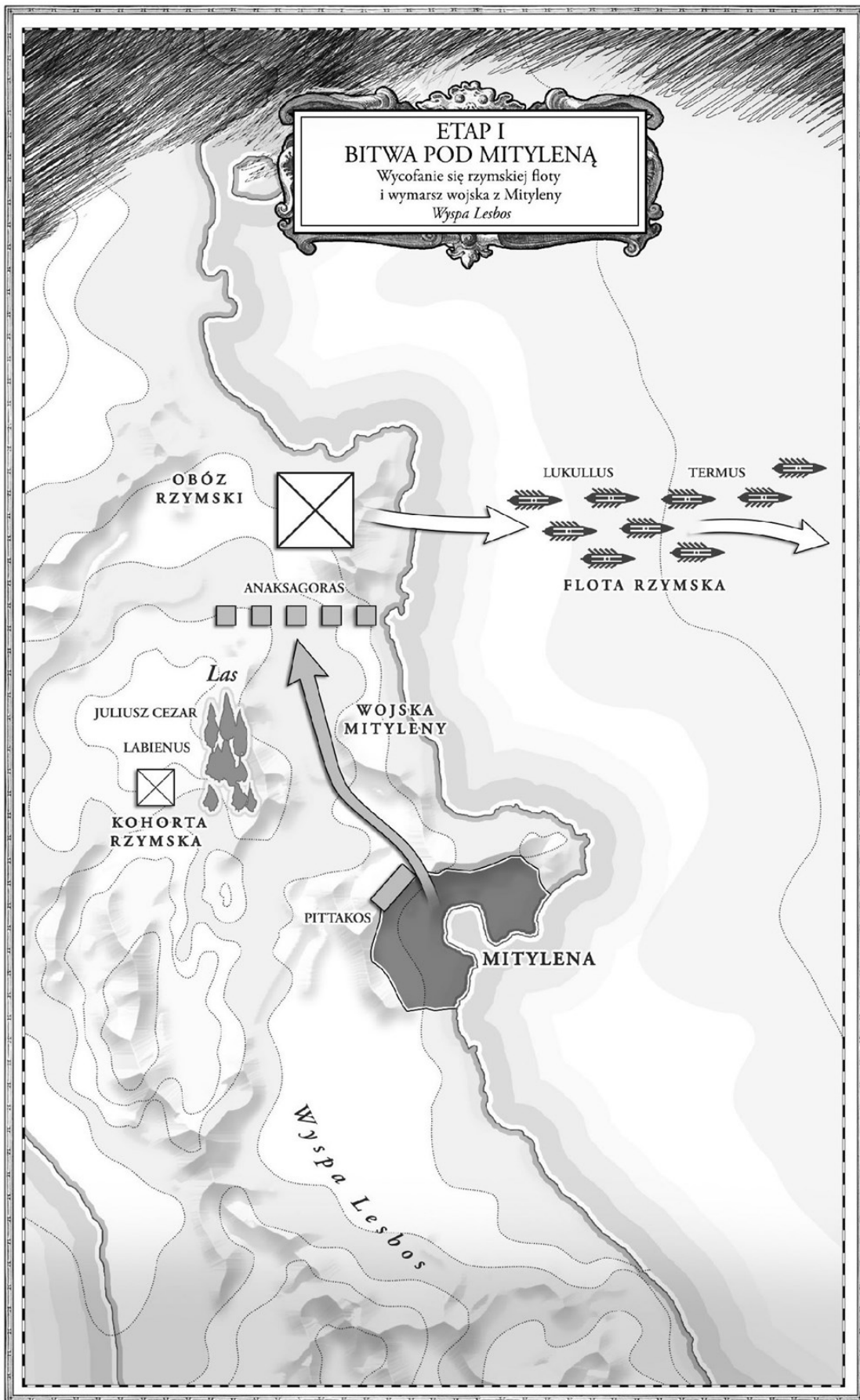
ETAP IV
BITWA POD AQUAE SEXTIAE
Kontratak Mariusza i Marcellusa



[Wróć do przypisu](#)

ETAP I BITWA POD MITYLENA

Wycofanie się rzymskiej floty
i wymarsz wojska z Mityleny
Wyspa Lesbos



[Wróć do przypisu](#)

ETAP II BITWA POD MITYLENA

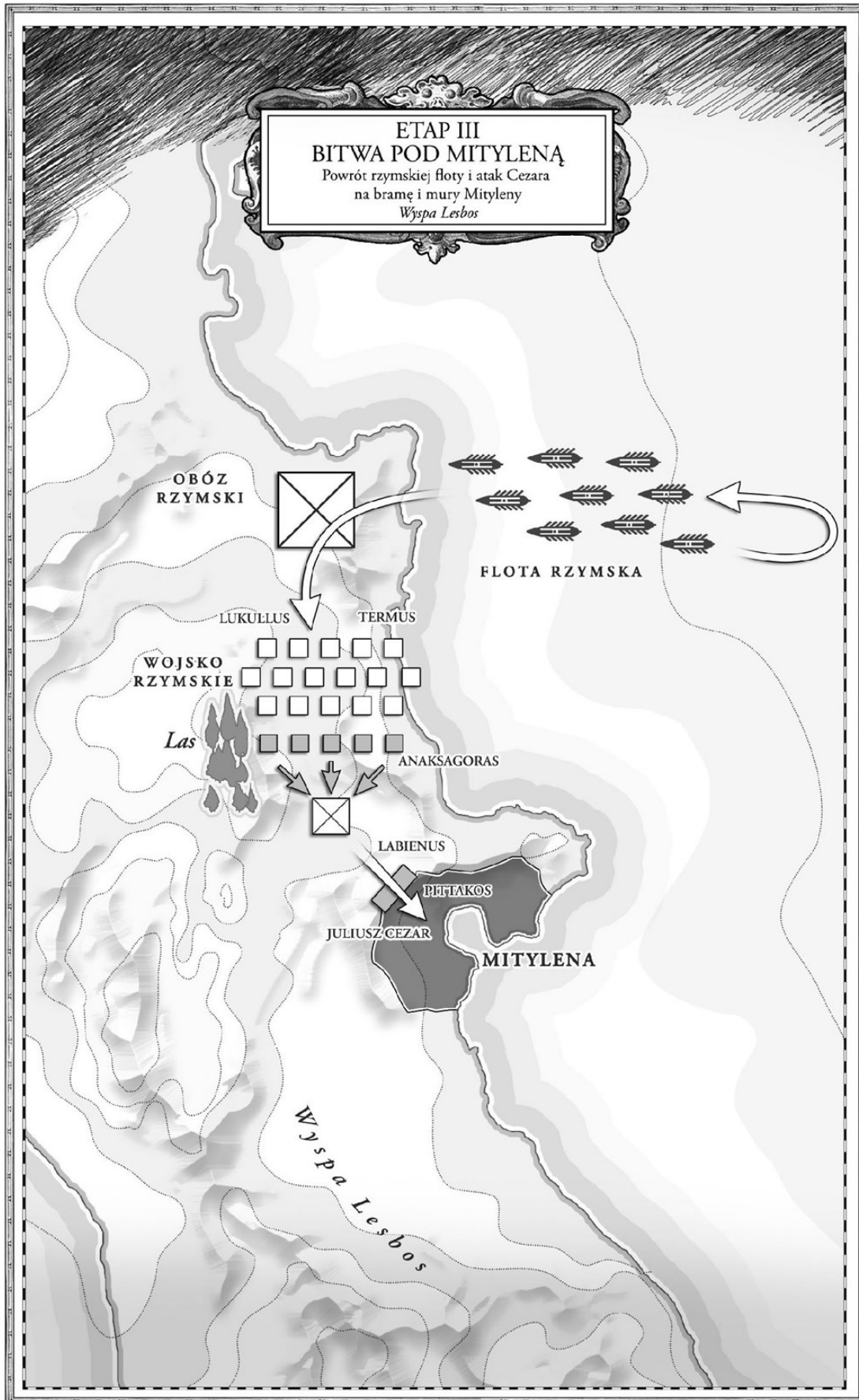
Niespodziewany atak Juliusza Cezara
na tylną straż wojska Mityleny
Wyspa Lesbos



[Wróć do przypisu](#)

ETAP III BITWA POD MITYLENA

Powrót rzymskiej floty i atak Cezara
na bramę i mury Mityleny
Wyspa Lesbos



[Wróć do przypisu](#)

Podziękowania

Napisanie książki *Rzym to ja* było możliwe dzięki pomocy i wsparciu różnych ważnych osób.

Na pierwszym miejscu chciałbym podziękować Alejandrovi Valiño, specjalście od prawa rzymskiego z Uniwersytetu w Walencji, za szczególną pomoc przy rekonstrukcji rzymskiego procesu w I w. p.n.e., a konkretnie w 77 r. p.n.e., czyli pod rządami prawa ustanowionego przez Sullę. Współpraca z profesorem Valiño była niezwykle wartościowa podczas odtwarzania poszczególnych etapów procesu w danym kontekście historycznym, w tym konkretnym momencie historii starożytnej Republiki Rzymskiej.

Jestem również niezmiernie wdzięczny Carlosowi Garcíi Gualowi, emerytowanemu profesorowi filologii greckiej Universidad Complutense w Madrycie i członkowi Hiszpańskiej Akademii Królewskiej, za przejrzenie niektórych rozdziałów powieści.

Dziękuję też Julicie Juan Grau, nauczycielce greki w Szkole Średniej im. Luisa de Valencii, oraz profesorowi Rubenowi Montañesowi, specjalście od greki z Universitat Jaume I w Castellón, za rady dotyczące różnych cytatów z łaciny i greki, które pojawiają się w tekście.

Podziękowania niech przyjmą mój brat Javier i bratowa Pilar – byli pierwszymi czytelnikami mojej książki i wyrazili opinie, dzięki którym mogłem poprawić tekst.

Redaktorki Carmen Romero i Lucía Luengo były ze mną od początku mojej kariery pisarskiej. Wraz z Nurią Cabutí i Juanem Díazem oraz całą ekipą zarządzającą, siecią sprzedaży, osobami od promocji, grafiki i edycji Penguin Random House zaufali, że wywiążę się z tego niewątpliwie największego wyzwania literackiego: opowiedzenia w nowej serii literackiej o całym życiu osoby, która zmieniła bieg historii.

Dziękuję mojemu agentowi Ramonowi Conesie i agencji literackiej Carmen Balcells za poprowadzenie mnie za rękę w złożonym świecie wydawniczym XXI wieku, za nieustające wsparcie i porady.

Dziękuję mojej córce Elsie za to, że jest ze mną, za to, że rośnie u mego boku wśród historii o Rzymianach, za to, że mnie kocha, i za to, że mogę być jej ojcem, mimo wszystko.

I dziękuję Albie za to, że pojawiła się w moim życiu i je rozświetliła.

Santiago Posteguillo jest filologiem, językoznawcą i autorem powieści historycznych. Obecnie pracuje na Universitat Jaume I w Castellón jako wykładowca języka angielskiego oraz lingwistyki. Zasłynął powieściami o starożytnym Rzymie, zwłaszcza trylogią *Africanus*. Za książkę *Yo, Julia* otrzymał nagrodę Planeta Prize, a za dotychczasową pracę pisarską został uhonorowany nagrodą Premio Internacional de Novela Histórica Barcino.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Dramatis personae

Principium

Prooemium

Rozprawa pierwsza. PETITIO

I. Decyzja Cezara

Memoria prima. AURELIA

II. Senatus consultum ultimum

III. Trybun ludowy

IV. Niemożliwe negocjacje

V. Kamienna sprawiedliwość

VI. Krew Eneasza

Rozprawa druga. DIVINATIO

VII. Nieoczekiwany przeciwnik

VIII. Zaskakujące rozstrzygnięcie

Memoria secunda. GAJUSZ MARIUSZ

IX. Powrót Mariusza

X. Tylko zwycięstwo się liczy

XI. Gniew bogów

XII. Nowy Scypion?

XIII. Olbrzymi barbarzyńcy

XIV. Medyk dla młodego Cezara

XV. Teutobod

XVI. Król rzuca wyzwanie

XVII. Atak wojska teutońskiego

XVIII. Na Rzym

XIX. Posiedzenie Senatu

XX. Aquae Sextiae

XXI. Legiony ludu

XXII. Ostateczna bitwa

XXIII. Nowa wojna

Rozprawa trzecia. INQUISITIO

XXIV. Świadkowie

XXV. Via Egnatia

XXVI. Smutne spojrzenie Orestesa

Memoria tertia. KORNELIA

XXVII. Pakt o władzy

XXVIII. Nauki Cezara

XIX. Rzym jest mój

XXX. Nauki Kornelii

XXXI. Religia Sulli

XXXII. Cinnamum Tempus

XXXIII. Świątynie Grecji

XXXIV. Spoczynek orła

XXXV. Śmierć Juliusza Cezara

XXXVI. Fimbria kontra Sulla

XXXVII. Ślub Cezara

XXXVIII. Cynna przeciwko Sulli

XXXIX. Decyzja Aurelii

XL. Postępy Sulli

XLI. Prochy Mariusza

XLII. Najdłuższa noc

Rozprawa czwarta. REIECTIO

XLIII. Rada Aurelii

XLIV. Przewodniczący trybunału

XLV. W mroku bazyliki

Reus. DOLABELLA

XLVI. Zbrodnia pierwsza: violatio

XLVII. Druga i trzecia zbrodnia: repunditis * i peculatus **

XLVIII. Klątwa Tesaloniki

XLIX. Czwarta zbrodnia: sacrilegium

Rozprawa piąta. PRIMA ACTIO

L. Pierwszy świadek Cezara: Marek

LI. Drugi świadek Cezara: Orestes

LII. Trzeci świadek Cezara: Myrtale

LIII. Zdrada tej, którą kochasz najbardziej

Memoria quarta. SULLA

LIV. Powierzeni bogom

LV. Dyktatura Sulli

LVI. Rozwód Cezara

LVII. Propozycja Sulli

LVIII. Zabójcza próba sił

LVIX. Uciekinier z Rzymu

LX. Pierwsze zwycięstwo

Rozprawa szósta. SECUNDA ACTIO

LXI. Zeznanie Dolabelli

LXII. Mowa końcowa obrony

LXIII. Mowa końcowa Cezara

Memoria quinta. LABIENUS

LXIV. Ziemia Safony

LXV. Rozkazy Lukullusa

LXVI. Eksterminacja Cezara

LXVII. Niemożliwa misja

LXVIII. Posłaniec

LXIX. Strach Cezara

LXX. Oczy Rzymu

LXXI. Życie przyjaciela

LXXII. Rozkazy Cezara

LXXIII. Corona civica

Rozprawa siódma. SENTENTIA

LXXIV. Jednogłośnie

LXXV. Inna sprawiedliwość

LXXVI. Cezar, Cezar, Cezar

Epilogus

Dodatki

I. Nota historyczna

II. Słowniczek

III. Drzewo genealogiczne rodziny Juliusza Cezara

IV. Mapy historyczne

Podziękowania

O Autorze

Spis treści